

ASSASSIN'S CREED™

RENEASANS



OLIVER BOWDEN

Oliver Bowden

Assassin's Creed

RENESANS

przełożył
Tomasz Brzozowski

Tytuł oryginału
Assassin's Creed: Renaissance

First published in English in 2009 by Penguin Group
Penguin Books Ltd, 80 Strand, London WC2R 0RL, England

Copyright © Ubisoft Entertainment. All Rights Reserved.
Assassin's Creed, Ubisoft, Ubi.com and the Ubisoft logo are trademarks of Ubisoft
Entertainment in the U.S. and/or other countries.

Przekład
Tomasz Brzozowski

Redakcja
Piotr Mocniak

Korekta
Maria Brzozowska
Grzegorz Bednarz

Sonet Lorenza na podstawie przekładu angielskiego Lorna de' Lucchi ze zbioru *An
Anthology of Italian Poems*, Nowy Jork, Biblio and Tannen, 1967 (1922), przełożył
Tomasz Brzozowski

Fragmenty Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia

Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2010, 2012.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN-13: 978-83-61428-75-6



Insignis Media
ul. Sereno Fenna 6/10, 31-143 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl
www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

*Myślałem, że uczę się, jak żyć,
a nauczyłem się, jak umierać.*

Leonardo da Vinci

ITALIA W DOBIE RENESANSU



1

Wysoko, na wieżach pałaców Vecchio i Bargello, płonęły pochodnie. Nieco dalej na północ kilka latarni rozświetlało migoczącym blaskiem plac przed katedrą. Inne rzucały poświatę wzdłuż nabrzeża rzeki Arno. Choć było już późno – większość mieszkańców miasta udawała się na spoczynek wraz z zapadnięciem nocy – w spowijającym brzeg rzeki mroku można było dostrzec kilku żeglarzy i dokerów. Żeglarze, uwijając się wciąż przy swoich statkach i łodziach, kończyli pospiesznie naprawy takielunku i zwijali liny, układając je starannie na ciemnych, wyszorowanych pokładach. Dokerzy spieszyli się z rozładunkiem i przenoszeniem towarów do pobliskich, dobrze zabezpieczonych magazynów.

Światła migotały też w oknach tawern i domów publicznych, ale po ulicach poruszało się już naprawdę niewiele osób. Upływał siódmy rok od czasu, kiedy władcą miasta został wybrany dwudziestoletni wówczas Lorenzo Medici; jego rządy przywróciły ład, przynajmniej z pozoru, i w pewnym stopniu uspokoiły zaciętą rywalizację między rodami bankierów i kupców, dzięki którym Florencja stała się jednym z najbogatszych miast świata. Mimo to nigdy nie przestała wrzeć, a czasem nawet kipieć – każda grupa interesów nieustannie dążyła do kontroli nad innymi; niektóre z nich zmieniały sprzymierzeńców, inne pozostawały odwiecznymi i nieprzejednanymi wrogami.

Nawet podczas wiosennych wieczorów, gdy słodki zapach jaśminu i odpowiedni kierunek wiatru pozwalał zapomnieć o odorze rzeki Arno, Florencja roku Pańskiego 1476 nie była najbezpieczniejszym miejscem do przebywania poza domem, szczególnie po zachodzie słońca.

Na niebie, które przybrało kobaltowy kolor, zawisł już księżyc, przyćmiewając swoją jasnością rój towarzyszących mu gwiazd. Jego światło

padało na plac, który z północnym brzegiem Arno łączył Ponte Vecchio i jego tętniące życiem sklepy, teraz ciemne i ciche. To samo światło spływało po kształtach odzianej w czerń sylwetki, stojącej na dachu kościoła Santo Stefano al Ponte. Był to człowiek młody, zaledwie siedemnastolatek, o wyniosłej posturze. Lustrując uważnym spojrzeniem obszar rozciągający się pod jego stopami, uniósł rękę do ust i zagwizdał, cicho, lecz przenikliwie. Potem patrzył, jak w odpowiedzi na jego gwizd z ciemnych uliczek i spod sklepionych przejść wyłania się na plac najpierw jeden, później trzech, po chwili już tuzin, a ostatecznie co najmniej dwudziestu mężczyzn, młodych jak on, w większości w czerni; niektórzy mieli krwistoczerwone, zielone bądź błękitne kaptury lub kapelusze, za to wszyscy – miecze i sztylety przy pasach. Już po chwili na placu w promienistym szyku stała grupa groźnie wyglądających młodzieńców, których sposób poruszania się zdradzał wielką pewność siebie.

Młody człowiek spojrział z dachu na pełne zapału twarze, które wpatrywały się w niego, rozświetlone bladą poświatą księżyca. W geście prowokującego pozdrowienia wznosił wysoko zaciśniętą pięść.

– Zawsze razem! – wykrzyknął, a oni, również unosząc swe pięści, w których część z nich już zaciskała broń, odpowiedzieli:

– Razem!

Młodzieniec kocimi ruchami zszedł z dachu po niewykończonej fasadzie kościoła, a gdy znalazł się nad jego portykiem, zeskoczył i z peleryną powiewającą jeszcze w powietrzu, wylądował w miękkim przysiadzie pośrodku zgromadzenia. Mężczyźni otoczyli go wyczekując.

– Cisza, przyjaciele! – wyciągnął w górę dłoń, powstrzymując ostatni, samotny okrzyk, po czym uśmiechnął się ponuro. – Czy wiecie, w jakim celu wezwałem tu was, moich najbliższych sojuszników? Chcę was prosić o pomoc. Już nazbyt długo milczałem, podczas gdy nasz wróg – wiecie, kogo mam na myśli? – Vieri Pazzi, szkalował w tym mieście moją rodzinę, szargając nieustannie jej dobre imię i próbując w ten żalosny sposób nas

poniżyć. Zwykle nie pochylałam się nawet, by kopnąć takiego parszywego kundla, ale...

Przerwał mu wielki, wyszczerbiony kamień, który, rzucony od strony mostu, wylądował tuż u jego stóp.

– Starczy już tych bzdur, *grullo* – odezwał się jakiś głos.

Młodzieniec wespół ze swoimi towarzyszami w jednej chwili skierował swój w kierunku, z którego dobiegły te słowa. Wiedział już, kto je wypowiedział. Przechodząc przez most od południa, zbliżała się do niego grupa młodych mężczyzn. Na czele dumnie kroczył jej przywódca w czerwonej, narzuconej na ciemny, aksamitny kostium pelerynie, zapiętej kłamrą z godłem, na którego błękitnym tle widniały złote delfiny i krzyże; jego ręka spoczywała na rękojeści miecza. Był to całkiem przystojny mężczyzna, którego szpecił jedynie ostry zarys ust i cofnięty podbródek. Mimo że sprawiał wrażenie lekko otyłego, nikt nie mógł wątpić w siłę jego ramion i nóg.

– *Buona sera, Vieri* – powiedział spokojnie młodzieniec. – Właśnie o tobie mówiliśmy.

Skłonił się w geście przesadzonej uprzejmości, przybierając wyraz zaskoczenia na twarzy:

– Musisz mi jednak wybaczyć. Nie spodziewaliśmy się tutaj ciebie we własnej osobie. Zawsze myślałem, że Pazzi wynajmują innych, by odwalali za nich brudną robotę.

Vieri zbliżył się nieco i wyprostował, zatrzymując się ze swoimi towarzyszami w odległości kilkunastu kroków.

– *Ezio Auditore!* Ty wychuchany mały szczeniaku! To raczej twoja rodzinka gryziopiórków i księgowych biega do strażników za każdym razem, gdy pojawi się choćby cień najmniejszego problemu. *Codardo!* – ścisnął rękojeść swojego miecza. – Boisz się brać sprawy w swoje ręce!

– Cóż mogę rzec, Vieri, *ciccione*... Ostatni raz, gdy widziałem się z Violą, twoją siostrą, była całkiem zadowolona, że wziąłem ją w swoje ręce.

Ezio Auditore obdarzył swojego wroga szerokim uśmiechem, zadowolony z chichotu, jaki wzbudził u stojących za jego plecami kompanów.

Wiedział jednak, że posunął się za daleko. Vieri od razu poczerwieniał z wściekłości.

– Starczy już tego, Ezio, kutasie! Zobaczmy, czy walczysz tak dobrze jak papłasz!

Vieri, podnosząc miecz, odwrócił się do swoich ludzi.

– Zabić tych skurwieli! – ryknął.

W tej samej chwili powietrze przeciął kolejny kamień, lecz tym razem nie został rzucony jako wyzwanie. Mimo że chybił celu, udało mu się musnąć czoło Ezia, na którym pozostała rozcięta skóra i krew. Ezio zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu, a z rąk ludzi Vieriego posypał się w jego kierunku grad kamieni. Kompani Ezia ledwo mieli czas, by zebrać się w sobie, gdy banda Pazziego po zbiegnięciu z mostu znalazła się tuż przy nich. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że mężczyźni nie zdążyli dobyć mieczy, a nawet sztyletów, więc obie grupy rzuciły się na siebie z gołymi pięściami. Walka była ostra i zacięta – brutalne kopniaki i uderzenia przy nieprzyjemnym akompaniamencie odgłosów łamanych kości. Przez pewien czas żadna ze stron nie zyskała zdecydowanej przewagi. Chwilę potem Ezio przez krew spływającą z czoła ujrzał, jak dwóch spośród jego najlepszych ludzi traci równowagę i upada, prosto pod nogi tratujących ich oprychów Pazziego. Vieri zaśmiał się szyderczo, a ponieważ znalazł się przy Ezio, spróbował zadać mu kolejny cios w głowę ręką uzbrojoną w ciężki kamień. Ezio przysiadł na pośladkach i cios chybił, ale i tak przeszedł zbyt blisko, by ten mógł poczuć się bezpiecznie, w dodatku jego ludzie zbierali teraz najgorsze cięgi. Zanim stanął na nogach, udało mu się w końcu wyszarpnąć z pasa sztylet i praktycznie na oślep, choć celnie, zanurzyć go w udzie nadciągającego ku niemu z obnażonym mieczem i sztyletem, potężnie zbudowanego zbira z bandy Pazziego. Sztylet Ezia rozciął tkaninę ubrania, zatapiając się w mięśniach i ścięgnach – mężczyzna wydał z siebie

rozdzierający wrzask i przewrócił się, rzucając broń i ściskając obiema rękami ranę, z której szerokim strumieniem trysnęła krew.

Ezio zerwał się na nogi i rozejrzał wokół. Zobaczył, że ludzie Pazziego otoczyli jego kompanów, zamykając ich kordonem przy jednej ze ścian kościoła. Poczul, że odzyskuje siły w nogach i skierował się w stronę swoich ludzi. Uchylił się przed przecinającym powietrze ostrzem miecza kolejnego poplecznika Pazziego i zdołał wpakować swoją pięść w jego nieogoloną twarz; z satysfakcją ujrzał, jak ze szczęki swojego niedoszłego zabójcy wylatują zęby i jak upada na kolana, ogłuszony ciosem. Krzyknął do swoich ludzi, by podnieść ich na duchu, ale po prawdzie myślał przede wszystkim o tym, jak by tu czmychnąć w możliwie najbardziej honorowy sposób. Usłyszał wtedy przebijający się przez zgiełk walki donośny, jowialny i znajomy głos, który dobiegł z tyłów bandy Pazziego.

– Hej, *fratellino*, co ty tu u diabła wyprawiasz?

Serce Ezia zabiło z wyraźną ulgą.

– Hej, Federico! Co ty tu robisz? Myślałem, że będziesz dziś, jak zwykle zresztą, balował na mieście!

– Bzdury! Wiedziałem, że coś planujesz, więc pomyślałem sobie, że przyjdę sprawdzić, czy mój mały braciszek nauczył się w końcu radzić sobie sam. Ale chyba potrzebujesz jeszcze jednej lekcji, a może nawet i dwóch!

Federico Auditore, starszy od Ezia o kilka lat i najstarszy z rodzeństwa Auditorich, był wielkim mężczyzną z wielkim apetytem – lubił sobie wypić, lubił się kochać i lubił się bić. Do walki włączył się, gdy jeszcze mówił, od razu rozbijając o siebie dwie głowy oprychów z bandy Pazziego i podnosząc wysoko stopę na spotkanie ze szczęką trzeciego. Przeszedł pewnym krokiem przez chmurę walczących mężczyzn, by stanąć u boku brata, sprawiając wrażenie obojętnego na otaczającą go przemoc. Zachęteni widokiem obu braci kompani Ezia podwoili swoje wysiłki. Ludzie Pazziego byli zaś skonsternowani: robotnicy na nabrzeżu zgromadzili się w bezpiecznej odległości i przyglądali się bijatyce, a ci w półmroku wzięli ich za posiłki

Auditorich. To, jak również ryki Federica, jego zwinne, mocne pięści i jego poczynania, od razu podchwyczone przez szybko uczącego się Ezia, rychło zasiały panikę w ich szeregach.

Nad ogólnym zgiełkiem zabrzmiał wściekły głos Vieriego Pazziego.

– Wycofujemy się! – zawołał do swoich ludzi wysiłonym i pełnym złości głosem.

Spojrzał na Ezia i warknął, rzucając pod jego adresem jakąś niezrozumiałą groźbę, po czym rozpląnął się w mroku Ponte Vecchio. Za nim podążyli ci z jego kompanów, którzy mogli jeszcze chodzić, ścigani w dodatku przez tryumfujących już teraz sprzymierzeńców Ezia.

Ezio chciał do nich dołączyć, ale powstrzymała go silna ręka brata.

– Chwileczkę! – powiedział.

– O co ci chodzi? Dopiero teraz ich mamy!

– Uspokój się – ostudził go Federico i zachmurzył się, delikatnie dotykając skaleczenia na czole Ezia.

– To tylko draśnięcie.

– To coś więcej niż tylko zadraśnięcie – powiedział Federico, przybierając poważny wyraz twarzy. – Będzie lepiej, jeśli obejrzy cię lekarz.

Ezio splunął.

– Nie mam czasu na bieganie po lekarzach. Poza tym... nie mam pieniędzy – dodał po chwili z wyraźnym zakłopotaniem.

– No tak... Straciłeś wszystkie na wino i kobiety, nieprawdaż? – Federico uśmiechnął się i przyjacielsko poklepał swojego brata po plecach.

– Cóż, nie uznalibyśmy tego za stratę. Zobacz zresztą, jaki dawałeś mi przykład – roześmiał się Ezio, ale zaraz potem zamilkł. Nagle dotarło do niego, że ból rozsada mu głowę. – No dobrze, niech będzie ten lekarz. Pewnie nie za bardzo chciałbyś pożyczyć mi kilka *fiorini*?

Federico poklepał swoją sakiewkę. Nie dobiegł z niej żaden brzęk.

– Problem w tym, że sam jestem teraz bez grosza – powiedział.

Widząc zmieszanie brata, Ezio uśmiechnął się szeroko:

– Na cóż więc ty straciłeś swoje pieniądze? Pewnie wydałeś je na msze i odpusty!

Federico roześmiał się:

– No dobrze. Tu mnie masz.

Rozejrzył się wkoło. Koniec końców, tylko trzech, może czterech spośród ich ludzi oberwało na tyle poważnie, że nie mogli o własnych siłach zejść z pola bitwy; siedzieli, pojękując trochę z bólu, ale i uśmiechając się półgębkiem. Starcie było ostre, żaden z nich niczego jednak sobie nie złamał. Z drugiej strony, dobre pół tuzina popleczników Pazziego leżało na obu łopatkach; w dodatku kilku z nich było dość szykownie odzianych.

– Zobaczmy, czy nasi polegli wrogowie mają się czym z nami podzielić – zaproponował Federico. – Jesteśmy, w ostatecznym rozrachunku, w większej potrzebie niż oni... Założę się, że nie uda ci się im ulżyć, nie wyrywając ich ze snu!

– To się jeszcze okaże! – odparł Ezio i zabrał się do dzieła.

Udało mu się. Po kilku minutach zebrał wystarczająco dużo złotych monet, by wypełnić sakiewkę swoją i brata. Spojrzył na niego triumfalnie i brzęknął woreczkiem, by podkreślić swój sukces.

– Wystarczy – zawołał Federico. – Lepiej zostawmy im trochę, żeby mogli dowlec się do domu. W końcu nie jesteśmy złodziejami – to po prostu nasz wojenny łup. I naprawdę nie podoba mi się ta twoja rana. Musimy czym prędzej pokazać ją lekarzowi.

Ezio skinął głową i odwrócił się, by raz jeszcze, na koniec, omieść wzrokiem miejsce zwycięstwa Auditorich. Tracąc powoli cierpliwość, Federico położył dłoń na ramieniu młodszego brata.

– No, chodź już – powiedział i bez dalszych ceregieli ruszył tak żwawo, że wycieńczonemu walką Eziovi trudno było dotrzymać mu kroku. Jednak gdy Ezio pozostawał zbyt daleko w tyle lub gdy skręcał w niewłaściwą uliczkę, Federico zatrzymywał się, a nawet podbiegał pospiesznie do brata i stawiał go do pionu.

– Przykro mi, Ezio. Po prostu zależy mi na jak najszybszej wizycie u *medico*.

W rzeczy samej, lekarz nie mieszkał daleko, a Ezio słabł z minuty na minutę. W końcu weszli do mrocznego pomieszczenia, przyozdobionego tajemniczymi instrumentami, mosiężnymi naczyniami i szklanymi fiolkami, ustawionymi na ciemnych, dębowych stołach i zwisającymi z sufitu, spomiędzy wiązek zasuszonych ziół. Właśnie tu przyjmował pacjentów ich rodzinny lekarz. Ezio już ledwo trzymał się na nogach.

Dottore Ceresa nie był zachwycony pobudką w środku nocy, ale zmienił nastawienie, gdy zbliżywszy świeczkę do rany Ezia, dokładnie ją obejrzał.

– Hm... – westchnął z powagą w głosie. – Tym razem naprawdę nieźle się urządziłeś, młody człowieku. Czy wy, młodzi, nie macie lepszych zajęć, niż bieganie za sobą i pranie się na miazgę?

– To była kwestia honoru, *dottore* – wtrącił Federico.

– Ach, rozumiem... – odpowiedział obojętnym tonem lekarz.

– To naprawdę nic takiego – powiedział Ezio, choć zrobiło mu się słabo.

Federico jak zwykle skrywał troskę pod zasłoną humoru.

– Połataj go najlepiej, jak tylko potrafisz, przyjacielu. Ta piękna buźka to jego jedyny atut.

– Ejże! *Fottiti!* – odparował Ezio, pokazując bratu palec.

Lekarz zignorował przekomarzanie się braci, umył ręce, zbadał delikatnie ranę i z jednej z wielu flaszek wylał na kawałek płótna jakiś bezbarwny płyn. Dotknął nim rany, co zapiekło tak, że Ezio mało nie wystrzelił z krzesła z twarzą skrzywioną w bolesnym grymasie. Potem, upewniwszy się, że rana jest czysta, ujął w palce igłę i nawłókł ją cienką katgutową nicią.

– Teraz uważaj – powiedział do Ezia – to naprawdę będzie bolało, ale na szczęście krótko.

Gdy szwy były już gotowe, a rana zabandażowana, tak że Ezio przypominał Turka w turbanie, *dottore* uśmiechnął się, dodając im otuchy.

– To będzie trzy *fiorini*, jak na razie. Przyjdę do waszego *palazzo* za parę

dni i zdejmę szwy. Zapłacisz mi wtedy kolejne trzy. Nawiedzi cię okropny ból głowy, ale to przejdzie. Po prostu postaraj się wypocząć – jeśli w ogóle coś takiego jest w twoim przypadku możliwe! I nie przejmuj się: rana wygląda na gorszą niż jest w rzeczywistości, w dodatku nie powinna pozostawić większej blizny; kobiety nie będą więc jakoś bardzo rozczarowane.

Gdy mężczyźni znaleźli się z powrotem na ulicy, Federico objął ramieniem swojego młodszego brata. Wydobył skądś flaszkę i podał ją Eziowi.

– Nie martw się – powiedział, widząc wyraz twarzy brata. – To najlepsza grappa naszego ojca. Lepsza niż mleko matki, szczególnie w twoim stanie.

Napili się obaj i poczuli, jak ów mocny trunek rozgrzewa ich wnętrza.

– Niezła noc – stwierdził Federico.

– To prawda. Chciałbym, żeby wszystkie były takie... – Ezio przerwał, bo zobaczył, jak jego brat uśmiecha się od ucha do ucha. – Nie, czekaj! – poprawił się, śmiejąc się w głos. – Przecież wszystkie takie właśnie są!

– Mimo wszystko wydaje mi się, że przed powrotem do domu niegłupio byłoby coś przekąsić i czegoś się napić – stanęlibyśmy na nogi – powiedział Federico. – Późno już, wiem, ale tu w pobliżu jest tawerna czynna do samego rana, w dodatku...

– ...w dodatku ty i *oste* jesteście *amici intimi*, tak?

– Jak na to wpadłeś?

Jakąś godzinę później, po posiłku z *ribolitta* i *bistecca*, popitych butelką brunello, Ezio zapomniał, że w ogóle jest zraniony. Był młody i zdrowy, więc dość szybko poczuł, że cała energia, którą stracił, z powrotem napływa do jego ciała. Adrenalina, którą wywołało zwycięstwo nad bandą Pazziego, z pewnością pomogła mu szybko dojść do siebie.

– Czas wracać do domu, braciszku – powiedział Federico. – Ojciec na pewno zastanawia się, gdzie jesteśmy. Liczy, że w przyszłości pomożesz mu prowadzić bank. Na moje szczęście nie mam głowy do liczb – pewnie dlatego już nie może się doczekać, kiedy wciągnie mnie do polityki.

– To cały ty: polityka albo cyrk.

– A co za różnica?

Ezio wiedział, że Federico nie żywi do niego żadnej urazy z powodu tego, iż ojciec chce powierzyć prowadzenie większości rodzinnych interesów jemu, a nie starszemu z braci. Federico w bankowości zanudziłby się na śmierć. Problem w tym, że Ezio miał przeczucie, iż z nim mogłoby stać się to samo. Lecz teraz, kiedy dzień, w którym przywdzieje czarny, aksamitny kostium i założy złoty łańcuch florenckiego bankiera, był jeszcze dość odległą perspektywą, postanowił w całej pełni korzystać z wolności i braku odpowiedzialności. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak szybko minie ten beztroski czas.

– Lepiej się pospieszmy – powiedział Federico – jeśli chcemy uniknąć zrugania.

– Tak, ojciec mógłby się martwić.

– Nie. Wie, że potrafimy o siebie zadbać – Federico spojrział na Ezia wzrokiem, którym dał mu do zrozumienia, że coś chodzi mu po głowie. – Ale lepiej ruszajmy.

Zatrzymał się na chwilę, po czym dodał:

– Nie masz może ochoty na mały zakład? Jakiś wyścig?

– Dokąd?

– Powiedzmy... – Federico spojrział na rozświetlone blaskiem księżyca miasto i zatrzymał wzrok na jednej z pobliskich wieży. – Powiedzmy, że na dach kościoła Santa Trinita. Jeśli oczywiście masz siłę. W dodatku to niedaleko domu. Z jednym tylko zastrzeżeniem.

– Tak?

– Będziemy się ścigać nie ulicami, lecz po dachach.

Ezio wziął głęboki oddech.

– W porządku. No to już – powiedział.

– Dobra, mały *tartarugo* – start!

Nie mówiąc już nic więcej, Federico ruszył z miejsca i ze zwinnością

jaszczurki wspiał się na pobliską otynkowaną ścianę. Na jej szczycie zatrzymał się na chwilę i wydawało się, że stanąwszy pomiędzy czerwonymi, zaokrąglonymi dachówkami, traci równowagę, ale roześmiał się tylko i ruszył dalej. Zanim Ezio wdrapał się na dach, jego brat był jakieś 20 kroków przed nim. Rzucił się więc w pościg, a wspomnienie niedawnego bólu zmył wywołany nową podniecią zalew adrenaliny. Zobaczył Federica, jak ten daje potężnego susa przez ciemną jak smoła przerwę między budynkami i ląduje miękko na płaskim dachu jednego z szarych *palazzo*, nieco poniżej poziomu, z którego się wybił. Federico podbiegł potem jeszcze kawałek dalej, po czym zatrzymał się w oczekiwaniu. Ezio poczuł dreszcz strachu, gdy u jego stóp otwarła się zakończona ulicą ośmiopiętrowa przepaść, wiedział jednak, że raczej się zabije niż zawaha na oczach swojego brata. Zebrał się więc na odwagę, zaufał sobie i oddał długi skok wiary; szybując między budynkami widział twarde, granitowe kocie łby, przesuwające się w poświacie księżycy pod jego młócającymi powietrze stopami. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy dobrze wszystko obliczył – szara ściana *palazzo* wydawała się niebezpiecznie wyrastać, zbliżając się ku niemu, lecz chwilę później usunęła się w dół, a on był już na kolejnym dachu; zachwiał się nieco, to prawda, ale zdołał się utrzymać na nogach, uszczęśliwiony, choć zdyszany.

– Braciszek musi się jeszcze sporo nauczyć – zadrwił Federico, znów ruszając przed siebie, jak cień buszujący między kominami na tle nocnego, prawie bezchmurnego nieba.

Ezio rzucił się naprzód i zatracił się w dzikości chwili. Otwierały się pod nim kolejne przepaście, niektóre nad wąskimi przecznicami, inne – nad szerokimi arteriami. Nigdzie nie widział Federica.

Nagle, na horyzoncie, wyrosła przed nim wieża kościoła Santa Trinita, wznosząca się nad czerwoną płaszczyznę łagodnie opadającego dachu świątyni. Gdy zbliżał się do niej, uświadomił sobie, że kościół stoi na środku placu i że odległość dzieląca dach świątyni od dachów sąsiednich budynków

jest o wiele większa od tych, które do tej pory przeskakiwał. Postanowił, że teraz nie będzie się już wahał ani niepotrzebnie wytracał szybkości – jedyną nadzieją było to, że dach kościoła znajdował się niżej, niż ten, z którego musiał oddać skok. Jeśli rzuci się w przód z wystarczającym impetem i zdoła się mocno wybić w powietrze, reszty dokona grawitacja. Przez jedną, może dwie sekundy będzie leciał jak ptak. Ezio wyrugował z myśli wszelkie konsekwencje ewentualnego niepowodzenia.

Krawędź dachu, po którym biegł, bardzo szybko się do niego zbliżyła, chwilę później był już w powietrzu. Poszybował w górę słysząc w uszach gwizd powietrza, którego pęd wycisnął mu z oczu łzy. Dach kościoła zdawał się znajdować nieskończenie daleko – nigdy go nie dosięgnie, nigdy nie będzie się już śmiał, walczył, trzymał w ramionach kobiety... Nie mógł oddychać. Zamknął tylko oczy i...

Jego ciało zgięło się wpół, próbował złapać równowagę rękami i nogami, na szczęście te w końcu poczuły pod sobą oparcie – zrobił to! Znalazł się co prawda o włos od krawędzi dachu, ale zrobił to – wylądował na dachu kościoła!

Ale gdzie był Federico? Ezio wspiął się na podstawę wieży i odwróciwszy się, spojrział w kierunku, skąd przybył, w samą porę, by zobaczyć, jak jego brat szybuje właśnie w powietrzu. Federico wylądował w pewny sposób, choć jedna czy dwie dachówki poruszyły się pod nim i mało nie stracił równowagi, gdy ześlizgnęły się po dachu, rozbijając się kilka sekund później o bruk ulicy daleko w dole. Odzyskał ją jednak i stanął wyprostowany, dysząc z wysiłku, ale z szerokim, pełnym dumy uśmiechem na twarzy.

– No, może i nie jesteś znów taką *tartarugą* – powiedział, podchodząc do Ezia i klepiąc go po ramieniu. – Minąłeś mnie jak błyskawica.

– Nawet tego nie spostrzegłem – powiedział krótko Ezio, usiłując złapać oddech.

– Dobra, ale we wspinaczce na wieżę mnie nie pokonasz – odrzekł Federico.

Odsunął Ezia na bok i zaczął wdrapywać się na przysadzistą budowlę, którą ojcowie miasta planowali zastąpić czymś o nowocześniejszej architekturze. Tym razem Federico był pierwszy; musiał nawet podać rękę zranionemu bratu, który powoli skłaniał się ku myśli, że nie od rzeczy byłoby pójść w końcu do łóżka.

Żaden z nich nie mógł złapać tchu i przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na swoje miasto, pogodne i spokojne w perłowych barwach brzasku.

– Mamy udane życie, mój bracie – powiedział Federico z nietypową dla siebie podniosłością.

– Najlepsze z możliwych – zgodził się Ezio. – I niech nigdy się to nie zmieni.

Zamilkli – żaden z nich nie chciał, by prysł czar tej chwili – ale po krótkim czasie Federico odezwał się cicho:

– Żeby i nas nic nie zmieniło, *fratellino*. Chodź, musimy już wracać. Tam widać dach naszego *palazzo*. Mam nadzieję, że ojciec nie spędził całej nocy czekając na nas, bo inaczej nieźle się nam oberwie. Chodźmy!

Ruszył w kierunku krawędzi wieży, by zejść po niej na dach, ale zatrzymał się widząc, że Ezio pozostał na miejscu.

– O co chodzi?

– Poczekaj chwilę.

– Na co patrzysz? – zapytał Federico, dołączając do Ezia.

Powiódł wzrokiem tam, gdzie spoglądał Ezio i od razu na jego twarzy zawitał uśmiech.

– Ty szczywany lisie! Nie myślisz chyba, żeby tam pójść? Daj pospać tej biednej dziewczynie!

– Nie... Zresztą Cristina i tak pewnie już wstała.

Ezio poznał Cristinę Calfucci całkiem niedawno, ale już teraz wydawało się, że nic ich nie rozłączy, choć ich rodzice byli zdania, że są zbyt młodzi, by stworzyć poważny związek. Ezio się z tym nie zgadzał, ale Cristina miała zaledwie siedemnaście lat, a jej rodzice, zanim w ogóle zechcieliby spojrzeć

na jej adoratora życzliwszym okiem, oczekiwali, by powściągnął swoje dzikie zwyczaje. Rzecz jasna, to tylko wzmogło jego impulsywność.

Federico i Ezio oddawali się lenistwu na rynku – zakupili właśnie kilka świecidełek z okazji święta patrona swojej siostry i wodzili wzrokiem za pięknymi dziewczynami z miasta, jak wraz ze swoimi *accompagnatrice* przemykały od jednego do drugiego straganu, przyglądając się dokładnie to koronkom, to wstążkom, to belom jedwabiu. Jedna z nich wyraźnie odstawała od reszty towarzyszek – miała w sobie więcej piękna i wdzięku niż jakakolwiek inna dziewczyna spośród tych, które Ezio dotychczas widział. Nigdy nie zapomniał owego dnia, dnia, kiedy jego oczy ujrzały ją po raz pierwszy.

– Spójrz – westchnął mimowolnie do Federica. – Jest taka piękna!

– Dlaczego więc nie podejdziesz i się z nią nie przywitasz? – zaproponował jego praktyczny jak zawsze brat.

– Co? – Ezio był w szoku. – A jak już się z nią przywitam, to co potem?

– Spróbuj z nią porozmawiać. Powiedz, co kupiłeś, zapytaj, co ona kupiła... To bez znaczenia. Bo widzisz, mój mały braciszku, większość mężczyzn tak bardzo obawia się pięknych kobiet, że ci, którzy zdobywają się na odwagę i ucinają sobie z nimi pogawędkę, zyskują natychmiastową przewagę. Myślisz, że piękne kobiety nie chcą, by ktoś je dostrzegł? Myślisz, że nie chcą rozerwać się trochę, rozmawiając z mężczyzną? Oczywiście, że chcą! W dodatku brzydki nie jesteś, no i jesteś Auditore. Więc śmiało – ja tymczasem zajmę się jej przyzwoitką. Ona też, jeśli się jej dobrze przyjrzyć, jest niczego sobie.

Ezio pamiętał, jak pozostawszy sam na sam z Cristiną, stanął, jakby mu nogi wrosły w ziemię; zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, upojony pięknem jej ciemnych oczu, jej długimi, kasztanowymi włosami, jej delikatnie zadartym nosem...

Spojrzała na niego.

– O co chodzi?

– To znaczy? – wydusił z siebie.

– Dlaczego tu stoisz?

– Bo... bo chciałem cię o coś zapytać.

– O cóż takiego?

– Jak masz na imię?

Przewróciła oczami. „Cholera – pomyślał Ezio – pewnie słyszy to już któryś raz z rzędu”.

– Nieważne, do niczego ci się ono nie przyda – odparła i ruszyła przed siebie.

Ezio patrzył za nią przez chwilę, po czym rzucił się w jej kierunku.

– Poczekaj! – zawołał, doganiając ją i dysząc bardziej niż po przebiegnięciu mili. – Nie przygotowałem się. Chciałem być czarujący. Uprzejmy. Dowcipny. Daj mi jeszcze jedną szansę!

Spojrzała do tyłu nie zwalniając swojego zdecydowanego kroku, ale na jej ustach zawitał bardzo niewyraźny ślad uśmiechu. Ezio był zrozpaczony. Federico, który widział to wszystko, powiedział łagodnym głosem:

– Nie poddawaj się! Widziałem jak się do ciebie uśmiechnęła. Zapamiętała cię!

To podniosło Ezia na duchu. Udał się za nią, przemykając dyskretnie wzdłuż stoisk i starając się, by go nie zauważyła. Trzy, może cztery razy musiał chować się za któryś ze straganów, a potem, gdy opuściła już plac targowy, dać nura w drzwi jednej z mijanych kamienic, ale koniec końców udało mu się dojść za nią praktycznie do wejścia do jej rodzinnej rezydencji, przy której jakiś mężczyzna zagroził jej drogę. Ezio cofnął się.

Cristina popatrzyła na mężczyznę ze złością.

– Mówiłam ci już, Vieri, że mnie nie interesujesz. A teraz mnie przepuść.

Ezio, stojąc w ukryciu, wstrzymał oddech. Vieri Pazzi! No jasne!

– Ale *signorina*, sęk w tym, że ja jestem zainteresowany tobą. I to bardzo – powiedział Vieri.

– Więc ustaw się w kolejce.

Usiłowała go wyminąć, ale on stanął przed nią.

– To akurat chyba sobie odpuszczę, *amore mio*. Doszedłem do wniosku, że

męczy mnie już czekanie, byś z własnej woli rozłożyła przede mną nogi.

Chwycił ją brutalnie za rękę, przyciągnął do siebie i objął ramieniem, gdy tymczasem dziewczyna usiłowała się wyrwać.

– Nie jestem pewien, czy wszystko do ciebie dotarło – powiedział Ezio, który nagle wyszedł z ukrycia i spojrzał Vieriemu prosto w oczy.

– O, szczeniaku Auditore. *Cane rognoso!* Co cię to, do cholery, obchodzi! Do diabła z tobą!

– Ach, *buon' giorno, buon' giorno*, Vieri. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam nieodparte wrażenie, że psujesz tej młodej damie dzień.

– Doprawdy? Wybacz, najdroższa, skopię tylko temu parweniuszowi tyłek.

Mówiąc to, Vieri odepchnął na bok Cristinę i rzucił się na Ezia z zaciśniętą prawą pięścią. Ezio z łatwością odparł atak, usuwając się na bok i podstawiając nogę Vieriemu, który z impetem wyłożył się na bruku, wzbijając obłok kurzu.

– Może ci już wystarczy, przyjacielu? – zapytał kpiąco Ezio.

Lecz Vieri zerwał się błyskawicznie na nogi i z wściekłością natarł na Ezia, młóćąc pięściami powietrze. Udało mu się wpakować jedną z nich w szczękę Ezia, lecz ten zdążył uchylić się przed nadciągającym lewym sierpowym i sam zadał dwa ciosy – jeden w brzuch, a potem, gdy Vieri zgiął się wół, w szczękę. Potem odwrócił się do Cristiny, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Dysząc ciężko, Vieri wycofał się na chwilę, ale jego dłoń pomknęła ku rękojęści sztyletu. Cristina zauważyła ten ruch; gdy Vieri rzucił się na Ezia, chcąc zatopić w jego plecach ostrze, wydała z siebie mimowolny, alarmujący okrzyk. Słyszając go, Ezio odwrócił się w mgnieniu oka i mocno złapał Vieriego za nadgarstek, pozbawiając go sztyletu, który z brzękiem upadł na bruk. Dwaj młodzieńcy stali twarzą w twarz, ciężko dysząc.

– To wszystko, na co cię stać? – zapytał Ezio przez zaciśnięte w szyderczym uśmiechu zęby.

– Zamknij się, albo – jak Boga kocham – zabiję!

Ezio roześmiał się.

– Z drugiej strony nie powinienem się dziwić, widząc, jak narzucasz się ładnej dziewczynie, która wyraźnie ma cię za skończonego dupka – w końcu twój ojciec też chce narzucić swój bankowy interes Florencji.

– Głupcze! To twój ojciec potrzebuje lekcji pokory!

– Najwyższy czas byście wy, Pazzi, przestali rzucać na nas oszczerstwa. Choć z drugiej strony, mocni jesteście tylko w gębie.

Warga Vieriego dość mocno krwawiła. Wytarł ją rękawem.

– Zapłacisz mi za to. Ty i cała twoja rodzina. Nie zapomnę ci tego, Auditore!

Splunął pod nogi Ezia, schylił się, by podnieść sztylet i odbiegł. Ezio stał przez chwilę i patrzył, jak znika.

Przypomniał sobie to wszystko, gdy stał na dachu kościoła i spoglądał w dal, na dom Cristiny. Przypomniał sobie, jak wielka ogarnęła go radość, gdy odwróciwszy się do Cristiny, dostrzegł w jej oczach ciepło, którym wcześniej nie chciała go obdarzyć.

– Wszystko w porządku, *signorina*? – zapytał.

– Teraz już tak, dzięki tobie...

Zawahała się, po czym dodała głosem wciąż drżącym ze strachu:

– Pytałeś o moje imię – nazywam się Cristina. Crisitna Calfucci.

Ezio skłonił się przed nią.

– Jestem zaszczycony, że mogłem cię poznać, *signorina*. Ezio Auditore.

– Znasz tego mężczyznę?

– Vieriego? Nasze drogi już nie raz zdążyły się przeciąć. Tyle że nasze rodziny nie mają zbyt wielu powodów do wzajemnej sympatii.

– Nie chcę już nigdy go widzieć.

– Jeśli tylko będzie to ode mnie zależało, nie zobaczysz.

Uśmiechnęła się nieśmiało, po czym rzekła:

– Ezio, jestem ci naprawdę wdzięczna, dlatego chcę ci dać drugą szansę, po tej kiepskiej pierwszej odsłonie.

Roześmiała się cicho, pocałowała Ezia w policzek i zniknęła w drzwiach

swojego domu.

Niewielkie zbiegowisko, które zawsze powstawało przy tego typu zajściach, nagrodziło Ezia gromkimi oklaskami. Ten skłonił się nisko z uśmiechem na ustach, ale gdy się odwrócił, by odejść, zdał sobie sprawę, że może i zyskał nową znajomość, ale uczynił też sobie nieprzejednanego wroga.

– Pozwól Cristinie pospać – powiedział znowu Federico, usiłując wyrwać Ezia z zadumy.

– Będzie miała na to czas później – odpowiedział Ezio. – Muszę ją zobaczyć.

– No dobrze, skoro musisz – spróbuję cię jakoś wytłumaczyć przed ojcem. Ale uważaj na siebie – ludzie Vieriego wciąż mogą się kręcić po okolicy.

Federico zszedł z wieży na dach, potem zeskoczył z niego na wóz z sianem, stojący na ulicy prowadzącej do domu.

Ezio patrzył, co robi brat, i postanowił, że zrobi to samo. Wóz z sianem znajdował się co prawda daleko w dole, ale przypomniał sobie, czego go uczono: uspokoił oddech, wyciszył się i skoncentrował.

Chwilę potem był już w powietrzu, w najdłuższym skoku swojego życia. Przez krótki moment wydało mu się, że źle ocenił odległość do celu, ale zapanował nad swoją chwilową paniką i wylądował bezpiecznie w sianie. Prawdziwy skok wiary! Lekko zdyszany, Ezio zszedł z wozu na ulicę.

Zza wschodnich wzgórz zaczęło wyzierać słońce, ale ulice miasta wciąż były puste. Ezio zamierzał już wyruszyć w kierunku domu Cristiny, gdy usłyszał echo zbliżających się kroków. Szybko rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby się ukryć, po czym zanurkował w ciemnościach przedsionka pobliskiego kościoła i wstrzymał oddech. Zza rogu wyszedł nie kto inny, jak Vieri w towarzystwie dwóch mężczyzn z bandy Pazzich.

– Lepiej dajmy sobie spokój, szefie – powiedział starszy z nich. – Na pewno dawno już sobie poszli.

– Wiem, że gdzieś tu są! – warknął Vieri. – Prawie czuję ich zapach!

Wraz z towarzyszami obeszli dookoła plac, na którym znajdował się kościół, i wyglądało na to, że nie mają zamiaru go opuścić. Wschodzące słońce stopniowo skracало cienie. Ezio ostrożnie wpełzł z powrotem pod siano i leżał w nim przez czas, który zdał mu się wiekiem – tak bardzo chciał już iść. W pewnej chwili Vieri przeszedł tak blisko, że tym razem to Ezio mógł poczuć jego zapach, na szczęście w końcu przywołał swoich ludzi pełnym złości gestem, po czym odeszli. Ezio leżał jeszcze przez chwilę, potem wyszedł i odetchnął z ulgą. Strzepnął z siebie kurz i szybko przebył odległość, jaka dzieliła go od domu Cristiny, modląc się, by nikt się tam jeszcze nie krzątał.

W rezydencji wciąż panowała cisza, choć Ezio przypuszczał, że służący rozniecają już w kuchni ogień. Wiedział za którym oknem znajduje się pokój Cristiny i rzucił w jego okiennice garścią żwiru. Hałas wydał mu się ogłuszający. Serce podeszło mu do gardła. Czekał. Potem okiennice otworzyły się, a na balkonie pojawiła się ona. Przez nocną koszulę przebijały doskonałe kształty jej ciała. Ezio patrzył na nią, rozpalony gwałtownym pożądaniem.

– Kto tam? – zapytała łagodnym głosem.

Cofnął się, by mogła go zobaczyć.

– To ja!

Cristina westchnęła, choć nie było to westchnienie niezycliwe.

– Ezio! Mogłam się tego domyślać.

– Mogę do ciebie wyjść, *mia colomba*?

Obejrzała się do tyłu przez ramię, po czym wyszeptała:

– Dobrze. Ale tylko na minutkę.

– To wszystko, czego mi trzeba.

– Doprawdy? – uśmiechnęła się.

Ezio się zawstydział.

– Nie – wybacz – nie to miałem na myśli... Pozwól, pokażę ci...

Rozglądając się dokoła, by się upewnić, że ulice wciąż są puste, oparł stopę

na jednej z wielkich, żelaznych obręczy do przywiązywania koni, zamocowanej w szarym, kamiennym murze domu, i zaczął się wspinać, z łatwością odnajdując w rustykalnej kamieniarce oparcia dla rąk i stóp. W mgnieniu oka przeskoczył przez balustradę i chwycił Cristinę w ramiona.

– Och, Ezio – westchnęła po pocałunku. – Twoja głowa. Cóż robiłeś tym razem?

– To nic takiego. Ledwie draśnięcie – Ezio przerwał na chwilę, po czym uśmiechnął się. – Skoro tu już wyszedłem, to może wejść?

– Gdzie?

– Do twojej sypialni, oczywiście – odpowiedział z rozbijającą szczerością.

– Dobrze... Skoro uważasz, że minuta to wszystko, czego ci trzeba...

Przeszli w objęciach przez dwuskrzydłowe drzwi wiodące do oświetlonego ciepłym blaskiem pokoju Cristiny.

Godzinę później obudziły ich promienie słońca wpadające przez okna, zgiełk wozów i ludzi dobiegający z ulicy i co gorsza – głos ojca Cristiny, otwierającego drzwi do sypialni.

– Cristina – zawołał głośno – czas wstawać! Twój nauczyciel może zjawić się lada... A cóż to, do diaska? O, ty sukinsynu!

Ezio ucałował Cristinę krótko, lecz namiętnie.

– Czas na mnie, jak sądzę – powiedział, chwytając w biegu swoje ubranie i rzucając się do okna. Zszedł po ścianie i gdy zaczął się ubierać, na balkonie pojawił się Antonio Calfucci. Był siny z wściekłości.

– *Perdonate, messere* – wybąkał Ezio.

– Ja ci pokażę *perdonate, messere* – wrzasnął Calfucci. – Straże! Straże! Schwycić mi tego *cimice*! Chcę jego głowy! I jego *coglioni*!

– Powiedziałem, że przepraszam... – zaczął Ezio, ale właśnie otworzyły się drzwi do rezydencji, z których wypadli strażnicy Calfuccich z wyciągniętymi mieczami.

Ezio, z grubsza ubrany, rzucił się do ucieczki. Biegając ulicą, wymijał wozy i spychał z drogi przechodniów: bogatych przedsiębiorców w dostojnej

czerni, handlowców w brązach i szkarłatach, szarych obywateli w prostych tunikach. W pewnej chwili wpadł nawet w kościelną procesję, i to tak nagle, że mało nie przewrócił figury Maryi Dziewicy, niesionej przez mnichów w czarnych kapturach.

W końcu, po tym jak kilka razy dał nura w boczne uliczki i przeskoczył parę murów, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał już nawet krzyków i przekleństw, jakie słali pod jego adresem potrąceni przechodnie. Jeśli zaś chodzi o strażników, to z pewnością ich zgubił – nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Chciał tylko wierzyć, że Signor Calfucci go nie rozpoznał. Cristina go nie zdradzi, co to, to nie. Co więcej, mogła swojego ojca owinać dokoła palca – tak bardzo ją uwielbiał. A nawet jeśli dowiedziałby się, kto był w sypialni jego córki – pomyślał Ezio – nie powinien się martwić, że trafia się jej zła partia. Ojciec Ezia prowadził jeden z największych banków w mieście, który pewnego dnia mógł stać się większy od tego Pazzich, a nawet – kto wie? – Medicich.

Korzystając z bocznych uliczek dostał się do domu. Pierwszą osobą, którą tam spotkał, był Federico, który spojrzał na niego poważnie i złowieszczo pokiwał głową.

– No to się doigrałeś – powiedział. – Tylko mi nie mów, że cię nie ostrzegałem.

2

Gabinet Giovanniego Auditore mieścił się na pierwszym piętrze; przez jego dwuskrzydłowe okna, które wychodziły na jeden szeroki balkon, widać było ogrody na tyłach *palazzo*. Pomieszczenie wyłożono ciemnym dębem ze zwijanymi ornamentami, którego ciężki styl w pewnym stopniu tonowało bogato zdobione, tynkowane sklepienie. Stały tam naprzeciw siebie dwa biurka, z których większe należało do Giovanniego, a wzdłuż ścian ciągnęły się regały pełne ksiąg rachunkowych i postrzępionych na brzegach zwojów, z których zwisały ciężkie czerwone pieczęcie. Pomieszczenie było urządzone tak, by goszczącemu w nim interesantowi mówić: to tu skupia się wielkie bogactwo oraz powszechne poważanie i zaufanie. Jako właściciel Międzynarodowego Banku Auditorich, specjalizującego się w pożyczkach dla księstw Germanii, pozostających w obrębie tworu, który przynajmniej w teorii był Świętym Cesarstwem Rzymskim, Giovanni Auditore był w pełni świadom doniosłości i odpowiedzialności, jakie kryły się za piastowanym przezeń stanowiskiem. Miał też nadzieję, że jego dwaj starsi synowie wreszcie się opamiętają i pomogą mu dźwigać ciężar, odziedziczony z kolei po jego ojcu... Nic na to jednak nie wskazywało.

Teraz, zza swojego biurka, patrzył gniewnym wzrokiem na drugiego syna. Ezio stał przy mniejszym biurku, które przed chwilą zwolnił sekretarz Giovanniego, by ojciec i syn pozostali sami na czas bardzo przykrej – jak obawiał się Ezio – rozmowy. Było wczesne popołudnie. Od samego rana bał się tego spotkania z ojcem, choć zdołał się zdrzemnąć na parę godzin i doprowadzić się do porządku. Przypuszczał, że ojciec chciał przekazać mu część obowiązków, ale po tym wszystkim teraz na pewno zmyje mu głowę.

– Czy masz mnie za ślepego i głuchego, mój synu? – grzmiał Giovanni. – Myślisz, że nie słyszałem o twojej bójce z Vierim Pazzim i jego bandą zesłej

nocy przy moście? Czasami myślę, że wcale nie jesteś lepszy niż on...
W dodatku rodzina Pazzich sprzyja naszym niebezpiecznym wrogom.

Ezio chciał coś powiedzieć, ale ojciec powstrzymał go ostrzegawczym gestem.

– Pozwól łaskawie, że skończę!

Wziął głębszy oddech.

– Co więcej, jakby jeszcze tego wszystkiego było mało, zacząłeś się uganiać za Cristiną Calfucci, córką jednego z najznamienitszych kupców w całej Toskanii; oczywiście, nie wystarczyło ci to i wylądowałeś na koniec w jej łóżku! To niedopuszczalne! Czy za nic masz reputację naszej rodziny?
– tu przerwał, a Ezio ze zdziwieniem ujrzał lekki błysk w jego oku.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to wszystko znaczy? – ciągnął Giovanni. – Czy wiesz, kogo mi tym wszystkim przypominasz?

Ezio pochylił głowę, ale ku jego zaskoczeniu ojciec wstał zza biurka, przeszedł przez gabinet i gdy znalazł się przy nim, objął go ramieniem i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ty mały diable! Przypominasz mnie samego, gdy byłem w twoim wieku!
W jednej chwili Giovanni znów przybrał poważny wyraz twarzy.

– Nie myśl jednak sobie, że nie spotkałaby cię surowa kara, gdyby nie to, że pilnie potrzebuję twojej pomocy. W przeciwnym wypadku – i zapamiętaj sobie dobrze moje słowa! – wysłałbym cię do wuja Mario, żeby zrobił z ciebie jednego ze swoich *condotieri*. To by ci z pewnością przywróciło trochę rozsądku! Tyle że ja muszę na was liczyć, bo choć najwyraźniej nie macie na tyle rozumu, by to spostrzec, nasze miasto przechodzi właśnie decydujący okres. A jak twoja głowa? Widzę, że zdjąłeś już opatrunek...

– O wiele lepiej, ojczu.

– Domyślam się więc, że nic ci nie stanie na przeszkodzie w wykonaniu zadania, które dziś dla ciebie przygotowałem?

– Nie, ojczu, obiecuję.

– Lepiej, żebyś dotrzymał tej obietnicy.

Giovanni powrócił za swoje biurko i z jednej z przegródek wyciągnął list ze swoją pieczęcią i podał go synowi, razem z dwoma zwojami dokumentów w skórzanej torbie.

– Chciałbym, byś niezwłocznie dostarczył te papiery Lorenzowi Mediciemu w jego banku.

– Czy mógłbym zapytać, czego dotyczą, ojczy?

– Jeśli chodzi o dokumenty, to nie. Z drugiej strony, dobrze by było, żebyś wiedział, iż list informuje Lorenza o bieżącym stanie naszych transakcji z Mediolanem. Pisałem go przez cały dzisiejszy poranek. To, co teraz powiem, nie powinno opuścić tych ścian, ale jeśli nie obdarzę cię zaufaniem, nigdy nie nauczysz się odpowiedzialności. Krążą plotki o spisku przeciwko księciu Galeazzo – koszmarny typ, to prawda – ale Florencja nie może sobie teraz pozwolić na destabilizację Mediolanu.

– Kto jest w to zamieszany?

Giovanni spojrzał badawczo na syna.

– Mówią, że główni spiskowcy to Giovanni Lampugnani, Gerolamo Olgiati i Carlo Visconti; wygląda jednak na to, że również i nasz drogi Francesco Pazzi macza w tym palce. Co więcej, dochodzą mnie słuchy o planie, który obejmuje kogoś więcej, niż tylko polityków tych dwóch miast-państw. Nasz gonfalonier przymknął na chwilę Francesca, ale Pazzim na pewno się to nie spodoba... – Giovanni przerwał. – No dobrze. I tak już powiedziałem ci za dużo. Teraz dopilnuj, by to wszystko szybko dotarło do Lorenza – podobno wyjeżdża do Careggi, by łyknąć trochę wiejskiego powietrza, a gdy kota nie ma...

– Zaniosę te dokumenty tak szybko, jak potrafię.

– Dobry chłopak. Idź już!

Ezio wyruszył, samotnie, korzystając, gdy tylko się dało, z bocznych uliczek, nie myśląc nawet o tym, że Vieri wciąż może być gdzieś w pobliżu i go szukać. Nagle ujrzał go, stojącego w jednej z cichych uliczek, kilka minut drogi od Banku Medicich, i zagrządzającego mu przejście. Ezio

zawrócił, lecz wtedy okazało się, że inni ludzie Vieriego blokują mu odwrót. Obrócił się więc znowu.

– Wybacz, mój mały prosiaku – krzyknął w stronę Vieriego – ale po prostu nie mam czasu po raz kolejny łoić ci skóry.

– To nie moja skóra zostanie złojona! – odkrzyknął Vieri. – Chodzi o twoją! Ale nie martw się! Wyślę ci na pogrzeb piękny wieniec.

Ludzie Pazziego zacieśniali obławę. Bez wątpienia Vieri wiedział już o uwięzieniu swojego ojca. Ezio rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Ze wszystkich stron otaczały go wysokie budynki i mury. Przewieszając torbę z cennymi dokumentami bezpiecznie przez ramię, Ezio wybrał najwygodniejszy do wspinaczki dom, jaki znajdował się w jego zasięgu. Wskoczył na ścianę i chwytając się obiema rękami grubo ciosanych kamieni, wspiął się na dach. Gdy już się tam znalazł, zatrzymał się na chwilę i spojrział w dół, na wściekłą twarz Vieriego.

– Wiesz co, nie mam nawet czasu, by się na ciebie odlać – powiedział i pobiegł wzdłuż dachu tak szybko, jak tylko potrafił, po czym, uwolniwszy się od swoich prześladowców, zeskoczył na ziemię ze zwinnością, której się tak niedawno nauczył.

Kilka chwil później stał już przed drzwiami banku. Wszedł do środka i od razu spostrzegł Boetia, jednego z najbardziej zaufanych sług Lorenza. Miał szczęście. Natychmiast skierował ku niemu swe kroki.

– Witaj, Ezio! Cóż sprowadza cię do nas w takim pośpiechu?

– Witaj, Boetio! Posłuchaj, nie ma czasu do stracenia. Mam tu listy od mojego ojca dla Lorenza.

Boetio zasępił się i rozłożył ręce.

– *Ahimè!* Spóźniłeś się, Ezio. Lorenzo wyjechał właśnie do Careggi.

– W takim razie to ty musisz zadbać o to, by dostał to jak najszybciej.

– Jestem pewien, że nie wyjechał na dłużej niż dzień bądź dwa.

W dzisiejszych czasach...

– Zaczynam się właśnie dowiadywać sporo ciekawych rzeczy

o dzisiejszych czasach! Boetio, twoja w tym głowa, by Lorenzo otrzymał te papiery, i to w ścisłej tajemnicy. Tak szybko, jak to tylko możliwe!

Po powrocie do swojego *palazzo*, Ezio skierował się od razu do gabinetu ojca, ignorując zaczepki Federica, wylegującego się pod drzewem w ogrodzie, oraz wysiłki sekretarza, Giulia, który usiłował powstrzymać go przed otwarciem zamkniętych drzwi azylu Giovanniego. Gdy już się za nimi znalazł, zobaczył ojca pochłoniętego rozmową z najwyższym sędzią Florencji, gonfalonierem Ubertem Albertim. Nie zdziwiło go to – obaj mężczyźni byli dobrymi przyjaciółmi, a Ezio traktował Alberta jak wuja. Zauważył jednak, że ich twarze są nad wyraz poważne.

– Ezio, mój chłopcze! – odezwał się serdecznie Uberto. – Jak się miewasz? Widzę, żeś zdyszany, jak zwykle!

Ezio spojrzał pośpiesznie na ojca.

– Próbuję uspokoić twojego ojca – ciągnął Uberto. – Wiesz, mieliśmy sporo kłopotów, ale... – tu odwrócił się do Giovanniego i dokończył bardziej poważnym tonem – ...zagrożenie minęło.

– Doręczyłeś dokumenty? – spytał lakonicznie Giovanni.

– Tak, ojczu. Tyle że ksiązę Lorenzo zdążył przedtem wyjechać.

Giovanni spochmurniał.

– Nie spodziewałem się, że wyjedzie tak szybko.

– Przekazałem dokumenty Boetiemu – oznajmił Ezio. – Ma je doręczyć tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Może się okazać, że i tak będzie za późno – powiedział ponuro Giovanni.

Uberto poklepał go po ramieniu.

– Spokojnie – powiedział – to najwyżej dzień lub dwa. Trzymamy Francesca pod kluczem. Cóż może się zdarzyć w tak krótkim czasie?

Giovanni chyba trochę się uspokoił, ale było jasne, że mężczyźni mają jeszcze sporo do omówienia i że obecność Ezia nie jest im na rękę.

– Idź i poszukaj swojej matki i siostry – nakazał Giovanni. – Powinieneś spędzać trochę czasu z resztą swojej rodziny, nie tylko z Federikiem. I daj

odpocząć swojej głowie – będę cię później potrzebował.

Odprawił Ezia gestem dłoni.

Ezio przechadzał się po domu. Skinieniem głowy pozdrowił kilku służących i Giulia, który skądś wracał i spieszył do gabinetu z pękiem papierów w dłoni, sprawiając wrażenie przytłoczonego myślami o interesach, kłębiącymi się w jego głowie. Ezio pomachał bratu, wciąż odpoczywającemu w ogrodzie, ale jakoś nie odczuł potrzeby, by do niego dołączyć. Poza tym, miał dotrzymywać towarzystwa matce i siostrze, a nieposłuszeństwo względem ojca, szczególnie po ich niedawnej rozmowie, nie było najlepszym pomysłem.

Siostra siedziała samotnie w loggii, ze sfatygowaną książką z wierszami Petrarki. „Wszystko jasne – pomyślał Ezio. – Jest zakochana”.

– *Ciao*, Claudia – powiedział.

– *Ciao*, Ezio. Gdzie się podziewałeś?

Ezio rozłożył ręce.

– Załatwiałem coś dla ojca.

– Chyba nie tylko, z tego co wiem – odparła, ale jej uśmiech był niewyraźny i mimowolny.

– Gdzie matka?

Claudia westchnęła.

– Poszła spotkać się z tym młodym malarzem, o którym teraz wszyscy mówią. Wiesz, tym, który właśnie zakończył swoje nauki u Verrocchia.

– Doprawdy?

– Czy ty naprawdę w ogóle nie zwracasz uwagi na to, co dzieje się w tym domu? Matka zamówiła u niego kilka malowideł. Uważa, że mogą okazać się dobrą inwestycją.

– Oto i cała mama!

Claudia nie odpowiedziała, a Ezio zdał sobie w końcu sprawę ze smutku, jaki malował się na jej twarzy. Sprawiał, że wyglądała na o wiele starszą niż jej szesnaście lat.

– O co chodzi, *sorellina*? – zapytał, siadając obok niej na kamiennej ławce. Westchnęła i spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

– Duccio – powiedziała w końcu.

– Co z nim?

Jej oczy napełniły się łzami.

– Dowiedziałam się, że nie jest mi wierny.

Ezio zmarszczył brwi. Duccio był już praktycznie zaręczony z Claudią, mimo że jak dotąd nie było żadnego oficjalnego potwierdzenia...

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał, obejmując ją.

– Dziewczyny – otarła łzy i spojrzała na brata. – Myślałam, że są moimi przyjaciółkami, ale zdało mi się, że cieszyły się, donosząc mi o tym.

Ezio zerwał się wzburzony.

– Są niewiele lepsze od harpii! Lepiej wyjdiesz nie zadając się już z nimi.

– Ale ja go kochałam.

Ezio odczekał chwilkę zanim zapytał:

– Jesteś pewna? Może tylko ci się tak wydawało. Jak czujesz się teraz?

Oczy Claudii zdążyły już wyschnąć.

– Chciałabym zobaczyć, jak cierpi, choćby odrobinę. On naprawdę mnie zranił, Ezio.

Ezio spojrzał na swoją siostrę, spojrzał w jej smutne oczy, smutne, lecz przepełnione gniewem. Jego serce ścisnął ból.

– Wydaje mi się, że złożę mu wizytę.

Duccia Doviziego nie było w domu, ale jego gosposia powiedziała Eziowi, gdzie go szukać. Ezio przeszedł przez Ponte Vecchio, a potem udał się na zachód, wzdłuż południowego nabrzeża Arno, w kierunku kościoła San Jacopo sopr'Arno. W jego pobliżu znajdowało się kilka ustronnych ogrodów, w których zakochani od czasu do czasu umawiali się na schadzki. Ezio, któremu z powodu siostry krew aż gotowała się w żyłach i który potrzebował twardszych dowodów niewierności Duccia niż same plotki, zaczął podejrzewać, że wkrótce je zdobędzie.

I rzeczywiście – chwilę później ujrzał młodego, wykwintnie odzianego blondyna, który siedział na ławce z widokiem na rzekę i obejmował czarnowłosą dziewczynę, której Ezio sobie nie przypominał. Zaczął ostrożnie podążać w ich kierunku.

– Kochanie, jest piękny – powiedziała dziewczyna, trzymając swoją dłoń.

Ezio zobaczył błysk pierścionka z diamentem.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze, *amore* – zamruczał Duccio, przyciągając ją do siebie, by ją pocałować.

Dziewczyna lekko go odepchnęła.

– Nie tak szybko. Nie możesz mnie ot tak – kupić. Nie widzieliśmy się tak długo... Słyszałam, że oświadczyłeś się Claudii Auditore.

Duccio splunął.

– To już koniec. Ojciec twierdzi, że stać mnie na kogoś lepszego niż dziewczyna z rodziny Auditorich – chwycił ją za pośladek. – Na przykład na ciebie!

– *Birbante!* Chodźmy się przejść.

– Przychodzi mi na myśl coś, co może nam sprawić o wiele więcej uciechy – odparł Duccio, wkładając jej między nogi swoją dłoń.

Dla Ezia tego było już za wiele.

– Hej, *lurido porco!* – krzyknął wściekły.

Duccio był kompletnie zaskoczony; odwrócił się, uwalniając dziewczynę z uścisku.

– Witaj Ezio, przyjacielu! – odkrzyknął, ale w jego głosie dało się wyczuć zdenerwowanie: co widział Ezio? – Wydaje mi się, że nie znasz jeszcze mojej... kuzynki...

Ezio, rozjuszony tym, co zobaczył, podszedł do Duccia i wpakował mu pięść prosto w twarz.

– Duccio, powinieneś się wstydzić! Obrażasz moją siostrę, paradując z tą... z tą... *puttaną!*

– Kogo nazywasz *puttaną*?! – warknęła dziewczyna, ale od razu zerwała

się na nogi i wycofała.

– Powinienem był wiedzieć, że nawet ktoś taki jak ty będzie miał więcej rozsądku niż ten dupek! – rzucił jej Ezio. – Naprawdę myślisz, że on zrobi z ciebie damę?

– Nie odzywaj się do niej w ten sposób! – syknął Duccio. – Ona przynajmniej jest hojniejsza w swoich wdziękach niż twoja świętoszkowata siostrunia, której cipka jest pewnie sucha jak u zakonnicy! Trudno, mogłem ją nauczyć kilku nowych rzeczy. Tymczasem...

Ezio przerwał mu chłodno:

– Złamałeś jej serce, Duccio...

– Naprawdę? Jaka szkoda!

– ...więc ja złamię ci rękę.

Dziewczyna, słysząc to, pisnęła i uciekła. Ezio chwycił skomlącego Duccia i siłą umieścił jego prawą, pysznie odzianą rękę na krawędzi kamiennej ławki, na której jeszcze przed chwilą amant siedział ze wzwodem.

Docisnął przedramię do kamienia, aż zawodzenie Duccia zmieniło się w płacz.

– Przestań, Ezio! Błagam cię! Jestem jedynym synem swojego ojca!

Ezio spojrział na niego z pogardą i wypuścił. Duccio upadł na ziemię i zaczął się turlać z boku na bok, trzymając się za zranioną rękę i skowycząc z bólu. Jego wspaniały strój był już brudny i postrzępiony.

– Nie jesteś wart mego wysiłku – powiedział do niego Ezio. – Ale jeśli nie chcesz, bym zmienił swoje zamiary co do twojej ręki, trzymaj się z dala od Claudii. Ode mnie również.

Po całym zajściu Ezio udał się do domu okrężną drogą, przechadzając się wzdłuż nabrzeża, aż prawie doszedł do pól. Kiedy zawrócił, cienie z minuty na minutę stawały się coraz dłuższe, ale jego myśli wyraźnie się uspokoiły. Nigdy nie stanie się prawdziwym mężczyzną, mówił sobie w duchu, jeśli pozwoli, by kiedykolwiek gniew zapanował całkowicie nad jego wolą.

W pobliżu domu zauważył swojego młodszego brata, którego nie widział

od ranka poprzedniego dnia. Przywitał go ciepło.

– *Ciao*, Petruccio. Co u ciebie? Czyżbyś zwił swojemu nauczycielowi?
A tak w ogóle, to czy nie minęła już twoja pora pójścia do łóżka?

– Nie wygłupiaj się, jestem już prawie dorosły. Zobaczysz, za kilka lat dam ci niezły wycisk!

Bracia uśmiechnęli się do siebie. Petruccio trzymał przy piersi rzeźbione pudełko z drewna gruszy. Było otwarte i Ezio zobaczył w nim garść białych i brązowych piór.

– To pióra orła – wyjaśnił chłopiec i wskazał na szczyt wieży pobliskiego budynku. – Tam, na górze, jest stare gniazdo. Młode musiały się opierzyć i odlecieć. W murze pozostawiły jeszcze sporo piór – Petruccio spojrzał błagalnie na brata. – Ezio, mógłbyś mi jeszcze kilka przynieść?

– A na co ci one?

Petruccio spuścił wzrok.

– To tajemnica.

– Czy jeśli przyniosę ci te pióra, wrócisz do domu? Już późno.

– Tak.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Dobrze.

„Wyświadczyłem już przysługę Claudii – pomyślał Ezio – czemu więc nie miałbym wyświadczyć przysługi bratu?”.

Wspinaczka na wieżę była trudna – jej mur był gładki i Ezio musiał skupić uwagę na wyszukiwaniu zaczepów dla dłoni i stóp w łączeniach między kamieniami. W górnej części pomógł mu zdobiony gzyms. Ostatecznie wszystko zajęło mu pół godziny, ale za to udało mu się zdobyć piętnaście piór – wszystkie, jakie dostrzegł – i przekazać je Petrucciowi.

– Jedno opuściłeś – powiedział Petruccio, wskazując ku górze.

– Do łóżka! – warknął starszy brat.

Petruccio pierzchnął w okamgnieniu.

Ezio miał nadzieję, że matka będzie zadowolona z prezentu. W końcu nie tak trudno było odgadnąć tajemnice Petruccia.

Wchodząc do domu, uśmiechnął się sam do siebie.

3

Następnego dnia Ezio obudził się późno i gdy dowiedział się, że jego ojciec nie ma dla niego pilnych spraw do załatwienia, odetchnął z ulgą. Udał się do ogrodu, gdzie znalazł matkę nadzorującą prace przy swoich wiśniach, których kwiaty zaczynały już więdnąć. Uśmiechnęła się na jego widok i przywołała go skinieniem. Maria Auditore była wysoką, dostojną kobietą, w wieku nieco ponad czterdziestu lat, z długimi, czarnymi włosami, splecionymi pod białym muślinowym czepkiem z obwódką w rodowych kolorach: czerni i złota.

– Ezio! *Buon' giorno*.

– *Madre...*

– Jak się czujesz? Mam nadzieję, że już lepiej.

Delikatnie dotknęła rany na jego czole.

– Nic mi nie jest.

– Ojciec mówił, że powinieneś odpoczywać tak długo, jak tylko możesz.

– Nie potrzebuję odpoczynku, *mamma!*

– No cóż, dzisiejszy ranek na pewno oszczędzi ci mocnych wrażeń. Ojciec prosił, bym się tobą zaopiekowała. Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie.

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli.

– Tylko nie kręć, Ezio. Wiem o twojej bójce z Vierim.

– Rozgłaszał plugawe kłamstwa o naszej rodzinie. Nie mogłem pozwolić, by uszło mu to płazem.

– Vieri żyje w dużym napięciu od momentu aresztowania swojego ojca – matka przerwała, zamyślając się na chwilę. – Wiele rzeczy można było rzec o Francescu Pazzim, ale nigdy bym nie przypuszczała, że może być zamieszany w spisek na życie księcia.

– Co się z nim stanie?

– Będzie proces. Podejrzewam, że po powrocie księcia Lorenza, twój ojciec będzie w nim kluczowym świadkiem.

Ezio wyglądał na zaniepokojonego.

– Nie martw się, nie masz się czego obawiać. A ja nie mam zamiaru pytać cię o nic, czego nie chciałbyś mi powiedzieć. Tak naprawdę, to chciałabym, byś towarzyszył mi przy załatwianiu pewnej sprawy. Nie potrwa to długo; myślę nawet, że może ci to sprawić pewną przyjemność.

– Chętnie ci pomogę, *mamma*.

– Chodźmy więc. To niedaleko.

Opuścili pałac i trzymając się pod rękę, poszli w kierunku katedry, do niewielkiej dzielnicy, gdzie wielu florenckich artystów miało swoje warsztaty i pracownie. Niektóre z nich, takie jak te należące do Verrocchia lub do wschodzącej sławy, Alessandra di Mariano Filipepi, który zyskał już przydomek „Botticelli”, były przestronnymi, tętniącymi życiem pomieszczeniami, gdzie asystenci i praktykanci ucierali kolory i mieszały pigmenty. Inne zaś przedstawiały się znacznie skromniej. Właśnie przed drzwiami do jednego z tych ostatnich zatrzymała się Maria. Zapukała. Drzwi natychmiast otworzył przystojny, dobrze ubrany młodzieniec, można by rzec – wymuskany, gdyby nie jego atletyczna sylwetka, gęsta, ciemnobrązowa czupryna i bujna broda. Był jakieś sześć, siedem lat starszy od Ezia.

– Madonna Auditore! Witam! Spodziewałem się pani.

– *Buon' giorno*, Leonardo.

Wymienili powitalne pocałunki. „Ten artysta musi być z matką za pan brat” – pomyślał Ezio, ale wygląd nieznajomego od razu przypadł mu do gustu.

– To mój syn, Ezio – powiedziała Maria.

Artysta uklonił się i rzekł:

– Leonardo da Vinci. *Molto onorato, signore*.

– Maestro...

– No, niezupełnie... jeszcze nie! – uśmiechnął się Leonardo. – Ale dosyć

już o tym... Proszę, wejdźcie, wejdźcie! Poczekajcie tu chwilę, każę asystentowi znaleźć dla was jakieś wino i udam się po wasze malowidła.

Pracownia nie należała do wielkich, a nieład, jaki w niej panował, czynił ją jeszcze mniejszą. Na stołach leżały sterty szkieletów ptaków i drobnych ssaków. W słoikach wypełnionych bezbarwnym płynem znajdowały się części żywych organizmów, których Ezio za żadne skarby nie mógł rozpoznać. Na szerokim stole, w głębi pracowni, stały jakieś dziwne drewniane konstrukcje, wykonane z iście pedantyczną dokładnością. Dwie sztalugi podpierały niedokończone obrazy, których tonacja była ciemniejsza, niż zwykle się widywać, i których kontury nakreślono z o wiele mniejszą precyzją. Ezio i Maria zdążyli się wygodnie rozsiąść, gdy z pomieszczenia wewnątrz pracowni wyszedł przystojny młodzieniec, niosąc tacę z winem i ciastkami. Podał im ją, uśmiechnął się nieśmiało, po czym odszedł.

– Leonardo jest wielce utalentowany.

– Skoro tak uważasz, *madre*... Niewiele wiem o sztuce.

Ezio miał przeświadczenie, że jego życie będzie polegało na podążaniu śladami ojca, choć czasami odzywała się w nim natura buntownika i awanturnika, która – o czym wiedział – zupełnie nie licowała ze stanowiskiem florenckiego bankiera. Tak czy inaczej, podobnie jak jego starszy brat, widział siebie bardziej jako człowieka czynu, a nie artystę czy konesera.

– Wiesz, umiejętność wyrażania własnego „ja” jest niezbędna do rozumienia życia i cieszenia się nim w pełni.

Matka spojrzała na niego i dodała:

– Powinieneś znaleźć sobie jakiś sposób na rozładowywanie swoich emocji, synu.

Ezio poczuł się dotknięty.

– Mam mnóstwo takich sposobów.

– Nie chodzi mi o dziewczki – odparła rzeczowo matka.

– Mamo!

Lecz ona wzruszyła tylko ramionami i zacisnęła usta.

– Byłoby dobrze, gdybyś podtrzymał znajomość z Leonardem. Wydaje mi się, że ma przed sobą obiecującą przyszłość.

– Sądząc z tego, jak wygląda to miejsce, trudno mi się z tobą zgodzić.

– Nie bądź bezczelny!

Przerwał im Leonardo, który wyłonił się z zaplecza, niosąc dwie skrzynie. Jedną z nich postawił na podłodze.

– Czy mógłbyś to ponieść? – zwrócił się do Ezia. – Poprosiłbym Agniola, ale on musi tu zostać i pilnować pracowni. Poza tym wydaje mi się, że nie byłby w stanie, chucherko...

Ezio pochylił się, by podnieść skrzynię i zdumiał się jej ciężarem. Mało nie wypuścił jej z rąk.

– Ostrożnie! – ostrzegł Leonardo. – Malowidła w środku są bardzo delikatne, a twoja matka sowicie mi za nie zapłaciła!

– Chodźmy – powiedziała Maria. – Nie mogę się doczekać, kiedy je zawieszę. Wybrałam już nawet miejsca – mam nadzieję, że przypadną ci do gustu – dodała, zwracając się do Leonarda.

Ezio odrobinę się wzdrygnął: czy ten stawiający swoje pierwsze kroki artysta naprawdę zasługuje na takie poważanie?

W drodze powrotnej Leonardo uprzejmie z nimi gawędził, a Ezio przyłapał się na tym, że – zupełnie wbrew sobie – znajduje się pod wpływem uroku tego człowieka. Mimo to podświadomie wyczuwał, że jest w nim coś niepokojącego, coś, czego nie był w stanie dokładnie określić. Dziwny spokój? Poczucie oderwania od zwykłych ludzi? A może po prostu chodziło o to, że trzymał głowę w chmurach, jak inni artyści, o czym Ezio niejednokrotnie słyszał. Tak czy owak, Ezio darzył go spontanicznym, instynktownym wręcz szacunkiem.

– Powiedz mi, Ezio, czym się parasz? – zapytał Leonardo.

– Pracuje dla ojca – odpowiedziała Maria.

– Ach! Finansista! No cóż, urodziłeś się w mieście stworzonym do tego

zawodu!

– Jest dzięki temu równie łaskawe dla artystów – odparł Ezio. – Mieszka w nim wielu bogatych mecenasów.

– Niestety, jest nas tak wielu... – zaczął utyskiwać Leonardo. – Bardzo trudno przyciągnąć czyjąś uwagę. Dlatego jestem niezwykle zobowiązany twojej matce. Powiadam ci, ma naprawdę wytrawne oko!

– Skupiasz się na malowaniu? – zapytał Ezio, mając w pamięci różnorodność wyposażenia pracowni Leonarda.

Leonardo zamyślił się.

– To trudne pytanie. Prawdę powiedziawszy, od kiedy się usamodzielniałem, trudno jest mi skupić się na czymkolwiek. O tak, uwielbiam malować i wiem, że to potrafię, ale... wydaje mi się, że widzę efekt końcowy jeszcze zanim go osiągnę. Przez to z trudem przychodzi mi kończenie dzieł. Muszę być pod presją! To jednak nie wszystko. Często odnoszę wrażenie, że mojej pracy brakuje... sam nie wiem... celowości? Czy to ma jakikolwiek sens?

– Powinieneś mieć więcej wiary w siebie, Leonardo – powiedziała Maria.

– Dziękuję, pani, za wsparcie, ale zdarzają mi się chwile, kiedy myślę, że powinienem zająć się czymś bardziej praktycznym, czymś, co ma rzeczywisty związek z życiem. Chciałbym zrozumieć, na czym ono polega... na czym polega działanie wszystkiego, co istnieje na świecie.

– Musiałbyś być więc setką osób w jednej – powiedział Ezio.

– Och, ile bym za to dał! Chciałbym poznać architekturę, anatomię, a nawet inżynierię. Nie wystarcza mi odtwarzanie świata przy użyciu pędzla; ja chcę go zmieniać!

Mówił z taką pasją, że Ezio, zamiast poczuć irytację, był pod wielkim wrażeniem – ten człowiek na pewno się nie przechwalał; przeciwnie, wyglądało na to, że cierpi katusze z powodu nawału myśli, które w nim kipiły. „Jeszcze chwila – pomyślał Ezio – a powie nam, że nieobca mu jest muzyka i poezja!”

– Nie chcesz odłożyć tego na chwilę i odpocząć, Ezio? – zapytał Leonardo.
– Może być ci z tym trochę ciężko.

Ezio zacisnął zęby.

– Nie, *grazie*. Poza tym już dochodzimy.

Gdy dotarli do *Palazzo Auditore*, Ezio wniósł skrzynię do holu i postawił ją tak powoli i ostrożnie, jak tylko pozwoliły mu na to obolałe mięśnie. Gdy to zrobił, poczuł ulgę o wiele większą, niż się spodziewał.

– Dziękuję, Ezio – powiedziała do niego matka. – Wydaje mi się, że teraz poradzimy już sobie bez ciebie, choć jeśli chcesz pomóc nam z wieszaniem obrazów...

– Dziękuję, mamó – myślę, że będzie najlepiej, jeśli zajmiecie się tym sami.

Leonardo wyciągnął do niego rękę.

– Cieszę się, że cię poznałem, Ezio. Mam nadzieję, że wkrótce nasze drogi znów się spotkają.

– *Anch'io*.

– Mógłbyś jeszcze zawołać kogoś z naszych służących, żeby pomógł Leonardowi – powiedziała do niego Maria.

– Nie – zaoponował Leonardo. – Wolę zrobić to własnoręcznie. Wyobraź sobie, pani, co by było, gdyby ktoś upuścił którąś z tych skrzyń.

Mówiąc to przyklęknął i umieścił w zgięciu łokcia skrzynię, która przed chwilą odstawił Ezio.

– Chodźmy, pani – powiedział do Marii.

– Tędy – wskazała Maria. – Do widzenia, Ezio. Zobaczymy się dziś wieczorem na kolacji. Chodźmy, Leonardo.

Ezio patrzył, jak wychodzą z holu. Ten Leonardo z pewnością zasługiwał na szacunek.

Późnym popołudniem, po obiedzie, Giulio podszedł do niego w pośpiechu (jak czynił to zawsze) i powiedział, że ojciec oczekuje go w gabinecie. Ezio udał się więc czym prędzej za sekretarzem, przechodząc przez wyłożony

dębem korytarz, który wiódł na tyły domu.

– O, to ty! Wejdz, mój chłopcze.

Głos Giovanniego był poważny i zaaferowany. Stał za swoim biurkiem, na którym leżały dwa okazałych rozmiarów listy, zawinięte w cielecącą skórę i zapieczętowane.

– Słyszałem, że księżę Lorenzo wraca jutro, najpóźniej pojutrze – powiedział Ezio.

– Wiem. Ale nie mamy czasu do stracenia. Chciałbym, byś doręczył to moim wspólnikom, tu, w mieście.

Pchnął listy przez biurko.

– Oczywiście, ojczu.

– Chciałbym również, byś odzyskał wiadomość, którą gołąb pocztowy miał zostawić w klacie na *piazza* na końcu ulicy. Dopilnuj, by nikt nie widział, jak ją zabierasz.

– Postaram się.

– Dobrze. Wróć zaraz jak skończysz. Mam kilka ważnych spraw, które muszę z tobą omówić.

– Oczywiście.

– I tym razem zachowaj się jak należy. Żadnych bójek!

Ezio postanowił zacząć od klatki z gołębiem. Zbliżał się zmierzch, wiedział więc, że o tej porze nie będzie zbyt wielu ludzi w okolicy, i że za chwilę mały placzyk wypełni się florentczykami, którzy wyjdą na swoją *passeggiatę*. Gdy dotarł do celu, na murze nad klatką zauważył napis. Zaintrygował go. Czy pojawił się tu niedawno? A może po prostu wcześniej nie zwrócił na niego uwagi? Starannymi literami wypisano sentencję, którą Ezio znał z Koheleta: **A KTO PRZYSPARZA WIEDZY – PRZYSPARZA I CIERPIEŃ**. Po spodem, już mniej starannym pismem, ktoś dopisał: **GDZIEŻ JEST PROROK?**

Wkrótce jednak jego myśli powróciły do zadania. Od razu spostrzegł gołębia, którego szukał – do jednej z nóg miał przywiązany rulonik. Szybko

go odczepił i delikatnie posadził ptaka z powrotem na skalnej półce. Potem się zawahał. Czy powinien przeczytać wiadomość? Nie była zapieczętowana. Szybko odwinął rulonik; okazało się, że nie zawiera nic ponad nazwisko Francesca Pazzięgo. Ezio wzruszył ramionami. Domyślał się, że ta informacja oznacza coś więcej dla ojca niż dla niego samego. Dlaczego nazwisko ojca Vieriego, a zarazem jednego z domniemanych spiskowców dążących do obalenia księcia Mediolanu – o czym Giovanni już wiedział – miało mieć jakieś większe znaczenie – tego nie rozumiał. Chyba że chodziło o coś w rodzaju potwierdzenia.

Tak czy owak, Ezio musiał się spieszyć z załatwieniem reszty spraw. Ukrywszy wiadomość w sakwie przy pasie, udał się w kierunku wskazanym przez adres na pierwszym liście. Zdziwił go, gdyż prowadził do dzielnicy rozpusty. Bywał tam często z Federikiem – oczywiście zanim poznał Cristinę – ale nigdy nie czuł się tam dobrze. Gdy zbliżał się do obskurnej ulicy, którą w adresie umieścił jego ojciec, dodał sobie odwagi kładąc dłoń na rękoności sztyletu. Adres, jak się okazało, zawiódł go do niewielkiej gospody, kiepsko oświetlonej i oferującej nędzne chianti w glinianych kubkach.

Gdy Ezio zastanawiał się, co powinien robić dalej, bo wydawało mu się, że nikogo w pobliżu nie ma, ku swojemu zaskoczeniu usłyszał tuż nad uchem głos.

– Ty jesteś chłopakiem Giovanniego?

Odwrócił się i ujrzał zarośniętego mężczyznę, którego oddech trącił cebulą. Towarzyszyła mu kobieta, które kiedyś pewnie była ładna, lecz teraz wyglądała tak, jakby ostatnie dziesięć lat starło z niej większość atrybutów wdzięku. Jeśli gdzieś jeszcze pozostały, to wyłącznie w jej przenikliwym, inteligentnym wejrzeniu.

– Jasne, że to nie on, idioto – powiedziała kpiąco do mężczyzny. – Tylko przypadkowo wygląda zupełnie jak swój ojciec!

– Masz coś dla nas – zignorował ją mężczyzna. – Daj nam to.

Ezio zawahał się. Jeszcze raz sprawdził adres. Zgadzał się.

– Oddaj to nam, przyjacielu – powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej.

Ezio poczuł jeszcze wyraźniej woń jego oddechu. Czy ten człowiek odżywiał się wyłącznie cebulą i czosnkiem?

Wsadził list w jego otwartą dłoń, która natychmiast zacisnęła się wokół niego, po czym schowała go do skórzanej torby u boku.

– Dobry chłopiec – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się.

Ezio z zaskoczeniem spostrzegł, że ów uśmiech nadał jego twarzy zadziwiający, szlachetny wyraz. W przeciwieństwie do słów, które potem padły.

– I nie martw się – dodał. – Niczym nie zarażamy!

Tu przerwał i spojrzał na kobietę.

– Przynajmniej ja.

Kobieta parsknęła śmiechem i dała mu kuksańca w ramię. Potem odeszli.

Ezio z ulgą opuścił podejrzone miejsce. Ulica z adresu na drugim liście znajdowała się na zachód od baptysterium. Leżała w obrębie o wiele lepszej dzielnicy, w której o tej porze dnia panował już spokój. Pospieszył tam niezwłocznie.

Pod jednym z łuków spinających budynki po obu stronach ulicy czekał na niego krzepki mężczyzna, posturą przypominający żołnierza. Odziany był w coś, co sprawiało wrażenie wiejskiego, skózanego ubrania, ale pachniał czysto i świeżo; był też ogolony.

– Tutaj! – przywołał Ezia.

– Mam coś dla ciebie – rzekł Ezio. – Od...

– ...Giovanniego Auditore? – mężczyzna mówił niewiele głośniejszym od szeptu.

– *Si*.

Rozejrzał się dookoła i omiótł wzrokiem całą długość ulicy. W oddali zamajaczyła sylwetka latarnika.

– Czy ktoś cię śledził?

– Nie, a dlaczego miałyby to robić?

– Nieważne. Daj mi list. Szybko.

Ezio wręczył mu przesyłkę.

– Robi się gorąco – powiedział mężczyzna. – Powiedz ojcu, że dziś się zbierają. Powinien zaszyć się w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Co? O czym ty mówisz? – Ezio był całkowicie zaskoczony.

– Już i tak powiedziałem zbyt wiele. Biegnij do domu – odpowiedział nieznajomy i rozpląnął się w mroku.

– Poczekaj! – zawołał. – O co w tym wszystkim chodzi? Wracaj!

Mężczyzny już jednak nie było.

Ezio przeszedł ulicą do latarnika.

– Która godzina? – zapytał.

Mężczyzna zmrużył oczy i spojrzał na niebo.

– Będzie już jakaś godzina od chwili, gdy zacząłem robotę – odrzekł. – Czyli pewnikiem jest dwudziesta.

Ezio szybko to przeliczył. Musiał opuścić *palazzo* dwie godziny wcześniej, a stąd dotarcie do domu zajmie mu pewnie jakieś dwadzieścia minut. Rzucił się do biegu. Nagle ogarnęły go złe przeczucia.

Gdy tylko oczom Ezia ukazała się rezydencja Auditorich, wiedział już, że coś jest nie tak. Nie paliło się żadne światło, a wielkie drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Przyspieszył i w biegu zawołał:

– Ojczy! Federico!

Wielki pałacowy hol był ciemny i pusty, ale wpadało do niego wystarczająco dużo światła, by Ezio mógł zobaczyć powywracane stoły, połamane krzesła, potłuczone naczynia i szkło. Ktoś zdarł ze ścian malowidła Leonarda i porozcinał je nożem. W ciemności, gdzieś z góry, dobiegło go szlochanie... Płacz kobiety. Matka!

Zaczął do niej iść, gdy pojawił się za nim jakiś cień, unosząc coś nad jego głowę. Ezio odwrócił się i chwycił za ciężki, srebrny lichtarz, którym ktoś próbował roztrzaskać mu głowę. Gwałtownie za niego szarpnął i napastnik wypuścił go z rąk z głośnym krzykiem. Ezio odrzucił lichtarz daleko poza

zasięg agresora, a jego samego chwycił za rękę i pociągnął do przodu, w miejsce, gdzie padało więcej światła. Chciał zabić, w rękę trzymał już sztylet.

– *Ser Ezio!* To ty! Bogu dzięki!

Ezio rozpoznał ten głos, a chwilę później ujrzał twarz gospodyni, Annetty, krzepkiej wieśniaczki, która pracowała dla jego rodziny od wielu lat.

– Co tu się stało?! – zapytał ją, chwytając ją za oba nadgarstki i potrząsając nią w swoim nieopanowanym bólu i panice.

– Przyszli tu... Strażnicy miejscy... Zaarrestowali twojego ojca i Federica... Zabrali nawet małego Petruccia... Wyrwali go z rąk twojej matki!

– Gdzie matka?! Gdzie Claudia?!

– Jesteśmy tutaj – gdzieś z mroków dobiegł drżący głos.

Z ciemności wyłoniła się Claudia z matką opierającą się na jej ramieniu. Ezio podniósł z podłogi jedno z krzeseł i podsunął matce. Nawet w słabym świetle widać było, że Claudia krwawi, a jej ubranie jest brudne i podarte. Maria nie odezwała się do Ezia. Usiadła na krześle i drżąc płakała. W rękach ścisnęła małe, drewniane pudełko z piórami, które Petruccio dał jej nie dwa dni, lecz – jak się zdawało – wieki temu.

– Boże, Claudio! Czy wszystko z tobą w porządku? – spojrzał na nią i zalała go fala gniewu. – Czy oni?...

– Nie. Wszystko w porządku. Trochę mnie poturbowali, bo myśleli, że mogę im powiedzieć, gdzie jesteś. Ale matka... Ezio... Zabrali ojca, Federica i Petruccia do Palazzo Vecchio!

– Matka jest w szoku – powiedziała Annetta. – Gdy stawiała im opór, oni... – przerwała. – *Bastardi!*

Ezio szybko pozbierał myśli.

– Tu nie jest bezpiecznie. Czy miałabyś dokąd ich zabrać, Annetto?

– Tak, tak... Do mojej siostry. Tam będą bezpieczne – z trudem wydusiła z siebie Annetta. Strach i złość ścisnęły ją za gardło.

– Musimy działać szybko. Strażnicy prawie na pewno po mnie wrócą. Claudio, mamó – nie mamy czasu do stracenia. Nie bierzcie niczego z sobą, po prostu idźcie z Annetą. Od razu! Claudio, pomóż matce.

Wyprowadził je z zagrożonego domu, sam wciąż nie mogąc otrząsnąć się z szoku, i pomógł im iść, zanim pozostawił je w rękach lojalnej Annetty, która powoli zaczęła odzyskiwać spokój. Umysł Ezia zmagał się z nawałem podejrzeń, a cały jego świat trząśnięto w posadach. Rozpaczliwie usiłował poskładać w jedną całość wydarzenia sprzed kilku chwil i podjąć dalsze kroki, dalsze działania, które ocalą ojca i braci...

Wiedział, że przede wszystkim musi się zobaczyć z ojcem i dowiedzieć się, co ściągnęło na jego rodzinę ten akt agresji i przemocy. Ale on był w Palazzo Vecchio! Ojca i braci zamknięto w dwóch małych celach w wieży, tego był pewny. Może miałyby cię szansy... Ale to miejsce było strzeżone jak forteca! W szczególności dzisiejszej nocy z pewnością wystawią tam silniejsze strażę.

Ezio, przez cały czas próbując odzyskać spokój i jasność umysłu, przemknął uliczkami do Piazza della Signoria. Przyklejony do ściany, spojrział w górę. Na murze obronnym pałacu i wieży płonęły pochodnie, oświetlając olbrzymi, czerwony *fleur-de-lis* w herbie miasta oraz wielki zegar u jej podstawy. Wysiłając wzrok, Ezio dostrzegł wątłe światło świecy w zakratowanym oknie blisko szczytu wieży. Strażnicy pilnowali wielkich, podwójnych drzwi pałacu; jeszcze więcej stało ich na murach. Żadnego strażnika nie było jednak na wieży, a jej obwarowanie i tak znajdowało się wyżej od okna, do którego potrzebował dostać się Ezio.

Okrażył plac, trzymając się z dala od pałacu i wszedł w wąską uliczkę, która odchodziła od niego równolegle do jego północnej ściany. Na szczęście w pobliżu kręciło się jeszcze sporo ludzi, przechadzających się i korzystających z rześkiego, wieczornego powietrza. Ezio miał wrażenie, że nagle znalazł się w zupełnie odrębnym świecie, tak innym od ich świata; że nagle ktoś odciął go od reszty społeczeństwa, w którym jeszcze jakieś trzy,

cztery godziny temu czuł się jak ryba w wodzie. Zjeżył się na myśl, że dla wszystkich tych ludzi życie wciąż będzie biegło utartą koleiną, a życie jego własnej rodziny w ciągu jednej chwili legło w gruzach. Po raz kolejny poczuł, jak jego serce zalewa niepowstrzymana fala gniewu i strachu. Szybko się jednak opanował i zajął myśli zadaniem, jakie przed nim stało, a jego twarz przybrała chłodny, zacięty wyraz.

Wysokość muru, jaki się przed nim wznosił, przyprawiała o zawrót głowy, ale otaczała go ciemność, co działało na jego korzyść. Co więcej, kamienie, z których zbudowano *palazzo*, były grubo ciosane, co dawało mu mnóstwo uchwytów i podparć, pomocnych we wspinaczce. Problemem mogła okazać się tylko straż na północnym murze obronnym, ale z tym upora się, gdy będzie musiał. Miał nadzieję, że większość strażników będzie zgrupowana wzdłuż wychodzącej na zachód głównej fasady budynku.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się dookoła – w ciemnej ulicy nie było żywej duszy, wskoczył więc na ścianę, chwycił się jej, podparł palcami w miękkich, skórzanych butach i zaczął się wspinać.

Kiedy już dotarł do obwarowania, zeskoczył, zastygając w przysiadzie; ścięgna w jego łydkach napięły się w gotowości. Było tam dwóch strażników, ale stali odwróceny do niego plecami i wpatrywali się w rozświetlony plac poniżej. Ezio pozostał przez chwilę w bezruchu, upewniając się, że żaden towarzyszący mu odgłos nie zdradził jego obecności. Pozostając w niskiej pozycji, Ezio skoczył ku nim jak strzała i zaatakował; założywszy ręce wokół szyi każdego z nich, pociągnął ich do tyłu. Wykorzystując ich własny ciężar oraz element zaskoczenia, przewrócił strażników na plecy. W mgnieniu oka zdarł z nich hełmy i z całą siłą uderzył o siebie ich głowy – stracili przytomność zanim ich twarze zdążyły zarejestrować jakąkolwiek oznakę zaskoczenia. Jeśli to by nie zadziałało, Ezio był przygotowany, by poderznąć im gardła, i to bez najmniejszego wahania.

Zatrzymał się na chwilę, dysząc ciężko. Teraz wieża. Jej kamienie były

starannie ociosane, więc wspinaczka była trudna. Nadto musiał obejść ją dookoła, przechodząc z północnej fasady na zachodnią, w której znajdowało się okno celi. Modlił się, by nikomu na placu ani na obwarowaniach nie przyszło do głowy spojrzeć w górę. Nie uśmiechało mu się zostać strąconym przez bełt wystrzelony z jakiejś kuszy, skoro zaszedł już tak daleko.

Narożnik, w którym ściana północna spotykała się z zachodnią, nie napawał optymizmem – przez chwilę Ezio zastygł na nim w bezruchu i tylko jego ręka szukała uchwytu, którego najwyraźniej tam nie było. Popatrzył w dół i na obwarowaniu ujrzał jednego ze strażników, który spoglądał w górę. Ezio widział dokładnie jego szarą twarz. Widział jego oczy. Jeszcze ściślej przywarł do muru. W swoim ciemnym ubraniu rzucał się w oczy jak karaluch na tle białego obrusa. Jednak z niewiadomych przyczyn mężczyzna opuścił wzrok i kontynuował obchód. Czy go zobaczył? A może nie dał wiary temu, co widziały jego oczy? Krtań Ezia pulsowała z wysiłku. Po długiej chwili, gdy opuściło go napięcie, powtórnie zaczerpnął powietrza.

Z ogromnym mozolem dotarł do celu, z zadowoleniem zauważając wąski parapet, na którym mógł usiąść, gdy zaglądał do ciasnej celi przez jej okno. „Bóg jest miłosierny” – pomyślał, gdy rozpoznał sylwetkę ojca, który odwrócony do niego plecami, zdawał się coś czytać w skąpym blasku świecy.

– Ojcze! – wyszeptał łagodnie.

Giovanni natychmiast się odwrócił.

– Ezio! Na Boga! Jak tu...

– To nie ma teraz znaczenia, ojcze...

Gdy Giovanni podszedł do okna, Ezio spostrzegł, że dłonie ojca są poranione i krwawiące, a jego twarz – blada i wymizerowana.

– Mój Boże, ojcze, co oni ci zrobili?!

– Trochę oberwałem, ale nic mi nie jest. Powiedz lepiej, co z twoją matką i siostrą?

– Są już bezpieczne.

– Z Annetą?

– Tak.

– Bogu dzięki.

– Co się stało, ojcze? Spodziewałeś się tego wszystkiego?

– Na pewno nie tak szybko. Razem ze mną zamknęli Federica i Petruccia – podejrzewam, że są w celi za ścianą. Gdyby w mieście był Lorenzo, wszystko potoczyłoby się inaczej. Powinienem zachować większą ostrożność.

– Nie rozumiem, o czym mówisz...

– Teraz nie ma już czasu na wyjaśnienia! – Giovanni prawie krzyknął. – Posłuchaj: musisz wrócić do naszego domu. W moim gabinecie znajdziesz tajemne drzwi. W komnacie za nimi znajduje się ukryta skrzynia. Weź wszystko, co w niej znajdziesz. Słyszysz? Wszystko! Większość z tych rzeczy wyda ci się dziwna, ale wszystkie są ważne.

– Tak, ojcze.

Ezio poprawił nieco swoją pozycję za oknem, ze wszystkich sił trzymając się kraty. Nie odważył się spojrzeć w dół, nie wiedział też, jak długo jeszcze wytrzyma w bezruchu.

– W skrzyni znajdziesz między innymi list i kilka towarzyszących mu dokumentów. Musisz zanieść to wszystko niezwłocznie – dziś! – do *messer* Albertiego...

– Do gonfaloniera?

– Tak. A teraz już idź!

– Ojcze, ale...

Ezio usiłował wykrztusić coś przez ściśnięte gardło, chcąc zrobić coś więcej, niż po prostu doręczyć jakieś dokumenty. Wyjąkał tylko:

– Czy stoją za tym Pazzi? Przeczytałem liścik, który miał gołąb pocztowy. Było w nim napisane...

Giovanni uciszył go. Ezio usłyszał klucz obracający się w zamku drzwi celi.

– Zabierają mnie na przesłuchanie – powiedział ponuro Giovanni. –

Zmykaj, nim cię znajdą. Mój Boże, odważny z ciebie chłopak! Zaprawdę, godzien jesteś tego, co przyniesie ci przeznaczenie! A teraz, mówię ci po raz ostatni – idź już!

Ezio zsunął się z parapetu i chwycił się ściany tak, by nie było go widać. Usłyszał, jak ktoś wyprowadza jego ojca. Nie mógł znieść tych odgłosów. Po chwili zaczął przygotowywać się do zejścia. Wiedział, że zejść jest trudniej niż się wspiąć, ale podczas ostatnich dwóch dób nabrał sporo doświadczenia we wspinaczce po budynkach. Teraz schodził z wieży, poślizgnąwszy się raz czy dwa, ale natychmiast odzyskując kontrolę, aż do obwarowania, gdzie dwaj strażnicy wciąż leżeli tam, gdzie ich zostawił. Kolejny łut szczęścia! Uderzył ich głowami tak mocno, jak tylko potrafił, ale gdyby jakimś trafem udało się im odzyskać przytomność, podczas gdy on był na wieży, podnieśliby alarm... cóż, o konsekwencjach wołał nawet nie myśleć.

W rzeczy samej, nie było czasu, by myśleć teraz o takich sprawach. Ezio przeskoczył przez obwarowanie i spojrzał w dół. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą zwłokę. Gdyby tylko zdołał dojrzeć coś, co zamortyzowałoby jego skok, odważyłby się na niego. Jego oczy, nawykłe do mroku, ujrzały dach opuszczonego straganu, stojącego przy murze, daleko w dole. Czy powinien podjąć to ryzyko? Gdyby mu się udało, zyskałby kilka cennych minut. W przeciwnym wypadku złamana noga i tak byłaby najmniejszym z jego problemów. Musiał sobie zaufać.

Wziął głęboki oddech i zanurkował w mroku.

Dach pod spadających z takiej wysokości ciałem Ezia oczywiście się załamał, ale był dobrze zamocowany i w wystarczającym stopniu zamortyzował jego upadek. Ezio dyszał ciężko i wiedział, że rano będą boleć go zebra, ale przecież był już na dole! W dodatku nie wywołał żadnego alarmu.

Otrząsnął się i rzucił w kierunku budynku, który jeszcze kilka godzin temu był jego domem. Gdy tam dotarł, zdał sobie sprawę, że w pośpiechu ojciec nie powiedział mu, jak znaleźć ukryte drzwi. Giulio pewnie by wiedział, ale

gdzie go teraz szukać?

Na szczęście w pobliżu domu nie kręciły się strażę, więc wejście do środka nie przedstawiało żadnych problemów. Jeszcze przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, jakby coś powstrzymywało go przed wkroczeniem w ciemność, która panowała za nimi – czuł, że dom się zmienił, że jego świętość została zbezczeszczona. Musiał znów pozbierać myśli i uświadomić sobie, jak wiele zależy od tego, co teraz robi. Polegała na nim cała jego rodzina. Przemógł się i wszedł, zanurzając się w ciemności wypełniającej wnętrza jego rodzinnego domu. Wkrótce potem stał już na środku gabinetu, rozglądając się po wnętrzu, które oświetlone blaskiem jednej świecy sprawiało przejmujące wrażenie.

Pomieszczenie było wypatroszone przez strażników, którzy zabrali olbrzymią część dokumentów bankowych, a ogólny chaos, jaki tworzyły przewrócone regały, wywrócone do góry nogami krzesła, wyrzucone na podłogę szuflady i walające się po niej papiery i książki nie ułatwiał Eziowi zadania. Znał jednak gabinet, wzrok miał bystry i szybko myślał. Ściany były tu grube i za każdą z nich mogła znajdować się ukryta komnata, ale podszedł do tej, w której mieścił się wielkich rozmiarów komin i rozpoczął swoje poszukiwania od miejsca, gdzie mur był najgrubszy, czyli przy gzymsie. Ze świeczką blisko ściany, wciąż bacznie nasłuchując odgłosów zdradzających powrót strażników, Ezio po lewej stronie olbrzymiego, frezowanego gzymsu znalazł coś, co mogło być cienkim obrysem drzwi ukrytych w boazerii. Obejrzał dokładnie wyrzeźbionych *colossi*, podtrzymujących marmurowy gzyms na swoich barkach. Nos jednego z nich wyglądał tak, jakby się kiedyś odłamał, a później go naprawiono – u jego podstawy widniało ledwo zarysowane pęknięcie. Ezio go dotknął; okazało się, że nieco się rusza. Serce podeszło mu go gardła, gdy delikatnie go przesunął i zobaczył jak zamocowane na cichych, sprężynowych zawiasach drzwi chowają się w głębi ściany, odsłaniając korytarz z kamienną podłogą, prowadzący na lewo.

Wchodząc, nacisnął stopą na kamienną płytę, która przesunęła się w dół,

sprawiając, że zapaliły się kaganki wiszące przy ścianach korytarza. Ten był raczej krótki i schodził nieco w dół, kończąc się okrągłą komnatą, której wystrój bardziej kojarzył się z Syrią niż z Włochami. Ezioowi przemknął przez myśl obraz wiszący w pokoju ojca, przedstawiający zamek w Masjafie, niegdysiejszą siedzibę zakonu asasynów. Nie miał jednak czasu, by rozmyślać nad tym, czy ten dziwny styl wnętrza ma może jakieś specjalne znaczenie. Komnata nie była umeblowana, a na samym jej środku spoczywała wielka, okuta żelazem skrzynia, zabezpieczona dwoma ciężkimi kłódkami. Ezio rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie ma gdzieś klucza, ale na ścianach komnaty nie było niczego z wyjątkiem ornamentów. Ezio, zastanawiając się, czy powinien wrócić do gabinetu, czy może udać się do pokoju ojca, by tam poszukać klucza, i czy w ogóle starczy mu na to czasu, przypadkowo musnął dłonią jedną z kłódek, a ta gwałtownie się otworzyła. Z drugą stało się to samo. Czyżby ojciec obdarzył go mocą, której nie był świadomy? A może kłódki miały jakiś mechanizm, reagujący na dotyk określonych osób? Tajemnice mnożyły się jedna po drugiej, ale teraz nie było czasu zastanawiać się nad nimi.

Ezio otworzył skrzynię, a jego oczom ukazał się biały kaptur, wyraźnie stary i wykonany z jakiegoś przypominającego wełnę materiału, którego Ezio nie znał. Coś kazało mu go założyć, a gdy to zrobił, poczuł, jak przez jego ciało przeszła fala dziwnej mocy. Obniżył kaptur, ale go nie zdjął.

W skrzyni był jeszcze skórzany ochraniacz na rękę, postrzępione ostrze sztyletu, połączone nie z rękojeścią, a z jakimś osobliwym mechanizmem, którego zasada działania była dla Ezia kompletnie niezrozumiała; był tam też miecz, kawałek welinu pokryty symbolami, literami i rysunkiem przypominającym plan, oraz list i dokumenty, które ojciec polecił dostarczyć Uberto Albertiemu. Ezio zabrał to wszystko, zamknął skrzynię i powrócił do gabinetu ojca, zamykając za sobą starannie tajemne drzwi. Tam znalazł należącą do Giulia, porzuconą torbę na dokumenty, do której schował zawartość skrzyni, po czym przewiesił ją przez ramię. Miecz przypasał do

boku. Nie miał pojęcia, do czego może służyć ten dziwny zbiór przedmiotów, ani czasu, by zastanawiać się, dlaczego ojciec trzymał je w sekretnej komnacie. Zaczął ostrożnie podążać w kierunku głównego wejścia *palazzo*.

Gdy tylko wyszedł na dziedziniec przed domem, spostrzegł dwóch strażników miejskich, którzy szli ku wejściu. Było już za późno, by się schować. Zobaczyli go.

– Stój! – krzyknął jeden z nich, po czym obaj zaczęli się do niego zbliżać szybkim krokiem.

Nie było już odwrotu. Ezio zauważył, że wyciągnęli już swoje miecze.

– Po co tu przyszliście? Żeby mnie zamknąć?

– Nie – odpowiedział ten, który odezwał się wcześniej. – Mamy rozkaz cię zabić!

Po tych słowach na Ezia rzucił się drugi ze strażników.

W tej samej chwili Ezio dobył własnego miecza. Broń ta była mu dotychczas nieznaną, ale okazało się, że miecz jest lekki i dobrze leży mu w dłoni – poczuł się tak, jakby używał go przez całe życie. Odparł pierwsze i drugie uderzenie, z prawa i z lewa, bo obaj strażnicy zaatakowali go niemal jednocześnie.

Ze wszystkich trzech mieczy posypały się iskry, lecz Ezio czuł, że jego nowa broń spisuje się nad wyraz dobrze, a jej klinga jest ostra i precyzyjna. W chwili, gdy drugi ze strażników zamachnął się mieczem, by odciąć ramię Ezia od barku, ten wykonał fintę w prawo, prosto pod opadające ostrze. Przeniósł potem ciężar ciała na wysuniętą do przodu stopę i gwałtownie rzucił się naprzód. Strażnik stracił równowagę, a ostrze jego miecza opadło głucho na ramię Ezia, nie czyniąc mu żadnej szkody. Ezio wykorzystał swój impet, by wzmóc siłę pchnięcia, i jego nowy miecz przeszył na wylot serce przeciwnika. Stał wyprostowany i balansując na kłębach paluchów, uniósł lewą stopę i zepchnął nią martwego strażnika z ostrza swojego miecza; w samą porę odwrócił się, by zmierzyć się z jego towarzyszem. Ten rzucił się na niego, unosząc swój ciężki miecz i krzycząc:

– Szykuj się na śmierć, *traditore!*

– Nie jestem zdrajcą ani ja, ani nikt z mojej rodziny!

Strażnik zamachnął się, rozcinając lewy rękaw Ezia i raniąc go. Ezio skrzywił się z bólu, ale tylko na chwilę. Jego napastnik, korzystając ze swojej przewagi, wciąż atakował, a Ezio pozwolił mu po raz kolejny rzucić się na siebie. Tym razem jednak cofnął się o krok, podciął mu nogi i w chwili, gdy strażnik upadał, bezlitośnie i z całej siły spuścił ostrze swego miecza na jego szyję, oddzielając głowę do korpusu, zanim ten jeszcze upadł.

Przez jakiś czas Ezio stał w miejscu, drżąc w ciszy, jaka zapadła po walce, i ciężko oddychał. Po raz pierwszy w życiu zabił – czy aby na pewno? Poczował bowiem, że ciąży na nim bagaż o wiele starszego jestestwa, życia, które przez lata obcowało z zadawaniem śmierci.

To doznanie przeraziło go. Dzisiejszej nocy stawiał czoła okolicznościom, które wymagały od niego o wiele więcej niż od innych w tym samym wieku, ale to nieznanne dotąd odczucie zdawało się świadczyć, że obudziła się w nim jakaś mroczna, głęboko ukryta siła. To było coś więcej niż wynik przykrych doświadczeń ostatnich kilku godzin. Zmierzając pogrążonymi w mroku ulicami miasta do domu Albertiego czuł, jak słabną mu ręce. Wzdrygał się na każdy podejrzany dźwięk i często oglądał za siebie. W końcu, na skraju wyczerpania, z którym usiłował sobie jeszcze jakoś radzić, zjawił się pod domem gonfaloniera. Spojrzał w górę na fasadę i zobaczył słabe światło w jednym z okien. Głowicą miecza zastukał mocno do drzwi.

Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, zdenerwowany i zniecierpliwiony zastukał ponownie, silniej i głośniej.

Wciąż nic.

Dopiero za trzecim razem w drzwiach otworzyło się na krótką chwilę okienko. Jak tylko się zamknęło, w wejściu stanął podejrzanie uzbrojony sługa i wpuścił go do środka. Ezio zdradził mu cel swojej wizyty, a sługa zaprowadził go do komnaty na pierwszym piętrze, w której za pokrytym papierami biurkiem siedział Alberti. Nieco dalej za nim, przy dogasającym

w kominku ogniu, Ezio spostrzegł siedzącego na krześle mężczyznę, obróconego bokiem, wysokiego i dobrze zbudowanego; widać było jednak tylko jego profil, w dodatku niewyraźnie.

– Ezio? – powiedział podnosząc się ze zdziwieniem Alberti. – Co tu robisz o tej porze?

– Ja... Ja nie...

Alberti podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu.

– Poczekaj, moje dziecko. Weź oddech. Zbierz myśli.

Ezio skinął głową. Teraz czuł się bezpieczniej, choć z drugiej strony miał wrażenie, że zmęczenie czyni go bezbronnym. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru i nocy, poczynawszy od chwili, kiedy wyruszył z listami od Giovanniego, zaczęły dawać o sobie znać. Mosiężny zegar na biurku pokazywał, że zbliża się północ. Czy faktycznie upłynęło zaledwie 12 godzin od chwili, kiedy Ezio-chłopiec wybrał się z matką, by z pracowni malarskiej odebrać zamówione obrazy? Poczul, że łzy cisną mu się do oczu. Pozbierał się jednak i już jak Ezio-mężczyzna powiedział:

– Mój ojciec i bracia zostali uwięzieni. Nie wiem z czyjego rozkazu. Matka i siostra muszą się ukrywać, a nasz rodzinny dom splądrowano. Ojciec nakazał mi doręczyć ten list i papiery tobie, panie...

Ezio wyciągnął dokumenty z torby.

– Dziękuję ci.

Alberti założył okulary i umieścił list od Giovanniego w blasku płonącej na biurku świecy. W komnacie zapanowała cisza, zakłócona jedynie tykaniem zegara i od czasu do czasu miękkim odgłosem spadających na siebie, tłących się w kominku polan. Jeśli w pokoju rzeczywiście ktoś jeszcze był, Ezio zupełnie o nim zapomniał.

Alberti z uwagą przeglądał dokumenty. Siedział nad nimi jakiś czas, w końcu dyskretnie wsunął jeden z nich pod swój czarny kaftan. Inne odsunął na brzeg biurka, oddzielając je w ten sposób od reszty papierów.

– Doszło do strasznego nieporozumienia, mój drogi Ezio – powiedział zdejmując okulary Alberti. – To prawda, że wysunięto oskarżenia, i to poważne, i że proces rozpocznie się jutro rano. Wydaje mi się wszakże, że ktoś, być może mając ku temu jakieś powody, okazał się nadgorliwy. Ale nie martw się. Wszystko wyjaśnię.

– Ale jak, panie? – Ezio z trudem dawał mu wiarę.

– Dokumenty, które mi przyniosłeś, zawierają dowody na spisek przeciwko twojemu ojcu i przeciwko miastu. Pokażę je dzisiaj na rozprawie, a Giovanni i twoi bracia zostaną zwolnieni. Gwarantuję.

Ezia ogarnęło uczucie wielkiej ulgi. Uścisnął dłoń gonfaloniera.

– Jakże mam ci dziękować, panie?

– Ezio, wymierzanie sprawiedliwości to moja praca. Traktuję ją z wielką powagą, a poza tym... – tu zawahał się na chwilę – twój ojciec jest jednym z moich najbliższych przyjaciół.

Alberti uśmiechnął się.

– Ale jak ja się zachowuję! Nawet nie zaproponowałem ci wina... – tu przerwał. – A gdzie będziesz nocował? Ja mam jeszcze trochę pilnych spraw do załatwienia, ale moi słudzy dopilnują, byś miał pod dostatkiem jedzenia i picia, a potem żebyś trafił do ciepłego łóżka.

Wówczas Ezio jeszcze nie wiedział, dlaczego zrezygnował z tak życzliwej propozycji.

Było już dobrze po północy, kiedy opuścił rezydencję gonfaloniera. Nasunął na głowę kaptur i zaczął krążyć po ulicach, próbując uporządkować swoje myśli. Po chwili zorientował się, dokąd niosą go nogi.

Gdy już doszedł do celu, wspiął się na balkon, co okazało się dla niego o wiele łatwiejsze, niż przypuszczał – być może potrzeba, w jakiej się znalazł, wzmocniła jego mięśnie – i zapukał delikatnie w okiennice, cicho nawołując:

– Cristina! *Amore!* Obudź się! To ja.

Czekał, cicho jak kot, i nasłuchiwał. Słyszał, jak się poruszyła i podniosła

z łóżka. Potem zza okiennic dobiegł go jej głos, przestraszony:

– Kto tam?

– Ezio.

Natychmiast otworzyła okiennice.

– Co się dzieje? Co się stało?

– Wpuść mnie, proszę.

Siedząc na łóżku, wszystko jej opowiedział.

– Wiedziałałam, że coś jest nie tak – powiedziała Cristina. – Mój ojciec przez cały wieczór zdawał się czymś zmartwiony. Ale przecież wygląda na to, że wszystko będzie dobrze.

– Musisz pozwolić mi dziś tu zostać – nie martw się, wyjdę od ciebie na długo przed świtaniem – i muszę zostawić ci coś na przechowanie.

Zdjął torbę i położył ją między nimi.

– Muszę ci zaufać.

– Ezio, oczywiście, że możesz mi zaufać.

Ezio zapadł w niespokojny sen w jej ramionach.

4

To był szary, pochmurny poranek, a Florencję przytłaczał zaduch – ciepłe powietrze uwięziła unosząca się nad miastem chmura. Gdy Ezio przybył na Piazza della Signoria, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczył, że zebrał się już na nim liczny tłum. Na placu ustawiono podwyższenie, a na nim stół nakryty ciężkim brokatem, na tle którego widniał herb miasta. Za stołem widać było Uberta Albertiego oraz wysokiego, muskularnie zbudowanego mężczyznę z haczykowatym nosem, o zimnym, wyrachowanym spojrzeniu, odzianego w bogatą, szkarłatną togę – wydawał się nieznajomy, przynajmniej Eziowi. Uwaga Ezia skupiała się jednak na pozostałych stojących na podwyższeniu osobach – na jego ojcu i braciach, wszystkich zakutyh w łańcuchy; za nimi wznosiła się wysoka konstrukcja, podpierająca ciężką poprzecznicę, z której zwisały trzy pętle.

Ezio dotarł na plac w nastroju będącym mieszanką niepokoju i optymizmu – czyż gonfalonier nie zapewnił go, że dziś rano wszystko pomyślnie się rozstrzygnie? Teraz jednak jego odczucia diametralnie się zmieniły. Coś było nie tak, coś budziło zbyt wielki niepokój. Usiłował podejść bliżej, ale nie mógł przecisnąć się przez tłum – poczuł jak ogarnia go niezdolne uczucie klaustrofobii. Ze wszystkich sił próbował się uspokoić, próbował nadać swoim działaniom jakiś rozsądny kształt. Zatrzymał się, naciągnął kaptur i poprawił miecz u swego boku. Przecież Alberti chyba by go nie zawiódł? Przez cały czas widział, jak wysoki mężczyzna – Hiszpan, sądząc po stroju, rysach twarzy i karnacji – lustrował swoim przeszywającym wzrokiem zgromadzony tłum. Kim on był? Dlaczego Ezio go z kimś kojarzył? Czy spotkał go już wcześniej?

Gonfalonier, który w swojej urzędowej todze prezentował się iście imponująco, uniósł rękę, by uspokoić tłum, i niemal natychmiast na placu

zapanowała cisza.

– Giovanni Auditore! – powiedział Alberti władczym tonem, w którym czułe ucho Ezia wychwyciło nieudolnie ukrywaną nutę strachu. – Jesteś, wraz ze swoimi współnikami, oskarżony o dopuszczenie się zdrady stanu. Czy posiadasz jakieś dowody, które przeczyłyby temu zarzutowi?

Twarz Giovanniego wyrażała zdziwienie i niepokój.

– Tak. Wszystko jest w dokumentach, które zostały ci doręczone minionej nocy.

Lecz Alberti odpowiedział:

– Nie wiem nic o istnieniu takich dokumentów, Auditore.

Ezio wiedział już, że proces jest pokazowy, ale nie mógł zrozumieć, jak gonfalonier mógł dopuścić się tak wielkiej zdrady.

– To kłamstwo! – krzyknął, lecz jego głos zagłuszyło wycie tłumu.

Próbował precyzyjnie się bliżej podwyższenia, przepychając się przez rozzłoszczoną gawieź, ale tłum był zbyt gęsty – Ezio utknął w nim na dobre.

Znowu przemawiał Alberti:

– Zgromadzono i zbadano dowody świadczące przeciw tobie. Są niezbita. W świetle braku jakichkolwiek dowodów im przeczących, na mocy piastowanego przeze mnie urzędu, jestem zobowiązany orzec wobec ciebie i twoich współników, Federica i Petruccia, a także – *in absentia* – twojego syna Ezia, iż jesteście winnymi zbrodni, o którą się was oskarża – tu przerwał, a tłum po raz kolejny się uciszył. – Niniejszym skazuję was wszystkich na śmierć i nakazuję natychmiastowe wykonanie wyroku.

Tłum znów zawył. Na sygnał Albertiego kat przygotował pętle, a jego dwaj pomocnicy pod szubienicę jako pierwszego zaprowadzili małego Petruccia, który próbował powstrzymywać łzy. Gdy zakładano mu na szyję sznur, odmawiał w pośpiechu jakąś modlitwę, a ksiądz skrapiał mu głowę wodą święconą. Potem kat pociągnął za dźwignię szubienicy i chłopiec zawisnął; przez jakiś czas kopał nogami w powietrzu, po czym znieruchomiał.

– Nie... – powiedział bezgłośnie Ezio, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

– Nie, Boże, proszę, nie...

Słowa utknęły mu w gardle, a jego duszą zawładnęło uczucie niepowetowanej straty.

Następny był Federico. Krzycząc, że on i jego rodzina są niewinni, bezowocnie próbował wyswobodzić się z uchwytu strażników, którzy mocując się z nim, prowadzili go pod stryczek. Ezio, który wychodził z siebie, usiłując przedostać się do przodu, zobaczył, jak po bladym policzku ojca spływa samotna łza. Z przerażeniem obserwował, jak jego starszy brat, a zarazem najlepszy przyjaciel, szarpał w powietrzu za sznur, na którym zawisnął. Zejście z tego świata zajęło mu więcej czasu niż Petrucciowi, ale w końcu również i jego ciało zamarło w bezruchu, huśtając się na szubienicy. W ciszy, jaka zaległa, dało się słyszeć tylko trzeszczenie drewnianej belki. Ezio walczył z jakimś wewnętrznym niedowierzaniem – czy to aby działo się naprawdę?

Tłum zaczął szemrać, ale od razu uciszył go jakiś donośny głos. Mówił Giovanni Auditore:

– To tyś jest zdrajcą, Uberto. Ty, jeden z moich najbliższych współpracowników i przyjaciół, ty, któremu powierzyłem swoje życie. Głupiec ze mnie! Nie podejrzewałem, że możesz być jednym z nich! – tu podniósł głos, który przeszedł w pełen bólu i wściekłości krzyk: – Dziś pozbawiasz nas życia, ale zapamiętaj sobie: zapłacisz nam za to swoim!

Spuścił głowę i zamilkł. W przejmującej ciszy, zakłócanej tylko szeptanymi przez księdza modlitwami, Giovanni podszedł do szubienicy, by wyprawić swoją duszę w jej ostatnią, wielką podróż.

Ezio na początku był w zbyt wielkim szoku, by poczuć żal. Miał wrażenie, że uderzyła go jakaś potężna, żelazna pięść. Lecz gdy pod Giovannim otworzyła się zapadnia, nie mógł się powstrzymać.

– Ojcze! – zawołał łamiącym się głosem.

Natychmiast wypatrzył go Hiszpan. Czy w jego wzroku było coś nadprzyrodzonego, skoro dojrzał go w tak wielkim morzu ludzi? Jakby

w zwolnionym tempie Ezio zobaczył, jak Hiszpan pochyła się do Albertiego, coś szepcze i wskazuje.

– Straże! – zawołał Alberti, pokazując w tym samym co Hiszpan kierunku.
– Tam! Tam jest jeszcze jeden z nich! Brać go!

Zanim tłum zdążył zareagować, Ezio przedarł się na skraj zgromadzenia, obdzielając ciosami pięści każdego, kto zagradzał mu drogę. Tam czekał na niego strażnik. Chwycił go i zerwał mu z głowy kaptur. Działając jakby pod wpływem jakiejś wewnętrznej, instynktownej siły, Ezio wyszarpnął się z jego uścisku, jedną ręką dobył miecza, a drugą chwycił go za gardło. Jego reakcja była szybsza, niż spodziewał się strażnik, i zanim zdążył poruszyć rękoma, by się bronić, Ezio zacisnął jednocześnie obie dłonie, jedną na gardle strażnika, drugą – na rękojeści miecza. Jednym szybkim ruchem przeszył swojego napastnika na wylot, a wyciągając z niego ostrze, rozplątał go tak, że spod tuniki wylały się na bruk wnętrzności mężczyzny. Odrzucił martwe ciało na bok, zwrócił się ku podwyższeniu i utkwiał swój wzrok w Albertim.

– Zabiję cię za to – wykrzyczał napiętym od nienawiści i wściekłości głosem.

Zbliźali się do niego kolejni strażnicy. Ezio, nad którym wzięła górę instynkt samozachowawczy, rzucił się do ucieczki w kierunku względnie bezpiecznych wąskich uliczek odchodzących od placu. Ku swojemu przerażeniu ujrzał dwóch innych strażników, którzy biegli, by odciąć mu drogę.

Spotkali się wszyscy na skraju placu. Dwóch strażników stanęło przodem do niego, blokując mu przejście, a pozostali zbliźali się od tyłu. Ezio, jak oszalały, rzucił się do walki. Pechowo dla niego, jeden ze strażników mocno odparował cios i wytrącił mu z rąk miecz. Obawiając się, że to już koniec, Ezio odwrócił się, by uciec napastnikom, zanim jednak zdążył się rozpędzić, zdarzyło się coś zadziwiającego. Z wąskiej uliczki, w którą się skierował i od której dzieliło go dosłownie kilkanaście kroków, wyłonił się niedbale ubrany mężczyzna. Z szybkością błyskawicy rzucił się na dwóch strażników, zaszedł

ich od tyłu i długim sztyletem podciął im pachy pod rękoma, w których dzierżyli miecze; rozcięte ścięgni sprawiły, że ich ramiona zwisły bezwładnie. Mężczyzna poruszał się tak szybko, że Eziowi trudno było nadążyć za nim wzrokiem; ledwie zobaczył, jak podnosi jego miecz i rzuca mu go. W końcu go rozpoznał i jeszcze raz poczuł zapach cebuli i czosnku. Zapach, który w tej właśnie chwili Eziowi wydał się wspanialszy niż aromat damasceńskiej róży.

– Uciekaj stąd! – krzyknął do niego mężczyzna i sam zniknął mu z oczu.

Ezio dał nura w uliczkę, a potem w sieć przecznic i alejek, które znał jak własną kieszeń ze swoich nocnych wypadów z Federikiem. Wrzawa, która przez jakiś czas dobiegała zza jego pleców, teraz już ucichła. Podążał wzdłuż rzeki, w końcu znalazł schronienie w opuszczonej budce strażniczej za jednym z magazynów należących do ojca Cristiny.

W tej oto godzinie Ezio przestał być chłopcem i ostatecznie stał się mężczyzną. Ciężar odpowiedzialności – pomścić i naprawić niesłuchane zło, które spotkało jego rodzinę – spadł na jego barki jak ciężka, gruba peleryna.

Opadł na stertę porzuconych worków i poczuł, że całe jego ciało zaczyna drżeć. Jego świat został podarty na strzępy. Ojciec... Federico... i, Boże, nie!... mały Petruccio... nie ma ich już, nie żyją, wszyscy zamordowani. Złapał się za głowę i wybuchnął płaczem – nie był w stanie zapanować nad wylaniem z siebie całego smutku, strachu i nienawiści. Dopiero po kilku godzinach odważył się unieść twarz znad zasłaniających ją dłoni i spojrzeć przed siebie nabiegłymi krwią i przepełnionymi nieugiętym postanowieniem zemsty oczami. Ezio wiedział już, że życie, jakie do tej pory wiódł, bezpowrotnie minęło. Ezio-chłopiec odszedł na zawsze. Od teraz jego egzystencja była podporządkowana wyłącznie jednemu celowi – zemście.

Nieco później tego samego dnia, zdając sobie sprawę, że strażnicy wciąż go szukają, udał się bocznymi uliczkami do rodzinnej rezydencji Cristiny. Nie chciał wystawiać jej na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ale musiał odzyskać swoją torbę z jej cenną zawartością. Gdy dotarł na miejsce, ukrył się

w ciemnej, cuchnącej moczem wnęce i czekał w bezruchu, mimo szcurów kłębiących się u jego stóp, na światło w oknie Cristiny – znak, że szykuje się do snu.

– Ezio! – zawołała, ujrawszy go na swoim balkonie. – Dzięki Bogu! Żyjesz!

Na jej twarzy pojawiło się uczucie ulgi, ale tylko na chwilę – prawie natychmiast zastąpił je smutek.

– Twój ojciec... bracia... – nie mogła dokończyć zdania i spuściła głowę.

Ezio objął ją i przez kilka chwil stali w milczeniu, wtuleni w siebie. W końcu wyrwała się z jego ramion.

– Oszalałeś?! Co jeszcze robisz we Florencji?

– Wciąż mam tu kilka spraw do załatwienia – odparł ponuro. – Nie mogę jednak zostać dłużej, to za duże ryzyko dla twojej rodziny. Jeśli doszliby do wniosku, że mnie ukrywasz...

Cristina stała w ciszy.

– Daj mi moją torbę i znikam.

Przyniosła ją, ale zanim mu ją oddała do rąk, zapytała:

– Co będzie z twoją rodziną?

– To moja pierwsza powinność. Muszę pochować moich zmarłych. Nie mogę dopuścić, by wrzucono ich do dołu z wapnem jak zwykłych kryminalistów.

– Wiem, dokąd zabrano ich zwłoki.

– Skąd?

– Wszyscy w mieście mówili o tym przez cały dzień. Teraz nikogo tam nie będzie. Ciała złożono przy Porta San Niccolò, razem ze zwłokami nędzarzy. Jest już przygotowana mogiła, czekają tylko na wozy z wapnem, które mają przyjechać nad ranem. Ezio...

Głos Ezia był spokojny, ale zarazem stanowczy:

– Muszę dopilnować, by mój ojciec i bracia godnie odeszli z tego świata. Nie mogę zamówić im *Requiem*, ale przynajmniej oszczędzę im poniżenia.

– Pójdę z tobą.

– Nie! Wiesz, co by było, gdyby złapali cię ze mną?

Cristina opuściła wzrok.

– Muszę też zadbać o to, by moja matka i siostra pozostały bezpieczne, poza tym jestem dłużny swojej rodzinie jeszcze jedną śmierć – tu przerwał na chwilę. – Potem wyjadę. Może na zawsze. Muszę cię o to zapytać... Wyjedziesz ze mną?

Cofnęła się, a Ezio dostrzegł w jej oczach ścierające się z sobą uczucia. Widział w nich miłość, głęboką i trwałą; tyle że od czasu, gdy po raz pierwszy tulili się do siebie, on stał się mężczyzną, a ona wciąż pozostała dziewczyną. Jakże mógłby się spodziewać po niej aż takiego poświęcenia?

– Chciałabym, Ezio, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo... Ale moja rodzina... Rodzice umarliby z żalu...

Ezio spojrzał na nią łagodnym wzrokiem. Mimo iż byli rówieśnikami, doświadczenia ostatnich dni sprawiły, że w krótkim czasie stał się o wiele dojrzałszy niż ona. Nie miał już rodziny, od której zależało jego życie – przeciwnie, to na nim ciążyły odpowiedzialność i obowiązek.

– Źle się stało, że cię w ogóle o to zapytałem. Kto wie, może pewnego dnia, gdy to wszystko pozostanie już za nami...

Sięgnął do szyi i z fałdów kołnierza wy dobył ciężki srebrny medalion na pięknym łańcuszku ze złota. Zdjął go. Medalion miał prostą formę – widniała na nim jedynie litera „A”, inicjał nazwiska jego rodziny.

– Chcę, byś to ode mnie przyjęła. Proszę.

Cicho szlochając, wzięła łańcuszek z medalionem w drżące dłonie. Spojrzała na niego, a potem podniosła wzrok na Ezia, by mu podziękować, by raz jeszcze spróbować się usprawiedliwić.

Jego już jednak nie było.

Na południowym nabrzeżu Arno, w pobliżu Porta San Niccolò Ezio odnalazł przygnębiające miejsce, gdzie obok wielkiej, ziejącej czernią mogiły, spoczywały przygotowane do pochówku ciała. Okolicę patrolowało dwóch

żałośnie wyglądających strażników, sądząc po zachowaniu – świeżych rekrutów, którzy bardziej wlekli za sobą halabardy, niżli je nieśli. Na widok ich uniformów w Ezio wezbrał gniew, a jego pierwszą, instynktowną reakcją było pragnienie, by ich zabić. Dziś jednak napatrzył się już dość śmierci, poza tym byli to chłopcy ze wsi, którzy zaciągnęli się do straży, licząc, że życie ich stanie się choćby trochę znośniejsze. Gdy ujrzał ciała ojca i braci, leżące blisko krawędzi mogiły, wciąż z pętlami na otartych szyjach, wielki żal ścisnął mu serce. Utwierdził się w przekonaniu, że gdy strażnicy zapadną w sen, na co z pewnością nie trzeba będzie zbyt długo czekać, zdoła donieść ciała na brzeg rzeki, gdzie wcześniej przygotował łódź wypełnioną chrustem.

Gdy uporał się ze wszystkim, było już koło trzeciej nad ranem i słaba poświata nadchodzącego poranka rozjaśniała niebo na wschodzie. Stał samotnie na brzegu rzeki, obserwując, jak łódź, niosąca ciała jego najbliższych, cała w płomieniach, dryfuje wolno z prądem rzeki. Patrzył tak aż do chwili, gdy migoczące światło ognia zniknęło w oddali...

Udał się z powrotem do miasta. Głęboka determinacja wzięła górę nad żalem. Wciąż miał tu wiele spraw do załatwienia. Wszedł do budki strażnika i ułożył się w niej tak wygodnie, jak tylko się dało. Chwila snu nie była od rzeczy. Cristina nie opuszczała jego myśli, a potem snów...

Wiedział mniej więcej, gdzie znajduje się dom siostry Annetty, Paoli, choć nigdy tam nie był, ani nigdy jej osobiście nie spotkał. Annetta była jego mamką i dobrze zdawał sobie sprawę, że komu jak komu, ale jej może ufać na pewno. Zastanawiał się, czy wie o losie, jaki spotkał jego ojca i braci, a jeśli tak, to czy podzieliła się tą tragiczną wieścią z jego matką i siostrą.

Zmierzał tam okrężną drogą, cały czas mając się na baczności; gdzie tylko mógł, biegł w przysiadzie po dachach, omijając ruchliwe ulice, na których – był tego pewny – trafiłby na szukających go ludzi Uberta Albertiego. Ezio nie mógł przestać myśleć o zdradzie, której dopuścił się Alberti. Kogo miał na myśli ojciec, mówiąc, że gonfalonier jest „jednym z nich”? Co sprawiło, że Alberti doprowadził do śmierci jednego ze swoich najbliższych

sojuszników?

Ezio wiedział, że dom Paoli mieści się przy pierwszej ulicy na północ od katedry, jednak kiedy tam dotarł, nie mógł się zdecydować, który to budynek. Na frontowych ścianach domów wisały szyldy, ale zejście na ulicę i sprawdzanie każdego z nich było zbyt ryzykowne. Miał już wracać, gdy ujrzał Annetę, nadchodzącą od strony Piazza San Lorenzo.

Nasunąwszy na głowę kaptur tak, by ukryć twarz w jego cieniu, Ezio wyszedł jej na spotkanie; starał się iść w zwykłym tempie, robiąc wszystko, co w jego mocy, by wtopić się w tłum mieszczan, załatwiających swojej sprawy. Minał nawet idącą z przeciwka Annetę, stwierdzając z zadowoleniem, że zupełnie nie zwróciła na niego uwagi. Przeszedł jeszcze kilka kroków dalej i zawrócił, a dogoniwszy Annetę, zrównał z nią swój chód.

– Annetto...

Miała na tyle rozumu, by się do niego nie obracać.

– Ezio. Jesteś bezpieczny.

– Nie powiedziałbym. A czy matka i siostra...?

– Są pod dobrą opieką. Ezio... Twój biedny ojciec... Federico... i... – zdusiła w gardle płacz – nasz mały Petruccio... Wracam właśnie z kościoła San Lorenzo. Zapaliłam w ich intencji świeczkę do świętego Antoniego. Ludzie mówią, że wkrótce do miasta wróci książę. Być może...

– Czy matka i Claudia wiedzą, co się stało?

– Uznałyśmy, że lepiej im o tym nie mówić.

Ezio zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, tak jest najlepiej. Powiem im sam, gdy przyjdzie na to czas – przerwał, po czym zapytał: – Zabierzesz mnie do nich? Nie wiem, w którym domu mieszka twoja siostra.

– Właśnie tam idę. Trzymaj się blisko i idź za mną.

Ezio odsunął się nieco do tyłu, ale nie spuszczał jej z oczu.

Budynek, do którego weszła, miał ponurą fasadę, niczym forteca, jak

zresztą wiele innych, okazałych florenckich budowli, ale gdy Ezio znalazł się wewnątrz, wielce się zdumiał.

Okazało się, że oto stoi w bogato zdobionym, rozległym salonie o wysokim sklepieniu. Panował w nim mrok i zaduch. Ściany przykrywały aksamitne zasłony w kolorystyce ciemnego szkarłatu i głębokiego brązu, rozdzielone orientальnymi arrasami, przedstawiającymi niedwuznaczne sceny przepychu i cielesnych rozkoszy. Mrok pomieszczenia rozpraszał blask świec, a w powietrzu unosił się zapach kadzidła. Pod ścianami ustawiono głębokie kozetki, wyściełane poduszkami z kosztownego brokatu, oraz niskie stoły, na których znajdowały się tace z winem w srebrnych karafkach, kielichy z weneckiego szkła i złote misy z przysmakami. Jednak największym zaskoczeniem były przebywające tam osoby. Tuzin pięknych dziewczyn, odzianych w żółte i zielone jedwabie i atłasy, skrojone we florenckim stylu. Ich suknie były rozcięte aż do ud, a dekolty tak głębokie, że nie pozostawiały już niczego wyobraźni, może poza obietnicą tego, czego wyobraźnia nie powinna już podpowiadać. Wzdłuż trzech ścian pomieszczenia, pod zasłonami i arrasami, znajdowała się pewna liczba drzwi.

Ezio rozejrzał się tak, jakby nie wiedział, na czym zawiesić wzrok.

– Jesteś pewna, że dobrze trafiliśmy? – zapytał Annetę.

– *Ma certo!* Oto i moja siostra...

Ze środka salonu podchodziła ku nim właśnie pełna gracji kobieta, która najwyraźniej dobiegała czterdziestki, ale wyglądała na dziesięć lat młodszą. Była tak piękna, jak najprzedniejsza *principessa* i równie pięknie, jeśli nie piękniej ubrana. W jej oczach tlił się smutek, co w pewien sposób potęgowało emanujący z niej erotyzm, a Ezio, mimo wszystkich myśli, które kłębiły mu się w głowie, poczuł się zmieszany.

Kobieta wyciągnęła do niego swoją dłoń – miała długie palce, a na nich mnóstwo pierścieni.

– Miło mi cię poznać, *messer Auditore* – spojrzała na niego badawczo. – Annetta bardzo pochlebnie się o tobie wyrażała. Teraz już wiem dlaczego.

Ezio, rumieniąc się mimowolnie, odrzekł:

– Dziękuję za miłe słowo, madonna...

– Proszę, mów mi Paola.

Ezio skinął głową.

– Nie potrafię w sposób wystarczający wyrazić ci swojej wdzięczności za roztoczenie opieki nad moją matką i siostrą, mado... to znaczy Paolo.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

– Czy one tu są? Mogę się z nimi zobaczyć?

– Nie, nie ma ich tutaj. To nie miejsce dla nich, poza tym niektórzy z moich klientów mają wysokie stanowiska w radzie miasta.

– A zatem, czy to... wybaczyć, ale czy to jest tym, czym mi się wydaje?

Paula roześmiała się.

– Oczywiście! Mam wszak nadzieję, że odróżnia się nieco od lupanarów przy dokach. Teraz jest jeszcze za wcześnie na ruch w interesie, ale lubimy być przygotowane – zawsze może się trafić jakiś przypadkowy klient w drodze do swojego biura. Zjawiłeś się więc o idealnej porze.

– Gdzie jest moja matka? Gdzie Claudia?

– Są bezpieczne, Ezio, ale teraz zbyt wielkim ryzykiem byłoby zaprowadzić cię do nich; w twojej sytuacji ostrożności nigdy za wiele.

Pociągnęła go w kierunku sofy i usiadła przy nim, a Annetta zniknęła gdzieś we wnętrzu domu, mając pewnie mnóstwo swoich sprawy na głowie.

– Myślę, że najlepiej by było – kontynuowała Paola – gdybyś razem z nimi opuścił Florencję przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale zanim to zrobisz, musisz odpocząć. Musisz odzyskać siły, bo będziesz miał przed sobą długą i męczącą drogę. Może chciałbyś...

– To bardzo życzliwe z twojej strony, Paolo – łagodnie przerwał jej Ezio – i masz rację w tym, co mówisz. Lecz teraz... po prostu nie mogę tu zostać.

– Dlaczego? Dokąd pójdziesz?

Podczas rozmowy z Paolą Ezio stopniowo odzyskiwał spokój, a wszystkie ścigające się ze sobą myśli zespoliły się w jedną. W końcu mógł się

zdystansować od przeżytego wstrząsu i strachu, podjął bowiem decyzję, która postawiła przed nim jasny cel; wiedział, że jest to decyzja nieodwołalna:

– Chcę zabić Uberto Albertiego.

Paola wyglądała na zmartwioną.

– Rozumiem twoje pragnienie zemsty, ale gonfalonier to wpływowy człowiek, a ty, Ezio, nie jesteś urodzonym zabójcą...

„Los czyni go ze mnie” – pomyślał i najuprzejmiej, jak tylko potrafił, powiedział:

– Oszczędź mi tych kazań.

Paola zignorowała go jednak i dokończyła zdanie:

– ...ale mogę sprawić, byś się nim stał.

– Dlaczego... dlaczego miałabyś uczyć mnie zabijania? – Ezio usiłował ukryć swoją podejrzliwość.

Pokręciła głową.

– Po to, by cię nauczyć, jak przeżyć.

– Nie jestem pewien, czy potrzebuję twoich nauk.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, co czujesz, ale mimo wszystko pozwól mi udoskonalić twoje naturalne zdolności. Pomyśl o moich naukach jak o dodatkowej broni w twoim arsenale.

Zacząła szkolić Ezia jeszcze tego samego dnia, posiłkując się dziewczynami, które miały wolne, i zaufanymi służącymi. W otoczonym wysokim murem ogrodzie za domem zebrała 20 osób i podzieliła je na pięć czteroosobowych grup, które zaczęły przechadzać się po ogrodzie, rozmawiając i śmiejąc się; niektóre z dziewczyn rzucały Eziowi zalotne spojrzenia i uśmiechy, ten jednak, wciąż z drogocenną torbą u boku, pozostawał nieczuły na ich wdzięki.

– Zaczynamy – powiedziała Paola. – W mojej profesji podstawowe znaczenie ma dyskrecja. Chodzimy po ulicach zupełnie swobodnie. Jesteśmy widoczne, ale niezauważalne. Musisz nauczyć się od nas, jak wmieszać się

w tłum i jak stopić się z nim w jedno.

Ezio już chciał zaoponować, ale Paola wcześniej zdążyła podnieść rękę:

– Wiem! Annetta mówiła mi, jesteś w tym niezły, ale musisz nauczyć się więcej, niż ci się zdaje. Chciałabym, byś wybrał sobie grupę i spróbował się w nią wmieszać tak, żebym nie była w stanie cię z niej wyłuskać. Pamiętaj, co przytrafiło ci się podczas egzekucji.

Te szorstkie słowa dotknęły Ezia do żywego, ale stawiane przed nim zadanie nie wydawało mu się aż takie trudne – wystarczyło pamiętać o dyskrecji. A jednak, pod czujnym wzrokiem Paoli, Ezio przekonał się, że wcale nie jest to takie łatwe, jak się spodziewał. Czasem niezdarnie kogoś potrącał lub się o kogoś potykał, sprawiając, że dziewczyny i słudzy z danej grupy rozpraszali się, pozostawiając go na widoku. Ogród był wyjątkowo przyjemnym miejscem, skąpanym w słońcu i porośniętym bujną roślinnością, z ptakami świergoczącymi w koronach ozdobnych drzew, ale w wyobraźni Ezia stał się labiryntem nieprzyjaznych miejskich uliczek, gdzie każdy przechodeń mógł okazać się wrogiem. I za każdym razem, gdy Ezio myślał, że już mu się udało, dobiegały go irytujące uwagi Paoli:

– Ostrożnie! – mówiła. – Nie możesz tak wchodzić w ludzi.

– Okaż moim dziewczynom choć trochę szacunku! Przechodź obok nich z większą uwagą!

– Jak masz zamiar wmieszać się w tłum ludzi, skoro cały czas na nich wpadasz?

– Ezio, spodziewałam się po tobie czegoś więcej!

Trzeciego dnia liczba jej kąśliwych komentarzy wyraźnie zmalała, a rankiem czwartego dnia Ezio przeszedł przed samym nosem Paoli, której nawet nie drgnęła powieka. I rzeczywiście, po piętnastu minutach milczenia, Paola zawołała:

– No dobrze, Ezio, poddaję się! Gdzie jesteś?

Zadowolony z siebie, Ezio wyłonił się z grupki dziewcząt, przypominając w dodatku jednego z młodych służących. Paola uśmiechnęła się i nagrodziła

go oklaskami, a inni przyłączyli się do jej aplauzu.

Praca nie kończyła się jednak w tym miejscu.

– Skoro nauczyłeś się już, jak wtapiać się w tłum – powiedziała mu Paola kolejnego dnia – pokażę ci, jak wykorzystać tę umiejętność, by kraść.

Ezio wzdrygnął się na te słowa, ale Paola wyjaśniła:

– Okradanie to jedna z kluczowych umiejętności, które przydadzą ci się podczas twojej misji. Człowiek bez pieniędzy jest nikim, a nie zawsze będziesz miał okazję, by je uczciwie zarobić. Wiem, że nie okradłbyś przyjaciela, ani nikogo, kogo nie stać na jakąkolwiek stratę. O kradzieży myśl tak jak o ostrzu w składanym nożu: rzadko z niego korzystasz, ale dobrze wiedzieć, że zawsze możesz.

Nauka okradania była o wiele trudniejsza. Umiał chyłkiem podejść do tej czy innej dziewczyny, ale jak tylko zbliżał swoją rękę do torebki przy jej pasie, ta podnosiła wrzask „*Al ladro!*” i uciekała. Gdy po raz pierwszy udało mu się wyciągnąć z czyjejś sakiewki kilka monet, zatrzymał się na chwilę, napawając się swoim sukcesem, ale zaraz poczuł na ramieniu ciężką dłoń.

– *Ti arresto!* – uśmiechając się powiedział służący, który wcielił się w rolę miejskiego strażnika; Paoli jednak nie było do śmiechu.

– Gdy już kogoś okradłeś – powiedziała – nie wolno ci się ociągać.

Lecz teraz uczył się szybciej i zaczynał dochodzić do wniosku, że nabycie nowych umiejętności jest wręcz konieczne do pomyślnego wypełnienia swojej misji. Po tym, jak udało mu się okraść dziesięć dziewcząt, w tym pięć ostatnich tak, że Paola zupełnie niczego nie zauważyła, lekcja dobiegła końca.

– Wracajcie do pracy, dziewczyny – nakazała Paola. – Koniec zabawy.

– Musimy? – pomrukiwały niechętnie dziewczęta, oglądając się na odchodnym za Eziem. – Jest taki przystojny... Taki niewinny...

Paola była jednak niewzruszona.

Zostali sami i przechadzali się po ogrodzie. Przez cały czas Ezio trzymał swoją dłoń na torbie.

– Teraz, gdy już wiesz, jak podejść nieprzyjaciela – powiedziała – musimy znaleźć ci odpowiednią broń, coś o wiele bardziej wyrafinowanego niż miecz.

– O czym myślisz?

– O czymś, co w zasadzie już masz! – odpowiedziała, pokazując Eziowi postrzępione ostrze i ochraniacz, które zabrał ze skrzyni ojca, i które – jak przez cały czas sądził – trzyma bezpiecznie schowane w torbie. Zszokowany, otworzył ją i pogrzebał w środku. Rzeczywiście, obie rzeczy zniknęły!

– Paolo, jak u licha...

Paola parsknęła śmiechem.

– Jak udało mi się to zdobyć? Korzystając z tych samych technik, których cię przed chwilą uczyłam. A oto kolejna, krótka lekcja: wiesz, jak niepostrzeżenie przetrząsać ludziom kieszenie, ale musisz się jeszcze nauczyć, jak bronić się przed tymi, którzy posiadają tę samą umiejętność.

Ezio spojrzał posępnie na uszkodzone ostrze, która Paola włożyła mu z powrotem do torby.

– To jakiś dziwny mechanizm, który chyba nie działa... – powiedział Ezio.

– No tak – odpowiedziała energicznie Paola. – Wydaje mi się jednak, że znasz już *messer* Leonarda?

– Leonarda da Vinci? Tak, poznałem go zaraz przed... – przerwał w pół zdania, usiłując się powstrzymać przed rozgrzebywaniem bolesnych wspomnień. – Ale jak ten malarz mógłby mi pomóc?

– To ktoś więcej niż tylko malarz. Zanieś mu te części, a sam się przekonasz.

Ezio, rozumiejąc, co miała na myśli, pokiwał głową, po czym powiedział:

– Zanim odejdę, czy na koniec mogę zadać ci jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Dlaczego ty i twoje dziewczęta tak chętnie udzieliłyście pomocy nieznanemu?

Paola uśmiechnęła się smutno. W odpowiedzi podciągnęła jeden

z rękawów swojej sukni, odsłaniając jasne, delikatne, piękne przedramię, które szpeciła przerażająca siatka ciemnych i długich blizn. Ezio spojrzał i od razu zrozumiał. Tę kobietę ktoś kiedyś torturował.

– Ja też wiem, co to zdrada – powiedziała Paola.

Wiedział już, że oto spotkał bratnią duszę.

5

Odległość, dzieląca luksusowy dom rozkoszy Paoli od ruchliwych ulic dzielnicy, w której mieściła się pracownia Leonarda, nie była zbyt duża, ale należało przejść przez rozległy i tętniący gwarem Piazza del Duomo, gdzie Ezio przekonał się, jak przydatna jest jego nowo wyuczona umiejętność wtapiania się w tłum. Od egzekucji minęło dobre dziesięć dni, więc można było przypuszczać, iż Alberti założył, że Ezio już dawno opuścił Florencję. Ten jednak mimo wszystko nie chciał ryzykować, a sądząc po liczbie strażników rozstawionych na placu i wokół niego, nie chciał ryzykować również i Alberti. Poza tym na pewno kręcili się tu szpiedzy w cywilnych ubraniach. Ezio szedł ze spuszczoną głową, którą pochylił jeszcze bardziej, przechodząc między katedrą a baptysterium, gdzie ruch na placu był największy. Minął dzwonnice Giotto, która górowała nad miastem już od prawie stu pięćdziesięciu lat, a potem wielką, czerwoną bryłę kopuły Brunelleschiego, ukończonej zaledwie piętnaście lat wcześniej. Nie patrzył na te budowle, ale widział grupy francuskich i hiszpańskich pielgrzymów, spoglądających ku górze z niekłamanym zdumieniem i podziwem, co wypełniło jego serce dumą ze swojego miasta. Ale czy to miasto było wciąż jego?

Tłumiąc w sobie te i inne ponure myśli, Ezio szybko skręcił z południowej strony placu w ulicę wiodącą do pracowni Leonarda. Wszedł do niej. Pracownia pogrążona była w jeszcze większym chaosie niż kiedykolwiek przedtem, choć można było odnieść wrażenie, że w całym tym szaleństwie była jednak jakaś metoda. W porównaniu do tego, co widział tu ostatnim razem, przybyło trochę różnych przedmiotów, a z sufitu zwisała jakaś przedziwna konstrukcja, przypominająca powiększony model szkieletu nietoperza. Na jednej ze sztalug przypięto pergamin z projektem wielkiego,

niezwykle skomplikowanego ornamentu, pod którym, w rogu, znajdowała się nieczytelna bazgranina Leonarda. Do Agniola dołączył kolejny asystent, Innocento, i we dwójkę usiłowali zaprowadzić w pracowni jakiś porządek, katalogując jej wyposażenie, by mieć nad nim jakąkolwiek kontrolę.

– Jest na dziedzińcu, z tyłu domu – poinformował Ezia Agniolo. – Przejdź śmiało, panie. Nie będzie ci tego miał za złe.

Gdy Ezio zobaczył Leonarda, ten pochłonięty był niecodzienną czynnością. W każdym dosłownie zakątku Florencji można było kupić klatkę ze śpiewającym ptakiem. Ludzie wieszali je w oknach dla czystej przyjemności, a gdy stworzenie zdychało, zastępowali je nowym. Leonardo zaś otoczony był tuzinem takich klatek; na oczach Ezia wybrał jedną z nich, otworzył jej wiklinowe drzwiczki, uniósł ją do góry i obserwował, jak zamknięta w niej makolągwa podchodzi do wyjścia, przeciska się przez nie i wylatuje. Leonardo, dopóki nie zniknęła, nie spuszczał jej z oczu, po czym odwrócił się po kolejną klatkę, ale właśnie spostrzegł stojącego tam Ezia.

Uśmiechnął się ujmująco na jego widok i objął go. Potem jego twarz spochmurniała.

– Ezio! Przyjacielu. W ogóle się tu ciebie nie spodziewałem – nie po tym, co przeszedłeś. Ale witaj, witaj... Tylko wytrzymaj jeszcze chwilkę. Nie potrwa to długo.

Ezio patrzył, jak Leonardo wypuszcza, jeden po drugim, rozmaite drozdy, gile, skowronki i o wiele droższe słowiki, dokładnie śledząc wzrokiem lot każdego z nich.

– Co robisz? – zapytał Ezio ze zdumieniem w głosie.

– Każde życie jest cenne – odpowiedział prosto Leonardo. – Nie mogę znieść widoku stworzeń, z którymi dzielę świat, uwięzionych tylko dlatego, że mają piękne głosy.

– Czy to jedyny powód, dla którego je uwalniasz? – zapytał Ezio, spodziewając się jakiegoś innego, najwyraźniej ukrytego motywu.

Leonardo uśmiechnął się, ale nie odpowiedział wprost.

– Z tego samego powodu nie jem już mięsa. Dlaczego jakieś zwierzę miałyby ginąć z tej tylko przyczyny, że nam smakuje?

– Gdyby nie to, hodowcy nie mieliby pracy.

– Mogliby wszyscy obsiać pola zbożem.

– Tylko sobie wyobraź, jak zrobiłoby się nudno. No i mielibyśmy problem z nadwyżkami.

– Och, zapomniałem, żeś *finanziatore*. Zapominam też o dobrych manierach. No więc cóż cię do mnie sprowadza?

– Potrzebuję twojej przysługi, Leonardo.

– Czym mogę ci służyć?

– Jest coś, co... odziedziczyłem po ojcu. Chciałbym, żebyś to naprawił, jeśli tylko potrafisz.

Leonardowi zaświeciły się oczy.

– Oczywiście. Proszę, tędy... Skorzystamy z zaplecza – w pracowni chłopcy robią taki bałagan, jak zwykle zresztą! Czasem zastanawiam się, po co, u licha, ich w ogóle zatrudniałem!

Ezio uśmiechnął się. Wiedział, że największą miłością Leonarda była jego praca, a teraz zaczynał rozumieć dlaczego.

– Tędy.

Zaplecze Leonarda, w porównaniu do jego pracowni, było o wiele mniejszym i pogrążonym w jeszcze większym bezładzie pomieszczeniem. Spośród całej masy wypełniających je ksiąg, rozmaitych okazów i papierów pokrytych jego nieczytelną bazgraniną, artysta, jak zwykle niestosownie, ale poza tym nienagannie ubrany i pachnący, wydobywał różne rzeczy, i kładł je na stosie innych, aż do momentu, gdy na wielkim stole kreślarskim zwolniło się miejsce.

– Przepraszam za ten cały zamęt – powiedział. – W końcu mamy swoją małą enklawę. Zobaczmy, cóż tam dla mnie masz... Chyba że wcześniej zechciałbyś napić się wina?

– Nie, nie.

– Dobrze więc – powiedział z zapalem Leonardo – przyjrzyjmy się temu czemuś.

Ezio ostrożnie wyjął ostrze, ochraniacz i mechanizm, które uprzednio owinął w tajemniczy arkusz welinu, z którym je znalazł. Leonardo usiłował poskładać części mechanizmu w działającą całość, ale bezskutecznie. Przez chwilę wydawało się, że traci nadzieję.

– Nie potrafię, Ezio – powiedział zrezygnowany. – Ten mechanizm jest stary, i to bardzo, ale jest też bardzo wyrefinowany, a jego konstrukcja... powiedziałbym, że wyprzedza nawet nasze czasy. Fascynujące – popatrzył w górę, po czym dodał: – Na pewno nigdy nie widziałem czegoś podobnego. I obawiam się, że bez oryginalnych planów niewiele tu zdziałam.

Nagle jego uwagę przyciągnął welin, który wziął do ręki, by z powrotem zawinąć przyniesione przez Ezia rzeczy.

– Chwileczkę! – zawołał, pochylając się nad nim.

Odsunął ostrze i ochraniacz na bok, rozwinął arkusz i spoglądając na niego zaczął grzebać pośród starych ksiąg i manuskryptów stojących na półce. Wyciągnął dwie z nich, położył na stole i zaczął z zapamiętaniem kartkować.

– Co robisz? – zapytał Ezio z nutką zniecierpliwienia w głosie.

– To bardzo interesujące – odrzekł Leonardo. – Wygląda na to, że to karta z Kodeksu.

– Co takiego?

– To karta ze starej księgi. Nie jest drukowana, to manuskrypt... Naprawdę bardzo stary. Masz może tego więcej?

– Nie.

– Szkoda. Ludzie nie powinni wyrywać kart z takich ksiąg – Leonardo przerwał, a po chwili znów się odezwał: – Chyba że... Chyba że wszystko to razem wzięte...

– Co?

– Nic, nic. Spójrz – tekst na tej stronie jest zaszyfrowany; jeśli jednak moja teoria jest prawdziwa... to sądząc po tych rysunkach, może okazać się, że...

Ezio czekał, ale Leonardo całkowicie zatracił się w swoim świecie. Podał się więc i siedział spokojnie, podczas gdy Leonardo wciąż wyjmował jakieś książki i zwoje, pochylał się nad nimi i coś z nich wynotowywał, czasem z kilku naraz, wszystko swoim osobliwym, leworęcznym, lustrzanym pismem. Ezio doszedł do wniosku, że nie tylko on musi wieść życie cały czas mając się na baczności. Już nawet ta niewielka próbka działalności Leonarda wystarczyła, by odnieść wrażenie, że gdyby kościół zwietrzył, czym się zajmuje, bez wątpienia popadłby w olbrzymie tarapaty.

Gdy w końcu Leonardo podniósł wzrok, Ezio powoli zapadał w drzemkę.

– Zdumiewające... – zamruczał pod nosem, a potem powtórzył głośniej: – Zdumiewające! Jeśli zamienimy miejscami litery, a potem wybierzemy co trzecią...

Zaczął przygotowywać się do pracy, przysuwając do siebie ostrze, ochraniacz i mechanizm. Spod stołu wydobył skrzynię z narzędziami, zamocował imadło i w ciszy oddał się działaniu. Minęła godzina, potem druga... Ezio już od dawna był pogrążony we śnie – uśpił go zaduch w pomieszczeniu, ciepło i ciche odgłosy stukania i skrobania, dochodzące znad stołu Leonarda. W końcu...

– Ezio! Obudź się!

– Hm?

– Spójrz – Leonardo wskazał na blat.

Ostrze sztyletu, całkowicie odnowione, było połączone z dziwnym mechanizmem, który z kolei znalazł się w ochraniaczu. Wszystko zostało wyczyszczone i wyglądało jak nowe; żaden element jednak nie błyszczał.

– Wykończenie matowe, tak zdecydowałem – powiedział Leonardo. – Jak rzymska zbroja. Wszystko, co się błyszczy, połyskuje w słońcu, a to jak śmierć na własne życzenie.

Ezio zabrał ze stołu broń i zważył ją w dłoni. Była lekka, a ostrze – wspaniale wyważone. Niczego podobnego nigdy nie widział. Sprężynowy sztylet, który mógł ukryć pod swoim nadgarstkiem. Wszystko, co musiał

zrobić, to napiąć nieco rękę, a ostrze natychmiast wyskakiwało, gotowe by ciąć lub dźgać, zgodnie z życzeniem właściciela.

– Wydawało mi się, że jesteś pokojowo nastawionym człowiekiem – powiedział Ezio, mając w pamięci ptaki.

– Genialne idee zawsze mają pierwszeństwo – powiedział zdecydowanym tonem Leonardo – niezależnie czego dotyczą. A teraz... – dodał, wyciągając ze skrzyni z narzędziami młotek i dłuto. – Jesteś praworęczny, prawda? Dobrze. Bądź więc uprzejmy położyć swój prawy serdeczny palec na tym bloczku.

– Co takiego?

– Przykro mi, ale musimy to zrobić. Ostrze zaprojektowano tak, by gwarantowało, że jego właściciel, ktokolwiek nim będzie, bezgranicznie odda się sprawie.

– O czym ty mówisz?

– Sztylet będzie działał tylko wtedy, gdy odetniemy ten palec.

Ezio zamrugał powiekami. Przywołał obrazy z pamięci: przypomniał sobie udawaną życzliwość Albertiego w stosunku do ojca, to, jak Alberti uspokajał go po jego aresztowaniu, a w końcu same egzekucje i pościg za nim. Zacisnął zęby.

– Zrób to.

– Może powinienem użyć tasaka... Cięcie będzie czystsze.

Z szuflady w stole Leonardo wyciągnął tasak.

– Teraz daj tu swój palec – *così*.

Ezio był już gotowy na ból w chwili, gdy Leonardo unosił tasak. Zamknął oczy, słysząc, jak ostrze uderza w blok drewna. Nie poczuł jednak bólu. Podniósł powieki. Tasak był wbity w drewniany blok, o włos od jego ręki, która pozostała nietknięta.

– Ty sukinsynu! – Ezio był wściekły i roztrzęsiony.

Leonardo podniósł rękę.

– Uspokój się! To tylko żart. Okrutny, przyznaję, ale po prostu nie mogłem

się powstrzymać. Chciałem sprawdzić, jak dalece jesteś zdeterminowany. Bo widzisz, korzystanie z tego urządzenia dawniej rzeczywiście wymagało takiego poświęcenia. Podejrzewam, że miało to związek z jakimś starożytnym rytuałem wtajemniczenia. Ja zaś wprowadziłem do projektu kilka drobnych ulepszeń. Możesz więc zatrzymać wszystkie swoje palce. Spójrz – ostrze wyskakuje w pewnej odległości od nich. Dodałem też osłonę, która rozkłada się w chwili wysunięcia ostrza. Wszystko, o czym musisz pamiętać, to rozcapierzyć palce, gdy uruchamiasz mechanizm. Być może powinieneś nosić rękawice – sztylet jest naprawdę ostry.

Ezio był zbyt zafascynowany, a jednocześnie wdzięczny, by długo trwać w swej złości.

– To niezwykle – powiedział, kilkakrotnie wysuwając i chowając ostrze, aż idealnie zgrał się z szybkością działania mechanizmu. – Wprost niesamowite.

– Prawda? – zgodził się Leonardo. – Na pewno nie masz jeszcze więcej takich kart jak ta?

– Przykro mi.

– Cóż, w każdym razie jeśli kiedyś wpadną ci w ręce, proszę, przynieś mi je.

– Masz moje słowo. Ile jestem ci winien za...

– To była dla mnie czysta przyjemność. Bardzo pouczająca. Nie ma...

Przerwało im łomotanie w drzwi wejściowe do studia. Leonardo pospieszył, by je otworzyć, a Agniolo i Innocento zatrwożeni podnieśli wzrok znad swojej pracy. Jakiś głos po drugiej stronie drzwi zaczął krzyczeć:

– Otwierać! Na rozkaz florenckich straży!

– Chwileczkę! – odkrzyknął Leonardo, a cichszym głosem powiedział do Ezia: – Zostań tam, gdzie jesteś.

Potem otworzył drzwi i w nich stanął, zagradzając strażnikowi wejście.

– Tyś jest Leonardo da Vinci? – zapytał strażnik donośnym, nie znoszącym sprzeciwu, oficjalnym tonem.

– Cóż mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Leonardo, wychodząc z drzwi na

ulicę i zmuszając tym samym strażnika do cofnięcia się o krok.

– Upoważniono mnie do zadania ci kilku pytań.

Leonardo tymczasem ustawił się tak, by strażnik odwrócił się plecami do drzwi pracowni.

– W czym problem?

– Doniesiono nam, że widziano cię, jak zadajesz się ze znanym wrogiem miasta.

– Kto? Że ja się zadaję? To niedorzeczne!

– Kiedy po raz ostatni widziałeś albo rozmawiałeś z Eziem Auditore?

– Z kim?

– Nie rób ze mnie idioty. Wiemy, że z tą rodziną łączą cię bliskie związki. Jego matce opchnął kilka swoich bohomazów. Może odświeżyć ci nieco pamięć?

Strażnik uderzył Leonarda w brzuch drzewcem halabardy. Leonardo krzyknął z bólu, zgiął się wpół i upadł na ziemię. Wtedy strażnik go kopnął.

– To co, może teraz sobie pogadamy. Nie lubię artystów. To same pedały.

Cała ta sytuacja dała Eziowi czas na dyskretne przejście przez drzwi i zajęcie pozycji za strażnikiem. Ulica była opustoszała, a on miał przed sobą spocony kark mężczyzny. Nadarzała się dobra okazja do wypróbowania nowej zabawki. Ezio uniósł rękę i naprężył ją, wyzwalając mechanizm, który bezgłośnie wysunął ostrze. Wprawnym ruchem otwartej już teraz prawej dłoni pchnął strażnika w szyję, z boku. Świeżo zaostrzona krawędź sztyletu przecięła tętnicę szyjną bez najmniejszych oporów. Gdy strażnik padał na ziemię, był już martwy.

Ezio pomógł Leonardowi wstać.

– Dzięki – powiedział roztrzęsiony artysta.

– Przykro mi... Nie chciałem go zabijać – nie było jednak czasu...

– Niekiedy nie mamy wyboru. Zresztą powinienem być już do tego dawno przywyknąć.

– Co masz na myśli?

– Sprawę Saltarellia.

Ezio teraz sobie przypominał: przed kilkoma tygodniami młody model, Jacopo Saltarelli, został anonimowo oskarżony o prostytutkę, a Leonardo, wraz z trzema innymi mężczyznami, o korzystanie z jego usług. Sprawa została umorzona z powodu braku dowodów, ale dobre imię podejrzanych zostało zszargane.

– Przecież nie skazujemy tu mężczyzn, którym podobają się mężczyźni – powiedział Ezio. – Wydaje mi się nawet, że Niemcy mówią o nich *Florenzer*.

– To wciąż jest wbrew prawu – powiedział oschle Leonardo. – Nadal można za coś takiego dostać grzywnę. A z takimi kanałiami u władzy jak Alberti ...

– Co z ciałem?

– Od przybytku głowa nie boli – powiedział Leonardo. – Pomóż mi je wciągnąć do środka, zanim ktoś nas zobaczy. Umieszczę je z innymi.

– Przybytek?! Z innymi?!

– Piwnica jest dość chłodna. Trzymają się tam przez tydzień. Mam tam jednego czy może nawet dwóch nieboszczyków, których nikt nie chciał odebrać ze szpitala. To wszystko nieoficjalnie, rzecz jasna. Otwieram ich i zaglądam do środka – to bardzo przydatne w moich badaniach.

Ezio spojrzał na przyjaciela osłupiały.

– Myślałem, że ci już mówiłem: lubię poznawać, jak wszystko działa.

Usunęli ciało z ulicy, a asystenci Leonarda przenieśli je przez jakieś drzwi, do których prowadziło kilka kamiennych stopni.

– A jeśli wysłali kogoś za nim, żeby sprawdził, czemu nie wraca?

Leonardo wzruszył ramionami.

– Wszystkiemu zaprzeczę – mrugnął do Ezia i dodał: – Nie jest tak, że nie mam tu wpływowych przyjaciół.

Ezio był skonsternowany.

– No cóż, skoro tak mówisz...

– Po prostu nie wspominaj nikomu o tym incydencie.

– Jasne. Dziękuję ci, Leonardo, za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I nie zapomnij – pożądlivy błysk zagościł przez chwilę w jego oczach – jeśli znajdziesz jeszcze jakieś karty z Kodeksu, przynieś mi je. Kto wie, czego dotyczą inne opisane w nim projekty.

– Obiecuję.

Ezio skierował swe kroki do domu Paoli. Choć rozpierał go nastrój triumfu, nie zapomniał, by przemierzając miasto z powrotem na północ, dyskretnie wtopić się w tłum.

Paola powitała go z wyraźną ulgą.

– Nie było cię dłużej, niż się spodziewałam.

– Leonardo lubi sobie pogadać.

– Mam nadzieję, że to nie wszystko, co robił...

– Oczywiście, że nie. Spójrz!

Pokazał jej ukryty pod nadgarstkiem sztylet, wysuwając go spod rękawa w teatralnym geście i uśmiechając się przy tym jak mały chłopiec.

– Imponujący!

– O, tak – Ezio spojrzał na swoją nową broń z zachwytem. – Muszę tylko nabrać wprawy. Nie chciałbym stracić któregoś z palców.

Paola spoważniała.

– Cóż, Ezio, wygląda na to, że jesteś gotów. Nauczyłam cię kilku przydatnych umiejętności, a Leonardo naprawił twoją broń – powiedziała i wzięła głębszy oddech. – Teraz pozostaje tylko wypełnić to, co postanowiłeś.

– Tak – powiedział cicho Ezio i spochmurniał. – Pytanie tylko, jak najlepiej dotrzeć do *messer* Albertiego.

Paola zamyśliła się.

– Księżę Lorenzo już wrócił. Zmartwiły go egzekucje, które podczas jego nieobecności podpisał Alberti, ale nie jest w jego mocy podważać decyzje gonfaloniera. Tak czy owak, jutro wieczorem w kościele Santa Croce odbędzie się odsłonięcie najnowszego dzieła maestra Verrocchia. Będzie tam

cała śmietanka towarzyska Florencji, w tym Alberti – popatrzyła na Ezia znacząco. – Myślę, że i ty powinienes się tam wybrać.

Ezio dowiedział się, że odsłoniętą rzeźbą ma być posąg Dawida, biblijnego bohatera, z którym utożsamiała się Florencja – miasto między dwoma Goliatami: Rzymem na południu i żądnymi nowych ziem królami Francji na północy. Rzeźba została zamówiona przez rodzinę Medicich i miała zostać umieszczona w Palazzo Vecchio. Maestro rozpoczął nad nią prace trzy albo nawet cztery lata temu. Plotka głosiła, że do głowy Dawida pozował jeden z przystojniejszych w swoim czasie praktykantów Verrocchia – niejaki Leonardo da Vinci. Tak czy owak, w mieście panowało wielkie poruszenie i każdy już od dłuższego czasu zastanawiał się, co przywdziać na tak wyjątkową okazję.

Ezio miał inne zmartwienia.

- Opiekuj się moją matką i siostrą – poprosił Paolę.
- Będę... jakby były moje.
- A gdyby coś mi się stało...
- Wierz w siebie, a nic takiego się nie zdarzy.

Ezio do kościoła Santa Croce przybył tego wieczoru nieco wcześniej. Poprzedzające godziny spędził na przygotowywaniu się do misji i szlifowaniu umiejętności posługiwania się nową bronią – skończył, gdy doszedł do wniosku, że osiągnął pełną biegłość. Jego myśli skupiały się wokół śmierci ojca i braci; okrutny ton głosu Albertiego ogłaszającego wyrok wciąż jeszcze wyraźnie rozbrzmiewał w jego głowie.

Zbliżając się do kościoła, zobaczył kroczące przed nim dwie charakterystyczne postaci, w pewnym oddaleniu od niewielkiego, ochraniającego je oddziału eskorty w uniformach z herbami przedstawiającymi pięć czerwonych kół na żółtym tle. Mężczyźni ci najwyraźniej się spierali, a Ezio przyspieszył, by znaleźć się w zasięgu ich głosu. Zatrzymali się przed portykiem kościoła, a on, stanąwszy tak, by nikt nie zwrócił na niego uwagi, zaczął nasłuchiwać. Rozmawiali ze sobą przez

zaciśnięte usta. Jednym z nich był Uberto Alberti; drugim – szczupły, dobijający trzydziestu lat młodzieniec, z wydatnym nosem i zdecydowaną twarzą, bogato ubrany – miał czerwoną czapkę i pelerynę, na którą narzucił srebrnoszarą tunikę. Był to książę Lorenzo – *Il Magnifico*, jak zwali go jego poddani, ku zniesmaczeniu Pazzich i związanej z nimi frakcji.

– Nie możesz mi niczego zarzucać – mówił Alberti. – Oparłem się na informacjach, jakie do mnie dotarły, i na niezbitych dowodach – działałem w zgodzie z prawem, nie przekraczając kompetencji piastowanego przeze mnie urzędu!

– Otóż nie! Przekroczyłeś swoje uprawnienia, gonfalonierze, korzystając z mojej nieobecności w mieście. Jestem bardziej niż niezadowolony.

– Kimże ty jesteś, by mówić mi o przekraczaniu uprawnień? Przejąłeś władzę nad miastem, zrobiłeś się jego księciem, i to bez formalnej aprobaty Signorii czy kogokolwiek innego.

– Niczego podobnego nie zrobiłem!

Alberti pozwolił sobie na szyderczy śmiech.

– Oczywiście! Zawsze niewinny! Jakże to dla ciebie wygodne! Otaczasz się w Careggi ludźmi, których większość z nas ma za niebezpiecznych wolnomyślicieli: Ficino, Mirandola, no i ta menda – Poliziano! Przynajmniej mieliśmy okazję przekonać się, jak daleko sięga twoja władza... To zaś dało nam wiele do myślenia – mnie i moim sprzymierzeńcom.

– Tak. Twoim sprzymierzeńcom – Pazzim. Bo chyba o to rozbija się cała kwestia, czyż nie?

Alberti, zanim odpowiedział, drobiazgowo przyglądał się swoim paznokciom.

– Na twoim miejscu, książę, uważałbym, co mówię. Możesz ściągnąć na siebie niepożądaną uwagę.

Nie brzmiał jednak jak osoba całkowicie przekonana do swoich racji.

– To raczej ty powinieneś się pilnować, gonfalonierze. I proponuję, byś przekazał tę radę również i twoim współpracownikom – to taka przyjacielska

przestroga.

To powiedziawszy, Lorenzo oddalił się wraz ze swą żoną w kierunku krużganków. Po chwili, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwa, w tą samą stronę podążył Alberti. Eziowi zdało się, że przeklina sam siebie.

Krużganki specjalnie na tę okazję udekorowano złotymi draperiami, które mieniły się w blasku setek świec. Na podwyższeniu, w pobliżu fontanny na środku placu, grał zespół muzyków, a na drugim stał brązowy, wyjątkowo piękny posąg, o rozmiarach o połowę mniejszych od naturalnych. Ezio, w chwili gdy tam wchodził, chowając się za kolumnami i w rzucanych przez nie cieniach, zobaczył Lorenza składającego artyście wyrazy uznania. Zauważył też tajemniczą, zakapturzoną postać – był to ten sam człowiek, który towarzyszył Albertiemu podczas egzekucji.

Nieco dalej stał sam Alberti, otoczony grupką podziwiających go członków miejscowej arystokracji. Z tego, co mógł usłyszeć, Ezio zrozumiał, że gratulowali gonfalonierowi pozbycia się raka toczącego miasto – rodziny Auditorich. Nie spodziewał się, że jego ojciec miał w mieście równie wielu nieprzyjaciół, jak sojuszników, choć zdał sobie również sprawę, że ci pierwsi odważyli się wystąpić przeciw ojcu dopiero wtedy, gdy jego główny sojusznik, Lorenzo, był nieobecny. Ezio uśmiechnął się, słysząc jak jedna z arystokratek wyraża nadzieję, że prawość Albertiego zostanie doceniona przez księcia. Od razu było widać, że owa sugestia była gonfalonierowi zupełnie nie w smak. Eziowi udało się podsłuchać jeszcze więcej.

– A co z jego trzecim synem? – pytał jakiś arystokrata. – Zwał się Ezio, czyż nie? Uciekł na dobre?

Na twarzy Albertiego pojawił się wymuszony uśmiech.

– Ten chłopak nie jest żadnym zagrożeniem. Dwie lewe ręce, z intelektem jeszcze gorzej. Zostanie pojmany i stracony nim tydzień dobiegnie końca.

Towarzystwo zebrane wokół Albertiego wybuchnęło śmiechem.

– A ty, Uberto, co masz w planach? – zapytał jeden z mężczyzn. – Może przewodniczenie Signiorii?

Alberti rozłożył ręce.

– Wszystko, co będzie zgodne z wolą Pana. Moją jedyną troską jest służba Florencji, sumienna i wierna.

– W każdym razie... Niezależnie od tego, co postanowisz, wiedz, że masz nasze poparcie.

– Bardzo się z tego cieszę. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość – Alberti promieniał, choć nie dawał tego po sobie poznać. – A teraz, przyjaciele, proponuję, byśmy odłożyli politykę na bok i poświęcili się podziwianiu tego niezrównanego dzieła sztuki, które tak szczerze wsparł nasz szlachetny Medici.

Ezio poczekał, aż znajomi Albertiego odejdą w kierunku posągu Dawida. Ten zaś wziął kielich z winem i badawczo mu się przyglądał, z mieszaniną wyraźnej satysfakcji i niewygodnej nieufności w swoich oczach. Ezio wiedział, że oto nadarza się okazja. Wzrok wszystkich skierowany był na posąg, przy którym Verrocchio, zacinając się, wygłaszał krótkie przemówienie. Ezio dyskretnie stanął u boku Albertiego.

– Ością w gardle stanął ci pewnie twój ostatni komplement, panie – syknął.
– To jednak do ciebie podobne: być nieszczerym do samego końca.

Alberti go poznał i z przerażeniem wytrzeszczył oczy.

– To ty!

– Tak, gonfalonierze, to ja, Ezio. Jestem tu, by pomścić śmierć mojego ojca – twojego przyjaciela – i moich niewinnych braci.

Alberti usłyszał głuchy szcęk sprężyny i towarzyszący mu metaliczny odgłos, po czym ujrzał ostrze, gotowe, by zatopić się w jego gardle.

– Żegnaj, gonfalonierze – powiedział chłodno Ezio.

– Poczekaj! – wysapał Alberti. – Na moim miejscu zrobiłbyś to samo – sam stanąłbyś w obronie tych, których kochasz. Wybacz mi Ezio – nie miałem wyboru.

Ezio zbliżył się do niego, ignorując jego apel. Wiedział, że człowiek ten miał wybór – wybór honorowy – tyle tylko, że był zbyt bierny, by go

dokonać.

– Czy myślisz, że i ja nie stoję w obronie swojej rodziny? Jakież miłosierdzie okazałbyś, panie, mojej matce i siostrze, gdyby te dostały się w twoje ręce? A teraz powiedz, gdzie znajdują się dokumenty, które doręczyłem ci na polecenie ojca? Zapewne przechowujesz je w jakimś bezpiecznym miejscu...

– Nigdy ich nie dostaniesz! Zawsze noszę je ze sobą!

Alberti usiłował odepchnąć Ezia, zaczerpnąć powietrza i zawołać strażę, ale zanim to zrobił, Ezio zdążył zatopić swój sztylet w jego gardle i przeciąć jego ostrzem tętnicę zdrajcy. Alberti nie mógł nawet zacharczeć, upadł tylko na kolana, machinalnie chwytając się za szyję, by zatamować krew, która kaskadami spływała na trawę. Upadł w końcu na bok, a Ezio szybko nachylił się nad nim i odciął mu od pasa jego torbę. Zajrzał do środka. Alberti, w swej ostatniej, nieposkromionej pysze, powiedział mu prawdę. Rzeczywiście, dokumenty tam były.

Nagle zaległa cisza. Verrochio zatrzymał się wpół słowa, a goście zaczęli się odwracać i wypatrywać, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co właśnie się wydarzyło.

Ezio stanął przed nimi i omiótł spojrzeniem ich twarze.

– Tak! To, co widzicie, jest prawdziwe! Patrzycie na zemstę! Rodzina Auditorich wciąż żyje. A ja jestem tu z wami. Nazywam się Ezio Auditore!

Zdążył nabrać powietrza w płuca, gdy praktycznie w tym samym momencie jakiś kobiecy głos wybił się ponad zgromadzenie:

– *Assasino!*

Po chwili zapanował chaos. Eskorta Lorenza w mgnieniu oka okrążyła go i wyciągnęła miecze, a goście, próbując uciec, biegali tam i z powrotem. Ci odważniejsi pozorowali, że chcą schwytać Ezia, choć tak naprawdę nikt ze zgromadzonych nie podjął rzeczywistej próby. Ezio spostrzegł, że jakaś zakapturzona postać znika w ciemnościach. Verocchio stał przy swoim dziele tak, jakby chciał je osłonić własnym ciałem. Kobiety piszczały, mężczyźni

krzyczeli, a w krużgankach pojawili się liczni strażnicy, którzy jednak nie za bardzo wiedzieli, kogo mają ścigać. Korzystając z sytuacji, Ezio wspiał się na kolumnadę krużganków i zeskoczył na rozciągający się za nimi dziedziniec, którego otwarta brama prowadziła na plac przed kościołem, gdzie zdążył się już zgromadzić tłum gapiów, przyciągnięty dobywającym się zza murów zgiełkiem.

– Co się tam dzieje? – zapytał jeden z nich.

– Stało się zadość sprawiedliwości – odparł Ezio i rzucił się biegiem przez miasto, na południowy zachód, do azyłu, jaki znalazł w domu Paoli.

Po drodze zatrzymał się na chwilę, by sprawdzić zawartość torby Albertiego. Przynajmniej ostatnie słowa tego człowieka okazały się prawdą – były w niej wszystkie dokumenty. Było tam coś jeszcze: nedoręczony, napisany przez Albertiego list. Mógł zawierać cenne informacje; Ezio złamał pieczęć i rozwinął rulon pergaminu.

Okazało się, że ma przed sobą list Albertiego do żony. Czytając go, Ezio zaczął rozumieć, że są takie siły, które potrafią zgnieść w człowieku wszelką jego prawość.

Kochana,

przelewam te myśli na papier z nadzieją, że kiedyś nadejdzie czas, bym mógł się nimi z tobą podzielić. Zanim to jednak nastąpi, bez wątpienia dowiesz się, iż zdradziłem Giovanniego Auditore; uznałem go za zdrajcę i skazałem na śmierć. Historia zapewne osądzi ten akt jako przejaw żądy bogactwa i władzy. Musisz jednak zrozumieć, że moim postępowaniem nie kierowało przeznaczenie, lecz strach.

Gdy Medici pozbawili naszą rodzinę wszystkiego, co posiadaliśmy, zacząłem się bać. O ciebie. O naszego syna. O przyszłość. Bo w czymże dziś może nadzieję pokładać ten, który nic nie ma? Inni zaś zaoferowali mi pieniądze, ziemię i stanowisko w zamian za współpracę.

Właśnie tak zdradziłem swojego najbliższego przyjaciela.

Jakkolwiek potępienia godzien był ten akt, w owym czasie zdawał mi się

koniecznością.

Nawet teraz, gdy patrzę na to z perspektywy, nie widzę innego sposobu...
Ezio zwinął list i włożył go z powrotem do torby. Miał zamiar ponownie go zapieczętować i dopilnować, by dotarł do adresatki. Postanowił, że nigdy nie upadnie tak nisko, by być aż tak niegodziwym.

6

– Załatwione – powiedział krótko do Paoli.

Obejmowała go przez chwilę.

– Wiem. Cieszę się, że jesteś cały i zdrowy.

– Myślę, że przyszedł czas, bym opuścił Florencję.

– Gdzie się udasz?

– Brat mojego ojca, Mario, ma posiadłość niedaleko Monteriggioni.

– Już ruszyła wielka obława na ciebie, Ezio. Wszędzie rozwieszają listy gończe z twoją podobizną. Publiczni mówcy zaczynają wypowiadać się przeciw tobie – przerwała, zamyślając się na chwilę. – Wyprawię kilku moich ludzi, by zdarli jak najwięcej listów, a mówców można łapówką skłonić do zajęcia się innymi sprawami. I przygotuję waszej trójce dokumenty podróżne – dodała, przypominając sobie o tej ważnej kwestii.

Ezio skinął głową, wciąż myśląc o Albertim.

– W jakim świecie przyszło nam żyć... Żeby tak łatwo móc sprzeniewierzyć się swoim przekonaniom...

– Alberti znalazł się w trudnej sytuacji i uznał, że nie ma z niej wyjścia, choć powinien zająć zdecydowane stanowisko – westchnęła i dokończyła: – Każdego dnia kupczy się prawdą. To coś, z czym musisz nauczyć się żyć, Ezio.

Ujął jej dłonie.

– Dziękuję ci.

– Florencja będzie teraz lepszym miastem, szczególnie gdy księciu Lorenzowi uda się na urządzie gonfaloniera umieścić kogoś ze swoich. Teraz jednak nie ma czasu do stracenia. Oto twoja matka i siostra – odwróciła się i klasnęła w dłonie. – Annetta!

Annetta wyszła z tylnej części domu, prowadząc Marię i Claudię. Nastąpiło

pełne silnych emocji spotkanie. Ezio zobaczył, że matka jeszcze nie wydobrzała; w dłoni ścisnęła wciąż małe pudełko z piórami od Petruccia. Odwzajemniła jego uścisk, zrobiła to jednak w zamyśleniu, jakby była nieobecna. Paola patrzyła na nich ze smutnym uśmiechem.

Claudia – przeciwnie – przywarła do Ezia z całej siły.

– Ezio! Gdzie się podziewałeś? Paula i Annetta były dla nas takie dobre... Nie pozwoliły nam tylko wrócić do domu. Mama nie odzywa się ani słowem od czasu, gdy... – przerwała, walcząc ze łzami. – Pewnie ojciec będzie teraz mógł to wszystko wyjaśnić. Zaszło jakieś wielkie nieporozumienie, prawda?

Paola spojrzała na Ezia.

– Już czas – powiedziała cicho. – Wkrótce i tak same poznałyby prawdę.

Spojrzenie Claudii przeniosło się z Ezia na Paolę i z powrotem. Maria usiadła obok Annetty, która objęła ją ramieniem, i spoglądała w dal, uśmiechając się lekko i głaszcząc drewniane pudełko.

– O co chodzi, Ezio? – zapytała Claudia z obawą w głosie.

– Coś się wydarzyło.

– O czym ty mówisz?

Ezio milczał, nie wiedząc, co powiedzieć, ale jego wyraz twarzy mówił wszystko.

– Nie, Boże, nie!...

– Claudio...

– Powiedz mi, że to nieprawda!

Ezio spuścił głowę.

– Nie... nie... – łkała Claudia.

– Ciii... – próbował ją uspokoić. – Zrobiłem, co tylko mogłem, *piccina*.

Claudia przytuliła głowę do jego piersi i płakała, głośno i długo łkając. Ezio, starając się ją ukoić, spojrzał znad jej głowy na matkę, ale ta sprawiała wrażenie, jakby niczego nie usłyszała. Być może w sobie tylko wiadomy sposób dowiedziała się o wszystkim już wcześniej. Po tym, co w ostatnim czasie zdarzyło się w jego życiu, widok matki i siostry, które na jego oczach

pograżają się w bezdennej rozpacz, był kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Stał, trzymając w objęciach siostrę, przez czas, który zdał się mu wiecznością i czuł, jak przygniata go niewyobrażalna odpowiedzialność. To on miał od tej pory chronić swoją rodzinę – nazwisko Auditore, które nosił, stało się jego zaszczytem i zobowiązywało. Jeszcze raz uświadomił sobie, że nie ma już Ezia-chłopca... Szybko zebrał myśli.

– Posłuchaj – rzekł do Claudii, gdy już udało mu się ją trochę uspokoić. – Teraz najważniejsze jest to, byśmy opuścili miasto i udali się w jakieś bezpieczne miejsce, bezpieczne dla ciebie i mamy. Jeśli jednak mamy to zrobić, musisz być dzielna. Musisz być silna i opiekować się mamą. Rozumiesz?

Claudia wysłuchiwała Ezia, odkaszlnęła, odsunęła się nieco od niego i spojrzała mu w oczy.

– Rozumiem.

– W takim razie musimy zacząć od zaraz. Idźcie i spakujcie swojej rzeczy, ale weźcie tylko te najpotrzebniejsze – miasto musimy opuścić pieszo. Załatwienie wozu byłoby zbyt ryzykowne. Załóżcie swoje najprostsze ubrania – nie możemy przyciągać uwagi. I pospieszcie się!

Claudia z matką i Annetą opuściły pomieszczenie.

– Powinieneś się wykapać i przebrać – poradziła Eziowi Paola. – Poczujesz się lepiej.

Dwie godziny później dokumenty były już gotowe i mogli ruszać. Ezio raz jeszcze sprawdził zawartość swojej torby. Być może jego wuj będzie w stanie wyjaśnić treść dokumentów zabranych Albertiemu, które najwyraźniej miały dla niego tak wielkie znaczenie. Na prawe przedramię założył ochraniacz ze sztyletem i go ukrył. Zacisnął pas. Claudia wyprowadziła Marię do ogrodu, gdzie stanęły przy drzwiach w murze, którymi mieli opuścić dom. Była z nimi Annetta, która z trudem powstrzymywała się od łez.

Ezio zwrócił się do Paoli:

– Żegnaj. Po raz kolejny dzięki ci za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Paola objęła go i pocałowała blisko ust.

– Uważaj na siebie, Ezio, i bądź czujny. Przed tobą jeszcze daleka droga.

Pochylił głowę, nasunął na nią kaptur i dołączył do matki i siostry, podnosząc spakowaną przez nie torbę. Ucałowali Annetę na pożegnanie i kilka chwil później szli już ulicą, na północ, Claudia pod rękę z matką. Przez jakiś czas milczeli; myśli Ezia po raz kolejny skupiły się na roli, jaką przyszło mu dźwigać. Modlił się, by sprostał wyzwaniu, jakie postawił przed nim los. Mimo iż było mu ciężko, postanowił, że wbrew wszystkiemu pozostanie silny, przede wszystkim ze względu na Claudię i swoją biedną matkę, która najwyraźniej zupełnie zamknęła się w sobie.

Claudia odezwała się dopiero wtedy, gdy dotarli do centrum miasta. Miała do Eziego mnóstwo pytań. On zaś z zadowoleniem zauważył, że jej głos brzmiał w sposób zdecydowany.

– Dlaczego to się nam przytrafiło? – zapytała.

– Nie wiem.

– Jak myślisz, będziemy mogli kiedyś tu wrócić?

– Nie wiem, Claudio.

– Co stanie się z naszym domem?

Pokręcił głową. Nie miał już czasu na poczynienie jakichkolwiek ustaleń w tej sprawie, a gdyby nawet, to komu powierzyłby dom? Może księżę Lorenzo mógłby go zabezpieczyć i zapewnić mu dozór, ale szczerze mówiąc, nie wiązał z tym wielkich nadziei.

– Czy im... Czy urządzono im godny pogrzeb?

– Tak... Sam o to zadbałem.

Przechodzili właśnie przez Arno; Ezio spojrzął w dal, tam, gdzie rzeka znikła za horyzontem.

W końcu dotarli do południowych bram miasta. Ezio ucieszył się, że doszli tak daleko niezauważeni, lecz teraz nadchodziła trudna chwila – bramy były pod ścisłym dozorem. Na szczęście dokumenty z fałszywymi nazwiskami, które dostarczyła im Paola, zdały egzamin, poza tym strażnicy wypatrywali

doprowadzonego do ostateczności młodego człowieka, nie zaś skromnie przyrodzianej, niewielkiej rodziny.

Szli cały dzień na południe, zatrzymując się tylko dwa razy: najpierw, gdy odeszli już daleko od miasta, by kupić w jakimś gospodarstwie chleb, ser i wino, a potem, by odpocząć pod cieniem dębu na skraju czyjegoś pola. Ezio musiał trzymać na wodzy swoją niecierpliwość, gdyż od Monteriggioni dzieliło ich prawie trzydzieści mil, a szli w tempie matki. Co prawda była krzepką, czterdziestoletnią kobietą, lecz ogromny wstrząs, jaki przeżyła, znacząco nadwątlił jej siły. Ezio miał nadzieję, że gdy dotrą już do wuja Maria, matka wydobrzeje, choć wiedział, że zanim w pełni dojdzie do siebie, upłynie jeszcze wiele czasu. Zakładał też, że jeśli nie przytrafią im się żadne nieprzewidziane komplikacje, powinni dotrzeć do celu po południu następnego dnia.

Noc spędzili w opuszczonej stodole, gdzie znaleźli czyste, ciepłe siano. Na kolację zjedli to, co pozostało im z obiadu. Ezio i Claudia ułożyli matkę najwygodniej, jak potrafili. Na nic się nie uskarżała – sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie była świadoma tego, co ją otacza; lecz gdy Claudia, podczas przygotowywania matki do snu, chciała na chwilę odebrać jej szkatułkę Petruccia, ta gwałtownie zaprotestowała, odepchnęła swoją córkę i obrzuciła ją najgorszymi wyzwiskami. Rodzeństwo było wstrząśnięte jej zachowaniem.

Spała jednak spokojnie, a kolejnego dnia sprawiała wrażenie wypoczętej. Umyli się w strumieniu, napili się z niego krystalicznie czystej wody, zastępując nią poranny posiłek, i wyruszyli w drogę. Dzień był słoneczny, przyjemnie ciepły, z podmuchami lekkiego, orzeźwiającego wiatru. Posuwali się więc w znośnym tempie, mijając po drodze kilka wozów i nie spotykając nikogo prócz przypadkowych ludzi pracujących na polach i w sadach. Eziowi udało się kupić trochę owoców, które starczyły za posiłek przynajmniej dla Claudii i matki; on i tak nie czuł głodu – był zbyt niespokojny, by jeść.

W końcu, późnym popołudniem z wyraźną ulgą ujrzał w pewnej odległości

przed sobą wzgórze, a na nim małe, otoczone murem i skąpane w słońcu miasteczko Monteriggioni. Całym regionem w praktyce władał Mario – jeszcze mila bądź dwie i mieli znaleźć się na podległym mu terytorium. Pokrzepieni widokiem, przyspieszyli kroku.

– Już prawie jesteśmy – powiedział Ezio do Claudii z uśmiechem na ustach.

– *Grazie a Dio* – odpowiedziała, również się uśmiechając.

Gdy tylko napięcie zaczęło ich opuszczać, zza zakrętu wyłoniła się znajoma Eziowi sylwetka, która wraz z tuzinem towarzyszących jej mężczyzn w niebiesko-złoty liberii zagroziła im przejście. Jeden z członków eskorty miał na sobie znienawidzony przez Ezia herb ze złotymi delfinami i krzyżami na niebieskim tle.

– Ezio! – powitał go mężczyzna – *Buon giorno!* Tobie i twojej rodzinie! A raczej tym, którzy z niej ocalili. Cóż za miła niespodzianka!

Skinął głową na swoich ludzi, którzy rozproszyli się w poprzek drogi, z halabardami w gotowości.

– Vieri!

– We własnej osobie. Jak tylko zwolnili z aresztu mojego ojca, z wielką ochotą sfinansował mi to małe polowanie. Zrobiłeś mi przykrość. Jak mogłeś po tym wszystkim opuścić Florencję ot tak, bez należytego pożegnania?

Ezio przyspieszył kroku, zostawiając za sobą Claudię i matkę.

– Czego chcesz, Vieri? Myślałem, będziesz zadowolony z tego, co udało się osiągnąć Pazzim.

Vieri rozłożył ręce.

– Czego chcę? No cóż, sam nie wiem, od czego zacząć. Jest tego tak wiele! No dobrze, spróbujmy... Chciałbym mieć większy *palazzo*, ładniejszą żonę, o wiele więcej pieniędzy i... cóż jeszcze... A, no jasne! Chcę twojej głowy!

Dobył miecza, gestem ręki nakazał eskorcie pozostać w gotowości, po czym zaczął kroczyć w kierunku Ezia.

– Zaskakujesz mnie, Vieri – naprawdę idziesz na mnie sam? Chociaż nie, przecież jakby co, masz za plecami swoich oprychów.

– Nie myślę, byś był godzien mojego miecza – odparł Vieri, chowając broń do pochwy. – Wykończę cię gołymi rękami. I przepraszam, *tesora*, jeśli narażę cię na stres – zwrócił się do Claudii – lecz nie martw się, nie potrwa to długo; potem zobaczę, co będę mógł zrobić, by cię pocieszyć, a kto wie – może nawet i twoją mamusię?

Ezio wystrzelił przed siebie i wpakował pięść w szczękę Vieriego; ten, zaskoczony, zachwiał się na nogach, ale gdy tylko odzyskał równowagę, machnął ręką na swoich ludzi, by zostali tam, gdzie są, a sam rzucił się na Ezia z wściekłym rykiem, wymierzając cios za ciosem. Jego atak był tak brutalny, że mimo iż Ezio zręcznie odpierał jego uderzenia, sam nie był w stanie odpowiedzieć mu żadnym skutecznym ciosem. Obaj mężczyźni zablokowali się w uścisku, siłując się, by odzyskać kontrolę, i tylko od czasu do czasu któryś z nich wyrywał się do tyłu, lecz jedynie po to, by z jeszcze większą gwałtownością rzucić się na przeciwnika. W końcu Ezio zdołał obrócić gniew Vieriego przeciwko niemu – nikt, kto podda się złości, nie walczy skutecznie: Vieri zamachnął się, chcąc uderzyć Ezia prawym sierpowym, lecz ten zrobił krok do przodu i cios napastnika ześlizgnął się nieefektywnie po jego ramieniu. Impet Vieriego pociągnął całe jego ciało do przodu w zupełnie niekontrolowany sposób; Ezio podciął mu wtedy nogi, posyłając go na ziemię. Vieri z rozpędu poturlał się po drodze, wzbijając obłok pyłu. Krwawiąc, w poczuciu przegranej Vieri przeczołgał się w bezpieczne miejsce za swoimi ludźmi, po czym wstał i obtartymi dłońmi otrzepał się z kurzu.

– Zaczyna mnie to męczyć – powiedział, a do swojej straży krzyknął: – Skończcie z nim, z kobietami też! Stać mnie na więcej niż jakąś wychudłą kijankę i ten zewłok, który zwie swoją matką!

– *Coniglio!* – krzyknął Ezio, dysząc ze zmęczenia i wyciągając swój miecz. Ludzie Vieriego otoczyli ich okręgiem i wysunęli swoje halabardy. Ezio wiedział, że nie będzie mu łatwo się z nimi wszystkimi zmierzyć.

Okrąg się zacieśniał. Ezio obracał się wraz z nim, starając się osłaniać

stojące za nim kobiety, ale sprawy rysowały się w czarnych barwach, a nieprzyjemny śmiech Vieriego zwiastował jego rychły triumf.

Nagle rozległ się ostry, prawie nadnaturalny gwizd, a wraz z nim dwóch strażników na lewo od Ezia upadło na kolana, a potem twarzą do ziemi, wypuszczając z rąk broń. Z ich pleców wystawały noże zatopione aż po same rękojeści, wycelowane z iście śmiertelną precyzją. Na ich ubraniach pojawiło się mnóstwo krwi, której plamy wyglądały jak szkarłatne kwiaty. Zanim pozostali zaczęli się wycofywać, z nożem w plecach padł na ziemię jeszcze jeden z nich.

– Co to za sztuczki? – wykrzyknął Vieri, zająkując się z przerażenia.

Wyciągnął swój miecz i rozejrzał się uważnie dokoła.

Odpowiedział mu tubalny, gromki śmiech.

– To nie magia, chłopcze, to umiejętności – powiedział głos dobiegający z pobliskiego zagajnika.

– Pokaż się!

Z lasku wyłonił się wielki, brodaty mężczyzna w wysokich butach i z lekkim napierśnikiem na torsie. Za nim pojawiło się kilku innych, podobnie ubranych.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział Vieriemu z szyderstwem w głosie.

– Najemnicy! – warknął Vieri, po czym obrócił się do swoich ludzi. – Na co czekacie? Zabić ich! Wszystkich!

Zanim ruszyli się z miejsca, rosły mężczyzna podszedł do Vieriego, z niebywałą zręcznością wyszarpnął z jego rąk miecz i złamał go na swoim kolanie łatwo jak gałązkę.

– Obawiam się, że to nienajlepszy pomysł, mój mały Pazzi, choć muszę przyznać, że godny twojego nazwiska.

Vieri nie odpowiedział, ponaglił tylko swoich ludzi. Wyraźnie się ociągając, ruszyli stawić czoła nieznanomym, a Vieri podniósł halabardę jednego z zabitych strażników i natarł na Ezia, wytrącając mu z rąk miecz, który właśnie wyciągał.

– Ezio, łap – krzyknął wielkolud, rzucając Eziowi inny miecz, który przeleciał w powietrzu, wbił się w ziemię u jego nóg i zadygotał. Ten chwycił go w okamgnieniu. Miecz okazał się ciężki i Ezio musiał ująć go w obie ręce, ale i tak zdołał przeciąć nim drzewiec halabardy Vieriego. Ten zaś, widząc, że jego ludzie z łatwością ulegają najemnikom, którzy pozbawili życia kolejnych dwóch, wstrzymał atak i pierzchnął z pola walki, miotając na odchodnym przekleństwo. Wielkolud podszedł do Ezia i kobiet, przywołując na twarz szeroki uśmiech.

– Cieszę się, że wyszedłem wam na spotkanie – powiedział. – Wygląda na to, że pojawiłem się w samą porę.

– Dzięki ci, panie, kimkolwiek jesteś.

Mężczyzna roześmiał się głośno, a Ezio wyczuł w jego głosie znajomą nutę.

– Czy gdzieś cię już spotkałem, panie? – zapytał Ezio.

– Tak, przed laty... Ale i tak dziwi mnie, że nie poznajesz własnego wuja!

– Wuj Mario?

– We własnej osobie!

Uścisnął mocno Ezia, potem podszedł do Marii i Claudii. Gdy zobaczył, w jakim stanie jest Maria, spochmurniał.

– Posłuchaj, moje dziecko – powiedział do Claudii. – Zabiorę teraz Ezia do mojego *castello*, a was pozostawię pod opieką moich ludzi – dadzą wam coś do jedzenia i picia. Wyślę przodem jeźdźca, wróci po was z wozem. Na dziś dość już wędrówki! Poza tym widzę, że moja biedna bratowa jest... – przerwał, po czym ostrożnie dokończył – ...wyczerpana.

– Dzięki, wuju.

– A więc wszystko postanowione. Do zobaczenia wkrótce.

Odwrócił się i wydał swoim ludziom rozkazy, a potem objął Ezia ramieniem i poprowadził do swojego zamku, górującego nad małym miasteczkiem.

– Skąd wiedziałeś, że tu zmierzam?

– A... Mój przyjaciel z Florencji wysłał posłańca, który był tu przed tobą – Mario sprawiał wrażenie, jakby nie chciał mówić o wszystkim. – Ale już wcześniej wiedziałem, co się święci. Nie byłem wystarczająco silny, by pomaszerować na Florencję, ale teraz wrócił tam Lorenzo, miejmy zatem nadzieję, że zdoła utrzymać Pazzich w szachu. Lepiej powiedz, co tam u ojca i u moich bratanków!

– Oni... Wszyscy... Powieszono ich za zdradę – przerwał. – Uniknąłem stryczka przez czysty przypadek.

– Boże... – powiedział bezgłośnie Mario, wykrzywiając twarz w bólu. – Czy wiesz, jak do tego doszło?

– Nie, ale mam nadzieję, że pomożesz mi znaleźć odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Ezio zaczął opowiadać wujowi o ukrytej skrzyni w ich rodzinnym *palazzo* i o tym, co w niej znalazł; o zemście, jakiej dokonał na Albertim i o dokumentach, które mu zabrał.

– Wygląda na to, że spośród nich najistotniejsza jest lista nazwisk – dodał, po czym wybuchnął smutkiem. – Nie mogę uwierzyć, że to wszystko nas spotkało!

Mario poklepał go po ramieniu.

– Wiem to i owo o interesach twojego ojca – powiedział, a Ezio uświadomił sobie, że Mario nie zdziwił się zbyt, gdy usłyszał o tajemnej komnacie i ukrytej w niej skrzyni. – Poskładamy to razem w jedną całość. Musimy jednak zadbać o twoją matkę i siostrę. Mój zamek to nie miejsce dla kobiet, a żołnierze, tacy jak ja, nigdy nie zagrzewają miejsca na dłużej; jest tu jednak pewien żeński klasztor, jakąś milę stąd, gdzie byłyby zupełnie bezpieczne i pod dobrą opieką. Jeśli się zgodzisz, ulokujemy je tam. Bo ty i ja mamy bardzo wiele do zrobienia.

Ezio pokiwał głową. Postanowił, że zobaczy się tam z nimi, porozmawia z Claudią i przekona ją, że to będzie dla nich najlepsze i na pewno tymczasowe rozwiązanie, wiedział bowiem, iż nie będzie chciała pozostać

długo w takim odosobnieniu.

Dochodzili już do miasteczka.

– Wydawało mi się, że Monteriggioni jest wrogiem Florencji – powiedział Ezio.

– Nie tyle Florencji, co Pazzich – powiedział mu wuj. – Jesteś już chyba wystarczająco dorosły, by wiedzieć, jak to jest z sojuszami między miastami-państwami, czy to wielkimi, czy małymi. Jednego roku żyją w przyjaźni, by w kolejnym stać się śmiertelnymi wrogami; rok później znów łączy ich sojusz. I tak w kółko, jakby rozgrywały ze sobą obłąkańczą partię szachów. Ale tu ci się spodoba. Ludzie są uczciwi i pracowici, a rzeczy, które wytwarzamy, są trwałe, nie do zdarcia. Nasz ksiądz to dobry człowiek, nie pije zbyt dużo i nie wtrąca się w nie swoje sprawy. Cenię to sobie, bo nigdy nie byłem wyjątkowo oddanym synem kościoła. Ale najlepsze ze wszystkiego jest wino – to najlepsze chianti, jakiego kiedykolwiek próbowałeś, pochodzi z moich własnych winnic. Chodź, jeszcze tylko kawałek i będziemy na miejscu.

Zamek Maria już od lat był siedzibą Auditorich. Został wzniesiony w połowie trzynastego wieku w miejscu, które wcześniej zajmowała o wiele starsza budowla. Mario udoskonalił go architektonicznie i rozbudował, przez co zamek bardziej niż fortecę przypominał teraz wystawną willę, choć jej mury były wysokie, grube i dobrze ufortyfikowane. Przed budynkiem, tam, gdzie zwykle mieści się ogród, znajdował się rozległy plac do ćwiczeń, na którym kilka tuzinów młodych, uzbrojonych mężczyzn zajmowało się doskonaleniem swoich technik walki.

– *Casa, dolce casa* – rzekł Mario. – Ostatni raz byłeś tu jeszcze jako mały chłopczyk. Zmieniło się tu trochę od tego czasu. Co o tym sądzisz?

– Jestem pod wielkim wrażeniem, wuju.

Aż do wieczora Ezio był bardzo zajęty. Najpierw Mario oprowadzał go po zamku, potem przygotowywał jego zakwaterowanie, a na końcu upewnili się, czy Claudia i Maria dotarły bezpiecznie do pobliskiego klasztoru, którego

przeoryszą była dawna, oddana przyjaciółka Maria (jak głosiła plotka, przed laty jego kochanka).

Nazajutrz wczesnym rankiem Ezio został wezwany do gabinetu wuja, obszernej, wysokiej komnaty, której ściany przyozdabiały mapy, zbroje i broń; na środku znajdował się ciężki dębowy stół i krzesła.

– Musisz jak najszybciej wybrać się do miasta – powiedział Mario zdecydowanym głosem. – Zaopatrz się we wszystko, co będzie ci potrzebne. Wyślę z tobą jednego z moich ludzi. Jak wrócisz, zaczniemy.

– Ale co, wuju?

Mario wyglądał na zdziwionego.

– Wydawało mi się, że przybyłeś tu, by się wyćwiczyć.

– Nie, wuju, nie takie mam zamiary. Gdy musieliśmy uciekać z Florencji, twoja posiadłość była pierwszym bezpiecznym miejscem, jakie przyszło mi do głowy. Chcę zabrać matkę i siostrę jeszcze dalej.

Mario sposepniał.

– Ale co z wolą twojego ojca? Nie sądzisz, że chciał, byś dokończył jego dzieło?

– Czyli został bankierem? Nie, nasz rodzinny interes to już historia – nie ma już Banku Auditorich, chyba że księciu Lorenzowi udało się ocalić go z rąk Pazzich.

– Nie o tym myślałem... – zaczął Mario, lecz zaraz przerwał. – Chcesz mi powiedzieć, że ojciec nigdy ci nie powiedział?

– Przykro mi, wuju, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Mario pokręcił głową.

– W takim razie nie wiem, co sobie myślał twój ojciec. Może uznał, że jeszcze nie czas... Szkoda tylko, że okoliczności wyprzedziły jego plany – spojrzawszy zdecydowanie na Ezia. – Musimy zatem porozmawiać, długo i poważnie. Zostaw mi dokumenty, które trzymasz w torbie. Przystudiuję je, a ty w tym czasie idź do miasta i dobrze się wyposaż. Tu masz spis rzeczy, które będą ci potrzebne, a tu pieniądze.

Speszony, Ezio wybrał się do miasta w towarzystwie jednego z wyżej postawionych żołnierzy Maria, siwowłosego weterana o imieniu Orazio. Od płatnerza kupił sztylet i lekką zbroję, a od miejscowego lekarza – bandażę i zestaw podstawowych medykamentów. Wrócił do zamku, gdzie niecierpliwie oczekiwał go Mario.

– *Salute* – powiedział Ezio. – Zrobiłem, co kazałeś, wuju.

– Szybko ci poszło. *Ben fatto!* Teraz musimy cię dobrze nauczyć, jak walczyć.

– Wuju, wybacz, ale jak już ci wspominałem, nie mam zamiaru tu zostawać.

Mario przygryzł usta.

– Posłuchaj, Ezio. Ledwo uszedłeś z życiem ze starcia z Vierim. Gdybym się wtedy nie pojawił... – urwał. – No cóż, odejdziesz, jeśli musisz, ale przynajmniej nabądź umiejętności i przyswój wiedzę, której będziesz potrzebował, by się bronić, bo inaczej w podróży nie przeżyjesz nawet tygodnia.

Ezio milczał.

– Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to dla swojej matki i siostry – nalegał Mario.

Ezio rozważył wszelkie za i przeciw i musiał przyznać, że wuj ma rację.

– No dobrze – odpowiedział. – Skoro byłeś, wuju, tak dobry, by mnie w to wszystko wyposażyć...

Mario się rozpromienił i poklepał Ezia po ramieniu.

– Dobry chłopak. Jeszcze mi podziękujesz.

Kolejne tygodnie Ezio spędzał na intensywnym doskonaleniu umiejętności władania bronią. Ucząc się nowych technik, poznawał również historię swojej rodziny i jej tajemnice, których ojciec nie zdążył mu wyjawić, a od chwili, kiedy Mario pozwolił mu korzystać ze swojej biblioteki, Ezio zaczął stopniowo nabierać niewygodnego przekonania, że oto być może jego przeznaczeniem są sprawy, o których mu się nawet nie śniło.

– Powiadasz, wuju, że mój ojciec był kimś więcej, niż po prostu bankierem? – zapytał pewnego razu Ezio.

– Tak – odparł Mario z powagą w głosie. – Twój ojciec był znakomicie wyszkolonym zabójcą.

– To niemożliwe... Mój ojciec był finansistą, prowadził interesy... Jakże mógł być zabójcą?

– Nie, Ezio, to nie tak. Urodził się i wychował, by zabijać. Był wysoko postawionym członkiem zakonu asasynów – Mario zawahał się. – Wiem, że na pewno znalazłeś coś na ten temat w bibliotece. Musimy też omówić dokumenty, które ci powierzył, i które – dzięki Bogu! – odzyskałeś od Albertiego. Ten spis nazwisk – to nie jest lista dłużników... To ci, którzy odpowiadają za śmierć twojego ojca i którzy zamieszani są w jeszcze większy spisek.

Ezio zmagał się z sobą samym, by dać wiarę temu, co słyszy. Wszystko, co wiedział o swoim ojcu i swojej rodzinie teraz wydawało się półprawdą. Jak ojciec mógł to przed nim ukrywać? To było tak niewyobrażalne, tak obce... Ojciec musiał mieć jakieś powody, by trzymać te sprawy w tajemnicy, więc Ezio zapytał, dobierając ostrożnie słowa:

– Przyjmuję do wiadomości, że z moim ojcem wiąże się wiele spraw, o których dotąd nie wiedziałem... Wybacz, wuju, że śmiem wątpić w twoje słowa, ale dlaczego ta tajemnica musi być tak ściśle zachowywana?

Mario nie odpowiedział od razu.

– Wiesz coś o zakonie templariuszy?

– Tak, coś obito mi się o uszy.

– Zakon ten został założony wiele wieków temu, wkrótce po pierwszej wyprawie krzyżowej i stał się czymś w rodzaju elitarnego oddziału żołnierzy Boga – w rzeczywistości byli to po prostu mnisi w zbrojach. Ślubowali wstrzemięźliwość i życie w ubóstwie. Mijały jednak lata, a ich status się zmieniał. Przez ten czas zaangażowali się w międzynarodową działalność finansową; również i na tym polu odnieśli spore sukcesy. Inne zakony –

szpitalnicy i krzyżacy – krzywo na nich patrzyli, a ich potęga wielu zaczynała spędzać sen z powiek, również i królom. Założyli swoją bazę w południowej Francji i nosili się z zamiarem stworzenia swojego własnego państwa. Nie płacili podatków, utrzymywali swoją własną armię i zaczęli nią wszystkich terroryzować. W końcu dwieście lat temu powstał przeciw nim król Francji, Filip Piękny. Doprowadził do przerażającej czystki: templariuszy wtrącano do więzień, wypędzano, wyrzynano w pień, a ostatecznie ekskomunikował ich papież. Tyle że całkowite ich wykorzenienie okazało się niemożliwe – mieli piętnaście tysięcy komandorii, rozproszonych po całej Europie. Niemniej jednak po konfiskatach ich posiadłości i dóbr materialnych, templariusze pozornie przestali istnieć, a ich potęga wydawała się złamana.

– Co się z nimi stało?

Mario pokręcił głową.

– Oczywiście to był tylko podstęp, dzięki któremu przetrwali. Zeszli do podziemia, zabierając ze sobą bogactwa, które udało się im ocalić, i wciąż utrzymywali swoje zgromadzenie, zawzięci jeszcze bardziej niż dawniej, by osiągnąć swój cel.

– A co nim było?

– Raczej co nim jest! – w oczach Maria pojawił się błysk. – Dążą do dominacji nad światem. I tylko jedna organizacja może im to udaremnić. Zakon asasynów, do którego twój ojciec – a również i ja – mamy zaszczyt przynależać.

Ezio potrzebował dłuższej chwili, by to wszystko do niego dotarło.

– Czy Alberti był jednym z templariuszy?

Mario skinął głową w powadze.

– On i wszyscy ze spisu twojego ojca.

– A Vieri?

– On również, wraz ze swoim ojcem, Franceskiem, i całym klanem Pazzich.

Ezio zastanowił się.

– To wiele wyjaśnia... – powiedział. – Jest coś, czego ci jeszcze nie pokazywałem, wuju...

Podwinął rękaw, odsłaniając swój ukryty sztylet.

– O... – powiedział Mario. – To rozsądne z twojej strony, że nie mówiłeś mi o tym, zanim nie upewniłeś się, że możesz mi całkowicie zaufać. Zastanawiałem się nawet, co się z nim stało. Widzę, że go naprawiłeś. Należał do twojego ojca, który dostał go od swojego ojca, któremu z kolei przekazał go jego ojciec... Uszkodził się... w pewnym starciu z udziałem twojego ojca, lata temu; Giovanni nie mógł jednak znaleźć rzemieślnika, odpowiednio zręcznego i godnego zaufania, któremu mógłby zlecić naprawę. Dobrze się spisałeś, mój chłopcze.

– Mimo wszystko – powiedział Ezio – cała ta opowieść o asasynach i templariuszach brzmi jak jakaś stara legenda... To zbyt niesamowite.

Mario uśmiechnął się.

– Może tak niesamowite, jak stary pergamin z tajemnym pismem?

– Wiesz o karcie z Kodeksu?

Mario wzruszył ramionami.

– Czyżbyś zapominał? Była z dokumentami, które mi przekazałeś.

– Możesz mi objaśnić, co tam było napisane? – Ezio był niechętny, by mieszać w to wszystko swojego przyjaciela, Leonarda, dopóki to nie było konieczne.

– No cóż, ten, kto naprawił ci sztylet, ktokolwiek to był, musiał być w stanie przeczytać przynajmniej jakąś część pergaminu – powiedział Mario, a widząc, jak Ezio otwiera usta, uniósł dłoń. – Nie będę zadawał ci na ten temat żadnych pytań. Widzę, że chcesz kogoś chronić, a ja to szanuję. Ale na tej karcie znajduje się coś więcej, niż sam opis mechanizmu twojej broni. Pozostałe strony tego Kodeksu są rozproszone po całej Italii, a zawierają wewnętrzne reguły funkcjonowania zakonu asasynów; mówią o jego pochodzeniu, celu istnienia i technikach. Czyli – jeśli wolisz – stanowią nasze Credo. Twój ojciec wierzył, że Kodeks zawiera niezwyklej mocy

tajemnicę. Coś, co może zmienić świat – przerwał i zastanawiał się przez chwilę. – Być może dlatego po niego przyszli.

Ezia przytłoczyło to, co usłyszał – jak na jeden raz było tego zdecydowanie zbyt wiele.

– Asasyni, templariusze, do tego ten dziwny Kodeks...

– Będę twoim przewodnikiem, Ezio. Najpierw jednak musisz otworzyć swój umysł i zawsze pamiętać o jednym: nic nie jest prawdziwe, a wszystko jest dozwolone.

Mario nie powiedział mu nic więcej, choć Ezio nalegał. Kontynuował za to jego wyjątkowo intensywne szkolenie, a Ezio dzień w dzień ćwiczył z młodymi *condottieri* na placu, padając co wieczór na łóżko zbyt zmęczony, by myśleć o czymś innym niż sen. Potem, pewnego dnia...

– Dobra robota, mój bratanku! – powiedział mu wuj. – Sądzę, żeś gotów.

Ezio był zadowolony.

– Dzięki ci, wuju. Za wszystko.

Odpowiedzią Maria był mocny uścisk.

– W końcu jesteśmy rodziną! Taki był mój obowiązek i moje pragnienie.

– Cieszę się, że namówiłeś mnie, bym tu został.

Mario spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem.

– Więc co? Rozważyłeś raz jeszcze swoją decyzję o odejściu?

Ezio popatrzył wujowi w oczy.

– Przykro mi, wuju, ale to już postanowione. Ze względu na bezpieczeństwo matki i Claudii, wciąż pragnę przedostać się na wybrzeże, a stamtąd statkiem do Hiszpanii.

Mario nie krył niezadowolenia.

– Wybacz mi, bratanku, ale nie uczyłem cię tego wszystkiego ani dla swojego kaprysu, ani wyłącznie dla twojej własnej korzyści. Byłem twoim nauczycielem, by lepiej przygotować cię do walki z naszymi wrogami.

– Więc gdy mnie znajdą, wykorzystam to.

– Czyli – rzekł z goryczą w głosie Mario – chcesz odejść? Rzucić to

wszystko, o co walczył twój ojciec i za co oddał swoje życie? Chcesz wyzbyć się swojej spuścizny? No cóż! Nie mogę udawać, że nie jestem rozczarowany. Wielce rozczarowany. Lecz niechaj tak będzie. Orazio zabierze cię do klasztoru, a kiedy uznasz, że matka może iść dalej, zadba, by wyprawić was w drogę. *Buona fortuna!*

To powiedziawszy, Mario odwrócił się do Ezia i odszedł zdecydowanym krokiem.

Upłynęło więcej czasu, niż Ezio zakładał, że wystarczy, by jego matka w spokoju i wyciszeniu doszła do siebie. Sam zaczął przygotowywać się do opuszczenia zamku z ciężkim sercem. W końcu wyruszył do klasztoru w przekonaniu, że będzie to ostatnia składana matce i siostrze wizyta przed zabraniami ich w drogę. Gdy tam przybył, zastał je w o wiele lepszym stanie, niż śmiał przypuszczać. Claudia zaprzyjaźniła się z kilkoma młodszymi zakonnkami; okazało się też, ku wielkiemu zdziwieniu Ezia i jego mniejszemu już zadowoleniu, że zaczęło pociągać ją takie życie. Matka wracała do zdrowia w stałym, choć powolnym tempie. Przeorysza, słysząc o zamiarach Ezia, sprzeciwiła się im, twierdząc, że matka wciąż potrzebuje wypoczynku i że nie powinna jeszcze teraz ruszać w podróż.

Wrócił więc do zamku Maria. Naszły go jakieś złe przeczucia, a w dodatku uświadomił sobie, że zaczęły one narastać z upływem czasu.

Od niedawna w Monteriggioni trwały jakieś zbrojne przygotowania, a teraz wyglądało na to, że zbliżają się ku końcowi. Ich widok napęlił Ezia dziwnym niepokojem. Nigdzie nie widział wuja, ale udało mu się spotkać Orazia, którego dogonił w drodze do komnaty z mapami.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Gdzie wuj?

– Sposobi się do bitwy.

– Jak to? Z kim?

– Myślę, że powiedziałby ci, gdyby wiedział, że tu zostajesz. Skoro jednak powszechnie wiadomo, że masz inne zamiary...

– Cóż...

– Posłuchaj. Twój stary przyjaciel, Vieri Pazzi, zainstalował się w San Gimignano, gdzie planuje potroić siły stacjonującego tam garnizonu, i ogłosił, że jak tylko będzie gotów, wyruszy, by zrównać Monteriggioni z ziemią. Dlatego wybieramy się tam jako pierwsi – rozgnieciemy tego węża na miazgę i damy Pazzim nauczkę, o której łatwo nie zapomną.

Ezio zaczerpnął powietrza. Oczywiście, to wszystko zmieniało. Może właśnie takie było jego przeznaczenie, może oto pojawił się znak, którego nieświadomie poszukiwał.

– Więc gdzie znajdę wuja?

– W stajni.

Ezio wybiegał już z komnaty.

– Hola! Dokąd to?

– Do stajni! Musi i dla mnie znaleźć się tam jakiś koń!

Orazio, uśmiechając się, odprowadził go wzrokiem.

7

Mario wraz z jadącym u jego boku Eziem doprowadził swe zbrojne siły w miejsce, z którego widać było San Gimignano. Był środek wiosennej nocy roku Pańskiego 1477. Zanosiło się na bezwzględną konfrontację.

– Powiedz mi raz jeszcze, cóż wpłynęło na zmianę twojej decyzji? – zapytał Mario, wciąż radując się z faktu, że Ezio się rozmyślił.

– Wuju, chyba po prostu lubisz, jak to powtarzam...

– A nawet jeśli, to co? Tak czy owak, dobrze wiedziałem, że powrót do zdrowia Marii zajmie jeszcze dobrą chwilę. Poza tym siostra i matka są tam zupełnie bezpieczne, z czego chyba zdajesz sobie sprawę.

Ezio uśmiechnął się.

– Tak jak ci już mówiłem, wuju, chciałem wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. A Vieri – to też ci mówiłem – nęka cię właśnie z mojego powodu.

– A ty – co też ci mówiłem – masz całkiem zdrowe poczucie własnej wartości! Bo prawda jest taka, że Vieri nęka nas dlatego, że on jest templariuszem, a my – asasynami.

Mówiąc to, Mario badawczym wzrokiem omiatał wysokie, wzniesione bardzo blisko siebie wieże San Gimignano. Te prostopadłościenne konstrukcje wydawały się zahaczać o niebo, a Ezio uległ dziwnemu wrażeniu, jakby skądś już znał ten widok; może zobaczył go we śnie albo w innym życiu, bo nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tu był.

Na szczytach wież płonęły pochodnie, a jeszcze większa ich liczba oświetlała zwieńczenie murów obronnych miasta i prowadzące do niego bramy.

– Dobrze się tu ulokował – powiedział Mario – a sądząc po liczbie pochodni pewnie się nas spodziewa. Szkoda, choć wcale mnie to nie dziwi.

Ma przecież swoich szpiegów, tak jak ja – przerwał na chwilę. – Na szańcach widzę łuczników, a i bramy są mocno strzeżone – nie przerywał lustrowania miasta. – Ale wygląda na to, że nie miał wystarczająco dużo ludzi, by dostatecznie obsadzić każdą z bram. Ta od południa wydaje się najslabiej broniona – to pewnie stamtąd najmniej spodziewa się ataku. Tam więc uderzymy.

Podniósł rękę i nacisnął nogą bok swojego konia. Jego żołnierze podążyli za nim.

– Oto, co zrobimy – powiedział energicznie Mario. – Moi ludzie zajmą straż przy bramie, a ty wdrapiesz się na mur i otworzysz ją od środka. Musimy działać cicho i błyskawicznie.

Odpiął bandolier z nożami do rzucania i wręczył Eziowi.

– Weź to i pozbądź się łuczników.

Gdy byli już wystarczająco blisko, zsiadli z koni. Mario poprowadził grupę swoich najlepszych żołnierzy w kierunku strażników rozstawionych przy południowym wejściu do miasta. Ezio odłączył się od nich i przebiegł ostatnie sto kroków ukrywając się w zaroślach i krzakach, aż znalazł się u stóp muru. Miał naciągnięty kaptur; w świetle pochodni płonących u bramy zauważył, że rzucany przez niego cień dziwnie przypomina głowę orła. Spojrzał ku górze. Mur piął się zupełnie pionowo, na wysokość jakichś 50 stóp, może wyżej. Nie mógł dojrzeć, czy ktoś jest na obwarowaniach. Przewiesiwszy starannie bandolier przez ramię, zaczął się wspinać. Było ciężko, gdyż kamień, z którego wniesiono mur, był gładko ciosany i nie dawał zbyt wielu możliwości podparcia stóp. Na szczęście otwory strzelnicze w pobliżu zwieńczenia pozwoliły mu zyskać stabilną pozycję. Z wielką ostrożnością wyjrzał zza krawędzi obwarowania. Po jego lewej stronie, na szanccu stali odwrócenii do niego plecami dwaj łucznicy, opierając się o mur i trzymając napięte łuki. Zauważyli, że Mario atakuje i celowali w dół, w *condottieri* asasynów. Ezio nie wahał się ani chwili. Albo zginą oni, albo jego przyjaciele. Teraz dopiero docenił swoje nowe umiejętności, na

wpojenie których tak bardzo naciskał wuj. Szybko, usiłując skupić umysł i oko w półmroku rozświetlanym migoczącym blaskiem pochodni, wyciągnął dwa noże i rzucił je, jeden po drugim, z istic śmiertelną precyzją. Pierwszy z noży dosięgnął karku jednego z łuczników – jego śmierć była natychmiastowa. Mężczyzna przeleciał przez blanki, nie wydobywszy z siebie nawet szeptu. Kolejny nóż przeciął powietrze i trafił nieco niżej, w plecy drugiego łucznika, z taką siłą, że ten, z głuchym okrzykiem, przechylił się do przodu i runął przez mury w rozciągającą się za nimi ciemność.

Poniżej, tam, gdzie kończyły się wąskie, kamienne schody, znajdowała się brama. Teraz również i Ezio z zadowoleniem przyjął fakt, że siły Vieriego nie były wystarczająco liczne, by strzec miasta z pełną skutecznością – po wewnętrznej stronie bramy nie było ani jednego żołnierza. Rzucił się schodami w dół, przeskakując po trzy naraz; wydawało się, że prawie z nich sfruwa. Wkrótce potem odszukał dźwignię zwalniającą ciężkie, żelazne zasuwę, które rygłowały masywne, wysokie na dziesięć stóp dębowe wrota. Pociągnął za nią. Musiał to zrobić z całych sił – dźwignia z pewnością nie była obliczona na możliwości jednego człowieka, ale w końcu zadanie zostało wykonane. Potem zaczął ciągnąć za jeden z ciężkich pierścieni, zamocowanych w skrzydłach bramy na wysokości ramienia. Skrzydła poddały się i zaczęły powoli otwierać, ukazując Maria i jego ludzi kończących swe krwawe zadanie. Dwóch asasynów leżało martwych, ale Mario odesłał do Stwórcy aż dwudziestu żołnierzy Vieriego.

– Dobra robota, Ezio! – krzyknął szeptem Mario.

Jak dotąd nie podniesiono alarmu, ale było jasne, że to już tylko kwestia czasu.

Mario odwrócił się do jednego ze swoich dowódców i rzekł:

– Wróć i przyprowadź ze sobą główne siły.

Potem poprowadził swoją grupę przez opustoszałe ulice miasta – Vieri musiał wprowadzić zakaz opuszczania domów wieczorną porą, bo nie było

tam żywej duszy. W pewnej chwili o mały włos nie doszło do konfrontacji z patrolem żołnierzy Pazzich. Mario i jego ludzie schowali się w mroku, pozwolili patrolowi przejść, a potem zaatakowali go od tyłu, zabijając strażników z chłodną precyzją.

– Co teraz? – zapytał wuja Ezio.

– Musimy odszukać tutejszego dowódcę straży. Ma na imię Roberto. Będzie wiedział, gdzie jest Vieri – Mario zdradzał oznaki większego niż zwykle zdenerwowania. – Tracimy za dużo czasu. Lepiej będzie, jeśli się rozdzielimy. Znam Roberta. O tej porze będzie pił w swojej ulubionej tawernie albo odsypiał swoje pijaństwo w cytadeli. Ty weź na siebie cytadelę. Zabierz Orazia i tuzin ludzi.

Spojrzał na rozjaśniające się już niebo, a do płuc wciągnął powietrze, w którym czuć było orzeźwiający chłód budzącego się dnia.

– Meldujemy się o pierwszym pianiu przed katedrą. I pamiętaj – jesteś teraz dowódcą tej bandy łobuzów! – Mario uśmiechnął się z sympatią do swoich ludzi, zabrał z sobą posiłki i zniknął w mroku ulicy prowadzącej w górę.

– Forteca znajduje się w południowo-zachodniej części miasta... panie... – powiedział Orazio.

Uśmiechnął się, pozostali również. Ezio wyczuł, że ściera się w nich posłuszeństwo wobec Maria z obawami, że ich los spoczął w rękach tak niedoświadczonego dowódcy.

– A więc ruszajmy – odezwał się zdecydowanym głosem Ezio. – Za mną!

Cytadela rozciągała się wzdłuż jednego z boków głównego placu, nieopodal katedry, prawie na szczycie małego wzgórza, na którym wzniesiono miasto. Ezio z ludźmi dotarli tam bez przeszkód. Spostrzegł jednak, że przy wejściu do cytadeli Pazzi rozstawił strażę. Gestem dłoni nakazał swoim ludziom pozostać z tyłu, a sam zaczął zbliżać się do strażników, przemykając w mroku cicho jak lis, aż znalazł się w odległości, z której mógł usłyszeć rozmowę prowadzoną przez dwóch spośród nich.

Jasno z niej wynikało, że nie w smak im przywództwo Vieriego – z ich ust lał się potok złorzeczeń.

– Powiadam ci, Tebaldo – mówił jeden z nich. – Nie podoba mi się ten szczeniak Vieri. Nie sądzę, by potrafił wcelować własnym moczem do wiadra, a co dopiero obronić miasto przed nacierającą siłą. Jeśli zaś chodzi o kapitana Roberta, to pije tak dużo, że zaczyna powoli przypominać butelkę chanti odzianą w mundur.

– Za dużo gadasz, Zohane – przestrzegł go Tebaldo. – Pamiętaj, co było z Bernardem, gdy ośmielił się mu postawić...

Zohane opanował się nieco i z powagą pokiwał głową.

– Masz rację... Podobno Vieri kazał go oślepić...

Ezio, zadowolony, wrócił do swoich ludzi. Wojsko o upadłym morale, nawet jeśli mobilizuje je silny strach przed dowódcą, rzadko bywa skuteczne; nie miał jednak pewności, czy Vieri nie dowodzi przy tym silną, lojalną grupą zwolenników rodziny Pazzich. Teraz jednak musiał się skupić na powierzonym mu zadaniu – przedostaniu się do cytadeli. Ezio uważnie zlustrował plac. Poza nielicznymi strażnikami Pazziego przy bramie, był ciemny i pusty.

– Orazio?

– Tak, panie?

– Mógłbyś zająć się tymi ludźmi i ich zlikwidować? Tylko szybko i bezszelestnie. Ja tymczasem wdrapię się na dach i sprawdzę, czy rozstawili strażę również na dziedzińcu.

– Po to tu jesteśmy, panie.

Zostawiwszy strażników Oraziowi i jego żołnierzom, Ezio upewnił się, czy w bandolierze ma wystarczającą liczbę noży do rzucania, po czym wbiegł w boczną uliczkę w pobliżu cytadeli, wspiął się na sąsiadujący z nią budynek i stamtąd przeskoczył na jej dach, okalający wewnętrzny dziedziniec. Dziękował Bogu za to, że Vieri najwyraźniej nie pomyślał o rozstawieniu swoich ludzi na wieżach, które w wielkiej liczbie górowały nad miastem

i stwarzały dogodne punkty obserwacyjne, dające ogłęd na wszystko, co działo się poniżej. Wiedział też, że przejęcie kontroli nad wieżami będzie pierwszym celem dowodzonego przez Maria głównego oddziału. Z dachu cytadeli dostrzegł, że jej dziedziniec jest opuszczony – zeskoczył więc na jego kolumnadę, a z niej na ziemię. Teraz otwarcie bram cytadeli i rozstawienie swoich ludzi, którzy przeciągnęli martwe ciała strażników Pazziego pod kolumnadę, stało się proste. By nie przyciągać uwagi z zewnątrz, oddział Ezia zamknął za sobą bramy.

Cytadela sprawiała wrażenie opuszczonej. Jednak chwilę po wejściu oddziału Ezia do środka, z placu po drugiej stronie bramy dało się słyszeć jakieś głosy – pojawiła się kolejna grupa ludzi Vieriego; otworzyli bramę i weszli na dziedziniec, podpierając ramionami najgrubszego z nich, który był wyraźnie pijany.

– Gdzie u licha ulotniła się straż spod bramy? – zapytał. – Tylko mi nie mówcie, że Vieri odwołał mój rozkaz i wysłał ich na jeden z tych swoich cholernych patroli.

– *Ser Roberto* – próbował udobruchać go jeden z podtrzymujących. – Czy przypadkiem nie pora na odpoczynek?

– Ależ skąd! W końcu przeszedłem całą powrotną drogę czy nie? A noc jeszcze młoda!

Mężczyznom udało się posadzić swojego dowódcę na brzegu znajdującej się na środku dziedzińca fontanny, sami zaś zgromadzili się wokół, niepewni, co mają robić dalej.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że nie jestem dobrym dowódcą! – powiedział Roberto, użalając się nad sobą.

– To nonsens, panie – odrzekł mężczyzna stojący najbliżej.

– Vieri tak myśli! – ciągnął rozżalony Roberto. – Powinniście usłyszeć, jak się do mnie odnosi – przerwał, rozejrzał się wokół, usiłując się skupić, po czym rzewnym tonem dodał: – To tylko kwestia czasu – zostanę odwołany albo jeszcze gorzej!

Znowu przerwał i sapiąc zapytał:

– Gdzie się podziała ta cholerna butelka?! Dawać mi ją tutaj!

Pociągnął głęboki łyk, spojrzał na nią badawczo, by upewnić się, że jest pusta, po czym odrzucił ją daleko od siebie.

– To wina Maria! Nie mogłem dać wiary temu, co przekazali mi nasi szpiedzy – że przygarnął swojego bratanka, i to po tym, jak uratował szczeniaka z rąk samego Vieriego. Teraz Vieriemu z wściekłości odebrało rozum, a ja muszę występować przeciw swojemu staremu *compagno*! – omiół dziedziniec otępiłym wzrokiem. – Stary, dobry Mario! Kiedyś byliśmy towarzyszami broni, wiedzieliście o tym? Odmówił jednak przejścia na stronę Pazzich wraz ze mną, mimo że miałyby większe pieniądze, lepsze kwatery, lepszą broń... Wszystko! Szkoda, że go tu nie ma... Powiedziałbym mu, co o...

– Wybacz, panie – przerwał mu Ezio, wychodząc z mroku.

– Co... Kim jesteś?! – krzyknął Roberto.

– Pozwól, panie, że się przedstawię. Jestem bratankiem Maria.

– Co?! – ryknął Roberto, usiłując zerwać się na nogi i próbując bez powodzenia dobyć miecza. – Łapać mi tego szczeniaka!

Sam nachylił się ku Eziowi, a ten poczuł od niego kwaśny zapach wina. Oraz cebuli.

– Wiesz co, Ezio? – uśmiechnął się. – Powinienem być ci wdzięczny. Teraz, gdy już cię mam, nie ma takiej rzeczy, której nie dałby mi Vieri. Może przeniesie mnie w stan spoczynku. I zafunduje willę na wybrzeżu...

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu, *capitano* – odrzekł Ezio.

Roberto odwrócił się i zobaczył to, co jego ludzie ujrzeli już wcześniej: byli otoczeni przez najemników asasynów, uzbrojonych po zęby.

– Ech... – powiedział Roberto, siadając ciężko na brzegu fontanny.

Najwyraźniej uszła z niego cała wola walki.

Gdy strażnicy Pazziego zostali już zakuci w kajdany i wtrąceni do lochów cytadeli, Roberto, zaopatrzony w nową butelkę wina, zasiadł z Eziem za

stołem w komnacie przy dziedzińcu i zaczęli rozmawiać. W końcu Roberto uległ perswazjom Ezia.

– Chcesz Vieriego? No to powiem ci, gdzie jest. Ze mną i tak już koniec. Udaj się do Pałacu Delfina przy placu koło północnej bramy. Tam odbywa się spotkanie...

– Z kim Vieri się spotyka? Czy wiesz?

Roberto wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że ze swoimi ludźmi z Florencji. Mieli przyprowadzić posiłki.

Przerwał im Orazio. Wyglądał nietęgo.

– Ezio! Szybko! Biją się przy katedrze!

– Dobrze, chodźmy!

– Co z nim?

Ezio spojrział na Roberta.

– Zostawcie go. W końcu opowiedział się po właściwej stronie.

Jak tylko wyszli na plac, Ezio usłyszał odgłosy walki dobiegające sprzed katedry. Gdy się zbliżył, zobaczył ludzi wuja, odwróconych do niego plecami, zmuszonych do odwrotu przez liczną grupę żołnierzy Pazziego. Korzystając z noży, utorował sobie drogę do wuja, stanął u jego boku i przekazał, czego się dowiedział.

– Roberto dobrze zrobił – powiedział Mario, nie wypadając z rytmu walki.

– Zawsze żałowałem, że przeszedł na stronę Pazzich, ale tym razem spisał się na medal. Idź! Wywiedz się, co knuje Vieri!

– Co z tobą, wuju? Dasz sobie radę?

Mario zasepił się na krótko.

– Jeszcze przez chwilę – pewnie tak. Nasze główne siły powinny już zabezpieczyć większość wież i niedługo do nas dołączą. Spiesz się, Ezio! Nie pozwól, by Vieri się nam wymknął!

Pałac znajdował się w najbardziej wysuniętym na północ punkcie miasta, z dala od miejsca, w którym toczyła się walka; mimo to sporo tu było

żołnierzy Pazziego – najprawdopodobniej posiłków, o których wspominał Roberto. Ezio musiał więc starannie obierać drogę, by się na nie nie natknąć.

Przybył w samą porę: spotkanie najwyraźniej dobiegało końca. Dojrzał grupę czterech mężczyzn odzianych w szaty, zmierzających w kierunku przywiązanych koni. Rozpoznał Jacopa Pazziego, jego bratanka, Francesca, Vieriego i – tu wydał z siebie stłumiony okrzyk zdziwienia – wysokiego Hiszpana, obecnego przy egzekucji. Ale jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że na jego pelerynie, na ramieniu, widniał kardynalski herb. Mężczyźni zatrzymali się przy koniach, a Eziowi udało się niepostrzeżenie schować za pobliskim drzewem, skąd chciał usłyszeć choćby jakiś strzęp ich rozmowy. Musiał wyęźać słuch, bo docierały do niego tylko urywki słów, lecz nawet to, co udało mu się podsłuchać, było wystarczająco intrygujące.

– A więc postanowione – mówił Hiszpan. – Vieri, zostaniesz tutaj, by odbudować naszą pozycję tak szybko, jak to tylko możliwe. Francesco zorganizuje nasze siły we Florencji, by były gotowe, gdy nadejdzie czas uderzenia, a ty, Jacopo, musisz być przygotowany na uspokojenie motłochu, kiedy już przejmujemy kontrolę. Nie przyspieszajcie rzeczy bardziej niż trzeba: im staranniej zaplanujemy nasze działania, tym większa będzie szansa na sukces.

– *Ser Rodrigo*, jedno małe ale – wtrącił Vieri. – Co mam zrobić z tym *ubriacone*, Mario?

– Pozbądź się go! Nie może dowiedzieć się o naszych zamiarach!

Człowiek, którego zwali Rodrigo, dosiadł konia. Ezio przez chwilę bardzo wyraźnie ujrzał jego twarz – jego zimne oczy, jego orli nos – i ocenił go na jakieś czterdzieści kilka lat.

– Zawsze stwarzał problemy – warknął Francesco. – Zupełnie jak ten *bastardo* – jego brat.

– Nie martw się, *padre* – rzekł Vieri. – Już wkrótce pomogę im zjednoczyć się ponownie – na tamtym świecie!

– Jedźmy już – rzekł Rodrigo. – Zbyt długo tu zabawiliśmy.

Jacopo i Francesco dosiedli swoich wierzchowców i skierowali się do północnej bramy, którą otwierała już straż Pazzich.

– Niech Ojciec Zrozumienia prowadzi nas wszystkich – pożegnali się.

Wyjechali, a bramy zamknęły się za nimi. Ezio zastanawiał się, czy nie nadarza się właśnie dobra okazja, by raz na zawsze pozbyć się Vieriego, ale doszedł do wniosku, że jest zbyt dobrze strzeżony; poza tym, być może lepiej byłoby go wziąć żywcem i zadać mu kilka pytań. Zanotował sobie jednak w pamięci, by imiona mężczyzn, których podsłuchał, dopisać do listy wrogów swojego ojca – wszyscy oni brali udział w spisku, który najwyraźniej wkraczał w coraz bardziej zaawansowane stadium.

Jego myśli przerwało nagłe pojawienie się kolejnego patrolu żołnierzy Pazziego, którego dowódca podbiegł szybko do Vieriego.

– O co chodzi? – warknął Vieri.

– *Commandante*, przynoszę złe wieści. Ludzie Maria Auditore przebili się przez naszych ostatnich obrońców.

Vieri uśmiechnął się szyderczo.

– To on tak uważa. Spójrzcie – wskazał ręką na zgrupowane wokół siebie oddziały – z Florencji przybyło jeszcze więcej naszych. Wykurzymy go z San Gimignano zanim wstanie dzień, jak szkodnika, którym zresztą jest!

Podniesionym głosem zwrócił się do żołnierzy:

– Naprzód, na spotkanie z wrogiem! – krzyknął. – Rozgnieść te gnidy!

Przy wtórze gromkich wojennych okrzyków, ludzie Pazziego ustawili się w szyku za swoimi dowódcami i wyruszyli spod północnej bramy przez miasto, na spotkanie z *condottieri* Maria. Ezio miał nadzieję, że wuj nie da się im zaskoczyć, gdyż teraz ich przewaga liczebna była naprawdę przytłaczająca.

Vieri pozostał jednak z tyłu, a gdy został już sam ze swoją osobistą eskortą, zaczął zdążyć do bezpiecznych murów swojego pałacu. Bez wątplenia miał tam do załatwienia coś, co wiązało się z niedawno zakończonym spotkaniem. A może wracał, by przywdziać zbroję i rzucić się w wir walki? Tak czy

owak, wstawało już słońce. Teraz albo nigdy – pomyślał Ezio i wyszedł z ciemności, ściągając z głowy kaptur.

– Dzień dobry, *messer Pazzi* – rzekł. – Cóż za pracowita noc, nieprawdaż?

Vieri odwrócił się w jego stronę – przez krótką chwilę na jego twarzy malowała się mieszanina zaskoczenia i przerażenia. Szybko jednak zapanował nad sobą i z wściekłością wycedził przez zęby:

– Mogłem się domyślać, że znowu wejdiesz mi w drogę. Pojednaj się z Bogiem, Ezio! Mam na głowie ważniejsze sprawy niż zajmowanie się tobą. Wszak jesteś zaledwie małym pionkiem, który za chwilę zostanie zdmuchnięty ze sceny.

Przyboczna straż Vieriego ruszyła na Ezia, lecz ten był na to przygotowany. Pierwszego ze strażników zwałił z nóg ostatnim ze swoich noży, którego niewielkie ostrze przecięło powietrze z diabolicznym, złowrogim świstem. Potem wyciągnął miecz i sztylet i rzucił się na pozostałych. Ciął i wymierzał pchnięcia jakby zawładnął nim obłęd, wywołując fontanny krwi; jego śmiercionośne ruchy były zarazem oszczędne i efektywne. Trwało to aż do chwili, gdy ostatni ze strażników, ciężko zraniony, mocno kulejąc pierzchnął z placu boju w bezpieczne miejsce. Teraz jednak na Ezia natarł sam Vieri, dzierżąc przerażający topór, który przed chwilą wyciągnął z siodła swojego wierzchowca. Ezio w ostatniej chwili wykonał gwałtowny unik przed śmiertelnym ciosem, lecz uderzenie, choć odbiło się od jego zbroi, sprawiło, że zatoczył się i upadł, wypuszczając z rąk miecz. W jednej chwili stanął nad nim Vieri, który szybkim kopnięciem posłał miecz poza zasięg ręki Ezia i uniósł topór nad głową. Zbierając resztki sił, Ezio wymierzył kopniaka w krocze Vieriego, lecz ten zauważył go w porę i zdążył odskoczyć. Ezio wykorzystał tę chwilę, by stanąć na nogi, ale w tym samym momencie Vieri rzucił w niego toporem, który uderzył go w nadgarstek lewej ręki, wytrącając z niej sztylet i raniąc głęboko jej wierzch. Vieri wyciągnął swój własny miecz i sztylet.

– Chcesz, by coś było zrobione dobrze, zrób to sam – westchnął. – Czasami

zastanawiam się, za co w ogóle płacę tej tak zwanej eskorcie. Żegnaj, Ezio!

I natarł na niego.

Gdy topór rozciął rękę Ezia, nieznośne ciepło bólu rozlało się po jego ciele; poczuł, że kręci mu się w głowie i że wszystko zalewa świetlista biel. Przypomniał sobie jednak, czego go nauczono, i zupełnie zdał się na instynkt. Otrząsnął się i w momencie, gdy Vieri zamierzał się, by śmiertelnym ciosem uderzyć w pozornie nieuzbrojonego przeciwnika, Ezio napiął mięśnie prawej ręki, jednocześnie rozpościerając jej palce. Natychmiast rozległ się szcęk ukrytego mechanizmu i spod palców Ezia wystrzeliło ostrze sztyletu – nijaki na pozór kawałek metalu, lecz skrywający śmiercionośny potencjał. Ezio ujrzał uniesione ramię Vieriego, które odsłaniało jego bok. Właśnie tam zatopił swój sztylet, który wślizgnął się w ciało przeciwnika bez najmniejszych oporów.

Vieri stał przez chwilę jak sparaliżowany, a potem wypuścił z rąk broń i upadł na kolana. Spomiędzy jego żeber wypłynął wodospad krwi. Ezio złapał Vieriego, gdy ten zaczął spadać na ziemię.

– Nie masz zbyt wiele czasu, Vieri – powiedział z naciskiem. – Teraz ty masz okazję, by pojednać się z Bogiem. Powiedz, o czym rozprawialiście? Cóż takiego knujecie?

Vieri odpowiedział mu ze słabym uśmiechem na ustach.

– Nigdy nas nie pokonacie... – odrzekł. – Nigdy nie uda się wam pokonać Pazzich, a co dopiero Rodriga Borgia...

Ezio zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila, a będzie mówił do zwłok. Z jeszcze większym naciskiem i uporem zapytał:

– Mów, Vieri! Czy mój ojciec dowiedział się o waszych zamiarach? Czy dlatego zabili go wasi ludzie?

Lecz twarz Vieriego bladła. Chwytał Ezia mocno za rękę. Z kącika jego ust popłynęła strużka krwi, a oczy stawały się coraz bardziej szkliste. Mimo to wysilił się na ironiczny uśmiech.

– Ezio, czego ty się spodziewasz? Pełnej spowiedzi? Przykro mi... ale po

prostu... nie mam już... czasu... – z trudem złapał powietrze i jeszcze więcej krwi wypłynęło mu z ust. – Szkoda, naprawdę... W innym świecie moglibyśmy nawet być... przyjaciółmi...

Ezio poczuł, jak uścisk dłoni Vieriego słabnie.

Wtedy wezbrał w nim ból rozciętej dłoni, a także pamięć o śmierci ojca i braci. Rozdarła go ślepa furia.

– Przyjaciółmi?! – krzyknął do martwego już Vieriego. – Przyjaciółmi! Ty ścierwo! Powinienem porzucić twoje ciało na skraju drogi, żeby gniło tam jak zdechły ptak! Nikomu cię nie będzie brakować! Żałuję, że nie cierpiełeś jeszcze dłużej! Że...

– Ezio – zza jego pleców odezwał się zdecydowany, spokojny głos. – Wystarczy! Okaż mu choć trochę szacunku.

Ezio powstał i gwałtownie odwrócił się do swego wuja.

– Szacunek? Po tym wszystkim? Nie myślisz, wuju, że gdyby zwyciężył, to nie powiesiłby nas na pierwszym lepszym drzewie?

Mario, choć poturbowany i cały w kurzu i krwi, stał niewzruszony.

– Ale nie zwyciężył, Ezio. Ty zaś nie jesteś taki jak on. Nie staraj się być podobnym do niego.

Uklęknął przy ciele Vieriego, wyciągnął dłoń w rękawicy i zamknął mu powieki.

– Niechaj śmierć sprowadzi na ciebie pokój, którego szukała twa biedna, gniewna dusza – rzekł. – *Requiescat in pace.*

Ezio przyglądał się temu w milczeniu. Gdy jego wuj powstał, zapytał go:

– Już po wszystkim?

– Nie – odrzekł Mario. – Wciąż zaciekle się biją. Ale szala przechyła się na naszą stronę, Roberto wspomógł nas swoimi ludźmi, i to tylko kwestia czasu – przerwał na chwilę. – Jestem pewny, że zmartwi cię wieść o śmierci Orazia.

– Orazio!...

– Na chwilę przed śmiercią powiedział mi, jak dzielny z ciebie wojownik. Ezio, bądź wierny tej pochwale.

– Będę się starał – powiedział, przygryzając wargę.

Mimo iż nie dotarło to do jego świadomości, nauczył się kolejnego rozdziału życia.

– Muszę dołączyć do swoich ludzi. Ale najpierw mam coś dla ciebie. Coś, co powie ci więcej o twoim wrogu. To list, który zabraliśmy jednemu z tutejszych księży. Był adresowany do ojca Vieriego, ale Francesca najwyraźniej już tu nie ma – wręczył Ezioowi dokument ze złamaną pieczęcią.

– Ten sam ksiądz dopilnuje pogrzebu. Każę komuś z moich zająć się przygotowaniami.

– Muszę ci coś powiedzieć...

Mario podniósł rękę.

– Później, kiedy skończymy załatwiać tu nasze sprawy. Po tym, jak pokrzyżowaliśmy im plany, nasi wrogowie nie będą mogli działać tak szybko, jak zamierzali, a we Florencji Lorenzo będzie stał czujniej na straży. Na ten czas mamy nad nimi przewagę – przerwał. – Muszę już wracać. Przeczytaj list, Ezio, i zastanów się, co on oznacza. I zadbaj o rękę.

Mario zniknął w jednej z uliczek. Ezio odszedł kilka kroków od ciała Vieriego i usiadł pod drzewem, za którym wcześniej się chował. Dookoła twarzy martwego wroga zaczęły już latać muchy. Ezio otworzył list i zaczął czytać:

Messer *Francesco*:

Zrobiłem tak, jak sobie życzyłeś, Panie, i rozmawiałem z Twoim synem. Zgadzam się z Twoją oceną, ale tylko w części. Owszem, Vieri jest arogancki i ma skłonność do działania bez namysłu; ma też w zwyczaju traktować ludzi jak zabawki, jak figury na szachownicy, zrobione z drewna i kości słoniowej. Tyle właśnie oznacza dla niego ich życie. I owszem, wymierzane przez niego kary są w istocie okrutne: doszły do mnie słuchy o trzech mężczyznach, którzy na jego rozkaz zostali haniebnie oszpeчени.

Uważam wszelako, iż jego charakter nie jest, jak to, Panie, ująłeś, nie do

naprawienia. Przeciwnie, sędzę, że nie jest to nazbyt złożona kwestia. Chłopak szuka Twojej aprobaty, Panie. Pragnie Twojej uwagi. Jego wybuchy to wynik poczucia zagubienia, to zaś jest konsekwencją niskiego mniemania o sobie. O Tobie, Panie, mówi czule i często, z czego przebija potrzeba zbliżenia się do Ciebie. Zatem, jeśli jest głośny, nikczemny i zły, to dlatego, iż chce być zauważony. On pragnie być kochany.

Jeśli uznasz za stosowne, Panie, postępuj tak, jak to wynika z tego listu. Teraz jednak proszę, byśmy już nie ciągnęli naszej korespondencji. Gdyby syn Twój odkrył naturę naszych dysput, szczerze się boję, co mogłoby mnie spotkać.

*W zaufaniu
Ojciec Giocondo*

Ezio po przeczytaniu listu siedział przez dłuższą chwilę i rozmyślał. Spojrzał na ciało Vieriego. Przy jego pasie znajdował się mały pugilares, którego wcześniej nie zauważył. Podszedł i zabrał go, po czym wrócił pod drzewo, by sprawdzić jego zawartość. W pugilaresie znalazł mały portret kobiety, kilka florenów w niedużej sakiewce, niewielki, nieużywany notatnik oraz starannie zwinięty kawałek welinu. Drżącymi dłońmi Ezio rozwinął welin i natychmiast rozpoznał, z czym ma do czynienia. W rękach trzymał kartę z Kodeksu.

Gdy słońce podniosło się wyżej, pojawiła się grupa mnichów z drewnianymi noszami, na których ułożyli ciało Vieriego, po czym wraz z nim odeszli.

Gdy po raz kolejny wiosna zmieniała się w lato, a mimozy i azalie ustąpiły miejsca liliom i różom, do Toskanii powrócił dziwny spokój. Ezio cieszył się widząc, jak poprawia się stan matki, choć tragedia, którą niedawno przeżyła, tak zszargała jej nerwy, że zaczął odnosić wrażenie, iż być może nigdy nie będzie chciała opuścić zacisza klasztornych murów. Claudia zaś zastanawiała się nad złożeniem pierwszych ślubów, które miały otworzyć jej drogę do

nowicjatu – to akurat cieszyło go mniej, wiedział jednak, że od urodzenia siostra była równie uparta jak on sam, i że wszelkie próby udaremnienia jej starań jeszcze bardziej wzmogą jej determinację.

Mario swój czas poświęcał trosce, by San Gimignano i przyległe do miasta tereny, kontrolowane obecnie przez starego druha, Roberta, teraz trzeźwego i nawróconego, nigdy już nie stanowiły zagrożenia i by wypłenić stamtąd ostatnie ogniska oporu Pazzich. Monteriggioni znów było bezpieczne; zwycięstwo uwieczniono uroczystościami, a *condottieri* Maria dostali zasłużone przepustki, które wykorzystali wedle swoich upodobań: spędzając czas z rodziną, pijąc albo zadając się z dziewczynkami, lecz nigdy nie zaniedbując treningu; ich giermkowie dbali, by broń zawsze była naostrzona, a zbroje bez śladu rdzy.

Od północy, zewnętrzne zagrożenie, jakie stanowiła Francja, było tymczasowo zawieszona – Ludwik IX był zajęty pozbywaniem się ostatnich angielskich najeźdźców i zmaganiem z problemami, jakich przysparzał mu książę Burgundii; od południa, papież Sykstus IV, potencjalny sojusznik Pazzich, zbyt angażował się w załatwianie posad swoim krewnym i w nadzór nad budową nowej, wspaniałej kaplicy w Watykanie, by zajmować swoje myśli wtrącaniem się w sprawy Toskanii.

Mario i Ezio odbyli sporo długich rozmów. Wiedzieli, że prawdziwe zagrożenie wcale nie minęło.

– Muszę powiedzieć ci więcej o Rodrigu Borgii – mówił do bratanka Mario. – Przyszedł na świat w Walencji, ale na studia prawnicze wyjechał do Bolonii i nigdy już do Hiszpanii nie wrócił, bo tu mógł lepiej realizować swoje ambicje. Teraz jest wysoko postawionym członkiem Kurii Rzymskiej, ale jego zamiary sięgają o wiele wyżej. Jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w całej Europie, ale to ktoś więcej, niż tylko przebiegły polityk w strukturach Kościoła – tu ściszył głos. – Rodrigo to przywódca zakonu templariuszy.

Ezio poczuł, jak serce podchodzi mu do krtani.

– To wyjaśnia jego obecność podczas egzekucji ojca i braci. To on za tym stał.

– Owszem, a teraz już cię nie zapomni, w szczególności, że to w dużej mierze dzięki tobie stracił zaplecze polityczne w Toskanii. Zna też twoje pochodzenie i świadom jest zagrożenia, jakie dla niego stanowią. Musisz w pełni zdawać sobie sprawę, Ezio, że gdy tylko nadarzy się okazja, każe cię zabić.

– A zatem muszę stawić mu czoła, jeśli kiedykolwiek chcę być wolnym człowiekiem.

– Musimy o nim pamiętać, lecz teraz mamy pilniejsze sprawy tu, bliżej domu, których nie ruszaliśmy już nazbyt długo. Chodźmy do mojego gabinetu.

Udali się z ogrodu, po którym spacerowali, do pomieszczenia w zamku, znajdującego się na końcu korytarza, który prowadził między innymi do komnaty z mapami. Było to zaciszne miejsce, ciemne, choć nie ponure, z rzędami książek ciągnącymi się wzdłuż ścian, przypominające bardziej gabinet *accademico* niż dowódcy wojskowego. Na półkach stały przedmioty, wyglądające tak, jakby pochodziły z Turcji lub Syrii, oraz woluminy – jak zorientował się Ezio po napisach na ich grzbietach – w języku arabskim. Zapytał o nie wuj, usłyszał jednak wyjątkowo wymijającą odpowiedź.

Mario podszedł do stojącej tam skrzyni, otworzył ją i wydobyl z niej skórzaną torbę na dokumenty, z której wyciągnął plik papierów. Pośród nich znalazły się takie, które Ezio natychmiast rozpoznał.

– Oto i spis nazwisk twojego ojca, mój chłopcze – choć nie powinienem już nazywać cię chłopcem – wszak jesteś już mężczyzną i zaprawionym w boju wojownikiem. Dopisałem do niej nazwiska, które podałeś mi w San Gimignano – spojrzaj na bratanka i wręczył mu dokument. – Czas, byś zaczął czynić swoją powinność.

– Każdy z templariuszy z tej listy zginie od mojego ostrza – powiedział Ezio wyzutym z emocji głosem.

Gdy zobaczył na niej nazwisko Francesca Pazziego, w jego oczach pojawił się błysk.

– Tak, od niego zacznę. Jest najgorszy z całego klanu, a w swej nienawiści do naszych sprzymierzeńców, Medicich, posuwa się wręcz do fanatyzmu.

– Masz zupełną rację – zgodził się Mario. – Rozumiem, że zaczniesz przygotowywać się, by wyruszyć do Florencji?

– To już postanowione.

– Dobrze. Musisz się jednak czegoś jeszcze nauczyć, by wiedza, jaką dysponujesz, była kompletna. Chodź!

Mario odwrócił się do regału i nacisnął ukryty przycisk, znajdujący się w jednym z jego boków. Regał, zawieszony na cichych zawiasach, obrócił się i odsłonił znajdującą się za nim kamienną ścianę, w której wyżłobiono kwadratowe otwory. W pięciu z nich coś umieszczono. Reszta była pusta.

Gdy Ezio to ujrzał, zaświeciły mu się oczy. Pięć otworów zawierało karty z Kodeksu!

– Widzę, że to poznajesz – powiedział Mario – i wcale mnie to nie dziwi. W końcu tu znajduje się karta, którą zostawił ci ojciec i którą twojemu zdolnemu przyjacielowi z Florencji udało się odczytać. Te zaś odnalazł i przetłumaczył Giovanni.

– Tę odzyskałem od Vieriego, lecz jej treść wciąż pozostaje tajemnicą.

– Niestety masz rację. Nie jestem typem badacza jak twój ojciec, ale z każdą kolejną kartą, która tu się pojawia i z pomocą ksiąg, które widziałeś w gabinecie, jestem coraz bliżej odkrycia tej tajemnicy. Spójrz! Widzisz, jak słowa przechodzą z jednej strony na drugą i jak łączą się ze sobą symbole?

Ezio intensywnie się wpatrywał i zaczęło go napęłniać upiorne uczucie przypominania sobie o czymś nieznanym, jakby budził się w nim jakiś dziedziczny instynkt – wydało mu się, że dziwne litery na kartach Kodeksu ożyły i że chcą wyjawić mu treść, jaka się za nimi kryje.

– Tak! Tu, pod napisami, jest jakiś fragment obrazu. Wygląda jak mapa!

– Giovanniemu, a później mnie, udało się rozszyfrować tekst na tyle, żeby

stwierdzić, iż stanowi on swego rodzaju prorocstwo, ale czego ono dotyczy, muszę się jeszcze dowiedzieć. Jest w nim coś o „części Edenu”. Zostało spisane wieki temu przez asasyna takiego jak my, najprawdopodobniej o imieniu Altair. Jest jeszcze coś. Pisze on o „czymś ukrytym pod ziemią, czymś tak samo potężnym, jak i starym” – to jednak musimy dopiero wyjaśnić.

– Oto karta Vieriego – powiedział Ezio. – Umieść ją w ścianie, wuju.

– Jeszcze nie! Zanim wyruszysz, skopiuję ją, a oryginał zabierzesz do swojego genialnego przyjaciela we Florencji. Nie musi wiedzieć o tym, co tu widzisz... W rzeczy samej, taka wiedza mogłaby stać się dla niego zagrożeniem. Później welin Vieriego dołączy do pozostałych, a my znów zbliżymy się o kolejny krok do rozwikłania tajemnicy.

– Co z kartami, których nie ma?

– Trzeba je odnaleźć – powiedział Mario – lecz to niech cię teraz nie martwi. Wpierw musisz skupić się na wypełnieniu zobowiązania, którego się przed chwilą podjąłeś.

8

Ezio przed opuszczeniem Monteriggioni musiał poczynić pewne przygotowania. Pod okiem wuja przyswajał treść Credo Asasy, by lepiej przysposobić się do wypełnienia zadania, które przed nim stało. Poza tym należało zapewnić bezpieczeństwo jego pobytu we Florencji, z czym wiązała się kwestia kwaterunku; florency szpiedzy Maria donieśli, że rodowy *palazzo* Autitorich został zamknięty i zabity deskami. Na szczęście otoczyła go strażą i opieką rodzina Medicich, więc nie ucierpiał od grabieży i zniszczeń. Kilka opóźnień i komplikacji wystawiało na coraz cięższą próbę cierpliwość Ezia, ale pewnego ranka wuj wreszcie nakazał mu się spakować.

– To była długa zima... – zaczął Mario.

– Zbyt długa – wtrącił Ezio.

– ...lecz teraz wszystko jest już załatwione – ciągnął wuj. – Chciałbym ci tylko przypomnieć, że większość zwycięstw poprzedzały właśnie skrupulatne przygotowania. A teraz uważaj: mam we Florencji przyjaciółkę, która załatwiła bezpieczną kwaterę nieopodal swojego domu.

– Któż to jest, wuju?

Mario sprawiał wrażenie skonfundowanego.

– Jej nazwisko jest dla ciebie nieistotne, ale masz moje słowo, że możesz jej zaufać tak jak mnie. W każdym razie teraz nie ma jej w mieście. Jeśli potrzebowałbyś jakiegokolwiek pomocy, skontaktuj się z waszą byłą gospodynią, Annetą. Jej adres się nie zmienił, a teraz pracuje dla Medicich. Najlepiej jednak będzie, jeśli o twojej obecności w mieście będzie wiedzieć jak najmniej osób. Jest jednak pewien człowiek, z którym musisz się skontaktować, choć to niełatwe. Zapisalem ci tu jego nazwisko. Musisz popytać o niego w mieście, ale rób to dyskretnie. Spróbuj zasięgnąć języka u twojego uczonego przyjaciela, kiedy będziesz pokazywał mu kartę

z Kodeksu, ale postaraj się, by nie wiedział zbyt wiele, dla jego własnego dobra! Tu masz adres swojej kwatery – Mario wręczył Eziowi dwa świstki i wypchaną po brzegi skórzaną sakiewkę – a tu sto florenów na dobry początek i dokumenty na podróż, które ci się przydadzą. A najlepsza wiadomość jest taka, że możesz wyruszać już jutro!

Ezio wykorzystał krótki czas, jaki mu pozostał, by udać się do klasztoru i pożegnać się z matką i siostrą; potem przyszła pora na spakowanie niezbędnych rzeczy, pożegnanie się z wujem oraz z mieszkańcami Monteriggioni, którzy przez tak długo byli jego towarzyszami i sprzymierzeńcami. Konia osiodłał jednak z radością i determinacją w sercu, a rankiem kolejnego dnia opuścił mury zamku.

Podróż był długa, ale upłynęła bez przygód. Zanim nadeszła pora kolacji, zdążył urządzić się już w nowym miejscu i był gotów odświeżyć znajomość z miastem, które od urodzenia było jego domem, ale którego już od tak dawna nie widział. Nie był to jednak powrót sentymentalny. Gdy Ezio nabrał już pewności siebie i zdecydował się na przygnębiający spacer, podczas którego przeszedł wzdłuż fasady jeszcze nie tak dawno swojego rodzinnego domu, skierował swe kroki prosto do pracowni Leonarda da Vinci, nie zapominając zabrać ze sobą karty z Kodeksu znalezionej przy Vierim Pazzim.

Od czasu, gdy Ezio był tu po raz ostatni, Leonardo poszerzył swoją przestrzeń, zajmując posesję sąsiadującą od lewej strony z jego własną; stał tam wielki magazyn, który zapewniał dość miejsca na materialne wytwory wyobraźni artysty. Dwa długie stoły na kozłach rozciągały się pomiędzy jego dwiema przeciwległymi ścianami, a wewnątrz rozświeślały kaganki i rozmieszczone wysoko okna – Leonardo nie potrzebował tu wścibskich spojrzeń. Na stołach i podłodze znajdowało się mnóstwo porozrzucanych, częściowo zmontowanych urządzeń, mechanizmów i przyrządów; ściany pokrywały setki rysunków i szkiców. W całym tym twórczym chaosie krzątało się pół tuzina asystentów, nadzorowanych przez nieco już starszych,

choć nie mniej przystojnych, Agniola i Innocenta. Stał tam model wozu, który od zwykłych odróżniał się swoim okrągłym kształtem i przykrywającą go opancerzoną czaszą, przypominającą szpiczastą pokrywkę garnka z otworem na samej górze – znajdujący się w środku człowiek mógł przez nią wystawiać głowę i kontrolować trajektorię maszyny. W innym miejscu wisiał na ścianie rysunek przedstawiający łódź w kształcie rekina, tyle że z jakąś dziwną wieżą na grzbiecie. Lecz jeszcze dziwniejsze było to, że z owego rysunku wynikało, jakby owa łódź mogła pływać pod wodą. Mapy, anatomiczne szkice ukazujące praktycznie wszystko, począwszy od wnętrza oka, poprzez akt płciowy, aż po embrion w łonie kobiety – to i wiele innych schematów, których zrozumienie przekraczało możliwości wyobraźni Ezia – pokrywało wszelką dostępną na ścianach powierzchnię. Znajdowały się na niej oddane z wielką precyzją rysunki zwierząt, od tych najzwyklejszych do zupełnie niezwykłych, i projekty niemal wszystkiego – od wodnych pomp aż po mury obronne. Rozmaite próbki i rupiecie, leżące stertami na stołach, przypominały Eziowi twórczy chaos, z którym zetknął się tu podczas swojej ostatniej wizyty. Teraz jednak chaos w pracowni był stokroć większy.

Największą uwagę Ezia przykuło jednak coś, co zwisało nisko z sufitu. Przypomniał sobie, że tę rzecz widział już wcześniej, ale tylko jako mały model. Teraz zaś była już może dwukrotnie pomniejszoną makietą czegoś, co pewnego dnia mogło stać się prawdziwą, działającą maszyną. Wciąż wyglądała jak wykonany z drewna szkielet nietoperza, ale tym razem rozpięto na nim mocno naciągniętą, wytrzymałą zwierzęcą skórę. Obok stała sztaluga z jakimiś papierami. Pośród notatek i obliczeń, Ezio znalazł fragment opisu:

...sprężyna z rogu bądź ze stali, przymocowana do wierzbowego drewna, umieszczona w trzcinnie.

Ptaki w locie utrzymuje ich pęd. Ich skrzydła nie uderzają wtedy o powietrze, a nawet się nieco unoszą.

Jeśli mężczyzna wazący 200 funtów znajduje się w punkcie n i podnosi

skrzydło z mechanizmem ważącym 150 funtów, z mocą odpowiadającą uniesieniu trzystu funtów, oderwie się od ziemi korzystając z dwóch skrzydeł...

Ezio nic z tych zapisków nie rozumiał, ale przynajmniej mógł je odczytać – zapewne któryś z asystentów przepisał hermetyczną bazgraninę Leonarda. W tej samej chwili zobaczył, że przygląda mu się Agniolo i pospiesznie zwrócił swój wzrok w inne miejsce. Wiedział, jak Leonardo cenił swoją prywatność.

Wkrótce w pracowni pojawił się sam Leonardo, zmierzając od strony swojego starego atelier. Gdy ujrzał Ezia, podbiegł do niego i ciepło go objął.

– Mój drogi Ezio! Wróciłeś! Tak się cieszę, mogąc cię widzieć! Po tym wszystkim, co się stało, myśleliśmy już, że... – nie dokończył zdania i wyraźnie się zmieszał.

Ezio spróbował rozluźnić atmosferę.

– Co za miejsce! Oczywiście nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale podejrzewam, że wiesz co robisz! Porzuciłeś malarstwo?

– Nie – odrzekł Leonardo. – Po prostu realizuję się też... w innych dziedzinach, które... które mnie zainteresowały.

– To widać. No i rozbudowałeś się. Musi ci się dobrze powodzić. Ostatnie dwa lata chyba były dla ciebie łaskawe.

Leonardo dostrzegł na twarzy Ezia smutek i ból, które ten usiłował ukryć.

– Może i tak – powiedział. – Zostawili mnie w spokoju. Wydaje mi się, że doszli do wniosku, iż mogę się przydać temu, kto przejmie tu całkowitą władzę... Nie żebym przypuszczał, że ktoś taki nadejdzie – zmienił ton. – A co u ciebie, mój przyjacielu?

Ezio spojrzał na niego.

– Nadejdzie czas, mam nadzieję, że usiądziemy i porozmawiamy o tym, co zdarzyło się od naszego ostatniego spotkania. Teraz jednak po raz kolejny potrzebuję twojej pomocy.

Leonardo rozłożył ręce.

– Dla ciebie wszystko.

– Chcę ci pokazać coś, co powinno cię zainteresować.

– Chodźmy zatem do mojego atelier – tam jest zaciszniej.

Gdy już się tam znaleźli, Ezio wyciągnął ze swojej torby kartę z Kodeksu i rozprostował ją przed nimi na stole.

Oczy Leonarda rozszerzyły się z podniecenia.

– Pamiętasz tę pierwszą? – zapytał Ezio.

– Jakże mógłbym o niej zapomnieć! – artysta wpatrywał się w arkusz. – To ze wszech miar ekscytujące! Mogę?

– Oczywiście.

Leonardo starannie przyglądał się karcie, przesuając palcami po pergaminie. Potem, przyciągnąwszy do siebie papier i pióra, zaczął kopiować słowa i symbole. Chwilę później zaczął biegać w tę i z powrotem, przerzucając księgi i manuskrypty, bardzo zaabsorbowany. Ezio przyglądał się jego pracy z wdzięcznością i cierpliwością.

– To ciekawe – powiedział Leonardo. – Kilka zupełnie nieznanymi języków, przynajmniej dla mnie, ale z całości przebija pewien regularny wzór. Hm... Tak, ten przypis jest po aramejsku, co nam trochę pomaga...

W pewnej chwili spojrzał w górę.

– Wiesz, Ezio – rzekł – zestawiając tę kartę z poprzednią, odnosi się wrażenie, że obie są częścią swego rodzaju przewodnika – przynajmniej jeśli chodzi o jedną z warstw przekazu – dotyczącego różnych form zabijania. Ale jest tam o wiele więcej treści, choć nie mam pojęcia jakich. Wiem tylko, że poruszamy się zaledwie po powierzchni tego, co może się tam kryć. Musimy skompletować całą księgę... Nie wiesz, gdzie mogą znajdować się pozostałe karty?

– Nie.

– Ani ile ich miała księga?

– Możliwe, że... że to akurat wiadomo.

– A! – powiedział Leonardo – Tajemnice! Cóż, muszę je uszanować.

Jego uwagę zwróciło coś jeszcze.

– Spójrz na to!

Ezio zajrzał przez jego ramię, ale nie zobaczył nic ponad szereg ciasno rozmieszczonych, klinowych symboli.

– Co to?

– Nie do końca to rozumiem, ale jeśli się nie mylę, ten ustęp zawiera wzór metalu lub stopu metali, którego jeszcze nie znamy i który – na zdrowy rozum – nie powinien istnieć!

– Jest tam coś jeszcze?

– Tak – najłatwiejszy do odszyfrowania fragment. Projekt kolejnej broni, będącej – jak mi się zdaje – uzupełnieniem tej, którą już masz. Tyle że ją będziemy musieli zrobić od samego początku.

– Cóż to za broń?

– Tak naprawdę dość prosta. To metalowa płytką ukryta w ochraniaczu na lewe przedramię – albo na prawe, jeśli byłbyś leworęczny, jak ja – służąca do odpierania uderzeń mieczy, a nawet toporów. Nadzwyczajną rzeczą w niej jest jednak to, że metal, z którego ją odlejemy, będzie niezwykle lekki. Znajdzie się tam również podwójny sztylet z mechanizmem sprężynowym, podobny do tego pierwszego.

– Myślisz, że uda ci się to zrobić?

– Tak, choć zajmie to trochę czasu.

– Nie mam go zbyt wiele.

Leonardo zaczął się zastanawiać.

– Wydaje mi się, że mam tu wszystko, czego potrzebuję, a moi chłopcy wystarczająco dobrze znają się na rzeczy, by sobie z tym poradzić.

Zaczął coś obliczać w pamięci, ruszając bezgłośnie ustami.

– To zajmie dwa dni – powiedział w końcu. – Przyjdź tu za dwa dni. Sprawdzimy, czy broń będzie działać.

– Leonardo, jestem ci bezgranicznie wdzięczny – uklonił się Ezio. – I mogę ci zapłacić.

– To ja jestem tobie wdzięczny. Ten twój Kodeks poszerza moją wiedzę –

uważałem siebie za innowatora, ale te starożytne stronnice nie przestają mnie zaskakiwać – uśmiechnął się i zaczął szeptać, prawie tak, jakby mówił wyłącznie do siebie: – Ezio, nawet nie wiesz, jak jestem ci zobowiązany, że mi je pokazujesz. Gdy będziesz miał następne, przynieś je do mnie. To wyłącznie twoja sprawa, skąd je masz. Mnie interesuje tylko ich zawartość. I jeszcze coś: nikt, poza osobami z twojego wewnętrznego kręgu, nie powinien o nich wiedzieć. To jedyna zapłata, jakiej się domagam.

– Masz moje słowo.

– *Grazie!* A więc do piątku... o zachodzie słońca?

– Do piątku.

Leonardo i jego asystenci znakomicie wywiązali się z powierzonego im zadania. Nowa broń, choć przeznaczona przede wszystkim do obrony, okazała się nadzwyczaj użyteczna. Młodszy asystenci Leonarda przypuścili na Ezia pozorowany atak, posługując się jednak prawdziwymi oburęcznymi mieczami i toporami, a metalowa płytką na nadgarstku, choć niezwykle lekka, a przez to łatwa we władaniu, bez trudu odbijała najsilniejsze nawet uderzenia.

– Zdumiewające uzbrojenie, Leonardo.

– W rzeczy samej.

– Może ocalić mi życie.

– Miejmy nadzieję, że już nie odniesiesz ran takich, jak ta na lewej dłoni – powiedział Leonardo.

– To ostatnia pamiątka od starego... przyjaciela – odrzekł Ezio. – Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać.

Leonardo wzruszył ramionami.

– Jeśli będę mógł ci pomóc, zrobię to.

Ezio przebiegł wzrokiem po asystentach Leonarda.

– Może bez świadków?...

– Chodź za mną.

Gdy znaleźli się w atelier, Ezio wyciągnął świstek, który dał mu Mario,

i przekazał Leonardowi.

– To jest ktoś, z kim mój wuj nakazał mi się tu spotkać. Powiedział, że nie jest dobrze szukać go bezpośrednio...

Leonardo wpatrywał się w imię zapisane na papierze. Gdy podniósł wzrok, na jego twarzy malował się niepokój.

– Zdajesz sobie sprawę, kto to jest?

– Przeczytałem to imię – *La Volpe*. To pewnie jakiś przydomek.

– *La Volpe*! Lis! Tak! Nie wymawiaj tego na głos ani wśród ludzi. To człowiek, którego oczy są wszędzie, choć jego samego nigdy się nie widuje.

– Gdzie mógłbym go znaleźć?

– Tego nie da się stwierdzić... Ale możesz zacząć – tylko bądź wyjątkowo ostrożny! – od okolic Mercato Vecchio...

– Ale przecież tam kręcą się wszyscy złodzieje, którzy jeszcze nie siedzą albo nie wiszą!

– Dlatego mówię ci, byś uważał – Leonardo rozejrzał się, jakby z obawy, że ktoś może ich podsłuchiwać. – Może... może będę mógł szepnąć mu słówko... Spróbuj poszukać go jutro po nieszporach... Może ci się poszczęści... A może nie.

Mimo ostrzeżeń wuja, Ezio postanowił zobaczyć się we Florencji z jeszcze jedną osobą. Przez cały czas jego nieobecności w mieście, nigdy nie opuszczała jego myśli, a teraz świadomość, że znajduje się tak niedaleko, dodatkowo wzmogła jego tęsknotę. Nie mógł jednak podejmować zbyt wielkiego ryzyka... Jego twarz zmieniła się, stała się bardziej koścista; widać było po niej, że przybyło mu lat i doświadczeń. Mimo to, wciąż rozpoznano by go jako syna Giovanniego Auditore. Pomagał mu kaptur, dzięki któremu znikał w tłumie, gdy nasuwał go nisko na czoło. Wiedział jednak, że mimo iż Medici sprawują kontrolę nad miastem, nie wszystkie zęby Pazzich zostały jeszcze wyrwane. Czekali na właściwy moment i byli czujni: tych dwóch rzeczy był pewny, jak również i tego, że gdyby dał się złapać, zabiliby go, nieważne, czy rządziłby Medici, czy nie. A jednak nie mógł się powstrzymać

i nazajutrz rano nogi same poniosły go do rezydencji Calfuccich.

Główne wejście było otwarte na oścież, ukazując rozświetlony promieniami słońca wewnętrzny dziedziniec. Była tam. Wyszczupiała, być może nieco wyższa, z wysoko upiętymi włosami, już nie dziewczyna, lecz kobieta. Ezio wypowiedział jej imię.

Gdy go ujrzała, pobladła tak, że wyglądało, jakby za chwilę miała zemdleć, szybko jednak zapanowała nad sobą, powiedziała coś do swojej towarzyszki, która zaraz odeszła, i zbliżyła się do Ezia z wyciągniętymi ramionami. Przyciągnął ją do siebie i szybko sprowadził z ulicy w zaciszne, odosobnione miejsce pod pobliskim łukiem z żółtych, porośniętych bluszczem kamieni. Pogładził ją po szyi, wyczuwając, że wciąż nosi cienki łańcuszek z medalionem, który jej wtedy dał, i który teraz zniknął między jej piersiami.

– Ezio! – powiedziała przez łzy.

– Cristina!

– Co ty tu robisz?

– Wypełniam wolę swego ojca.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas? Nie odezwałeś się ani słowem przez dwa długie lata!

– Byłem... byłem daleko. Również z woli ojca.

– Mówili, że pewnie nie żyjesz. I twoja matka i siostra też.

– Los obszedł się z nami inaczej – przerwał i po chwili dodał: – Nie mogłem pisać, ale nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

Jej oczy, do tej pory rozedrgane, nagle spochmurniały i przybrały zakłopotany wyraz.

– O co chodzi, *carissima*? – zapytał.

– O nic – chciała mu się wyrwać, lecz jej nie puszczał.

– Przecież widzę. Powiedz.

Spojrzała mu w oczy, a jej własne znów napełniły się łzami.

– Ezio... Jestem zaręczona!

Ezio był zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć. Wypuścił ją z ramion,

zdając sobie sprawę, że zbyt mocno ją ściska i sprawia jej tym ból. W jednej chwili ujrzał, jak roztacza się przed nim życie w samotności.

– To mój ojciec – powiedziała. – Przez cały czas na mnie naciskał. Myślałam, że nie żyjesz. Potem moi rodzice zaczęli podejmować Manfreda Arzentę – znasz go, to syn tych bogaczy. Przeprowadzili się tu z Lukki niedługo po tym, jak opuściłeś Florencję. Boże, Ezio... Mówili, żebym nie zasmucała rodziny, żebym znalazła sobie dobrą partię, póki jeszcze mogę... Wydawało mi się, że już nigdy cię nie zobaczę. A teraz...

Przerwał jej paniczny krzyk dziewczyny, dobiegający z końca ulicy, gdzie znajdował się mały plac.

– To Gianetta – pamiętasz ją? – Cristina była bardzo spięta.

Po chwili usłyszeli jeszcze więcej wrzasków i pisków, pośród których Gianetta wykrzyczała imię:

– Manfredo!

– Lepiej sprawdźmy, co się tam dzieje – powiedział Ezio, kierując swe kroki w stronę, skąd dobiegał hałas.

Na placu zobaczyli przyjaciółkę Cristiny, Gianettę, jeszcze jedną dziewczynę, której Ezio nie znał, i starszego mężczyznę, który, jak przypomniał sobie Ezio, pracował u ojca Cristiny jako główny zarządca.

– Co się tu dzieje? – zapytał Ezio.

– To Manfredo! – odpowiedziała przez płacz Gianetta. – I jego hazardowe długi! Tym razem już na pewno go zabiją!

– Co?! – wykrzyknęła Cristina.

– Tak mi przykro, *signorina* – powiedział zarządca. – Zabrali go dwaj mężczyźni, którym jest dłużny pieniądze. Zawlekli go na Nowy Most. Powiedzieli, że wytluką z niego ten dług. Tak mi przykro, *signorina*. Naprawdę nie mogłem nic zrobić...

– W porządku, Sandeo. Idź i wezwij straż. Ja lepiej tam pójde i...

– Chwileczkę – wtrącił Ezio. – Kim u diabła jest ten Manfredo?

Cristina popatrzyła na niego wzrokiem skazańca.

– To mój *fidanzato* – odrzekła.

– Zobaczą, co będę mógł zrobić – powiedział Ezio i ruszył ulicą w kierunku mostu.

Chwilę później stał już na nabrzeżu i spoglądał na wąski pas łądu wokół pierwszego przęsła mostu, obmywany przez ciężkie, powolne, żółte wody rzeki Arno. Znajdował się tam młody mężczyzna odziany w szykowne, czarno-srebrne szaty. Klęczał. Dwaj inni młodzianie, przy wtórce przekleństw i złorzeczeń, kopali go i pochylali się nad nim, okładając go pięściami.

– Wypłacę się, przysięgam! – pojękiwał młody człowiek w czerni i srebrze.

– Mamy już dość twoich wymówek – odparł jeden z jego oprawców. – Zrobiłeś z nas niezłych frajerów. Więc zaświecisz teraz przykładem dla innych!

Uniósł swój but, przyłożył go to twarzy młodzieńca i wcisnął jego głowę w błoto, podczas gdy drugi kopał go po żebrach.

Pierwszy z napastników miał już stanąć na jego nerkach, gdy poczuł, jak coś chwyta go za kark i poły. Ktoś podnosił go do góry; następną rzeczą, którą zarejestrował, był lot w powietrzu i lądowanie kilka chwil później w wodzie, pośród ścieków i śmieci, które wokół przęsła zgromadziła przepływająca rzeka. Był zbyt zajęty krztuszeniem się cuchnącą wodą, która wlała się mu do ust, by spostrzec, że równie przykry los spotkał także jego kompana.

Ezio wyciągnął dłoń do unurzanego w błocie młodego mężczyzny i pociągnął go, by mógł łatwiej stanąć na nogi.

– *Grazie, signore!* Myślę, że tym razem rzeczywiście by mnie zabili. Lecz gdyby to zrobili, okazaliby się głupcami. Mógłbym im przecież zapłacić – szczerze!

– Nie obawiasz się, że znów po ciebie przyjdą?

– Nie po tym, jak przypomną sobie, kto stanął w mojej obronie.

– Nie przedstawiłem się: Ezio... de Castronovo.

- Manfredo Arzenta, do usług.
 - Nie jestem twoją przyboczną eskortą, Manfredo.
 - Nieważne. Uwolniłeś mnie od tych dwóch pajaców i jestem ci wdzięczny. Nawet nie wiesz jak. Muszę ci to wynagrodzić. Pozwól więc, że najpierw doprowadzę się do porządku, a potem napijemy się razem. Przy Via Fiordaliso jest taki mały dom gier...
 - Chwileczkę – przerwał Ezio, zdając sobie sprawę, że zbliżają się Cristina i jej towarzyszeki.
 - O co chodzi?
 - Dużo grasz?
 - A czemu nie? To najlepszy sposób spędzania czasu, jaki znam.
 - Kochasz ją? – przerwał ostro Ezio.
 - O co ci chodzi?
 - O twoją *fidanzatę*, Cristinę. Kochasz ją?
- Manfreda zaniepokoiła nagła gwałtowność wybawcy.
- Oczywiście, że tak. Możesz mnie zabić, tu i teraz, i wciąż będę ją kochał.
- Ezio zawahał się. Wyglądało na to, że chłopak mówi prawdę.
- A więc posłuchaj. Już nigdy w nic nie zagrasz. Słyszysz?
 - Tak... – Manfredo był przerażony.
 - Przysięgaj.
 - Przysięgam.
 - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakim jesteś szczęściarzem. Chcę, byś mi przyrzekł, że będziesz dla niej dobrym mężem. Jeśli dojdą mnie słuchy, że tak nie jest, odnajdę cię i własnoręcznie zabiję.
- Do Manfreda dotarło, że mężczyzna, który przyszedł mu na ratunek, każde wypowiedziane przez siebie słowo traktuje z wielką powagą. Spojrzał w jego szare oczy i coś drgnęło w jego pamięci.
- Czy ja cię znam? – zapytał. – Z kimś mi się kojarzysz. Zdajesz mi się znajomy...

– Nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej – odparł Ezio. – I nie spotkamy się też w przyszłości, chyba że... – przerwał.

Na końcu mostu czekała Cristina i spoglądała w dół.

– Wracaj do niej i dotrzyмай słowa.

– Dotrzymam – Manfredo zawahał się przez chwilę. – Naprawdę ją kocham, zresztą chyba widzisz. Może faktycznie czegoś się dzisiaj nauczyłem. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, by była ze mną szczęśliwa. Nie potrzebuję do tego groźby ciążyącej nad moim życiem.

– Taką mam nadzieję. A teraz idź już!

Ezio przez chwilę patrzył, jak Manfredo wspina się na nabrzeże, lecz jego wzrok mimowolnie kierował się ku Cristinie. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Podniósł rękę w geście pożegnania, a potem odwrócił się i odszedł. Od chwili śmierci ojca i braci nigdy nie było mu tak ciężko na sercu.

Sobotnie popołudnie spędził pogrążony w smutku. W chwilach największego rozgoryczenia wydawało mu się, że wszystko stracił: ojca, braci, dom, status, karierę, a teraz – przyszłą żonę. Potem jednak przypominał sobie o serdeczności i opiece, jakiej udzielił mu Mario, oraz o matce i siostrze, które udało mu się ocalić i ulokować w bezpiecznym miejscu. Jeśli zaś chodzi o widoki na przyszłość – wciąż były przed nim, z tą tylko różnicą, że wytyczały mu drogę zupełnie różną od tej, którą do tej pory sobie wyobrażał. Miał do wykonania zadanie i pogrążanie się w tęsknocie za Cristiną nie pomogłaby mu w jego realizacji. Wyrzucić ją z serca – to niemożliwe. Musiał więc zaakceptować samotne przeznaczenie, jakie zsyła mu los. Może właśnie tak miało wyglądać życie asasyna? Może tego wymagało ich Credo?

Do Mercato Vecchio wybrał się w posępnym nastroju. Od dzielnicy stroniła większość osób, jakie znał, a sam wcześniej był tu zaledwie raz. Stary rynek był obskurny i zaniedbany, podobnie jak przylegające do niego budynki i pobliskie ulice. Kilku ludzi chodziło tu w tę i z powrotem, ale błędem byłoby myśleć, że po prostu się przechadzają. Chodzili w określonym

celu, nie tracąc czasu, z głowami pochylonymi ku ziemi. Ezio zadbał, by ubrać się bardzo prosto, nie wziął też miecza, choć założył swój nowy ochraniacz z metalową płytką, jak również sprężynowy sztylet, tak na wszelki wypadek. Wiedział, że tym razem musi być widoczny pośród otaczających go ludzi, więc był bardzo czujny.

Zastanawiał się, co robić dalej – myślał, żeby udać się do niskiej tawerny przy rogu placu, by być może tam zorientować się, jak wejść w kontakt z Lisem – kiedy to szczupły, młody mężczyzna pojawił się znikąd i dość mocno go potrącił.

– *Scusi, signore* – powiedział uprzejmie, uśmiechnął się i szybko go minął.

Ezio instynktownie położył rękę na pasie. Jego cenne rzeczy osobiste wciąż znajdowały się w swoich bezpiecznych schowkach, ale oprócz nich zabrał ze sobą kilka florenów w pugilaresie, którego już przy pasie nie było. Odwrócił się za siebie, by stwierdzić, że młody mężczyzna zmierza w kierunku jednej z wąskich, odchodzących od placu uliczek, po czym rzucił się za nim w pościg. Widząc go, złodziej dwukrotnie przyspieszył, lecz Ezio zdołał utrzymać go w zasięgu wzroku i wciąż biegł za nim, w końcu go doganiając; capnął go, gdy ten wchodził już do wysokiej, nijakiej kamienicy przy Via Sant' Angelo.

– Oddaj to – warknął Ezio.

– Nie wiem, o czym mówisz, panie – odparł złodziej, ale jego oczy pełne były strachu.

Ezio poczuł, jak kipi w nim gniew, i już chciał wysunąć sztylet, ale w końcu utrzymał swoją złość na wodzy. Pomyślał, że ów człowiek być może będzie w stanie udzielić mu informacji, której poszukiwał.

– Nie chcę robić ci krzywdy, przyjacielu – powiedział. – Po prostu zwróć mi pugilares i zakończymy sprawę.

– Wygrałeś, panie – powiedział po chwili młodzian, sięgając z żalem do sakiewki u boku.

– Jeszcze tylko jedno – powiedział Ezio.

– Co takiego? – chłopak z miejsca zrobił się nieufny.

– Wiesz może, gdzie mógłbym znaleźć człowieka, który mówi o sobie *La Volpe*?

Teraz złodziej wyglądał już na poważnie przerażonego.

– Nigdy o nim nie słyszałem! Proszę, panie, bierz swoje pieniądze i pozwól mi odejść!

– Nie, dopóki mi nie powiesz!

– Chwileczkę – odezwał się głęboki, chrapliwy głos za nim. – Może ja będę mógł ci pomóc.

Ezio odwrócił się za siebie i ujrzał szerokiego w ramionach mężczyznę, podobnego jak on wzrostu, tyle że jakieś piętnaście lat starszego. Na głowie miał kaptur, który skrywał część jego twarzy w cieniu; Ezio dostrzegł jednak pod nim parę przenikliwych, fioletowych oczu, które błyszcząc dziwną mocą, wwiercały się w niego spojrzeniem.

– Proszę, panie, pozwól odejść mojemu koledze – powiedział ów człowiek.

– Odpowiem za niego. Oddaj mu jego pieniądze, Corradin – zwrócił się do młodego złodzieja – i zmykaj. Pogadamy później.

Wypowiedział te słowa tak władcym tonem, że Ezio machinalnie wypuścił Corradina z rąk. Ten błyskawicznie włożył w jego dłoń skradziony pugilares i zniknął we wnętrzu budynku.

– Kim jesteś, panie? – zapytał Ezio.

Mężczyzna uśmiechnął się z wolna.

– Na imię mi Gilberto, ale różnie na mnie mówią: morderca, dajmy na to, albo *tagliagole*; moim przyjaciółom znany jestem po prostu jako Lis – ukłonił się, nie spuszczać z Ezia przeszywającego wzroku. – Do usług, *messer Auditore*. W rzeczy samej, oczekiwałem cię.

– Skąd... skąd wiesz, jak się nazywam?

– To należy do moich zawodowych obowiązków, wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w mieście. Wiem też, jak sądzę, dlaczego uważasz, że mogę ci pomóc.

– Mój wuj przekazał mi twoje nazwisko, panie.

Lis uśmiechnął się znowu, tym razem nic jednak nie powiedział.

– Potrzebuję kogoś odszukać, żeby znaleźć się choć o krok przed nim.

– Któż to?

– Francesco Pazzi.

– To gruba zwierzyna – Lis spoważniał. – Ale możliwe, że jestem w stanie ci pomóc – przerwał na chwilę, zastanawiając się. – Słyszałem, że w porcie zeszli na ląd jacyś przybyli z Rzymu ludzie. Przyłynęli tu, by wziąć udział w spotkaniu utrzymanym w ścisłej tajemnicy; nie wiedzą jednak o mnie, a już na pewno nie podejrzewają, że jestem okiem i uchem tego miasta. Gospodarz spotkania to człowiek, którego szukasz.

– Kiedy się odbędzie?

– Dziś wieczorem! – Lis znów się uśmiechnął. – Nie martw się Ezio – to nie przeznaczenie. Wysłałbym kogoś po ciebie, gdyby nie udało ci się odnaleźć mnie wcześniej; dobrze się jednak bawiłem, wystawiając cię na próbę. Tylko nielicznym, którzy mnie szukają, udaje się mnie znaleźć.

– Chcesz powiedzieć, panie, że wrobiłeś mnie w tę kradzież z Corradinem?

– Wybacz mi mój teatralny rozmach, ale prócz wszystkiego innego musiałem upewnić się, czy nikt cię nie śledzi. Corradin to młody chłopak, więc był to sprawdzian również i dla niego. Faktycznie, wrobiłem cię w całe to zajście, ale Corradin nie zdawał sobie sprawy, jaką przysługę mi tak naprawdę wyświadcza. Po prostu myślał, że wystawiłem mu ofiarę! – przerwał, po czym ton jego głosu stał się bardziej dobitny i rzeczowy: – Teraz musisz znaleźć sposób, by wkroczyć na to spotkanie, a to nie będzie proste – spojrzał w niebo. – Słońce już zachodzi. Śpieszmy się; najszybciej będzie po dachach. Za mną!

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i zaczął wspinać na wznoszącą się za nim ścianę z taką prędkością, że Eziowi trudno było za nim nadążyć. Biegli po pokrytych czerwoną dachówką dachach, przeskakując nad ulicami w świetle ostatnich blasków wieczornej zorzy, cicho jak koty i zwinnie jak

lisy, zmierzając przez miasto na północny zachód, aż ich oczom ukazała się fasada wspaniałego kościoła Santa Maria Novella. Lis zatrzymał się. Ezio dołączył do niego w odstępie kilku sekund, zauważył jednak, że jest zadyszany bardziej niż starszy od niego towarzysz.

– Miałeś dobrego nauczyciela – powiedział Lis.

Ezio miał jednak nieodparte wrażenie, że gdyby jego nowy przyjaciel tylko zechciał, z łatwością mógłby go jeszcze bardziej zdystansować; to zaś wzmogło w nim chęć dalszego doskonalenia swoich umiejętności. Teraz jednak nie było czasu na rywalizację i zawody.

– Oto i gdzie *messer* Francesco organizuje swoje spotkanie – powiedział Lis, pokazując w dół.

– W kościele?

– Pod nim. Chodźmy!

O tej porze plac przed kościołem był niemal zupełnie pusty. Lis zeskoczył z dachu, na którym stali, lądując z gracją w przysiadzie, a Ezio zrobił to samo. Okrążyli plac, a potem przeszli wzdłuż bocznej ściany kościoła, aż doszli do ukrytych w niej drzwi. Weszli do środka i znaleźli się w kaplicy Rucellai. Przy brązowym nagrobku w jej centralnej części Lis na chwilę się zatrzymał.

– Pod miastem znajduje się sieć przecinających je wzdłuż i wszerz katakumb. Bardzo mi się przydadają w tym, co robię, niestety, nie tylko mnie. Co prawda niewiele wie o ich istnieniu, a jeszcze mniej umie z nich korzystać, ale Francesco Pazzi jest jednym z nich. To właśnie tu urządza swoje spotkanie z ludźmi z Rzymu. To wejście jest najbliższym miejsca spotkania, ale będziesz musiał udać się tam sam. Znajdziesz tam kaplicę – to część opuszczonej krypty – pięćdziesiąt kroków po prawej stronie, licząc od miejsca, w którym kończy się zejście. Bądź ostrożny, bo dźwięk w podziemiach wędruje z nieznośną łatwością. Panuje tam mrok, musisz więc oswoić oczy z ciemnością – wkrótce jednak drogę pokażą ci światła z kaplicy.

Położył dłoń na kamiennym guzie zdobiącym piedestał grobowca i wcisnął go. Nieruchoma jak dotąd płyta u jego stóp zapadła się na niewidocznych zawiasach w dół, odsłaniając ciąg kamiennych schodów. Stanął obok wejścia.

– *Buona fortuna*, Ezio.

– Nie idziesz?

– To zbędne. Poza tym, nawet przy moich umiejętnościach, dwie osoby będą źródłem większego hałasu niż jedna. Poczekam na ciebie tutaj. *Va*, idź już!

Znalazłszy się w podziemiach, Ezio zaczął kroczyć po omacku wzdłuż wilgotnego, kamiennego korytarza, który zakręcał w prawą stronę. Czuł, którędy idzie, gdyż kamienne ściany były na tyle blisko siebie, że mógł dotykać równocześnie obu. Z ulgą przyjął, że jego stapaniu po wilgotnej podłodze z ubitej ziemi nie towarzyszą żadne dźwięki. Od czasu do czasu natrafiał na odgałęziające się tunele, lecz raczej je wyczuwał niż widział – jego ręce trafiały wtedy na pustkę w ścianie. Zgubić się tam byłoby koszmarem – odnalezienie drogi powrotnej graniczyłoby wówczas z niemożliwością. Na początku przstraszyły go dziwne, ciche odgłosy, ale szybko uświadomił sobie, że to tylko szczury. Wcześniej jednak mało nie krzyknął z przerażenia, gdy jeden z nich przebiegł mu po stopie. W wyciętych w murze wnękach mignęły mu zwłoki z czaszkami spowitymi pajęczyną, przyniesione tu w konduktach żałobnych wieki temu. Atmosfera w katakumbach miała w sobie coś pierwotnego, coś przerażającego, coś, co sprawiało, że Ezio przez cały czas musiał zmagać się z narastającym poczuciem paniki.

W końcu ujrzał przed sobą wątle światło, zwolnił więc i posuwał się dalej w jego kierunku. Zatrzymał się i ukrył w mroku, gdy tylko w zasięgu jego słuchu znalazło się pięciu mężczyzn; zobaczył ich sylwetki, oświetlone blaskiem świec rozpraszających ciemności ciasnej i bardzo wiekowej kaplicy.

Francesca rozpoznał błyskawicznie – był niski, żylasty i nadpobudliwy; w chwili gdy Ezio go ujrzał, kłaniał się właśnie dwóm nieznanym kapłanom. Starszy z nich błogosławił zgromadzonych słowami wypowiedzianymi z wyraźnym, nosowym przydźwiękiem:

– *Et benedictio Dei Omnipotentis, Patris et Filii et Spiritus Sancti descendat super vos et maneat semper...*

Gdy tylko na jego twarz padło światło, Ezio rozpoznał go; był to Stefano Bagnone, sekretarz wuja Francesca, Jacopa, który zresztą stał tuż obok.

– Dzięki ci, *padre* – powiedział Francesco, gdy błogosławieństwo dobiegło końca.

Wyprostował się i zwrócił do czwartego mężczyzny, który stał obok księży.

– Bernardo, przedstaw nam swój raport.

– Wszystko jest przygotowane. Mamy pełny arsenał mieczy, toporów, łuków i kusz.

– Najlepszy do tej roboty byłby prosty sztylet – wtrącił młodszy z kapłanów.

– Wszystko zależy od okoliczności, Antonio – powiedział Francesco.

– Albo trucizna – kontynuował kapłan. – Ale nieważne, byleby udało się go zabić. Nie przebaczę mu tak łatwo zniszczenia Volterry – tam się urodziłem i tam jest mój jedyny, prawdziwy dom.

– Uspokój się – powiedział mężczyzna o imieniu Bernardo. – Uwierz, że każdy z nas ma wystarczająco poważne motywy. Teraz zaś, dzięki papieżowi Sykstusowi, mamy również i środki.

– W rzeczy samej, *messer* Baroncelli – odpowiedział Antonio. – Ale czy mamy również jego błogosławieństwo?

Z nieprzeniknionego mroku, którego nie zdołało już przeniknąć światło kaganka, dobiegł głos:

– Papież błogosławi naszym działaniom pod warunkiem, że nikt nie zostanie zabity.

Właściciel głosu wyszedł do światła. Ezio wstrzymał oddech – rozpoznał bowiem tego odzianego w szkarłatny kaptur mężczyznę, mimo iż praktycznie cała jego twarz, oprócz szyderczego uśmiechu na ustach, ukryta była w cieniu. A więc to on był tym ważnym gościem z Rzymu: Rodrigo Borgia, *il Spagnolo!*

Spiskowcy dobrze wiedzieli, co oznacza ten uśmiech, i odpowiedzieli podobnym. Zdawali sobie sprawę, komu lojalny jest papież – kontrolował go przecież stojący przed nimi kardynał. Naturalnie, że głowa Kościoła nie mogła otwarcie tolerować przelewu krwi.

– Dobrze, że w końcu załatwimy tę sprawę – rzekł Francesco. – Mam już dość tych wszystkich komplikacji. A skoro mowa o komplikacjach – zabicie ich w katedrze ściągnie na nas srogie potępienie.

– To jedyne możliwe rozwiązanie – powiedział władczo Rodrigo. – Oczyszczając Florencję z tych szumowin wykonujemy wolę Boga, więc i miejsce, gdzie się to dokona, jest odpowiednie. Poza tym, gdy już przejmemy kontrolę, niech tylko ludzie spróbują szemrać...

– Tyle że oni wciąż zmieniają swoje plany – odezwał się Bernardo Baroncelli. – Zamierzam nawet wysłać kogoś do jego młodszego brata, Giuliana, żeby mieć pewność, że nie spóźni się na sumę.

Słyszając to, wszyscy się roześmiali – oprócz Jacopa i Hiszpana, który właśnie zauważył poważny wyraz twarzy tego pierwszego.

– O co chodzi, Jacopo? – zapytał Rodrigo starszego z braci Pazzich. – Myślisz, że coś podejrzewają?

Zanim jednak ten zdążył odpowiedzieć, do rozmowy wtrącił się niecierpliwie jego bratanek.

– Skądże! Medici są zbyt aroganccy, więcej – są zbyt głupi, by czegokolwiek się domyślać!

– Nie lekceważ naszych wrogów! – ofuknął go Jacopo. – Nie rozumiesz, że to właśnie pieniądze Medicich opłaciły atak na nas w San Gimignano?!

– Tym razem nie będzie już takich problemów – odwarknął mu bratanek,

rozzłoszczony, że zwraca mu się uwagę na oczach wszystkich.

W jego sercu wciąż jeszcze żyła pamięć o śmierci syna, Vieriego.

Ciszę, jaka przez chwilę zapanowała w kaplicy, przerwał Bernardo, zwracając się do Stefana Bagnone.

– Chciałbym pożyczyć od ciebie komplet kapłańskich szat, *padre*. Im więcej duchownych wokół nich, tym bezpieczniej będą się czuli.

– Kto uderzy? – zapytał Rodrigo.

– Ja! – odpowiedział Francesco.

– Ja też! – dołączyli Stefano, Antonio i Bernardo.

– Dobrze – zgodził się Rodrigo i przerwał na chwilę. – W zasadzie również i mnie się wydaje, że sztylety będą najlepszym rozwiązaniem. O wiele łatwiej je ukryć, a przy bliskim kontakcie stają się bardzo poręczne. Mimo to dobrze będzie mieć pod ręką coś z papieskiego arsenału – z pewnością będziemy musieli po sobie posprzątać, gdy braci będziemy mieli już z głowy.

Uniósł dłoń i uczynił w powietrzu znak krzyża.

– *Dominus vobiscum*, przyjaciele – powiedział. – Niech wiedzie nas Ojciec Zrozumienia.

Rozejrzał się.

– Cóż, myślę że to już wszystko. Wybaczcie, że was opuszczam. Mam kilka spraw, które muszę załatwić przed powrotem do Rzymu, a wyruszam jeszcze przed świtem. Nie byłoby dobrze, by widziano mnie we Florencji tego samego dnia, w którym upada rodzina Medicich.

Ezio, przywierając do muru, czekał w ciemności, aż wszystkich sześciu mężczyzn opuści lochy. Dopiero kiedy był całkowicie pewny, że pozostał sam, wyjął swój własny kaganek i zapalił jego knot.

Wrócił tą samą drogą. Lis czekał na niego w pogrążonej w mroku kaplicy Rucellai. Ezio z przejęciem opowiedział mu to, co usłyszał.

– Chcą zabić Lorena i Giuliana Medicich w katedrze? Jutro, podczas sumy? – dopytywał się Lis, gdy Ezio już skończył; widać było, że brakuje mu słów. – To... to profanacja! A nawet coś gorszego! Jeśli Florencją zawładną

Pazzi, to niech dobry Bóg ma nas w swojej opiece!

Ezio zatopił się w myślach.

– Możesz zorganizować mi miejsce w katedrze na jutro? – zapytał Lisa po chwili. – Blisko ołtarza, obok Medicich?

Twarz Lisa miała posępny wyraz.

– Będzie ciężko. Choć nie mówię, że to niemożliwe – spojrzał na młodzieńca, po czym dodał: – Ezio, wiem o czym myślisz, ale to coś, czemu w pojedynkę raczej nie poddasz...

– Zaryzykuję. Będę miał przewagę – uderzę z zaskoczenia. Poza tym więcej obcych twarzy pośród *aristocrazii* blisko ołtarza mogłoby wzbudzić podejrzenia Pazzich. Musisz mnie tam jakoś wprowadzić, Gilberto.

– Mów mi Lis – odpowiedział mu Gilberto, uśmiechając się szeroko – bo jedynie lisy mogą dorównać mi przebiegłością – przerwał na chwilę, po czym dodał: – Spotkajmy się przed *Duomo* na pół godziny przed sumą.

Spojrzał na Ezia wzrokiem pełnym narastającego szacunku.

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, *messer Ezio*. Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

9

Nazajutrz, w niedzielę 26 kwietnia, Ezio obudził się jeszcze przed świtem i udał się do katedry. Po ulicach chodziło niewielu ludzi, choć widać już było grupki mnichów i zakonnic, spieszących na jutrznię. Ezio, zdając sobie sprawę, że powinien pozostać niezauważony, wspiał się w mozole na sam szczyt kampanili, skąd oglądał wschód słońca nad miastem. Plac przed katedrą stopniowo zaczął się wypełniać mieszkańcami wszelkiego pokroju, rodzinami i parami, kupcami i arystokracją, którzy ochoczo zdążali na uroczystą mszę, uświetnioną dziś obecnością samego księcia oraz jego brata i zarazem współwładcy. Ezio lustrował nadchodzących wzrokiem, a gdy zobaczył wchodzącego na schody katedry Lisa, zszedł z dzwonnicy, zwinnie jak mała, po jej najmniej widocznej ścianie. Dołączył do niego, pamiętając o tym, by głowę trzymać nisko i jak to tylko możliwe stąpić się z tłumem mieszkańców swojego miasta. Na tę okazję musiał przywdziać swoje najlepsze ubranie i nie przypasywać miecza, choć wielu spośród florentczyków, w szczególności bogatych kupców i bankierów, miało u pasów ceremonialną broń. Nie mógł się oprzeć, by nie wypatrywać Cristiny, nie widział jej jednak.

– A, tu jesteś – powiedział Lis, gdy Ezio podszedł do niego. – Wszystko załatwione: masz miejsce w trzecim rzędzie głównej nawy.

Lis nie skończył jeszcze mówić, gdy tłum na schodach rozstał się, a heroldowie podnieśli do ust swoje trąbki i zagrali fanfary.

– Nadchodzą – powiedział Lis.

Pierwszy na plac przed katedrą wszedł od strony Baptysterium Lorenzo Medici z żoną Clarissą. Trzymała za rękę małą Lucrezię, ich najstarsze dziecko, a pięcioletni Piero maszerował dumnie u boku ojca. Za nimi, w towarzystwie swej opiekunki, szła trzyletnia Maddalena, a niemowlę

w atlasowych powijakach – Giovanniego – niosła na rękach piastunka. Po nich pojawił się Giuliano i jego kochanka, Fioretta, w zaawansowanej ciąży. Zgromadzeni na placu ludzie kłaniali się nisko na ich widok. Orszak u wejścia do katedry powitali dwaj księża z asysty. Ezio z przerażeniem rozpoznał w jednym z nich Stefana Bagnone, a w drugim – kapłana z Volterra, którego pełne nazwisko, o czym dowiedział się od Lisa, brzmiało Antonio Maffei.

Rodzina Medicich weszła do katedry, za nią podążyli księża i mieszkańcy miasta, w porządku wyznaczonym swoją pozycją w mieście. Lis szturchnął Ezia i wskazał na coś palcem. Wśród cisnącego się tłumu zauważył Francesca Pazziego i jego współnika w spisku, Bernarda Baroncellego, przebranego za diakona.

– Idź już – syknął ponagłajaco do Ezia. – Trzymaj się blisko nich.

Katedrę wypełniała rosnąca rzesza ludzi, aż do momentu, w którym jej wnętrze nie mogło pomieścić ich już więcej i wielu z tych, którzy mieli nadzieję znaleźć się w środku, musiało się zadowolić pozostaniem na placu. Ostatecznie w murach *duomo* zebrał się dziesięcioletni tłum – Lis jeszcze nigdy w swoim życiu nie widział tak wielkiego zgromadzenia w mieście. W ciszy modlił się o powodzenie misji Ezia.

W katedrze powietrze było duszne i gorące. Ezio nie mógł podejść tak blisko Francesca i pozostałych spiskowców, jakby sobie tego życzył, ale przynajmniej mógł mieć ich na oku, obmyślając sposób, by w chwili, gdy rozpocznie się atak, jak najszybciej znaleźć się przy nich. Tymczasem arcybiskup Florencji zajął swoje miejsce przed ołtarzem i rozpoczęła się msza.

W chwili, gdy arcybiskup błogosławił chleb i wino, Ezio zauważył, że Francesco i Bernardo wymieniają spojrzenia. Rodzina Medicich miała swoje miejsca tuż przed nimi. W tym samym momencie, księża Bagnone i Maffei, którzy stali na niższych stopniach ołtarza i znajdowali się najbliżej Lorenza i Giuliana, rozejrzeli się ukradkiem dookoła. Arcybiskup odwrócił się twarzą

do zgromadzenia, wznosił złoty kielich i zaczął deklamować:

– ...to jest bowiem kielich krwi Mojej...

Potem wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Baroncelli zerwał się na nogi z krzykiem „*Creapa, traditore!*” i zanurzył swój sztylet w karku Giuliana. Z rany trysnęła fontanna krwi, oblewając Fiorette, która z piskiem upadła na kolana.

– Daj mi skończyć z sukinsynem! – wrzasnął Francesco, odpychając Baroncellego i przewracając na posadzkę Giuliana, który usiłował zatamować krew dłońmi. Potem przysiadł na nim okrakiem i jął nurzać w jego ciele ostrze swego sztyletu, raz za razem, i to z taką zaciekłością, że raz zatopił go w swoim udzie, najwyraźniej nawet tego nie zauważając. Giuliano był martwy już na długo przed ostatnim, dziewiętnastym pchnięciem.

W tym czasie Lorenzo z krzykiem na ustach obrócił się do napastników swojego brata, a Clarissa i opiekunki uciekły wraz z Fiorette i dziećmi w bezpieczne miejsce. Zapanowało ogólne zamieszanie. Do Lorenza, który wcześniej zrezygnował z bliskiej eskorty – zamach w kościele był czymś, co nigdy nie przysłoby mu do głowy – spieszyli jego ludzie, przeciskając się przez gęsty tłum wystraszonych i zdezorientowanych wiernych, przepychających się i tratujących siebie nawzajem, byle tylko jak najszybciej oddalić się od miejsca jatki. Całą sytuację pogarszał mdły zaduch, ciepło i fakt, że praktycznie nie można się było nawet poruszyć...

Nie dotyczyło to jednak przestrzeni tuż przed ołtarzem. Arcybiskup i jego kapłani stali w przerażeniu, wrośnięci w posadzkę, ale Bagnone i Maffei, widząc przed sobą plecy odwróconego do tyłu Lorenza, skorzystali z okazji i dobywając spod sutann swoich sztyletów, rzucili się na niego.

Jednak księża rzadko kiedy bywają doświadczeniymi zabójcami, i to niezależnie od tego, jak silne motywy kierują ich działaniem – zadali więc Lorenzowi tylko powierzchowne draśnięcia, nim ten strząsnął ich z siebie. Jednak później, w szamotaninie, dwójka napastników wzięła nad nim górę.

W dodatku, utykając z powodu zadanej sobie rany, ale za to wzmocniony gotującą się w nim nienawiścią, zbliżał się do niego Francesco. Miotając przekleństwa, uniósł swój sztylet. Bagnone i Maffei, pozostawiając osłabionego Lorenza, odwrócili się i pierzchli w kierunku absydy. Lorenzo zataczał się, cały ociekając krwią; głęboka rana w górnej części jego ramienia czyniła rękę władającą mieczem zupełnie bezużyteczną.

– To już koniec, Lornezo! – zawołał Francesco. – Twoja cała niewydarzona rodzina zginie od mojego miecza!

– *Infame!* – odkrzyknął Lorenzo. – Zabiję cię!

– Z taką ręką? – roześmiał się szyderczo Francesco i zamachnął się sztyletem.

Jak tylko zaciśnięta na rękojeści dłoń zaczęła opadać, jakaś silna ręka chwyciła ją za nadgarstek i zatrzymała w ruchu, a chwilę później szarpnęła i obróciła jej właściciela. Francesco stanął twarzą w twarz z innym swoim zaprzysięgłym wrogiem.

– Ezio! – warknął. – Skąd się tu wziąłeś?!

– Rzeczywiście, to koniec, tyle że twój, Francesco!

Tłum się przerzedzał, a eskorta Lorenza przepychała się coraz bliżej. U boku Francesca stanął Baroncelli.

– Musimy zniknąć! Już po wszystkim! – krzyknął.

– Najpierw skończę z tymi parszywymi psami! – syknął Francesco, ale na jego twarzy zaczęła malować się rezygnacja. Rana na jego udzie krwawiła coraz mocniej.

– Nie! Musimy uciekać!

Francesco był wściekły, ale widać było, że poddaje się sugestii.

– To jeszcze nie koniec – wycedził do Ezia.

– Owszem. Dokądkolwiek się udasz, ja podążę za tobą; będziesz czuł mój oddech na plecach aż do chwili, w której zginiesz z mojej ręki.

Francesco przeszył Ezia gniewnym spojrzeniem, lecz prawie natychmiast odwrócił się i rzucił w ślady Baroncella, który zniknął już gdzieś za głównym

ołtarzem. W apsydzie musiały znajdować się drzwi prowadzące na zewnątrz. Ezio chciał puścić się w pościg za nimi.

– Poczekaj! – usłyszał zza pleców rwący się głos. – Zostaw go! Nie zajądą daleko. Potrzebuję cię tutaj. Musisz mi pomóc!

Ezio odwrócił się i zobaczył księcia leżącego bezładnie między dwoma przewróconymi krzesłami. W pewnej odległości od niego stała zbита w grupkę jego rodzina, płacząc; Clarissa z przerażeniem na twarzy obejmowała mocno dwójkę starszych dzieci, a Fioretta wpatrywała się tępo w zmasakrowane ciało Giuliana.

Wreszcie pojawili się ludzie z przybocznej straży Lorenza.

– Zaopiekujcie się moją rodziną – nakazał im. – Po tym wszystkim miasto pogrzy się w chaosie. Zabierzcie wszystkich do *palazzo* i zaryglujcie drzwi.

Potem zwrócił się do Ezia.

– Ocaliłeś mi życie.

– Spełniłem tylko swój obowiązek, panie. Pazzi musi teraz za to zapłacić.

Ezio pomógł Lorenzowi się podnieść, po czym usadził go ostrożnie na krześle. Spojrzał w górę, gdzie nie zobaczył już ani arcybiskupa, ani pozostałych księży. Za jego plecami ludzie wciąż przepychali się i tłoczyli, robiąc wszystko, by wydostać się z katedry przez jej główne, zachodnie wejście.

– Muszę dopaść Francesca – powiedział.

– Nie! – sprzeciwił się Lorenzo. – Nie będę bezpieczny, gdy zostanę sam. Musisz mi pomóc. Zabierz mnie do San Lorenzo. Mam tam przyjaciół.

Ezio był rozdarty, wiedział jednak, ile Lorenzo zrobił dla jego rodziny. Nie mógł też obwiniać go o to, że nie udało mu się zapobiec śmierci najbliższych – któż mógł przypuszczać, że nieprzyjaciel zaatakuje tak nagle?

Teraz Lorenzo sam stał się ofiarą. Żył, ale widać było, że długo nie pociągnie, jeśli Ezio nie zabierze go w najbliższe miejsce, gdzie ktoś będzie mógł udzielić mu pomocy. Na szczęście kościół San Lorenzo znajdował się niedaleko, na północ od Baptysterium.

Zabandażował rany Lorenza najstaranniej jak umiał, wykorzystując pasy, na które podarł własną koszulę. Potem ostrożnie postawił go na nogi.

– Obejmij moje ramię swoją lewą ręką, panie. Tak, dobrze... Za ołtarzem powinno być wyjście z katedry...

Kuśtykając, udali się tą samą drogą, którą wcześniej obrali agresorzy. Wkrótce natrafili na małe, otwarte drzwi, ze śladami krwi na progu. Bez wątpienia przechodził tędy Francesco. Może czyha gdzieś w pobliżu? Eziowi bardzo trudno byłoby wysunąć sprężynowy sztylet, nie mówiąc już o walce – na jego prawym boku wspierał się Lorenzo. Do lewego ramienia miał jednak przypięty ochraniacz z metalową płytką.

Weszli na plac roztaczający się przed północną ścianą katedry, gdzie ich oczom ukazał się zamęt i chaos. Skierowali się na zachód, ale wcześniej Ezio zatrzymał się i na ramiona Lorenza nałożył dla niepoznaki swoją pelerynę. Na placu między katedrą a Baptysterium walczyły ze sobą wręcz grupy mężczyzn w barwach Pazzich i Medicich; byli tak pochłonięci walką, że Eziemu udało się niepostrzeżenie oddalić od placu boju, jednak jak tylko weszli w ulicę wiodącą do Piazza San Lorenzo, stanęli twarzą w twarz z dwoma mężczyznami, którzy nosili herby z delfinami i krzyżami. Obaj mieli u pasa budzące respekt falchiony.

– Stać! – powiedział jeden z nich. – Dokąd to?

– Muszę zaprowadzić tego oto mężczyznę w bezpieczne miejsce – odparł Ezio.

– A ty? Kimże zaś jesteś? – zapytał nieprzyjemnym tonem drugi strażnik, podchodząc i wlepiając wzrok w twarz Lorenza.

Ten, na wpół przytomny, usiłował się odwrócić, ale gdy to zrobił, ześlizgnęła się z niego peleryna, ukazując herb Medicich.

– Ho, ho – powiedział strażnik, zwracając się do swego kompana. – Wygląda na to, że schwytaliśmy naprawdę grubą rybę, Terzago!

Ezio musiał błyskawicznie decydować, co dalej.

Nie mógł wypuścić Lorenza, który wciąż tracił krew. Jeśli jednak by tego

nie zrobił, nie byłby w stanie użyć swojej broni. Uniósł szybko lewą stopę i z całych sił kopnął strażnika w pośladki. Mężczyzna upadł na ziemię jak długi. Natychmiast podbiegł do nich jego towarzysz z uniesionym falchionem. W chwili, gdy ostrze zaczęło opadać z wielką prędkością, Ezio, korzystając ze swojego ochraniacza, zasłonił się przed ciosem i odbił uderzenie. Zaraz potem zamachnął się lewą ręką, wytrącając z dłoni napastnika miecz i rozcinając mu ciało; nie mógł jednak znaleźć odpowiedniego punktu podparcia i cios nie okazał się śmiertelny. W tym czasie zdążył stanąć na nogi drugi ze strażników. Ruszył na pomoc swojemu kompanowi, który, zdziwiony, że nie odciął Eziowi przedramienia, cofnął się o kilka chwiejnych kroków.

Ezio zatrzymał uderzenie drugiego miecza podobnie jak przed chwilą, tym razem jednak udało mu się przesunąć ochraniaczem po ostrzu miecza aż uderzył w rękojeść, dzięki czemu nadgarstek napastnika znalazł się w zasięgu jego dłoni. Chwycił za niego i wykręcił go tak mocno i raptownie, że mężczyzna krzyknął z bólu i wypuścił z ręki swoją broń. Ezio szybko się schylił i podniósł falchion, jeszcze zanim ten na dobre spoczął na ziemi. Nie było łatwo władać nim lewą ręką jednocześnie podtrzymując Lorenza, ale Eziowi udało się zatoczyć nim łuk i przeciąć w pół szyję strażnika, zanim ten zdążył się pozbierać. Teraz nacierał na niego pierwszy z nich, rycząc z wściekłości. Ezio zablokował jego uderzenie swoim falchionem, po czym wymienili jeszcze kilka bloków i ciosów. Strażnik, wciąż nieświadomy ochraniacza na lewym przedramieniu Ezia, wymierzał jeden za drugim bezużyteczne ciosy. Ezia bolała już ręka i ledwo trzymał się na nogach, w końcu jednak dostrzegł sposobność. Hełm dość luźno spoczywał na głowie mężczyzny, a teraz ten pochylił ją, spoglądając w dół na przedramię Ezia i przygotowując się do oddania kolejnego ciosu. Ezio wysunął zdobyty miecz i zamarkował chybiony cios, ale w rzeczywistości udało mu się strącić hełm z głowy napastnika. Potem, zanim ten zdążył zareagować, Ezio spuścił ciężki falchion na jego czaszkę, rozłupując ją na dwoje. Ostrze ugrzęzło w niej na

dobre i Ezio nie mógł go wydobyć. Mężczyzna stał przez chwilę w bezruchu, z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, po czym osunął się bezwładnie na bruk. Ezio rozejrzał się szybko wokół i zaczął ciągnąć uwieszonego na jego prawym barku Lorenza w górę ulicy.

– To już niedaleko, *Altezza*.

Do kościoła dotarli bez żadnych przeszkód po drodze, jego drzwi były jednak zamknięte. Ezio, spoglądając za siebie, zauważył, że na drugim końcu ulicy ciała zabitych strażników znaleźli ich towarzysze, którzy teraz patrzyli już w jego kierunku. Zaczął łomotać do drzwi i w końcu otworzył się w nich judasz, przez który widać było oko i fragment podejrzliwej twarzy.

– Lorenzo jest ranny! – powiedział Ezio, ciężko dysząc. – Idą po nas! Otwórz drzwi!

– Muszę usłyszeć hasło – powiedział mężczyzna za drzwiami.

Ezio nie wiedział, co zrobić. Na szczęście Lorenzo usłyszał głos zza drzwi i rozpoznawszy go, zebrał siły.

– Angelo! – powiedział donośnym głosem. – To ja, Lorenzo! Otwieraj te cholerne drzwi!

– Na Trismegistosa! – zakrzyknął mężczyzna po drugiej stronie. – Myśleliśmy, że nie żyjesz, panie! – odwrócił się i zawołał na kogoś za drzwiami: – Odryglować mi to! Ale już!

Judasz się zamknął, po czym dało się słyszeć charakterystyczny dźwięk szybko odsuwanych rygli. Ludzie Pazzich, zmierzający ulicą w stronę kościoła, nagle zaczęli biec. Ciężkie skrzydło drzwi otworzyło się w samą porę, wpuszczając do środka Ezia i Lorenza, i jak tylko zamknęło się za nimi, zostało błyskawicznie zaryglowane przez stróżów. Zza drzwi dobiegły przerażające odgłosy dobijających się strażników, a Ezio stanął twarzą w twarz z wytwornym, dwudziestokilkuletnim mężczyzną o spokojnych, zielonych oczach.

– Angelo Poliziano – przedstawił się. – Wysłałem kilku naszych od tyłu, by rozprawili się z tymi szczurami Pazziego. Nie powinni nam już sprawiać

więcej kłopotów.

– Ezio Auditore.

– Ach, więc to ty... Lorenzo mówił mi o tobie – tu przerwał. – Ale o tym możemy porozmawiać później. Teraz mi pomóż ułożyć go na ławie. Przyjrzymy się jego ranom.

– Teraz jest już bezpieczny – powiedział Ezio, przekazując Lorenza dwóm towarzyszącym Angelowi mężczyznom, którzy z wielką ostrożnością doprowadzili go do ławy, znajdującej się przy północnej ścianie kościoła.

– Opatrzmy go, zatamujemy krew i jak tylko poczuje się lepiej, przeniesiemy go do jego *palazzo*. Nie obawiaj się, Ezio, teraz naprawdę nic mu już nie grozi, a my nie zapomnimy, co dla niego zrobiłeś.

Lecz myśli Ezia krążyły wokół Francesca Pazziego. Miał więcej czasu niż trzeba, by przepaść jak kamień w wodę.

– Muszę już iść – powiedział.

– Poczekaj! – zawołał Lorenzo.

Skinąwszy głową Polizianiemu, Ezio podszedł do Lorenza i uklęknął przy jego boku.

– Jestem twoim dłużnikiem, *signore* – powiedział Lorenzo – choć nie wiem, dlaczego mi pomogłeś, ani skąd wiedziałeś, co się święci, w przeciwieństwie do moich własnych szpiegów – przerwał, mrużąc oczy z bólu, gdy jeden ze służących przemywał jego ranę na ramieniu. – Kim jesteś? – zapytał, gdy ostry ból trochę ustąpił.

– To Ezio Auditore – powiedział Poliziano, podchodząc i kładąc dłoń na ramieniu Ezia.

– Ezio! – Lorenzo utkwiał w nim wzrok, głęboko poruszony. – Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem i wspaniałym przyjacielem. Był jednym z moich najwierniejszych sojuszników. Wiedział, czym jest honor i lojalność, a swoich interesów nie przekładał nigdy nad interes Florencji, lecz... – znowu przerwał i lekko się uśmiechnął. – Byłem przy tym, kiedy zginął Alberti. To twoje dzieło?

– Tak, panie.

– Twoja zemsta była szybka i słuszna. Jak widzisz, mnie aż tak się nie powiodło. Teraz zaś, przez swoje wygórowane ambicje, Pazzi sami poderżnęli sobie gardła. Modlę się, żeby...

Przerwał, bo z nienacką wbiegł człowiek ze straży Medicich, która miała rozprawić się ze ścigającymi Ezia ludźmi Pazzich, z twarzą brudną od potu i krwi.

– Co się stało? – zapytał Poliziano.

– Złe wieści, panie. Ludzie Pazzich się wściekli i szturmują Palazzo Vecchio. Już dłużej nie damy rady stawiać im oporu.

Poliziano zbladł.

– Rzeczywiście, to złe wieści. Jeśli zajmą Palazzo Vecchio, zabiją wszystkich naszych sprzymierzeńców, a jeśli potem zapanują nad miastem...

– ...jeśli zapanują nad miastem – dokończył Lorenzo – fakt, że przeżyłem, nie będzie miał najmniejszego znaczenia. Wszyscy zginiemy.

Usiłował się podnieść, lecz od razu opadł, jęcząc z bólu.

– Angelo! Musisz wziąć wszystkie nasze oddziały, które tu mamy, i...

– Nie! Moje miejsce jest u twego boku, panie. Musimy przenieść cię do Palazzo Medici tak szybko, jak to tylko możliwe. Tylko tam będziemy mogli przeorganizować się i odpowiedzieć ciosem na cios.

– Ja pójdę – powiedział Ezio. – I tak mam jeszcze kilka spraw do dokończenia z *messer* Francesco.

Lorenzo spojrział na niego.

– Zrobiłeś już wystarczająco dużo.

– Nie spocznę, dopóki nie zamknę tej sprawy, *Altezza*. A Angelo ma rację – ma ważniejsze zadanie: przenieść cię w bezpieczne mury twojego pałacu, panie.

– *Signiori* – wtrącił posłaniec Medicich. – Mam jeszcze inne wieści. Widziałem Francesca Pazziego prowadzącego grupę swoich ludzi na tyły Palazzo Vecchio. Szuka sposobu, by dostać się do środka od ślepej strony

placu.

Poliziano popatrzył na Ezia.

– Idź. Zabierz broń i ludzi. Spiesz się! Ten człowiek pójdzie z tobą i będzie twoim przewodnikiem. Pokaże ci, któredy najbezpieczniej opuścić kościół. Stamtąd do Palazzo Vecchio dojedziesz w dziesięć minut.

Ezio skłonił się i odwrócił, by odejść.

– Florencja nigdy nie zapomni ci tego, co dla niej robisz – powiedział Lorenzo. – Niechaj Bóg cię prowadzi.

Na zewnątrz słychać było dzwony większości kościołów, które powiększały ogólną kakofonię szczęku stali, krzyków i jęków. Miasto wrzało, na ulicach stały w płomieniach podpalone wozy, żołnierze obu walczących stron biegali w tę i z powrotem, albo ścierali się ze sobą w ostrych walkach. Wszędzie leżały martwe ciała, na placach i wzdłuż ulic, panowała jednak zbyt wielka wrzawa, by wrony, które czarnymi, zimnymi oczami przyglądały się wszystkiemu z dachów, odważyły się sfrunąć na ucztę.

Zachodnie drzwi do Palazzo Vecchio stały otworem, a z roztaczającego się za nimi dziedzińca dobiegały odgłosy walki. Ezio zatrzymał swój niewielki oddział i zagadnął biegnącego w kierunku pałacu dowódcę innego oddziału Medicich:

– Co się tam dzieje?

– Ludzie Pazzich włamali się do pałacu od tyłu i otworzyli od środka jego bramy. Nasi w pałacu dają im odpór. Nie pozwolili im wyjść poza dziedziniec. Przy odrobinie szczęścia będziemy ich mogli osaczyć!

– Czy wiadomo coś o Francescu Pazzim?

– On i jego ludzie kontrolują tylne wejście do pałacu. Gdybyśmy tylko je od nich odbili, na pewno udałoby się uwięzić ich w środku.

Ezio odwrócił się do swoich ludzi.

– Idziemy! – zawołał.

Przebiegli przez plac, a potem weszli w wąską uliczkę, prowadzącą wzdłuż

północnej ściany *palazzo*, po której dawno temu zupełnie inny Ezio wspinał się do okna w celi ojca; skręcając z niej w prawo stanęli twarzą w twarz z pilnującymi tylnego wejścia ludźmi Pazziego, na czele których stał sam Francesco.

Od razu stanęli w gotowości, a kiedy Francesco ujrzał Ezia, krzyknął:

– To znowu ty! Dlaczego nie jesteś jeszcze martwy? Zamordowałeś mi syna!

– On usiłował zabić mnie!

– Zabić go! Zabić go teraz!

Obie strony starły się w ostrej walce, zadając sobie ciosy w straszliwej furii – ludzie Pazziego wiedzieli, jak ważne dla nich było utrzymanie wejścia, przez które mogliby się wycofać. Ezio, z zimną wściekłością w sercu, zaczął torować sobie drogę do Francesca, który stał tyłem do drzwi *palazzo*. Miecz, który Ezio zabrał ze zbrojowni Medicich, był znakomicie wyważony, a jego ostrze zrobione ze stali tolekańskiej. Ezio nie miał jednak okazji, by wcześniej zapoznać się z tą bronią, więc ciosy, jakie nim wymierzał, były odrobinę mniej skuteczne niż zwykle. Mężczyzn, którzy stali na jego drodze, jedynie ranił, nie zabijał. Zauważył to Francesco.

– Pewnie myślisz, żeś urodził się szermierzem, chłopcze... Nawet nie potrafisz czysto zabić! Pozwól, że ci pokażę, jak to się robi!

Natarli na siebie, a z ich ostrzy posypały się iskry; Francesco miał jednak mniejszą swobodę ruchu niż Ezio. Poza tym, będąc o dwadzieścia lat starszym, zaczynał już odczuwać zmęczenie, choć tego dnia stracił mniej sił niż jego przeciwnik.

– Straże! – zawołał w końcu w akcie desperacji. – Do mnie!

Lecz jego ludzie padali jak muchy pod naporem żołnierzy Medicich. Musiał więc zmierzyć się z Eziem sam na sam. Rozejrzał się wkoło, szukając rozpaczliwie możliwości ucieczki; pozostawała mu jednak wyłącznie droga przez pałac. Zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył w górę kamiennych schodów, które pięły się wewnątrz muru. Ezio rzucił się za nim i po chwili znalazł się

na drugim piętrze budynku. Tu zdał sobie sprawę, że ponieważ większość żołnierzy Medich była zaangażowana z frontu *palazzo*, gdzie toczyły się najostrzejsze walki, to do obrony jego tyłów pewnie zabrakło już ludzi.

Komnaty były opuszczone – wszyscy, którzy je zajmowali, wyjąwszy przerażonych urzędników, którzy pierzchli jak tylko rozpętała się walka, znajdowali się na dziedzińcu, gdzie usiłowali osaczyć ludzi Pazzich. Ezio biegł za Franceskiem przez wysokie, zdobione złotem komnaty, aż w końcu znaleźli się na balkonie, wysoko nad Piazza della Signoria. Z dołu dobiegał bitewny zgiełk. Francesco zawołał o pomoc – bezskutecznie. Nikt go nie słyszał. Nie miał już gdzie uciekać i pozostał sam.

– Stań i walcz! – rzekł Ezio. – Teraz zostaliśmy tylko my.

– *Maledetto!*

Ezio zamachnął się mieczem i rozciął mu lewe ramię, z którego połała się krew.

– No dalej, Francesco, gdzie jest ta cała odwaga, którą miałeś, kiedy kazałeś zabić mego ojca? Albo gdy dźgałeś dziś rano Giuliana?

– Przepadnij wreszcie, diabelskie nasienie!

Francesco wykonał pchnięcie mieczem, słabł jednak z minuty na minutę i ostrze nie sięgnęło celu. On zaś z rozpędu zachwiał się na nogach i stracił równowagę. Ezio zwinnie uskoczył w bok i stopą przygwoździł do ziemi ostrze miecza, które pociągnęło za sobą Francesca.

Zanim ten zdążył się pozbierać, Ezio nastąpił mu na rękę, która machinalnie puściła rękojęść, a potem chwycił go za ramię i przewrócił na plecy. Gdy Francesco usiłował się podnieść, Ezio brutalnie kopnął go w twarz. Francesco przewrócił oczami i stracił przytomność. Ezio przyklęknął przy nim i zaczął go obszukiwać, zrywając z niego zbroję i kaftan, pod którym kryło się blade, żylaste ciało. Nie znalazł jednak żadnych dokumentów, ani niczego, co mogłoby mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Jedyne, co miał przy sobie Francesco, to garść florenów w sakiewce.

Ezio odrzucił na bok swój miecz i wysunął ukryty sztylet. Klęcząc, podłożył dłoń pod głowę Francesca i uniósł ją ku sobie tak, że ich twarze prawie się dotykały.

Powieki Francesca drgnęły i podniosły się, odsłaniając oczy pełne lęku i przerażenia.

– Oszczędź mnie! – wychrypiał z wysiłkiem.

W tej samej chwili z dziedzińca pod nimi rozległ się tryumfalny okrzyk. Ezio słuchał uważnie dobiegających go okrzyków, po których wywnioskował, że oddziały Pazzich zostały rozbite.

– Oszczędzić? Ciebie? – odpowiedział. – Równie dobrze mógłbym oszczędzić wściekłego wilka!

– Nie! – krzyknął przerażony Francesco. – Błagam cię!

– To za ojca – powiedział Ezio, zatapiając ostrze sztyletu w jego żołądku. – To za Federica – powiedział, dźgając go znowu. – To za Petruccia, a to za Giuliana!

Z ran Francesca wytrysnęła strumieniami krew, oblewając Ezia, który wciąż dźgałby go sztyletem, gdyby nie przypomniał sobie słów Maria: „Nie staraj się być podobnym do niego”. Odsunął się więc i przykucnął na piętach. Oczy Francesca wciąż się skrzyły, choć z każdą chwilą gasł w nich blask. Coś mrucał. Ezio pochylił się nisko, by usłyszeć, co mówi.

– Księdza... księdza... na litość boską, sprowadź mi księdza...

Teraz, gdy ustąpiła już gotująca się w nim wściekłość, Ezio uświadomił sobie, z jakim okrucieństwem zabił Francesca. Był głęboko wstrząśnięty. Nie postąpił tak, jak nakazywało Credo.

– Na to nie ma już czasu – powiedział. – Zamówię msze za twoją duszę.

Krtań Francesca zadrgała. Jego kończyny zatrzęśły się w przedśmiertnej agonii i zeszywniały. Wygiął do tyłu głowę i otworzył szeroko usta, sprawiając wrażenie, jakby toczył ostatnią, niemożliwą do wygrania walkę z niewidzialnym wrogiem, z którym pewnego dnia zmierzy się każdy człowiek. Potem uszło z niego życie – wyglądał teraz jak zużyty, zszargany,

pusty worek.

– *Requiescat in pace* – wymruczał Ezio.

Potem z dziedzińca dobiegł jego uszu nowy zgiełk. Z południowo-wschodniego rogu placu nadbiegało pięćdziesięciu, może nawet sześćdziesięciu mężczyzn, prowadzonych przez wuja Francesca – Jacopa. Nad nimi, wysoko w górze, powiewała chorągiew Pazzich.

– *Libertà! Libertà! Popolo e libertà!* – krzyczeli.

W tej samej chwili z *palazzo* ruszyły na nich siły Medicich; mężczyźni byli już jednak znacznie osłabieni, w dodatku – co spostrzegł Ezio – żołnierze Pazzich górowali nad nimi liczebnie.

Odwrócił się do martwego ciała.

– Cóż, Francesco – powiedział. – Wydaje mi się, że wiem, jak możesz spłacić swój dług, nawet teraz.

Szybko podłożył ręce pod jego ramiona, dźwignął go do góry – był niespodziewanie lekki – i wyciągnął go na balkon. Tam, odnalazłszy sznur, na którym wisiała chorągiew, zawiązał go na jego szyi. Drugi koniec sznura przywiązał do solidnej, kamiennej kolumny i zbierając wszystkie swoje siły, podniósł ciało i przerzucił je przez balustradę. Sznur najpierw luźno się rozwijał, a potem napiął się nagle z ostrym skrzypnięciem. Bezwładne ciało Francesca zawisło nad placem, a czubki jego palców apatycznie wskazywały na znajdujący się pod nim bruk.

Ezio schował się za kolumną.

– Jacopo! – zawołał donośnym głosem. – Jacopo Pazzi! Spójrz! Wasz przywódca nie żyje! To już koniec!

Zobaczył, jak Jacopo spojrział ku górze i zatrzymał się. Zawahali się również jego ludzie. Żołnierze Medicich spojrzeli w miejsce, na które spoglądał, i z pełnym werwy okrzykiem rzucili się na oddział Pazzich. Ten jednak topniał w oczach – jego kolejne szeregi salwowały się ucieczką.

Kilka kolejnych dni przypieczętowało całą sprawę. Władza Pazzich we Florencji upadła. Ich dobra i nieruchomości zostały przejęte, ich herby zdarto

i podeptano. Mimo apeli Lorenza o okazanie litości, florentczycy wytropili i zabili wszystkich sympatyków Pazzich, choć ci wyżej postawieni uciekli z miasta i ocaleli z pogromu.

Tylko jeden z pojmanyh został ułaskawiony – był nim Raffaele Riario, siostrzeniec papieża, którego Lorenzo uważał za zbyt naiwnego i prostodusznego, by mógł mieć jakikolwiek udział w spisku. Doradcy księcia byli jednak zdania, że ta decyzja stanowi bardziej przejaw ludzkich uczuć niż politycznej przenikliwości.

Nie złagodziło to wściekłości Sykstusa IV, który nałożył na Florencję interdykt. Nie posiadał jednak żadnej realnej władzy, florentczycy zlekceważyli więc jego decyzję.

Ezio był jednym z pierwszych wezwanych przed oblicze księcia. Gdy przybył, Lorenzo stał na balkonie z widokiem na Arno i spoglądał na przepływające w dole wody rzeki. Miał wciąż zabandażowane rany, widać było jednak, że wraca do zdrowia, a bladość już zupełnie opuściła jego oblicze. Wysoka, dumna postać księcia sprawiała, że odnosiło się wrażenie, iż przydomek, jakim go określano – Il Magnifico – był w pełni uzasadniony.

Lorenzo przywitał Ezia i gestem dłoni pokazał na rzekę.

– Wiesz, Ezio, gdy miałem sześć lat, wpadłem do Arno. Chwilę potem, gdy zaczął unosić mnie prąd, a oczy ogarnęła ciemność, byłem pewien, że to już koniec. Tymczasem obudził mnie płacz mojej matki. Obok niej stał nieznajomy – był cały mokry i uśmiechał się. Powiedziała, że to on uratował mi życie. Nazwisko nieznajomego brzmiało Auditore. Taki właśnie był początek długiego i pomyślnego związku naszych dwóch rodzin.

Odwrócił się do Ezia i dodał z powagą w głosie:

– Bardzo mi przykro, że nie byłem w stanie ocalić twoich najbliższych.

Eziowi trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Zimny świat polityki, gdzie granica między dobrem i złem zbyt często bywała rozmyta, był czymś, co dobrze rozumiał, lecz zarazem odrzucał.

– Wiem, że ocaliłbyś ich, panie, gdyby leżało to w twojej gestii –

odpowiedział.

– Przynajmniej twój rodzinny dom znajduje się teraz pod pieczęcią miasta. Do opieki nad nim zatrudniłem waszą byłą gosposię, Annettę. Jest doglądany i chroniony na mój własny koszt. Niezależnie od tego, co się wydarzy, będzie czekał na ciebie, kiedy tylko zechcesz do niego powrócić.

– Jesteś bardzo łaskawy, *Altezza* – powiedział Ezio i zamyślił się.

Myślami znalazł się przy Cristinie. Może jeszcze nie było za późno, by namówić ją do zerwania zaręczyn, do poślubienia go i do wskrzeszenia wspólnie z nim rodziny Auditorich? Lecz dwa ostatnie lata zmieniły go nie do poznania. Miał teraz do wypełnienia inną powinność – tę, która wynikała z Credo.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo w bitwie – odezwał się w końcu – lecz wojna nie została jeszcze wygrana. Wielu spośród naszych wrogów uciekło.

– Ale bezpieczeństwo Florencji jest pewne. Papież Sykstus chciał przekonać Neapol, by ruszył przeciwko nam, ja jednak nakłoniłem Ferdynanda, żeby tego nie robił. Nie wystąpi też przeciw nam ani Bolonia, ani Mediolan.

Ezio nie mógł powiedzieć księciu o poważniejszej walce, którą toczył – nie był wszak pewien, czy Lorenzo jest wtajemniczony w sekret asasynów.

– Ze względu na bezpieczeństwo Florencji, panie – powiedział – potrzebuję twej zgody, by wyruszyć na poszukiwania Jacopa Pazziego.

Twarz Lorenza spochmurniała.

– Ten tchórz! – powiedział ze złością. – Uciekł, nim zaczęliśmy go szukać!

– Czy istnieją podejrzenia, dokąd mógł się udać?

Lorenzo pokręcił głową.

– Nie. Zbiedzy dobrze się ukryli. Moi szpiedzy donoszą, że Baroncelli być może będzie chciał dostać się do Konstantynopola, ale jeśli chodzi o innych...

– Podaj mi ich imiona, panie – powiedział Ezio, a w jego stanowczym głosie było coś, co uświadomiło Lorezowi, że oto stoi przed nim mężczyzna,

który dla swoich wrogów stanowi śmiertelne zagrożenie.

– Jakże mógłbym zapomnieć imiona morderców mojego brata? Jeśli ich odzujesz, na zawsze zostanę twoim dłużnikiem. A więc: księża Antonio Maffei i Stefano Bagnone. O Bernardzie Baroncellim już wspominałem. Jest jeszcze jedna osoba, nie zamieszana bezpośrednio w zabójstwa, ale będąca groźnym sojusznikiem naszych wrogów. To arcybiskup Pizy, Francesco Salviati – kolejny członek rodziny Riario, papieskich psów gończych. To właśnie jego kuzyna ułaskawiłem. Nie chciałem być taki jak oni. Czasem się zastanawiam, czy w ogóle roztropnie jest podejmować takie decyzje.

– Mam pewną listę – rzekł Ezio. – Ich nazwiska zostaną do niej dopisane. Zaczął się zbierać.

– Dokąd się teraz udasz? – zapytał Lorenzo.

– Wrócę do mego wuja w Monteriggioni. Tam będę miał bazę.

– A więc idź z Bogiem, Ezio, przyjacielu. Zanim jednak odejdiesz, mam tu coś, co może cię zaciekać...

Lorenzo otworzył skórzane etui i wyciągnął z niego arkusz welinu. Jeszcze nim zdążył go rozwinąć, Ezio wiedział już, co to takiego.

– Pamiętam, jak lata temu rozmawiałem z twoim ojcem o starożytnych dokumentach – powiedział cichym głosem Lorenzo. – Wspólnie się nimi interesowaliśmy. Wiem, że kilka z nich przetłumaczył. Proszę, weź to ze sobą – znalazłem to w papierach Francesca Pazziego, ponieważ jednak to nie będzie mu już potrzebne, pomyślałem, że może przypadnie ci do gustu... jako pamiątka przypominająca ojca. Może będziesz chciał dołączyć to do jego... kolekcji?

– W rzeczy samej, *Altezza*, jestem ci niezmiernie wdzięczny.

– Właśnie tak przypuszczałem – powiedział Lorenzo tonem, który sprawił, że Ezio zaczął się zastanawiać, jak dużo Medici w rzeczywistości wie. – Mam nadzieję, że ci się to przyda.

Zanim Ezio spakował rzeczy i przygotował się do podróży, pospieszył z otrzymaną od Lorenza kartą z Kodeksu do swego przyjaciela, Leonarda da

Vinci. Mimo wydarzeń zeszłego tygodnia, prace w jego atelier przebiegały jak gdyby nigdy nic.

– Miło cię widzieć, Ezio... Dobrze, żeś cały i zdrowy – powitał Ezia Leonardo.

– Widzę, że i ty wyszedłeś z tego wszystkiego obronną ręką – odpowiedział Ezio.

– Mówiłem ci – po prostu dają mi spokój. Pewnie myślą, że jestem albo obłąkany, albo beznadziejny, albo zbyt niebezpieczny – dlatego boją się mnie ruszać. Ale proszę, wejdź, napijemy się wina... Miałem gdzieś tutaj ciastka, o ile nie są już czerstwe – moja gosposia jest do niczego! Powiedz, co tam u ciebie?

– Opuszczam Florencję.

– Tak szybko? Obiło mi się o uszy, że stałeś się bohaterem. Nie chcesz tu jeszcze zostać i choćby przez chwilę nacieszyć się sławą?

– Nie mam czasu.

– Wrogowie? Wciąż musisz ich ścigać?

– Skąd o tym wiesz?

Leonardo uśmiechnął się.

– Dziękuję, że przyszedłeś się pożegnać – powiedział.

– Zanim odejdę – powiedział Ezio – chciałbym pokazać ci kolejną kartę z Kodeksu.

– Doprawdy? To wspaniała wiadomość! Mogę ją zobaczyć?

– Oczywiście.

Leonardo dokładnie przestudiował dokument.

– Zaczynam powoli rozumieć, o co tu chodzi – rzekł po chwili. – Co prawda nie wiem, co oznacza ten ogólny schemat w tle, ale pismo jest mi znajome. Wygląda na to, że to opis kolejnej broni.

Wstał i przyniósł do stołu stos rozlatujących się ksiąg.

– Zobaczmy... Muszę przyznać, że kimkolwiek był ów wynalazca, wyprzedzał, i to o wiele, swoje czasy. Sama ta mechanika... – stracił wątek,

pograżając się w myślach. – Ach tak! Rozumiem! Ezio, to projekt dodatkowego ostrza – takiego, które będzie mogło współpracować z mechanizmem, który nosisz na ręce, gdybyś chciał użyć go zamiast zwykłego sztyletu.

– Czym się od niego różni?

– Jeśli się nie mylę, to ostrze jest dość paskudne. Jest puste w środku, widzisz? Wykorzystując kanalik biegnący wewnątrz, jego właściciel może wstrzyknąć truciznę do ciała swojej ofiary. Śmierć na miejscu, niezależnie od miejsca ugodzenia! To coś uczyniłoby cię praktycznie niezwyciężonym!

– Mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Ale nasza umowa jest aktualna?

– Oczywiście.

– A więc zgoda. Ile mam czasu?

– Do końca tygodnia? Muszę się przygotować do drogi i... jest tu ktoś, kogo chciałbym jeszcze zobaczyć... żeby się pożegnać. Chciałbym jednak wyruszyć tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Nie dajesz mi zbyt wiele czasu. Dobrze, że mam narzędzia, z których korzystałem przy poprzedniej robocie, no i asystentów z nią obeznanych. Tak więc – czemu nie?

Ezio wykorzystał ten czas na uporządkowanie swoich spraw we Florencji i spakowanie toreb; wysłał też posłańca z listem do Monteriggioni. Przyłapał się na tym, że podświadomie odkładał zadanie, które sam przed sobą postawił, wiedział jednak, że w końcu musi się z nim zmierzyć. Ostatecznie, w przedostatni wieczór swojego pobytu w mieście, wybrał się do rezydencji Calfuccich. Nogi miał jak z ołowiu.

Gdy dotarł na miejsce, zastał zamknięty, ciemny dom. Wiedząc, że zachowuje się jak obłąkany, wspiał się na balkon przy komnacie Cristiny, ale tylko po to, by przekonać się, że jej okno zasłaniają dobrze zaryglowane okiennice. Nasturcje w donicach stojących na balkonie dawno już zwiędły. Gdy schodził ze ściany na ulicę, a robił to wyjątkowo ociężale, poczuł, że

jego serce wypełnia nieopisany smutek. Stał przed drzwiami wejściowymi i stał tak, owładnięty wspomnieniami, tracąc poczucie czasu; ktoś musiał go jednak obserwować, bo po jakimś czasie otworzyło się okno na pierwszej kondygnacji i wychyliła się z niego jakaś kobieta.

– Wyjechali. Signor Calfucci doszedł do wniosku, że nadciągają kłopoty i wywiózł całą swoją rodzinę do Lukki – to stamtąd pochodzi narzeczony jego córki.

– Do Lukki?

– Tak. Podobno rodziny bardzo się do siebie zbliżyły.

– Kiedy powrócą?

– Nie mam pojęcia – powiedziała kobieta i bacznie mu się przyjrzała. – Czy ja cię skądś znam?

– Nie sądzę – odparł Ezio.

W nocy śniła mu się Cristina na przemian z krwawą śmiercią Francesca.

Nazajutrz niebo było zachmurzone, tak jakby chciało dopasować się do nastroju Ezia, który udał się do pracowni Leonarda, myśląc z ulgą o tym, że oto nareszcie nadszedł dzień, kiedy opuści Florencję. Nowe ostrze było już gotowe – wykonano je z matowego, szarego, bardzo twardego stopu stali. Jego krawędzie były tak ostre, że mogły przeciąć rzuconą na nie jedwabną chustkę, otwór zaś tak mały, iż trudno go było w ogóle dostrzec.

– Trucizna znajduje się w rękojeści. Uwalniasz ją napinając rękę tak, by jej mięsień nacisnął dźwignię po jej wewnętrznej stronie. Uważaj, mechanizm jest bardzo czuły.

– Jakiej trucizny powinienem używać?

– Na początek wykorzystalem bardzo silny destylat cykuty. Gdy ci się skończy, poproś o nią pierwszego lepszego lekarza.

– Lekarza? O truciznę?

– Zbyt wysokie stężenie tego, co leczy, może również zabić.

Ezio pokiwał smutno głową.

– Po raz kolejny stałem się twoim dłużnikiem.

– Proszę, oto twoja karta z Kodeksu. Naprawdę musisz tak szybko wyjeżdżać?

– Florencja jest bezpieczna – przynajmniej na razie. Ja jednak wciąż mam zadanie do wykonania.

10

– Ezio! – rozpromienił się Mario; jego broda była bujniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a twarz pokrywała opalenizna od ostrego, tokańskiego słońca. – Witaj w domu!

– Witaj, wuju.

Mario spoważniał.

– Widać, żeś wiele przeszedł od czasu swojego wyjazdu... Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, ale dopiero, gdy się wykąpiesz i odpoczniesz – przerwał. – Tak, doszły nas wieści o tym, co działo się we Florencji. Modliłem się – tak, wyobraź sobie – nawet ja się modliłem, byś wyszedł z tego cało. Tymczasem nie tylko jesteś cały i zdrowy, ale to właśnie ty dałeś odpór Pazzim i wyswobodziłeś od nich miasto. Templariusze znienawidzą cię za to, Ezio.

– To nienawiść, którą w pełni odwzajemniam.

– Odpocznij zatem, a potem mi wszystko opowiedz.

Tego wieczoru obaj mężczyźni zamknęli się w gabinecie Maria. Ten bacznie przysłuchiwał się relacji o wydarzeniach, jakie rozegrały się we Florencji. Ezio zwrócił wujowi kartę z Kodeksu zabraną Vieriemu, a potem dołączył do niej drugą, którą wręczył mu Lorenzo, i zaczął objaśniać projekt ostrza z kanalikiem z trucizną. Jak należało się spodziewać, Mario był pod wrażeniem, ale jego uwagę przykuła bardziej sama karta z Kodeksu.

– Mój przyjaciel nie potrafił odczytać niczego więcej poza opisem broni – powiedział Ezio.

– To dobrze. Nie wszystkie strony zawierają instrukcje dotyczące broni, a tylko takimi powinien interesować się twój przyjaciel – powiedział Mario z wyczuwalną powściągliwością w głosie. – Tak czy owak, dopiero wtedy, gdy wszystkie karty Kodeksu złączą się w całość, zrozumiemy jego

przesłanie. Ta, którą przyniosłeś, w połączeniu z tą od Vieriego, powinna nas jednak posunąć o krok dalej.

Wstał, podszedł do regału, który zakrywał ścianę, na której widniały karty z Kodeksu, i przesunął go. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie powinien umieścić dwie nowe strony. Jedną z nich połączył z wiszącą już wcześniej, druga zaś zetknęła się z nią rogiem.

– To ciekawe, że Vieri i jego ojciec byli w posiadaniu tak blisko sąsiadujących ze sobą stron – powiedział. – Zobaczmy teraz, co... – przerwał, zamyślając się nad czymś. – Hm – powiedział w końcu zatroskanym głosem.

– No i co wuju, czy jesteśmy bliżej rozwiązania?

– Nie jestem pewny. Być może wciąż poruszamy się po omacku, tak jak wcześniej, ale z pewnością znajduje się tu wzmianka o proroku – nie biblijnym, lecz żyjącym obecnie, albo takim, który nadejdzie...

– Któż to może być?

– Nie tak szybko... – Mario wpatrywał się w karty z Kodeksu i poruszał ustami, mamrocząc coś w języku, którego Ezio nie mógł rozpoznać. – Jeśli mam rację, znajduje się tu ustęp, rozpoczynający się od słów, które z grubsza można przetłumaczyć tak: „Jedynie Prorok może otworzyć...”. Tu zaś mamy napisane coś o „dwóch częściach Edenu”, ale co to może znaczyć, tego już nie wiem. Musimy być cierpliwi, aż uda się nam zgromadzić więcej kart Kodeksu.

– Wiem, że Kodeks jest ważny, wuju, ale moje przybycie tutaj wynika z pilniejszej potrzeby niż rozwikłanie jego tajemnicy. Poszukuję renegata, Jacopa Pazziego.

– Po ucieczce z Florencji z pewnością udał się na południe – Mario, zanim zaczął mówić dalej, wahał się przez chwilę. – Nie miałem zamiaru rozmawiać z tobą o tym dziś wieczorem, Ezio, ale sprawa jest dla mnie nagląca, a z tego co widzę, również i dla ciebie, więc musimy czym prędzej rozpocząć przygotowania. Mój stary przyjaciel, Roberto, został odsunięty od

władzy w San Gimignano, a miasto znów stało się bastionem templariuszy. To zbyt blisko Florencji i Monteriggioni, żebyśmy mogli to tak zostawić. Wydaje mi się, że Jacopo właśnie tam mógł znaleźć schronienie.

– Mam tu nazwiska pozostałych spiskowców – powiedział Ezio, wyciągając z torby swoją listę i wręczając ją wujowi.

– Dobrze. Niektórzy z nich mają o wiele słabsze koneksje niż Jacopo, więc łatwo ich będzie wytropić. O brzasku roześlę po okolicy szpiegów; zobaczymy, czy uda się im czegoś dowiedzieć. Tymczasem my musimy przysposobić się do marszu na San Gimignano.

– Oczywiście, przygotuj swoich ludzi, ale ja nie mam czasu do stracenia, jeśli mam pozbyć się tych morderców.

Mario zamyślił się.

– Może masz rację – czasem człowiek w pojedynkę jest w stanie sforsować mury, z którymi nie poradzi sobie cała armia. W dodatku lepiej jest zrobić z nimi porządek teraz, gdy myślą, że póki co są bezpieczni – zastanawiał się przez chwilę. – A zatem dobrze, zgadzam się. Ruszaj i zobacz sam, czego możesz się wywiedzieć. Wiem, że teraz potrafisz już odpowiednio się o siebie zatroszczyć.

– Wuju, dzięki ci!

– Nie tak szybko, Ezio. Pozwalam ci na ten samotny wypad, ale pod jednym warunkiem.

– Czyli?

– Wyruszysz za tydzień.

– Za tydzień?!

– Jeśli masz sobie dać radę sam, bez żadnego wsparcia, będziesz potrzebował czegoś więcej, niż tylko broni z Kodeksu. Jesteś już dojrzałym mężczyzną, odważnym wojownikiem w służbie asasynów. Lecz twoja reputacja sprawia, że templariusze jeszcze bardziej pragną twojej krwi, a ja wiem, że pewnych umiejętności wyraźnie ci jeszcze brakuje.

Ezio pokręcił w zniecierpliwieniu głową.

– Nie... Wuju, wybacz, ale tydzień?!...

Tego było już za wiele. Mario zmarszczył brwi, ale głos podniósł tylko nieznacznie.

– Słyszałem o tobie rzeczy dobre, Ezio, ale słyszałem też złe. Zabijając Francesca na chwilę straciłeś nad sobą panowanie. Pozwoliłeś, by twoje uczucie do Cristiny zepchnęło cię na chwilę z obranej ścieżki. Twoim jedynym obowiązkiem jest ten zapisany w Credo, a jeśli dopuścisz się zaniedbań, być może nie zaznasz już na tym świecie radości – chwycił go za ramiona i przyciągnął do siebie. – Gdy nakazuję ci posłuszeństwo, przemawiam do ciebie głosem twego ojca!

Ezio czuł, że autorytet wuja, w miarę jak mówił, rósł i dominował nad jego własną wolą. Z przykrością musiał przyznać, że to, co usłyszał, było prawdą. Z goryczą spuścił głowę.

– A więc dobrze – powiedział Mario, życzliwszym już głosem. – Zobaczysz, jeszcze mi za to podziękujesz – dodał. – Twoje nowe ćwiczenia rozpoczynają się jutro o świcie. I pamiętaj – wszystko zależy od dobrego przygotowania!

Tydzień później, uzbrojony i przeszkolony, Ezio wyjechał w kierunku San Gimignano. Mario nakazał mu odszukać jeden z patroli swoich *condottieri*, którzy z daleka obserwowali przybywających i opuszczających miasto, i tak Ezio spędził pierwszą noc poza Monteriggioni w jednym z ich obozowisk.

Dowódca oddziału, twardy, okaleczony w walce, dwudziestopięcioletni mężczyzna o imieniu Gambalto, poczęstował Ezia grubą pajdą chleba z *pecorino* i kubkiem ciężkiego *vernaccia*, i gdy ten się zajadał, przekazywał mu wieści.

– Wydaje mi się, że najgorsze, co mógł zrobić Antonio Maffei, to ruszać się z Volterry. Ma jakiś głęboki uraz do Lorenza i sądzi, że księżę zniszczył jego miasto, tymczasem to nie tak. Medici po prostu wziął Volterrę pod skrzydła Florencji. Tymczasem Maffei odszedł od zmysłów. Wyszedł na sam szczyt katedralnej wieży, otoczył się łucznikami Pazzich i każdego dnia

zasypuje miasto cytatami z Pisma i strzałami, mniej więcej pół na pół. Bóg jeden wie, co chce tym osiągnąć – nawrócić mieszkańców swoimi kazaniami i przeciągnąć ich na swoją stronę czy może wybić ich wszystkich... Lud San Gimignano pała do niego nienawiścią, ale jak długo będzie siał terror, miasto będzie wobec niego bezsilne.

– Trzeba go więc unieszkodliwić.

– O tak, to z pewnością osłabiłoby pozycję Pazzich w mieście.

– Jak silną mają obronę?

– Mnóstwo ludzi na strażnicach i przy bramach. Straże zmieniają się o świcie. Wtedy ktoś taki jak ty mógłby przejść przez mury i niezauważony przedostać się do miasta.

Ezio zamyślił się na chwilę, zastanawiając się, czy sprawa Maffeiego nie odciągnie go nazbyt od prawdziwego celu misji – wytropienia i schwytania Jacopa, ale doszedł do wniosku, że musi spojrzeć na to wszystko nieco szerzej. Maffei był przecież sprzymierzeńcem Pazzich i obowiązkiem Ezia jako asasyna było zdjąć tego szaleńca.

Nazajutrz o świcie wyjątkowo spostrzegawczy mieszkańcy San Gimignano mogli dostrzec zakapturzonego, szczupłego mężczyznę o szarych oczach, przemykającego ulicami miasta, prowadzącymi do placu przed katedrą. Kupcy rozstawiali już co prawda swoje stragany, ale, jako że pora dnia była ciężka, strażnicy, znudzeni i zmęczeni, drzemali wsparci na halabardach. Zachodnia ściana dzwonnicy wciąż była pogrążona w cieniu, nikt zatem nie zauważył odzianej w czerń sylwetki wspinającej się po niej z łatwością i zwinnością pająka.

Antonio Maffei, wymizerowany, z głęboko zapadniętymi oczodołami i zszarganymi włosami, zajął już swoją pozycję. Czwórka zmęczonych kuszników również znalazła się na swoich miejscach – po jednym na każdym z narożników wieży. Ksiądz, trzymając kurczowo Biblię w swej lewej dłoni, w prawej dzierżył sztylet, tak jakby nie ufał im w pełni. Już przemawiał. Ezio zaczął rozumieć jego słowa dopiero, gdy zbliżył się do szczytu wieży.

– Mieszkańcy San Gimignano, pomnijcie na moje słowa! Wzbudźcie w sobie żal za grzechy! Musicie żałować! I prosić o przebaczenie... Złączcie się ze mną w modlitwie, me dziatki, byśmy razem mogli stawić czoła ciemności, jaka okryła naszą umiłowaną Toskanię! Słuchajcie mego wołania! Ziemi, usłysz słowa z ust moich. Niechaj nauka z nich płynąca spadnie na ciebie jak deszcz życiodajny, niech mowa moja stanie się jak rosa, jak krople rosy na liściach delikatnych ziół i traw. Sławię bowiem imię Pana. Jest Skałą! Dzieła Jego są doskonałe, a wyroki sprawiedliwe. Prawy jest On i miłosierny, lecz ci, którzy zepsuciu ulegli, ci nie są dziećmi Jego – są nieczyści, przewrotni i podli. Mieszkańcy San Gimignano, czy zatem macie Boga w waszych myślach? O głupi, o nieroztropni! Czyż nie jest on waszym Ojcem, który powołał was do życia? Niechaj blask Jego miłosierdzia oczyści wasze serca!

Ezio przeskoczył zwinnie nad gzymsem wieży i zajął pozycję za włazem w podłozę, za którym znajdowały się schody. Kuznicy chcieli wycelować w niego swą broń, ale odległość była zbyt bliska, a on działał z zaskoczenia. Przykucnął i pociągnął za obcasy jednego z nich, przewracając go; ten przeleciał przez gzymś i spadł z jękiem w objęcia śmierci, czekającej na niego na bruku dwieście stóp poniżej. Zanim zareagowali pozostali, rzucił się na drugiego z nich, dźgając go w ramię. Mężczyzna spojrział ze zdziwieniem na małą ranę, ale prawie natychmiast zbladł i osunął się na ziemię, jakby w jednej chwili uszło z niego całe życie. Ezio skorzystał ze swojego nowego sztyletu z trucizną – nie miał czasu na zwykłą walkę na śmierć i życie. Potem odwrócił się do trzeciego z kuzników, który rzucił swoją broń i usiłował dostać się na schody, wymijając go. Gdy już na nie wszedł, Ezio kopnął go w plecy, a ten spadł głową ku dołowi; słychać było, jak łamie sobie kości, przelatując przez kolejne stopnie. Ostatni z kuzników podniósł ręce do góry i coś wymamrotał. Ezio opuścił nieco wzrok i zauważył, że mężczyzna ze strachu zmoczył się w spodnie. Podszedł do niego i kłaniając się ironicznie, wskazał drogę schodami w dół, którą przebył przed chwilą jego połamany

obecnie kompan.

Potem poczuł mocne uderzenie w kark ciężką, stalową rękojeścią sztyletu. Maffei otrząsnął się właśnie z szoku, jaki wywołał u niego nagły atak Ezia, i natarł na niego od tyłu. Ezio zatoczył się, przestępując naprzód.

– Na kolana, grzeszniku – krzyknął ksiądz, aż w kącikach jego ust pojawiła się piana. – Błagaj o przebaczenie!

„Dlaczego ludzie marnują tyle czasu na takie głupie gadanie?” – pomyślał Ezio, który w czasie, gdy Maffei krzyczał, zdążył się pozbierać.

Mężczyźni na niewielkiej powierzchni szczytu wieży zaczęli się nawzajem okrążyć. Maffei próbował pchnąć lub rozciąć Ezia swym ciężkim sztyletem. Widać było wyraźnie, że nie jest zaprawiony w walce, ale determinacja i fanatyzm czyniły z niego bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Ezio musiał robić uniki przed jego chaotycznie błędzącym ostrzem, sam nie mogąc przez to zadać żadnego ciosu. W końcu zdołał chwycić księdza za nadgarstek i przyciągnąć go do siebie tak, że zwały się ich torsy.

– Pośle cię skomlącego do piekieł – warknął Maffei.

– Okaż choć trochę szacunku śmierci, przyjacielu – odparł Ezio.

– Zaraz ci pokażę, jaki żywię do ciebie szacunek!

– Poddaj się! Dam ci czas, byś mógł się pomodlić.

Maffei splunął w oczy Ezia, a ten odruchowo go wypuścił. Potem, z krzykiem na ustach, chciał zatopić swój sztylet w lewym przedramieniu Ezia, lecz ostrze, nie czyniąc mu żadnej szkody, ześlizgnęło się na bok, odchylone przez metal w ochroniaczu.

– Jakież to demony mają cię w swojej opiece? – syknął przez zęby.

– Za dużo gadasz – powiedział Ezio, nakłuwając swoim sztyletem szyję kapłana i napinając jednocześnie mięśnie przedramienia.

Gdy tylko trucizna po przepłynięciu przez ostrze dostała się do tętnicy szyjnej Maffeiego, ten zeszywniał i otworzył usta; jednak nie zdążył wydobyć z nich nic poza cuchnącym oddechem. Potem odepchnął Ezia, zatoczył się do tyłu, zatrzymując się na balustradzie. Na krótką chwilę

znieruchomiał, po czym przewrócił się na twarz, prosto w objęcia śmierci.

Ezio pochylił się nad ciałem Maffeiego. Z jego sutanny wydobył list, który otworzył i szybko przeczytał.

Ojcze,

piszę to z lękiem w sercu. Przybył Prorok. Czuję to. Nawet ptaki nie zachowują się jak zwykle. Latają chaotycznie, jakby bez celu. Widzę je z mojej wieży. Nie przybędę na nasze spotkanie jak żądałeś, nie mogę bowiem pokazywać się publicznie – obawiam się, że Demon mógłby mnie wtedy znaleźć. Wybacz, lecz muszę zważyć na to, co mówi mi mój wewnętrzny głos. Niech wiedzie cię Ojciec Zrozumienia. Nich wiedzie również i mnie.

Brat A.

Gambalto miał rację – pomyślał Ezio – ten człowiek faktycznie postradał rozum. Przypominał sobie napomnienia wuja, spochmurniał i zamknął powieki kapłana, mówiąc:

– Requiescat in pace.

Zdawał sobie sprawę, że kusznik, któremu okazał litość, mógł wzniecić alarm, ale gdy wychylił się przez balustradę i omiół wzrokiem plac na dole, nie spostrzegł nic, co mogłoby wzbudzić jego niepokój. Strażnicy Pazzich wciąż drzemali na posterunku, a kupcy otworzyli już swoje stragany i obsługiwali nielicznych na razie klientów. Całkiem możliwe, że kusznik ów był już daleko za miastem w drodze do domu, woląc dopuścić się dezercji, niż stanąć przed sądem wojennym i być może zostać poddanym torturom. Ezio wsunął ostrze z powrotem do szczeliny w mechanizmie na przedramieniu, dbając o to, by dotykać je wyłącznie przez rękawicę, po czym zszedł po schodach wewnątrz wieży. Słońce było już wysoko, a to sprawiało, że schodząc po jej ścianie, łatwo przyciągałby uwagę.

Gdy znowu dołączył do oddziału najemników Maria, Gambalto powitał go podekscytowany.

– Twoja obecność przynosi nam szczęście! – powiedział. – Nasi zwiadowcy wytropili właśnie arcybiskupa Salviatego.

– Gdzie?

– Niedaleko stąd. Widzisz ten dom, tam, na wzgórzu?

– Widzę.

– Właśnie tam się ukrywa – powiedział Gambalto, po czym przypomniał sobie, skąd wrócił Ezio. – Ale, ale... *Capitano*, najpierw musisz mi powiedzieć, jak ci poszło w mieście.

– Nie zabrzmiał tam już głoszone z wieży kazania nienawiści.

– Lud będzie cię błogosławił, *capitano*.

– Nie jestem kapitanem.

– Dla nas nim jesteś – powiedział wprost Gambalto. – Weź ze sobą kilku ludzi. Salviati jest starannie strzeżony, a jego dom to stara, ufortyfikowana budowla.

– Zgoda – powiedział Ezio. – Dobrze, że jajka są tak blisko siebie, prawie wszystkie w jednym gnieździe.

– Inni też nie mogą być daleko stąd, Ezio. Spróbujemy ich wysledzić podczas twojej nieobecności.

Ezio wybrał dwunastu najlepiej walczących wręcz ludzi Gambalta i poprowadził ich przez pola oddzielające obozowisko od domu, w którym Salviati znalazł schronienie. Następnie nakazał im, by rozsypali się wachlarzem, ale tak, żeby mogli się nawzajem słyszeć. W ten sposób zneutralizowali lub ominęli większość żołnierzy Pazzich, wystawionych przez Salviatiego. Mimo to Ezio przy podejściu stracił dwóch ludzi.

Miał nadzieję, że uda mu się zająć rezydencję Salviatiego z zaskoczenia, zanim przebywające w niej osoby zorientują się, że ją zaatakowano, ale kiedy wraz ze swoimi ludźmi podszedł pod ciężkie, masywne wrota, na murze ponad nimi pojawił się odziany w biskupie szaty mężczyzna. Jego kościste ręce chwyciły kurczowo parapet fortyfikacji, sępia twarz rzuciła szybkie spojrzenie w dół, po czym zniknął.

– To Salviati – powiedział do siebie Ezio.

Przy bramie nie rozstawiono żadnych straży. Ezio skinął na swoich ludzi, by stanęli jak najbliżej muru, co gwarantowało uniknięcie strzał łuczników.

Bez wątpienia Salviati zgrupował całą swoją straż wewnątrz murów, które przez swoją wysokość i grubość wydawały się nie do sforsowania. Ezio zastanawiał się, czy po raz kolejny nie powinien spróbować wspiąć się i zejść po drugiej stronie muru, a potem otworzyć od środka bramę i wpuścić przez nią swój oddział, wiedział jednak, że strażnicy Pazzich na pewno zostali już uprzedzeni o jego obecności.

Dając znak swoim ludziom, by pozostali poza widokiem, przywierając do muru, sam, skulony w przysiadzie, przeszedł w wysokiej trawie krótką odległość, jaka dzieliła go od ciała jednego z zabitych wrogów. Szybko zdarł z mężczyzny jego uniform i przywdział go na siebie, swoje własne ubranie zwijając pod ramię.

Powrócił do swoich ludzi, którzy najpierw zjeżyli się, widząc nadchodzącego żołnierza Pazzich, i przekazał im swoje odzienie. Potem zastukał w skrzydło bramy rękojęścią swojego miecza.

– Otwórzcie – zawołał. – W imię Ojca Zrozumienia.

Mijała pełna napięcia minuta. Ezio cofnął się o krok, by można go było dojrzeć z murów. Chwilę potem jego uszu dobiegł odgłos zwalnianych rygli.

Gdy tylko uchyliły się skrzydła bramy, Ezio wraz ze swoim oddziałem rzucili się na nie, popychając je do środka i przewracając stojących za nimi strażników. Wbiegli na dziedziniec, który od trzech stron okalały ściany budynku. Salviati stał na szczycie schodów znajdujących się pośrodku głównego skrzydła. Oddzielał go od Ezia tuzin krzepkich, uzbrojonych po zęby mężczyzn. Pozostali znajdowali się na dziedzińcu.

– Podłe oszustwo! – zawołał arcybiskup. – Nie wyjdziecie już stąd tak łatwo, jak weszliście! – podniósł głos, nadając mu władczy ton: – Zabić ich! Wszystkich!

Gwardziści Pazzich zaczęli się zbliżać, osaczając oddział Ezia. Nie ćwiczyli jednak pod okiem takiego nauczyciela, jak Mario Auditore, i mimo niesprzyjającego położenia, *condottieri* Ezia nawiązali z nimi ostrą walkę. Ezio wystrzelił tymczasem w kierunku schodów. Wysunął swe trujące ostrze

i ciął strażników z eskorty Saviatiego. Nieważne, gdzie trafiał; po każdym cięciu, które dobywało krew, choćby i z policzka, zraniony napastnik umierał w mgnieniu oka.

– Demon, diabelskie nasienie – z czwartej strefy dziewiątego kręgu piekieł – drżącym głosem powiedział Salviati, gdy w końcu stanął oko w oko z Ezim.

Ten schował swój sztylet z trucizną, a dobył zwykłego. Chwycił Saltviatiego za kołnierz jego szaty i przystawił mu ostrze do szyi.

– Templariusze odeszli od chrześcijaństwa, gdy odkryli bankowość – powiedział spokojnie. – Czyżbyś nie znał, panie, słów z głoszonej przez was Ewangelii? „Nie możecie służyć Bogu i mamonie”. Teraz jednak możesz odkupić swoją duszę. Powiedz mi, panie, gdzie ukrywa się Jacopo?

Salviati spojrzał na niego wyzywająco.

– Nigdy go nie znajdziesz!

Ezio przesunął ostrze wokół szyi arcybiskupa delikatnym, lecz pewnym ruchem, nacinając ją płytko.

– Musisz postarać się lepiej, *Arcivescovo*.

– Noc czuwa nad nami, gdy się widzimy... A teraz racz uczynić to, co zamierzasz.

– Rozumiem, czaicie się w ciemności, jak zwykli mordercy. Dzięki ci, panie, za potwierdzenie. Zapytam cię jednak raz jeszcze: gdzie?

– Ojciec Zrozumienia wie, że to, co robię, czynię dla większego dobra – rzekł chłodno Salviati i chwyciwszy znienacka za nadgarstek Ezia obiema rękami, sam zatopił ostrze sztyletu głęboko w swoim gardle.

– Powiedz! – zawył Ezio, lecz arcybiskup z bulgoczącą na ustach krwią leżał już u jego stóp, a jego wspaniałe, żółto-białe szaty zakwitły intensywnym szkarłatem.

Musiąco upłynąć kilka miesięcy zanim do Ezia dotarły kolejne wieści o spiskowcach, których ścigał. Przez cały ten czas obmyślał z Mariem plan odbicia San Gimignano i wyzwolenia jego mieszkańców spod okrutnego

jarzma templariuszy. Ci jednak wyciągneli srogą nauczkę z ostatniego starcia i trzymali miasto w żelaznym uścisku. Zdając sobie sprawę, że również i templariusze będą poszukiwać brakujących kart Kodeksu, Ezio robił wszystko, co w jego mocy, by je odnaleźć. Bezskutecznie.

Karty pozostające w posiadaniu asasynów były dobrze zabezpieczone – starannie strzegł ich sam Mario, zdając sobie sprawę, że bez nich templariusze nigdy nie będą mogli poznać tajemnicy Credo.

Pewnego dnia do Monteriggioni przybył konno posłaniec z Florencji, przywożąc Eziowi list od Leonarda. Ezio od razu sięgnął po lustro, znał bowiem dobrze zwyczaje swojego leworęcznego przyjaciela – wszystko pisał wspak, choć jego pełne zawijasów bazgroły byłyby trudne do odcyfrowania dla najbardziej wprawnego czytelnika, nawet gdyby nie stosował tej metody.

Ezio złamał pieczęć i zaczął czytać, a z wersu na wers rosło mu serce:

Gentile Ezio,

książę Lorenzo poprosił mnie, bym przekazał ci wieści – na temat Bernarda Baroncella! Wygląda na to, że udało mu się wsiąść na statek do Wenecji, skąd udał się incognito i w tajemnicy do Konstantynopola na dwór tureckiego sułtana z nadzieją, że tam będzie mógł się schronić. W Wenecji nie zatrzymał się nawet na chwilę, nie dowiedział się więc, że Wenecjanie podpisali niedawno pakt pokojowy z Turkami – wysłali nawet do nich swojego drugiego najlepszego malarza, Gentila Belliniego, by namalował portret sułtana Mehmeta. Tak więc gdy Barnardo zawitał na miejsce, jego tożsamość wydała się i aresztowano go.

Możesz chyba sobie wyobrazić, jakie listy zaczęły wymieniać ze sobą Wysoka Porta i Wenecja! Ale Wenecjanie są naszymi sojusznikami – przynajmniej obecnie – a książę Lorenzo to istnym mistrz dyplomacji. Baroncelli został więc odesłany w łańcuchach do Florencji, a gdy się już tu znalazł, zaczęto go przesłuchiwać. Był jednak albo uparty, albo głupi, albo wyjątkowo dzielny – sam już nie wiem – wytrzymał bowiem łamanie kołem, rozgrzane do białości szczypcę, chłostę i szczury, które kąsały mu stopy;

powiedział nam tylko, że spiskowcy spotykali się nocą w starej krypcie pod kościołem Santa Maria Novella. Oczywiście miejsce to zostało przeszukane, ale nic tam nie znaleziono. Baroncelli zawisł na szubienicy. Naszkicowałem dość udatnie tę scenę, pokażę ci przy naszym najbliższym spotkaniu. Wydaje mi się, że z punktu widzenia anatomii mój rysunek naprawdę jest całkiem udany.

Distinti saluti

Twój przyjaciel

Leonardo da Vinci

– Dobrze, że Baroncelli już nie żyje – skomentował list Mario. – To typ, który bez skrupułów okradłby własną matkę. Szkoda tylko, że nie posunęliśmy się ani o krok i nadal nie wiemy, co knują templariusze, ani gdzie ukrywa się Jacopo.

Ezio znalazł chwilę czasu, by odwiedzić matkę i siostrę, które spędzały swoje dni w zaciszu klasztornych murów pod opieką życzliwej przeoryszy. Maria, jak stwierdził Ezio ze smutkiem, była w stanie, który nie wróżył już dalszej poprawy. Jej włosy przedwcześnie posiwiały, a w kącikach oczu zaczęły rysować się głębokie zmarszczki, ale przynajmniej osiągnęła wewnętrzny spokój. Gdy mówiła o nieżyjącym mężu i synach, z jej głosu przebijała duma i czułość. Tylko widok drewnianego pudełka z orlimi piórami od małego Petruccia, które trzymała na swoim nocnym stoliku, wciąż napełniał jej oczy łzami. Claudia zaś była już *novizią* i mimo że Ezio uważał tę decyzję za zmarnowanie jej piękna i charakteru, przyznał sam przed sobą, że jej twarz promieniała, co sprawiło, że pogodził się z jej wyborem i cieszył się z jej szczęścia. Odwiedził je raz jeszcze w święta Bożego Narodzenia, a od nowego roku znów podjął swoje ćwiczenia, choć wewnątrz aż kipiał z niecierpliwości. By temu zaradzić, Mario uczynił go zastępcą głównodowodzącego na swoim zamku, co pozwoliło Eziowi wysyłać swoich własnych szpiegów i zwiadowców w poszukiwaniu zwierzyny łownej, którą nieustępliwie ścigał.

W końcu nadeszły wieści. Pewnego wiosennego poranka w drzwiach komnaty z mapami, gdzie Mario i Ezio byli pogrążeni w dyskusji, pojawił się Gambalto. Oczy aż mu się skrzyły.

– *Signori!* Odnaleźliśmy Stefana Bagnonego! Schronił się w opactwie zaledwie kilkanaście mil na południe. Przez cały ten czas mieliśmy go pod własnym nosem!

– Trzymają się razem jak psy w sforze – warknął Mario, przesuając swoim grubymi, spracowanymi palcami po mapie leżącej przed nim, a potem spojrzał na Ezia. – On zaś jest psem na smyczy. To sekretarz Jacopa! Jeśli nie uda nam się czegoś z niego wycisnąć, to...

Lecz Ezio wydał już rozkaz, by siodłać i sposobić jego konia, a sam udał się do swojej komnaty, gdzie przypiął do przedramion broń z Kodeksu, zakładając tym razem w miejsce sztyletu z trucizną zwykłe ostrze. Zastąpił destylat z cykuty Leonarda wyciągiem z lulka czarnego, tak jak doradził mu miejscowy lekarz. Woreczek z trucizną przy rękonożności znów był pełny. Ezio zdecydował, że z tego ostrza będzie korzystał tylko w wyjątkowych sytuacjach – zawsze istniało niebezpieczeństwo zaaplikowania samemu sobie śmiertelnej dawki. Z tego właśnie powodu oraz przez to, że jego palce pokryte już były licznymi małymi zadrażnieniami, Ezio postanowił, że niezależnie od wykorzystywanego ostrza, będzie nosił miękkie, choć jednocześnie grube i wytrzymałe skórzane rękawice.

Opactwo znajdowało się nieopodal Monticiano, małego miasteczka ze starym zamkiem wznoszącym się dumnie na wzgórzu. Mieściło się w oświetlonej słońcem kotlinie o łagodnych zboczach, porośniętych gęsto cyprysami. Budynek opactwa był względnie nowy – miał może ze sto lat, a wybudowano go z drogiego, sprowadzanego z zagranicy piaskowca; okalał swoimi murami rozległy dziedziniec z kościołem pośrodku.

Bramy opactwa były otwarte na oścież, a zakonnicy w ochrowych habitach pracowali na polach i w sadach, rozciągających się za murami, i w winnicy położonej nad opactwem. Pochodzące z niej wino było przednie i znane –

Mario twierdził, że wysyłano je nawet do Paryża.

Ezio zostawił swojego konia u stajennego przy gospodzie, w której przenocował, podając się za książęcego posłańca, a w drodze do opactwa przywdział przygotowany jeszcze w Monteriggioni mnisi habit.

Wkrótce po znalezieniu się na miejscu spostrzegł Stefana pogrążonego w rozmowie z miejscowym *hospitariusem*, korpulentnym mnichem, który swoim wyglądem przypominał jedną z winnych beczek, najwyraźniej nazbyt często przez niego opróżnianych. Eziowi udało się podejść na tyle blisko, że był w stanie słyszeć, co mówią ci dwaj, a przy tym pozostał w ukryciu.

– Módlmy się, bracie – powiedział mnich.

– Modlić się? – zapytał Stefano, którego czarny strój żywo kontrastował z ciepłymi, słonecznymi barwami wokół; wyglądał niczym pająk na naleśniku. – A niby o co? – dodał ironicznie.

– O opiekę Pana naszego... – odpowiedział zaskoczony mnich.

– Jeśli wydaje ci się, bracie Girolamo, że nasz Pan ma jakikolwiek wpływ na nasze sprawy, grubo się mylisz. Ale oczywiście, proszę bardzo, nie ustawaj w życiu urojeniami, jeśli pozwala ci to zabijać czas.

Brat Girolamo był już zupełnie zszokowany.

– To, co mówisz, to bluźnierstwo!

– Nie. To prawda.

– Ale przeczyć Jego niewysłowionej obecności...

– ...jest jedyną racjonalną reakcją na proklamowanie istnienia jakiegoś szaleńca wysoko w niebie. Bo, wierz mi, jeśli nasza wspaniała Biblia może cokolwiek o Nim powiedzieć, to chyba tylko to, że zupełnie postradał rozum.

– Jak możesz tak mówić?! Przecież sam jesteś księdzem.

– Jestem administratorem. Korzystam z tego kapłańskiego odzienia, by znaleźć się jak najbliżej Medicich, by w odpowiednim momencie podciąć im kolana, w służbie mojemu prawdziwemu Mistrzowi. Najpierw jednak musimy uporać się z tym asasynem, Eziem. Już zbyt długo jest nam solą w oku. Musimy go w końcu wyeliminować.

– Tu masz rację. To diabeł wcielony!

– No proszę – powiedział Stefano z nieszczerym uśmiechem na ustach. – W końcu się w jakieś sprawie zgadzamy.

Girolamo ściszył głos.

– Mówią, że nadludzką szybkość i siłę zawdzięcza samemu szatanowi...

Stefano spojrzał na niego pełnym szyderczego zdziwienia wzrokiem.

– Szatanowi? Nie, mój przyjacielu. Te dary Ezio zawdzięcza sam sobie – wszystko to osiągnął dzięki wyczerpującemu, wieloletniemu treningowi – przerwał i pochylił swoje wychudłe ciało, zastanawiając się nad czymś. – Wiesz co, Girolamo... Zaczyna mnie irytować, że tak niechętnie obarczasz ludzi odpowiedzialnością za sytuację, w jakiej się znaleźli. Wydaje mi się, że gdybyś mógł, wszystkich na świecie uczyniłbyś ofiarami.

– Przebaczam ci twój brak wiary i dwulicowość – powiedział nabożnie Girolamo. – Mimo wszystko wciąż jesteś dzieckiem bożym.

– Mówiłem ci przecież, że... – zaczął Stefano szorstkim głosem, rozłożył jednak ręce i poddał się. – A zresztą, jaki to ma sens? Wystarczy! Mówić do ciebie to jak tłuc grochem o ścianę.

– Będę się za ciebie modlił.

– Jak chcesz. Byle cicho. Trzeba zachować czujność. Dopóki nie zabijemy i nie pogrzebiemy tego asasyna, żaden z templariuszy ani na chwilę nie będzie mógł poczuć się bezpiecznie.

Rozległo się bicie dzwonu, wzywające zakonników na nabożeństwo do kościoła, w którym wkrótce zgromadzili się wszyscy. Mnich pokłonił się i wycofał, a Stefano pozostał sam. Ezio wyłonił się z cienia jak jakaś zjawa. Słońce padało na dziedziniec swoim ciężkim, spokojnym, południowym blaskiem. Stefano, jak kruk, przemierzał sztywnym krokiem w tę i z powrotem odcinek wzdłuż północnej ściany. Był niespokojny, niecierpliwy, wręcz opętany.

Gdy zobaczył Ezia, nie wydawał się być ani trochę zaskoczony.

– Jestem nieuzbrojony – powiedział spokojnie. – Walczę siłą umysłu.

– Skorzystasz z niej tylko wtedy, gdy przeżyjesz. Potrafisz się obronić?
– Zabiłbyś mnie z zimną krwią?
– Zabiję cię, gdyż twoja śmierć to konieczność.
– Dobra odpowiedź! Nie myślisz jednak, że wiem o czymś, co mogłoby ci się przydać?

– Wiem przecież, że nie ugiąłbyś się pod żadną torturą.

Stefano spojrział na Ezia badawczo.

– Biorę to za komplement, choć sam nie jestem tego taki pewny. Tak czy inaczej, znaczenie tej tezy jest wyłącznie akademickie – przerwał, by po chwili ciągnąć swoim cienkim głosem. – Zaprzepaściłeś swoją szansę, Ezio. Kości zostały rzucone. Sprawa asasynów jest przegrana. Wiem, że zabijesz mnie niezależnie od tego, co zrobię i co powiem, i że zapewne jeszcze przed południem będę martwy. Msza się skończyła, lecz moja śmierć nic ci nie da. Templariusze trzymają cię w szachu. Niedługo będzie to szach-mat!

– Tego nie możesz być pewny.

– Za chwilę spotkam się ze swoim Stwórcą – jeśli w ogóle istnieje. Całkiem odkrywcze doznanie – nareszcie się tego dowiedzieć. Dlaczegoż zatem miałbym kłamać?

Ezio wysunął swój sztylet.

– Jakie to zmyślne! – skomentował ironicznie Stefano. – Czego to ludzie nie wymyślą!

– Odkup swoje winy – powiedział Ezio. – Powiedz mi, co wiesz.

– A cóż chciałbyś wiedzieć? Gdzie przebywa mój pan, Jacopo? – uśmiechnął się Stefano. – Nie ma sprawy. Już wkrótce spotka się z naszymi sprzymierzeńcami nocą, w cieniu rzymskich bogów... – tu przerwał, by zaraz dodać: – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony, bo nie istnieje nic, co mógłbyś zrobić, by wyciągnąć ode mnie coś więcej. W dodatku to i tak bez znaczenia, bo dobrze wiem, że jesteś spóźniony. Żałuję tylko, że nie będę świadkiem twojej zguby. Choć... kto wie? Może faktycznie istnieje życie po śmierci i będę mógł patrzeć na twój koniec. Jeśli zaś chodzi o terażniejszość, to

proszę, miejmy to już za sobą.

Znów odezwał się dzwon opactwa. Ezio miał mało czasu.

– Wydaje mi się, że mógłbyś mnie sporo nauczyć – powiedział.

Stefano spojrział na niego z wyraźnym smutkiem.

– Nie na tym świecie – powiedział i odsłonił szyję. – Zrób mi przysługę i wyślij mnie szybko w mroki nocy.

Ezio pchnął raz, głęboko, ze śmiercionością precyzją.

– Na południowy zachód od San Gimignano znajdują się ruiny świątyni Mitry – powiedział w zamyśleniu Mario po powrocie Ezia. – To jedyne rzymskie ruiny w promieniu wielu mil stąd, z których coś jeszcze zostało. Mówisz, że powiedział o cieniu rzymskich bogów?

– Właśnie tak.

– I że to tam mają spotkać się wkrótce templariusze?

– Tak.

– W takim razie nie możemy tego przegapić. Od dzisiejszej nocy stawiamy tam wartę.

Ezio wyglądał na przybitego.

– Bagnone powiedział mi, że już za późno, by ich zatrzymać.

– Zatem pozostaje nam udowodnić, że się mylił – powiedział uśmiechając się szeroko Mario.

Nadszedł trzeci dzień czuwania. Mario powrócił do Monteriggioni, by dalej obmyślać plan odbicia San Gimignano z rąk templariuszy, zostawiając na miejscu Ezia z pięcioma zaufanymi ludźmi, pośród których był również Gambalto. Czuwali w lesie, który okalał stojące samotnie w polu, zupełnie opuszczone ruiny świątyni Mitry. Sama świątynia, sądząc po tym, co z niej pozostało, była kiedyś wielkim kompleksem budowli, wznoszonym przez wieki, którego ostatnim mieszkańcem rzeczywiście musiał być Mitra, bóg obrany przez rzymską armię za patrona. Były tu jednak i inne, starsze kaplice, poświęcone kiedyś Minerwie, Wenus i Merkuremu. W skład kompleksu wchodził też teatr, którego scena przetrwała w całości; otaczały ją

zniszczone półokręgi amfiteatralnych kamiennych ławek, obecnie schronienie skorpionów i myszy, zamknięte od tyłu niszczącym murem, zwieńczonym poutrącanymi kolumnami, na których sowy uwiły swoje gniazda. Po wszystkich ścianach piął się bluszcz, a nieustępliwa budleja torowała sobie drogę przez pęknięcia, jakie wcześniej zrobiła w rozpadającym się, upstrzonym plamkami marmurze. Na całość padało trupio blade światło księżycy i mimo iż przywykli już do starć ze śmiertelnymi wrogami, dwóch ludzi z oddziału Ezia wyraźnie się denerwowało.

Ezio obiecał sobie, że będą obserwowali ruiny przez tydzień, wiedział jednak, że przez tak długi czas trudno im będzie zachować zimną krew – wyczuwało się tu bowiem ewidentną obecność duchów z pogańskiej przeszłości. Gdy zbliżała się już północ, a asasynów od pozostawiania w bezruchu bolały nogi i ręce, ich uszu dobiegł cichy dźwięk pobrzękiwania uprzęży. Ezio wraz ze swoimi towarzyszami stanęli w pełnej gotowości. Wkrótce potem przez ruiny przejechał oddział żołnierzy z zapalonymi pochodniami. Zmierzali w kierunku ruin teatru, a na ich czele stali trzej mężczyźni. Ezio wraz ze swoimi *condottieri* po chwili podążył ich śladem.

Mężczyźni zsiadli z koni i uformowali obronny okrąg wokół swoich dowódców. Ezio, który nie spuszczał z nich oka, z tryumfem na twarzy rozpoznał człowieka, którego już od tak dawna poszukiwał. Jacopo Pazzi. Miał teraz siwą brodę i sprawiał wrażenie udręczonego upływem lat starca. Jednego z towarzyszących mu mężczyzn Ezio sobie nie przypominał, natomiast sylwetka drugiego była mu dobrze znana – ten haczykowany nos i szkarłatny kaptur – to nie mógł być nikt inny, jak tylko Rodrigo Borgia! Z ponurym wyrazem twarzy Ezio wsunął ostrze z trucizną do mechanizmu na swoim prawym przedramieniu.

– Dobrze wiecie, z jakiego powodu zwołałem to spotkanie – zaczął Rodrigo. – Dałem ci czasu więcej niż trzeba, Jacopo. Wciąż masz jednak szansę się zrehabilitować.

– Przykro mi, *commendatore*. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Osaczyli mnie asasyni!

– Nie odzyskałeś dla nas Florencji.

Jacopo spuścił głowę.

– Nie byłeś nawet w stanie pozbyć się tego młodego Auditore, a to przecież zwykły szczeniak! Za każdym razem, gdy odnosi nad nami zwycięstwo, staje się coraz bardziej niebezpieczny.

– To wina Francesca – wybełkotał Jacopo. – Jego porywczosć odebrała mu rozum. Ja... Ja usiłowałem być w tym wszystkim głosem rozsądku...

– Raczej głosem tchórzostwa – wtrącił szorstko trzeci z mężczyzn.

Jacopo zwrócił się do niego, okazując mu wyraźnie mniejszy szacunek niż Rodrigowi.

– Och, *messer* Emilio. Całkiem możliwe, że poszłoby nam lepiej, gdybyście dostarczyli nam broń lepszego sortu niż ten złom, który wy, weneccjanie, śmiecie zwać uzbrojeniem. Ale nie. Bo wy, Barbarigi, zawsze byliście kutwami.

– Wystarczy – uciął Rodrigo i odwrócił się znów do Jacopa. – Zaufaliśmy tobie i twojej rodzinie, a ty – czym się nam odpłaciłeś? Bezczywnością i nieudolnością. Odbiliście San Gimignano! Brawo! Ale potem spoczęliście na laurach. Pozwoliliście nawet, by doszło tam do ataku. Brat Maffei był bardzo oddany naszej sprawie. Nie potrafiłeś nawet zadbać o swojego sekretarza, człowieka, którego umysł wart był dziesięciu twoich!

– *Altezza!* Daj mi tylko szansę, bym mógł naprawić swoje błędy, a zobaczysz... – Jacopo spojrzał na zacięte, otaczające go twarze. – Pokażę ci, że...

Rysy Rodriga jakby złagodniały. Na jego twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Jacopo... Wiemy, co teraz należy przedsięwziąć. Musisz pozostawić to nam. Podejź do mnie. Niech cię obejmę.

Jacopo zawahał się, ale posłuchał. Rodrigo objął go lewą ręką, a prawą

wyciągnął spod swoich szat sztylet i zdecydowanym ruchem zatopił go między żebrami Jacopa. Ten chwycił za rękojeść i usiłował wydobyć z siebie ostrze, podczas gdy Rodrigo patrzył na niego wzrokiem ojca, który ma przed sobą syna, który zbłądził. Jacopo już chwycił się za ranę. Rodrigo nie uszkodził żadnego istotnego organu. Być może...

Lecz nie – podszedł teraz do niego Emilio Barbarigo i wyciągnął przerażający baselard; jedna z krawędzi jego ostrza była ostro ząbkowana, a wzdłuż niej ciągnęło się głębokie wyłobienie na krew. Jacopo instynktownie oderwał swe zakrwawione ręce od rany, by się bronić.

– Nie! – zaskomlał. – Robiłem wszystko najlepiej jak potrafiłem! Zawsze lojalnie służyłem naszej sprawie! Przez całe życie... Proszę... Proszę, nie...

Emilio roześmiał się brutalnie.

– Nie... co: „nie”, ty żalosny gnojku? – zapytał, po czym rozciął kaftan Jacopa, przesuwając ząbkowanym ostrzem wzdłuż jego mostka i otwierając mu klatkę piersiową.

Jacopo wrzasnął, upadł na kolana, potem na bok, skręcając się w kałuży krwi. Podniósł wzrok i zobaczył stojącego nad nim Rodriga Borgia, który trzymał w dłoni cienki miecz.

– Panie! Miej litość! – wykrztusił z siebie. – Jeszcze nie jest za późno! Daj mi ostatnią szansę, a wszystko naprawię... – po czym zakrzuszył się własną krwią.

– Och, Jacopo – powiedział łagodnym głosem Rodrigo. – Jakże mnie rozczarowałaś.

Uniósł ostrze miecza i pchnął nim, przesywając szyję Jacopa z taką siłą, że na karku pojawiło się małe wybrzuszenie, najpewniej od przeciętego rdzenia kręgowego. Obrócił kilka razy mieczem w ranie, po czym powoli go wyciągnął. Jacopo podniósł się nieco, z ustami, z których wylewała się krew, ale już nie żył; opadł, zadrgał i w końcu znieruchomiał.

Rodrigo otarł swój miecz o ubranie zabitego, rozchylił poły swej peleryny i schował go do pochwy.

– Co za bałagan – zamruczał do siebie.

Następnie odwrócił się i patrząc bezpośrednio w kierunku Ezia, uśmiechnął się i zawołał:

– Możesz już wyjść, asasynie! Bądź łaskaw przyjąć moje przeprosiny za pozbawienie cię trofeum!

Zanim Ezio zdążył zareagować, chwycili go dwaj strażnicy, ubrani w tuniki z czerwonym krzyżem na żółtym tle, herbem największego wroga. Zawołał na Gambalta, ale ani on, ani nikt inny z jego ludzi mu nie odpowiedzieli. Strażnicy zaciągnęli go na scenę starożytnego teatru.

– Witaj, Ezio! – powiedział Rodrigo. – Przykro mi z powodu twoich ludzi, ale czy naprawdę myślałeś, że nie będę się ciebie tutaj spodziewał? Że nie przewidziałem, iż się tu pojawisz? Czy uważasz, że Stefano Bagnone powiedział ci o czasie i miejscu naszego spotkania bez mojej wcześniejszej wiedzy? Oczywiście, musieliśmy zrobić to tak, byś się trochę nagłowił, bo inaczej wyczułbyś pułapkę – w tym miejscu się zaśmiał. – Biedny Ezio! Bo widzisz, my rozgrywamy tę partię o wiele dłużej niż ty. Moi ludzie byli w tutejszym lesie na długo przed twoim przybyciem. Obawiam się, że zaskoczyliśmy twoich żołnierzy tak samo, jak ciebie – tyle że ciebie, zanim na dobre nas opuścisz, chciałem zobaczyć żywego. Powiedzmy, że miałem taki kaprys. Teraz zaś już go zaspokoilem – Rodrigo uśmiechnął się, po czym zwrócił się do strażników trzymających Ezia za ręce. – Dziękuję wam. Możecie go już zabić.

Razem z Emiliem Barbarigiem dosiedli swoich koni i odjechali, wraz z towarzyszącą im eskortą. Ezio śledził ich wzrokiem. I szybko myślał. Trzymało go dwóch przysadzistych mężczyzn. Ilu wciąż ukrywało się w lesie? Ilu gwardzistów wysłał Borgia, by osaczyć jego własny oddział?

– Módl się, chłopcze – rzekł jeden z trzymających Ezia.

– Posłuchajcie – odparł Ezio. – Wiem, że tylko wykonujecie rozkazy, więc jeśli mnie uwolnicie, oszczędzę wasze życie. Co wy na to?

Mężczyzna, który zwrócił się do Ezia, sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Niezłe! Naprawdę niezłe! Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kogo nie opuściłoby poczucie humoru nawet wtedy, gdy za chwilę...

Nie zdążył jednak dokończyć zdania. Ezio wysunął ukryty sztylet i korzystając z zaskoczenia, zranił nim mężczyznę ze swojej prawej strony. Trucizna zadziałała. Zataczając się, zrobił kilka małych kroków do tyłu, po czym upadł na ziemię, całkiem blisko Ezia. Zanim zareagował drugi, Ezio zanurzył ostrze sztyletu pod jego pachą, w jedyne nieosłonięte zbroją miejsce. Potem ukrył się szybko w mroku przy brzegu sceny. Nie musiał długo czekać. Z lasu wyszło dziesięciu ludzi Rodriga. Część z nich z trwogą lustrowała otoczenie teatru, pozostali pochyłili się nad swoimi zabitymi kompanami. W jednej chwili, z śmiertelnością szybkością rysia, spod sceny wystrzelił Ezio, rzucił się między nich, i ciął, zamaszystymi ruchami, nieosłonięte zbroją części ich ciał. Przerażeni i zaskoczeni, nie byli w stanie się obronić. Ezio uśmiercił pięciu z nich, zanim reszta wzięła nogi za pas i przy wtórze panicznego wrzasku zniknęła w lesie. Ezio popatrzył za nimi. Nie doniosą o tym zajściu Rodrigowi, chyba że chcą zawisnąć za swoją nieudolność. Upłynie też trochę czasu, zanim ktokolwiek zauważy ich zniknięcie i zanim do Rodriga dotrze, że jego szatański plan się nie powiódł.

Ezio przyklęknął przy zwłokach Jacopa Pazziego. Jego poturbowane i odarte z wszelkiej godności ciało było wszystkim, co pozostało z tego żałosnego, zdesperowanego starca.

– Nieszczęśniku! – powiedział Ezio. – Byłem zły, gdy zobaczyłem, jak Rodrigo pozbawia mnie przynależnej mi ofiary, ale teraz, teraz...

Przerwał i w ciszy wyciągnął rękę, by zamknąć mu oczy. Wtedy dotarło do niego, że oczy te przez cały czas na niego patrzyły. Jakimś przedziwnym trafem Jacopo wciąż trzymał się przy życiu. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku. Znajdował się w ostatniej fazie agonii. Pierwszą myślą Ezia było pozostawić go, by konał przeciągającą się śmiercią, ale jego oczy zdawały się błagać o litość.

„Okaz litość – przypomniał sobie – i to nawet wtedy, gdy tobie jej nie

okazano”. Tak było zapisane w Credo.

– Niechaj Bóg obdarzy cię pokojem – rzekł Ezio, całując czoło Jacopa w chwili, gdy przebijał sztyłem jego serce, serce swojego odwiecznego wroga.

11

Gdy Ezio wrócił do Florencji i przekazał księciu Lorenzowi wieść o śmierci ostatniego z Pazzich, ten najpierw się ucieszył, lecz potem zmarkotniał na myśl, że zapewnienie bezpieczeństwa miastu i Medicim okupione jest tak wielkim rozlewem krwi. Lorenzo preferował dyplomatyczne rozwiązywanie konfliktów, ale to podejście czyniło go wyjątkiem na tle równych mu władców innych miast-państw ówczesnej Italii.

Lorenzo nagrodził Ezia specjalną peleryną, a wraz z nią tytułem Obrońcy Wolności Miasta Florencji.

– To najwspanialszy dar jaki mogłem otrzymać, *Altezza* – powiedział mu Ezio. – Obawiam się jednak, że nie będzie mi dane spocząć na laurach.

Lorenzo był zaskoczony.

– Co takiego? Czyżbyś zamierzał znów nas opuścić? Miałem nadzieję, że zostaniesz, że zagospodarujesz swój rodzinny *palazzo* i zaczniesz pełnić obowiązki w miejskiej administracji, współpracując ze mną.

Ezio skłonił się uprzejmie.

– Przykro mi to mówić, ale jestem przekonany, że nasze kłopoty wcale się nie skończyły z upadkiem klanu Pazzich. Byli zaledwie jedną z macek o wiele większej bestii. Mam zamiar wyruszyć teraz do Wenecji.

– Do Wenecji?

– W rzeczy samej. Człowiek, który był z Rodrigiem Borgią podczas spotkania z Franceskiem, należy do rodziny Barbarigo.

– To jedna z najbardziej wpływowych rodzin w *La Serrenissimie*. Mówisz, że człowiek ów jest niebezpieczny?

– Jest sprzymierzeńcem Rodriga.

Lorenzo zastanawiał się przez chwilę, a potem rozłożył ręce.

– Cóż, pozwalam ci odejść, czyniąc to z największym żalem... Wiem, że

nigdy nie zdołam spłacić długu, jaki u ciebie zaciągnąłem, więc nie mam prawa, by ci rozkazywać. Poza tym mam przecucie, że to, w co przez cały czas się angażujesz, jest z wielkim pożytkiem dla naszego miasta i jego przyszłości, choć ja mogę już jej nie doczekać.

– Nie mów tak, *Altezza*.

Lorenzo uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że się mylę, ale życie w tym kraju w obecnych czasach to jak życie na szczycie Wezuwiusza – niepewne i niebezpieczne.

Zanim Ezio opuścił Florencję, spotkał się z Annetą, której przyniósł wieści i upominki; nie chciał jednak wejść do swojego domu rodzinnego – sama myśl o tym napawała go bólem. Starał się również nie przechodzić w pobliżu rezydencji Calfuccich. Odwiedził jednak Paolę, którą zastał piękną jak zwykle, choć nieco roztargnioną, jakby myślami była gdzie indziej. Ostatnim przystankiem Ezia we Florencji była pracownia Leonarda, jednak gdy się tam zjawił, zastał jedynie Agniola i Innocenta, a wewnątrz sprawiało wrażenie, jakby Leonardo zamykał swoje atelier. Po samym mistrzu nie było ani śladu.

Widząc Ezia, Agniolo uśmiechnął się i przywitał go serdecznie.

– *Ciao*, Ezio! Długo cię tu nie było!

– Chyba zbyt długo... – Ezio spojrzał na niego pytająco.

– Zastanawiasz się pewnie, gdzie jest Leonardo?

– Wyjechał?

– Tak, ale nie na zawsze. Zabrał ze sobą część rzeczy, a tym, co tu zostało, opiekujemy się z Innocentem.

– A dokąd się udał?

– To zabawne. Maestro pertraktował ze Sforzą w Mediolanie, ale potem zaprosił go do Wenecji na jakiś czas hrabia Pexaro. Chciał, by Leonardo ukończył tam serię pięciu rodzinnych portretów... Ale, jak to zwykle bywa w takich przypadkach – tu Agniolo uśmiechnął się porozumiewawczo – rada miejska Wenecji zainteresowała się jego pracami inżynierskimi, więc zapewnili mu pracownię, asystentów i wszystko, czego tylko chciał. A zatem,

drogi Ezio, jeśli chcesz się z nim spotkać, tam właśnie musisz się udać.

– Ależ ja właśnie tam się wybieram! – ucieszył się Ezio. – To wspaniała wiadomość! A dawno wyjechał?

– Dwa dni temu, ale dogonisz go bez problemu. Podróżuje wielkim, ciągniętym przez parę wołów wozem, wyładowanym po brzegi jego rzeczami.

– Są z nim jacyś ludzie?

– Tylko woźnice i dwójka eskorty, na wszelki wypadek. Jadą drogą na Rawennę.

Ezio zabrał ze sobą tylko to, co mógł upchać do sakiew przy siodle. Nie upłynęły nawet dwa dni jego samotnej podróży, gdy na jednym z zakrętów natrafił na ciężki, zaprzęzony w woły wóz z płóciennym dachem, osłaniającym starannie spakowane niezliczone modele i maszyny.

Woźnice stali na skraju drogi, drapiąc się po głowach, jakby się czymś martwili. Dwóch drobnych chłopców z eskorty, uzbrojonych w kusze i lance, czuwało na pobliskim pagórku. Leonardo kręcił się dookoła wozu, konstruuując coś, co wyglądało na układ dźwigni.

Gdy podniósł swój wzrok, ujrzał Ezia:

– Witaj Ezio! Cóż za szczęście!

– Leonardo! Co się tu dzieje?

– Wygląda na to, że mamy mały kłopot. Chodzi o jedno z kół... – wskazał na tylną oś wozu, z której spadło koło. – Problem w tym, że musimy dość wysoko podnieść wóz, by je z powrotem nasadzić na oś, nie dysponujemy jednak wystarczającymi siłami, a dźwignia, którą naprędce złożyłem, nie podniesie go na odpowiednią wysokość. Myślisz, że...

– Oczywiście.

Ezio skinął na woźniców, muskularnych mężczyzn, nadających się do tego zadania o wiele lepiej, niż szczupli chłopcy z eskorty i we trzech udało im się podnieść wóz wystarczająco wysoko i utrzymać go na tyle długo, by Leonardo zdążył założyć koło i dobrze ja zamocować. Gdy to robił, Ezio,

siłując się razem z woźnicami, zajrzał do wozu. Pomiędzy rzeczami Leonarda bez wątplenia znajdowała się przypominająca nietoperza konstrukcja, którą widział w pracowni. Teraz jednak zdradzała, że poddano ją wielu przeróbkom.

Gdy wóz został już naprawiony, Leonardo zajął miejsce na koźle, obok jednego z woźniców, podczas gdy drugi szedł przy wołach. Eskorta nieustannie lustrowała wzrokiem przestrzeń przed i za wozem. Ezio jechał na swoim koniu obok Leonarda i z nim rozmawiał. Od ich ostatniego spotkania upłynęło już sporo czasu, więc i tematów uzbierało się mnóstwo. Ezio przekazał Leonardowi najświeższe wieści, ten zaś opowiadał mu o swoich nowych zleceniach i podeksycytowaniu związanym z wyjazdem do Wenecji.

– Tak się cieszę, że mam cię za towarzysza podróży, Ezio. Ale uprzedzam – dotarłbyś do Wenecji o wiele szybciej, gdybyś nie jechał w moim tempie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Poza tym chcę być pewnym, że dotrzesz tam bezpiecznie.

– Mam eskortę.

– Leonardo, nie zrozum mnie źle, ale nawet ci z rozbójników, którzy mają jeszcze mleko pod nosem, mogliby sprzątnąć tych dwóch tak łatwo, jak ty zabijasz komara.

Leonardo najpierw się zdumiał, potem przez chwilę się dąsał, ale w końcu odzyskał dobry nastrój.

– A zatem jestem zadowolony z twojego towarzystwa w dwójnasób – przerwał, po czym spojrzał na Ezia szelmowskim wzrokiem. – Myślę wszakże, że chęć doprowadzenia mnie do celu w jednym kawałku nie bierze się wyłącznie z twojego sentymentu do mojej osoby.

Ezio uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Zamiast tego rzekł:

– Widzę, że wciąż pracujesz nad tym przypominającym nietoperza urządzeniem...

– Co proszę?

– Dobrze wiesz, o czym mówię.

– A, o tym. To nic takiego – coś, nad czym od czasu do czasu myślę. Po prostu nie mogłem tego zostawić we Florencji.

– A dokładniej?

Leonardo był niechętny dalszym wyjaśnieniom.

– Naprawdę, nie lubię mówić o czymś, co jeszcze nie jest gotowe.

– Leonardo, mnie chyba możesz zaufać – powiedział Ezio, po czym ściszył głos. – W końcu ja też zdradziłem ci swoje tajemnice.

Leonardo bił się z myślami, ale po chwili dał za wygraną.

– No dobrze, ale nie wolno ci o tym nikomu wspominać.

– *Promesso*.

– Każdy, komu byś o tym powiedział, wzięłby cię za szaleńca! – Leonardo mówił z coraz większym przejęciem w głosie. – Posłuchaj, Ezio. Wydaje mi się, że znalazłem sposób na to, by człowiek mógł latać.

Ezio spojrzał na przyjaciela i roześmiał się z niedowierzaniem.

– Nadejdzie czas, kiedy z twej twarzy zniknie ten kpiący uśmiešek – powiedział Leonardo dobrotliwym tonem.

Potem zmienił temat i zaczął mówić o Wenecji – *La Serenissime* – powściągliwej wobec całej Italii i częściej patrzącej na wschód niż na zachód, i to zarówno w interesach, jak i z niepokojem, gdyż imperium osmańskie rozrosło się obecnie aż do połowy wschodniego wybrzeża Adriatyku. Mówił o pięknie Wenecji, o jej zdradzie, o tym, jak miasto potrafi zarabiać pieniądze, o jej *richesse* i jej osobliwej konstrukcji – że jest miastem kanałów, wyrastającym z bagnistych wysp na setkach tysięcy drewnianych słupów. Opowiadał o jej zazdrośnie strzeżonej niezależności i olbrzymiej władzy – nie dalej jak trzysta lat temu wenecki doża zawrócił z Ziemi Świętej całą wyprawę krzyżową, by posłużyć się nią do swoich własnych celów – do zniszczenia wszelkiej konkurencji handlowej i militarnej, a następnie do rzucenia na kolana cesarstwa bizantyńskiego. Mówił też o tajemnicach miasta, o jego czarnych jak atrament wodach, o strzelistych budowlach, o oświetlanych blaskiem świec *palazzi*, o dziwnym dialekcie, jakim tam

mówią, o panującej tam ciszy, o jarmarcznym splendorze strojów noszonych przez jego mieszkańców, o jego wielkich malarzach, z Giovannim Bellinim, którego chciał poznać, na czele. Mówił o weneckiej muzyce, o balach maskowych, o krzykliwym stylu miasta, które tym sposobem chciało zwracać na siebie uwagę, i o osiągnięciu maestrii w sztuce otruwania.

– To wszystko – skonkludował – znam wyłącznie z ksiąg. Wyobraź sobie zatem, jak będzie wyglądało miasto w rzeczywistości!

„Będzie brudne i przeludnione – pomyślał chłodno Ezio – podobnie jak każde inne”. Ze swoim przyjacielem podzielił się jednak wyłącznie ciepłym uśmiechem. Leonardo był marzycielem. A marzycielom powinno się pozwalać marzyć.

Wjechali do wąwozu i ich głosy zaczęły odbijać się echem od jego skalistych ścian. Ezio, obserwując praktycznie niewidoczne już z perspektywy wędrowca granie, otaczające ich z obu stron, nagle stał się spięty. Chłopcy z eskorty wyprzedzili ich jakiś czas temu, ale w tej zamkniętej przestrzeni wciąż jeszcze powinien słyszeć stukot kopyt ich koni. Nic takiego nie docierało jednak do jego uszu. Pojawiła się za to lekka mgła i zrobiło się zimno – żadna z tych rzeczy nie wpłynęła na niego uspokajająco. Leonardo zdawał się niczym nie przejmować, ale Ezio zauważył, że również i woźnice zdradzali oznaki zdenerwowania i nieufnie rozglądali się wokoło.

Znienacka ze skalistego zbocza posypała się w dół garść kamyków, które spłoszyły konia Ezia. Spojrzał w górę, mrużąc oczy od słońca, dojrzał jednak tylko szybującego wysoko na niebie orła.

Teraz nawet Leonardo był zaniepokojony.

– Coś nie tak? – zapytał Ezia.

– Nie jesteśmy tu sami. Na szczytach tych urwisk mogą znajdować się łucznicy wroga.

W tej samej chwili Ezio usłyszał narastający tętent koni, co najmniej kilku, zbliżających się do nich od tyłu.

Ezio zawrócił swojego rumaka i ujrzał pół tuzina nadciągających jeźdźców.

Na ich powiewającej chorągwi widniał czerwony krzyż na żółtej tarczy.

– Borgia! – zamruczał do siebie Ezio, sięgając po miecz w chwili, gdy w bok wozu uderzył głucho wystrzelony z kuszy bełt.

Woźnice zdążyli już pierzchnąć prosto przed siebie, a woły najwyraźniej chciały zrobić to samo, bo nieponaglone przez nikogo, wciąż ciągnęły wóz.

– Przejmij lejce i nie zatrzymuj się! – krzyknął Ezio do Leonarda. – Są tu z mojego, nie z twojego powodu.

Leonardo pośpiesznie wykonał polecenie, a Ezio ruszył na spotkanie z jeźdźcami. Miecz Ezia, który wcześniej należał do Maria, był znakomicie wyważony przy głównej, a jego koń był znacznie lżejszy, przez co bardziej zwrotny od koni jego przeciwników. Ponieważ każdy z nich miał na sobie zbroję, użycie ostrzy z Kodeksu niestety nie wchodziło w grę. Ezio mocno spiął konia obcasami i wystrzelił w oddział wroga. Pochylając się nisko w siodle, wpadł z impetem w grupę jeźdźców, sprawiając, że dwa spośród ich koni gwałtownie stanęły dęba. Rozpoczęła się zacięta szermierka. Ochroniacz na lewym nadgarstku zmienił tor wielu uderzeń mieczy, zaskakując wrogów, zdziwionych tym, że ich ostrza nie lądują tam, gdzie je kierowali, co z kolei wykorzystywał Ezio do zadawania swoich skutecznych pchnięć.

Nie upłynęło zbyt wiele czasu, a Ezio zdołał już strącić z siodła czterech jeźdźców. Pozostali dwaj, którzy uszli z życiem, zawrócili swoje konie i puścili się galopem tam, skąd nadjechali. Tym razem Ezio wiedział, że nie może pozwolić na to, by wieść o nieudanym ataku dotarła do Rodriga. Puścił się w pościg i gdy zrównał się z nimi, mocnym ciosem miecza strącił z siodła jednego, a potem drugiego.

Przeszukał szybko ich ciała, ale nie znalazł nic, co mogłoby mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie; potem przeciągnął zwłoki na skraj drogi i przykrył je kamieniami. Dosiadł swojego konia i odjechał, zatrzymując się tylko przy reszcie ciał, by usunąć je z drogi i zapewnić im najprostszy pochówek – pod kamieniami i gałązkami zarośli. Z ich końmi nie mógł już nic zrobić – zwierzęta dawno się rozbiegły.

Eziowi udało się ujść cało z kolejnej zasadzki zgotowanej mu przez pałającego zemstą Rodriga, wiedział jednak, że kardynał Borgia nie podda się, dopóki nie będzie pewny jego śmierci. Spiał konia i ruszył przed siebie, by dołączyć do Leonarda. Dogonił go po chwili. Razem próbowali odszukać woźniców, ale ich nawoływanie okazało się bezskuteczne.

– Zapłaciłem im spory depozyt za wóz i woły – burknął Leonardo – i pewnie go już nie zobaczę.

– Sprzedasz to wszystko w Wenecji.

– Przecież tam pływają na gondolach!

– Za miastem znajduje się mnóstwo gospodarstw.

Leonardo spojrzał na niego wymownie.

– Na Boga, Ezio, jak ja przepadam za ludźmi z tak praktycznym podejściem do życia!

Ich długa, przecinająca krainę podróż, trwała nadal. Minęli starożytne miasteczko Forlì, które obecnie było niewielkim, acz liczącym się już państwem-miastem, następnie dotarli do Rawenny i jej portu morskiego, leżącego kilka mil na północ od miasta. Tam wsiedli na statek, na przybrzeżną galereę, płynącą z Ankony do Wenecji. Ezio, upewniwszy się, że żaden z jej pasażerów nie stanowi zagrożenia, mógł się nieco rozluźnić. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet na tak małym statku jak ten nie sprawiałoby większych trudności podcięcie komuś gardła, a potem wrzucenie martwego ciała do ciemnobłękitnego morza. Obserwował więc uważnie krzątanie przy każdej małej przystani, do której po drodze zawijał ich statek.

Do Wenecji dotarli kilka dni później, bez żadnych incydentów. Dopiero tu Ezio natrafił na kolejne komplikacje, które nadeszły z niespodziewanej strony.

Zeszli ze statku i czekali na prom, który miał ich zabrać do położonego na wyspach miasta. Przypłynął, zgodnie z oczekiwaniami, a marynarze pomogli Leonardowi wjechać wozem na łódź, która pod jego ciężarem niepokojąco się zanurzyła. Kapitan promu przekazał artyście, że ludzie Pexara będą

czekać na niego na nabrzeżu, by zaprowadzić go do jego nowej siedziby, po czym ukloniwszy się, podał mu rękę i wciągnął na pokład.

– Oczywiście, *signore*, mniemam, że masz ze sobą odpowiednie dokumenty.

– Oczywiście – odpowiedział Leonardo, wręczając kapitanowi jakiś papier.

– A ty, panie? – zapytał uprzejmie kapitan, odwracając się do Ezia.

Ezio był całkowicie zaskoczony. Przybył bez zaproszenia, nieświadom panujących tu przepisów.

– Nie... Nie mam żadnych dokumentów – odrzekł.

– W porządku – wtrącił Leonardo, zwracając się do kapitana. – On jest ze mną. Ręczę za niego i jestem przekonany, że hrabia...

Kapitan przerwał mu, podnosząc dłoń.

– Przykro mi, *signore*. Przepisy rady miasta są w takim przypadku jednoznaczne. Nikt nie może wejść do miasta Wenecji bez specjalnego zezwolenia.

Leonardo chciał już zaprotestować, ale Ezio zdążył go powstrzymać.

– Nie przejmuj się mną, Leonardo. Jakoś sobie poradzę.

– Naprawdę chciałbym ci pomóc, panie – odezwał się kapitan. – Mam jednak wyraźne rozkazy – przerwał i podniesionym głosem odezwał się do tłumu pasażerów: – Uwaga! Uwaga! Prom odchodzi z wybiciem dziesiątej!

Ezio zrozumiał, że ma niewiele czasu.

Jego uwaga zwróciła się ku niezwykle wystawnie ubranej parze, którą zauważył już wtedy, gdy wchodził na galerę – oni wtedy też na nią weszli, zajęli najlepszą kajutę i trzymali się razem, stroniąc od innych. Teraz stali samotnie na jednej z przystani, przy której cumowało kilka prywatnych gondoli, i zajadle się kłócili.

– Moja najdroższa, proszę cię... – mówił mężczyzna.

Wyglądał na słabego z natury i był jakieś dwadzieścia lat starszy od swojej towarzyszki, energicznej, rudowłosej kobiety, z iskrzącymi się oczyma.

– Girolamo! Głupiec z ciebie! Bóg jeden raczy wiedzieć, czemu za ciebie

wysłałam, i tylko On jeden wie, ile się przez to nacierpiałam! Nieustannie się mnie czepiasz, trzymasz mnie jak jakąś kurę w tym swoim okropnym, prowincjonalnym miasteczku, a teraz... Teraz nie potrafisz nawet załatwić gondoli, która przewiozłaby nas do Wenecji! A kiedy tylko pomyślę, że twój wuj to cholerny papież, tak, papież!... Można by pomyśleć, że mógłbyś wpłynąć na to i owo... Ale skąd! Spójrz tylko na siebie! Co za nieudacznik!

– Caterino...

– Tylko nie „Caterino”! Postaraj się lepiej o jakichś ludzi, którzy zajęliby się bagażem, i na litość boską, zabierz mnie do Wenecji! Chcę się wreszcie wykąpać i napić wina!

– Mam wielką ochotę zostawić cię tutaj, a samemu wrócić do Pordenone! – zachnął się Girolamo.

– Tak czy siak, powinniśmy byli dostać się tu łądem!

– Podróżowanie drogą jest zbyt niebezpieczne!

– Tak, w szczególności dla takiego tchórza jak ty!

Girolamo zamilkł, a Ezio wciąż ich obserwował.

– Dobrze... Może wejdź w takim razie do tej oto gondoli – Girolamo wskazał jedną z nich – a ja zaraz znajdę parę gondolierów.

– No! Nareszcie zacznasz mówić do rzeczy! – burknęła Caterina i podała mu rękę, by pomógł jej wsiąść do łodzi.

Gdy tylko się w niej znalazła, Girolamo błyskawicznie odczepił faleń, którym łódź była przycumowana do przystani i mocnym, zdecydowanym ruchem pchnął jej dziób.

– *Buon viaggio!* – krzyknął złośliwie.

– *Bastardo!* – odkrzyknęła z wściekłością, lecz potem, zdawszy sobie sprawę ze swojego kłopotliwego położenia, zaczęła wydierać się wniebogłosy: – *Aiuto! Aiuto!*

Girolamo nie zwracał jednak na nią uwagi – wrócił spokojnym krokiem do bagaży, wokół których zgromadziła się grupka służących, i zaczął wydawać im polecenia. Potem przeniósł się z nimi i z bagażem do innej części portu,

gdzie zaczął organizować przeprawę dla siebie.

Ezio nie spuszczał oka z Cateriny, częściowo rozbawiony zaistniałą sytuacją, a częściowo zaniepokojony losem kobiety. Caterina utkwiała w nim wzrok.

– Ej, ty tam! Nie stój tak! Potrzebuję pomocy!

Ezio odpiął swój miecz, zdjął buty i kaftan, po czym rzucił się do wody.

Gdy już znaleźli się z powrotem na brzegu, Caterina podała ociekającemu wodą Eziowi swoją dłoń.

– Mój bohaterze! – westchnęła.

– To naprawdę nic takiego.

– Mogłam się utopić! Tak dba o mnie ten *porco*! – tu spojrzała na Ezia z podziwem. – Tymczasem ty... Mój Boże, jakże musisz być silny! Nie mogę wprost uwierzyć, jak udało ci się dopłynąć do brzegu, ciągnąc za sobą gondolę, i to ze mną w środku.

– Była lekka jak piórko – powiedział.

– Pochlebca!...

– Chodzi mi o to, że te łodzie są tak dobrze wyważone, że...

Caterina zmarszczyła brwi.

– ...zaszczytem dla mnie było móc służyć ci, *signora* – dokończył nieprzekonująco Ezio.

– Muszę ci kiedyś odplacić za twoją przysługę – powiedziała Caterina, nadając swoim słowom niedwuznaczny wydźwięk. – Jak się nazywasz?

– Auditore. Ezio.

– A ja jestem Caterina – powiedziała, a po chwili zapytała: – Dokąd zmierzasz?

– Chciałem dostać się do Wenecji, ale nie mam dokumentów, więc kapitan promu...

– *Basta!* – przerwała mu. – Chcesz mi powiedzieć, że ten małosłowny biurokrata nie chce cię wpuścić na prom? Tak?

– Tak.

– To się jeszcze okaże!

Opuściła molo nie czekając na Ezia przywdziewającego właśnie buty i kaftan. Zanim zdążył ją dogonić, była już na promie i z tego, co wywnioskował Ezio, rugała trzęsącego się ze strachu kapitana. Gdy Ezio wszedł na pokład, usłyszał, jak kapitan bełkocze najbardziej unizonym tonem:

– Tak, *Altezza*. Oczywiście, *Altezza*. Jak sobie życzysz, *Altezza*.

– I lepiej niech tak zostanie! Chyba że chcesz, by inni oglądali twoją głowę nabitą na włócznię! Proszę – oto i on. Sam sprowadź jego konia i rzeczy! No już! I traktuj go dobrze. Dowiem się, jeśli coś będzie nie tak!

Kapitan zniknął w pośpiechu, a Caterina zwróciła się do Ezia:

– Widzisz? Załatwione.

– Dziękuję ci, pani.

– Przysługa za przysługę – spojrzała na niego. – Mam wszakże nadzieję, że nasze ścieżki znowu się przetną – powiedziała, wyciągając dłoń. – Jestem z Forlì. Przyjedź tam kiedyś. Z przyjemnością cię ugoszczę.

Podawała mu dłoń i wyglądało na to, że chce odejść.

– Czy i ty nie chciałaś dostać się do Wenecji, pani?

Spojrzała najpierw na niego, potem na prom.

– Na tym rupieciu? Nawet nie żartuj!

Odwróciła się i odeszła, przechodząc wzdłuż wybrzeża w kierunku, gdzie mąż właśnie doglądał załadunku ich ostatniego bagażu.

Pojawił się kapitan. Prowadził konia Ezia.

– Oto i twój koń, panie. Przyjmij moje przeprosiny. Gdybym tylko wiedział, z kim mam do czynienia...

– Gdy dotrzemy na miejsce, będę potrzebował dla niego stajni.

– Z przyjemnością się tym zajmę.

Gdy prom odbił już od brzegu i wypłynął na ciemne niczym ołów wody laguny, Leonardo, który obserwował całe zajście, powiedział z goryczą w głosie:

– Wiesz chyba, kto to był, prawda?

– Nie, ale nie miałbym nic przeciwko temu, by owa dama stała się moim kolejnym podbojem – uśmiechnął się Ezio.

– A zatem uważaj! To Caterina Sforza, córka księcia Mediolanu. Jej mąż to książę Forlì i zarazem siostrzeniec samego papieża.

– A jak się nazwa?

– Girolamo Riario.

Ezio na chwilę zamilkł. Skądś znał to nazwisko. Potem jednak powiedział:

– A zatem ożenił się z wulkanem...

– Tak jak już powiedziałem – powtórzył Leonardo – lepiej uważaj.

12

Wenecja roku Pańskiego 1481 pod stabilnymi rządami doży Giovanniego Moceniga była, ogólnie rzecz biorąc, niezgorszym miejscem do życia. Z Turkami miała zawarty pokój, wspaniale prosperowała, wiodące do niej morskie i lądowe szlaki handlowe były względnie bezpieczne i mimo że stopy procentowe zwykowały, inwestorzy z optymizmem patrzyli w przyszłość, a i zwykli ciułacze nie kryli swojego zadowolenia. Bogaty był również Kościół, zaś artyści pod podwójnym mecenatem swoich duchowych i doczesnych opiekunów mogli bez przeszkód rozwijać skrzydła. Miasto, które obłowiło się na ogromną skalę podczas grabieży Konstantynopola dokonanej przez czwartą wyprawę krzyżową, skierowaną tam zamiast do Ziemi Świętej przez dożę Dandola, zmusiło Bizancjum do uległości, a teraz bezwstydnie eksponowało ten fakt: cztery brązowe konie, ustawione na zwieńczeniu fasady bazyliki św. Marka były chyba najjaskrawszym tego przykładem.

Jednak Leonardo i Ezio, gdy wczesnym wiosennym rankiem pojawili się na weneckim Molo, nie myśleli o kontrowersyjnej, podstępnej i grabieżczej przeszłości miasta. Widzieli tylko jego wspaniałość – różowe marmury i misterną fasadę Pałacu Dożów, rozległy, rozciągający się na lewo od Molo plac oraz ceglana, zdumiewająco wysoką dzwonnice. Byli wreszcie sami weneccjanie – delikatnej postury, odziani w ciemne stroje, przemykający niczym cienie po suchym lądzie albo żeglujący po labiryncie swojego poprzecinanego kanałami miasta w przeróżnych łodziach, począwszy od eleganckich gondoli, na pokracznych, wyładowanych po brzegi towarami wszelkiego sortu barkach skończywszy.

Słudzy hrabiego Pexaro zajęli się ruchomym dobytkiem Leonarda, a potem, po jego sugestii, koniem Ezia. Obiecali też zorganizować

odpowiednie zakwaterowanie dla „syna florenckiego bankiera”, jak im przedstawił Ezia Leonardo. Po chwili rozeszli się, a z gośćmi został jeden z nich: otyły, młody człowiek o ziemistej karnacji i wyłupiastych oczach, odziany w koszulę mokrą od potu, ze słodkim jak gęsty syrop uśmiechem na twarzy.

– *Altezze* – powiedział, zbliżając się do Leonarda i Ezia – pozwólcie, że się przedstawię. Zwę się Nero i jestem osobistym *funzionario da accoglienza* hrabiego. Moim obowiązkiem, a zarazem wielką przyjemnością, będzie zaoferować wam krótkie, ledwie wstępne zwiedzanie naszego wspaniałego miasta, zanim hrabia będzie mógł podjąć... – tu przerwał i jął nerwowo spoglądać to na Leonarda, to na Ezia, usiłując odgadnąć, który z nich jest zamawianym przez Pexaro artystą, ale na szczęście jego wzrok spoczął na Leonardzie, który wydał mu się bardziej statecznym mężczyzną – ...*messer* Leonarda kielichem Veneto przed kolacją, którą z wielką radością wyda w jadalni dla starszej służby.

Nero uklonił się nisko i szurnął nogami.

– Nasza gondola już na nas czeka...

Przez kolejne pół godziny Ezio i Leonardo mogli – więcej – mieli obowiązek podziwiać piękno *La Serenissima* z najlepszego przeznaczonego do tego miejsca – z gondoli, wprawnie kierowanej przez dwóch gondolierów, z których jeden stał na dziobie, a drugi na rufie. Całą przyjemność zwiedzania psuła im niestety lukrowana gadanina Nera. Ezio, który jeszcze nie wysechł po wyratowaniu madonny Cateriny, mimo swojego żywotnego zainteresowania wyjątkowym pięknem i architekturą miasta, próbował za wszelką cenę zapaść w sen i w ten sposób uniknąć konieczności wysłuchiwanie przeraźliwie nudnego monologu Nera. Nagle zdarzyło się coś, co przykuło jego uwagę i wyrwało go z ogarniającej senności.

Z nabrzeża kanału dobiegły Ezia podniesione głosy. Skierował tam wzrok i zobaczył, jak nieopodal pałacu markiza Ferrary dwóch uzbrojonych strażników nęka jakiegoś kupca.

– Mówiliśmy ci, panie, byś został z tym w swoim domu – powiedział jeden z mundurowych.

– Przecież zapłaciłem za najem. Mam wszelkie prawo sprzedawać tu mój towar!

– Przykro mi, panie, lecz twoja działalność jest wbrew nowym przepisom *messer* Emilia. Obawiam się, że naruszając je, znalazłeś się w poważnych tarapatach.

– Odwołam się do Rady Dziesięciu!

– Nie ma już na to czasu, panie – powiedział drugi ze strażników, strącając nogą markizę straganu, na którym kupiec sprzedawał wyroby ze skóry.

Strażnicy zagarnęli dla siebie co lepszy towar, a resztę wrzucili do kanału.

– Oby ta głupia sytuacja już się więcej nie powtórzyła, panie – powiedział strażnik i oddalił się niespiesznie ze swoim towarzyszem.

– Co to było? – spytał Nera Ezio.

– Nic takiego, *Altezza*. Taka tam przykra sytuacja. Upraszam, panie, byś zechciał ją zignorować. Za chwilę przepłyniemy pod słynnym drewnianym mostem Rialto, jedynym mostem nad Canale Grande, znanym przede wszystkim z tego, że...

Ezio nie przerywał już nudziarzowi jego wywodów, ale to, co przed chwilą zobaczył, zasiało w jego sercu niepokój, w szczególności, że wyraźnie usłyszał imię Emilio. Dość powszechne, chrześcijańskie imię, ale czy przypadkiem nie chodziło o Emilia... Barbariga?

Niedługo potem Leonardo uparł się, by się na chwilę zatrzymać. Chciał rzucić okiem na targ, na którym sprzedawano między innymi dziecięce zabawki. Podszedł od razu do straganu, który najwyraźniej już wcześniej sobie upatrzył.

– Zobacz, Ezio!

– Cóż tam znalazłeś?

– Manekin. Mały, ruchomy człowieczek, którego my, artyści, używamy jako modelu. Wystarczą mi takie dwa. Byłbyś może tak uprzejmy?... Wydaje

mi się, że odesłałem swoją sakiewkę razem z bagażami do mojej nowej pracowni.

W chwili gdy Ezio sięgał po swój pugilares, wpadła na nich grupka młodych ludzi, a jeden z nich usiłował odciąć Eziowi pugilares od pasa.

– Hej! – krzyknął Ezio. – *Coglione!* Stój!

Po czym puścił się za nimi w pościg. Młodzieniec, który zaatakował Ezia, odwrócił się na krótką chwilę, odgarniając z twarzy opadające na nią kasztanowe włosy. Była to twarz kobiety! Potem jednak Ezio stracił ją z oczu – zniknęła w tłumie wraz ze swoimi kompanami.

Kontynuowali wycieczkę w ciszy, a ukontentowany Leonardo ścisnął swoje dwa manekiny. Ezio zaczynał się niecierpliwić. Chciał jak najszybciej uwolnić się od oprowadzającego ich bufona, a nawet od Leonarda. Potrzebował być choć przez chwilę sam. Potrzebował zebrać myśli.

– Teraz zbliżamy się do słynnego Palazzo Seta – nie ustawał Nero. – To siedziba *Su Altezza* Emilia Barbariga. *Messer* Barbarigo jest obecnie znany z prób zjednoczenia kupców miasta pod swoją kontrolą. Godna pochwały inicjatywa, napotykająca wszelako opór ze strony co radykalniejszego elementu naszego miasta...

Odsunięta nieco od kanału, wznosiła się nad nim ponura, ufortyfikowana budowla, z frontowym dziedzińcem wyłożonym kamiennymi płytami; przy należącym do niej odcinku nabrzeża były przycumowane trzy gondole. Gdy przepływali obok budynku Ezio spostrzegł, jak usiłuje do niego wejść ten sam kupiec, którego widział wcześniej podczas zajścia ze strażnikami. Tym razem powstrzymywała go dwójka innych strażników. Na ramionach mieli żółte herby, przecięte czerwonym szewronem, poniżej którego znajdował się czarny koń, a powyżej delfin, gwiazda i granat. Ludzie Barbariga, oczywiście!

– Mój stragan został zdemolowany, a towar zniszczony. Żądam odszkodowania! – mówił rozgniewany i rozżalony kupiec.

– Przykro mi, panie, zamknięte! – odparł jeden ze strażników, szturchając

biedaka halabardą.

– Jeszcze z wami nie skończyłem. Doniosę o wszystkim Radzie!

– Dużo ci z tego przyjdzie! – odezwał się drugi, starszy wiekiem strażnik.

Teraz jednak pojawił się dowódca straży wraz z trzema kolejnymi strażnikami.

– Zakłócamy porządek publiczny, tak? – zapytał protekcjonalnie.

– Nie, ja tylko...

– Aresztować tego człowieka! – warknął.

– Co ze mną robicie?! – zapytał kupiec z trwogą.

Ezio przyglądał się temu wszystkiemu bezsilnie i z narastającym gniewem. Zapamiętał sobie dobrze to miejsce. Tymczasem straż zaciągnęła kupca pod budynek, w którym otworzyły się okute żelazem drzwi i zaraz po tym jak wprowadzono go do środka, zamknęły się z hukiem.

– Nie wybrałeś najszcześniejszego miasta, choć może rzeczywiście jest najpiękniejsze – z przekąsem powiedział do Leonarda Ezio.

– Zaczynam powoli żałować, że nie zdecydowałem się w końcu na Mediolan – odparł Leonardo. – Lecz cóż, praca to praca.

13

Zaraz po tym, jak opuścił Leonarda i zainstalował się w swojej kwaterze, Ezio, nie tracąc czasu, skierował kroki do Palazzo Seta, co w mieście pełnym wąskich przejść, krętych kanałów, niskich łuków, małych placików i ślepych uliczek nie było łatwym zadaniem. Każdy weneccjanin znał ów pałac, więc gdy Ezio gubił drogę, przechodnie chętnie dawali mu wskazówki, choć wydawali się zdziwieni tym, że ktoś chce się tam udać z własnej, nieprzymuszonej woli. Jedna, może dwie osoby sugerowały mu, że najprościej dopłynąć tam gondolą, lecz on chciał się zapoznać z miastem; poza tym wolał dotrzeć na miejsce niezauważony.

Było już późne popołudnie, gdy znalazł się w pobliżu pałacu, choć budowla bardziej niż pałac przypominała fortecę albo więzienie – głównej jej części strzegły solidne, obronne mury. Po bokach pałac otaczały inne budynki, oddzielone od niego wąskimi uliczkami; na jego tyłach znajdował się najprawdopodobniej okazałych rozmiarów ogród, który krył się za kolejnym wysokim murem. Przed frontową fasadą, zwróconą do kanału, rozciągał się szeroki, otwarty plac, który Ezio widział już wcześniej. Również i teraz nie był pusty – rozgrywała się na nim zacięta batalia pomiędzy grupą strażników Barbariga a zgrają młodzieniaszków, odzianych w błazeńskie stroje, drwiących ze swoich przeciwników. Zbliżyli się do nich, a potem bez wysiłku uskakiwali przed przecinającymi powietrze grotami halabard i pik i zasypywali strażników gradem kawałków cegieł, kamieni, zgniłych jaj i owoców. Być może robili to tylko po to, by odwrócić ich uwagę – Ezio podniósł wzrok i zauważył wspinającą się po murze pałacu sylwetkę, która w ogóle nie zwracała uwagi na zamieszanie poniżej. Był pod wrażeniem – mur był zupełnie pionowy i bardzo wysoki, i nawet on zastanowiłby się dwa razy, zanim zdecydowałby się z nim zmierzyć.

Kimkolwiek był ów tajemniczy człowiek, na szczyt muru dotarł niezauważony i to bez większych trudności, a potem, w zdumiewający sposób, odbił się od niego i zeskoczył na dach jednej z wież strażniczych. Ezio zobaczył, że obserwowana przez niego osoba zamierza teraz skokiem z wieży dosięgnąć dachu samego pałacu – zapamiętał sobie ten element taktyki, na wypadek gdyby kiedykolwiek potrzebował z niego skorzystać. Niestety, strażnicy w wieży usłyszeli odgłos lądowania na dachu i dali znać o intruzie swoim kompanom strzegącym głównego budynku. W oknie pod okapem dachu pałacu pojawił się łucznik i wystrzelił. Tajemnicza postać z zadziwiającą lekkością wybiła się w górę, a strzała minęła ją w locie, uderzając z głuchym odgłosem o dachówki. Druga strzała łuczniczki dosięgnęła już celu – postać na dachu z cichym jękiem zachwiała się na nogach i złapała kurczowo za zranione udo.

Łucznik wystrzelił ponownie, lecz tym razem znów chybił. Postać na dachu zaczęła zbierać się do odwrotu – zeskoczyła z dachu wieży na parapet muru, wzdłuż którego biegli już ku niej strażnicy, przeskoczyła nad nim i chwytając się ściany, częściowo ześlizgnęła się po niej, a częściowo po prostu spadła na ziemię.

Po drugiej stronie dziedzińca przed pałacem, strażnicy Barbariga spychali atakujących w kierunku odchodzących od niego uliczek, a gdy już się tam znaleźli, rozpoczęli za nimi pościg. Ezio wykorzystał okazję i pobiegł za tajemniczą postacią, która pokuśtykała w przeciwnym kierunku.

Gdy ją dogonił, uderzyła go jej szczupła, chłopięca, choć bez wątplenia atletyczna sylwetka. Miał już zaproponować jej swoją pomoc, lecz zanim zdążył to zrobić, osoba obróciła się w jego kierunku. Od razu rozpoznał twarz dziewczyny, która wcześniej tego dnia próbowała na targu odciąć jego pugilares.

Poczuł wielkie zdziwienie, zmieszanie; na jej widok coś wyraźnie w nim drgnęło.

– Podaj mi rękę – powiedziała szybko dziewczyna.

– Nie pamiętasz mnie?

– A powinnam?

– Próbowалаś mnie okraść dzisiaj na targu...

– Przykro mi, ale to nie pora na wspominki. Jeśli ich szybko nie zgubimy, będzie po nas.

Jakby chcąc zilustrować jej słowa, obok nich świsnęła w powietrzu strzała. Ezio założył jej rękę na swoje barki i objął ją w talii, wspierając ją tak, jak niegdyś Lorenza.

– Dokąd idziemy?

– Do kanału.

– No jasne – odparł z sarkazmem w głosie. – Przecież macie tu tylko jeden, prawda?

– Cholernie się stawiasz jak na przybysza! Chodź – pokażę ci – ale szybko! Patrz, już są za nami!

Miała rację – kilku strażników biegło już wybrukowaną uliczką w ich kierunku.

Trzymając się ręką za zranione udo, cała spięta od bólu, dziewczyna kazała Eziowi przejść jeszcze kawałek na wprost, potem skrócić w boczną uliczkę, potem znów skrócić, i znów, i znów, i znów, aż Ezio zupełnie stracił orientację. Głosy ścigających ich mężczyzn stopniowo słaby, by w końcu całkowicie ucichnąć. Zgubili ich.

– To najemnicy, którzy ściągnęli tu z lądu – powiedziała dziewczyna z wyraźną pogardą w głosie. – Z nami, miejscowymi, nie mają żadnych szans. Zbyt łatwo się gubią. Chodźmy!

Dotarli do molo przy Canale della Misericordia. Cumowała przy nim wyjątkowo nijaka łódź z dwoma mężczyznami w środku. Widząc Ezia i dziewczynę, jeden z nich zaczął zdejmować cumy, a drugi pomógł im zająć miejsce w środku.

– Kto to? – zapytał dziewczynę.

– Nie mam pojęcia, ale pojawił się we właściwym miejscu o właściwym

czasie i najwyraźniej nie należy do przyjaciół Emilia.

Już prawie mdlała.

– Jest zraniona w udo – powiedział Ezio.

– Teraz nie mogę tego wydobyć – powiedział mężczyzna, patrząc na miejsce, w którym utkwiał grot. – Nie mam tu ani żadnego balsamu, ani bandażu. Musimy jak najszybciej zawieźć ją do domu, zanim szczury Emilia wpadną na nasz trop. A tak w ogóle, to ktoś ty?

– Nazywam się Auditore. Ezio Auditore. Z Florencji.

– Hm. Ja jestem Ugo. Ona to Rosa, a ten przy wiosłach to Paganino. Nie przepadamy zbytnio za obcymi.

– Kim jesteście? – zapytał Ezio, ignorując ostatni przytyk.

– Zawodowymi wyzwolicielami cudzej własności – rzekł Ugo.

– Złodziejami – wyjaśnił Paganino ze śmiechem.

– Wszystko potrafisz odrzeć z poetyki – powiedział Ugo z udawanym smutkiem w głosie i prawie natychmiast zerwał się na równe nogi. – Uwaga! – krzyknął.

W kadłub łodzi głucho uderzyła najpierw jedna, a potem kolejna strzała, nadlatując skądś z góry. Podnieśli wzrok i na pobliskim dachu zobaczyli dwóch łuczników Barbariga zakładających nowe strzały i naciągających cięciwy. Ugo ze schowka w łodzi wyciągnął po omacku krótką, lecz groźnie wyglądającą kuszę, którą szybko załadował i wycelował. Wystrzelił, a Ezio rzucił w łuczników w krótkim odstępie dwa noże. Obydwaj z krzykiem na ustach wpadli do kanału poniżej.

– Ta kanalia rozstawiła swoich zbirów dosłownie wszędzie – odezwał się do Paganina Ugo niemal gawędziarskim tonem.

Obaj byli raczej niskiego wzrostu, szerocy w barkach, mieli niewiele ponad dwadzieścia lat. Manewrowali łodzią bardzo wprawnie i co do tego, że znają system kanałów jak własną kieszeń, nie było cienia wątpliwości – nie raz Ezio miał wrażenie, że skręcili w odpowiednik ślepej uliczki, tymczasem to, co wydawało mu się ścianą z cegieł, okazywało się bardzo niskim łukiem,

pod którym, jeśli tylko wszyscy się nisko schylili, łódź mogła bez trudu przepłynąć.

– Po co chcieliście dostać się do Palazzo Seta? – zapytał Ezio.

– A co ci do tego? – odparł Ugo.

– Emilio Barbarigo nie należy do moich przyjaciół. Być może moglibyśmy sobie pomóc.

– A dlaczegóż to myślisz, że potrzebujemy jakiegokolwiek pomocy? – zaripostował Ugo.

– Daj już spokój, Ugo – wtrąciła Rosa. – Nie widzisz, co właśnie dla nas zrobił? I nie zapominaj, że uratował mi życie. Z nas wszystkich to ja najlepiej umiem się wspinać. Beze mnie nigdy nie uda się nam przeniknąć do tego kłębowiska żmij. Emilio dąży do ustanowienia swojego monopolu na handel w mieście – zwróciła się do Ezia. – To bardzo wpływowy człowiek, trzyma w garści kilku członków rady. Dochodzi już do tego, że każdemu kupcowi, który się mu przeciwstawia i stara się zachować niezależność, po prostu zamyka się usta.

– Ale przecież wy nie jesteście kupcami – jesteście złodziejami!

– Zawodowymi złodziejami – poprawiła Ezia Rosa. – Indywidualni kupcy, osobne sklepiki i odwiedzający je pojedynczy ludzie – ich wszystkich łatwiej jest okraść niż zorganizowany monopol. Poza tym, wszyscy są ubezpieczeni, a towarzystwa ubezpieczeniowe po tym, jak oskubały już swoich klientów, każąc im płacić niebotyczne składki, chętnie wypłacają odszkodowania. I tak wszyscy są zadowoleni. Przez Emilia Wenecja dla takich jak my stanie się istną pustynią.

– Nie wspominając już o tym, że ten gnojek dąży nie tylko do przejęcia kontroli nad interesami, ale nad całym miastem – wtrącił Ugo. – Ale to objaśni ci już Antonio.

– Antonio? A kto to?

– Przekonasz się już wkrótce, panie florentczyku.

Dopłynęli w końcu do molo, przycumowali łódź i szybko ją opuścili – rana

Rosy wymagała jak najszybszego oczyszczenia i opatrzenia. Paganino pozostał przy łodzi, a Ugo i Ezio, trzymając między sobą Rosę, która z upływu krwi straciła już przytomność, ruszyli przed siebie jeszcze jedną, krętą uliczką z domami z ciemnej cegły i drewna, pokonując niewielką odległość, jaka dzieliła ich od małego placu ze studnią i drzewem pośrodku. Okalały go brudne, zaniedbane budynki, z których tynk musiał odpaść już sporo lat temu.

Skierowali się do przybrudzonych, czerwonych drzwi w fasadzie jednego z domów, a Ugo zastukał w nie, wybijając skomplikowany rytm. Na krótką chwilę uchylił się w nich judasz, a potem drzwi szybko się otworzyły i równie szybko za nimi zamknęły. Wiele było tu zaniedbań, ale – co odnotował Ezio – zawiasy, zamek i rygle były dobrze naoliwione i oczyszczone z rdzy.

Znaleźli się na obskurnym dziedzińcu, otoczonym wysokimi, przybrudzonymi ścianami z okazałą liczbą okien. Po obu stronach dziedzińca biegły ku górze drewniane schody, łącząc się z krużgankami, ciągnącymi się przez całą szerokość muru na wysokości pierwszej i drugiej kondygnacji. Wzdłuż krużganków widniały rzędy drzwi.

Na dziedzińcu zgromadziła się garstka ludzi, z których część Ezio widział już wcześniej podczas bijatyki pod Palazzo Seta. Ugo od razu zaczął wydawać im rozkazy.

– Gdzie Antonio? Sprowadźcie go tu! Zróbcie miejsce dla Rosy, przynieście jakiś koc, balsam, ciepłą wodę, ostry nóż, bandażę...

Jakiś człowiek poderwał się, wbiegł po schodach i zniknął za jednymi z drzwi na pierwszym piętrze budynku. Dwie kobiety rozwinęły jakąś w miarę czystą matę i z troską ułożyły na niej Rosę. Trzecia na chwilę gdzieś odeszła, po czym wróciła z kompletem przyborów lekarskich, o które prosił Ugo. Rosa zaczęła odzyskiwać przytomność. Widząc Ezia, wyciągnęła do niego rękę. Podał jej swoją dłoń i klęknął przy niej.

– Gdzie jesteśmy?

– Wydaje mi się, że w kwaterze głównej twoich ludzi. W każdym razie nic ci tu nie grozi.

Ścisnęła mocniej dłoń Ezia.

– Przepraszam, że próbowałam cię okraść.

– Nie myśl już o tym.

– Dziękuję, że uratowałeś mi życie.

Ezio zaczynał się niepokoić. Rosa stawała się coraz bledsza. Jeśli faktycznie chcieli ją uratować, musieli działać szybko.

– Nie martw się, Antonio będzie wiedział, co robić – powiedział do Ezia Ugo, gdy ten już wstał.

Po schodach zbiegł dość dobrze ubrany, niespełna czterdziestoletni mężczyzna, z wielkim, złotym kolczykiem w lewym uchu i w chuście na głowie. Skierował się od razu ku Rosie, klęknął przy niej i pstryknął palcami, by ktoś podał mu przybory.

– Antonio! – powiedziała Rosa.

– Co się stało, mój mały kwiatuszku? – zapytał Antonio z szorstkim akcentem rodowitego weneccjanina.

– Nieważne, po prostu wyciągnij ze mnie to świństwo – odrzekła Rosa, wykrzywiając twarz w grymasie.

– Niech się tylko temu przyjrzę – rzekł Antonio, zmieniając nagle ton głosu na poważny.

Zbadał dokładnie ranę.

– Czysty wlot i czysty wylot, wszystko w obrębie uda. Przeszło obok kości. Masz szczęście, że to nie był kuszy.

Rosa zacisnęła zęby.

– Po prostu. To. Wyciągnij.

– Włóżcie jej coś między zęby! – powiedział Antonio.

Odlamał lotkę strzały, końcówkę grotu owinął kawałkiem materiału, nawilżył wlot i wylot rany balsamem i pociągnął.

Rosa wypluła szmatkę, którą wepchnięto jej w usta i wrzasnęła.

– Przepraszam, maleńka – powiedział Antonio, wciąż uciskając dłońmi obydwie końce rany.

– Pieprzę cię i twoje przeprosiny, Antonio! – krzyczała Rosa, przytrzymywana w pozycji leżącej przez kobiety.

Antonio spojrzał w górę na jedną z przyglądających mu się osób.

– Michiel! Idź szybko po Biankę! A ty – tu spojrzał przenikliwym wzrokiem na Ezia – pomóż mi z tym! Weź te opatrunki i przytknij je do ran jak tylko zdejmę z nich dłonie. Potem będziemy mogli to właściwie zabandażować.

Ezio pospieszył z pomocą. Pod swymi dłońmi poczuł ciepło uda Rosy i dreszcz reakcji na jego dotyk; starał się nie patrzeć Rosie w oczy. Tymczasem Antonio uwijał się przy ranie. W końcu odsunął ramieniem Ezia i zgiął kilka razy nienagannie zabandażowaną nogę Rosy w stawie.

– W porządku – powiedział. – Upłynie trochę czasu, zanim znów będziesz mogła wspinać się na mury, ale po ranie nie powinno być śladu. Bądź tylko cierpliwa! Bo dobrze cię znam!

– Czy to musiało tak cholernie boleć, ty niezdarny idioto?! – wybuchła gniewem Rosa. – Niech cię zaraza! Ciebie i twoją matkę dziwkę!

– Zabierzcie ją do środka – powiedział uśmiechając się pobłaźliwie Antonio. – Ugo, idź z nią. Zadbaj, żeby dobrze odpoczęła.

Cztery kobiety podniosły matę za jej rogi i wniosły wciąż protestującą Rosę przez jedne z drzwi na parterze. Antonio odprowadził je wzrokiem, po czym zwrócił się do Ezia.

– Dziękuję ci – powiedział. – Ta mała dziwka to mój najdroższy skarb. Gdybym ją stracił...

Ezio wzruszył ramionami.

– Zawsze miałem słabość do dam w opałach.

– Dobrze, że Rosa tego nie słyszy, Ezio Auditore. Mimo wszystko twoja prawdziwa reputacja znaczy więcej niż twoje słowa.

– Nie zauważyłem, by Ugo powiedział ci, jak się nazywam – odparł Ezio,

w którym Antonio obudził nagle czujność.

– Nie zrobił tego. Wszyscy tu znamy twoją robotę we Florencji i San Gimignano. Dobrą robotę, nawet jeśli ciut niewyrafinowaną.

– Kim jesteście?

Antonio rozłożył ręce.

– Witaj w kwaterze głównej Gildii Zawodowych Weneckich Złodziei i Sutenerów – powiedział. – Nazywam się Antonio Magianis i zarządzam tym interesem – ukłonił się z wyraźną ironią. – Oczywiście okradamy wyłącznie bogatych i rozdajemy ubogim, no i oczywiście nasze dziwki wolą mówić o sobie „kurtyzany”.

– I wiesz pewnie, po co tu jestem?

Antonio uśmiechnął się.

– Mam pewne podejrzenia – ale nie podzieliłem się nimi z żadnym z moich... pracowników. Chodź! Pójdziemy do mojego gabinetu i porozmawiamy.

Gabinet Antonia tak żywo przypomniał Eziowi gabinet wuja Maria, że gdy tam wszedł, z trudem udało się mu ukryć wielkie zaskoczenie. Sam nie wiedział, czego dokładnie się spodziewał – przed oczami miał komnatę pełną ksiąg, i to ksiąg drogich, w solidnych oprawach, najwyższej jakości tureckie dywany, meble z orzecha włoskiego i bukszpanu oraz połyskujące srebrem kinkiety i kandelabry.

W komnacie dominował ustawiony pośrodku stół, na którym spoczywał sporych rozmiarów model Palazzo Seta i jego bezpośredniego otoczenia. Dookoła głównego budynku, jak również i w jego obrębie stały niezliczone drewniane manekiny. Antonio skinął ręką na Ezią, wskazując mu krzesło, a sam zajął się czymś przy wygodnie urządzonej kuchni w rogu pomieszczenia, skąd dobiegał dziwnie intrygujący, choć zupełnie nieznanymi Eziowi zapach.

– Mogę ci coś zaproponować? – powiedział Antonio. – *Biscotti? Un caffè?*

Antonio tak bardzo przypominał Eziowi Maria, że aż stawało się to

niepokojące.

– Przepraszam, co takiego?

– Kawę – Antonio wyprostował się i zwrócił do Ezia. – Interesujący napój, który przywiózł mi pewien turecki kupiec. Proszę, skosztuj!

I podał mu małą, białą, porcelanową filiżankę z gorącym, czarnym płynem, znad którego unosił się ostry, charakterystyczny aromat. Ezio spróbował. Trochę sparzył sobie usta, ale napój nie był zły. Powiedział to Antoniowi, po czym nieroztropnie dodał:

– Może byłaby lepsza ze śmietaną i cukrem?

– To najlepszy sposób, by ją popsuć! – burknął Antonio, wyraźnie urażony.

Wkrótce po tym, jak skończyli pić kawę, Ezio poczuł, jak jego ciało wypełnia nieznaną mu dotąd, nerwowa, energetyczna fala. Pomyślał, że gdy następnym razem zobaczy Leonarda, powie mu o tym napoju. Tymczasem Antonio wskazał na model Palazzo Seta.

– To były nasze pozycje, z których mieliśmy ruszyć, gdyby Rosie udało się przeniknąć do środka i otworzyć bramy do podziemnych przejść. Ale jak dobrze wiesz, zobaczyli ją, postrzelili i zmusili nas do odwrotu. Teraz musimy się przeorganizować, a Emilio zyska czas, by wzmocnić obronę pałacu. Co gorsza, cała ta operacja była kosztowna. A ja jestem teraz spłukany prawie do ostatniego *soldo*.

– Emilio musi być teraz nadziany – powiedział Ezio. – Może zaatakowalibyśmy go raz jeszcze i uwolnili od zbędnego ciężaru?

– Czyś ty mnie w ogóle słuchał? Nasze zasoby są srogo nadwyżone, a on z pewnością wzmógł czujność. Nigdy nie uda się nam go pokonać bez elementu zaskoczenia. Poza tym ma dwóch silnych kuzynów, braci Marca i Agostina, którzy w każdej chwili mogą udzielić mu wsparcia. Choć ja akurat uważam, że Agostino to koniec końców dobry człowiek. Jeśli zaś chodzi o Moceniga... No cóż, nasz doża to również dobry człowiek, tyle że trochę oderwany od życia. Pozostawia sferę interesów w rękach innych, a za sznurki tych innych pociąga już od jakiegoś czasu Emilio – popatrzył

poważnie na Ezia. – Potrzebujemy pomocy, by znów napełnić nasze szkatuły. Zdaje mi się, że ty właśnie takiej pomocy możesz nam udzielić. Jeśli to zrobisz, dowiedziesz, żeś naszym sprzymierzeńcem, któremu warto pomóc. Czy podjąłbyś się takiej misji, panie Śmietano-z-Cukrem?

Ezio uśmiechnął się.

– Ależ proszę, wypróbuj mnie – powiedział.

14

Trochę to wszystko trwało, a rozmowa ze sceptycznie nastawionym głównym skarbnikiem Gildii Złodziei nie należała do przyjemnych, ale w końcu Ezio mógł wykorzystać umiejętności, których nauczył się od Paoli, i zaczął okradać bogatych mieszkańców Wenecji, głównie tych, których podejrzewał o związki bądź sojusz z Emiliem. Kilka miesięcy później, kiedy został już honorowym członkiem Gildii, wraz ze swoimi współtowarzyszami wpłacił do skatuli związku dwa tysiące *ducati* – sumę potrzebną Antoniemu do powtórnego przeprowadzenia szturm na siedzibę Emilia. Niestety, Gildia okupiła to pewnym kosztem. Cześć jej członków została schwytana i wtrącona do więzień. Tak więc mimo iż złodzieje dysponowali obecnie odpowiednimi zasobami finansowymi, ich stan liczebny został nieco uszczuplony.

Emilio Barbarigo popełnił jednak wynikający z buty i arogancji błąd. Pojmanych złodziei dla przykładu wystawił na widok publiczny w ciasnych, żelaznych klatkach w różnych miejscach kontrolowanej przez siebie dzielnicy. Gdyby tylko trzymał ich w lochach swojego pałacu, żadna siła nie mogłaby ich stamtąd uwolnić. Ale on wolał ich pokazać, pozbawionych jedzenia i wody, szturchanych przez strażników, gdy próbowali choćby na chwilę zamknąć oczy i zapaść w sen. Chciał publicznie zagłodzić ich na śmierć.

– Nie przeżyją dłużej niż sześć dni bez wody, nie wspominając już o braku jedzenia – powiedział Ugo do Ezia.

– Co na to Antonio?

– Że to ty masz zorganizować akcję ich uwolnienia.

„Ilu dowodów na moją lojalność potrzebuje jeszcze ten człowiek?” – pomyślał Ezio, zanim zdał sobie sprawę, że zdobył już zaufanie Antonia, i to

do takiego stopnia, że Księżę Złodziei powierza mu tak kluczową misję. Nie miał zbyt wiele czasu.

Ugo i Ezio zaczęli od obserwacji straży i zmian warty. Okazało się, że dozór sprawuje jedna grupa strażników, przechodząca cyklicznie od jednej klatki do drugiej. Mimo iż każdą z klatek otaczał cały czas tłumek gapiów, wśród których mogli być szpiedzy Barbariga, Ezio postanowił zaryzykować. Podczas nocnej zmiany, kiedy przy klatkach kręciło się zdecydowanie mniej ciekawskich, podeszli w pobliże pierwszej z nich i czekali, aż strażnicy skierują swoje kroki ku drugiej. Gdy patrol zniknął im z oczu, Ezio i Ugo doskoczyli do klatki i zręcznie otworzyli jej zamki, podniesieni na duchu przez entuzjastyczne okrzyki garstki gapiów, którym naprawdę było wszystko jedno, po czyjej stronie jest racja – dopóki mogli się dobrze bawić, mieli to gdzieś. Niektórzy z nich przeszli z Eziem i Ugiem do drugiej, a nawet do trzeciej klatki. Uwolnieni mężczyźni i kobiety, po prawie trzech dobach od uwięzienia, byli w opłakanym stanie; dobrze, że przynajmniej nie zakuto ich w kajdany, dzięki czemu Ezio mógł zaprowadzić ich do studni, które w Wenecji znajdowały się pośrodku praktycznie każdego placu; szybko więc zaspokoiли swoją pierwszą i najważniejszą potrzebę – pragnienie.

Gdy trwająca od zmierzchu aż do pierwszego piana koguta misja dobiegła końca, Ugo i jego uwolnieni towarzysze zaczęli patrzeć na Ezia z najwyższym szacunkiem.

– Uwolnienie moich braci i sióstr to coś więcej niż akt miłosierdzia, Ezio – powiedział mu Ugo. – Ci ludzie za kilka tygodni będą mogli odegrać znaczącą rolę... I wiedz – jego głos stał się bardziej uroczysty – że nasza Gildia zaciągnęła u ciebie dozgonny dług wdzięczności.

W końcu dotarli do kwatery głównej. Antonio objął Ezia, lecz jego twarz nie zdradzała oznak radości.

– Co z Rosą? – zapytał go Ezio.

– Jej stan się poprawia, ale została zraniona poważniej, niż się nam

wydawało, a teraz w dodatku chce biegać zanim dobrze nauczy się chodzić!

– Cała Rosa.

– No właśnie – Antonio przerwał na dłuższą chwilę, po czym dodał: –
Chce się z tobą widzieć.

– Doprawdy? Pochlebia mi to.

– Dlaczego? W końcu jesteś bohaterem!

Kilka dni później Ezio został wezwany do gabinetu Antonia, gdzie zastał go ślęczącego nad modelem Palazzo Seta. Małe, drewniane figurki ludzi rozstawił inaczej niż ostatnio, a na stole obok leżał stos papierów z obliczeniami i notatkami.

– O, Ezio!

– Wzywałeś mnie.

– Wróciłem właśnie ze swojego małego wypadu na teren wroga. Udało się nam przechwycić trzy łodzie z uzbrojeniem, zmierzające do pałacu naszego drogiego Emilia. Wydaje mi się więc, że moglibyśmy zorganizować teraz mały bal przebierańców. Tym razem założylibyśmy mundury łuczników Barbariga.

– Doskonale. W ten sposób udałoby się nam wejść do fortecy bez żadnych przeszkód. Kiedy zaczynamy?

Antonio uniósł dłoń.

– Nie tak szybko, mój drogi. Jest pewien problem i w związku z nim wezwałem cię tutaj. Potrzebuję twojej rady.

– To dla mnie zaszczyt.

– To nie tak. Po prostu cenię sobie twoją opinię. Otóż z najlepszych źródeł wiem, że niektórzy z moich ludzi zostali przekupieni przez Emilia i zostali jego szpiegami – przerwał na chwilę. – Nie możemy uderzyć, dopóki nie rozprawimy się ze zdrajcami. Posłuchaj, Ezio... Wiem, że mogę na tobie polegać, i że w Gildii jesteś jeszcze stosunkowo mało znany. Gdybym udzielił ci wskazówek, gdzie szukać zdrajców, to czy byłbyś w stanie się nimi zająć? Mógłbyś wziąć ze sobą Uga jako wsparcie, i tylu ludzi, ilu tylko

potrzebujesz.

– *Messer Antonio*, upadek Emilia jest dla mnie tak samo ważny jak dla ciebie. Połączmy zatem swoje wysiłki.

Antonio uśmiechnął się.

– Na taką właśnie odpowiedź liczyłem! – skinął ręką na Ezia, zapraszając go do stołu z mapami, który znajdował się przy oknie. – Oto plan miasta. Ci z moich ludzi, którzy przeszli na stronę wroga, spotykają się – jak poinformowali mnie moi szpiedzy – w tej oto tawernie. Jej nazwa to „*Il Vecchio Specchio*”. To tam kontaktują się z agentami Emilia, wymieniają informacje i przyjmują rozkazy.

– Ilu ich jest?

– Pięciu.

– Co mam z nimi zrobić?

Antonio spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego pytasz? Musisz ich zabić, mój drogi.

Ezio wybrał spośród ludzi Antonia tych, którzy według niego najlepiej nadawali się do misji. Zwołał ich nazajutrz, gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi. Plan działania opracował już wcześniej. Przebrał swój oddział w pochodzące z przejętych łodzi mundury Barbariga. Wiedział, o czym powiedział mu Antonio, iż Emilio był przekonany, że uzbrojenie i cały skradziony sprzęt stracił na morzu, zatem jego ludzie nie mogli niczego podejrzewać. Wraz z Ugiem i czterema innymi mężczyznami udał się do „*Il Vecchio Specchio*”. Do środka weszli krótko po zapadnięciu zmroku. Tawerna stanowiła miejsce spotkań ludzi Barbariga, ale o tej porze znajdowała się tam zaledwie garstka klientów, nie licząc zdrajców Antonia i ich „opiekunów”. Ci zaś praktycznie wcale nie zwrócili uwagi na wchodzących do gospody strażników Barbariga – zrobili to dopiero wtedy, gdy zostali przez nich otoczeni. Ugo zdjął z głowy kaptur, ukazując w słabym świetle tawerny swoją twarz. Konspiratorzy zerwali się na równe nogi, z zaskoczeniem i przerażeniem malującym się na twarzach. Ezio

położył dłoń na ramieniu najbliżej stojącego zdrajcy i z niewielkim, obojętnym wysiłkiem, zatopił wysunięte przed chwilą ostrze swojego sztyletu między oczami mężczyzny. Ugo i pozostali poszli za jego przykładem, wysyłając na tamten świat resztę swoich wiarołomnych towarzyszy.

Rosa stopniowo wracała do zdrowia, choć jej wrodzona niecierpliwość na pewno jej w tym nie pomagała. Co prawda chodziła już o własnych siłach, ale musiała podierać się laską, a jej zraniona noga wciąż była w bandażach. Ezio, wbrew sobie i przepraszając w duchu Cristinę Calfucci, spędzał w jej towarzystwie tyle czasu, ile tylko mógł.

– *Salute*, Rosa – powiedział do niej kiedyś, ujrawszy ją o poranku. – Co słychać? Widzę, że z nogą coraz lepiej.

Rosa wzruszyła ramionami.

– To trwa już całą wieczność, ale faktycznie – widać już koniec. A ty? Jak ci się podoba nasze małe miasteczko?

– Wspaniałe miasto! Ale jak sobie radzicie z tym zapachem, jaki wionie od kanałów?

– Przyzwyczajiliśmy się do niego. Nam pewnie nie spodobałby się kurz i brud, jaki macie we Florencji. Cóż tym razem sprowadza cię do mnie? – zapytała po chwili.

Ezio uśmiechnął się znacząco.

– To, co myślisz i to, o czym nie myślisz – zawahał się, po czym dokończył. – Miałem nadzieję, że nauczysz mnie wspinać się po murach tak jak ty.

Poklepała się w nogę.

– Może kiedyś... – powiedziała. – Ale skoro ci się spieszy... Mój przyjaciel, Franco, robi to prawie tak samo dobrze, jak ja. Franco! – zawołała.

W drzwiach prawie natychmiast pojawił się gibki, ciemnowłosy młodzian, a Ezio, ku własnemu zmieszaniu, poczuł ukłucie zazdrości, na tyle wyraźne, że dostrzegła to Rosa.

– Nie martw się, *tesoro*, on woli chłopców, zupełnie jak święty Sebastian. Ale poza tym, twarda z niego sztuka! Franco! Chciałabym, żebyś pokazał Eziowi kilka naszych sztuczek.

Wyjrzała przez okno. Przy opuszczonej budowli po drugiej stronie ulicy stało bambusowe rusztowanie z belkami powiązanymi skórzanymi rzemykami.

– Zabierz go tam, na dobry początek – powiedziała do Franca.

Ezio spędził pozostałą część przedpołudnia – jakieś trzy godziny – ścigając Franca po rusztowaniu pod czujnym okiem Rosy. Pod koniec umiał już wspiąć się na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość, niemal dorównując prędkością i dokładnością swojemu nauczycielowi; nauczył się też przeskakiwać z jednego zaczepu na ścianie na drugi, ale skacząc do góry – choć zaczął wątpić, by kiedykolwiek uda mu się osiągnąć sprawność i grację Rosy.

– Zjedz lekki obiad – powiedziała Rosa, skąpiąc mu jakiegokolwiek pochwały. – To jeszcze nie koniec na dzisiaj.

Po południu, w porze sjęsty, zabrała Ezia na plac rozciągający się przed ceglana fasadą wielkiej bazyliki Frari. Przez chwilę oboje z zadartymi głowami spoglądali na jej potężną bryłę.

– Wyjdź po niej – powiedziała Rosa. – Na sam szczyt kościoła. I zejdziesz tu do mnie, nim doliczę do trzystu.

Ezio, pocąc się z wysiłku, od którego aż kręciło mu się w głowie, zrobił, co kazała.

– Czterysta trzydzieści dziewięć – oznajmiła Rosa, gdy stanął obok niej. – Jeszcze raz!

Pod koniec piątej próby wyczerpany do granic Ezio czuł tylko jedno: chciał uderzyć Rosę w twarz. Od realizacji tego zamiaru odwiódł go jej uśmiech.

– Dwieście dziewięćdziesiąt trzy. Udało ci się, choć mało brakowało!

Mały tłumek gapiów, który zdążył się w tym czasie zgromadzić na placu, nagroził Ezia oklaskami.

15

Kolejne miesiące w Gildii Złodziei upływały na przygotowaniach uderzenia na Emilia – wiele rzeczy trzeba było przemyśleć od nowa, dopasować do nich uzbrojenie i plan działania. W końcu, pewnego ranka, do mieszkania Ezia przybył Ugo i zaprosił go na spotkanie w Gildii. Ezio spakował swoją tajną broń do torby i udał się z nim do kwatery głównej, gdzie zastali tryskającego energią Antonia, który raz jeszcze przedstawiał małe, drewniane figurki wokół modelu Palazzo Seta. Eziemu przyszło do głowy, że być może Antonio cierpi na jakąś obsesję. W gabinecie byli też Rosa, Franco i kilku innych ważniejszych członków Gildii.

– O, Ezio! – uśmiechnął się Antonio. – Dzięki twoim ostatnim sukcesom możemy już teraz przystąpić do kontrataku. Naszym celem jest magazyn Emilia, znajdujący się niedaleko jego pałacu. To jest nasz plan. Spójrz.

Stuknął palcem w model i wskazał na niebieskie żołnierzyki, rozstawione wzdłuż ścian magazynu.

– To są łucznicy Emilia. Nasze największe zagrożenie. Chciałbym, żebyś pod osłoną nocy wraz z kilkoma ludźmi wdrapał się na dachy budynków sąsiadujących z magazynem – wiem, że temu podołasz, dzięki treningowi Rosy. Potem zeskoczycie na łuczników i załatwicie ich. Musicie zrobić to cicho. Gdy wy będziecie kończyli swoje zadanie, nasi ludzie w mundurach strażników Barbariga wyjdą z uliczek rozchodzących się wokół magazynu i zajmą pozycje łuczników.

Ezio wskazał na czerwone figurki rozstawione za murami magazynu.

– A co ze strażnikami w środku? – zapytał.

– Gdy już skończycie z łucznikami, zbierzemy się tutaj... – Antonio wskazał znany Eziowi plac; to właśnie przy nim mieściła się nowa pracownia Leonarda.

Na chwilę oderwał się myślami od wywołu Antonia. Ciekawe, jak jego przyjaciel radzi sobie ze swoimi zleceniami...

– ...i szybko omówimy nasze dalsze działania.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał Ezio.

– Dziś w nocy!

– Świetnie! Potrzebuję zatem dwóch sprawnych mężczyzn. Ugo, Franco – idziecie ze mną?

Pokiwali głowami, uśmiechając się.

– Zajmiemy się łucznikami i spotkamy się tam, gdzie pokazałeś, panie.

– Gdy w miejscu łuczników pojawią się nasi ludzie, nikt nie będzie niczego podejrzewał.

– A co dalej?

– Gdy już zabezpieczymy magazyn, zaatakujemy sam pałac. Tylko pamiętajcie – musicie działać z ukrycia! Musimy ich całkowicie zaskoczyć! – Antonio uśmiechnął się i splunął. – Powodzenia, przyjaciele – *in bocca al lupo!*

– *Crepi il lupo!* – odrzekł Ezio i również splunął.

Cała operacja przebiegła tej nocy bez jakiegokolwiek zgrzytu. Łucznicy Barbariga nie mieli nawet okazji, by spojrzeć swoim zabójcom w oczy. Ludzie Antonia wymienili ich szybko i dyskretnie, a strażnicy w środku, nieświadomi tego, że ich kompani na zewnątrz zostali zlikwidowani, z łatwością poddali się szturmowi złodziei.

Kolejnym punktem w planie Antonia był atak na pałac, ale Ezio przekonał go, że lepiej najpierw rozeznac sytuację i że gotów jest zrobić to sam. Rosa, która dzięki wspólnym staraniom Antonia i Bianki praktycznie całkiem doszła do siebie i mogła wspinać się i skakać po murach tak jak przedtem, chciała iść z Eziem, lecz Antonio, ku jej złości, ostro zaoponował. Eziowi przyszło wtedy na myśl, że być może Antonio koniec końców woli poświęcić jego niż Rosę, ale odpędził te podejrzenia i przygotował się do rekonesansu, zakładając na lewe przedramię ochraniacz z metalową płytką i podwójnym

ostrzem, a na prawe – mechanizm ze zwykłym sprężynowym sztyletem. Miał przed sobą sporo trudnej wspinaczki i wolał nie ryzykować – ostrze z trucizną w każdych okolicznościach było niezwykle śmiertelnością bronią i nie chciał, by z powodu jakiegoś wypadku stało się jego własną zgubą.

Nasunął kaptur i korzystając z nowo poznanej techniki skoków w górę, przedarł się przez zewnętrzne mury pałacu i poruszając się niczym cień, wylądował na jego dachu i spojrzał w dół. Zobaczył dwóch mężczyzn pograżonych w rozmowie. Zdażali do bocznej bramy, prowadzącej do wąskiego, prywatnego kanału, który zakręcał na tyłach pałacu. Śledząc ich poczynania z dachu, Ezio spostrzegł, że przy małym molo cumuje gondola z dwoma odzianymi w czarne szaty gondolierami; jej latarnie były zgaszone. Poruszając się po dachu i ścianach sprawnie niczym gekon, Ezio spuścił się w dół i ukrył w koronie drzewa, skąd mógł słyszeć rozmowę śledzonych mężczyzn. Jednym z nich był sam Emilio Barbarigo, a drugim, co Ezio stwierdził z wielkim zaskoczeniem, Carlo Grimaldi, osoba z najbliższego otoczenia doży Monceniga. Z bliska okazało się, że towarzyszy im jeszcze jeden mężczyzna – najwyraźniej osobisty sekretarz Emilia, o patykowatej posturze, ubrany na szaro, z ciężkimi okularami, które co rusz zjeżdżały mu z nosa.

– Twój mały domek z kart zaczyna się rozpadać, Emilio – mówił Grimaldi.

– To tylko chwilowa, mało znacząca komplikacja. Zarówno kupcy, którzy ośmielają się mi sprzeciwić, jak i ten gnojek, Antonio Magianis, będą wkrótce albo martwi, albo zakuci w łańcuchy, albo będą machali wiosłami na jakiejś tureckiej galerze.

– Nie... Mam na myśli asasyna. On tu jest, wiesz? I to właśnie on sprawił, że Antonio tak bardzo się rozzuchwalił. Zobacz sam: każdy z nas został albo okradziony, albo włamano mu się do domu. Przechytrzyli nasze straże. Już dłużej nie uda mi się odwozić uwagi doży od tych spraw.

– Asasyn? Tutaj?

– Emilio, głupcze! Gdyby nasz pan dowiedział się, jaki z ciebie tępak,

byłoby już po tobie. Chyba wiesz, jak bardzo asasyn zaszkodził naszej sprawie we Florencji i San Gimignano?

– Zmiażdżę go jak pluskwę! – warknął Emilio zaciskając prawą pięść.

– No cóż, faktycznie jest pluskwą, bo wysysa z ciebie krew. Kto wie, może nawet gdzieś tu jest i podsłuchuje naszą rozmowę?

– Przestań, Carlo... Za chwilę mi powiesz, że wierzysz w duchy!

Grimaldi utkwiał w nim wzrok.

– Twoja arogancja cię ogłupia, Emilio. Nie jesteś w stanie ogarnąć szerszej perspektywy. Jesteś jak gruba ryba w małej sadzawce.

Emilio chwycił go za tunikę i ze złością przyciągnął do siebie.

– Wenecja będzie moja, Grimaldi! Zapewniłem Florencji broń. To nie moja wina, że ten idiota Jacopo nie zrobił z niej właściwego użytku! I nawet nie próbuj oczerniać mnie przed naszym Mistrzem... Gdybym tylko chciał, też mógłbym donieść mu o pewnych związanych z tobą sprawach, które...

– Dobrze już, nie zdzieraj sobie na próżno gardła! Muszę już iść. Pamiętaj! Spotkanie wyznaczono za dziesięć dni, przy kościele Santo Stefano, na zewnątrz Fiorelli.

– Pamiętam – odparł z wyraźnym niezadowoleniem Emilio. – Mistrz wtedy usłyszy, jak...

– To Mistrz będzie mówił, a ty będziesz słuchał! – odciął się Grimaldi. – Żegnaj!

Zajął miejsce w ciemnej gondoli, która po chwili odbiła od molo.

– *Cazzo!* – zamruczał Emilio do sekretarza, odprowadzając gondolę wzrokiem, aż zniknęła w mroku nocy, odpływając w kierunku Canale Grande. – A jeśli ma rację? A jeśli ten cholerny Ezio Auditore faktycznie tu jest? – zamyślił się na chwilę. – Niech gondolierzy będą gotowi! Obudź sukinsynów, jeśli będziesz musiał. Chcę jak najszybciej zabrać te rzeczy i chcę, by łódź była gotowa najpóźniej za pół godziny. Jeśli Grimaldi mówi prawdę, muszę znaleźć kryjówkę, przynajmniej do kolejnego spotkania. Mistrz już będzie wiedział, co zrobić z asasynem...

– Pewnie sprzymierzył się z Antoniem Magianisem – wtrącił sekretarz.

– Wiem o tym, idioto! – syknął Emilio. – Idź szybko po gondolierów. Potem pomożesz mi zapakować dokumenty, o których rozmawialiśmy, zanim nasz drogi przyjaciel Grimaldi złożył nam wizytę.

Sekretarz zniknął na chwilę, a gdy wrócił, obaj skierowali swe kroki do pałacu. Ezio podążył za nimi niczym duch, rozplywając się w mroku i stąpając ciszej niż kot. Wiedział, że Antonio będzie zwlekał z atakiem, czekając na wyraźny sygnał; teraz jednak za wszelką cenę chciał się dowiedzieć, o co chodziło Emiliowi – co było w dokumentach, o których wspomniał?

– Dlaczego ludzie nie chcą słuchać głosu rozsądku? – mówił do sekretarza Emilio. – Cała ta gadka o wolności i możliwościach... Wolność prowadzi do wzrostu przestępczości! Musimy sprawić, by państwo sprawowało kontrolę nad wszelkimi aspektami życia swoich obywateli, a z drugiej strony popuścić cugle bankierom i prywatnym finansistom. Tylko w ten sposób społeczeństwo ma szansę na rozkwit. A jeśli trzeba eliminować tych, którzy się temu sprzeciwiają, to cóż... Taka jest cena postępu. A asasyni... Oni należą do minionej epoki. Nie zdają sobie sprawy, że liczy się państwo, nie jednostka – pokręcił głową. – Na przykład taki Giovanni Auditore... I on był bankierem! Jak on godził jedno z drugim?

Ezio, na wzmiankę o swoim ojcu, wstrzymał na chwilę oddech, ale wciąż szedł za nimi – Emilio i jego sekretarz dotarli właśnie do gabinetu, skąd zabrali jakieś papiery, spakowali je do torby i wrócili na molo, przy którym czekała już inna, większa gondola.

Emilio, odbierając torbę z dokumentami z rąk sekretarza, wydał mu ostateczne polecenie:

– Wyślij mi później jakieś nocne odzienie. Adres znasz.

Sekretarz uklonił się i odszedł. W pobliżu nie było nikogo innego. Gondolierzy zdejmowali właśnie cumy – dziobową i rufową.

Ezio wystrzelił ze swojego ukrycia i wskoczył na gondolę, która

niebezpiecznie się zakołysała. Dwoma błyskawicznymi ruchami łokci wtrącił gondolierów do wody, a potem chwycił Emilia pod gardło.

– Straże! Straże! – usiłował wydobyć z siebie głos Emilio, próbując jednocześnie dobyć sztylet zza swojego pasa.

Ezio chwycił go za nadgarstek niemal w tym samym momencie, gdy ten zamierzał zatopić ostrze w jego brzuchu.

– Nie tak szybko – powiedział Ezio.

– Asasyn! To ty! – warknął Emilio.

– We własnej osobie.

– Zabiłem twojego wroga!

– To jeszcze nie czyni cię moim przyjacielem.

– Zabijając mnie niczego nie zyskasz, Auditore.

– Wydaje mi się, że przynajmniej uwolnię Wenecję od dokuczliwej... pluskwy – powiedział Ezio, wysuwając swój sprężynowy sztylet. – *Requiescat in pace.*

Nie czekając już dłużej, gładkim ruchem wepchnął śmiertcionośne ostrze między łopatki Emilia – śmierć przyszła szybko i cicho. Sprawność Ezia w zabijaniu doskonale współgrała z chłodną jak stal determinacją, z którą wypełniał swoje przeznaczenie.

Przerzuciwszy ciało Emilia przez burtę gondoli, Ezio zaczął grzebać w dokumentach znajdujących się w torbie. Przeglądając je szybko, pomyślał, że Antonio znajdzie wśród nich wiele interesujących go rzeczy. Nie miał czasu, by przyjrzeć się im dokładnie, ale jego uwagę przykuł jeden z nich – był to zwinięty w rulon i zapieczętowany welin. Kolejna karta z Kodeksu!

Już zamierzał złamać plombę, gdy usłyszał świst strzały, a potem jej rozedrgany dźwięk, gdy jej grot wbił się już w podłogę gondoli między jego stopami. Natychmiast przykucnął i spojrzał w kierunku, z którego nadleciała strzała. Wysoko ponad nim, na szczytach pałacu, stała spora liczba łuczników Barbariga.

Nagle jeden z nich pomachał do Ezia, po czym z gracją akrobaty zeskoczył

w dół z wysokiego muru. W kolejnej chwili był już w jego ramionach.

– Przepraszam, Ezio – głupi żart! Ale nie mogliśmy się oprzeć.

– Rosa!

Przytuliła się do niego najmocniej, jak tylko mogła.

– Zwarta i gotowa do walki!

Popatrzyła na niego rozpromieniona.

– Palazzo Seta zdobyty! Uwolniliśmy już kupców, którzy sprzeciwiali się Emiliowi, i kontrolujemy dzielnicę. A teraz chodź! Antonio chce wydać fetę, a o piwnicach z winami Emilia krążą legendy!

Czas płynął. Wenecja cieszyła się spokojem. Nikt nie żałował, że w mieście nie ma już Emilia; przeciwnie – wielu myślało, że wciąż żyje, a niektórzy, nie dając wiary w jego śmierć, uważali, że wyjechał do Królestwa Neapolu, by doglądać tam swoich interesów. Antonio zadbał o to, by w Palazzo Seta wszystko działało jak w zegarku i dopóki nic nie zaburzało kupieckiego życia Wenecji, nikogo nie obchodził los tego czy innego przedsiębiorcy, niezależnie od jego ambicji i sukcesów.

Ezio i Rosa zbliżyli się do siebie, choć wciąż istniała między nimi zacięta rywalizacja. Teraz, gdy Rosa była już w pełni sił, chciała się sprawdzić. Pewnego ranka zawitała w mieszkaniu Ezia i powiedziała:

– Posłuchaj, Ezio, wydaje mi się, że dobrze by ci zrobiło odświeżenie umiejętności. Chciałabym się przekonać, czy wciąż jesteś tak dobry jak wtedy, gdy szkoliliśmy cię z Franco. Co powiesz na mały wyścig?

– Wyścig?

– Tak.

– Dokąd?

– Stąd do punktu poboru ceł – do Punta della Dogana! Uwaga, start!

Wyskoczyła przez okno zanim Ezio zdążył jakkolwiek zareagować. Popatrzył za nią – biegła już po czerwonych dachach budynków, skacząc z jednego na drugi; wydawało się, że tańczy ponad oddzielającymi budynki kanałami. Zrzucił z siebie tunikę i ruszył za nią.

W końcu prawie jednocześnie wbiegli na dach drewnianej budowli, stojącej na skrawku łądu na obrzeżach Dorsoduro, wnoszącej się nad kanałem św. Marka i wenecką laguną. Na sąsiednim brzegu stały niskie zabudowania opactwa San Giorgio Maggiore, a po przeciwnej stronie lśniły różowe marmury na fasadzie Pałacu Dożów.

– Wygląda na to, że wygrałem – powiedział Ezio.

– Bzdura – zmarszczyła brwi. – Poza tym, upierając się przy swoim zwycięstwie, zdradzasz, że nie masz ani na jotę kultury i że nie jesteś stąd. Czegóż jednak można spodziewać się po florentczyku? Tak czy inaczej, kłamca z ciebie – dodała po chwili. – Wygrałam ja.

Ezio wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Jak sobie życzysz, *carissima*.

– W takim razie zwycięzca odbiera nagrodę – powiedziała przyciągając go do siebie i całując namiętnie w usta.

Ezio poczuł bliskość jej ciała, które naraz stało się wiotkie, ciepłe i nieskończenie uległe.

16

Co prawda Emilio Barbarigo nie mógł już stawić się na spotkaniu na placu San Stefano we własnej osobie, jednak Ezio z pewnością nie zamierzał go opuścić. Pojawił się tam o świcie, ale plac tętnił już życiem. Nasunął kaptur i wtopił się w tłum, mając oczy i uszy szeroko otwarte.

Dobiegał końca rok 1485. Templariusze wciąż byli silni, a walka z nimi wydawała się nie mieć końca. Ezio zaczął nabierać przekonania, że podobnie jak to było w przypadku ojca i wuja, walka ta stanie się treścią jego życia.

W końcu ujrzał Carla Grimaldiego, nadchodzącego w towarzystwie drugiego mężczyzny o ascetycznym wyglądzie, którego gęste, kasztanowe włosy i broda zupełnie nie współgrały z bladą, niebieskawą wręcz karnacją. Ubrany był w czerwone szaty państwowego urzędnika sądowego. Ezio rozpoznał go w końcu – był to Silvio Barbarigo, kuzyn Emilia, noszący przydomek „*Il Rosso*”. Dziś najwyraźniej nie był w przesadnie dobrym nastroju.

– Gdzie jest Emilio? – zapytał niecierpliwie.

– Powiedziałem mu, żeby się tu stawił – rzekł Grimaldi, wzruszając ramionami.

– Powiedziałeś mu to sam? Osobiście?

– Tak – odwarknął Grimaldi. – Sam! Osobiście! Niepokoi mnie twój brak zaufania!

– Taki już jestem – mruknął Silvio.

Słyszając to, Grimaldi zacisnął zęby. Silvio, zupełnie nie przejmując się tym, że go rozzłościł, rozglądał się wkoło, sprawiając wrażenie roztargnionego.

– No cóż, może przyjdzie z innymi. Pospacerujmy przez chwilę.

Zaczęli przechadzać się po rozległym, prostokątnym placu. Minęli kościół San Vidal, pałace przy ślepej odnodze Canale Grande i doszli do kościoła

San Stefano po przeciwnej stronie placu, zatrzymując się od czasu do czasu i rzucając okiem na towary, które kupcy wykładali właśnie na swoje stragany. Ezio śledził ich przez cały czas, choć było to trudne. Grimaldi, wyraźnie spięty, ciągle podejrzliwie się rozglądał. Chwilami Ezio musiał naprawdę dobrze się natrudzić, by pozostać niezauważonym i jednocześnie ich słyszeć.

– Skoro i tak czekamy, to może podzielilibyś się tym, co słyhać w Pałacu Dożów – powiedział Silvio.

Grimaldi rozłożył ręce.

– Cóż, jeśli mam być z tobą szczery, to powiem ci, że niełatwo się czegokolwiek dowiedzieć. Mocenigo bardzo zawęził krąg zaufanych osób. Próbowałem go zainteresować naszą sprawą, ale oczywiście nie jestem jedynym, który zabiega o jego uwagę; poza tym może i jest stary, ale to naprawdę szczywany lis.

Silvio podniósł z jednego ze straganów szklaną, filigranową figurkę, przyjrzał się jej z uwagą, po czym odłożył ją na miejsce.

– W takim razie musisz się bardziej postarać, Grimaldi. Musisz przeniknąć do tego wąskiego grona.

– Już i tak jestem jednym z jego najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników. Dojście do tej pozycji zajęło mi wiele lat! Wiele lat starannego planowania, czekania i znoszenia upokorzeń.

– Tak, tak, wiem – powiedział niecierpliwie Silvio. – Ale jaki jest tego efekt?

– To trudniejsze, niż się spodziewałem.

– Dlaczego?

Grimaldi rozłożył ręce w geście frustracji.

– Nie wiem. Poświęcam się dla miasta, pracuję jak wół... Problem w tym, że Mocenigo najwyraźniej nie pała do mnie sympatią.

– Ciekawe dlaczego... – powiedział chłodno Silvio.

Grimaldi był zbyt pogrążony w swoich myślach, by zwrócić uwagę na ten

afront.

– To nie moja wina! Robię wszystko, żeby zadowolić tego sukinsyna! Zawsze wiem, czego pragnie najbardziej i podsuwam mu to pod nos – a to najlepsze dzemy z Sardyni, a to najmodniejsze stroje z Mediolanu...

– Może po prostu doża nie lubi cmokierów...

– Myślisz, że jestem cmokierem?

– Tak. Cmokierem, popychadłem, pochlebcą, wazeliniarzem... Wymieniać dalej?

Grimaldi spojrzał na niego spode łba.

– Nie obrażaj mnie, *inquisitore*. Nie masz bladego pojęcia, jak to wszystko wygląda. Nie rozumiesz, jakie panują napięcia w...

– Ja nie rozumiem napięć?

– Nie! Może i jesteś urzędnikiem państwowym, ale to ja chodzę krok w krok za dożą, i to przez cały jego roboczy dzień! Pewnie chciałbyś być na moim miejscu, bo myślisz, że sprawdziłbyś się lepiej, ale...

– Skończyłeś?

– Nie! A ty lepiej posłuchaj! Jestem naprawdę blisko. Poświęciłem całe życie, by osiągnąć i utrzymać swoją pozycję i jestem przekonany, że mogę zjednać Moceniga naszej sprawie – przerwał, a po krótkiej chwili dodał: – Potrzebuję tylko jeszcze trochę więcej czasu.

– Wydaje mi się, że czasu miałeś aż nadto – odparł Silvio i podniósł dłoń, by przyciągnąć uwagę bogato odzianego, starszego jegomościa z długą brodą, którego eskortował wielki jak dąb mężczyzna.

– Dzień dobry, kuzynie – pozdrowił Silvia nowo przybyły. – Witaj, Grimaldi.

– Witaj, kuzynie Marco – odpowiedział Silvio, rozglądając się wokół. – A gdzie Emilio? Nie przyszedł z tobą?

Marco Barbarigo zdziwił się, po czym spochmurniał.

– A... Czyli jeszcze nie słyszeliście...

– O czym?

– Emilio nie żyje!

– Co takiego?! – Silvio, jak zwykle, zirytował się, że jego starszy i bardziej wpływowy kuzyn jest znów lepiej poinformowany. – Jak to się stało?!

– Domyślam się – powiedział cierpko Grimaldi. – To *assassino*.

Marco zmierzył go wzrokiem.

– W rzeczy samej. Zeszłej nocy wyciągnęli ciało Emilia z jednego z kanałów. Musiało być pod wodą... dość długo. Podobno bardzo się rozděło. Dlatego wypłynął na powierzchnię.

– Ciekawe gdzie ukrywa się asasyn... – zaczął zastanawiać się Grimaldi. – Musimy go odnaleźć zanim zaszkodzi nam jeszcze bardziej.

– Może być wszędzie – powiedział Marco. – Dlatego nigdzie nie ruszam się bez Dantego. Dopiero z nim czuję się bezpiecznie – przerwał. – Z tego, co wiem, asasyn może być nawet tu i teraz – dokończył.

– Trzeba działać szybko – powiedział Silvio.

– Racja – zgodził się Marco.

– Marco, jestem tak blisko. Czuję to. Dajcie mi jeszcze kilka dni – poprosił błagalnym tonem Grimaldi.

– Nie, Carlo. Miałeś wystarczająco dużo czasu. Nie możemy już dłużej zwlekać. Jeśli Mocenigo się do nas nie przyłączy, musimy go usunąć i zastąpić naszym człowiekiem, i to jeszcze w tym tygodniu!

Eskortujący Marca olbrzym, Dante, którego oczy od chwili pojawienia się na placu nie ustawały w lustrowaniu tłumu, nachylił się i rzekł:

– Nie powinniśmy stać w miejscu, *signori*.

– Oczywiście – przytaknął Marco. – Chodźmy. Nasz mistrz pewnie już czeka.

Ezio podążył za nimi jak cień, lawirując między ludźmi w tłumie i straganami; robił wszystko, by nie uronić ani słowa z ich rozmowy, gdy przechodzili przez plac w kierunku jednej z uliczek, prowadzącej na plac św. Marka.

– Czy Mistrz zaaprobuje naszą nową strategię? – zapytał Silvio.

- Musiałby być głupcem, gdyby się na nią nie zgodził.
- Masz rację, nie mamy innego wyboru – rzekł Silvio. – W takim razie jesteś nam już zbędny – zwrócił się nieprzyjemnym tonem do Grimaldiego.
- O tym zadecyduje Mistrz – odparł urażony po raz kolejny Grimaldi. – Podobnie jak o tym, kto zmieni Moceniga – ty czy twój kuzyn. A tym, kto mu to doradzi, będę ja!
- Nie sądziłem, że ta sprawa będzie wymagała jakiegokolwiek decyzji – zdziwił się Marco. – Wydaje mi się, że wybór jest dla nas wszystkich oczywisty.
- Zgadzam się – przytaknął nerwowo Silvio. – Wybór powinien paść na osobę, która zorganizowała całą operację, na tego, kto wyszedł z inicjatywą, by ocalić to miasto!
- Jestem ostatnim, który śmiałby nie doceniać twojej taktycznej inwencji, mój drogi Silvio – odparował pospiesznie Marco. – Ale do rządzenia miastem potrzebna jest nie pomysłowość, lecz mądrość. To chyba oczywiste.
- Moi drodzy, proszę... – przeciął sprzeczkę Grimaldi. – Mistrz może zarekomendować kandydata, gdy Komitet Czterdziestu Jeden zbierze się, by wybrać nowego dożę, ale w żadnym razie nie wolno mu wywierać nacisku! Poza tym z tego co wiem, Mistrz najprawdopodobniej myśli o kimś innym niż któryś z was...
- Masz na myśli siebie? – zapytał z niedowierzaniem Silvio, a Marco wybuchnął szyderczym śmiechem.
- Dlaczego nie? W końcu to ja wkładam w to wszystko najwięcej pracy!
- *Signori*, proszę, nie zatrzymujmy się – wtrącił Dante. – Dopóki nie znajdziemy się w środku, nie będziemy bezpieczni.
- Racja – zgodził się Marco, przyspieszając kroku. Inni zrobili to samo.
- Dobry jest ten twój Dante – zauważył Silvio. – Dużo mu płacisz?
- Mniej niż powinienem – odparł Marco. – Jest lojalny i mogę mu ufać. Już dwa razy ocalił mi życie. Niestety, elokwencją nie grzeszy.
- A kto by tam chciał rozmawiać z eskortą?

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Grimaldi.

Dotarli do dyskretnych drzwi w budynku sąsiadującym z kościołem Santa Maria Zobenigo. Ezio, który z powodu wyjątkowej czujności Dantego musiał trzymać się w bezpiecznej odległości od spiskowców, wychylił się zza rogu w ostatniej chwili – zobaczył ich, jak już wchodzili do środka. Upewniwszy się, że nikt nie kręci się w pobliżu, wspiął się na ścianę i wszedł na balkon nad drzwiami. Okna znajdującej się po drugiej stronie ściany komnaty były otwarte; widać było przez nie refektarz, którego blat przykrywały jakieś papiery. Za nim, na ciężkim dębowym krześle, ubrany w fioletowo-purpurowe szaty, siedział Hiszpan. Ezio ukrył się w cieniu i zamieniwszy się w słuch, czekał.

Rodrigo Borgia był w podłym nastroju. Asasyn już kilkakrotnie pokrzyżował mu plany, wymykał się z każdej zastawionej na niego zasadki, a teraz zawitał do Wenecji i zabił jednego z jego najważniejszych sojuszników. I jakby tego było mało, przez pierwszy kwadrans spotkania musiał wysłuchiwać bandy głupców na jego usługach, sprzeczących się o to, który z nich ma zostać kolejnym dożą. Tego, że on podjął już decyzję i że przekupił wszystkich wpływowych członków Komisji Czterdziestu Jeden, ci idioci najwyraźniej w ogóle nie brali pod uwagę. Nie podejrzewali, że jego wybór padł na najstarszego, najbardziej próżnego i uległego spośród ich trzech.

– Zamknijcie się wreszcie – odezwał się w końcu. – Nasza sprawa wymaga od was dyscypliny i całkowitego oddania, a nie godnych politowania starań o awans społeczny. To jest moja decyzja i będzie tak, jak ja postanowię. Kolejnym dożą zostanie Marco Barbarigo, a wybrany zostanie w przyszłym tygodniu, po śmierci Giovanniego Moceniga, która, jako że Mocenigo ma już siedemdziesiąt sześć lat, nie powinna nikogo zdziwić. Mimo wszystko należy dołożyć wszelkich starań, by wyglądała na naturalną. Dasz sobie z tym radę, Grimaldi?

Grimaldi obrzucił Barbarigich spojrzeniem. Marco promieniał dumą, a Silvio próbował pełną godności miną zatuszować swoje rozczarowanie.

„Głupcy!” – pomyślał. Doża czy nie – tak czy inaczej obaj będą kukiełkami w rękach Mistrza, który to jemu powierzył najbardziej odpowiedzialne zadanie. Myśląc o lepszych rzeczach, które zapewne będą jego udziałem w przyszłości, odpowiedział:

– Tak, Mistrzu.

– Kiedy jesteś najbliżej Moceniga?

– W Pałacu Dożów. Może i Mocenigo nie pała do mnie zbyt wielką sympatią, ale mi ufa i jestem na każde jego zawołanie.

– To dobrze. Otruj go więc. Przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Ma degustatorów.

– Dobry Boże, człowieku, czy myślisz, że o tym nie wiem? A mówi się, że wy, wenecjanie, jesteście dobrzy w otruwaniu. Dodaj mu trucizny do jedzenia już po tym, jak degustatorzy go spróbują. Albo dopraw czymś ten sardyński dżem, który tak uwielbia... Wymyśl coś, bo inaczej marny twój los!

– Zajmę się tym, *su altezza*.

Rodrigo, poirytowany, zwrócił się do Marca.

– Zakładam, że znajdziesz coś, co najlepiej spełni nasze wymagania.

Marco uśmiechnął się z wyraźnym dystansem.

– To raczej domena mojego kuzyna.

– Myślę, że uda mi się zdobyć każdą ilość *cantarelli* – potwierdził Silvio.

– A cóż to takiego?

– Najskuteczniejsza odmiana arszeniku, w dodatku niezwykle trudna do wykrycia.

– Dobrze. A więc pamiętaj!

– Muszę przyznać – zaczął Marco – że jesteśmy pełni podziwu, Mistrzu, że tak bezpośrednio angażujesz się w sprawę. Czy to aby nie niebezpieczne?

– Mnie asasyn nie odważy się zaatakować. Jest bystry, ale daleko mu do mnie. Po tym wszystkim wolę doglądać wszystkiego osobiście. Pazzi zawiedli nas we Florencji. Szczerze ufam, że Barbarigo nie powtórzą ich

błędów... – popatrzył na nich gniewnym wzrokiem.

Silvio zarechotał.

– Pazzi... Pazzi to banda amatorów, którzy...

– Pazzi – przerwał mu Rodrigo – byli niezwykle wpływową i szanowaną w swoim mieście rodziną, a mimo to ulegli jednemu młodemu asasynowi. Jeśli go zlekceważycie, spotka was ten sam los – przerwał, jakby w oczekiwaniu, by jego przesłanie wyraźnie zapadło im w pamięć. – A teraz idźcie już i czyńcie swoją powinność. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne fiasko.

– A twoje plany, Mistrzu?

– Ja wracam do Rzymu. Czas nagli.

Rodrigo podniósł się gwałtownie i opuścił pokój. Ezio obserwował z balkonu, jak samotnie przechodzi przez plac i płoszy stado gołębi, kierując się ku Molo. Wkrótce po nim wyszli pozostali, opuszczając plac każdy w swoją stronę. Ezio poczekał, aż ruch na chwilę przycichnie, po czym zeskoczył z balkonu na bruk i popędził co sił do siedziby Antonia.

Gdy już tam dotarł, powitała go Rosa, składając na jego ustach długi pocałunek.

– Lepiej schowaj swój sztylet do pochwy – uśmiechnęła się, gdy ich ciała połączyły się w mocnym uścisku.

– To ty go dobywasz. W dodatku – dodał przekornie – jego pochwa jest u ciebie.

– A zatem chodź – pociągnęła go za rękę.

– Nie, Roso, *mi dispiace veramente*, ale naprawdę teraz nie mogę.

– Ach, więc już ci się znudziłam!

– Przecież wiesz, że nie! Muszę jednak zobaczyć się z Antoniem. To bardzo pilne.

Rosa spojrzała na niego. Twarz miał spiętą, a jego chłodne, szarobłękitne oczy dopowiedziały jej resztę.

– Dobrze. Wybaczam ci, ale tylko ten jeden jedyny raz. Antonio jest

u siebie. Wydaje mi się, że odkąd zdobył prawdziwy Palazzo Seta, tęskni za swoją makietą. Chodźmy!

– Ezio! – powiedział Antonio. – Nie podobasz mi się! Wszystko w porządku?

– Żałuję, ale niestety nie! Właśnie dowiedziałem się, że Carlo Grimaldi i dwóch kuzynów Barbarigo, Silvio i Marco, sprzymierzyli się z kimś... z kimś, kogo znam, i to wyjątkowo dobrze. Mówią na niego Hiszpan. Planują zamordować dożę Moceniga i zastąpić go swoim popiecznikiem.

– To rzeczywiście złe wieści. Ze swoim dożem będą mieli w garści całą wenecką flotę i całe nasze kupieckie imperium. I to o mnie mówią „przestępca” – dodał po chwili.

– No więc... Pomożesz mi ich powstrzymać?

Antonio wyciągnął do niego dłoń.

– Masz moje słowo, braciszku. I wsparcie wszystkich moich mężczyzn.

– I kobiet – wtrąciła Rosa.

– *Grazie, amici* – uśmiechnął się Ezio.

Antonio zamyślił się.

– Będziemy musieli to dobrze zaplanować. Pałac Dożów jest tak intensywnie strzeżony, że Palazzo Seta jest przy nim jak otwarty dla wszystkich park miejski. Nie ma już czasu, by przygotować jego makietę, więc nasz plan...

Ezio przerwał mu ruchem dłoni i powiedział:

– Nie ma rzeczy, której nie dałoby się spenetrować.

Oboje spojrzeli na Ezia. Antonio parsknął śmiechem, a Rosa szelmowsko się uśmiechnęła.

– „Nie ma rzeczy, której nie dałoby się spenetrować”. Ezio, nic dziwnego, że wszyscy cię tu lubią!

*

Później tego dnia, gdy ruch na ulicach nieco już osłabł, Antonio i Ezio

wybrali się do Pałacu Dożów.

– Zdrady takie ja ta powoli przestają mnie dziwić – perorował Eziemu Antonio. – Doża Mocenigo to dobry człowiek i szczerze mówiąc, dziwne, że utrzymuje się tak długo. Gdy byłem dzieckiem, wychowywano mnie w przekonaniu, że arystokracja to ludzie łaskawi i sprawiedliwi. Wierzyłem w to. I mimo że mój ojciec był szewcem, a matka pomywaczką, ja zawsze mierzyłem wyżej. Wytrwale studiowałem, przetrzymałem wiele trudnych chwil, ale nigdy nie udało mi się wejść do klasy rządzącej. Jeśli się w niej nie urodzisz, nigdy cię nie zaakceptują. A zatem – jeśli miałbym cię zapytać – kto jest prawdziwą arystokracją Wenecji, kto należy do grona jej szlachejnych obywateli, to cóż byś mi odpowiedział? Że ludzie pokroju Grimaldiego albo Marca i Silvia Barbariga? Otóż nie! To my jesteśmy prawdziwą arystokracją! My – złodzieje, sutenerzy i dziwki! To my napędzamy to miejsce, a każdy i każda z nas ma w swoim małym palcu więcej honoru niż cała zgraja tak zwanych rządzących! To my naprawdę kochamy Wenecję, a inni widzą w niej tylko środek do bogacenia się.

Ezio zachował swoje zdanie dla siebie, bo jakoś nie mógł sobie wyobrazić Antonia noszącego *corno ducale* i to nieważne, jak dobrym człowiekiem by nie był.

Dotarli do placu św. Marka, obeszli go wkoło i skierowali kroki ku różowej fasadzie pałacu. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jest pilnie strzeżony, choć obu im udało się wspiąć po rusztowaniu ustawionym przy sąsiadującej z pałacem katedrze i pozostać niezauważonymi. Stwierdzili, że choć mogą – co zresztą chwilę później zrobili – przeskoczyć z rusztowania na dach pałacu, to i tak dostępu z dachu na dziedziniec strzeże wysokie ogrodzenie, którego najeżone szpikulcami zwieńczenie zaginało się pod kątem na zewnątrz. W dole ujrzeni dożę, Giovanniego Moceniga we własnej osobie; z prezencji tego starszego już człowieka emanowało dostojeństwo, choć trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest już zaledwie wyschniętym korpusem, zamieszkującym bezmiar swoich wspaniałych szat, zwieńczonych

cornio – symbolem władzy nad miastem-państwem. Mocenigo rozmawiał z Carlem Grimaldim, swoim potencjalnym zabójcą.

Ezio wyostrzył słuch.

– Czy nie rozumiesz, *Altezza*, wagi tego, co ci przedkładam? – mówił Carlo. – Posłuchaj mnie, panie, proszę, bo to twoja ostatnia deska ratunku!

– Jak śmiesz się tak do mnie zwracać! Jak śmiesz mnie zastraszać! – zdenerwował się doża.

Carlo natychmiast zmienił ton na przepraszający.

– Wybacz, panie. Nie miałem niczego takiego na myśli. Lecz proszę, uwierz mi, że twoje bezpieczeństwo jest moją nadrzędną troską...

Przy tych słowach weszli do środka i zniknęli Eziowi z oczu.

– Mamy bardzo mało czasu – powiedział Antonio, jakby czytał Eziowi w myślach. – W dodatku przez tę kratę nie da się przejść! A nawet jeśli by się nam udało, spójrz tylko na liczbę strażników rozstawionych wokół. *Diavolo!*

– machnął w powietrzu ręką, płosząc stado gołębi, które zerwały się do lotu.

– Spójrz na nie! Ptaki! O ile byłoby nam łatwiej, gdybyśmy umieli latać...

Ezio, słysząc to, uśmiechnął się sam do siebie. Nadszedł czas, by odwiedzić przyjaciela – Leonarda da Vinci.

17

– Ezio! Wszelki duch... – Leonardo powitał go jak zaginionego dawno brata.

Wenecka pracownia Leonarda przybrała już wygląd tej we Florencji, tyle że teraz dominowała w niej sporej wielkości, przypominająca nietoperza maszyna. Ezio teraz już wiedział, że jej przeznaczenie musi potraktować najzupełniej poważnie.

– Słuchaj, Ezio, podałeś mi przez sympatycznego młodzieńca imieniem Ugo kolejną kartę z Kodeksu, ale sam się w jej sprawie już nie zjawiłeś. Naprawdę byłeś aż tak zajęty?

– Nie inaczej... Miałem ręce pełne roboty – odpowiedział Ezio, dopiero teraz przypominając sobie o karcie, którą odzyskał z dokumentów Emilia Barbariga.

– Cóż, oto i ona – powiedział Leonardo, grzebiąc w stercie chaotycznie rozrzuconych rzeczy, ale po chwili wyciągnął starannie zwiniętą w rulon kartę z naprawioną pieczęcią. – Nie zawiera projektu nowej broni, ale sądząc z symboli i pisma, które – jak sądzę – jest aramejskie albo nawet babilońskie, powinna być bardzo ważnym elementem twojej układanki. Wydaje mi się, że dostrzegam na niej coś w rodzaju mapy – w tym miejscu podniósł dłoń. – Nie musisz mi nic mówić! Mnie oczywiście interesują wyłącznie wynalazki, które dzięki tym kartom poznaję. Cokolwiek ponad to zupełnie mnie nie obchodzi. Ktoś taki jak ja nie lęka się zagrożeń, bo chroni go przed nimi jego użyteczność; zdaję sobie jednak sprawę, że gdybym wiedział zbyt wiele... – tu Leonardo w teatralnym geście przejechał palcem po gardle. – I to by było na tyle – zakończył, po czym zmienił ton. – No dobrze, Ezio, znam cię już dobrze i wiem, że nie wpadasz do mnie dla towarzystwa. Chodź, napijemy się paskudnego veneto – nie ma to jak chianti! – i przegryziemy kotlecikiem

z ryby...

– Uporałeś się już ze zleceniami?

– Mój hrabia to cierpliwy człowiek. *Salute!* – Leonardo uniósł swój kielich.

– Leo, czy ta twoja maszyna działa?

– To znaczy czy lata?

– Tak.

Leonardo potarł podbródek.

– Cóż, jest na razie we wczesnej fazie rozwoju. To znaczy... Daleko jej do ostatecznej wersji, ale ośmielam się sądzić, że... tak! Oczywiście, że powinna latać. Bóg mi świadkiem, że spędziłem nad nią wystarczająco dużo czasu. To wcielenie idei, która mnie chyba nigdy nie opuści!

– Leo, mógłbym spróbować?

Pytanie Ezia zupełnie go zaskoczyło.

– Oczywiście, że nie! Oszalałeś? To zbyt niebezpieczne! Żebyś mógł wystartować, musielibyśmy wyjść z tym na jakąś wieżę...

Nazajutrz, zaraz przed świtem, gdy pierwsze smugi szarawego różu zaczęły nieśmiało rozświetlać niebo nad wschodnim horyzontem, Leonardo i jego asystenci składali na płaskim dachu Palazzo Pexaro – rezydencji niczego nie podejrzewającego pracodawcy artysty – rozmontowaną uprzednio do transportu maszynę latającą. Był z nimi Ezio. Miasto jeszcze spało. Nawet na dachach Pałacu Dożów nie było strażników – mijała właśnie godzina wilka, pora, kiedy wampiry i zjawy mają największą moc. Tylko szaleńcy i wynalazcy nie boją się wtedy opuszczać swych domostw.

– Gotowe! – powiedział Leonardo. – Dzięki Bogu nikogo nie ma. Gdyby tylko ktoś zobaczył to na własne oczy, nie dałby im wiary, a gdyby wydało się, że to mój wynalazek, w tym mieście byłbym skończony.

– Zrobię to szybko – powiedział Ezio.

– Postaraj się tylko nie popsuć maszyny – napomniął go Leonardo.

– To lot próbny – uspokoił go Ezio. – Nie będę szarżował. Powiedz mi tylko, jak działa ta *bambina*.

– Przyglądałeś się kiedyś ptakom w locie? – spytał go Leonardo. – Cały sekret wcale nie polega na tym, by być lżejszym od powietrza, lecz na zwinności i równowadze. Musisz swoim ciężarem ciała kontrolować wysokość i kierunek lotu, a skrzydła same cię poniosą.

Twarz Leonarda była poważna jak nigdy. Chwycił i ścisnął ramię Ezia.

– *Buona fortuna*, przyjacielu. Za chwilę – mam nadzieję – wejdiesz na stałe do historii.

Asystenci Leonarda pasami przypięli Ezia pod maszyną. Poczł się jak w ciasnej, skórzanej kołysce; twarz miał skierowaną do przodu, a nogi i ręce – nieskrępowane. Przed nim znajdowała się drewniana belka, przytwierdzona do głównej ramy, na której wspierały się rozpostarte nad nim nietoperze skrzydła.

– Pamiętaj, o czym ci mówiłem! Ruchami na boki kontrolujesz ster kierunku. Ruchami w przód i w tył sterujesz kątem nachylenia skrzydeł – wyjaśniał z przejęciem Leonardo.

– Dzięki! – powiedział ciężko oddychając Ezio.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli maszyna nie zadziała, to za chwilę odda ostatni w swoim życiu skok.

– Z Bogiem! – powiedział Leonardo.

– Do zobaczenia – odrzekł Ezio z pewnością siebie, której w rzeczywistości wcale nie czuł.

Wyważył znajdującą się nad nim konstrukcję i odbił się mocno od krawędzi dachu.

Najpierw poczuł, jakby miał mu wypaść żołądek, a potem wypełniła go niesamowita euforia. W dole, pod nim rozpościerała się Wenecja, a on szybował po niebie; po chwili jednak maszyna zaczęła drgać i opadać. I tylko dlatego, że Ezio nie stracił głowy i pamiętał o wskazówkach Leonarda, był w stanie odzyskać kontrolę nad lotem i w ostatniej chwili sprowadzić urządzenie na dach pałacu Pexara. Wylądował z prędkością szybkiego biegu, wykorzystując wszystkie swoje siły i zręczność do utrzymania stabilności

maszyny.

– Jezu Chryste, to działa! – krzyknął Leonardo, zapominając na chwilę o środkach ostrożności. Wypiął Ezia z maszyny i zaczął go gorączkowo obejmować. – Jesteś wspaniały! Leciałeś!

– To prawda, na Boga! – powiedział Ezio łapiąc oddech. – Szkoda tylko, że nie zaleciałem wystarczająco daleko...

Spojrzał na Pałac Dożów i pomyślał o dziedzińcu, który był jego celem. Uświadomił też sobie, jak niewiele czasu mu zostało, jeśli faktycznie zamierza zapobiec morderstwu Moceniga.

Gdy znaleźli się z powrotem w pracowni, Leonardo rozłożył na wielkim stole swoje plany.

– Niech no się temu wszystkiemu przyjrzę... Jak by tu zwiększyć zasięg lotu?...

Przerwało mu gwałtowne wtargnięcie Antonia.

– Ezio! Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale to ważne! Moi szpiedzy właśnie mnie poinformowali, że Silvio zdobył już truciznę i że przekazał ją Grimaldiemu.

– Niedobrze! Niedobrze! Ślęczę nad tym i ślęczę, i co? Nie działa! Nie wiem jak wydłużyć lot! A niech to! – krzyknął Leonardo w rozpacz i zmiotł gwałtownym ruchem papiery ze stołu.

Niektóre z nich doleciały do wielkiego kominka i gdy zajęły się rozpalonym w nim ogniem, zaczęły unosić się w powietrzu. Leonardo przyglądał się temu przez chwile, a wyraz jego twarzy zmieniał się z sekundy na sekundę, aż w końcu uśmiech wyparł malujący się na niej jeszcze przed momentem gniew.

– Mój Boże! – zakrzyknął. – *Eureka!* Oczywiście! To genialne!

Wydobył z ognia papiery, które nie zdążyły jeszcze spłonąć i przydeptał płomień.

– Nigdy nie ulegajcie złości – doradził Eziowi i Antoniowi – bo czasem może to przynieść efekt przeciwny do zamierzonego.

– Cóż zatem wyleczyło cię z twojej? – zapytał Antonio.

– Posłuchajcie! – powiedział Leonardo. – Czyż nie widzieliście nie raz, jak popiół wiruje w powietrzu? Ciepło unosi! O, jakże często widywałem orły, wysoko na niebie, które nie machały skrzydłami, a jednak wciąż się unosiły! Zasada jest prosta! Musimy ją tylko zastosować w praktyce!

Sięgnął po mapę Wenecji i rozwinął ją na stole. Pochylając się nad nią z ołówkiem w dłoni narysował nim odcinek dzielący Palazzo Pexaro od Pałacu Dożów, znacząc na nim kilka krzyżyków.

– Antonio! – zwrócił się do niego wciąż podekscytowany Leonardo. – Czy możesz polecić swoim ludziom, by ułożyli w tych miejscach stosy i podpalił je w krótkich odstępach czasu?

Antonio przyjrzał się mapie.

– Myślę, że da się to zrobić – powiedział po chwili. – Tylko po co?

– Nie rozumiesz? To trajektoria lotu Ezia! Rozpalone ogniska pomogą utrzymać się jemu i mojej latającej maszynie w powietrzu przez całą drogę aż do celu! Ciepło unosi!

– A co ze strażnikami? – zapytał Ezio.

Antonio spojrzał na niego.

– Lepiej skup się na swoim locie, a strażników zostaw nam. Poza tym – dodał – część z nich będzie zajęta czym innym. Od swoich szpiegów wiem, że do Wenecji dotarł przedziwny ładunek małych rurek z kolorowym prochem, z dalekiego kraju na wschodzie, zwanego Chinami. Bóg jeden raczy wiedzieć, co to, ale musi być cenne, bo strzegą tego jak oka w głowie.

– Sztuczne ognie... – powiedział do siebie Leonardo.

– Co takiego?

– Nic, nic.

*

Ludzie Antonia ułożyli stosy w miejscach wskazanych przez Leonarda i zanim zapadł zmrok, czekali już w gotowości. Zadbali też o to, by

w pobliżu nie kręciły się strażnicy ani przypadkowi przechodnie, tak by nikt nie doniósł władzom, że dzieje się coś dziwnego. W tym czasie asystenci Leonarda po raz kolejny wnieśli na dach rezydencji Pexaro latającą maszynę, a Ezio, uzbrojony w sprężynowy sztylet i ochraniacz na drugiej ręce, zajął w niej miejsce. Antonio przyglądał się temu wszystkiemu z boku.

– Cieszę się, że to nie ja... – powiedział.

– To jedyny sposób, by znaleźć się w pałacu. Sam tak mówiłeś.

– Ale nigdy się sądziłem, że tak to będzie wyglądało. Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć. Jeśli Bóg chciałby, byśmy latali...

– Czy możesz już dać sygnał swoim ludziom, Antonio? – przerwał mu pytaniem Leonardo.

– Oczywiście.

– W takim razie – do dzieła! Potem pomożemy Eziowi wzbić się w powietrze.

Antonio podszedł do krawędzi dachu i spojrzał w dół. Wyciągnął dużą czerwoną chustę i pomachał nią. Po chwili zobaczył najpierw jeden, potem drugi, trzeci i kolejne... zapłonęło pięć wielkich stosów.

– Świetnie, Antonio, moje gratulacje! – powiedział Leonardo, po czym zwrócił się do Ezia: – Pamiętaj, o czym ci mówiłem. Musisz lecieć od jednego ogniska do drugiego. Ciepło unoszące się nad każdym z nich powinno utrzymać cię w powietrzu aż do samego Pałacu Dożów.

– Bądź ostrożny – powiedział Antonio. – Na dachach stoją łucznicy i jak tylko cię zobaczą, będą próbowali cię strącić. Wezmą cię za demona z piekła rodem!

– Szkoda, że nie mogę podczas lotu używać miecza...

– Masz nieskrępowane niczym nogi – zauważył Leonardo. – Jeśli tylko udałoby ci się podlecieć wystarczająco blisko łuczników, tak by uniknąć ich strzał, mógłbyś kopnięciem strącać ich z dachów.

– Będę o tym pamiętał.

– Teraz musisz już lecieć. Powodzenia!

Ezio spojrział na nocne, weneckie niebo, odepchnął się od krawędzi dachu i poszybował w kierunku pierwszego płonącego stosu. W miarę jak się do niego zbliżał, tracił wysokość, ale gdy tylko się nad nim znalazł, natychmiast poczuł, jak maszyna wznosi się ku górze. Teoria Leonarda sprawdziła się w praktyce! Ezio leciał i widział, jak złodzieje z Gildii doglądają stosów, zadzierają głowy i wiwatują. Nie byli niestety jedynymi, którzy go spostrzegli. Na dachu katedry i innych budynków w pobliżu Pałacu Dożów Barbarigo rozstawił swoich łuczników, którzy widząc przelatującego nad nimi demona, od razu wycelowali w niego swe łuki. Ezio, manewrując swoją maszyną, unikał większości strzał, choć jedna czy dwie uderzyły głucho w jej drewnianą ramę. Kilka razy zapikował wystarczająco nisko, tak, by ten czy inny oniemiały łucznik znalazł się w zasięgu jego nóg, i wtedy strącał go z dachu zdecydowanym kopnięciem. Gdy był już blisko pałacu, zaatakowała go przyboczna straż doży; tym razem w jego kierunku posypały się płonące strzały. Jedna z nich utkwiała w prawym skrzydle maszyny, które natychmiast zajęło się ogniem. Ezio robił, co mógł, by utrzymać kurs, ale bardzo szybko zaczął tracić wysokość. W pewnej chwili spostrzegł piękną, młodą arystokratkę, patrzącą ku górze i krzyczącą coś o diable, który po nią przyszedł. Przeleciał nad nią, wypuścił z rąk ster i zaczął pospiesznie szukać rękami klamer uprząży, którą przypięto go do maszyny. W ostatniej chwili udało się mu z niej wyswobodzić. Zeskoczył w dół, najdalej jak tylko potrafił i wylądował w amortyzującym uderzenie przysiadzie na dachu wewnętrznego dziedzińca, już za ogrodzeniem, które strzegło dostępu do pałacu, chroniąc go przed wszystkimi intruzami prócz ptaków. Ezio spojrział w górę i zobaczył, jak dzieło Leonarda rozbija się o dzwonnice świętego Marka, a potem spada na plac, wywołując panikę i chaos wśród obecnych tam ludzi. Zdarzenie to zaabsorbowało nawet uwagę łuczników doży, co skwapliwie wykorzystał Ezio, by szybko zejść po murze i zniknąć im z oczu. Gdy był w połowie, zobaczył w oknie na drugiej kondygnacji samego dożę Moceniga.

– *Ma che cazzo?* – zapytał doża. – Cóż to było?

Za jego plecami pojawił się Carlo Grimaldi.

– Pewnie młodzi bawią się petardami. Chodź, panie, dokończ swe wino.

Gdy Ezio to usłyszał, rzucił się pędem przez dachy i po murach, by jak najszybciej znaleźć się przy otwartym oknie, za którym zniknął doża. Zajrzał przez nie do środka i zobaczył, jak Mocenigo opróżnia swój kielich. Przeskoczył przez parapet i wpadł do komnaty, krzycząc:

– Nie, *Altezza!* Nie pij już...

Doża spojrział na niego ze zdumieniem, a Ezio zdał sobie sprawę, że zjawił się o jedną, krótką chwilę za późno. Grimaldi uśmiechał się półgębkiem.

– Cóż, tym razem nie zdążyłeś, młody asasynie! *Messer Mocenigo* już za chwilę nas opuści. Ilość trucizny, którą wypił, zwałałaby z nóg nawet byka.

Mocenigo odwrócił się do niego.

– Co? Co ty powiedziałaś?

– Powinieneś być posłuchać mnie, panie – odpowiedział Grimaldi, rozkładając ręce w geście żalu.

Doża zachwiał się na nogach i upadłby na podłogę, gdyby nie Ezio, który pospieszył, by go podtrzymać i podprowadzić do krzesła. Mocenigo raczej zwałił się na nie niż usiadł.

– Jestem zmęczony... – wybełkotał. – ...ściemnia się...

– Tak mi przykro, *Altezza!*

– Najwyższy czas, byś poznał smak porażki – warknął w kierunku Ezia Grimaldi, po czym otworzył na oścież drzwi do komnaty i krzyknął: – Straże! Straże! Otruto dożę! Mam tu zabójcę!

Ezio rzucił się przez komnatę, chwycił Grimaldiego za kołnierz i wciągnął go do środka, zatraskując i ryglując drzwi. Chwilę później usłyszał kroki nadbiegających strażników i ich dobijanie się. Spojrzał na Grimaldiego.

– Porażka, tak? A więc muszę ją sobie wynagrodzić – powiedział, wysuwając ostrze swojego sztyletu.

Grimaldi uśmiechnął się.

– Możesz mnie zabić – rzekł – ale nigdy nie uda ci się pokonać

templariuszy.

Ezio zanurzył ostrze w sercu Grimaldiego.

– Pokój z tobą – powiedział chłodno.

– Dobrze zrobiłeś – odezwał się słaby głos za plecami Ezia, który natychmiast się odwrócił i zobaczył, że doża, choć śmiertelnie blady, wciąż żył.

– Sprowadzę pomoc... Lekarza... – wyjąkał Ezio.

– Nie, to już na nic. Teraz jednak odejdę szczęśliwszy, widząc jak mój zabójca jako pierwszy przekroczy bramy ciemności. Dzięki ci za to – powiedział Mocenigo, łapiąc z trudem oddech. – Już od dłuższego czasu podejrzewałem, że to templariusz, ale byłem zbyt łagodny, zbyt ufny... Sprawdź, co ma przy sobie... Zabierz dokumenty... Myślę, że znajdziesz pośród nich coś, co ci się przyda i co pomoże pomścić moją śmierć...

Mocenigo, mówiąc do Ezia, przez cały czas się uśmiechał. Ezio patrzył, jak ten uśmiech zastyga mu na twarzy, jak jego oczy stają się szkliste, jak jego głowa bezwładnie przechyliła się na bok i w końcu zwisa w bezruchu. Położył mu dłoń z boku szyi, ale nie wyczuł już pulsu. Zamknął mu oczy, wyszeptał kilka słów modlitwy, po czym podszedł pospiesznie do zwłok Grimaldiego i otworzył jego torbę. W środku, pomiędzy kilkoma innymi dokumentami, znajdowała się kolejna karta z Kodeksu.

Straż wciąż szturmowała drzwi, które powoli zaczynały się poddawać. Ezio podbiegł do okna i spojrzał w dół. Na dziedzińcu kręciło się już mnóstwo strażników. Musiał spróbować ucieczki dachem. Wyszedł z okna i przy wtórze świszczących strzał, uderzających głucho o mur po obu jego stronach, zaczął się wspinać. Gdy wdrapał się na dach, zobaczył łuczników, ale ponieważ schodzili właśnie z warty, Ezio, korzystając z zaskoczenia, szybko sobie z nimi poradził. Stała jednak przed nim kolejna przeszkoda. Ogrodzenie, które wcześniej nie pozwalało mu dostać się do środka, teraz go uwięziło. Podbiegł do niego i zdał sobie sprawę, że kraty zabezpieczają pałac wyłącznie przed wtargnięciem z zewnątrz – jego najeżone kolcami

zwieńczenie skierowane było właśnie w tym kierunku. Gdyby udało mu się wspiąć na samą górę, mógłby je bez szwanku dla siebie przeskoczyć. Nie miał już czasu – usłyszał właśnie odgłosy kroków. To strażnicy, i to w sporej liczbie, wybiegali schodami na dach. Zbierając wszystkie swoje siły, spotęgowane dodatkowo koniecznością, rozpędził się i skoczył, chwytając się niegroźnego od wewnątrz zwieńczenia krat. Po chwili znajdował się już po ich bezpiecznej stronie. Strażnicy, którzy właśnie do nich dobiegli, mieli zbyt ciężkie zbroje, by móc się wspiąć, poza tym na pewno daleko im było do jego zwinności. Ezio podbiegł do krawędzi dachu, przeskoczył na rusztowanie przy murze katedry, zszedł z niego, wybiegł na plac świętego Marka, po czym zmieszał się z tłumem.

18

Śmierć doży, która zbiegła się z pojawieniem się na weneckim niebie przedziwnego ptaka-demonia, wywołała w mieście wielkie poruszenie, trwające jeszcze przez wiele kolejnych tygodni. Latająca maszyna Leonarda rozbiła się na placu św. Marka i spłonęła na popiół, gdyż nikt ze świadków nie odważył się podejść do tak osobliwego tworu. Tymczasem, zgodnie z planem, na nowego dożę wybrano Marca Barbariga. Niedługo po objęciu urzędu złożył publicznie uroczystą przysięgę, że odnajdzie młodego asasyna, który cudem uszedł strazom po tym jak zabił szlachetnego męża stanu, Carla Grimaldiego, a najprawdopodobniej również i dożę Moceniga. Strażników, zarówno Barbariga, jak i tych z Pałacu Dożów, widywano teraz na każdej ulicy i w każdym zakątku miasta, a kanały patrolowali tak dniem, jak i nocą.

Ezio, za radą Antonia, nie wyściubiał nosa z siedziby Gildii, ale kipiała w nim narastająca frustracja. Jego stanu z pewnością nie poprawiła wieść o tym, że Leonardo na jakiś czas wyjechał z Wenecji, dołączając do świty swojego mecenasa, hrabiego Pexaro. Nawet Rosie nie udało się zająć czym innym jego myśli.

W końcu pewnego dnia na początku nowego roku Antonio wezwał Ezia do swojego gabinetu i powitał go szerokim uśmiechem.

– Ezio! Mam dla ciebie dwie dobre wieści. Pierwsza jest taka, że Leonardo wrócił do miasta. A druga – że mamy *Carnevale*! Prawie każdy nosi teraz maskę, więc i ty...

Ale Ezio znajdował się już w połowie drogi do drzwi.

– Hej! Gdzie już idziesz?

– Zobaczyć się z Leonardem.

– Dobrze, ale zaraz jak tylko będziesz mógł, przyjdź tutaj – powiedział Antonio, wręczając Eziowi świstek z adresem. – Jest ktoś, z kim chciałbym

cię poznać.

– Któż to?

– Siostra Teodora.

– Zakonnica?

– Zobaczysz!

Ezio udał się do Leonarda, chowając swoją twarz głęboko w cieniu kaptura i przemykając dyskretnie pomiędzy grupkami ekstrawagancko odzianych mężczyzn i kobiet w maskach, tłoczących się na ulicach i pływających na gondolach. Zdawał sobie sprawę, że między nimi mogą znajdować się strażnicy na służbie.

Dla Marca Barbariga śmierć Grimaldiego wcale nie miała większego znaczenia niż śmierć doży, w której planowaniu brał zresztą udział. Teraz zaś, skoro zafundował już społeczeństwu pokrzepiający spektakl poszukiwania sprawcy, mógł z czystym sumieniem zaprzestać tych działań, uzasadniając decyzję cięciami wydatków publicznych. Ezio wiedział jednak, że doża, jeśli tylko nadarzyłaby się okazja, by schwytać go i potajemnie zabić, skorzystałby z niej bez wahania. Tak długo, jak pozostawał solą w oku templariuszy, nie mógł czuć się bezpiecznie. Musiał więc nieustannie zachowywać wzmożoną czujność.

Do pracowni Leonarda dotarł jednak bez przeszkód, niezauważony przez nikogo.

– Dobrze cię znów widzieć, Ezio – powitał go Leonardo. – Tym razem naprawdę myślałem, że już po tobie. Nie docierały do mnie żadne wieści na twój temat, potem była cała ta sprawa z Mocenigiem i Grimaldim, a następnie mój mecenas wbił sobie do głowy, że muszę z nim jechać – tak się złożyło, że akurat do Mediolanu. Niestety, jak dotąd nie znalazłem czasu, by zrekonstruować moją latającą maszynę – wenecka flota chce, bym w końcu zaczął dla niej projektować. Można od tego wszystkiego dostać kręćka! – uśmiechnął się. – Ale najważniejsze, że żyjesz i masz się dobrze – dodał.

– Tak... i że jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Wenecji.

– Właśnie. Zabójca dwóch najbardziej prominentnych mężów stanu.

– Chyba wiesz, co o tym myśleć...

– Nie byłoby cię tutaj, gdybym nie znał prawdy. Wiesz dobrze, że możesz mi ufać, podobnie zresztą jak wszystkim, którzy ze mną pracują. W końcu to dzięki nam doleciałeś do Pałacu Dożów – Leonardo przerwał, klasnął w dłoń i po chwili pojawił się jego asystent niosący wino. – Luca, mógłbyś poszukać jakiejś karnawałowej maski dla naszego przyjaciela? Coś mi mówi, że mogłaby mu się przydać.

– *Grazie, amico mio.* Także i ja mam coś dla ciebie – powiedział Ezio i podał mu nowo znalezioną kartę z Kodeksu.

– Świetnie – ucieszył się Leonardo, rozpoznając ją od razu.

Zrobił trochę miejsca na najbliższym stole, rozpostarł zwój i zaczął go analizować.

– Hm – mruknął po chwili, marszcząc w skupieniu brwi. – Ta karta, w przeciwieństwie do ostatniej, zawiera projekt nowej broni, która, z tego co widzę, jest dość skomplikowana. Wygląda na to, że również i ją mocujesz na nadgarstku, ale tym razem to nie sztylet... – pochylił się jeszcze bardziej nad manuskrytem. – Wiem, co to jest! To broń palna, ale w niezwykle małej skali... Praktycznie tak mała jak koliber!

– To chyba niemożliwe... – powiedział Ezio.

– Jedynym sposobem, by się o tym przekonać, jest ją zrobić – odparł Leonardo. – Na szczęście moi weneccy asystenci to świetni specjaliści. Zaraz się za to zabierzemy.

– A co z resztą zleceń?

– Och, mogą poczekać – powiedział beztrósco Leonardo. – Każdy myśli, że jestem geniuszem, więc krzywdy mi nie robią. A gdy będę się spóźniał, tym bardziej dadzą mi spokój!

Upłynęło kilka dni i Ezio mógł już testować nową broń. Jak na jej miniaturowe rozmiary, jej zasięg i moc rażenia okazały się zdumiewające.

Podobnie jak sztylety, zaprojektowano ją tak, by można ją było dołączać do mechanizmu sprężynowego, który Ezio nosił na swoim prawym przedramieniu. Chowała się w nim całkowicie i po jednym ruchu dłoni wysuwała z niego w mgnieniu oka, gotowa do strzału.

– Jak to możliwe, że sam nigdy na coś takiego nie wpadłem? – kręcił głową Leonardo.

– Jeszcze ciekawsze jest to – odpowiedział mu Ezio z zachwytem w głosie – jak taki pomysł mógł przyjść do głowy komuś, kto żył całe wieki temu...

– Tak czy inaczej – podsumował Leonardo – jest to zdumiewający przejaw geniuszu i mam nadzieję, że dobrze będzie ci służył.

– Mam przeczucie, że ta nowa zabawka pojawiła się w bardzo odpowiednim czasie – powiedział Ezio znacząco.

– Rozumiem... – odrzekł Leonardo. – Cóż, im mniej wiem, tym lepiej dla mnie, choć zaryzykuję stwierdzenie, że być może ma to pewien związek z nowym dozą. Żaden ze mnie polityk, ale wietrzę jakieś machlojki...

Ezio pokiwał znacząco głową.

– No cóż – westchnął artysta. – O tym to już lepiej porozmawiaj z Antoniem. I lepiej załóż maskę – jest karnawał, więc w niej powinieneś być bezpieczny. Tylko pamiętaj – tej broni nie używaj na ulicy! Schowaj ją głęboko w rękawie.

– Właśnie idę zobaczyć się z Antoniem – poinformował go Ezio. – Chce mnie z kimś poznać. To jakaś zakonnica, siostra Teodora... Gdzieś w Dorsoduro...

– A... Siostra Teodora! – uśmiechnął się Leonardo.

– Znasz ją?

– To nasza wspólna znajoma, Antonia i moja. Polubisz ją.

– Ale kim ona jest?

– Dowiesz się – wyszczerzył zęby w uśmiechu Leonardo.

Ezio udał się pod adres, który dostał od Antonia. Budynek, pod którym się zjawiał, z pewnością nie przypominał żeńskiego klasztoru.

Zapukał do drzwi, a gdy po chwili wpuszczono go do środka, miał wrażenie, że pomylił adresy, bo znalazł się w komnacie, której wystrój kojarzył mu się nieodparcie z domem publicznym Paoli we Florencji. Szykownie odziane kobiety, które otworzyły mu drzwi, po czym gdzieś zniknęły, z pewnością nie były zakonnice. Już zamierzał nałożyć z powrotem maskę i odejść, kiedy usłyszał, a chwilę później zobaczył Antonia, który prowadził pod ramię wytworną, piękną kobietę o pełnych ustach i zmysłowym wejrzeniu, ubraną – rzeczywiście – jak zakonnica.

– O, Ezio! Jesteś! – ucieszył się Antonio. Widać było, że jest odrobinę pijany. – Pozwól, że ci przedstawię... siostrę Teodorę... Teodoro, poznaj... jak by to ująć... najzdolniejszego człowieka w Wenecji!

– Sostro... – powiedział Ezio, kłaniając się w pas.

Spojrzał na Antonia.

– Chwileczkę, czyżby mi coś umknęło? Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jesteś religijny...

Antonio wybuchnął śmiechem, ale siostra Teodora, odpowiadając Eziowi, pozostała zadziwiająco poważna.

– Wszystko zależy od tego, co uważamy za religię, Ezio. W człowieku nie tylko dusza pragnie pocieszenia.

– Napij się, Ezio! – powiedział Antonio. – Musimy pogadać, ale najpierw się odpręż! Jesteś tu całkowicie bezpieczny. Widziałeś już dziewczyny? Wpadła ci któraś w oko? Nie martw się, nie powiem Rosie. Za to ty musisz powiedzieć mi...

Antoniovowi przerwał krzyk z jednej z komnat wokół salonu. Chwilę później jej drzwi otworzyły się gwałtownie, ukazując mężczyznę z obłądem w oczach i nożem w ręku. Za nim, na zakrwawionym łożu, w agonii wiała się dziewczyna.

– Zatrzymajcie go! – krzyczała. – Zranił mnie i zabrał pieniądze!

Mężczyzna z wściekłym rykiem chwycił inną dziewczynę i nim ta zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, przyciągnął ją do siebie i przyłożył jej do

gardła nóż.

– Dajcie mi wyjść albo rozplątam jej szyję – wrzasnął, przyciskając czubek noża tak mocno, że zakręciła się przy nim kropelka krwi. – Nie żartuję!

Antonio, który w jednej chwili wytrzeźwiał, przeniósł wzrok z Teodory na Ezia. Również i ona spojrzała na niego.

– Ezio – odezwała się głosem tak opanowanym, że zbił go z tropu. – Masz okazję się przede mną wykazać.

Szaleniec przeszedł właśnie przez salon w kierunku drzwi, pod którymi stała gromadka dziewcząt.

– Otwierać! – warknął do nich.

Sparaliżowane strachem nawet nie drgnęły.

– Otwierać albo będzie po niej!

Wbił nóż nieco głębiej. Z szyi dziewczyny zaczęła spływać strużka krwi.

– Puść ją! – rozkazał mu Ezio.

Mężczyzna odwrócił się do niego. Jego twarz wykrzywiła wściekłość.

– A kimże ty jesteś? Pieprzony dobroczyńca! Uważaj, bo przyspieszysz jej koniec.

Ezio przebiegł wzrokiem od mężczyzny do drzwi. Dziewczyna w jego ramionach już mdlała, stając się dla niego balastem. Widział, jak mężczyzna się waha, wiedział też, że za chwilę będzie musiał wypuścić zakładniczkę. Przygotował się. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie łatwo – szalenca od kobiet dzieliła już bardzo niewielka odległość. Ezio musiał wybrać odpowiedni moment, a potem bardzo szybko działać – był świadom, że nie nabył jeszcze wystarczającego doświadczenia w posługiwaniu się swoją nową bronią.

– Nie słyszaliście?! Otwierać! – powiedział twardo szaleniec do jednej z przerażonych prostytutek.

Kiedy ta odwróciła się do drzwi, mężczyzna wypuścił z rąk krwawiącą dziewczynę, która upadła bezwładnie na podłogę. W chwili, gdy zbierał się w sobie, by pędem wypaść na ulicę, na ułamek sekundy spuścił Ezia z oczu –

w tym właśnie momencie Ezio wysunął miniaturowy pistolet i wystrzelił.

Rozległ się donośny huk. Tym, którzy patrzyli na Ezia, wydało się, że spomiędzy palców jego prawej dłoni buchnął płomień, pozostawiając po sobie obłok dymu. Mężczyzna, ze zdumieniem wciąż jeszcze malującym mu się na twarzy, padł na kolana. Na środku czoła miał mały, wyraźny otwór, a na framudze drzwi za jego plecami widniały rozbryzgane szczątki jego mózgu. Zachwiał się i zaczął przechylać do przodu, coraz szybciej, aż uderzył twarzą w podłogę, a dziewczyny, przeraźliwie piszcząc, uciekły jak najdalej od zwłok. Teodora krzyknęła na swoje służące, które pospieszyły na ratunek zranionym kobietom, lecz dla tej na łóżku było już za późno; wykrwawiła się na śmierć.

– Przyjmij wyrazy naszej wdzięczności, Ezio – powiedziała Teodora, gdy przywrócono już porządek.

– Nie zdążyłem ocalić jednej z nich...

– Za to ocaliłeś pozostałe. Gdybyś go nie powstrzymał, mógł dokonać tu strasznej rzezi.

– Cóż to za czary pozbawiły go życia? – zapytał pełen zdumienia i podziwu Antonio.

– Żadne czary. To mój mały sekret. Starszy brat noża do rzucania.

– Może ci się niedługo przydać. Nasz nowy doża jest śmiertelnie przerażony. Przez cały czas otacza się strażnikami i w ogóle nie opuszcza pałacu – powiedział Antonio, po czym zapytał: – Rozumiem, że Marco Barbarigo jest następnym na twojej liście?

– Jest moim głównym wrogiem, podobnie jak był nim jego kuzyn, Emilio.

– Pomożemy ci – włączyła się do rozmowy Teodora. – Niedługo nadarzy się sposobność. Doża wydaje wielkie karnawałowe przyjęcie i będzie musiał opuścić pałac. Nie oszczędzał na niczym – chce wkupić się w łaski ludu, skoro inaczej nie może zdobyć jego przychylności. Moi szpiegowie donieśli, że zamówił nawet sztuczne ognie z Chin!

– Właśnie dlatego cię tu wezwałem – wyjaśnił Eziowi Antonio. – Siostra

Teodora jest jedną z nas i trzyma rękę na pulsie Wenecji jak nikt inny.

– Jak mogę wprosić się na to przyjęcie? – zapytał ją Ezio.

– Nie jest to łatwe – odpowiedziała. – Musisz założyć na twarz złotą maskę.

– Z tym chyba nie będzie problemu.

– Mylisz się – każda maska jest zaproszeniem i to dosłownie: na każdej znajduje się numer – powiedziała Teodora, ale zaraz się uśmiechnęła. – Nie martw się, mam już pewien pomysł. Wydaje mi się, że udałoby się nam wygrać taką maskę dla ciebie. Chodź za mną!

Wyprowadziła go na mały, ustronny dziedziniec na tyłach budynku z fontanną w bogato zdobionym basenie. Słychać było szmer przelewającej się w niej wody.

– Jutro odbędą się specjalne zawody, otwarte dla wszystkich. Rozegrane zostaną cztery konkurencje, a ich zwycięzca otrzyma w nagrodę złotą maskę i tytuł honorowego gościa. Musisz je wygrać! Wstęp na przyjęcie, Ezio, oznacza dostęp do Marca Barbariga – spojrzała na niego. – Udając się tam, zabierz ze sobą tę wystrzałową zabawkę – nie znajdziesz się na tyle blisko, by zabić go nożem.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Zawsze możesz spróbować. Ale nie gwarantuję, że odpowiem.

– Bardzo mnie to intryguje. Nosisz habit zakonnicy, a przecież nią nie jesteś.

– Skąd wiesz? Zapewniam cię, mój synu, że ślubowałam Panu.

– Nie rozumiem. Przecież jesteś kurtyzaną. Prowadzisz dom publiczny!

Teodora uśmiechnęła się.

– Nie widzę, czemu jedno miałoby przeczyć drugiemu. Jak praktykuję swoją wiarę, co robię z moim ciałem – to wyłącznie moje decyzje, mój wolny wybór – zamyśliła się na chwilę. – Wiesz – ciągnęła – tak jak wiele młodych kobiet, tak i mnie przyciągnął Kościół. Jednak im dłużej obcowałam z wierzącymi naszego miasta, tym większe ogarniało mnie rozczarowanie.

Mężczyźni traktują Boga wyłącznie jako abstrakcję, zamiast pozwolić mu przeniknąć ich dusze i ciała. Wiesz już, do czego zmierzam, Ezio? Żeby osiągnąć zbawienie, mężczyzna musi nauczyć się kochać. Moje dziewczyny i ja dzielimy się tą wiedzą z naszymi parafianami. Oczywiście, żaden z odłamów Kościoła nigdy nie zaakceptowałby takiego podejścia, więc musiałam stworzyć swój własny zakon. Być może nie czerpie z tradycji, ale za to jest skuteczny – mężczyznom, nad którymi roztaczam opiekę, rosną serca.

– Domyślam się, że nie tylko.

– Jesteś cyniczny, Ezio – wyciągnęła do niego rękę. – Przyjdź jutro, zobaczymy jak ci pójdzie. Uważaj na siebie, nie zapomnij o masce... Wiem, że jesteś ostrożny, ale nasi wrogowie wciąż cię szukają.

Ezio chciał, by Leonardo dokonał w jego nowej broni kilku drobnych regulacji, wstąpił więc do niego wracając do kwatery głównej Gildii.

– Cieszę się, że cię znów widzę.

– Miałeś rację z tą siostrą Teodorą, Leonardo. To prawdziwie wyzwolony umysł...

– Miałaby na pieńku z Kościołem, gdyby się dobrze nie ustawiła – ma w nim kilku wpływowych adoratorów.

– Domyślam się.

Ezio spostrzegł, że Leonardo sprawia wrażenie roztargnionego i że dziwnie na niego patrzy.

– O co chodzi, Leo?

– Może lepiej byłoby ci tego nie mówić, ale z drugiej strony, gdybyś dowiedział się o tym przypadkiem, mogłoby być jeszcze gorzej. Posłuchaj, Ezio, na karnawał do Wenecji przyjechała ze swoim mężem Cristina Calfucci. Oczywiście teraz nazywa się Arzenta.

– Gdzie się zatrzymała?

– Manfredo i ona przybyli na zaproszenie mojego mecenasa. Stąd o tym wiem.

– Muszę ją zobaczyć!

– Ezio... Jesteś pewny, że to dobry pomysł?

– Odbiorę broń jutro z rana. Obawiam się, że później będę jej już potrzebował. Mam do załatwienia niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Ezio, na twoim miejscu nie wychodziłbym na ulice nieuzbrojony.

– Mam przy sobie oba sztylety.

Gdy zbliżał się do Palazzo Pexaro, serce waliło mu jak młot. Po drodze zaszedł do publicznego skryby, któremu zapłacił za napisanie krótkiego listu:

Cristina, Najdroższa,

muszę się z Tobą zobaczyć, sam na sam, z dala od rezydencji naszych gospodarzy. Będę na Ciebie czekał przy tarczy zegara słonecznego w pobliżu Rio Terra degli Ognisanti –

Podpisał list imieniem Manfredo. Doręczył go do pałacu hrabiego Pexaro i czekał.

Próba była ryzykowna, ale przyniosła pożądany skutek. Cristina w towarzystwie służącej wyszła wkrótce z pałacu i pospieszyła w kierunku Dorsoduro. Ezio ruszył za nią. Kiedy dotarła na miejsce, a jej przyzwoitka oddaliła się na zapewniającą dyskrecję odległość, wyszedł z ukrycia. Oboje byli w karnawałowych maskach, ale mimo to Ezio widział, że Cristina jest piękna jak zawsze. Nie mógł się powstrzymać. Chwycił ją w ramiona i pocałował, długo i czule.

W końcu udało się jej wyswobodzić z objęć. Zerwała maskę i spojrzała na niego niczego nie pojmującymi oczami. Potem, zanim zdążył ją powstrzymać, wyciągnęła rękę i gwałtownym ruchem odsłoniła jego twarz.

– Ezio!

– Wybacz, Cristino, ja... – zauważył, że nie nosi już jego medalionu.

Oczywiście, dlaczego niby miałyby to robić?

– Co ty tu u diabła robisz?! Jak śmiesz mnie tak całować?!

– Cristino, już dobrze...

– Dobrze?! Nie widziałam Cię ani nawet o Tobie nie słyszałam przez osiem bitych lat!

– Po prostu obawiałem się, że mogłabyś nie przyjść, gdybym nie uciekł się do tego małego fortelu...

– Masz rację! Oczywiście, że bym nie przyszła... Bo jeśli mnie pamięć nie myli, to gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, też całowałaś mnie na ulicy, a potem, jak gdyby nigdy nic, uratowałaś życie mojemu narzeczonemu i zostawiłaś mnie z nim, bym za niego wyszła!

– Uważam, że to było słuszne. Kochał cię, a ja...

– A kogo obchodzi to, czego chciał on? Ja kochałam ciebie!

Ezio nie wiedział, co powiedzieć. Czuł się tak, jakby spod nóg usunęła mu się ziemia.

– Nigdy już nie próbuj mnie szukać, Ezio – ciągnęła Cristina ze łzami w oczach. – Bo już drugi raz tego nie zniosę, zresztą na pewno ty też masz już swoje życie!

– Cristino...

– Był czas, kiedy mogłeś kiwnąć palcem, a ja... – przerwała. – Żegnaj Ezio.

Patrzył za nią bezradnie, jak się oddala, dołącza do swojej towarzyszki i znika za rogiem ulicy. Nie obejrzała się.

Przeklinając to siebie, to swój los, Ezio skierował się ku kwaterze głównej Gildii.

Nazajutrz obudził się w nastroju ponurej determinacji. Z pracowni Leonarda odebrał pistolet, podziękował mu, zabrał też kartę z Kodeksu, wyrażając nadzieję, że za jakiś czas zawiezie ją wraz z tą, którą zabrał Emiliowi, do wuja Maria. Potem udał się do domu Teodory. Ta zaprowadziła go na plac św. Pawła, gdzie miały odbyć się zawody. Na środku ustawiono podest. Był na nim stół, za którym siedziało trzech urzędników, spisujących nazwiska uczestników. Pośród zgromadzonych na placu ludzi Ezio dostrzegł niezdrową, wychudłą sylwetkę Silvia Barbariga. Towarzyszył mu jego olbrzymi goryl, Dante.

– Zmierzysz się z nim – odezwała się Teodora. – Myślisz, że dasz sobie

radę?

– Będę musiał.

Gdy w końcu wszyscy uczestnicy zostali zapisani, w tym Ezio, pod fałszywym nazwiskiem, na podest wszedł mistrz ceremonii – wysoki mężczyzna w jasnoczerwonej pelerynie.

Ogłosił, że podczas zawodów zostaną rozegrane cztery konkurencje, w których zmierzą się ze sobą wszyscy zawodnicy, i że ostateczny zwycięzca zostanie wyłoniony przez komisję sędziowską. Na szczęście dla Ezia całkiem sporo zawodników wolało pozostać w maskach.

Pierwszą konkurencją były biegi. Ezio wygrał je z łatwością, ku wielkiemu rozczarowaniu Silvia i Dantego. W drugiej zawodnicy brali udział w taktycznej próbie sił – polegała na odebraniu swoim rywalom flag z emblematami, w które przed konkurencją został wyposażony każdy z nich.

Również i tym razem zwycięzcą ogłoszono Ezia.

Rzucił okiem na Dantego i Silvia – ich wyraz twarzy mocno go zaniepokoił.

– Trzecia konkurencja – ogłosił mistrz ceremonii – łączy w sobie elementy dwóch poprzednich z nowymi. Otóż teraz musicie wykorzystać swoją szybkość i zręczność, ale także charyzmę i urok osobisty.

Rozpostarł szeroko ramiona, wskazując tym gestem na modnie ubrane kobiety, stojące wokół placu, które na jego słowa zalotnie zachichotały.

– W tej konkurencji zgodziły się nam pomóc nasze damy – ciągnął mistrz ceremonii. – Niektóre z nich znajdują się tu, pośród nas. Inne spacerują po ulicach w pobliżu. Kilka z nich możecie nawet znaleźć na gondolach. Rozpoznacie je po wstążkach, które mają w włosach. Waszym zadaniem, szacowni zawodnicy, będzie zebrać jak najwięcej tychże wstążek, w czasie, który odmierzy moja klepsydra. Gdy przesypane się w niej piasek, odezwą się kościelne dzwony. Wydaje mi się, że niezależnie od tego, jak wam się powiedzie, będzie to dla was najprzyjemniejsza część dzisiejszego dnia. Mężczyzna, który wróci z największą liczbą wstążek zostanie zwycięzcą

i zbliży się o kolejny krok do złotej maski. Pamiętajcie jednak, że jeśli konkurencje nie wyłonią jednoznacznie zwycięzcy, o tym, który z was zostanie szczęśliwcem zaproszonym na przyjęcie doży, zadecydują sędziowie. A teraz – ruszajcie!

Czas upływał, tak jak przewidział mistrz ceremonii, szybko i przyjemnie. Gdy przez szyjkę klepsydry przesypywały się z górnej bańki ostatnie ziarnka piasku, na jego znak odezwały się dzwony kościoła św. Pawła. Na placu pojawili się zawodnicy i wręczyli sędziom swoje wstążki, niektórzy z uśmiechem, inni rumieniąc się nieco. Dante przyglądał się temu wszystkiemu z kamienną twarzą. Gdy jednak zakończono liczenie wstążek, poczerwieniał ze złości – oto bowiem po raz kolejny mistrz ceremonii uniósł do góry rękę Ezia.

– Cóż mogę rzec, tajemniczy młodzieńcze – powiedział. – Masz wielkie szczęście. Miejmy nadzieję, że nie opuści cię ono również przy ostatniej konkurencji.

Odwrócił się, by po raz kolejny przemówić do tłumu. W tym czasie z podestu zniesiono stół, opuścili go także sędziowie. W jego narożnikach pojawiły się pale, do których przywiązano okalające go liny.

– Ostatnia konkurencja będzie zupełnie odmienna. Będzie się w niej liczyć wyłącznie brutalna siła. Zawodnicy zmierzą się ze sobą, aż na placu boju pozostaną dwaj finaliści. Ci zaś będą walczyć dopóki jeden z nich nie padnie. Wtedy nadejdzie oczekiwana przez was chwila – ogłoszenie zwycięzcy, który otrzyma złotą maskę! Uważajcie jednak, na kogo stawiacie pieniądze – pozostało mnóstwo czasu – jeszcze wszystko może się zdarzyć!

W tej konkurencji wyraźnie wybijał się Dante; mimo to Eziemu, który wykorzystywał bardziej technikę niż siłę, również udało się dojść do finału.

Stanął twarzą w twarz ze zwalistym jak dąb gorylem. Ten natarł na Ezia z wielkimi niczym kafary pięściami, lecz Ezio zwinnie unikał jego ciosów, sam zadając przeciwnikowi całkiem skuteczne prawe i lewe sierpowe.

W tej ostatniej walce pomiędzy rundami nie było już przerw. Ezio

zauważył, że Dante od pewnego czasu wyraźnie traci siły. Kątem oka spostrzegł również, że Silvio Barbarigo nerwowo rozmawia z mistrzem ceremonii i komisją sędziowską, która zebrała się przy stole pod baldachimem w pobliżu podestu. Wydało mu się, że dojrzał wypchaną, skórzaną sakiewkę, która powędrowała z rąk Silvia do kieszeni mistrza ceremonii, ale nie był tego całkowicie pewny, tym bardziej, że musiał znów skoncentrować się na swoim przeciwniku, teraz już srodze rozszoszczonym i ostro nacierającym na niego z młócającymi powietrze pięściami. Zrobił sprytny unik, po czym wpakował dwa mocne i szybkie proste w podbródek i brzuch Dantego. Ten w końcu się zachwiał i jego wielkie cielsko łupnęło o podłogę podestu. Ezio stanął nad nim, a Dante popatrzył na niego spode łba.

– To jeszcze nie koniec – wycedził przez zęby, ale choć próbował, to nie miał już siły, by stanąć z powrotem na nogi.

Ezio spojrział na mistrza ceremonii, podnosząc rękę na znak zwycięstwa, ale twarz mężczyzny ani drgnęła.

– Czy jesteśmy całkowicie pewni, że wszyscy pozostali współzawodnicy zostali wyeliminowani? – powiedział do tłumu. – Czy aby na pewno? Nie możemy ogłosić zwycięzcy, dopóki nie będziemy mieli absolutnej pewności!

Tłum odpowiedział pomrukiem, bo w tej samej chwili odłączyli się od niego i weszli na podest dwaj mężczyźni. Ezio spojrział na sędziów, lecz ci odwrócili oczy. Mężczyźni zbliżali się do niego. Teraz dopiero zauważył, że obaj ściskają w swoich dłoniach krótkie, dobrze ukryte noże.

– A więc to tak – odezwał się do nich Ezio. – Dobrze, w takim razie wszystkie chwytaki dozwolone.

Zwinnym ruchem uskoczył im z drogi, mimo że leżący wciąż Dante usiłował go przewrócić, chwytając go za kostki. Potem wybił się w powietrze i kopnął jednego z napastników z całej siły w twarz. Ten zatoczył się do tyłu i wypluł wybite zęby. Ezio wylądował całym swoim ciężarem na lewej stopie drugiego z mężczyzn, łamiąc mu jej podbicie. Prawie natychmiast uderzył go

brutalnie w brzuch, a gdy ten zginał się wóół, w jego podbródek wpakował swoje kolano. Mężczyzna, wyjąc z bólu, legł u jego stóp. Przegryzł sobie język i przez usta wypływało mu teraz mnóstwo krwi.

Nie oglądając się za siebie, Ezio przeskoczył przez liny podestu i podszedł do mistrza ceremonii i sędziów, sprawiających teraz wrażenie śniętych. Tłum za jego plecami wiwatował.

– Cóż, myślę że w końcu mamy zwycięzcę – powiedział.

Mistrz ceremonii spojrział na chwilę na sędziów i Silvia Barbariga, który stał nieopodal. Potem wspiął się na podest i usiłując nie wejść w rozlaną na nim kałużę krwi, stanął pośrodku i zwrócił się do tłumu:

– Szacowni mieszczanie! – powiedział, odchrząknąwszy nerwowo. – Myślę, że wszyscy zgadzamy się co do tego, iż byliśmy dziś świadkami ostrej i zarazem uczciwej walki.

Tłum od razu się ożywił.

– I jak to bywa w takich sytuacjach, wyłonienie prawdziwego zwycięzcy nie jest rzeczą łatwą...

Słowa mistrza ceremonii wprowadziły zgromadzonych w wielkie zdumienie. Ezio wymienił spojrzenie z Teodorą, stojącą na skraju placu.

– Zarówno dla mnie, jak i dla sędziów, decyzja o przyznaniu złotej maski była nie lada orzechem do zgryzienia – ciągnął mistrz, ocierając brwi z potu, jaki wystąpił mu na twarz. – A ponieważ zwycięzcą ma zostać ten, kto łącznie we wszystkich konkurencjach zdobył największą liczbę punktów, przedstawiam wam oto zdobywcę złotej maski... – tu przerwał i z trudem podniósł Dantego do pozycji siedzącej. – Oto i nasz zwycięzca, a zarazem dumny zdobywca złotej maski. Przedstawiam wam Dantego Mora!

Tłum zaczął gwizdać i buczeć z niezadowolenia. Mistrz ceremonii wraz z sędziami musiał wycofać się w pośpiechu, bo stojący najbliżej zaczęli obrzucać ich wszystkim, co tylko mieli pod ręką. Ezio przedostał się szybko do Teodory i oboje patrzyli, jak Silvio, z ustami wykrzywionymi w złośliwym uśmiechu, pomaga Dantemu zejść ze sceny, a potem oddala się

z nim, znikając w końcu między budynkami w jednej z małych przecznic.

19

Znalazłszy się z powrotem w „klasztorze” Teodory, Ezio robił wszystko, by zapanować nad sobą, a Antonio i Teodora patrzyli na niego z niepokojem.

– Widziałam, jak Silvio przekupuje mistrza ceremonii – powiedziała Teodora. – I jestem przekonana, że to samo zrobił z sędziami. Nie mogłam nic zrobić.

Antonio zaśmiał się szyderczo, a Ezio spojrział na niego rozdrażnionym wzrokiem.

– Łatwo się domyślić, czemu Silviovi aż tak bardzo zależało na zwycięstwie swojego człowieka – ciągnęła Teodora. – Wciąż trzymają się na baczności i nie chcą podejmować niepotrzebnego ryzyka. Nie spoczną dopóki cię nie zgładzą – dokończyła spoglądając na Ezia.

– W takim razie przed nimi jeszcze sporo bezsennych nocy.

– Musimy się zastanowić. Przyjęcie będzie już jutro...

– Pójdę za nim – powiedział zdecydowanym głosem Ezio. – Zabiorę mu jakoś maskę i...

– Jak? – przerwał mu Antonio. – Zabijając tego Bogu ducha winnego *stronzo*?

Ezio wściekł się i zwrócił ze złością do Antonia.

– A masz jakiś lepszy pomysł? Chyba wiesz, o jaką stawkę gramy!

Antonio w geście dezaprobaty uniósł rękę.

– Posłuchaj, Ezio. Jeśli go zabijesz, odwołają przyjęcie, a Marco na dobre zamknie się w pałacu. I znów będziemy tracić czas. Zgadzam się, maskę trzeba ukraść, ale należy zrobić to dyskretnie.

– Moje dziewczyny mogłyby ci w tym pomóc – wtrąciła Teodora. – Wiele z nich udaje się na przyjęcie, by zapewnić towarzystwo gościom. Gdyby udało się im odwrócić uwagę Dantego, mógłbyś wtedy zabrać mu maskę.

Kiedy znajdziesz się już na przyjęciu, nie obawiaj się, że jesteś tam sam. Też na nim będę.

Ezio pokiwał głową, choć z wyraźną niechęcią. Nie lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić, ale w tym wypadku musiał przyznać przed sobą, że Antonio i Teodora mają rację.

– *Va bene* – powiedział.

Nazajutrz, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, Ezio ukrył się w miejscu, obok którego musiał przejść Dante, zmierzając na przyjęcie. Po okolicy kręciło się kilka dziewczyn Teodory. W końcu pojawił się oczekiwany wielkolud. Zadał sobie nawet trud przystrojenia się w drogie, choć bardziej krzykliwe niż eleganckie szaty. U pasa zwisała mu złota maska. Dziewczyny, gdy tylko go zobaczyły, zaczęły nawoływać i machać do niego; po chwili były już przy nim, z obu stron. Chwyciły go pod ręce i zadbały o to, by maska przesunęła się wzdłuż pasa na jego plecy, a potem udały się wraz z nim w kierunku Molo, przy którym na rozległym, wydzielonym placu, miało się odbyć przyjęcie. W rzeczy samej – właśnie się zaczynało. Ezio obliczył dokładnie czas i w ostatniej chwili, w której było to jeszcze możliwe, odciął od pasa Dantego maskę. Porwał ją ze sobą i rzucił się naprzód, by pierwszy pojawić się przed strażnikami strzegącymi wejścia na przyjęcie. Widząc złotą maskę na twarzy Ezia, wpuścili go bez najmniejszych problemów. Kilka chwil później stanął przed nimi Dante i sięgnął ręką za plecy po maskę, lecz jej nie znalazł. Dziewczyny, które mu towarzyszyły, rozplynęły się w tłumie i pewnie też założyły maski. Gdy Dante wciąż spierał się ze strażnikami, usiłując nakłonić ich, by złamali rygorystyczne rozkazy, Ezio przedzierał się przez tłum gości, szukając Teodory. Powitała go bardzo ciepło.

– Udało ci się! Moje gratulacje! A teraz posłuchaj: Marco faktycznie jest wyjątkowo ostrożny. Pozostał na swojej galerze – „Bucentaurze” – przycumowanej niedaleko Molo. Nie uda ci się więc podejść do niego zbyt blisko, ale przynajmniej powinieneś zająć dogodny punkt obserwacyjny,

z którego zaatakujesz – odwróciła się i przywołała kilka swoich kurtyzan. – Dziewczyny będą cię osłaniać.

Ezio ruszył przed siebie, a wraz z nim przenikały przez morze gości dziewczyny w połyskujących srebrem i szkarłatem atłasach i jedwabiach. Po chwili jego uwagę przykuł wysoki, dostojny mężczyzna. Miał jakieś sześćdziesiąt lat, bystre, inteligentne wejrzenie, przyciętą w hiszpańskim stylu brodę i rozmawiał z innym weneckim arystokratą w podobnym wieku. Obaj przywdziali małe maski, które zakrywały tylko niewielką część ich twarzy. Ezio w wysokim mężczyźnie rozpoznał Agostina Barbariga, młodszego brata Marca. Agostino mógłby mieć znaczący wpływ na losy Wenecji, gdyby jego brata spotkało przypadkiem jakieś nieszczęście, więc Ezio uznał, że warto podsłuchać rozmowę mężczyzn.

Gdy przysunął się do nich na wystarczającą odległość, usłyszał delikatny śmiech Agostina.

– Szczerze mówiąc, to cały ten pokaz brata jest żenujący.

– Nie masz prawa tak o nim mówić – odparł rozmawiający z Agostinem arystokrata. – Wszak jest dożą!

– A tak, tak, oczywiście... Jest dożą... – odpowiedział Agostino, gładząc brodę.

– To jego przyjęcie i jego *Carnevale*, a swoje pieniądze wydaje na to, co uzna za stosowne.

– Jest dożą, ale wyłącznie z nazwy – powiedział oschłym już głosem Agostino – a pieniądze, które wydaje, wcale nie są jego – należą do weneccjan. Zresztą mamy na głowie większe problemy, sam o tym wiesz – dodał cichszym tonem.

– Marco to urodzony przywódca. Zgadza się, twój ojciec sądził, że nigdy niczego nie osiągnie i dlatego swoje polityczne ambicje skupił właśnie na tobie, lecz obecnie, gdy sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej, nie ma to chyba większego znaczenia?

– Ja nigdy nie pragnąłem być dożą...

– A więc gratuluję ci sukcesu – powiedział chłodno arystokrata.

– Posłuchaj... – powiedział Agostino, usiłując nad sobą zapanować. – Władza to coś więcej niż tylko bogactwo. Czy mój brat naprawdę wierzy w to, że został wybrany z innego powodu niż jego majątek?

– Został wybrany ze względu na swoją mądrość i zdolności przywódcze!

Przerwał im hałas rozpoczynającego się pokazu sztucznych ogni. Agostino oglądał je przez chwilę, a potem powiedział:

– Czy właśnie to jest owocem jego mądrości? Ten pokaz świateł? Przez cały czas ukrywa się w Pałacu Dożów, miasto pogrąża się w chaosie, a on myśli, że kilka kosztujących krocie eksplozji sprawi, że ludzie zapomną o wszystkich swoich problemach.

Arystokrata machnął lekceważąco ręką.

– Lud kocha widowiska. Taka jest ludzka natura. I zobaczysz, że...

W tej chwili Ezio spostrzegł kątem oka Dantego, a z nim grupkę strażników. Szukali go. Ezio natychmiast ruszył z miejsca. Po chwili znalazł ustronny zakątek, z którego mógł zobaczyć dożę, gdyby ten zdecydował się w końcu wyjść ze swej książęcej galery, przycumowanej w pewnej odległości od nabrzeża.

Rozległy się fanfary i na chwilę przerwano pokaz sztucznych ogni. Zapadła cisza, która nagle zamieniła się w aplauz, gdy Marco pojawił się na pokładzie „Bucentaura”, by zwrócić się do zebranych.

– *Signore e signori!* Oto nasz wspaniały doża Wenecji! – zapowiedział go paż.

– *Benvenuti!* – zaczął przemowę Marco. – Witajcie, przyjaciele, na największym wydarzeniu towarzyskim tego sezonu. Nieważne, czy wojna, czy pokój, czy czasy dobrobytu, czy niedostatku – *Venezia* zawsze będzie obchodziła *Carnevale!*

Gdy doża wciąż jeszcze mówił, do Ezia dołączyła Teodora.

– Jestem za daleko – szepnął do niej. – A on najwyraźniej nie zamierza opuścić łodzi. Będę więc musiał do niego popłynąć. *Merda!*

– Tego akurat bym nie próbowała – powiedziała Teodora ściszone głosem. – Od razu by cię zauważyli.

– W takim razie będę musiał stąd...

– Poczekaj!

Doża ciągnął swoją mowę.

– Dziś świętujemy to, co czyni nas wspaniałymi. To, dzięki czemu nasz blask rozprasza mroki świata!

Rozłożył ręce i prawie w tej samej chwili na niebie znów zabłysły na krótko sztuczne ognie. Z tłumu uniósł się donośny okrzyk aplauzu i zadowolenia.

– Tak! O to chodzi! – powiedziała Teodora. – Musisz skorzystać ze swojego pistoletu! Tego, którym zabiłeś mordercę w moim domu. Wykorzystaj moment, gdy znów wystrzelą sztuczne ognie – ich hałas zagłuszy twój wystrzał. Gdy tylko uda ci się zgrać jedno z drugim, wyjdiesz stąd nie zwróciwszy niczyjej uwagi.

Ezio spojrzał na nią.

– Podoba mi się twój sposób myślenia, siostrze.

– Musisz tylko bardzo precyzyjnie wycelować. Będziesz miał tylko jedną szansę – ścisnęła mu rękę. – *Buona fortuna*, mój synu. Będę czekała na ciebie u siebie.

Zniknęła między uczestnikami fety, pośród których Ezio znowu zobaczył Dantego i jego popleczników, wciąż go szukających. Niczym zjawa przedostał się na nabrzeże. Znalazł tam miejsce, z którego najlepiej widział Marca stojącego na pokładzie swojej galery. Jego olśniewające szaty, skąpane w blaskach pochodni, czyniły z niego doskonały cel.

Przemowa doży wciąż trwała, a Ezio przygotowywał się do oddania strzału, nasłuchując uważnie wznowienia pokazu.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że przeszliśmy przez trudny czas – mówił Marco. – Ale byliśmy razem, i to dzięki temu *Venezia* jest teraz mocniejsza niż przedtem... Zmiany u władzy nigdy nie są łatwe, ale nam udało się podejść do nich z wrodzoną nam inteligencją i spokojem. Z wielkim

bólem zegnaliśmy naszego dożę, który opuścił nas w kwiecie wieku; frustracją napawa też świadomość, że zabójca naszego drogiego brata Mocenigo uniknął kary i wciąż przebywa na wolności. Pocieszające może być jednak dla nas to, że wielu zaczynała doskwierać polityka prowadzona przez mojego poprzednika, że czuliśmy się zagrożeni, że droga, jaką obrał, prowadziła nas w niepożądanym kierunku... – w tłumie rozległy się głosy aprobaty, a Marco, uśmiechnięty, uniósł ręce, prosząc o ciszę. – Cóż mogę rzec, moi przyjaciele? Oto odnalazłem drogę inną, właściwą! Widzę jej kres, cel, do jakiego prowadzi! Zaiste, piękne to miejsce i dojdziemy tam razem! Przyszłość Wenecji to przyszłość potęgi i dostatku. Wybudujemy flotę tak potężną, że nasi wrogowie będą obawiać się nas jak nigdy dotąd! Rozwiniemy sieć naszych morskich szlaków handlowych – będziemy transportować nimi przyprawy i skarby, o których od czasów Marco Polo nikomu się nawet nie śniło! – w oczach Marca pojawił się złowrogi błysk, a jego głos przybrał groźny ton. – A teraz mówię do tych, którzy są teraz przeciw nam: baczcie na swoje wybory, bo albo dołączycie do nas, albo pozostaniecie po stronie zła! I nie będziemy was tolerować! Znajdziemy was i zniszczymy! – uniósł raz jeszcze swoje ręce i z naciskiem powiedział: – Wenecja zaś będzie trwała przez wieki – jako najjaśniejszy klejnot cywilizacji człowieka!

Gdy skończył i z triumfalnym wyrazem twarzy opuścił dłonie, rozpoczął się wspaniały pokaz fajerwerków – wielki finał, który sprawił, że noc na chwilę stała się dniem. Huki eksplozji były ogłuszające – śmiertelny strzał Ezia zginął zupełnie pośród nich. On sam już wracał, przeciskając się przez tłum, gdy ludzie zaczęli reagować na widok Marca Barbariga, najkrócej rządzącego doży w historii Wenecji, który zachwiał się, chwycił za serce i upadł martwy na pokład swojej galery.

– *Requiescat in pace* – wymruczał Ezio opuszczając plac.

Wieść o śmierci doży rozniosła się szybko i dotarła do domu publicznego jeszcze przed Eziem. Teodora i jej kurtyzany powitały Ezia z zachwytem

w oczach.

– Pewnie jesteś wyczerpany – powiedziała Teodora, chwytając go pod ramię i zabierając go do jednej z komnat. – Chodź, wypoczniesz.

Zdążył jeszcze podejść do niego z gratulacjami Antonio.

– Wybawca Wenecji! – zawołał. – No cóż, być może niesłusznie tak otwarcie wątpiłem w powodzenie tej misji. Ciekawe, jak teraz potoczą się sprawy, bo...

– Wystarczy, Antonio – ucięła Teodora. – Chodź, Ezio. Ciężko pracowałeś. Twoje zmęczone ciało potrzebuje odpoczynku i opieki.

Ezio szybko zrozumiał niedwuznaczność jej słów i podjął grę.

– To prawda, sostro Teodoro. Odczuwam ból i napięcie w wielu miejscach... Mam nadzieję, że jesteś w stanie mi pomóc...

– Ależ oczywiście – uśmiechnęła się Teodora. – Ale chyba nie myślisz, że zdołam ulżyć ci w bólu w pojedynkę... Dziewczyny!

Do komnaty, do której prowadziła Ezia Teodora, wślizgnęło się stadko roześmianych dziewczyn. Wewnątrz, na środku pomieszczenia stało niezwykle obszerne łóżko. Obok niego znajdowało się osobliwe urządzenie, przypominające leżankę, wyposażone jednak w układ krążków, pasów i łańcuchów. Wyglądało jak eksponat z pracowni Leonarda, nie miał jednak pojęcia, do czego służy.

Spojrzał na Teodorę i zamknął za sobą drzwi.

Kilka dni później Ezio stał na moście Rialto, wypoczęty i odprężony, i spoglądał na tłumy wypełniających ulice przechodniów. Już miał się zbierać, by wypić gdzieś kilka kielichów veneto przed obiadem, gdy ujrzał spieszącego w swoim kierunku mężczyznę. Był to jeden z posłańców Antonia.

– Ezio... Ezio... – powiedział ów człowiek, gdy znalazł się przy nim i złapał oddech. – Ser Antonio chce cię widzieć. To jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa.

– A zatem chodźmy – powiedział Ezio i zszedł za posłańcem z mostu.

Gdy znaleźli się w gabinecie Antonia, zastali go – ku zdumieniu Ezia – w towarzystwie Agostina Barbariga. Antonio przedstawił ich sobie.

– To dla mnie zaszczyt, panie. Przykro mi z powodu brata.

Agostino machnął ręką.

– Doceniam twoje wyrazy współczucia, ale jeśli mam być szczery, to mój brat był skończonym idiotą, sterowanym z Rzymu przez frakcję Borgia. To ostatni władca, którego bym życzył Wenecji. Na szczęście jakaś osoba z poczuciem obywatelskiego obowiązku zapobiegła tej wielce niekorzystnej sytuacji i wyprawiła go na tamten świat. W dodatku w jakiś przedziwny, zdumiewający sposób.... Będzie oczywiście śledztwo i przesłuchania, ale zupełnie nie mam pojęcia, dokąd by nas mogły zaprowadzić.

– *Messer* Agostino już niedługo zostanie wybrany na dożę – wtrącił Antonio. – To dobre wieści dla Wenecji.

– Rada Czterdziestu Jeden tym razem szybko podjęła decyzję – stwierdził Ezio, nie bez odrobiny ironii w głosie.

– Wydaje mi się, iż jej członkowie zrozumieli, że na chwilę zbłądzili – odparł Agostino z cierpkim uśmiechem na twarzy. – Ja, w przeciwieństwie do brata, nie chcę być dożą wyłącznie z nazwy. I z tego właśnie powodu tu jestem. Nasz okropny kuzyn, Silvio, zajął Arsenał, wojskową dzielnicę miasta, i rozmieścił tam aż dwustu najemników!

– Czy nie możesz, panie, rozkazać im ją opuścić, gdy będziesz już dożą? – zapytał Ezio.

– Gdyby to tylko było możliwe! – westchnął Agostino. – Ekstrawaganckie pomysły mojego brata znacząco uszczupliły zasoby miasta. Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, którzy mogliby stawić czoła siłom, które kontrolują Arsenał i co gorsza są zdeterminowane, by go bronić. A bez Arsenалу nie mam realnej władzy nad Wenecją, niezależnie od tego, czy jestem dożą, czy nie.

– Zatem musimy zorganizować równie zdeterminowane siły na własną rękę – stwierdził Ezio.

– Dobrze powiedziane – ucieszył się Antonio. – W dodatku mamy kogoś, kto idealnie nadaje się do tego zadania. Słyszeliście o Bartolomeu Alvianie?

– Oczywiście. To *condottiero*, który służył kiedyś Państwu Kościelnemu. Wiem, że teraz się od niego odwrócił.

– Jest tutaj. Nie przepadał za Silviem, którego – jak dobrze wiemy – miał w kieszeni kardynał Borgia – powiedział Agostino. – Bartolomeo stacjonuje na wyspie San Pietro, na wschód od Arsenалу.

– Wybiorę się do niego.

– Nim to zrobisz, Ezio – zatrzymał go Antonio – *Messer Agostino* ma coś dla ciebie.

Agostino wyjął z szat starożytny zwój welinu z wielką czarną pieczęcią, złamaną, zwisającą na postrzępionej, czerwonej wstążce.

– Mój brat miał to w swoich papierach. Antonio powiedział mi, że mogłoby cię to zainteresować. Potraktuj to jako zapłatę... za wyświadczone przysługi.

Ezio wziął welin z rąk Agostina. Wiedział, co zawiera.

– Dzięki ci, panie. Jestem pewny, że ten dokument okaże się pomocny w przygotowaniach do nadchodzącej bitwy.

Ezio nie tracił czasu. Uzbroidł się i wybrał do pracowni Leonarda. Na miejscu zaskoczył go widok pakującego się przyjaciela.

– Dokąd to znów wyruszasz? – zapytał go Ezio.

– Wracam do Mediolanu. Oczywiście przedtem zamierzałem cię o tym poinformować, a przy okazji wysłać ci paczkę z nowymi kulkami do twojego pistoletu.

– Cóż, cieszę się, że zdążyłem cię złapać. Spójrz, mam nową kartę z Kodeksu.

– Świetnie! Muszę ją zobaczyć! Chodź! Luca i inni moi służący dadzą sobie radę beze mnie. Teraz są już nieźle wyszkoleni. Szkoda, że nie mogę zabrać ich wszystkich ze sobą...

– Co zamierzaś robić w Mediolanie?

– Ludovico Sforza złożył mi propozycję nie do odrzucenia.

– A co z tutejszymi projektami?

– Wenecka flota musiała odwołać zamówienia. Nie mieli pieniędzy na nowe projekty. Wygląda na to, że ostatni doża zdążył roztrwonić większość budżetu. Sam mogłem mu przygotować sztuczne ognie, nie musiał wydawać aż takich sum na sprowadzanie ich z Chin. Mniejsza z tym. Najważniejsze, że Wenecja wciąż jest w stanie pokoju z Turkami i że podobno jestem tu zawsze mile widziany – wydaje mi się, że mnie tu polubili. Muszę zostawić tu Lucę. Z dala od Wenecji czułby się jak ryba wyciągnięta z wody. Na dobry początek przekazałem mu kilka moich prostych projektów. Jeśli zaś chodzi o hrabiego... Z portretów rodzinnych jest całkiem zadowolony, choć ja osobiście uważam, że wymagają jeszcze pewnych szlifów... – Leonardo zaczął rozwijać welinowy rulon. – A teraz zobaczmy, co my tu mamy.

– Obiecuj, że dasz mi znać, kiedy tu wrócisz.

– Obiecuję, przyjacielu. Ale i ty przekazuj mi wieści o swoich poczynaniach, gdy tylko będziesz mógł.

– Oczywiście.

– A teraz... – zamruczał Leonardo rozwijając rulon z Kodeksu. – Wygląda to na projekt czegoś w rodzaju noża z podwójnym ostrzem, który pasuje do twojego ochraniacza z metalową płytką... Projekt nie jest jednak kompletny – może to po prostu wstępny szkic broni, którą już masz? Cała reszta zyska znaczenie dopiero po połączeniu z pozostałymi stronami – zobacz, są tu znaki charakterystyczne dla map i jakieś rysunki, które przywodzą mi na myśl węzły, jakie rysowałem, gdy miałem jeszcze czas na myślenie o swoich własnych sprawach – Leonardo zwinął z powrotem kartę i spojrzał na Ezia. – Na twoim miejscu dołączyłbym tę kartę do dwóch pozostałych, które pokazałeś mi w Wenecji, i ukrył w jakimś bezpiecznym miejscu. Ich zawartość z pewnością jest niezwykle cenna.

– Leo, skoro wybierasz się do Mediolanu, zastanawiam się, czy nie mógłbym poprosić cię o pewną przysługę...

– Śmiało!

– Kiedy dotrzesz do Padwy, może udałoby ci się zorganizować tam zaufanego posłańca, który doręczyłby wszystkie trzy karty mojemu wujowi w Monteriggioni? Jest... antykwariuszem... i myślę, że mogłyby go zaciekawić. Ale musi to być ktoś, komu naprawdę można zaufać.

Na twarzy Leonarda pojawił się cień uśmiechu. Gdyby Ezio nie był aż tak pochłonięty własnymi myślami, z pewnością uznałby ten uśmiech za znaczący.

– Wysyłam swoje rzeczy bezpośrednio do Mediolanu, ale jeśli chodzi o mnie, to odwiedzam jeszcze na krótko Florencję, żeby sprawdzić, jak sobie radzą Agniolo i Innocento, więc do Florencji to ja będę twoim posłańcem. W dalszą drogę, do Monteriggioni, wyślę z przesyłką Agniola, możesz więc spać spokojnie.

– Świetnie, to jeszcze lepsze rozwiązanie niż się spodziewałem – powiedział Ezio, ściskając mu dłoń. – Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Leo.

– Mam nadzieję, Ezio. Ale czasami myślę, że przydałby ci się ktoś, kto naprawdę by się tobą zaopiekował... – przerwał, zamyślając się na chwilę. – No i życzę ci powodzenia w twoich sprawach. Wierzę, że nadejdzie dzień, w którym doprowadzisz je do końca i odnajdziesz spokój.

Ezio swoimi stalowoszarymi oczyma przez chwilę wpatrywał się w dal i milczał. Po chwili rzekł:

– Właśnie mi o czymś przypomniałeś... Mam pewną sprawę do załatwienia. Wyślę kogoś ze służby mojego gospodarza do ciebie z dwiema pozostałymi kartami z Kodeksu. A teraz, przyjacielu – *addio!*

20

Najszybszym sposobem dotarcia z pracowni Leonarda na wyspę San Pietro było skorzystanie z promu bądź wynajęcie łodzi przy Fondamenta Nuove i przeprawa na wschód z północnych nabrzeży miasta.

Ku zdziwieniu Ezia nie było nikogo, kto mógłby go tam zabrać. Regularne połączenia promem zostały zawieszane, a dwóch młodych gondolierów przekonał dopiero po głębszym sięgnięciu do kieszeni.

– W czym problem? – zapytał ich.

– Podobno doszło tam do jakichś zaciętych walk – powiedział wioślarz na dziobie, zmagając się ze wzburzoną wodą. – I choć wygląda na to, że się już uspokoiło i że to raczej jakieś lokalne porachunki, promy nie będą ryzykowały kursów w to miejsce, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wyszadzimy cię na północnym przybrzeżu. Tylko na siebie uważaj.

Zrobili tak, jak obiecali. Ezio wkrótce został zupełnie sam, podchodząc z mozołem pod błotnisty wał, aż do muru oporowego z cegieł, z którego w niewielkiej odległości zobaczył iglicę wieży kościoła San Pietro di Castello. Oprócz niej rzuciły mu się w oczy słupy dymu, wznoszące się nad niskimi, murowanymi budowlami, znajdującymi się niedaleko na południowy wschód od kościoła. To musiały być baraki Bartolomea. Ezio z łomoczącym sercem ruszył w ich kierunku.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, była cisza. Potem, gdy znajdował się coraz bliżej, zaczął napotykać martwe, porozrzucane wokół ciała. Niektórzy z żołnierzy mieli tarcze herbowe Silvia Barbariga, inni zaś emblematy, których nie znał. W końcu dotarł do żołnierza, ciężko zranionego, ale wciąż żywego, opartego plecami o niski mur.

– Proszę... pomóż mi... – jęknął żołnierz, gdy zobaczył zbliżającego się Ezia.

Ezio szybko się rozejrzał i znalazł studnię. Nabrał z niej wody, mając nadzieję, że nikt jej nie zatrzał. To, że wyglądała na czystą, że była przezroczysta, niczego jeszcze nie oznaczało. Nalał jej do leżącego obok kubka i podał rannemu do ust. Potem nawilżył nią kawałek materiału i zmył mu krew twarzy.

– Dzięki, przyjacielu – odezwał się żołnierz.

Ezio spostrzegł, że nosi na ubraniu nieznaną mu emblemat i doszedł do wniosku, że musi być człowiekiem Bartolomea. Wyglądało zatem na to, że oddziały Bartolomea uległy żołnierzom Silvia.

– Zaatakowali nas z zaskoczenia – odezwał się jakby na potwierdzenie domysłów Ezia żołnierz. – Zdradziła nas któraś z dziwek Bartolomea.

– Dokąd odeszli?

– Ludzie inkwizytora? Wrócili do Arsenalu. Założyli tam swoją bazę, całkiem niedawno. Zrobili to zanim nowy doża zdążył to jakoś uregulować. Silvio nienawidzi swojego kuzyna, Agostina, za to, że nie jest uwikłany w żaden ze spisków, w których bierze udział inkwizytor.

Mężczyzna zakaszłał krwią, ale zebrał się w sobie i mówił dalej:

– Naszego dowódcę wzięli jako zakładnika. Zabrali go gdzieś ze sobą. To zabawne... Bo to my planowaliśmy właśnie atak na nich. Bartolomeo czekał... na posłańca z miasta.

– Gdzie reszta ludzi?

Żołnierz z trudem rozejrzał się wokół.

– Ci, którzy uszli z życiem i nie zostali wzięci jako zakładnicy, rozproszyli się po okolicy, ratując swoje życie. Będą czekali w Wenecji i na innych wyspach laguny. Potrzebują jednak kogoś, kto ich zjednoczy. Będą czekali na słowo od naszego dowódcy.

– A on? Czyżby więził go Silvio?

– Tak. On... – żołnierz nagle zaczął walczyć o oddech.

Jego agonia zakończyła się otwarciem ust, z których trysnął strumień krwi tak obfity, że zabarwił na czerwono kilka łokci trawy przed nim. Gdy już

było po wszystkim, zastygłe oczy mężczyzny wpatrywały się w dal, w kierunku laguny.

Ezio zamknął je i skrzyżował jego ręce na piersi.

– *Requiescat in pace* – wyszeptał.

Zacisnął mocniej pas z mieczem. Na lewym przedramieniu miał ochraniacz z płytką, ale zrezygnował z dołączanego do niego sztyletu. Do mechanizmu na prawym przymocował ostrze z trucizną, zawsze użyteczne w przypadku poważniejszych opresji. Pistolet, który sprawdzał się najlepiej w przypadku dobrze widocznego, pojedynczego celu, gdyż musiał być przeładowywany po każdym strzale, trzymał w sakiewce przy pasie, razem z kulami i prochem. Tam też na wszelki wypadek włożył zwykły, sprężynowy sztylet. Nasunął kaptur i wyruszył w kierunku drewnianego mostu, łączącego wyspę San Pietro z Castello. Stąd udał się główną ulicą do Arsenału, przemykając nią dyskretnie, ale i szybko zarazem. Zwrócił uwagę, że mijani przezeń ludzie są wyraźnie przygaszeni, choć na pierwszy rzut oka wykonywali swoje zajęcia ze zwykłą, codzienną rutyną. Żeby machina weneckich interesów zatrzymała się w miejscu, trzeba było czegoś więcej niż jakiejś lokalnej potyczki, choć oczywiście część mieszkańców Castello aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę z tego, jak ważny dla funkcjonowania miasta będzie wynik tego sporu.

Ezio na początku nie wiedział, że konflikt, w który się angażuje, będzie ciągnął się całymi miesiącami, że przeciągnie się na kolejny kalendarzowy rok. Pomyślał o Cristinie, o matce i siostrze. Poczul, że w zasadzie jest bezdomny i że przybywa mu lat. Wiedział jednak, że musi żyć według Credo, służyć mu i stać na jego straży, i że nic nie może stać się od niego ważniejsze. Być może nikt ze zwykłych, żyjących z dnia na dzień ludzi nigdy się nie dowie, że ich świat został ocalony przed dominacją templariuszy za sprawą doborowych członków Zakonu Asasynów, który ślubowali przeciwstawiać się ich zbrodniczej hegemonii.

Teraz jego pierwszym zadaniem było odnaleźć, a później, jeśli to tylko

możliwe, uwolnić Bartolomeo Alviano, jednak przedostać się do Arsenału z pewnością nie było łatwo. Ta położona na wschodnich obrzeżach miasta dzielnica, otoczona wysokimi, ufortyfikowanymi murami, za którymi znajdował się istny labirynt ulic, mnogość budynków i stocznie, była silnie strzeżona przez prywatną armię Silvia, której liczebność zdawała się przewyższać dwie setki najemców, o których mówił Agostino Barbarigo.

Ezio minął główną bramę, wzniesioną niedawno według projektu Gamballa, i udał się na rekonesans wzdłuż muru, aż do miejsca, w którym kończył się odcięty przez niego skrawek lądu. Tam znajdowały się ciężkie wrota z otwieraną w nich furtką. Oddalił się i obserwował je z ukrycia. Okazało się, że z tego dyskretnego wejścia korzystają przy zmianie warty strażnicy patrolujący część wyspy na zewnątrz murów. Ezio musiał przeczekać cztery kolejne godziny, ale gdy nadeszła pora następnej zmiany, był już gotów do działania. Na niebie wisiało ostre, mocno przygrzewające popołudniowe słońce, powietrze było ciężkie od wilgoci i wszyscy prócz niego sprawiali wrażenie odrętwiałych. Ezio widział, jak nowi zmiennicy wychodzą przez bramę, której strzegł tylko jeden strażnik, a potem zaczął ukradkiem podążać za powracającym patrolem, trzymając się go możliwie blisko i będąc dyskretnym. Gdy ostatni z żołnierzy przeszedł przez bramę, Ezio błyskawicznie podciął gardło strażnikowi i wślizgnął się za patrolem do środka, nim ktokolwiek spostrzegł, co się stało. Podobnie jak to było przed laty w San Gimignano, również i tu, mimo wielkiej liczebności wojska, Silvio nie był w stanie zabezpieczyć szczelnie całego strzeżonego obszaru. A przecież, koniec końców, było to militarny ośrodek Wenecji, bez którego Agostino nie był w stanie sprawować realnej władzy nad miastem.

Gdy Ezio znalazł się za murami, poruszanie się po rozległych, otwartych przestrzeniach, rozciągających się pomiędzy wieżami strażniczymi, wielkimi budynkami *Cordelie*, *Artiglierie* i stoczni, nie sprawiało mu większych problemów. Uznał, że gdy będzie trzymał się ostrych, popołudniowych cieni i miał baczenie na żołnierzy patrolujących ten olbrzymi kompleks, pozostanie

bezpieczny. Pozostawał jednak niezwykle czujny.

Przez pewien czas błądził po okolicy, lecz w końcu jego uszu doszły odgłosy wesołości i szyderczego śmiechu. Udał się w ich kierunku i po chwili znalazł się przy jednym z głównych suchych doków stoczni, w którym osadzono wielką galeryę. Na jednej z wysokich ścian doku wisiała żelazna klatka. Znajdował się w niej Bartolomeo, wielki jak niedźwiedź, niezwykle żywotny mężczyzna. Miał jakieś trzydzieści kilka lat, a więc był starszy o Ezia o cztery, góra pięć. Dookoła klatki stał tłumek najemników Silvia. „O ileż lepiej byłoby dla nich, gdyby patrolowali podległy im teren, niż triumfowali nad wrogiem, i to w dodatku bezbronnym” – pomyślał Ezio. Takie zachowanie odzwierciedlało jednak fakt, że Silvio Barbarigo, niezależnie od sprawowanej przez siebie funkcji wielkiego inkwizytora, nie miał zupełnie doświadczenia w dowodzeniu wojskiem.

Ezio nie wiedział jak długo Bartolomeo siedzi w klatce zakuty w łańcuchy; podejrzewał, że co najmniej kilkanaście godzin. Jednak jego złość, gniew i energia podczas tej ciężkiej próby wcale z niego nie uszły. Zważywszy, że prawie na pewno nie dano mu jeść ani pić, jego zasoby sił były wprost niewiarygodne.

– *Luridi codardi! Śmierdzący tchórze!* – krzyczał na swoich oprawców, z których jeden, jak zauważył Ezio, nasączył gąbkę w octem i podsunął ją na lancy pod usta Bartolomea, mając nadzieję, że ten pomyśli, iż podaje mu wodę.

Bartolmeo na nią splunął.

– Policzę się z wami! – odgrażał się. – Pokonam was wszystkich, i to naraz! Z jedną ręką – nie! – z obydwoma rękami związanymi z tyłu pleców! Zjem was wszystkich na śniadanie! I to żywcem! – roześmiał się głośno. – Na pewno zastanawiacie się, jak coś takiego jest w ogóle możliwe? Wypuście mnie, a chętnie to wam zaprezentuję! *Miserabili pezzi di merda!*

Żołnierze inkwizytora drwiąco zawyli i zaczęli szturchać klatkę pikami, rozhuśtując ją. Ponieważ nie miała pełnego dna, Bartolomeo musiał mocno

zapierać się o kraty stopami, by nie stracić równowagi.

– Nie macie honoru! Ani męstwa! Ani cnoty! – gdy w ustach zebrał wystarczająco dużo śliny, splunął na nich. – A ludzie zastanawiają się, dlaczego jasna gwiazda Wenecji zaczęła tracić swój blask... – jego głos przybrał teraz szyderczo błagalny ton. – Okażę miłosierdzie temu, kto będzie miał na tyle odwagi, by mnie uwolnić. Resztę pozabijam! Własnoręcznie! Przysięgam!

– Lepiej oszczędzaj swój cholerny głos! – krzyknął w jego kierunku jeden z żołnierzy. – Bo oprócz ciebie, ścierwo, nikt dzisiaj nie zginie!

Ezio, przez cały czas ukryty w cieniu kamiennej kolumnady okalającej basen, w którym cumowało kilka mniejszych galer, obmyślał plan ratunku *condottiero*. Wokół klatki zebrało się dziesięciu strażników zwróconych do niego plecami. Innych w zasięgu wzroku nie było. Co więcej, strażnicy byli już po służbie, więc nie mieli na sobie zbroi. Ezio sprawdził swój sztylet z trucizną. Rozprawienie się ze strażnikami nie powinno mu sprawić trudności. Oszacował, że patrole pełniących służbę strażników przechodzą w pobliżu za każdym razem, gdy cień murów doku wydłuża się o kolejne trzy cale. Z uwolnieniem Bartolomea wiązał się jeszcze jeden problem – jak sprawić, by siedział wtedy cicho. Tak czy inaczej Ezio musiał zrobić to szybko. Wciąż intensywnie myślał. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu.

– Cóż to za człowiek, który honor swój i godność sprzedaje za kilka sztuk srebra? – grzmiał z klatki Bartolomeo, lecz zasychało mu już w gardle, a jego żelazna wola walki zaczynała powoli przegrywać z wyczerpaniem.

– Czyż nie robisz tego samego, pieprzona gnido? Czyż nie jesteś najemnikiem, tak jak my?

– Nigdy nie służyłem zdrajcom i tchórzom, a wy – owszem! – w oczach Bartolomea pojawił się błysk tryumfu. Wyglądało no to, że jego słowa na chwilę przejęły strażników. – Myślicie, że nie wiem, czemu skuliście mnie w łańcuchy? Myślicie, że nie wiem, czyją marionetką jest wasz pan, Silvio? Z łajdakiem, któremu służy, walczyłem już wtedy, gdy większość z was była

jeszcze szczeniakami ssącymi piersi swoich matek!

Ezio słuchał go z zainteresowaniem. Jeden z żołnierzy podniósł odłamek cegły i rzucił go z gniewem w Bartolomea. Kamień odbił się od krat, nie wyrządzając mu szkody.

– Właśnie tak, popaprańcy! – wrzeszczał Bartolomeo ochryłym już głosem. – Tylko spróbujcie się ze mną zmierzyć! Przysięgam, gdy tylko wyjdę z tej klatki, za szczytny cel postawię sobie obcięcie pierdolonej głowy każdego z was i wepchania jej w wasze dziewczęce dupy! Tylko że najpierw będę musiał przyjrzeć się, co jest czym, bo chyba wy sami nie odróżniacie swoich dup od głów!

Mężczyźni pod klatką byli już teraz naprawdę rozsierzdzeni. Było jasne, że tylko rozkazy powstrzymują ich od zadźgania więźnia na śmierć swoimi pikami lub wystrzelenia w niego gradu strzał – w końcu wisząc nad nimi w klatce był zupełnie bezbronny. Ezio zauważył, że kłódka zamykająca klatkę była względnie niewielka. Ci, którzy uwięzili Bartolomea, wykorzystywali głównie fakt, że ich zakładnik znajdował się wysoko nad ziemią. Bez wątpienia zamierzali wykończyć go na śmierć odwodnieniem, głodem i ostrym słońcem w ciągu dnia, zmieniającym się w przejmujący ziąb nocą. Chyba że przedtem by zmiękł i zgodził się mówić. Sądząc jednak z jego zachowania, coś podobnego w ogóle nie wchodziło w grę.

Ezio wiedział, że musi działać szybko. Patrol miał pojawić się lada chwila. Wysunął swoje trujące ostrze i rzucił się naprzód z szybkością i zwinnością wilka, w mgnieniu oka przebywając odcinek, jaki dzielił go od żołnierzy. Wpadł jak pocisk w grupę mężczyzn i tnąc na lewo i prawo uśmiercił pięciu z nich, nim reszta zorientowała się, co się dzieje. Dobył miecza i odpierając lewym ochraniaczem daremne ciosy, bezlitośnie zabił pozostałych. Bartolomeo przyglądał się całemu zajściu z otwartymi ustami. W końcu Ezio odwrócił się do niego i spojrzał w górę.

– Dasz radę zeskoczyć? – zapytał.

– Jeśli mnie stąd wypuścisz, skoczę jak cholerna pchełka!

Ezio zabrał jednemu z zabitych żołnierzy pikę. Jej grot był odlewem z żelaza, a nie kutą stalą – nadawał się. Trzymając pikę w lewej dłoni, Ezio skupił się, przykucnął, a następnie wystrzelił w powietrze, chwytając się w ostatniej fazie lotu dolnych krat klatki.

Bartolomeo spojrział na niego wytrzeszczonymi oczami.

– Jak tego, na litość boską, dokonałeś?! – zapytał.

– Kwestia treningu – odparł Ezio z lekkim uśmiechem na ustach.

Wbił koniec grotu w zawias pałaka kłódki i przekreślił. Kłódka najpierw stawiała opór, lecz chwilę później dała za wygraną. Ezio otworzył drzwi klatki i zeskoczył na ziemię, lądując na niej z wdziękiem kota.

– Teraz ty – rozkazał Bartolomeowi. – Byle szybko.

– Kim jesteś?

– Skacz!

Wyraźnie zdenerwowany, Bartolomeo chwycił się brzegu klatki, po czym runął w dół. Uderzył ciężko o ziemię i przez chwilę się nie ruszał, ale po tym, jak Ezio pomógł mu stanąć na nogi, odsunął go z godnością.

– Nic mi nie jest – odezwał się nabzdyczonym głosem. – Po prostu nie lubię takich cyrkowych akrobacji.

– Znaczy że kości nie połamałeś?

– Pieprz się, kimkolwiek jesteś – powiedział Bartolomeo, zaraz się jednak rozpromienił. – Ale dzięki ci za to!

Bartolomeo, ku zdziwieniu Ezia, ścisnął go mocno.

– No dobrze, ale kim tak naprawdę jesteś? Jakimś pieprzonym aniołem czy co?

– Nazywam się Auditore. Ezio.

– Bartolomeo Alviani. Miło mi.

– Nie mamy czasu na takie uprzejmości – ponaglił go odrobinę poirytowany Ezio. – Jak pewnie sam dobrze wiesz!

– Nie ucz ojca dzieci robić, akrobato! – powiedział Bartolomeo, wciąż z sympatią w głosie. – Tak czy owak, za to wszystko jestem ci dłużny

jednego.

Było już jednak za późno. Ktoś na szaniecach musiał zauważyć, co działo się w dole – rozległy się ogłaszające alarm dzwony, a z pobliskich budynków wysypali się strażnicy i zaczęli się do nich zbliżać.

– Chodźcie, sukinsyny! – zawołał Bartolomeo, wymachując pięściami, przy których pięści Dantego Mora wyglądałyby jak miniaturowe młoteczki do zabawy.

Tym razem to Ezio spojrział na niego z podziwem, widząc jak natarł na żołnierzy. Udało im się w końcu przedostać do furtki w bramie i wreszcie byli wolni.

– Zabierajmy się stąd! – krzyknął Ezio.

– Może roztrzaskalibyśmy jeszcze kilka głów?

– Wydaje mi się, że nie powinniśmy teraz wdawać się w walkę.

– Boisz się?

– Nie, po prostu staram się być praktyczny. Wiem, że gotuje ci się krew w żyłach, ale przewyższają nas liczebnie. Na każdego z nas przypada ich setka.

– Masz rację – powiedział Bartolomeo po krótkim zastanowieniu. – Koniec końców, to ja tu dowodzę. Powinienem więc myśleć jak dowódca, a nie uczyć się rozsądku od młokosa takiego jak ty – tu ściszył głos i dodał zafrasowanym tonem: – Mam nadzieję, że moja mała Bianca mimo wszystko jest bezpieczna.

Ezio nie miał czasu, by pytać czy nawet zastanawiać się nad tą ostatnią wzmianką Bartolomea. Musieli jak najszybciej przedostać się przez miasto do kwatery głównej Bartolomea na San Pietro – biegli więc co sił przez miasto. Po drodze Bartolomeo zajrzał jeszcze w dwa miejsca – do Riva San Basio i Cuorte Nuova – by poinformować swoich szpiegów, że żyje i jest wolny oraz by wezwać tych, którzy uniknęli niewoli, do przegrupowania się.

Gdy o zmroku dotarli do San Pietro, okazało się, że z pogromu ocalała zaledwie garstka najemników Bartolomea. Wyszli z ukrycia i krzatali się

teraz pomiędzy obsiadłymi już przez muchy ciałami, grzebiąc je i starając się przywrócić na pobojuwisku ogólny ład. Na widok swojego dowódcy zareagowali radością, lecz on nie zwracał na to uwagi, tylko biegał po obozowisku, żałośnie wołając:

– Bianca! Bianca! Gdzie jesteś?

– Kogo on szuka? – zapytał Ezio jakiegoś żołnierza.

– Kogoś bardzo ważnego, *signore* – uśmiechnął się żołnierz. – Na mało której kobiecie można polegać jak na niej.

Ezio pobiegł za nowo poznanym sprzymierzeńcem.

– Wszystko w porządku?

– A jak ci się wydaje? Spójrz tylko, jak wygląda to miejsce! Biedna Bianca! Jeśli coś się jej stało...

Wielkolud pchnął ramieniem drzwi, które, jako że wisiały już tylko na połowie zawiasów, spadły z hukiem na podłogę pomieszczenia, najprawdopodobniej pełniącego przed atakiem rolę centrum dowodzenia. Cenne mapy były podarte i uszkodzone, część z nich skradziono, ale Bartolomeo, niezrażony, przekopywał się przez panujący w pomieszczeniu chaos, aż w końcu triumfalnie krzyknął:

– Bianca! Moja kochana! Bogu dzięki, nic ci się nie stało!

Spod sterty zniszczonych rzeczy wyciągnął wielki miecz i zamachnął się nim kilka razy, mówiąc donośnym głosem:

– No! Cała i zdrowa! Nigdy w to nie wątpiłem! Bianco – poznaj... Jak się zwiesz? Przypomnij mi!

– Auditore. Ezio.

Bartolomeo zamyślił się na chwilę, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Oczywiście. Twoje czyny sławią twoje imię, Ezio.

– Bardzo mi miło.

– Cóż cię tu sprowadza?

– Również i ja mam swoje porachunki z Silviem Barbarigiem. Wydaje mi się, że nadużył weneckiej gościnności.

- Silvio! To ścierwo! Powinno się go utopić w jednej z tutejszych latryn!
- Pomyślałem, że może mógłbym cię prosić o pomoc.
- Po tym, jak mnie uratowałeś? Jestem ci dłużny życie, a nie tylko pomoc!
- Ilu masz ludzi?
- Ilu przeżyło, komendancie?

Komendant, z którym wcześniej rozmawiał Ezio, podbiegł i zasalutował.

- Dwunastu, *capitano*, włączając ciebie i mnie, i tego młodego człowieka.
- Trzyznaścioro! – krzyknął Bartolomeo, wymachując Biancą.
- To wszystko przeciw dobrym dwóm setkom ludzi – powiedział Ezio i zwrócił się do komendanta. – Ilu waszych trafiło do niewoli?
- Większość – odrzekł komendant. – Zupełnie zaskoczyli nas tym atakiem. Niektórym udało się zbiec, ale ludzie Silvia zakuli w łańcuchy i zabrali o wiele więcej.

– Posłuchaj, Ezio – odezwał się Bartolomeo. – Zamierzam zebrać tych, którzy pozostali na wolności. Posprzątam to miejsce, pogrzebię ciała i przegrupujemy się tutaj. Może zdołałbyś tymczasem sprawdzić, jak wyglądają możliwości uwolnienia ludzi więzionych przez Silvia? Zdążyłem się przekonać, że jesteś w tym niezły.

– *Intensi*.

– Wracaj szybko! Powodzenia!

Ezio z przypiętymi do przedramion sztyletami z Kodeksu wyruszył na zachód, w kierunku Arsenału, zastanawiając się, czy aby na pewno Silvio więziłby wszystkich ludzi Bartolomea właśnie tam. Nie widział żadnego z nich, gdy tam był po ich dowódcę. Przy Arsenale ukrył się w mroku zapadającej nocy i usiłował podsłuchać rozmowy strażników rozstawionych na okalających go murach.

- Widziałeś kiedykolwiek większe klatki? – zapytał jeden z nich.
- Nie. Choć i tak tych biedaków wciśnięto do nich jak sardynki. Myślę, że kapitan Barto nie postąpiłby tak z nami, gdyby to on zwyciężył – odrzekł jego kompan.

– Oczywiście, że zrobiłby to samo! Poza tym trzymaj swoje szlachetne przemyślenia dla siebie, jeśli chcesz, by głowa ostała ci się na karku! Mówię ci: lepiej z nimi skończyć. Czemu od razu nie zanurzyć klatek w basenach i nie mieć ich wszystkich z głowy za jednym zamachem?

Ezio słuchał rozmowy z narastającym zdenerwowaniem. W Arsenale znajdowały się cztery olbrzymie, prostokątne baseny, z których każdy był w stanie pomieścić trzydzieści galer. Wszystkie mieściły się w północnej części kompleksu, otoczone grubymi, kamiennymi murami i przykryte ciężkimi dachami z drewna. Bez wątpienia klatki, o których mówili strażnicy – większe wersje tej, w której zamknięto Bartolomea – zawieszono były nad wodą w jednym, a może w kilku z nich.

– Stu pięćdziesięciu wyćwiczonych mężczyzn? To przecież byłaby strata. Moim zdaniem Silvio będzie chciał przeciągnąć ich na naszą stronę – powiedział drugi strażnik.

– Cóż, w końcu to najemnicy, tak jak my. Dlaczegoż więc nie?

– No właśnie! Muszą tylko trochę zmięknąć. Trzeba im pokazać, kto tu rządzi.

– *Spero di sì.*

– Bogu dzięki, że nie wiedzą, iż ich dowódca się nam wymknał.

Pierwszy strażnik splunął.

– I tak długo nie pociągnie.

Ezio opuścił strażników i udał się w kierunku odkrytej uprzednio furki. Nie miał już czasu, by czekać na zmianę warty, ale z położenia księżyca nad horyzontem wywnioskował, że pozostało mu zaledwie kilka godzin. Wysunął sprężynowy sztylet, pierwszą broń z Kodeksu, wciąż ulubioną, i jednym ruchem otworzył nim krtań starego, otyłego strażnika, którego Silvio uznał za wystarczająco dobrego, by go wystawić na wartę w pojedynkę. Od razu go odepchnął, by tryskająca z niego krew nie zdążyła splamić mu ubrania. Szybko wytarł ostrze o trawę i zmienił je na sztylet z trucizną, a potem wyprostował się i przeżegnał.

Kompleks budynków zamknięty murami Arsenалу oświetlony sierpem księżycy w towarzystwie kilku gwiazd wyglądał zupełnie inaczej, ale Ezio dobrze wiedział, gdzie znajdują się baseny. Podążył w kierunku pierwszego z nich, trzymając się blisko murów i przez cały czas mając się na baczności. Gdy już się tam znalazł, zajrzał do środka przez wielkie, zwieńczone łukiem okno, ale w chlupoczącym mroku zobaczył tylko skąpane w łagodnym świetle księżycy galery, kołyszące się na spokojnie falującej wodzie. Przy drugim z basenów Ezio zobaczył to samo, ale gdy zaczął zbliżać się do trzeciego, usłyszał czyjeś głosy.

– Nie jest jeszcze za późno – wciąż możecie ślubować wierność naszej sprawie. Wystarczy tylko jedno słowo, a ocalicie życie – z lekką drwiną w głosie przemawiał do więźniów jeden z komendantów inkwizytora.

Ezio, przywierając ciałem do muru, ujrzał tuzin żołnierzy; odłożyli broń, w rękach trzymali butelki i wpatrywali się w panujący pod dachem półmrok, gdzie wisiały trzy ogromne, stalowe klatki. Spostrzegł, że jakiś ukryty mechanizm opuszcza je z wolna, by wkrótce zanurzyć je w znajdującej się pod nimi toni. W tym basenie nie było galer – jedynie czarna, połyskująca niczym olej woda, w której kryło się coś niewidzialnego i przerażającego zarazem.

Pośród ludzi inkwizytora był jeden, który nie pił i który zdawał się mieć cały czas na baczności – wielki, wzbudzający strach mężczyzna. Ezio poznał go od razu – to Dante Moro! A więc po śmierci swojego pana, Marca, Dante stał się lojalnym sługą jego kuzyna, Silvia, inkwizytora, od samego początku patrzącego z podziwem na tego wielkoluda.

Ezio przeszedł ostrożnie wzdłuż murów i znalazł się przy otwartym stelażu, w którym znajdował się układ kół zębatach, bloczków i sznurów – coś, co przypominało wytwory Leonarda i wyglądało na sterowany wodną klepsydrą, opuszczający klatki mechanizm. Ezio sięgnął po zwykły sztylet i umieścił go pomiędzy dwoma kołami zębatymi. Zablockowany mechanizm zatrzymał się w samą porę – klatki zawisły o włos nad powierzchnią wody. Strażnicy od

razu spostrzegli, że przestały się obniżyć i kilku z nich rzuciło się w kierunku maszynierii. Ezio wysunął sztylet z trucizną i dźgał nim nadbiegających. Dwóch pierwszych żołnierzy wpadło z krzykiem do wody, po czym utonęli w jej połyskujących czernią odmętach. Tymczasem Ezio biegł już wzdłuż brzegu basenu w kierunku pozostałych; wszyscy, z wyjątkiem Dantego, pierchli w panice. Dante stał w miejscu, wyniosły niczym wieża, i spoglądał na Ezia.

– Stałeś się teraz psem Silvia, co? – rzekł Ezio.

– Lepiej być żywym psem niż martwym lwem – odparł Dante, wyciągając rękę, by wtrącić Ezia do wody.

– Poczekaj! – powiedział Ezio, uchylając się przed ciosem. – Nie mam nic do ciebie!

– Och, zamknij się! – warknął Dante, chwytając Ezia za kark i rzucając nim o okalający basen mur. – Też do ciebie nic nie mam!

Ezio nie mógł ukryć zdziwienia.

– Zostań tam! Muszę ostrzec mojego pana, ale jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, nakarmię tobą ryby.

Dante odszedł.

Ezio potrząsnął głową, by dojść do siebie, i półprzytomny stanął na nogi. Mężczyźni uwięzieni w klatkach podnieśli krzyk i Ezio spostrzegł, że jeden z żołnierzy Silvia podczołgał się do mechanizmu i usiłował usunąć unieruchamiający go sztylet. Ezio, dziękując w myślach Bogu za to, że nie zapomniał nabytych w Monteriggioni umiejętności rzucania nożem, dobył zza pasa jedno z ostrzy i cisnął nim ze śmiertelnością precyzją. Żołnierz upadł z jękiem, usiłując bezradnie wyrwać nóż zatopiony po rękojeść między jego oczami.

Ezio zdjął osękę z haków w ścianie za swoimi plecami i pochylając się niebezpiecznie nad wodą sprawnie przyciągnął do siebie najbliższą z klatek. Miała nieskomplikowany zamek, więc Ezio z łatwością go otworzył. Uwolnieni mężczyźni wysypali się z klatki na nabrzeże i pomogli mu z resztą

klatek.

Mimo iż więźniowie byli wyczerpani tym, co przeszli, zaczęli wiwatować na jego cześć.

– Chodźcie! – krzyknął Ezio. – Muszę zabrać was z powrotem do waszego dowódcy!

Po tym, jak rozprawili się ze strażnikami przy basenach, nikt już nie stawał im na drodze do San Pietro, gdzie Bartolomeo niezwykle serdecznie powitał swoich ludzi. Pod nieobecność Ezia wrócili najemnicy, którym udało się zbiec podczas niespodziewanego ataku Silvia, tak więc obozowisko znów było *in perfetto ordine*.

– *Salute*, Ezio! – powiedział Bartolomeo. – Witaj z powrotem! Kawał dobrej roboty, jak Boga kocham! Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć! – ujął dłoń Ezia w swoje ręce. – W rzeczy samej, potężny z ciebie sprzymierzeniec! Ktoś mógłby nawet pomyśleć, żeś... – ale zaraz przerwał, by dokończyć inaczej: – Dzięki tobie moja armia odzyskała swoją świetność. Teraz dopiero nasz przyjaciel Silvio przekona się, jak wielki błąd popełnił!

– Cóż więc powinniśmy zrobić? Zaatakować bezpośrednio Arsenał?

– Nie. Taki bezpośredni atak oznaczałby masakrę naszych ludzi już przy bramach. Myślę, że trzeba raczej rozmieścić ludzi po całej dzielnicy i kazać im wywołać jak największe zamieszanie, by zaangażować na miejscu jak najwięcej żołnierzy Silvia.

– A więc... skoro Arsenał jest obecnie prawie pusty...

– Możesz wybrać sobie ludzi i ruszać.

– Mam nadzieję, że Silvio połknie przynętę.

– To inkwizytor. Wie tylko, jak nękać ludzi, których los zależy od jego łaski. Nie ma w sobie nic ze stratega. Do diabła, on przecież nie potrafiłby nawet dobrze grać w szachy!

Rozlokowanie *condottieri* Bartolomea w Castello i Arsenale zajęło kilka dni. Gdy wszystko już było przygotowane, Bartolomeo i Ezio zwołali najemników, którzy mieli wraz z nimi uderzyć na bastion Silvia z zewnątrz.

Ezio osobiście zadbał o to, by byli to ludzie zręczni i sprawnie władający bronią.

Uderzenie na Arsenał zaplanowano z wielką starannością. W piątkowy wieczór wszyscy byli już w gotowości. Jeden z najemników zajął pozycję na szczycie wieży San Martino i kiedy księżyc na nocnym niebie osiągnął najwyższy punkt, odpalił wielkie rzymskie ognie i tym sposobem dał sygnał do ataku. Odziani w ubrania z czarnej skóry, *condottieri* zaczęli wspinać się na mury Arsenалу z czterech stron. Gdy już znaleźli się na ich szczycie, rozproszyli się niczym widma i wkrótce poradzili sobie ze szczątkową strażą, jaka strzegła spokojnej i zbyt słabo zabezpieczonej fortecy. Nie upłynęło zbyt wiele czasu zanim Ezio i Bartolomeo musieli stawić czoła swoim śmiertelnym wrogom – Silwiowi i Dantemu.

Dante, który miał teraz na palcach metalowe kastety, kręcił ze świstem kiścieniem, chroniąc nim swego pana. Zarówno Eziowi, jaki i Bartolomeowi, trudno było się do nich zbliżyć.

– Niezły okaz, przyznacie! – triumfował Silvio napawając się swoim bezpieczeństwem. – Zginać z jego ręki powinno być dla was honorem!

– Pieprz się, ty sukinsynu! – odkrzyknął Bartolomeo, któremu udało się w końcu zaplątać łańcuch kiścienia o ostrze swego miecza. Dante, którego szarpnięciem pozbawił broni, zaczął się wycofywać. – No dalej, Ezio! Musimy złapać tego *grassone bastardo*!

Dante, któremu udało się dobyć skądś stalową pałkę nabijaną powykręcanyimi gwoździami, znów rzucił się do walki. Zamachnął się swoją nową bronią i jeden z wystających z niej gwoździ zrobił w ramieniu Bartolomea głęboką bruzdę.

– Pożalujesz tego, ty ścierwo! – zawył Bartolomeo.

Tymczasem Ezio załadował i wystrzelił ze swojego pistoletu celując w Silvia, lecz chybił. Kula odbiła się rykoszetem od kamiennych ścian, wywołując snop iskier i odłamków.

– Myślisz, że nie wiem, po co tu jesteś, Auditore? – warknął Silvio,

wyraźnie przerażony wystrzałem. – Spóźniłeś się! Już nic nie możesz zrobić! Już nas nie zatrzymasz!

Ezio załadował ponownie broń i wystrzelił. Był jednak zły i wytrącony z równowagi słowami Silvia i po raz kolejny kula chybiła celu.

– Tak! – krzyknął Silvio, plując w zapamiętaniu, podczas gdy Dante i Bartolomeo zaciekle z sobą walczyli. – Udajesz, że nie wiesz, o czym mówię! I chociaż za chwilę Dante skończy z tobą i twoim umięśnionym przyjacielem, nie będzie to miało zbyt wielkiego znaczenia. Po prostu pójdziesz w ślady głupca, jakim był twój ojciec! Wiesz, czego najbardziej żałuję? Że to nie ja wieszałem Giovanniego. O, ileż dałbym za to, bym to ja mógł pociągnąć za tę dźwignię i napawać się widokiem, jak twój godny politowania ojciec wierzga w powietrzu nogami, dyszy, aż wreszcie dynda na sznurze... Potem poświęcilibyśmy mnóstwo czasu temu pijakowi, twojemu wujowi, *ciccione* Mario, a na końcu zajęlibyśmy się twoją matką, Marią, nie tak znowu starą, choć już z nieco obwisłymi cyckami, no i oczywiście tą pociągającą truskaweczką, twoją siostrunią Claudią. O, ileż to już czasu minęło od chwili, gdy pieprzyłem kogoś młodszego niż dwudziestokilkulatka! Tak, te dwie suczki muszę zabrać z sobą w podróż... Na morzu człowiek czasem czuje się taki samotny!

Choć z furii oczy zaszyły mu krwią, Ezio usiłował zapamiętać każdą informację, którą pośród obelg wyrzuciły w szaleństwie ociekające śliną usta inkwizytora.

Żołnierze Silvia zaczęli się już zbiegać, a ich przewaga liczebna nad oddziałem Bartolomea stawała się niebezpieczna. Tymczasem Dante raził przeciwnika kolejnym mocnym ciosem – jego kastet wylądował na klatce piersiowej Bartolomea, który pod wpływem uderzenia wyraźnie się zachwiał. Ezio wystrzelił w kierunku Silvia kolejną kulę – tym razem zniknęła w szatach inkwizytora blisko jego szyi, ale mimo iż ten zatoczył się i widać było, jak z rany wypływa cienka strużka krwi, nie upadł. Przywołał Dantego, który w jednej chwili wycofał się i wspiął na szaniec, by dołączyć do

swojego pana, po czym zniknął wraz z nim za murem. Ezio wiedział, że znajduje się tam drabina do zejścia na molo, i krzyząc do Bartolomea, by ten poszedł za nim, zostawił bijących się żołnierzy, by skończyć ze swoimi wrogami.

Po chwili ujrzał, jak zajmują miejsce w dużej łodzi, ale zauważył, że na ich twarzach maluje się złość i rozpacz. Skierował swój wzrok w stronę, gdzie patrzyli, i zobaczył zdążającą na południe wielką, czarną galerę, która przepłynąwszy lagunę, znikła w ciemnościach.

– Zdradzili nas! – Ezio usłyszał głos Silvia. – Statek wypłynął bez nas! A niech ich! Byłem lojalny aż do końca, a teraz – teraz tak mi odpłacają!

– Spróbujmy dogonić ich naszym statkiem – zaproponował Dante.

– Już za późno – nigdy nie dopłyniemy do Wyspy w łajbie tej wielkości; przynajmniej wykorzystajmy ją do odpłynięcia z miejsca tej katastrofy!

– Każ zatem oddać cumy, *Altezza*.

– Oczywiście.

Dante zwrócił się do trzęsącej się ze strachu załogi:

– Oddawać cumy! Podnosić żagle! Z życiem!

W tej samej chwili z mroku wyłonił się Ezio – śmignął przez nabrzeże i natychmiast znalazł się na pokładzie. Przerażeni żeglarze ulotnili się w okamgnieniu, skacząc ze statku w mroczną toń laguny.

– Odstąp ode mnie, morderco! – krzyknął piskliwym głosem Silvio.

– Właśnie wypowiedziałeś swoją ostatnią obelgę – powiedział Ezio, dźgając go prosto w brzuch i powoli przesuając w poprzek zatopiony w nim sztylet. – Za to, co powiedziałeś o mojej matce i siostrze powinienem obciąć ci jaja, gdybym tylko uznał, że naprawdę warto.

Dante stał w bezruchu, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Ezio utkwiał w nim wzrok. Wielkolud sprawiał wrażenie utrudzonego.

– To już koniec – powiedział do niego Ezio. – Postawiłeś na niewłaściwego konia.

– Może i tak – odrzekł Dante. – Mimo wszystko zabiję cię. Byłeś mi

udręką. Zmęczyłeś mnie.

Ezio wysunął swój pistolet i wystrzelił. Kula trafiła Dantego prosto w twarz. Upadł na pokład.

Ezio uklęknął przy Silviu, by udzielić mu rozgrzeszenia. Wiedział, że prawdziwie moralna postawa dopuszcza zabijanie jedynie wtedy, gdy nie ma innego wyboru i że umierający, który za chwilę zostanie pozbawiony wszelkich praw ludzi żywych, powinien mieć możliwość skorzystania z ostatniego sakramentu.

– Dokąd się udawałeś, Silvio? Co to za galera? Myślałem, że zależy ci na stanowisku doży...

Silvio uśmiechnął się blado.

– To miała być odmiana... Zamierzaliśmy dopłynąć do...

– Dokąd?

– Za późno – uśmiechnął się Silvio i wyzionął ducha.

Ezio podszedł do Dantego i umieścił jego wielką, lwią głowę w zgięciu ramienia.

– To Cypr... Cypr jest ich celem, Auditore – wychrypiął Dante. – Może odkupię swoją duszę, gdy powiem ci prawdę... Chcą... Chcą... – wielkolud zakrztusiwszy się swą własną krwią przeniósł się na tamten świat.

Ezio przeszukał torby obu mężczyzn, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi poza listem od żony Dantego. Choć poczuł wstyd, postanowił go przeczytać.

Amore mio!

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, kiedy słowa te będą jeszcze dla Ciebie cokolwiek znaczyć. Przepraszam Cię za to co zrobiłam – za to, że pozwoliłam Marcowi, by zabrał mnie Tobie, za rozwód i za to, że zostałam jego żoną. Lecz teraz, gdy zmarł, chciałabym móc powtórnie związać się z Tobą. Jednak różne myśli chodzą mi po głowie. Czy w ogóle mnie jeszcze pamiętasz? Czy rany, jakie odniosłeś w tej bitwie, nie okazały się zbyt głębokie? Czy moje słowa są w stanie poruszyć jeśli nie Twoje myśli,

to chociaż Twoje serce? Bez względu na to, co wyrażają, ja wiem, że wciąż noszę Cię głęboko w moim sercu. Znajdę sposób, mój ukochany. Żeby przypomnieć Ci o sobie. Żeby Cię odzyskać...

*Na zawsze Twoja
Gloria*

Na liście nie było adresu. Ezio zgiął go starannie wpół i umieścił w swojej torbie. Postanowił, że zapyta Teodorę, czy może zna tę dziwną historię i czy mogłaby zwrócić list do niewiernej nadawczyni wraz z wiadomością o śmierci jej męża.

Spojrzał na ciała i uczynił nad nimi znak krzyża.

– *Requiescant in pace* – rzekł ponuro.

Stał jeszcze nad nimi, gdy pojawił się zadyszany Bartolomeo.

– No proszę, nie potrzebowałeś mojej pomocy, jak zwykle zresztą – powiedział.

– Odbiliście Arsenał?

– Czy stałbym tutaj, gdyby tak nie było?

– A więc... gratuluję!

– *Evviva!*

Lecz Ezio spoglądał daleko w morze.

– Odzyskaliśmy Wenecję, przyjacielu – powiedział. – A Agostino może rządzić nią bez dalszych obaw, przynajmniej jeśli chodzi o templariuszy. Dla mnie jednak nie nadszedł jeszcze czas wytchnienia. Widzisz tę galerę, tam, na horyzoncie?

– Owszem.

– Dante, zanim wyzionął ducha, zdradził mi, że płynie na Cypr.

– W jakim celu?

– Tego, *amico*, muszę się właśnie dowiedzieć.

21

Ezio nie mógł uwierzyć, że nadszedł już dzień św. Jana roku Pańskiego 1487. Dzień jego dwudziestych ósmych urodzin. Stał na Moście Pięściarzy, wspierając się na balustradzie i spoglądając posępnie na mętną wodę w kanale poniżej. W pewnym momencie spostrzegł przepływającego szczura, który popychał przed sobą ładunek podwędzonych z barki zieleniarza liści kapusty, zmierzając w kierunku dziury w jednym z czarnych kamieni pokrywających nabrzeże.

– Tu jesteś, Ezio! – odezwał się jakiś wesoły głos, a Ezio, zanim odwrócił się, by pozdrowić Rosę, poczuł jej charakterystyczny zapach. – Tak długo cię nie było! Już zaczynałam myśleć, że mnie unikasz.

– Byłem... zajęty.

– No jasne. Cóż poczęłaby bez ciebie Wenecja!

Gdy Rosa stanęła przy balustradzie obok niego, Ezio smutno pokręcił głową.

– Skąd ten smutek, *bello*? – zapytała.

Ezio spojrzał na nią przybitym wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin... dla siebie samego.

– Masz dziś urodziny? Poważnie? No to wspaniale! *Rallegramenti!*

– Nie byłbym taki entuzjastyczny – westchnął Ezio. – Minęło już dziesięć lat od chwili, gdy widziałem, jak umierają mój ojciec i bracia. I te dziesięć lat spędziłem na ściganiu tych, którzy ponoszą za to odpowiedzialność, ludzi z listy mojego ojca, jak i tych, którzy zostali dopisani do niej już po jego śmierci. Jestem już blisko końca, ale wcale nie zbliżyłem się do zrozumienia, jaki jest w tym wszystkim cel.

– Ezio, poświęciłeś swoje życie słusznej sprawie. Droga, jaką wybrałeś, uczyniła cię samotnym, wyobcowanym, ale z drugiej strony – takie było

twoje przeznaczenie. I mimo że twoim narzędziem była śmierć, nigdy nie zadawałeś jej niesprawiedliwie. Wenecja stała się teraz o wiele lepszym miejscem niż kiedykolwiek, i to za twoją przyczyną. Rozchmurz się więc. A ponieważ masz dziś urodziny, proszę – oto prezent. Przyniosłam go w samą porę – zdarza się!

Rosa wyciągnęła jakiś urzędowy dziennik.

– Dzięki, Roso, choć nie tego spodziewałbym się od ciebie w dniu moich urodzin. A zatem – co to?

– To coś, co udało mi się... zdobyć. To manifest ładunkowy zabrany z Arsenau. Zapisano w nim datę, kiedy w zeszłym roku w kierunku Cypru odpłynęła ta twoja czarna galera...

– Poważnie? – Ezio wyciągnął dłoń po księgę, ale Rosa, przekomarzając się, odsunęła ją od niej. – Daj mi to, Roso. Nie pora na żarty.

– Wszystko ma swoją cenę... – szepnęła.

– Cóż... Skoro tak twierdzisz...

Wziął ją w ramiona i tulił przez długą, czułą chwilę. Rosa poddała mu się bez reszty, a on w końcu odebrał jej dziennik.

– Hej, to nie w porządku! – roześmiała się. – Tak czy owak, oszczędzę ci napięcia: ta twoja galera ma powrócić do Wenecji... już jutro!

– Ciekaw jestem, co będzie przewoziła na pokładzie.

– Dlaczego nie dziwi mnie fakt, że pewien człowiek, i to całkiem niedaleko stąd, będzie chciał to sprawdzić?

Ezio roześmiał się.

– Chodźmy, najpierw będziemy świętować moje urodziny!

W tej samej chwili rozległ się dobrze Eziowi znany, donośny głos.

– Leonardo! – wykrzyknął Ezio, zupełnie zaskoczony. – Myślałem, że jesteś w Mediolanie!

– Właśnie stamtąd wróciłem – odparł Leonardo. – Powiedzieli mi, że tu mogę cię znaleźć. Witaj, Roso, i zarazem wybac. Ezio, przepraszam, ale naprawdę musimy porozmawiać.

– Teraz? W tej chwili?

– Przykro mi.

Rosa parsknęła śmiechem.

– Nie przejmujcie się, chłopcy! Dalej, bawcie się dobrze! Dam sobie radę.

Leonardo zabrał opierającego się przyjaciela kawałek dalej.

– Lepiej, żeby to było tego warte – wymruczał niezadowolony Ezio.

– Och, oczywiście, że jest – powiedział Leonardo takim tonem, jakby chciał go udobruchać.

Poprowadził Ezia kilkoma wąskimi uliczkami, aż doszli do jego pracowni. Gdy znaleźli się w jej wnętrzu, Leonardo zajrzał w kilka miejsc i wyciągnął ciepłe wino i czerstwe ciasto oraz plik dokumentów, które rzucił na wielki stół na kozłach, zajmujący środkową część jego studia.

– Dostarczyłem do Monteriggioni karty z Kodeksu, które mi powierzyłeś, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie wgryźć się w nie głębiej na własną rękę. Spisałem moje wnioski. Nie wiem czemu wcześniej na to nie wpadłem, ale gdy połączyłem karty ze sobą, okazało się, że odcyfrowanie znaków, symboli i tego starożytnego alfabetu staje się o wiele prostsze; słowem – trafiliśmy na żyłę złota! – tu przerwał. – To wino jest za ciepłe! Wszystko przez to, że za bardzo przyzwyczałem się do san colombano; veneto wypada przy nim jak siki komara!

– Mów dalej – powiedział cierpliwym tonem Ezio.

– A więc posłuchaj – Leonardo wydobył skądś okulary i umieścił je na nosie; przekartkował dokumenty i zaczął czytać:

„Prorok... nadejdzie... kiedy Druga Część znajdzie się w Pływającym Mieście”.

Słyszając te słowa, Ezio wstrzymał na chwilę oddech.

– Prorok? – powtórzył za Leonardem.

„...tylko Prorok otworzy...”.

„...dwie Części Edenu...”.

– Ezio... – Leonardo popatrzył na niego zdziwiony znad okularów. – O co

chodzi? Czyżby coś ci się przypomniało?

Ezio spojrział na Leonarda tak, jakby dojrzewała w nim jakaś decyzja.

– Znamy się już od dłuższego czasu, Leonardo. Jeśli tobie nie mógłbym zaufać, to komu... Posłuchaj! Mój wuj Mario mówił o tym samym już dawno temu. On już rozszyfrował pozostałe karty Kodeksu, podobnie jak mój ojciec, Giovanni. Zapisano na nich proroctwo związane z jakąś tajemnicą, sekretem... starożytną kryptą, który ma być... ma dawać jakąś wyjątkową moc.

– Naprawdę? To zdumiewające! – powiedział Leonardo i prawie natychmiast uświadomił sobie coś bardzo ważnego. – Posłuchaj, Ezio, skoro tego wszystkiego dowiedzieliśmy się z kilku kart Kodeksu, jak dużo wiedzą Barbarigi i inni, z którymi walczysz? Może i oni dowiedzieli się o krypcie, o której mówisz. Bo jeśli tak, to bardzo niedobrze.

– Poczekaj! – zakrzyknął Ezio, bijąc się z natłokiem myśli. – A co, jeśli to właśnie po to wysłali galerę na Cypr? Żeby odnaleźć tam „Część Edenu”?! I żeby sprowadzić ją do Wenecji?!

– „...kiedy Druga Część znajdzie się w Pływającym Mieście...” – no jasne!

– Wciąż to do mnie powraca: „...nadejdzie Prorok...”, „...tylko Prorok otworzy Kryptę...”. Boże, Leo! Kiedy wuj opowiadał mi o Kodeksie, byłem jeszcze za młody i zbyt arogancki, by pojąć, że to coś więcej, niż tylko fantazje starego człowieka. Teraz jednak wszystko łączy się w jedną całość! Morderstwo Giovaniego Moceniga, śmierć członków mojej rodziny, próba zamachu na księcia Lorenza i przerażające zabójstwo jego brata – wszystko to było częścią jego planu – planu prowadzącego do zawłaszczenia Krypty, planu osoby, która jako pierwsza figuruje na mojej liście. To jego jeszcze muszę z niej skreślić – Hiszpana!

Leonardo głośno westchnął. Wiedział, o kim mówi Ezio.

– Rodrigo Borgia – wyszeptał.

– Tak – potwierdził Ezio. – Galera z Cypru zawija już jutro. Będę tam, by

ją powitać.

Leonardo objął Ezia.

– Powodzenia, przyjacielu – powiedział.

Nazajutrz rano Ezio, uzbrojony w swoją broń z Kodeksu i pas pełen noży do rzucania, stał w cieniu kolumnady w pobliżu doków. Obserwował z uwagą grupę mężczyzn, odzianych w nieprzyciągające uwagi uniformy, z dyskretnie umiejscowionym herbem kardynała Rodriga Borgii, którzy z czarnej galery, przybyłej przed chwilą z Cypru, wynosili prostą, małą skrzynię. Dotykali jej dłońmi w giemzowych rękawicach, a potem jeden z nich, pod czujnym okiem strażników, dźwignął ją na ramię, po czym przygotował się, by ruszyć z nią naprzód. Chwilę później Ezio ujrzał kolejnych żołnierzy, niosących na barkach podobne skrzynie; w sumie pięć. Czy każda z nich mieściła jakiś cenny artefakt? Drugą Część? A może ukryto ją tylko w jednej z nich, a reszta to najzwyklejsza przynęta? Wszyscy żołnierze wyglądali identycznie, przynajmniej z odległości, z której obserwował ich Ezio.

Gdy miał już wyjść ze swojej kryjówki i udać się za nimi, zobaczył, że jest jeszcze ktoś, kto z podobnego punktu obserwacyjnego przygląda się działaniom żołnierzy. Ezio z trudem powstrzymał mimowolny odruch zdziwienia, bo w owym człowieku rozpoznał swojego wuja, Maria Auditore. Nie miał jednak czasu, by go przywołać ani do niego podejść, bo żołnierz Borgii wraz z eskortą i skrzynią właśnie wyruszył. Ezio śledził ich z bezpiecznej odległości. Wciąż jednak nie dawały mu spokoju pytania: czy to faktycznie był jego wuj? A jeśli tak, to jak dotarł do Wenecji i po co, w szczególności dlaczego jest tu akurat teraz, dokładnie w tej chwili? Musiał jednak odłożyć te dociekania na później i skoncentrować się na śledzeniu żołnierzy Borgii, nie spuszczać oka z pierwszej skrzyni niesionej przez jednego z nich. Co zawierała? Czy jedną z „Części Edenu”?

Żołnierze dotarli do małego placu, z którego odchodziło pięć ulic. Każdy z niosących skrzynię żołnierzy, wraz ze swoją eskortą, podążył w innym kierunku. Ezio wspiął się na ścianę pobliskiej budowli – z dachów mógł

obserwować trasę każdego z żołnierzy. W pewnej chwili spostrzegł, że jeden z nich odbija od swojej eskorty i wchodzi na dziedziniec przysadzistego, kamiennego budynku, stawia na środku skrzynię i otwiera ją. Prawie natychmiast podszedł do niego jakiś komendant Borgii. Ezio, przeskakując kilka dachów, przemieścił się jak najbliżej mężczyzny, by słyszeć, o czym mówią.

– Mistrz czeka – oznajmił komendant. – Przepakuj to, tylko ostrożnie. No, już!

Ezio patrzył, jak żołnierz przenosi jakiś starannie osłonięty słomą obiekt ze skrzyni do pudła z tekowego drewna, które wcześniej wyniósł z budynku komendant. Ezio starał się szybko łączyć ze sobą fakty. Mistrz! Słudzy templariuszy, z tego, co wiedział, tytuł ten odnosili wyłącznie do jednego człowieka – do Rodriga Borgii. A teraz żołnierze przepakowali prawdziwy artefakt, by zapewnić mu jeszcze większe bezpieczeństwo. Tyle że Ezio wiedział już, którego żołnierza ma śledzić.

Szybko spuścił się po murze na ulicę i zaskoczył niosącego tekowe pudło żołnierza. Komendant opuścił już dziedziniec, by dołączyć do eskorty, i czekał na zewnątrz. Ezio musiał w mgnieniu oka poderżnąć gardło żołnierzowi, usunąć ciało z widoku, a potem przywdziać jego uniform, pelerynę i hełm.

Miał już podnieść pudło i umieścić je na barku, ale silna pokusa, by zajrzeć do środka, wzięła górę i Ezio uniósł wieko. W tej samej chwili w bramie dziedzińca ponownie pojawił się komendant.

– Ruszaj się, chłopie!

– Tak jest! – odpowiedział Ezio.

– Żwawo, żwawo, do cholery! To prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką robisz w swoim życiu! Zrozumiano?

– Tak jest!

Ezio wszedł pomiędzy żołnierzy eskorty i pododdział wyruszył.

Szli przez miasto na północ od Molo w kierunku placu Świętych Jana

i Pawła, nad którym dominował ustawiony tam niedawno posąg kondotiera Colleonego na koniu, autorstwa samego mistrza Verrocchia. Podążali dalej na północ, wzdłuż Fondamenta dei Mendicanti, aż dotarli do nijakiego domu wzniesionego na terasie wychodzącej na kanał. Komendant zastukał w drzwi głowicą swojego miecza, a te natychmiast się otworzyły. Eskorta wepchnęła Ezia do środka, a gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz, drzwi zamknięto z hukiem na ciężkie, masywne zasuwki, biegnące w poprzek.

Stali u wejścia na łodzie porośniętą bluszczem. Siedział tam pięćdziesięcioletni, może sześćdziesięcioletni mężczyzna z garbatym nosem, odziany w aksamitne szaty w kolorze przydymionej purpury. Żołnierze zasalutowali. Ezio uczynił to samo, starając się za wszelką cenę unikać przeszywającego zimnem, kobaltowego wejrzenia oczu, które znał aż nazbyt dobrze. Tak, to był Hiszpan.

Rodrigo Borgia zwrócił się do komendanta.

– To naprawdę tu jest? Nikt was nie śledził?

– Nikt, *Altezza*. Wszystko poszło jak po maśle...

– Mów dalej.

Komendant odchrząknął.

– Postępowaliśmy zgodnie w twymi rozkazami, panie. Nasza wyprawa na Cypr okazała się o wiele trudniejsza, niż się spodziewaliśmy. Już na samym początku pojawiły się... pewne komplikacje... Niektórzy sprzymierzeńcy naszej sprawy musieli zostać... odsunięci, ale to w trosce o nasz sukces. Koniec końców wróciliśmy z artefaktem, transportując go z należytą ostrożnością, tak jak nam, panie, nakazałeś. Zgodnie z naszą umową, *Altezza*, oczekujemy teraz godnego wynagrodzenia.

Ezio wiedział, że nie może dopuścić do tego, by tekowe pudło wpadło w ręce kardynała. Gdy zatem nadszedł nieprzyjemny, lecz nieunikniony moment zapłaty za usługę, w którym dostawca musi skłonić zamawiającego, by ten wypłacił mu należność za wykonanie zadania, Ezio wykorzystał nadarzącą się okazję. Kardynał, skąpy jak większość bogaczy, ociągał się

z przekazaniem pieniędzy. Wsunąwszy z ochraniacza na prawym przedramieniu ostrze z trucizną, a z lewego obustronny sztylet, Ezio zabił komendanta jednym pchnięciem w jego odsłoniętą szyję – to wystarczyło, by zdradziecki jad przedostał się do jego krwiobiegu. Potem rzucił się na pozostałych pięciu żołnierzy z eskorty z dwoma sztyletami wystającymi spod nadgarstków; obracał się niczym diabeł, a jego błyskawiczne, precyzyjne ruchy zadawały śmierć po jednym pchnięciu. Chwilę później u jego stóp leżał już cały oddział.

Rodrigo Borgia spojrział na niego i westchnął.

– Ezio Auditore. Proszę, proszę... Dawno się nie widzieliśmy.

Kardynał wydawał się zupełnie nieporuszony.

– Witaj, *cardinale* – ukłonił się w ironicznym geście Ezio.

– Oddaj mi to – powiedział Rodrigo, wskazując pudło.

– Powiedz mi najpierw, gdzie on jest.

– Gdzie jest kto?

– Twój Prorok! – Ezio rozejrzał się dokoła. – Wygląda na to, że nie dotarł – przerwał, a potem dokończył poważnym już tonem: – Ilu ludzi oddało już za to coś swoje życie? Za to, co jest w tym pudle... Tymczasem – spójrz! Nie ma tu nikogo prócz nas!

Rodrigo zachichotał, choć zabrzmiało to raczej jak grzechot kości.

– Nie uważasz się za wierzącego – powiedział. – Lecz teraz uwierzysz. Naprawdę nie widzisz Proroka? Przecież tu jest! To ja jestem Prorokiem!

Szare oczy Ezia rozszerzyły się ze zdziwienia. Ten człowiek był opętany! Jego obłąd wydawał się trawić w nim wszelkie racjonalne i naturalne przejawy życia... Niestety, zdumienie Ezia na chwilę uspiło jego czujność. Hiszpan dobył spod swoich szat *shia vonę* – lekki, lecz śmiercionośny miecz, z głowicą w kształcie kociego łba, i wyskoczył z łodzi, kierując ostrze prosto w krtań Ezia.

– Oddaj mi Jabłko! – warknął.

– A więc to jest w środku... Jabłko... Musi być zatem wyjątkowe – zakpił

Ezio, któremu w głowie zabrzmiał głos wuja Maria: „Cześć Edenu”. – Dalej, chodź i je sobie zabierz.

Rodrigo zamachnął się mieczem i naciął tunikę Ezia, która w miejscu rozcięcia zabarwiła się krwią.

– Jesteś sam, Ezio? Gdzie się podziali twoi przyjaciele asasyni?

– Nie potrzebuję ich pomocy by uporać się z tobą!

Ezio rzucił się na Rodriga ze swoimi sztyletami, zasłaniając się przed jego ciosami wzmocnionym ochroniaczem na swoim lewym przedramieniu. I mimo że nie udało mu się zadać pchnięcia ostrzem z trucizną, jego obustronny sztylet przeszył aksamity kardynała, które natychmiast nasączyły się krwią.

– Ty mały gnojku – zawył Rodrigo w bólu. – Widzę, że bez pomocy się nie obejdziesz! Straże! Straże!

W jednej chwili tuzin uzbrojonych mężczyzn z herbami Borgii na tunikach wbiegło na dziedziniec, na którym Ezio bił się z kardynałem. Ezio dobrze wiedział, że w rękojeści prawego sztyletu zostało już bardzo niewiele trucizny. Uskoczył więc, by zająć lepszą pozycję do obrony przed posiłkami Rodriga, i w tym samym momencie jeden z żołnierzy schylił się, szybkim ruchem podniósł tekowe pudło i wręczył je swojemu panu.

– Dzięki ci, *uomo coraggioso*!

Ezio, mimo że wróg przewyższał go liczebnie, walczył z chłodną, strategiczną precyzją, wynikającą z bezwarunkowego pragnienia, by odzyskać pudło i jego zawartość. Schował ostrza wykonane według Kodeksu i sięgnął do bandoliera pełnego noży. Te wkrótce zaczęły opuszczać jego dłonie, przecinając ze świstem powietrze i trafiając w cel ze śmiertelnością dokładnością – najpierw poległ od nich *uomo coraggioso*, potem z kościstych dłoni Rodriga wytrąciły pudło.

Hiszpan schylił się, by je podnieść i ratować się ucieczką, ale w powietrzu świsnął kolejny nóż, który brzęknął złowrogo o kamienną kolumnę, o włos od twarzy kardynała. Jednak to nie Ezio go rzucił.

Ezio odwrócił się; stał za nim dobrze mu znany, jowialny, brodaty mężczyzna. Postarzał się może nieco, trochę posiwiał i przytył, ale z pewnością nie wyszedł z wprawy.

– Wuj Mario! – zawołał Ezio. – Wiedziałem, że to ciebie widziałem wcześniej!

– Nie mogłem zostawić ci całej przyjemności – powiedział Mario. – I nie martw się, *nipote*, nie jesteś sam!

Na Ezia nacierał właśnie żołnierz Borgii z zadartą halabardą. Chwilę przed pchnięciem, które mogło wysłać Ezia na tamten świat, w czoło halabardnika, niczym za sprawą magii, wbił się grot wystrzelonej z łuku strzały. Ten wypuścił z rąk swoją broń i upadł do przodu, z zastygłym na twarzy wyrazem zdziwienia. Ezio obejrzał się za siebie raz jeszcze – tym razem zobaczył...

La Volpe!

– Co tu robisz, Lisie?

– Doszły nas słuchy, że być może przydałoby ci się jakieś wsparcie – odrzekł Lis, zakładając na łuk nową strzałę, bo z budynku zaczęli się wysypywać kolejni żołnierze.

Na szczęście do Ezia dołączyły posiłki w osobach Antonia i Bartolomea.

– Nie pozwólcie, by Borgia zwiął z tym pudłem! – wrzasnął Antonio.

Bartolomeo wywijał swoim wielkim mieczem, Bianką, jak kosą, siejąc spustoszenie w oddziałach wroga, których żołnierze usiłowali wziąć nad nim górę wyłącznie za sprawą swojej przewagi liczebnej. Stopniowo szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę asasynów i ich sprzymierzeńców.

– My już się nimi zajmiemy! – krzyknął Mario. – Miej na oku Hiszpana!

Ezio rozejrzał się i zobaczył Rodriga biegnącego ku drzwiom na tyłach łodzi. Rzucił się w jego kierunku i chciał z nim skończyć, lecz kardynał, z mieczem w dłoni, był przygotowany na jego atak.

– Dla ciebie to już koniec bitwy, chłopcze – warknął. – Nie możesz zmienić tego, co zapisano w księgach. Zginiesz z mojej ręki, jak twój ojciec

i bracia, bo śmierć to los, który czeka każdego, kto przeciwstawia się templariuszom.

Głosowi Rodriga brakowało jednak przekonania, w dodatku, gdy Ezio rzucił okiem za siebie, zobaczył, że padają właśnie jego ostatni żołnierze. Stając w progu, zablokował kardynałowi drogę ucieczki, uniósł miecz i zamierzając się do ciosu, powiedział: „To za mojego ojca!”.

Lecz kardynał uchylił się przed mieczem, wytrącił Ezia z równowagi i chcąc uratować za wszelką cenę swoją skórę, wypuścił z rąk pudło i śmignął przez drzwi.

– Nie myśl sobie, że to już koniec – powiedział złowrogo, gdy znalazł się już w bezpiecznej odległości. – Żyję i pewnego dnia zmierzę się z tobą. A wtedy postaram się, byś umierał długo i w bólu.

I tyle go widzieli.

Gdy Ezio, zdyszany, usiłował złapać oddech i stanąć na nogi, zobaczył wyciągniętą ku niemu kobiecą dłoń, oferującą mu pomoc. Podniósł wzrok i jego oczom ukazała się... Paola.

– Uciekł – powiedziała, uśmiechając się. – Nieważne. Mamy to, po co przybyliśmy.

– Nie! Nie słyszałaś, co powiedział? Muszę go dorwać i z nim skończyć!

– Uspokój się! – usłyszał kolejny kobiecy głos; ten należał do Teodory.

Ezio rozejrzał się wokół. Zobaczył wszystkich swoich sprzymierzeńców: Maria, Lisa, Antonia, Bartolomea, Paolę i Teodorę. Był tam ktoś jeszcze. Błady, czarnowłosy młodzieniec o inteligentnym, a jednocześnie żartobliwym wyrazie twarzy.

– Co wy tu wszyscy robicie? – zapytał, wyczuwając, jak narasta między nimi jakieś dziwne napięcie.

– Być może to, co i ty, Ezio – odezwał się ów młody nieznajomy. – Mamy nadzieję, że pojawi się Prorok.

Ezio był zdezorientowany i poirytowany.

– Nie! Znalazłem się tu, by zabić Hiszpana. Zupełnie nie obchodzi mnie

ten wasz Prorok, jeśli on w ogóle istnieje. Tu na pewno go nie ma.

– Doprawdy? – zapytał młody człowiek, po czym przerwał i przez chwilę wymownie patrzył na Ezia. – To ty nim jesteś.

– Co takiego?!

– Nadejście Proroka to przepowiednia. Choć byłeś pośród nas tak długo, nie domyśliliśmy się prawdy. Tymczasem od samego początku byłeś wybrańcem, którego wyglądaliśmy.

– Nic z tego nie rozumiem. A swoją drogą, kimże ty jesteś?

Młodzieniec pochylił się w ukłonie.

– Zwę się Niccolò di Bernardo dei Machiavelli. Jestem członkiem zakonu asasynów, wykształconym w starożytnym duchu, bym dzięki ich spuściznie mógł stać na straży przyszłości ludzkiej rasy. Tak jak ty, tak jak każdy stojący tu mężczyzna i każda z kobiet, które tu widzisz.

Wszystko to wprowadziło Ezia w osłupienie. Przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

– Czy to prawda, wuju? – wykrztusił w końcu.

– Tak, mój chłopcze – odpowiedział Mario, robiąc krok do przodu. – Każdy z nas prowadził cię, przez wszystkie te lata, przekazując ci umiejętności, dzięki którym mogłeś wstąpić w nasze szeregi.

Głowa Ezia pękała od pytań.

Nie wiedział, od którego zacząć.

– A co z moją rodziną? – zapytał Maria. – Muszę o nią zapytać. Co z moją matką, z siostrą?...

Mario uśmiechnął się.

– Słusznie, że pytasz o rodzinę, Ezio. Twoja matka i siostra są bezpieczne i mają się dobrze. Nie przebywają już w klasztorze, lecz są u mnie, w Monteriggioni. Maria do końca życia będzie nosiła w sobie smutek po utracie najbliższych, lecz teraz może szukać pocieszenia gdzie indziej – zaangażowała się w pomoc ubogim i pokrzywdzonym wraz z przeoryszą. Jeśli zaś chodzi o Claudię... Przeorysza osądziła, i to na długo przed decyzją

twojej siostry, że życie w zakonie, ze względu na jej temperament, nie jest jej pisane i że są inne sposoby, by mogła spełnić się służąc Panu. Zwolniono ją więc ze ślubów. Później wyszła za mojego starszego kapitana i wkrótce, mój drogi Ezio, zaprezentuje ci twojego siostrzeńca albo siostrzenicę.

– Wspaniałe wieści, wuju! Nigdy nie byłem przekonany do pomysłu Claudii, by całe życie spędzić w klasztorze. Mam tak dużo innych pytań, które chciałbym ci zadać...

– Wkrótce przyjdzie czas i na to – powiedział Machiavelli.

– Jest jeszcze sporo do zrobienia, zanim znów zobaczymy naszych bliskich i będziemy wraz z nimi świętować – powiedział Mario. – A może zdarzyć się i tak, że nie zobaczymy ich nigdy. Zmusiliśmy Rodriga do porzucenia pudełka, ale nie spocznie dopóki nie położy na nim swojej ręki, musimy więc mieć się na baczności.

Ezio omiół wzrokiem krąg asasynów i po raz pierwszy zwrócił uwagę na znak, widniejący u podstawy serdecznego palca każdego i każdej z nich. Teraz jednak nie było czasu na dalsze dociekania.

– Myślę, że nadszedł już czas... – odezwał się z powagą w głosie Mario do swoich towarzyszy.

Pokiwali z aprobatą głowami, a Antonio wyciągnął mapę i, rozłożywszy ją, wskazał Eziowi zaznaczony na niej punkt.

– Bądź tam o zachodzie słońca – powiedział tonem, który nadał jego słowom brzmienie uroczystego nakazu.

– Chodźmy – rzekł Mario do pozostałych.

Machiavelli zaopiekował się pudłem z cenną, tajemniczą zawartością, po czym asasyni, jeden za drugim, wyszli z dziedzińca na ulicę, pozostawiając Ezia samemu sobie.

Wenecja tego wieczoru była dziwnie opustoszała, a wielki plac przed bazyliką – nad wyraz spokojny i wyludniony, nie licząc gołębi, jego stałych mieszkańców. Dzwonnica wznosiła się na przyprawiającą o zawrót głowy wysokość, lecz Ezio, który właśnie zaczął się na nią wspinać, nie wahał się

ani przez chwilę.

Spotkanie, na które właśnie został wezwany, na pewno rozjaśni mu kilka ważkich kwestii, i chociaż był głęboko przekonany, że odpowiedzi na niektóre z pytań mogą być zatrważające, nie chciał ich unikać.

W miarę jak zbliżał się do szczytu wieży, coraz wyraźniej słyszał ściszone głosy. Gdy dotarł już na samą górę, szybko się podciągnął i wskoczył na poddasze, gdzie wisiał dzwon. Pod nim stało okręgiem siedmioro asasynów, wszyscy w kapturach. Wewnątrz koła, na samym środku, w mosiężnym piecyku płonął ogień.

Paola chwyciła Ezia ze rękę i ustawiła wewnątrz koła, a Mario odezwał się brzmiącymi jak jakieś zaklęcie słowami:

– *Laa shay'a waqi'un moutlaq bale koulon moumkine...* Oto słowa, wypowiedane przez naszych przodków, które stanowią trzon naszego Credo...

Machiavelli zrobił krok do przodu i spojrzał surowo na Ezia.

– Tam, gdzie inni ślepo podążają za prawdą, ty pamiętaj... –

Ezio dokończył, jakby znał te słowa przez całe życie:

– ...że nic nie jest prawdą.

– Tam, gdzie innych ogranicza moralność bądź prawo – kontynuował Machiavelli – ty pamiętaj...

– ...że wszystko jest dozwolone.

– Pracujemy w ciemności, by służyć światłu. Jesteśmy asasynami – rzekł uroczyście Machiavelli.

W tym momencie dołączyli się wszyscy zebrani, intonując w unisonie:

– Nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone. Nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone. Nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone...

Gdy już skończyli, Mario ujął Ezia ze jego lewą dłoń.

– Nadszedł czas – powiedział do niego. – Obecnie nie jesteśmy już tak dosłowni, jak nasi przodkowie. Nie wymagamy poświęcenia palca. Jednak piętno, którym się naznaczamy, jest trwałe – wstrzymał na chwilę oddech. –

Czy jesteś gotów do nas dołączyć?

Ezio, jak we śnie, dziwnym sposobem wiedząc co robić i co za chwilę nastąpi, wyciągnął bez wahania swoją dłoń.

– Jestem gotów – oznajmił.

Antonio podszedł do piecyka i wyciągnął z niego rozgrzane do czerwoności żelazo do wypalania piętna w kształcie przeciętej na pół obrączki, której dwa półokręgi łączyły się ze sobą za pomocą ukrytej w rękojeści dźwigni. Potem wziął rękę Ezia i oddzielił od reszty palców serdeczny.

– Będzie bolało, ale tylko przez krótką chwilę – powiedział. – Jak wiele rzeczy w życiu.

Nasunął na palec Ezia rozgrzane żelazo i zacisnął półokręgi obrączki przy jego podstawie. Zaskwierczało, a powietrze wypełnił zapach spalonego mięsa, lecz Ezio ani drgnął. Antonio szybko otworzył obrączkę i odłożył na bok urządzenie. Potem asasyni zsunęli kaptury i zgromadzili się wokół Ezia. Wuj Mario poklepał go z dumą po plecach. Teodora wyciągnęła skądś małą szklaną fiolkę z przezroczystym, gęstym płynem, który delikatnie wtarła w wypaloną na zawsze obrączkę na palcu Ezia.

– Złagodzi ból – powiedziała. – Jesteśmy z ciebie dumni.

Potem stanął przed nim Machiavelli i skinął wymownie głową.

– *Benvenuto*, Ezio. Jesteś teraz jednym z nas. Pozostaje nam już tylko zakończyć twoją inicjację, a potem... potem, mój przyjacielu, będziemy musieli zabrać się do naprawdę poważnej roboty.

Mówiąc to, spojrzął przez krawędź wieży. Daleko w dole, w różnych miejscach wokół dzwonnicy, choć w niewielkiej odległości od siebie, ustawiono bele siana – paszę dla koni ze stajen Pałacu Dożów. Eziowi wydało się niemożliwe, by skacząc z takiej wysokości można było pokierować swoim lotem tak, żeby wylądować na jednym z tak niewielkich obiektów, ale dokładnie to uczynił właśnie Machiavelli, skacząc z furkoczącą na wietrze peleryną. Jego towarzysze zrobili to samo, a Ezio przyglądał się

temu z mieszaniną przerażenia i podziwu. Asasyni lądowali, jeden po drugim, idealnie trafiając w bele siana, a potem zebrali się i zadarli głowy do góry, patrząc na Ezia – jak się domyślał – zachęcająco.

Ezio potrafił znakomicie skakać po dachach, ale nigdy nie przyszło mu oddać skoku wiary z takiej wysokości jak ta. Bele siana wyglądały z niej jak plastry polenty, wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia, by znaleźć się ponownie na ziemi, i że im dłużej będzie się wahał, tym trudniej będzie mu się zdecydować. Zrobił kilka głębokich wdechów i wybił się w nocne niebo, rzucając się w przód, a potem w dół, jakby oddawał skok do wody, z ramionami wyciągniętymi ku górze.

Spadek wydawał się trwać całe wieki. W uszach Ezia świstał wiatr, pęd powietrza nadymał i targał jego ubraniem i włosami. Pod koniec lotu bele siana ruszyły ku niemu z wielką prędkością. W ostatniej chwili zamknął oczy...

...i wbił się w jedną z nich. Na chwilę zabrakło mu oddechu, ale gdy stanął na trzęsących się nogach, przekonał się, że niczego sobie nie złamał i że tak naprawdę skok dodał mu skrzydeł.

Podszedł do niego Mario w towarzystwie Teodory.

– Myślę, że może być, jak sądzisz? – zapytał ją Mario.

Późny wieczór zastał Maria, Machiavellego i Ezia siedzących przy wielkim stole w pracowni Leonarda. Osobliwy artefakt, do którego Rodrigo przywiązywał taką wagę, leżał przed nimi na blacie, a oni spoglądali na niego z ciekawością i podziwem.

– Fascynujące – powtarzał Leonardo. – Absolutnie fascynujące.

– Co to jest, Leonardo? – zapytał Ezio. – Do czego to służy?

– No cóż, muszę przyznać, że jak na razie jestem w kropce. To coś na pewno kryje jakieś mroczne sekrety, a z technicznego punktu widzenia nie przypomina niczego, co do tej pory wytworzyły ludzkie ręce – przynajmniej ja nie widziałem nigdy czegoś tak wyrafinowanego... Jak to działa? Równie dobrze mógłbym dociekać, dlaczego Ziemia kręci się wokół Słońca.

– Nie chciałeś przypadkiem powiedzieć, że „Słońce kręci się wokół Ziemi”? – zapytał Mario, spoglądając na Leonarda ze zdziwieniem.

Lecz Leonardo nie zwrócił na to uwagi, tylko wciąż badał skomplikowany mechanizm, obracając go ostrożnie w dłoniach. W pewnej chwili pod wpływem działań Leonarda artefakt przyoblekła upiorna poświata, powstająca gdzieś wewnątrz niego.

– To coś wykonano z substancji, które wedle wszelkiej logiki w ogóle nie powinny istnieć – ciągnął Leonardo z nieustającym zachwytem. – A z drugiej strony nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest to rzecz stara, i to bardzo.

– Z pewnością to do niej odwołują się karty Kodeksu, które posiadamy – wtrącił Mario. – Poznaję ją z opisu na jednej z nich. Kodeks określa ją mianem „Części Edenu”.

– Rodrigo nazwał ją „Jabłkiem” – dodał Ezio.

Leonardo popatrzył na Ezia przenikliwym wzrokiem.

– Jabłko? Jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego? To jabłko, które Ewa dała Adamowi?

Wszyscy trzej skierowali wzrok z powrotem na artefakt. Rozświecił się coraz intensywniej, a poświata stawała się hipnotyzująca. Ezio, powodowany jakąś siłą, której nie mógł pojąć, wyciągnął rękę, by dotknąć obiektu. Nie czuł żadnego ciepła, ale wraz z fascynacją pojawiło się poczucie jakiegoś wewnętrznego, nieuniknionego zagrożenia, tak jakby to dotknięcie mogło porazić jego ciało snopem piorunów. Nie zważał na swoich towarzyszy; miał wrażenie, że świat wokół niego stał się mroczny i ciemny, a wszystko oprócz niego i tej... rzeczy przestało istnieć.

Obserwował, jak jego dłoń przesuwa się do przodu, jakby nie była częścią jego ciała, jakby nie sprawował już nad nią kontroli; w końcu położył ją zdecydowanie na gładkiej stronie artefaktu.

Pierwszą reakcją był szok. Jabłko było metalowe, ale w dotyku poczuł coś miękkiego i ciepłego, coś przypominającego skórę kobiety, coś żywego! Nie było jednak czasu, by kontemplować te wrażenia, bo dłoń Ezia została

odrzucona, a w kolejnej chwili nieustanna poświata emitowana z wnętrza artefaktu, która od pewnego momentu stawała się coraz intensywniejsza, nagle eksplodowała, stając się istną feerią światła i kolorów, pośród której Ezio zaczął dostrzegać jakieś kształty. Na ułamek sekundy odwrócił wzrok i skierował go na swoich kompanów. Mario i Machiavelli odwrócili się, mrużąc oczy i zakrywając twarze z przerażenia albo bólu. Leonardo stał jak sparaliżowany, oczy i usta miał otwarte ze zdumienia i podziwu. Wzrok Ezia zwrócił się ku światłu, z którego zaczęły wyłaniać się jakieś obrazy. Oczom Ezia ukazał się wielki ogród pełen potwornych kreatur; potem mroczne miasto w ogniu, wielkie chmury przypominające grzyby, większe od katedr i pałaców; maszerująca armia, niepodobna do żadnej, jakie widział i mógł sobie wyobrazić; głodujący ludzie w pasiastych uniformach, zapędzani do budynków z cegieł batami i szczuci psami; blady dym unoszący się z wysokich kominów; gwiazdy i planety, poruszające się po spiralnych trajektoriach; mężczyźni w dziwacznych zbrojach, obracający się w czarnej jak noc przestrzeni; był tam również inny Ezio, inny Leonardo, Mario i Machiavelli, było ich tam coraz więcej i więcej; wyglądali jak ofiary samego Czasu, wywracając się raz po raz w powietrzu, jakby byli zabawkami potężnej wichury, która teraz zdawała się szaleć w pracowni.

– Zatrzymaj to! – zawołał któryś z nich.

Ezio zacisnął zęby i nie wiedząc dokładnie dlaczego, chwycił swój prawy nadgarstek lewą ręką i zmusił prawą dłoń do ponownego kontaktu z obiektem.

W jednej chwili wszystko się uspokoiło. Pomieszczenie odzyskało swoje zwykłe cechy i proporcje. Każdy, najdrobniejszy nawet element, był na swoim miejscu. Nawet okulary Leonarda wciąż tkwiły na jego nosie. Jabłko spoczywało nieruchomo na stole, będąc zaledwie małą, zwyczajną rzeczą, na którą nikt nie zwróciłby większej uwagi.

Pierwszy odezwał się Leonardo:

– To coś nigdy nie może dostać się w niepowołane ręce – powiedział. –

Każdego o słabszym umyśle mogłoby doprowadzić do obłądu.

– Zgadzam się – przytaknął Machiavelli. – Sam ledwo to zniosłem, moc urzędzenia jest niewyobrażalna.

Ostrożnie, przywdziewając uprzednio rękawice, uniósł Jabłko, umieścił je z powrotem w pudełku i zapieczętował starannie wieko.

– Myślisz, że Hiszpan wie, co potrafi ta rzecz? Czy wie, jak ją kontrolować? – zapytał Ezio.

– Przede wszystkim nigdy nie może jej odzyskać – odparł Machiavelli z kamiennym wyrazem twarzy i wręczył Eziowi pudełko. – Musisz o nie dbać i chronić je, korzystając z wszelkich umiejętności, jakich cię nauczyliśmy.

Ezio wziął pudełko z jego rąk i skinął głową.

– Zabierz je do Forlì – powiedział Mario. – Jest tam cyadela, obwarowana i broniona działami, w dodatku należy do jednego z naszych największych sprzymierzeńców.

– Któż to taki? – zapytał Ezio.

– Zwie się Caterina Sforza.

Ezio uśmiechnął się.

– Teraz już sobie przypominam... Poznałem ją jakiś czas temu i z przyjemnością tę znajomość odświeżę.

– W takim razie przygotuj się do wyjazdu.

– Pojadę z tobą – powiedział Machiavelli.

– Będę ci zobowiązany – odrzekł Ezio i zwrócił się do Leonarda. – A co z tobą, *amico mio*?

– Ja? Kiedy doprowadzę do końca swoje sprawy tutaj, wrócę to Mediolanu. Tamtejszy książę jest bardzo szczodry.

– Musisz też wpaść do Monteriggioni, jeśli kiedykolwiek zabawisz we Florencji i zostanie ci chwila czasu – powiedział Mario.

Ezio spojrzał na swojego najlepszego przyjaciela.

– Żegnaj, Leonardo. Mam wielką nadzieję, że pewnego dnia nasze drogi

znowu się przetną.

– Z pewnością – odpowiedział Leonardo. – A gdybyś kiedykolwiek mnie potrzebował, Agniolo we Florencji zawsze będzie wiedział, gdzie mnie znajdziesz.

Ezio objął go serdecznie.

– A więc... żegnaj!

– Prezent na drogę – powiedział Leonardo, wręczając Eziowi torbę. – Kule i proch do twojego pistoletu oraz spora fiolka trucizny do ostrza. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał z nich korzystać, ale będę spokojniejszy wiedząc, że zabezpieczyłem cię najlepiej, jak umiałem.

Ezio spojrział na niego ze wzruszeniem.

– Dziękuję ci... Dziękuję ci za wszystko, mój najdroższy przyjacielu.

22

Po długiej i spokojnej podróży galerą z Wenecji, Ezio i Machiavelli dotarli do bagiennego portu w pobliżu Rawenny, gdzie oczekiwała ich Caterina wraz z kilkoma osobami ze swojej świty.

– Posłaniec przyniósł mi wieści, że podążacie z Wenecji, więc pomyślałam, że wyjdę na spotkanie i dotrzymam wam towarzystwa w drodze do Forlì – powiedziała. – Dobrze zrobiliście, decydując się na jedną z galer księcia Agostina, bowiem podróże lądem są dziś niebezpieczne – nader często słyszymy o zbójcach czających się przy traktach. Choć pewnie tobie – dodała, spoglądając na Ezia – zbójcy nie sprawiliby większego problemu.

– To dla mnie zaszczyt, że mnie pamiętasz, *signora*.

– Cóż, upłynęło już sporo czasu, ale wtedy wywarłeś na mnie naprawdę duże wrażenie... – Po czym zwróciła się do Machiavellego: – Dobrze cię znów widzieć, Niccolò!

– Wy się znacie? – zapytał Ezio.

– Niccolò doradzał mi... w sprawach państwowych. Cóż, słyszałam, że zostałeś pełnoprawnym asasynem – zmieniła temat. – Moje gratulacje!

Gdy doszli do powozu Cateriny, ta oznajmiła swoim służącym, że woli jechać konno – był piękny dzień, a odległość nie taka daleka. Osiodłano więc konie. Caterina dosiadła jednego z nich i zaprosiła Ezia, by jechał u jej boku.

– Spodoba ci się Forlì i poczujesz się tam bezpiecznie. Nasze działa chronią miasto już od ponad wieku, a cytadela jest po prostu nie do zdobycia.

– Wybacz mi, *signora*, ale intryguje mnie pewna rzecz...

– Zatem powiedz, cóż to takiego...

– Nigdy wcześniej nie słyszałem o kobiecie, która rządziłaby miastem-państwem. Jestem pod wrażeniem.

Caterina uśmiechnęła się.

– Cóż, wcześniej oczywiście władał nim mój mąż. Pamiętasz go? Może choćby trochę? Zwał się Girolamo – powiedziała i przerwała na chwilę. – Nie żyje...

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie – powiedziała bez ogródek. – Zabiłam go.

Ezio próbował ukryć swoje zdumienie.

– To było tak – wtrącił Machiavelli. – Odkryliśmy, że Girolamo Riario pracuje dla templariuszy. Był w trakcie sporządzania mapy wskazującej miejsca, w których znajdują się pozostałe, dotąd nieodnalezione karty Kodeksu...

– I tak nigdy nie przepadałam za tym przeklętym sukinsynem – powiedziała ostro Caterina. – Był beznadziejnym ojcem, a w łóżku z nim wiało nudą... Poza tym był niemożebnie upierdliwy – przerwała na chwilę, zamyślając się. – I nie mówię tego ot tak. Od chwili jego śmierci miałam już dwóch kolejnych mężów. Trochę przecenianych, moim skromnym zdaniem.

Ich rozmowę przerwał widok nadciągającego galopem konia bez jeźdźca. Caterina posłała jednego z członków swojej eskorty, by go doścignął, a sama wraz z resztą świty podążała dalej do Forlì, choć teraz jej służący na wszelki wypadek dobyli mieczy. Wkrótce dojechali do przewróconego wozu, którego koła jeszcze się obracały, otoczonego martwymi ciałami.

Caterina ściągnęła brwi i zmusiła swojego konia do galopu; Ezio i Machiavelli zrobili to samo. Wkrótce trafili na grupę miejscowych wieśniaków, którzy, w tym kilku zranionych, ruszyli w ich kierunku.

– Co tu się dzieje? – zapytała Caterina jedną z kobiet na czele gromady.

– *Altezza* – odezwała się kobieta i łzy popłynęły jej z oczu. – Przybyli jak tylko się oddaliłaś! Szykują się do oblężenia miasta.

– Kto?!

– Bracia Orsi, *madonna*!

– *Sangue di Giuda*!

– Kim są ci Orsi?

– To te sukinsyny, których wynajęłam, by zabili Girolama – splunęła Caterina.

– Orsi służą każdemu, kto im zapłaci – zauważył Machiavelli. – Nie są zbyt rozgarnięci, ale – niestety – mają sławę takich, którzy wywiązują się do końca z powierzonych im zadań – przerwał w zamyśleniu. – Za tym będzie stał Hiszpan.

– Skąd mógłby wiedzieć, dokąd zabieramy Jabłko?

– Nie chodzi im o Jabłko, Ezio. Chcą zdobyć mapę Riaria. A ona wciąż jest w Forlì. Rodrigo chce się dowiedzieć, gdzie ukryto pozostałe karty Kodeksu, a my nie możemy dopuścić, by dorwał się do mapy!

– Mniejsza o mapę! – zawołała Caterina. – W mieście są moje dzieci! *Porco demonio!*

Spięli konie do galopu i ruszyli przed siebie. W końcu ich oczom ukazało się miasto. Zza jego murów unosił się dym, mimo że bramy, jak zauważyli, pozostały zamknięte. Na zewnątrz, wzdłuż szanćów, stali mężczyźni pod proporcami z niedźwiedziem i krzewem, elementami herbu rodziny Orsich. Za murami miasta, na cytadeli, wciąż powiewała flaga Sforzy.

– Wygląda na to, że zajęli jakąś część Forlì, ale nie opanowali jeszcze cytadeli.

– Podstępne bękarty! – splunęła Caterina.

– Czy istnieje jakiś sposób, bym mógł dostać się do środka, pozostając niezauważonym? – zapytał Ezio, zapinając na przedramionach swoje kodeksowe ochraniacze, a pistolet i sprężynowe ostrze pozostawiając na razie w torbie.

– Jest taka możliwość, *caro* – odrzekła Caterina. – Ale łatwo nie będzie. Jest tu stary tunel, który zaczyna się w kanale i prowadzi z niego pod zachodnim murem do miasta.

– W takim razie spróbuję – powiedział Ezio. – Bądźcie gotowi. Jeśli uda mi się otworzyć bramy od środka, musicie wpaść przez nie do miasta, galopując na złamanie karku. Gdy zbliżymy się do cytadeli, twoi ludzie, pani, widząc

twój herb, powinni wpuścić nas do środka. Tam będziemy bezpieczni i zaplanujemy nasz kolejny krok.

– Którym będzie powieszenie tych kretynów i oglądanie, jak dyndają na wietrze – warknęła Caterina. – No dobrze, Ezio, ruszaj i powodzenia! Wymyślę coś, żeby odwrócić uwagę oddziałów Orsich.

Ezio zsiadł z konia i rzucił się biegiem w kierunku zachodnich murów, pochylając się i chowając za pagórkami i krzakami. Tymczasem Caterina stanęła w swoich strzemionach i zawołała do wroga w mieście:

– Ej, wy! Mówię do was, wy tchórzliwe psy! Zajmujecie moje miasto! Mój dom! I co, naprawdę myślicie, że nic z tym nie zrobię? No to miejcie się na baczności, bo właśnie tam idę, by oberwać wam wasze *coglioni*, jeśli w ogóle je macie!

Na szanćcach pojawiły się grupki żołnierzy, którzy patrzyli na Catarinę, częściowo rozbawieni, ale i trochę przerażeni, podczas gdy ona ciągnęła:

– Jacy z was mężczyźni? Wykonujecie polecenia swoich mocodawców za garstkę miedziaków! Ciekawe, czy pomyśleliście o tym, czy warto było oddawać za tę cenę swoją głowę?! Będę nabijać sobie wasze jądra na widelec i smażyć je nad ogniem w kuchni! Jak wam się to widzi?!

Teraz na zachodnich szanćcach nie było już nikogo. Ezio wykorzystał chwilę, gdy przy kanale nie było straży, wskoczył do niego, popłynął z nurtem i odszukał zarośnięte wejście do tunelu. Wskoczył do środka i znalazł się w ciemnych jak noc czeluściach.

Tunel był dobrze utrzymany i suchy, więc wszystko, co musiał zrobić, to iść przed siebie, aż do chwili, kiedy na jego drugim końcu ujrzał światło. Zbliżył się ostrożnie do wyjścia. Gdy znalazł się przy nim, znów dobiegł go głos Cateriny. Tunel kończył się krótkim ciągiem schodów, prowadzących do komnaty na tyłach jednej z zachodnich wieży Forlì. Nie było tu nikogo – Caterina swoją tyradą zgromadziła spory tłum. Przez okno zobaczył większość żołnierzy Orsich, stojących do niego plecami, i oglądających występ Cateriny, od czasu do czasu nagradzając go nawet owacją.

– ...gdybym była mężczyzną, to na waszym miejscu przestałabym szczerzyć zęby! Zobaczycie, że zrobię wszystko, na co mnie stać! Nie dajcie się zwieść temu, że mam cycki! – w tym miejscu zaświtała jej nowa myśl. – Założę się, że chcielibyście je zobaczyć, co? Dotknąć ich, polizać, ścisnąć... No to czemu nie zejdziecie tu do mnie i nie spróbujecie? Skopałabym was wtedy po jajach tak, że wasze klejnoty wyleciałyby wam nosem! *Luridi branco di cani bastardi!* Lepiej zbierajcie się i wynoście do domu, bo jeszcze możecie – jeśli nie chcecie zostać nabici na pale i rozstawieni wzdłuż murów mojej cytadeli! Ach! Ale przecież mogę się mylić! Może tak naprawdę lubicie mieć wsadzony w tyłek dębowy kijek! Wiecie co? Napawacie mnie obrzydzeniem! Zaczynam się nawet zastanawiać, czy w ogóle jesteście warci zachodu. Bo nigdy jeszcze nie widziałam takiego ścieku łajna! *Che vista penosa!* Myślę, że waszej męskości kastracja nie zrobiłaby absolutnie żadnej różnicy!

Ezio był już na ulicy. Zobaczył bramę, która znajdowała się najbliżej miejsca, gdzie stali Caterina i Machiavelli. Nad wieńczącym ją sklepieniem, obok ciężkiej dźwigni, która ją otwierała, stał łucznik. Przemieszczając się tak cicho i szybko jak umiał, Ezio wdrapał się na łuk bramy i dźgnął żołnierza prosto w szyję, natychmiast go uśmiercając. Żołnierz całym ciężarem ciała zawisnął na dźwigni. Skrzydła bramy otworzyły się pod nim z przeraźliwym skrzypieniem.

Machiavelli przez cały czas śledził dokładnie sytuację i gdy tylko ujrzał, jak otwiera się brama, pochylił się ku Caterinie i poinformował ją o tym. Spięła natychmiast konia do galopu i ruszyła przed siebie w szaleńczym pędzie, a za nią, bardzo blisko, Machiavelli i reszta świty. Żołnierze Orsich, gdy tylko zobaczyli, co się święci, wydobyli z siebie pełen złości ryk i zaczęli zbiegać z murów na dół, by przechwycić jeźdźców, ale Sforza i jej ludzie okazali się o wiele szybsi. Ezio zabrał martwemu strażnikowi łuk i strzały i położył trupem trzech żołnierzy Orsich, po czym zwinnie wspiął się na pobliski mur i zaczął biec po dachach miasta, dotrzymując tempa Caterinie

i jej ludziom, mknącym wzdłuż wąskich uliczek w kierunku cytadeli.

Im dalej zapuszczali się w miasto, tym większy chaos ukazywał się ich oczom. Było jasne, że bitwa o Forlì jeszcze się nie skończyła – oddziały żołnierzy pod sztandarami Sforzy z czarnym orłem i niebieskim wężem walczyły z najemnikami Orsich, a zwykli mieszczanie ukryli się w domach albo, zdezorientowani, biegali bez celu w tę i z powrotem. Stragany były poprzewracane, pod nogami plątały się gdakające kury; w kałuży błota siedziało jakieś dziecko i wrzeszcząc wniebogłosy nawoływało matkę, która wkrótce skądś nadbiegła i porwała je w bezpieczne miejsce. Wokół rozlegały się odgłosy walki. Ezio, przeskakując z dachu na dach, śledził na bieżąco rozwój sytuacji i ze śmiertelnością precyzją posyłał strzały w kierunku żołnierzy Orsich, gdy któryś z nich niebezpiecznie zbliżał się do Cateriny i Machiavellego.

W końcu wypadli na rozległy plac przed cytadelą. Był opustoszały. Podobne wrażenie sprawiały odchodzące od niego ulice – nikogo na nich nie było. Ezio szybko zszedł po murze i dołączył do reszty. Na murach obronnych cytadeli nie było żywego ducha, a jej potężne bramy szczelnie zamknięto. Wyglądało na to, że cytadela była rzeczywiście nie do zdobycia, tak jak zapewniała Caterina, która teraz spojrzała w górę i z całej siły krzyknęła:

– Otwierać, bando cholernych idiotów! To ja! *La duchessa!* Ruszcie dupy z miejsca!

Dopiero teraz kilku jej ludzi pojawiło się na murach, a między nimi kapitan, który odkrzyknął „*Subito, Altezza!*”, po czym wydał rozkazy trzem żołnierzom; ci w mgnieniu oka zniknęli z murów, by otworzyć bramy. W tej samej chwili, z donośnym, żądnym krwi wyciem, z wychodzących na plac ulic wysypały się tuziny żołnierzy Orsich, odcinając wszelkie drogi ucieczki i przypierając Caterinę wraz z jej świtą do potężnego muru cytadeli.

– Cholerna zasadzka! – krzyknął Machiavelli, stając z Eziem i garstką ludzi Cateriny między nią a nacierającym wrogiem.

– *Aprite la porta! Aprite!* – wołała Caterina.

W końcu brama stanęła otworem.

Wypadli z niej żołnierze Sforzy i rzucili się na najemników Orsich, tnąc ich bezlitośnie w zaciętej, bezpośredniej walce i powoli wycofując się ku bramie. Gdy byli już w środku, drzwi szybko zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Ezio i Machiavelli, który zdążył już zsiąść z konia, oparli się o ścianę i, stojąc obok siebie, ciężko oddychali. Caterina również zsiadła z konia, ale nie spoczęła ani na chwilę. Przebiegła przez wewnętrzny dziedziniec ku drzwiom, w których czekali na nią dwaj mali chłopcy i mamka trzymająca na rękach niemowlę. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

Chłopcy wybiegli ku niej, a ona objęła ich czule, zwracając się do nich po imieniu:

– Cesare, Giovanni – *no preoccuparvi...*

Potem pogłaskała niemowlę po głowie i powiedziała do niego pieszczotliwie:

– *Salute, Galeazzo.*

Rozejrzała się wkoło, po czym utkwiała wzrok w mamce.

– Nezetta! A gdzie Bianca i Ottaviano?

– Wybacz mi, pani. Bawili się na zewnątrz, gdy rozpoczął się atak i od tej chwili nie możemy ich znaleźć.

Caterina, wyraźnie przerażona, już miała coś odpowiedzieć, ale nagle spod cytadeli podniósł się donośny ryk. Kapitan podbiegł do Ezia i Machiavellego.

– Ściągają posiłki z gór – donosił. – Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymamy – po czym odwrócił się do porucznika i rozkazał: – Na obwarowania! Do dział!

Porucznik pospieszył zebrać ludzi do obsługi dział; po chwili już biegli i zajmowali swoje pozycje. Wtedy na dziedziniec i górujące nad nim mury posypał się grad strzał wypuszczonych przez łuczników Orsich. Caterina zabierając dzieci w bezpieczne miejsce, krzyknęła do Ezia:

– Doglądaj dział! Są naszą jedyną nadzieją! Nie pozwól, by tym

sukinsynom udało się wtargnąć do cytadeli!

– Chodź! – zawołał Machiavelli.

Ezio podążył za nim i po chwili znaleźli się przy działach.

Kilku ludzi z ich obsługi leżało martwych, wśród nich kapitan i porucznik. Inni byli ranni. Ci, którzy uszli z życiem, z wielkim wysiłkiem obracali i pochylali ciężkie działa, celując w żołnierzy Orsich na placu pod cytadelą. Zdążyły się pojawić liczne posiłki, a oczom Ezia ukazały się ciągnięte przez nich ulicami katapulty i inne maszyny oblężnicze. Tymczasem kolejny oddział wroga przyciągnął pod samą cytadelę taran. Jeśli on i Machiavelli nie podejmą szybko jakichś kroków – pomyślał Ezio – nie będą mieli żadnych szans, by się tu utrzymać. Tyle że odparcie tego ataku wiązało się ze strzelaniem z dział do celów wewnątrz murów Forlì, co było obarczone niebezpieczeństwem ranienia, a nawet zabicia jego niewinnych mieszkańców. Pozostawiając Machiavellego, by rozkazywał przy działach, Ezio zbiegł po schodach na dziedziniec, by odszukać tam Caterinę.

– Szturmuj miasto. By ich powstrzymać, musimy strzelać z dział do celów wewnątrz murów – oznajmił.

Spojrzała na niego z chłodnym spokojem w oczach.

– Więc róbcie to, co konieczne.

Podniósł wzrok na obwarowania, gdzie stał i czekał na sygnał Machiavelli. Ezio uniósł dłoń, po czym opuścił ją zdecydowanym, szybkim ruchem.

Działa zagrzmiały; w tej samej chwili Ezio wbiegał już na szanice, gdzie się znajdowały. Nakazując artylerzystom strzelać do woli, sam obserwował, jak pierwsza z maszyn oblężniczych, a potem następna, roztrzaskują się w drzazgi. Ten sam los spotkał chwilę później katapulty. Wąskie uliczki Forlì nie pozostawiały zbyt wiele miejsca oddziałom Orsich. Zaraz po tym, jak wystrzały z dział dokonały spustoszenia w ich szeregach, łucznicy i kusznicy Sforzy zaczęli systematycznie wybijać pozostałych przy życiu żołnierzy. W końcu niedobitki wroga zostały całkowicie wypchnięte poza mury miasta, a żołnierze Sforzy, którzy na zewnątrz cytadeli uszli z życiem, zabezpieczyli

mury miasta. Zwycięstwo było jednak przypłacone niemałymi kosztami. Kilka budynków zmieniło się w spowite dymem ruiny, a artylerzystom Cateriny nie udało się uniknąć ofiar wśród ludności odbitego już Forlì. Było jeszcze coś, na co trzeba było mieć wzgląd i na co szybko zwrócił uwagę Machiavelli: co prawda wykurzyli wroga z miasta, ale walka nie była jeszcze zakończona. Forlì wciąż było otoczone batalionami Orsich, odcięte od dostaw żywności i wody. W dodatku dwójka najstarszych dzieci Cateriny była wciąż poza cytadelą, narażona na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jakiś czas później Caterina, Machiavelli i Ezio stali na obronnych murach miasta i spoglądali na wojsko, które wokół miasta rozbiło swój obóz. Za ich plecami mieszkańcy Forlì robili wszystko, co było w ich mocy, by jak najszybciej zaprowadzić w mieście porządek. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę z tego, że żywność i woda wkrótce się skończą. Caterina wyglądała marnie – zamartwiała się na śmierć losem zaginionych dzieci – dziewięcioletniej Bianki, najstarszej z rodzeństwa, oraz Ottaviana, który był o rok młodszy od siostry.

Czekało ich jeszcze spotkanie z samymi braćmi Orsimi.

Tego samego dnia pośrodku obozowiska wrogiej armii pojawił się herold, który odtrąbił larum. Oddziały rozstąpiły się niczym morze, by przepuścić środkiem dwóch jeźdźców na kasztanowych rumakach, ubranych w kolczugi, którym towarzyszyli paziowie z herbami z niedźwiedziem i krzewem. Zatrzymali się daleko poza zasięgiem strzał.

Jeden z jeźdźców stanął w strzemionach i zawołał:

– Caterino! Caterino Sforza! Wiemy, że wciąż jesteś więźniem tej swojej małej, przytulnej miejsciny, więc... Caterino, odpowiedz mi!

Caterina wychyliła się znad parapetu muru.

– Czego chcesz?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Ach, nic takiego. Po prostu zastanawiałem się, czy przypadkiem... nie brakuje ci jakichś dzieci!

Ezio stanął obok Cateriny. Mężczyzna, z którym rozmawiała, spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy – powiedział. – Ezio Auditore, jeśli się nie mylę... Jak miło cię spotkać. Wszędzie o tobie głośno.

– Wy zaś, jak mniemam, jesteście braćmi Orsimi – odpowiedział Ezio.

Ten, który jeszcze się nie odezwał, podniósł rękę.

– We własnej osobie. Lodovico...

– ...i Checco – dokończył drugi. – Do usług! – po czym roześmiał się chrapliwie.

– *Basta!* – krzyknęła Caterina. – Dość tego! Gdzie są moje dzieci? Wypuście je!

Lodovico pokłonił się ironicznie w siodle.

– *Ma certo, Signora.* Z radością je oddamy. W zamian za coś, co posiadasz. A raczej za coś, co należało do twojego nieodżałowanej pamięci męża. Coś, nad czym pracował dla... naszych przyjaciół – jego głos nagle spoważniał: – Chodzi mi o taką jedną mapę!

– I o pewne Jabłko – dodał Checco. – Tak, tak, wiemy i o nim. Macie nas za głupców? Myślicie, że nasz najemca nie ma szpiegów?

– Owszem – rzekł Lodovico. – Dostaniemy i Jabłko. Bo chyba nie chcesz, żebyśmy podcięli gardelka, tak od ucha do ucha, twoim pociechom, i wysłali je na spotkanie z tatusiem?

Caterina stała i słuchała. Jej nastrój zmienił się w lodowaty spokój. Lecz gdy nadeszła kolej na jej ruch, zaczęła krzyczeć:

– *Bastardi!* Wydaje się wam, że możecie mnie zastraszyć swoimi prostackimi groźbami? Szumowiny! Chcecie moich dzieci? Weźcie je sobie! Mam czym zrobić kolejne!

Podniosła spódnicę, pokazując, co pod nią ma.

– Nie bawią mnie twoje spektakle, Caterino – powiedział Checco, obracając konia. – I nie bawi mnie widok twojej pochwy. Możesz oczywiście zmienić zdanie, ale dajemy ci na to tylko godzinę. Twoi smarkacze do tego

czasu będą bezpieczni w jednej z należących do ciebie obskurnych wiosek przy drodze. I pamiętaj – zabijemy je, a potem tu wrócimy i rozniesiemy to miasto, a co będziemy chcieli, weźmiemy siłą. Tak więc lepiej, byś uczyniła użytek ze swej hojności, oszczędzając i sobie, i nam sporo niepotrzebnego zachodu.

To powiedziawszy, bracia odjechali. Caterina opadła plecami na chropawy mur szanćów, ciężko oddychając przez usta i usiłując dojść do siebie po tym, co właśnie powiedziała i zrobiła.

Ezio stanął przy niej.

– Nie poświęcisz swoich dzieci, Caterino. Żadna sprawa nigdy nie będzie tego warta.

– Nawet ocalenie świata?

Utkwiła w nim swoje szeroko otwarte, szarobłękitne oczy, wyzierające spod rudej grzywki; usta miała wciąż otwarte.

– Nie możemy stać się takimi jak oni – powiedział otwarcie Ezio. – Istnieją ceny, których nie wolno płacić.

– Och, Ezio! Tak bardzo liczyłam, że właśnie to powiesz! – zarzuciła na jego szyję ramiona. – Oczywiście, że nie poświęcimy życia moich dzieci, mój ty kochany! – odsunęła się o krok. – Ale nie mam prawa cię prosić, byś podjął się ryzyka odzyskania ich dla mnie...

– Wypróbuj mnie – odparł Ezio; po czym zwrócił się do Machiavellego: – Nie powinno mi to zająć zbyt wiele czasu, przynajmniej taką mam nadzieję. Lecz cokolwiek miałoby mnie spotkać, wiem, że będziesz strzegł Jabłka, nawet za cenę własnego życia. Caterino...

– Tak?

– Czy wiesz, gdzie Girolamo ukrył mapę?

– Odszukam ją.

– Więc zrób to i chroń ją.

– A co zrobisz z Orsimi? – zapytał Machiavelli.

– Są już na mojej liście – odparł Ezio. – Należą do tej samej organizacji,

która zabiła moich najbliższych i zniszczyła moją rodzinę. Teraz jednak widzę, że sprawa ich śmierci to przyczynek do większej sprawy, a nie wyłącznie zwykła zemsta.

Mężczyźni uścisnęli dłonie, patrząc sobie głęboko w oczy.

– *Buona fortuna, amico mio* – rzekł stanowczym głosem Machiavelli.

– *Buona fortuna anche.*

Do wsi, którą tak nieroztropnie opisał Checco, nawet jeśli słowo „obskurna” było co najmniej niesprawiedliwe, Ezio dotarł bez większych trudności. Była mała, biedna, zresztą jak większość wsi pańszczyźnianych w Romani, i nosiła ślady niedawnego podtopienia przepływającą nieopodal rzeką. Mimo wszystko sprawiała wrażenie czystej i schludnej – domy były pobielone, a pokrywające je strzechy – nowe. I chociaż rozmokła droga, rozdzielająca jakiś tuzin domostw, wciąż nie wróciła do stanu sprzed powodzi, wszystko świadczyło o panującym tu porządku, zadowoleniu, pracowitości, a nawet szczęściu mieszkających tu wieśniaków. Jediną rzeczą odróżniającą Santa Salvazę od wioski w stanie pokoju byli rozsiani po niej żołnierze Orsich. Nic dziwnego, zadumał się Ezio, że Checco nie czuł oporów przed wyjawieniem miejsca, gdzie przetrzymywał Biankę i Ottaviana. Teraz należało tylko znaleźć odpowiedź na pytanie, w którym miejscu wioski mogą przebywać dzieci Cateriny.

Ezio, uzbrojony w sztylet z podwójnym ostrzem na lewym przedramieniu i w pistolet na drugim, jak również w lekki miecz jednoręczny, który zwisał u jego pasa, wyglądał jak zwykły wieśniak – okrywała go długa, wełniana peleryna, sięgająca mu za kolana. Chcąc uniknąć rozpoznania, na głowę nasunął kaptur, z konia zsiadł w pewnej odległości od wioski i, by zmylić ewentualnych zwiadowców Orsich, zarzucił na plecy wiązkę chrustu, którą zabrał spod jakiejś przydrożnej szopy. Garbiąc się pod jej ciężarem, wkroczył do Santa Salvazy.

Zamieszkujący wioskę ludzie starali się robić swoje mimo narzuconej im obecności wojska. Rzecz jasna, nikt nie pałał zbyt wielką sympatią do

najemników Orsich, a Ezio, którego żołnierze na szczęście nie zauważyli, a miejscowi natychmiast wzięli za obcego, zyskał w swojej misji ich wsparcie. Udał się najpierw do domu znajdującego się na skraju wioski, większego i nieco odsuniętego od pozostałych. To tam, zgodnie z tym, co powiedziała mu stara kobieta, niosąca wiadra z wodą znad rzeki, przetrzymywano jedno z dzieci. Ezio dziękował Bogu, że żołdactwo Orsich było rozsiane po wiosce tak rzadko. Większość sił zaangażowana była przecież w oblężenie Forlì.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że na uratowanie dzieci pozostało mu już naprawdę niewiele czasu.

Drzwi i okna domu były szczelnie zamknięte, ale gdy go okrążył i znalazł się na tyłach, gdzie dwa skrzydła budynku formowały dziedziniec, Ezio usłyszał młody, stanowczy głos, który prawił komuś ostre kazanie. Wspiął się na dach i spojrzał w dół, na dziedziniec, na którym Bianca Sforza, niczym miniatura swojej matki, nie zostawiała na dwóch strażnikach suchej nitki.

– Czy takie dwie żałosne kreatury do pilnowania mnie to wszystko, na co stać wasze wojsko? – mówiła to po królewsku, tak, jakby nie znała strachu, zupełnie jak matka. – *Stolti!* To za mało! Moja mama jest bezwzględna i nigdy nie pozwoli wam mnie skrzywdzić! My, kobiety z rodu Sforza, nie dajemy sobie w kaszę dmuchać! To prawda, żeśmy piękne i nadobne, ale pozory mylą! Przekonał się już o tym mój papa! – przerwała, by zaczerpnąć powietrza, a strażnicy spojrzeli na siebie skonsternowani. – Mam nadzieję, że nie wyobrażacie sobie przypadkiem, że się was boję, bo jeśli coś podobnego przyszło wam na myśl, to jesteście w wielkim błędzie! A jeśli choćby włos spadnie z głowy mojego braciszka, mama was odnajdzie i zje na śniadanie! *Capito?*

– Zamknij się, ty mała gówniario! – warknął starszy ze strażników. – Chyba że chcesz oberwać w ucho!

– Nie próbuj nawet tak się do mnie zwracać! Zresztą to i tak już na nic. Tak czy inaczej nigdy nie ujdzie to wam na sucho, a ja wrócę do domu już za

godzinę. Tak naprawdę to zaczynam się nudzić. Dziwi mnie, że nie macie nic lepszego do roboty, gdy czekam, kiedy pomrzecie.

– No dobra, dosyć już tego! – zirytował się starszy strażnik, wyciągając rękę, by ją chwycić.

W tej samej chwili Ezio, stojąc na dachu, wystrzelił ze swojego małego pistoletu, trafiając żołnierza prosto w pierś. Mężczyzna oderwał stopy od ziemi i nim na nią upadł, na jego tunice wykwitła szkarłatna plama. Ezio zdążył tylko pomyśleć, że najwyraźniej podniosła się jakość prochu Leonarda. Korzystając z zaskoczenia, jakie wywołała nagła śmierć strażnika, Ezio zeskoczył z dachu, wylądował z precyzją i gracją pantery i natarł ze swoim podwójnym ostrzem na młodszego żołnierza, który właśnie dobywał groźnie wyglądającego sztyletu. Ezio precyzyjnym ruchem rozciął jego ramię, przerywając ścięgna niczym wstążki. Sztylet żołnierza upadł na błotnistą ziemię, wbijając się w nią czubkiem ostrza; zanim gwardzista zdążył zebrać się do obrony, Ezio wbił mu pod żuchwę swoje podwójne ostrze, przekłuwając nim miękką tkankę ust i języka i zatrzymując się gdzieś w jego czaszce. Potem spokojnie je wyciągnął, pozwalając ciału bezwładnie opaść na ziemię.

– Czy było ich tylko dwóch? – zapytał niezrażoną całą sytuacją Biankę i zaczął przeładowywać broń.

– Tak! I dzięki ci, kimkolwiek jesteś! Moja matka na pewno zadba o to, by spotkała cię sowita nagroda. Oni trzymają również mojego brata, Ottaviana, i...

– Wiesz, gdzie jest? – spytał Ezio, kończąc szybko z pistoletem.

– W wieży strażniczej przy zburzonym moście! Musimy się spieszyć!

– Prowadź i trzymaj się blisko!

Ezio ruszył za Bianką; opuścili dom, a potem szli wzdłuż drogi, aż dotarli do wieży. Zjawili się w samą porę. Na miejscu był sam Lodovico, który ciągnął za kołnierz zawodzącego Ottaviana. Ezio zauważył, że chłopiec utykał – najwyraźniej miał skręconą w kostce nogę.

– Ej, ty! – zawołał do Ezia Lodovico. – Lepiej będzie, gdy oddasz nam dziewczynę i wrócisz do swej pani z wiadomością, że jeśli nie dostaniemy tego, czego chcemy, wykończymy jej parkę!

– Chcę do mamy! – wrzasnął Ottaviano. – Wypuść mnie oprychu!

– Stul pysk, *marmocchio*! – warknął na niego Lodovico. – Ezio! Albo przyniesiesz nam Jabłko i Mapę, albo chłopak zginie.

– Chce mi się siusiu! – zawył Ottaviano.

– Na litość boską, *chiudi il becco*!

– Wypuść go – powiedział twardo Ezio.

– Chciałbym wiedzieć, jak mnie do tego zmusisz! Nigdy nie uda ci się podejść wystarczająco blisko! W tej samej chwili, gdy zrobisz pierwszy krok, poderżnę mu gardło!

Lodovico szarpnął chłopca i umieścił go przed sobą. Do tej pory trzymał go obiema rękami, lecz teraz, by dobyć miecza, musiał jedną zwolnić. Ottaviano chciał wykorzystać ten moment i się uwolnić, ale Lodovico chwycił go mocno za nadgarstek. Teraz jednak Ottaviano chwilowo zszedł z linii między nim a Eziem. Ten, widząc nadarżającą się okazję, wysunął szybko swój pistolet i wystrzelił.

Rozwścieczony wyraz twarzy Lodovica w jednej chwili przeszedł w niedowierzanie. Kula trafiła go w szyję, dziurawiąc żyłę. Z wybałuszonymi oczyma wypuścił z rąk Ottaviana i upadł na kolana, chwytając się za gardło; krew sączyła mu się między palcami. Chłopiec w tym czasie podbiegł do siostry, która czule go objęła.

– Ottaviano! *Stai bene*! – powiedziała, mocno go przytulając.

Ezio ruszył do przodu, by stanąć przy Lodovicu; zachował jednak bezpieczną odległość. Lodovico nie zdążył jeszcze upaść na ziemię, a jego ręka wciąż dzierżyła miecz. Krew ściekała mu z szyi na bezrękawnik, strużką zamieniającą się stopniowo w potok.

– Nie wiem, co to za szatański instrument dał ci przewagę nade mną, Ezio – wydyszał – ale, choć przykro mi to mówić, przegrasz tę grę, niezależnie co

poczniesz. My, Orsi, nie jesteśmy głupi, choć za takich nas macie. Jeśli ktoś jest tu głupi, to ty... Ty i Caterina!

– Jesteś głupcem – odparł Ezio, w którego chłodnym głosie pobrzmiwało szyderstwo. – Umierasz za worek srebra. Myślisz, że było warto?

Lodovico wykrzywił twarz w grymasie.

– Bardziej niż ci się wydaje, przyjacielu. Przechytrzyliśmy cię. Czego byś nie zrobił, Mistrz dostanie to, co chce! – twarz wykręciła mu się w agonii i bólu. Plama krwi stawała się coraz większa. – Lepiej już ze mną skończ, Ezio, jeśli w ogóle masz w sobie choć trochę miłosierdzia.

– A zatem umieraj w swojej dumie. Dumie, która nie ma żadnej wartości.

Ezio zbliżył się do Lodovico i powiększył ranę w jego szyi. Potem pochylił się nad nim i zamknął mu oczy.

– *Requiescat in pace* – powiedział.

Nie miał jednak czasu do stracenia. Wrócił do dzieci, które przyglądały się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami.

– Możesz chodzić? – zapytał Ottaviana.

– Spróbuję, ale okropnie mnie boli.

Ezio uklęknął i obejrzał jego nogę. Nie była skręcona w kostce, ale bardzo naciągnięta. Podniósł go i umieścił na barkach.

– Odwagi, mały *duce*! – powiedział. – Zabiorę was bezpiecznie do domu.

– Mogę się najpierw wysiusiać? Naprawdę mi się chce!

– Tylko szybko.

Ezio zdawał sobie sprawę, że przeprawa z dziećmi z powrotem przez wioskę nie będzie łatwa. Oboje byli odziani w pełne przepychu stroje, więc przebranie ich raczej nie wchodziło w grę, poza tym we wsi na pewno odkryto już ucieczkę Bianki. Zmienił broń na nadgarstku z pistoletu na ostrze z trucizną i zdjęty mechanizm schował do swojej torby. Chwycił za prawą dłoń Bianki i ruszył ku lasom, okalającym zachodnią część wioski.

Gdy wspiął się na małe wzgórze, mógł rzucić okiem na Santa Salvazę. Zobaczył żołnierzy Orsich biegnących w kierunku wieży strażniczej, jednak

najwyraźniej żaden z nich nie został posłany do lasów. Zadowolony z tej chwili wytchnienia, po czasie, który wydał mu się wiecznością, dotarł z dziećmi do miejsca, gdzie przywiązał swojego konia. Usadził je na jego grzbiecie, a sam dosiadł go za nimi.

Do Forlì dojechał od północnej strony miasta. Było ciche. Zbyt ciche. Gdzie się podziało wojsko Orsich? Czyżby oblężenie zakończyło się sukcesem? Nie było to zbyt prawdopodobne. Ezio spał swojego konia.

– Wjedźmy południowym mostem, *messere* – odezwała się siedząca z przodu Bianca, trzymając się łąku. – Stamtąd najłatwiej dotrzeć do domu.

Ottaviano wtulił się w Ezia.

Gdy zbliżali się do murów miasta, Ezio zobaczył otwierającą się południową bramę. Wszedł z niej mały oddział żołnierzy Sforzy, eskortujący Caterinę i idącego o krok za nią Machiavellego. Spostrzegł, że jego przyjaciel jest ranny. Pochylił się w siodle i gdy znalazł się przy nich, szybko zsiadł z konia i przekazał dzieci czekającej z otwartymi ramionami Caterinie.

– Co tu się dzieje, na miłość boską? – zapytał Ezio, przenosząc wzrok z Cateriny na Machiavellego i z powrotem. – Co tu robicie?

– Och, Ezio – westchnęła Caterina. – Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

– Co się stało?

– To wszystko to był podstęp. By osłabić naszą obronę! – powiedziała Caterina z rozpaczą w głosie. – Urowadzenie dzieci miało odwrócić naszą uwagę!

Ezio zwrócił się do Machiavellego.

– Ale miasto jest chyba bezpieczne? – zapytał.

– Owszem, miasto jest bezpieczne. Orsich przestało już interesować.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Po tym, jak ich stąd wykurzyliśmy, odpoczęliśmy, choć tylko na chwilę, by przegrupować siły i opatrzyć rannych. I właśnie wtedy Checco przystąpił

do kontrataku. Musieli to sobie dobrze zaplanować! Ruszył szturmem na miasto. Walczyłem z nim ramię w ramię, twardo i zaciekle, ale z tyłu zaszkli mnie jego żołnierze i pokonali. A teraz, Ezio, proszę cię, przyjmij to jak mężczyzna: Checco zabrał Jabłko!

Ezio na chwilę oniemiał. Potem powoli powiedział:

– Nie... To nie może być... – rozejrzał się wściekle. – Dokąd się udał?

– Jak tylko dostał w swoje ręce to, na czym mu tak zależało, wycofał się wraz ze swoimi ludźmi, a jego wojsko rozdzieliło się na dwie części. Nie byliśmy w stanie stwierdzić, która z nich ma Jabłko, poza tym byliśmy zbyt osłabieni walką, by puścić się za nimi w pościg. Tak czy owak Checco poprowadził swój oddział w góry, na zachód...

– A więc wszystko straciliśmy? – powiedział Ezio, uświadamiając sobie, że Lodovico miał rację: nie docenił Orsich.

– Wciąż, dzięki Bogu, mamy Mapę – powiedziała Caterina. – Checco nie odważył się pozostać tu dłużej, by ją odnaleźć.

– A jeśli teraz, mając Jabłko, już jej nie potrzebuje?

– Nie możemy dopuścić, by templariusze zatriumfowali – powiedział ponurym tonem Machiavelli. – Nie możemy! Musimy ruszać!

Lecz Ezio widział, że jego przyjaciel jest blady z upływu krwi.

– Nie – ty tu zostaniesz. Caterino, zaopiekuj się nim. Ja ruszam w drogę. Od razu. Może jeszcze jest czas...

23

Sporo czasu upłynęło nim Ezio, jadąc całymi dniami i odpoczywając tylko wtedy, gdy zmieniał konia, dotarł do Apeninów. Wiedział, że jeszcze więcej czasu zajmie mu odszukanie tam Checca Orsia. Ale wiedział też, że jeśli Checco powrócił do swojej rodzinnej siedziby w Nubilarii, będzie mógł natknąć się na niego na szlaku prowadzącym z tej miejscowości na południe – na długiej, krętej drodze wiodącej do Rzymu. Ezio nie miał żadnej gwarancji, że Checco nie udał się bezpośrednio do Stolicy Apostolskiej, ale założył, że z tak cennym ładunkiem jego wróg będzie najpierw szukał schronienia tam, gdzie go znają, i stamtąd każe posłańcom ustalić, czy Hiszpan wrócił już do Watykanu, zanim sam się do niego wybierze.

Ezio udał się więc do Nubilarii. Gdy przybył na miejsce, zaczął dyskretnie dowiadywać się o Checca. Jego szpiedzy byli praktycznie wszędzie i nie upłynęło zbyt wiele czasu zanim Ezio przekonał się, że Checco spodziewa się go tutaj i planuje jak najszybszy wyjazd dwoma wozami, by uniknąć ewentualnej konfrontacji, niwecząc tym samym jego zamiary.

Rankiem tego dnia, kiedy Checco miał opuścić miasto, Ezio był w pełnej gotowości i nie spuszczał oka z południowej bramy Nubilarii. Nie musiał długo czekać, by zobaczyć dwa wytaczające się przez nią wozy. Dosiadł konia, by ruszyć za nimi w pościg, ale w ostatniej chwili trzeci, lżejszy wóz, powożony przez poplecznika Orsiego, wyjechał nagle z bocznej uliczki, zagradzając mu drogę. Koń Ezia stanął dęba i zrzucił go z siodła. Nie mając czasu do stracenia, Ezio musiał porzucić swojego wierzchowca; wskoczył na wóz Orsiego i zmiotł z niego woźnicę jednym, celnym uderzeniem. Smagnął konie batem i ruszył w pościg.

Wkrótce jego oczom ukazały się wozy Checca. Oni też zobaczyli Ezia i wyraźnie przyspieszyli. Gdy tak pędzili zdradziecką, górską drogą, wóz

Checca z eskortą, wypełniony żołnierzami, którzy zakładali właśnie strzały na cięciwy swych kusz, wziął zbyt szybko jeden z zakrętów. Konie zerwały uprząż i pognały wzdłuż drogi, ale wóz, pozbawiony siły kierującej, wystrzelił znad krawędzi drogi i rozbił się w dolinie setki stóp poniżej. Ezio pod nosem podziękował losowi za jego przychylność. Popędził własne konie, choć obawiał się, że od tak wytężonego wysiłku pękną im serca. Ponieważ ciągnęły o wiele mniejszy ciężar niż te zaprzężone do wozu Checca, dystans między nim a ściganym stale się zmniejszał.

Gdy Ezio się z nim zrównał, woźnica zamachnął się na niego batem. Ezio chwycił bat w powietrzu i wyrwał mu go z rąk. Chwilę później, gdy nadarzył się odpowiedni moment, puścił lejce swojego zaprzęgu i przeskoczył z wozu, którym jechał, na dach wozu Checca. Konie Ezia, uwolnione od ciężaru i pozbawione kontroli woźnicy, rzuciły się w panice przed siebie i pognały wzdłuż drogi, wkrótce znikając z widoku.

– Zostaw nas w spokoju, idioto! – wrzasnął woźnica Checca. – Co ty na litość boską wyprawiasz?! Oszalałeś?!

Bez bata nie mógł już tak łatwo kierować końmi. Nie miał też żadnych możliwości walki.

Z wnętrza powozu krzyczał sam Checco.

– Nie bądź głupi, Ezio! Nie uda ci się!

W końcu Checco wychylił się z okna i zamierzył się na Ezia mieczem, podczas gdy woźnica rozpaczliwie usiłował zapanować nad końmi.

– Znikaj z mojego powozu, już!

Woźnica próbował gwałtownie skręcić, by zrzucić Ezia, lecz ten uczeplił się powozu ze wszystkich sił. Powóz niebezpiecznie się przechylił i w końcu, gdy mijali opuszczony kamieniołom, wymknął się całkowicie spod kontroli i przewrócił na bok, wyrzucając woźnicę na stos spękanych marmurowych płyt, odrzuconych przez kamieniarzy. Konie, zahamowane nagłym oporem ciągniętego przez siebie ciężaru, w przerażeniu zaryły kopytami w ziemię. Ezio odbił się zgrabnie od powozu, po czym wylądował w przysiadzie

i dobył miecza do walki z Checco, który co prawda zdyszany, ale bez większych urazów, wyczołgiwał się ze środka z wściekłością malującą się na twarzy.

– Oddaj mi Jabłko, Checco. To już koniec.

– Ty idioto! Koniec nadejdzie, gdy umrzesz! – Checco wyciągnął miecz i natarł na przeciwnika.

W jednej chwili ich miecze zaczęły rozcinać powietrze, uderzając o siebie z głośnym brzękiem; walczyli niebezpiecznie blisko krawędzi drogi.

– Oddaj mi Jabłko, Checco, a pozwolę ci odejść. Nie zdajesz sobie sprawy z mocy tego, co posiadasz!

– Nigdy go nie dostaniesz. Kiedy przejmie je nasz Mistrz, zyskamy potęgę, o której nikomu się do tej pory nie śniło, a Lodovico i ja będziemy przy nim, radując się z naszego w niej udziału!

– Lodovico nie żyje! I czy naprawdę myślisz, że twój Mistrz pozwoli ci żyć, gdy uzna, że przestałeś już być mu potrzebny? Już teraz wiesz o wiele za dużo!

– Zabiłeś mojego brata? Więc to jest za niego! – Checco rzucił się na Ezia.

Starli się ostro, w powietrzu połyskiwały ostrza. Checco ponownie zadał Eziowi cios mieczem, lecz ostrze odbiło się od metalowej osłony na jego przedramieniu. To, że tak precyzyjnie wymierzony cios nie sięgnął celu, na chwilę wytrąciło Checca z równowagi, ale szybko się pozbierał i zamachnął mieczem ponownie, uderzając w prawe ramię Ezia i rozcinając je głęboko, aż do bicepsa, co sprawiło, że Ezio wypuścił swoją broń.

Checco wydał z siebie ochrypły okrzyk triumfu. Przyłożył czubek ostrza do gardła przeciwnika.

– Tylko nie błagaj o litość – powiedział – bo jej dla ciebie nie mam.

Mówiąc to, uniósł rękę za siebie, zamierzając się do śmiertelnego ciosu. W tej samej chwili Ezio wysunął z mechanizmu na lewym przedramieniu podwójny sztylet i obracając się dookoła własnej osi z piorunującą szybkością, zatopił go w piersi Checca.

Checco zastygł w bezruchu na dłuższą chwilę, patrząc w dół na kapiącą na białą drogę krew. Potem wypuścił z rąk miecz i upadł na Ezia, chwytając się go tak, jakby chciał się na nim podeprzeć. Ich twarze zbliżyły się do siebie. Checco uśmiechnął się.

– A więc odzyskałeś swój łup... – wyszeptał, a krew wypływała mu z piersi coraz obfitszym strumieniem.

– Czy był tego wart? – zapytał go Ezio. – Czy wart był tyle przelanej krwi?

Checco wydał z siebie odgłos przypominający stłumiony śmiech, choć może po prostu się krztusił, bo coraz więcej krwi napływało mu do ust.

– Posłuchaj, Ezio... Trudno ci będzie utrzymać w posiadaniu rzecz tak wartościową jak ta... – z trudem nabrał powietrza. – Dziś umieram ja, lecz jutro tym, który skona, będziesz... ty...

Jego twarz zaczęła tracić wyraz, oczy powędrowały ku górze; w końcu Checco upadł na ziemię u stóp Ezia.

– Zobaczymy, przyjacielu – odpowiedział Ezio. – Spoczywaj w pokoju.

Poczuł, że ma nogi jak z waty. Krew wypływała z rany na jego ramieniu, ale przemógł się, podszedł do powozu i uspokoił konie, uwalniając je z zaprzęgu. Potem przeszukał wnętrze i szybko znalazł tekowe pudło. Pospiesznie je otworzył, by sprawdzić jego zawartość, po czym równie szybko je zamknął i umieścił pod zdrowym ramieniem. Spojrzał na kamieniołom, gdzie nieruchomo spoczywało ciało woźnicy. Nie musiał sprawdzać, czy mężczyzna żyje; ką, pod którym wygięło się ciało, mówił sam za siebie.

Konie nie odeszły daleko. Ezio podszedł do nich, zastanawiając się, czy będzie miał wystarczająco sił, by dosiąść jednego z nich i pokonać tak choć część drogi do Forlì. Miał nadzieję, że zastanie miasto takim, jakie je opuszczał. Odnalezienie Checca zajęło mu więcej czasu niż przypuszczał. Nigdy jednak nie sądził, że odzyskanie Jabłka będzie łatwym zadaniem, a teraz dzięki niemu było z powrotem w posiadaniu asasynów. Czas, który poświęcił, nie poszedł na marne.

Spojrzał jeszcze raz na konie i zdecydował, że najlepszym spośród całej czwórki będzie dla niego ten, który prowadził zaprzęg. Podeszedł do niego, chwycił go za grzywę, by się podciągnąć – koń nie miał jeździeckiej uprzęży – ale gdy spróbował to zrobić, zatoczył się.

A zatem stracił więcej krwi, niż mu się zdawało. Musiał więc zawiązać czymś ranę, zanim zacznie robić cokolwiek innego. Przywiązał konia do pobliskiego drzewa, a z koszuli Checca odciął pas materiału, by wykorzystał go jako bandaż. Następnie usunął jego ciało z widoku. Pomyślał, że jeśli teraz ktoś będzie tędy przejeżdżał i nie zwróci bacznej uwagi na szczegóły, dojdzie do wniosku, że on i woźnica są ofiarami tragicznego wypadku. W dodatku zmierzchało, a o tej porze dnia podróźni pojawiali się nader rzadko.

Wysiłek wyssał z Ezia wszystkie siły. „Po prostu muszę odpocząć” – pomyślał i od samej tej myśli zrobiło mu się przyjemnie. Usiadł w cieniu drzewa. Do jego uszu dobiegały ciche odgłosy pasącego się konia. Położył przy sobie tekowe pudło i po raz ostatni starannie omiół okolicę wzrokiem. Wiedział, że znajduje się w miejscu, w którym nie powinien zabawić zbyt długo, lecz jego powieki nagle zaczęły mu ciążyć; zasnął, nim zdążył spostrzec dyskretnego obserwatora, ukrytego za drzewem na pagórku wznoszącym się nad drogą, za jego plecami.

Kiedy Ezio się przebudził, panowała już ciemność, ale światło księżyca było wystarczająco intensywne, by mógł dojrzeć przechodzącą w jego pobliżu postać. W prawym bicepsie czuł tępy ból, ale gdy chciał się podnieść, pomagając sobie sprawną ręką, dotarło do niego, że nie może nią poruszyć. Ktoś przyniósł z kamieniołomu marmurową płytę i przygniótł nią jego ramię. Ezio usiłował pomóc sobie nogami, ale bezskutecznie. Spojrzał tam, gdzie położył pudło z Jabłkiem.

Nie było go.

Tajemnicza postać, ubrana w biały, dominikański habit z czarnym kapturem nasuniętym na głowę, zauważyła, że Ezio się obudził. Odwróciła

się do niego i poprawiła marmurową płytę, by ta jeszcze lepiej go unieruchamiała. Ezio zauważył, że mnichowi w jednej ręce brakuje palca.

– Poczekaj! – powiedział. – Kim jesteś? Co robisz?

Mnich nie odpowiedział. W pewnej chwili Ezio spostrzegł pudło z Jabłkiem, a mnich pochylił się nad nim, by unieść je z ziemi.

– Nie dotykaj tego! Kimkolwiek byś nie był, nie...

Lecz mnich otworzył pudło, z którego wnętrza dobyło się światło jasne jak blask słońca.

Eziowi, zanim po raz kolejny stracił świadomość, zdało się, że mnich westchnął z zadowoleniem.

Gdy zbudził się znowu, był już ranek. Wszystkie konie gdzieś uciekły, a jego nadwątlone siły powoli wracały. Spojrzał na marmurową płytę. Czuł, że jest ciężka, ale gdy spróbował ruszyć uwięzioną pod nią ręką, lekko drgnęła. Rozejrzał się wokół. W zasięgu prawej ręki zobaczył ciężką gałąź, która musiała spaść z drzewa już jakiś czas temu, ale miała jeszcze sporo zielonych liści, więc była mocna. Prawe ramię bolało Ezia niemiłosiernie, a gdy podnosił nim gałąź i podkładał ją pod płytę, znowu zaczęło krwawić. Przez myśl przemknęła mu dawno już zapomniana sentencja, z którą zetknął się jeszcze podczas swoich szkolnych lat: „Dajcie mi wystarczająco długą dźwignię i wystarczająco mocną podporę, a sam jeden poruszę cały glob...” Nacisnął na gałąź. Płyta zaczęła się podnosić, ale jednocześnie znów opuściły go siły i ciężar powrócił na miejsce. Ezio położył się, chwilę odpoczął i znowu spróbował.

Podczas trzeciej próby, wyjąc w myślach z bólu i czując, że jeszcze chwila, a napięte mięśnie rannego ramienia przedrą mu się przez skórę, Ezio napał na gałąź ze wszystkich sił, wiedząc, że od tego zależy jego życie. Płyta podniosła się w końcu i spadła drugą stroną na ziemię.

Podniósł się ostrożnie i usiadł. Jego prawe ramię było obolałe, ale żadna z kości na szczęście nie uległa złamaniu.

Dlaczego mnich nie zabił go podczas snu? – tego zupełnie nie rozumiał.

Być może ów sługa boży nie chciał dopuszczać się morderstwa. Jedno było pewne – zarówno dominikanin, jak i Jabłko zniknęli.

Ezio stanął na nogi, powlókł się do pobliskiego strumienia i zanim przemył i zabandażował na nowo ranę, pił z niego długo i łapczywie. Potem ruszył na wschód, przez góry, w kierunku Forlì.

Po wielu dniach podróży ujrzał w oddali wieże miasta. Był wyczerpany długotrwałym i nieustającym wysiłkiem, swoją porażką i osamotnieniem. Wracając do Forlì miał mnóstwo czasu na rozmyślanie o Cristinie oraz o tym, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie musiał dźwigać swojego krzyża. Nie dano mu jednak wyboru, więc nie mógł niczego zmienić. I nawet nie chciał, co uświadomił sobie po pewnym czasie.

Dotarł do wejścia na most wiodący do południowej bramy i był już wystarczająco blisko, by dostrzec ludzi na murach miasta, gdy opadło go ogromne zmęczenie i stracił przytomność.

Kiedy się przebudził, okazało się, że leży w łóżku, w nieskazitelnie czystej pościeli, na zewnątrz, na nasłonecznionym tarasie, w cieniu rzucanym przez winorośle. Jakaś chłodna dłoń pogładziła go po czole i przytknęła do jego ust kubek z wodą.

– Ezio! Dzięki Bogu do nas wróciłeś! Jak się czujesz? Co ci się stało? – Caterina wyrzucała z siebie pytania jedno po drugim z charakterystyczną dla siebie impulsywnością.

– Ja... Nie wiem...

– Zobaczyli cię z szajców. Sama po ciebie wyszłam. Musiałeś nie wiem jak długo podróżować, no i ta twoja okropna rana...

Ezio usiłował wydobyć minione zdarzenia z pamięci.

– Coś sobie przypominam... Odzyskałem Jabłko od Checca... Ale wkrótce potem pojawił się ktoś, kto mi je odebrał.

– Kto?

– Miał na głowie czarny kaptur, zupełnie jak mnich... Wydaje mi się, że... że brakowało mu palca u ręki – Ezio z wysiłkiem usiadł na łóżku. – Jak długo

tu leżę? Muszę ruszać i to niezwłocznie!

Zaczął się podnosić, ale poczuł, jakby jego kończyny były zrobione z ołowiu. Przy każdej próbie ruchu zaczynało mu się kręcić w głowie, w końcu był zmuszony opaść na łóżko.

– Jezu! Co ten mnich ze mną zrobił?!

Caterina pochyliła się nad nim.

– Nie możesz nigdzie iść, Ezio. Potrzebujesz czasu, by dojść do siebie, jeśli chcesz walczyć w bitwach, które są jeszcze przed tobą. Wiem, że czeka cię wkrótce długa i mozolna podróż. Ale rozchmurz się! Niccolò wrócił do Florencji. Zadba tam o nasze sprawy. Pozostali asasyni są czujni. Zostań tu więc na jakiś czas... – pocałowała go w czoło, a potem, z pewnym wahaniem, w usta. – Jeśli jest coś, co mogę zrobić, by... przyspieszyć twoją rekonwalescencję, powiedz tylko słowo... – jej dłoń zaczęła dyskretnie wędrować w dół, pod prześcieradło, aż znalazła to, czego szukała. – No proszę! – uśmiechnęła się. – Już widzę swój pozytywny wpływ, choć na razie niewielki.

– Niezłe z ciebie ziółko, Caterino Sforza.

Roześmiała się.

– *Tesoro*... Gdybym kiedykolwiek miała spisać historię mojego życia, zszokowałabym świat.

*

Ezio był silnym, zdrowym mężczyzną w kwiecie wieku. Co więcej, życie doświadczyło go bardziej niż kogokolwiek, nic więc dziwnego, że zregenerował siły o wiele szybciej niż można się było spodziewać. Niestety, jego prawe ramię znacznie osłabło po ciosie Checca i zdawał sobie sprawę, że czeka go ciężka praca nad odzyskaniem jego pełnej sprawności, nieodzownej w dalszych zmaganiach. Obiecał sobie, że będzie cierpliwy; pod surowym, choć zarazem wyrozumiałym okiem Cateriny jego przymusowy pobyt w Forlì mijał w wyciszeniu i kontemplacji. Często można go było zastać siedzącego pod winnymi pnączami i zagłębianego w jednym z dzieł

Poliziana lub podczas intensywnych ćwiczeń fizycznych.

Pewnego ranka Caterina, która weszła do jego komnaty, ujrzała go ubranego do podróży, a przy nim pazia, pomagającego mu wciągać buty do jazdy konnej. Usiadła obok niego na łóżku.

– A więc nadszedł już czas... – powiedziała.

– Tak. Nie mogę już dłużej zwlekać.

Caterina posmutniała, wyszła z komnaty, ale wróciła po krótkiej chwili, trzymając w dłoni jakiś zwój.

– Cóż, ta chwila musiała nadejść, prędzej czy później – powiedziała – a twoje zadanie jest o niebo ważniejsze od naszych przyjemności, choć co do tego drugiego, to mam nadzieję, że wkrótce znów do mnie zawitasz! – wyciągnęła ku niemu rękę ze zwojem. – Proszę, przyniosłam ci prezent na pożegnanie.

– Cóż to takiego?

– Coś, czego będziesz potrzebował.

Rozwinęła zwój i oczom Ezia ukazała się mapa całego półwyspu, od Lombardii po Kalabrię. Widniały na niej nie tylko drogi i miasta, lecz także zaznaczone czerwonym atramentem krzyżyki.

Ezio przeniósł wzrok na Caterinę.

– To Mapa, o której mówił Machiavelli. Mapa twojego męża...

– Mojego zmarłego męża, *mio caro*. Podczas twojej wyprawy Niccolò i ja dokonaliśmy kilku bardzo ważnych odkryć. Pierwsze z nich było takie, że nasze... usunięcie Girolamo nastąpiło w bardzo dobrym momencie, bo właśnie kończył swoją pracę nad Mapą. Drugie – że Mapa jest w gruncie rzeczy bezcenna, gdyż nawet będąc w posiadaniu Jabłka, templariusze nie będą bez niej mogli odnaleźć Krypty.

– Wiesz o Kryptcie?

– Kochanie, czasem potrafisz być taki naiwny... Oczywiście, że wiem – teraz jej ton zmienił się w bardziej konkretny. – Ale żeby zupełnie unieszkodliwić naszych wrogów, musisz odzyskać Jabłko. Ta Mapa pomoże

ci zakończyć twoje wielkie zadanie.

Wręczyła mu Mapę, ich palce zetknęły się i splotły. Nie chcieli przestać patrzeć sobie w oczy.

– Niedaleko stąd znajdują się mokradła, a tam opactwo – powiedziała w końcu Caterina. – To dominikanie. Ich zakonnicy noszą czarne kaptury. Zaczęłabym od tego miejsca – jej oczy zaszklily się i odwróciła wzrok. – Idź już. Odszukaj tego mnicha, który napytał nam takiej biedy!

Ezio uśmiechnął się.

– Myślę, że będę za tobą tęsknił, Caterino.

Odpowiedziała uśmiechem, nienaturalnie radosnym. Pierwszy raz w życiu poczuła, jak trudno być naprawdę mężną.

– Och, jestem o tym przekonana!

24

Mnich, który powitał Ezia w opactwie na mokradłach, w pełni odpowiadał wyobrażeniu zakonnego braciszka – był pulchny i rumiany, miał płomiennorude włosy i filuterne, przenikliwe oczka. Mówił z akcentem, który Ezio znał za sprawą jednego z *condottieri* służących u wuja Maria, co oznaczało, że mężczyzna pochodził z Irlandii.

– Niech ci Pan błogosławi, bracie.

– *Grazie, Padre...*

– Jestem brat O’Callahan.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś mi pomóc.

– Po to jesteśmy, bracie. Problem w tym, że żyjemy w niełatwych czasach, a trudno jest myśleć jasno, gdy w brzuchu pustki.

– Chodzi chyba raczej o pustki w sakiewce.

– Źle mnie zrozumiałeś. O nic cię nie proszę – mnich rozłożył ręce. – Ale Pan pomaga szczodrym.

Ezio wytrząsnął kilka florenów i podał je mnichowi, mówiąc:

– Gdyby to nie wystarczyło...

Mnich wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Cóż, zbieram myśli... Ale prawda jest taka, że Bóg w rzeczywistości pomaga trochę bardziej szczodrym.

Ezio wytrząsał monetę za monetą aż do chwili, gdy z twarzy brata O’Callahana zniknął wyraz troski.

– Zakon docenia twoją szczodroblivość, bracie – powiedział i splótł ręce na brzuchu. – Czegóż zatem szukasz?

– Mnicha w czarnym kapturze, któremu brakuje palca u ręki.

– Hm. Brat Guido ma dziewięć palców u nóg. Jesteś pewny, że nie chodzi o palec u nogi?

– Jak najbardziej.
– Mamy też brata Domenico, ale on nie ma całej ręki.
– Nie. Jestem najzupełniej pewny, że chodzi o pojedynczy palec.
– Hm – mnich przerwał, pogrążając się w głębszej zadumie. – Zaraz, zaraz! Oczywiście, że sobie przypominam mnicha z dziewięcioma palcami... Tak! No jasne! Widziałem go podczas naszej ostatniej uczyty w San Vincenzo w naszym opactwie w Toskanii.

Ezio uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Znam to miejsce. Tam go poszukam. *Grazie* – powiedział.
– Idź w pokoju, bracie.
– Zawsze tak czynię – odparł Ezio.

Ezio, zmierzając na zachód, nim znalazł się w Toskanii, musiał przekroczyć łańcuch gór i choć podróż była długa i wyczerpująca – zbliżała się jesień i pogoda stawała się coraz mniej sprzyjająca – nie osłabiło to niepokoju, jaki czuł zbliżając się do opactwa. W końcu było to miejsce, gdzie jeden ze spiskowców zamieszanych w zamach na życie Lorenza Medicego – Stefano Bagnone, sekretarz Jacopa Pazziego – zginął przed paru laty z jego rąk.

Niestety, opat, który powitał Ezia, był świadkiem tego zabójstwa.

– Wybacz mi, ojczy – pierwszy odezwał się Ezio – ale zastanawiałem się, czy przypadkiem...

Opat go rozpoznał, cofnął się w przerażeniu i krzyknął:

– Niechaj wszyscy archaniołowie: Uriel, Rafael, Michał, Sariel, Gabriel, Remiel i Raguel – niechaj oni wszyscy osłonią nas swoją potęgą! – przeniósł swój rozgorączkowany wzrok z nieba na Ezia. – Przeklęty demonie! Zgiń, przepadnij!

– O co chodzi? – zapytał skonsternowany Ezio.

– O co chodzi?! O co chodzi?! Wszak jesteś tym, który zamordował brata Stefano. Na tej oto uświęconej ziemi! – zaniepokojona grupka braci zgromadziła się na dziedzińcu w bezpiecznej odległości, a opat zwrócił się ku nim: – On wrócił! Powrócił zabójca mnichów i księży! – oznajmił donośnym

i złowróżbnym jak grzmot przed burzą tonem, po czym salwował się ucieczką, pociągając za sobą innych.

Byli wyraźnie przerażeni. Eziowi nie pozostało nic innego, jak tylko rzucić się za nimi w pościg. Nie znał opactwa tak dobrze jak mnisi. Próbował biec wzdłuż zupełnie mu obcych kamiennych korytarzy i krużganków. W końcu wspiął się na dach, by lepiej widzieć, dokąd udali się mnisi, ale to wywołało wśród nich jeszcze większą histerię. Zaczęli krzyczeć: „Nadszedł! Nadszedł! Nadszedł Belzebub!”. Ezio musiał więc powrócić do konwencjonalnych metod pościgu.

W końcu udało mu się ich dopaść. Zdyszany opat natarł na niego i chrypliwym głosem powtórzył:

– Zgiń, przypadnij demonie! Zostaw nas w spokoju! Nie dopuściliśmy się grzechów tak wielkich jak twoje!

– Chwileczkę, poczekajcie! – wydyszał Ezio, również próbując złapać oddech. – Chcę wam tylko zadać pytanie!

– Nie chcemy ściągać na siebie demonów! Jeszcze nie wyruszamy w podróż w zaświaty!

Ezio skierował dłonie ku ziemi, dając wyraźnie do zrozumienia, że chce uspokoić sytuację.

– Proszę... *Calma!* Nie chcę was skrzywdzić!

Opat jednak nie słuchał. Przewrócił tylko oczyma.

– Boże, mój Boże, nie opuszczaj mnie! Nie jestem jeszcze gotów, by dołączyć do Twych aniołów! – powiedział i znów wziął nogi za pas.

Eziowi nie pozostało nic innego, jak powalić go na ziemię. Po chwili szamotaniny obydwaj stanęli na nogi i otrzepali się z kurzu, otoczeni przez mnichów, spoglądających na całą sytuację wybałuszonymi oczami.

– Proszę, nie uciekaj już! – powiedział błagalnym tonem Ezio.

Opat skulił się ze strachu.

– Nie! Miej litość! Nie chcę umierać... – wymamrotał.

Ezio, świadom tego, że jego głos brzmi egzaltowanie, rzekł:

– Racz mnie wysłuchać, ojcze opacie. Zabijam wyłącznie tych, którzy zabijają innych, a brat Stefano był mordercą. Usiłował odebrać życie księciu Lorenzowi w roku Pańskim 1478 – przerwał i przez chwilę ciężko oddychał.

– Niech zatem, *messer abate*, uspokoi cię to, że jestem pewny, iż ty mordercą nie jesteś.

Wyraz twarzy opata stał się odrobinę spokojniejszy, ale wzrok miał wciąż podejrzliwy.

– Czego zatem chcesz? – zapytał.

– Dobrze, zatem posłuchaj. Poszukuję mnicha ubranego jak wy – dominikanina – któremu brakuje palca u ręki.

Opat spojrział na Ezia nieufnie.

– Brak palca u ręki, powiadasz? Tak jak naszemu bratu Savonaroli?

Ezio zapamiętał dobrze to nazwisko.

– Savonarola? Kto to jest? Znałeś go, ojcze?

– Kiedyś tak... Był jednym z nas... przez pewien okres.

– A potem?

Opat wzruszył ramionami.

– Sugerowaliśmy mu, żeby wybrał się na dłuższy czas do eremu w górach i tam odetchnął. Tu... tu jakby nie całkiem pasował...

– Wydaje mi się, opacie, że jego pustelniczy żywot dobiegł już końca. Czy wiesz, gdzie mógł się stamtąd udać?

– Mój Boże... – opat próbował coś sobie przypomnieć. – Jeśli rzeczywiście na dobre opuścił erem, mógł wrócić do kościoła Santa Maria del Carmine we Florencji. Tam pobierał nauki. Być może powrócił właśnie w to miejsce.

Ezio westchnął z wyraźną ulgą.

– Dzięki ci, opacie. Pan z tobą.

Dziwnie było znaleźć się na powrót w rodzinnym mieście po tak długim czasie. Do Ezia wracało mnóstwo wspomnień. Jednak okoliczności wymuszały odosobnienie. Nie mógł kontaktować się nawet ze starymi przyjaciółmi i sojusznikami, by wieść o jego obecności w mieście nie dotarła

do wrogów.

I choć samo miasto sprawiało wrażenie spokojnego, w kościele, do którego zmierzał, wyraźnie działo się coś złego. W pewnej chwili wybiegł z niego przerażony mnich.

– Spokojnie, bracie... – zaczepił go Ezio.

Mnich spojrzał na niego z obłędem w oczach.

– Trzymaj się od tego miejsca z daleka, przyjacielu, jeśli ci życie miłe.

– Cóż się tam stało?

– Żołnierze z Rzymu zajęli nasz kościół! Rozproszyli się po całym budynku i każdemu z braci zadawali pytania, które nie mają sensu! Chcą, byśmy oddali im owoc!

– Jaki owoc?

– Jabłko!

– Jabłko? *Diavolo!* Rodrigo mnie ubiegł! – syknął Ezio do siebie.

– Wyciągnęli jednego z moich współbraci karmelitów na tyły kościoła! Jestem pewien, że chcą go zabić!

– Karmelitów?! Nie jesteście dominikanami?!

Ezio zostawił mnicha za sobą. Przywarł do murów kościoła i zaczął przesuwając się wzdłuż nich wokół budynku. Poruszał się ukradkiem, niczym mangusta, która trafiła na kobrę. Gdy dotarł do murów okalających kościelny ogród, wskoczył szybko na dach. To, co ujrzał w dole, mimo że widział już wiele, zaparło mu dech w piersiach. Kilku żołnierzy Borgii niemiłosiernie znęcało się nad wysokim, młodym mnichem – miał jakieś trzydzieści pięć lat.

– Mów! – wydierał się dowódca żołnierzy. – Mów, albo tak cię urządzę, że do końca życia będziesz żałował, że się urodziłeś! Gdzie jest Jabłko?

– Błagam, zostawcie mnie! Nie wiem! Nie wiem nawet, o czym mówicie!

Dowódca nachylił się ku niemu.

– Przyznaj się! Nazywasz się Savonarola!

– Tak! Przecież już wam mówiłem!

– No to powiedz jeszcze, gdzie jest to cholerne Jabłko i tve cierpienie się

skończy – powiedział dowódca i kopnął mnicha z całej siły w krocze; ten zawył z bólu. – Nie żeby to miało zrobić ci jakąś różnicę w twojej misjonarskiej pozycji! – zadrwił.

Ezio patrzył na to wszystko głęboko zaniepokojony. Jeśli ten mnich to rzeczywiście Savonarola, żołnierze Borgii zabiją go zanim on sam zdąży wydobyć z niego prawdę.

– Czemu łiesz? – szydził dalej dowódca. – Mój pan nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że zmusiłeś mnie do zamęczenia cię na śmierć. Chcesz wpędzić mnie w kłopoty?

– Nie mam żadnego jabłka! – załkał mnich. – Jestem najzwyczajszym bratem zakonnym. Proszę, zostawcie mnie!

– Ależ oczywiście.

– Ja nic nie wiem! – zajęczał żałośnie.

– Jeśli chcesz, bym przestał – warknął żołnierz, kopiąc go znów w to samo miejsce – to powiedz mi prawdę, bracie Girolamo Savonarola!

Mnich zagryzł z bólu usta, ale z uporem powtórzył:

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem!

Dowódca kopnął go ponownie, a jego ludzie chwycili mnicha za kostki i przeciągnęli go bezlitośnie po wybrukowanej nawierzchni; jego głowa odbijała się boleśnie od twardych kamieni. Mnich krzyczał i wił się – na próżno.

– I co, wystarczy, *abominato*? – dowódca znów zbliżył do niego swoją twarz. – Czyżbyś tak bardzo chciał stanąć przed twoim Stwórcą, że wciąż nas okłamujesz? Tak bardzo chcesz Go zobaczyć?

– Jestem zwykłym mnichem – szlochał karmelita; jego szaty rzeczywiście były złudnie podobne do stroju dominikanów, i to zarówno z kroju, jak i z koloru. – Nie mam żadnego owocu! Proszę...

Żołnierz znowu go kopnął, znowu w to samo miejsce. I jeszcze raz. Ciało mnicha zwinęło się w niewyobrażalnym cierpieniu.

Ezio miał już tego dość. Zeskoczył z dachu niczym widmo zemsty, tnąc

w ślepej furii swoim ostrzem z trucizną. Po minucie zapamiętałej rzezi ludzie Borgii, wszyscy co do jednego, leżeli na bruku dziedzińca albo martwi, albo jęcząc w agonii.

Mnich, szlochając, objął Ezia za kolana.

– *Grazie, grazie, Salvatore...*

Ezio pogładził go po głowie.

– *Calma, calma.* Już dobrze, mój bracie...

Spojrzał na palce u rąk mnicha.

Wszystkie dziesięć było na swoim miejscu.

– Masz dziesięć palców – mruknął Ezio, rozczarowany wbrew sobie samemu.

– Tak! – krzyknął mnich. – Mam dziesięć palców. I nie mam żadnych jabłek, oprócz tych, które przychodzą do klasztoru z targu co czwartek! – powstał, otrzepał się i poprawił ubranie, po czym zaklął: – Na litość boską! Czy cały świat oszalał?!

– Kim jesteś? Dlaczego wzięli właśnie ciebie? – zapytał go Ezio.

– Bo dowiedzieli się, że moje nazwisko to Savonarola! Miałem zdradzić kuzyna tym zbirom?

– Wiesz, co zrobił twój kuzyn?

– Nie mam pojęcia! Jest mnichem, tak jak ja. Wybrał surowszy zakon dominikanów, to prawda, ale...

– Stracił palec?

– Tak, ale jak ktoś mógłby... – w oczach mnichach zabłyśło jakieś światło.

– Kim jest Girolamo Savonarola? – nie ustępował Ezio.

– To mój kuzyn, oddany sługa Boży. A kim, jeśli mogę spytać, jesteś ty? Dziękuję ci uniesienie za ratunek... Czy jest coś, czym mógłbym ci za niego odpłacić?

– Jestem... bezimienny – powiedział Ezio. – Ale wyświadczyć mi przysługę i zdradzić mi swoje.

– Brat Marcello Savonarola – powiedział usłużnie mnich.

Przez głowę Ezia przebiegały różne myśli.

– Gdzie jest twój kuzyn Girolamo?

Brat Marcello zamyślił się i widać było, że bije się z własnym sumieniem.

– To prawda, że mój kuzyn... ma osobliwą wizję tego, jak służyć Bogu...

Rozpowszechnia swoją własną doktrynę... Teraz możesz znaleźć go w Wenecji.

– A cóż on tam robi?

Marcello w końcu zaczął mówić bez ogródek:

– Wydaje mi się, że wszedł na niewłaściwą ścieżkę. Jego kazania straszą ogniem piekielnym. Twierdzi, że widzi przyszłość – Marcello spojrzał na Ezia nabiegłymi krwią, pełnymi agonii oczyma. – Jeśli naprawdę chcesz znać moje zdanie, to według mnie oszalał!

25

Ezio czuł, że stracił zbyt wiele czasu na – jak się wydawało – bezowocne poszukiwania. Ściganie Savonaroli zaczynało przypominać pościg za błędnym ognikiem, za jakąś mrzonką, za własnym ogonem. Nie mógł jednak się poddać – dziewięciopalczasty sługa Boży wciąż był w posiadaniu Jabłka – klucza do rzeczy większych, niż mógł sobie nawet wyobrazić. Poza tym Savonarola najwyraźniej stał się niebezpiecznym religijnym fanatykiem, co czyniło z niego niekontrolowaną broń, groźniejszą nawet od samego Mistrza, Rodriga Borgii.

Gdy zszedł z pokładu raweńskiej galery w porcie w Wenecji, powitała go Teodora.

Wenecja roku Pańskiego 1492 wciąż znajdowała się pod względnie uczciwymi rządami doży Agostina Barbariga. W mieście aż huczało od rozmów o genueńskim żeglarzu, Christoffie Corombo, którego szalony plan popłynięcia na zachód przez ocean nie spotkał się z przychylnością Wenecji, i o tym, jak po uzyskaniu funduszy od Hiszpanii, miał właśnie wyruszyć. Czyżby Wenecja straciła rozum odmawiając finansowania takiej ekspedycji? Jeśli wyprawa Coromba rzeczywiście miałaby się powieść, miasto mogłoby zyskać bezpieczny szlak morski do Indii, który zastąpiłby dotychczasową drogę lądem, blokowaną obecnie przez Turków osmańskich. Jednak umysł Ezia był teraz zbyt zajęty czym innym, by rozważać problemy przenikania się handlu i polityki.

– Doszły do nas wieści od ciebie – powiedziała Teodora. – Ale czy jesteś tego pewny?

– To jedyny trop, jaki mam, i wydaje się, że jest prawdziwy. Jestem pewny, że Jabłko znowu tu się znalazło, tym razem za sprawą tego mnicha, Savonaroli. Słyszałem, że naucza masy o nadchodzącym piekielnym ogniu

zagłady.

– Też o nim słyszałam.

– Wiesz może, gdzie mógłbym go znaleźć, Teodoro?

– Nie. Ale widziałam jakiegoś kaznodzieję, który przyciąga tłumy w dzielnicy rzemieślniczej, głosząc te bzdury o piekle, o których wspominałeś. Może jest uczniem twojego mnicha? Chodź. Będziesz oczywiście moim gościem, a gdy już się u mnie rozpakujesz, pójdziemy prosto w miejsce, gdzie ów człowiek wygłasza swoje kazania.

Ezio i Teodora, jak wszyscy myślący i rozsądni ludzie, znali powody, które zaczęły wzbudzać w masach tę apokaliptyczną histerię. Nieubłagalnie zbliżał się rok 1500, połowa drugiego tysiąclecia, i wielu wierzyło, że właśnie wtedy nastąpi powtórne przyjście Mesjasza: „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie”.

Opis Sądu Ostatecznego według św. Mateusza pobrzmiewał w wyobraźni wielu.

– Ów kaznodzieja i jego przełożony naprawdę zbijają niezły kapitał na gorączce końca wieku – powiedziała Teodora. – Z tego co wiem, naprawdę w to wierzą!

– Myślę, że nawet muszą – odrzekł Ezio. – Najgorsze jest to, że z Jabłkiem w swoich rękach mogą sprowadzić na świat kataklizm, za którym nie będzie stał Bóg, lecz Szatan – przerwał i po chwili dokończył: – Jednak dotychczas nie uwolnili mocy, którą posiadają, i dzięki Bogu, bo szczerze wątpię, czy wiedzą, jak sprawować nad nią kontrolę. Na razie przepowiedzieli tylko apokalipsę, a to – tu zaśmiał się gorzko – zawsze najłatwiej ludziom sprzedać.

– A jednak wszystko zmierza ku gorszemu – odparła Teodora. – Naprawdę, niewiele trzeba, by uwierzyć, że apokalipsa rzeczywiście nadciąga. Nie

doszły do ciebie żadne złe wieści?

– Nie słyszałem o niczym od opuszczenia Forlì.

– Lorenzo Medici zmarł w swojej willi w Careggi.

Ezio posmutniał.

– W istocie, to smutna wiadomość. Lorenzo był prawdziwym przyjacielem mojej rodziny i obawiam się, że bez jego protekcji nigdy nie odzyskam Palazzo Auditore. Lecz to i tak nic w porównaniu z tym, co jego śmierć oznacza dla pokoju utrzymywanego między miastami-państwami. Nawet w najspokojniejszych czasach był bardzo kruchy.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała Teodora. – Jest coś gorszego – jeśli to w ogóle możliwe – od wieści o śmierci Lorenza – przerwała. – Ezio, musisz się na to przygotować. Hiszpan, Rodrigo Borgia, został wybrany na papieża. Sprawuje władzę nad Watykanem i Rzymem jako Aleksander VI!

– Co?! Jakim prawem?!

– Konklawe dopiero co dobiegło końca – w tym miesiącu. Krążą plotki, że Rodrigo po prostu kupił większość głosów. Nawet Ascanio Sforza, który był jego najsilniejszym kontrkandydatem, głosował na niego! Mówi się, że łapówką było kilka mulich zaprzęgów pełnych srebra.

– Co zyskuje jako papież? Co mu to daje?

– Uważasz, że tak ogromne wpływy to za mało? – Teodora spojrzała na niego. – Ezio, jesteśmy teraz w mocy wilka. Być może najbardziej zachłannego spośród wszystkich w historii ludzkości.

– To, co mówisz, to prawda, Teodoro. Lecz potęga, której szuka, jest jeszcze większa niż ta, którą dało mu papieństwo. Skoro przejął władzę nad Watykanem, znalazł się o wiele bliżej uzyskania dostępu do Krypty, poza tym wciąż jest na tropie Jabłka – „Części Edenu” – którego potrzebuje, by spłynęła na niego moc samego Boga!

– Miejmy nadzieję, że Jabłko wróci w ręce asasynów – Rodrigo jest już wystarczająco groźny jako papież i mistrz templariuszy. Jeśli jeszcze do tego zdobędzie Jabłko... – przerwała. – Tak jak mówisz, stanie się wówczas

niezwyciężony.

– To dziwne – rzekł Ezio.

– Cóż takiego?

– Nasz przyjaciel Savonarola nic o tym nie wie, ale ściga go dwóch łowców.

*

Teodora zaprowadziła Ezia na wielki, otwarty plac w rzemieślniczej dzielnicy Wenecji, gdzie kaznodzieja miał w zwyczaju prawić swoje kazania, i zostawiła go tam. Ezio, z kapturem nasuniętym na opuszczoną głowę, wtopił się w tłum, który właśnie zaczął się gromadzić. Nie upłynęło wiele czasu, a plac szczelnie wypełnił się ludźmi, tłoczącymi się przy niewielkiej, drewnianej scenie, na którą wkroczył jakiś ascetycznie wyglądający mężczyzna o zimnych, błękitnych oczach i zapadniętych policzkach, siwy, z sękatymi dłońmi, ubrany w prostą, szarą wełnianą szatę. Zaczął przemawiać, przerywając tylko wtedy, gdy aplauz wzburzonego tłumu nie pozwalał mówić mu dalej. Ezio przekonał się na własne oczy, jak jeden człowiek może doprowadzić tłum do stanu ślepej hysterii.

– Zbierzcie się, dzieci, i usłyszcie mój płacz! Albowiem nadchodzi koniec dni. Czyście gotowi na to, co przyjdzie? Czyście gotowi, by ujrzeć światło, którym pobłogosławi nas brat mój, Savonarola? – uniósł ręce, a Ezio, który doskonale wiedział, o czym mówi kaznodzieja, słuchał uważnie. – Nadciągają mroczne dni – ciągnął kaznodzieja – lecz brat mój wskazał mi ścieżkę wiodącą ku zbawieniu, ku niebiańskiemu światłu, które nas czeka. Wszyscy możemy je ujrzeć, ale tylko wtedy, jeśli będziemy gotowi, jeśli je odpowiednio przyjmujemy. Niech naszym przewodnikiem zostanie Savonarola, gdyż on jeden wie, co nas czeka. Zna drogę i nas poprowadzi – kaznodzieja w zapamiętaniu wychylił się zza pulpitu, za którym stał. – Czyście gotowi na dzień Sądu Ostatecznego, moi bracia i siostry? Za kim pójdziecie, gdy dzień ów nadejdzie? – przerwał na chwilę, by wywołać

pożądany efekt. – W kościołach wielu jest takich, którzy twierdzą, że mogą dać wam zbawienie. Znajdziecie tam wywołujących duchy, sprzedających odpusty i hołdujących przesądom... Lecz ja wam, dzieci, powiadam: nie! Oni wszyscy to poddani papieża Borgii, to słudzy Aleksandra, szóstego z kolei i najmniej godnego tego imienia ze wszystkich!

Tłum wzburzył się i wydał z siebie okrzyk. Ezio wzdrygnął się w myślach. Przypomniał sobie, że podobne obrazy wytworzyło Jabłko w pracowni Leonarda. Były to przepowiednie odległej przyszłości – czasów, kiedy rzeczywiście na ziemi rozpęta się prawdziwe piekło. Chyba że on zdoła temu zapobiec.

– Nasz nowy papież Aleksander nie jest człowiekiem ducha – nie troszczy się o duszę. Ludzie tacy jak on kupują wasze modlitwy i odsprzedają wasze beneficja dla własnych zysków! Wszyscy księża w naszych kościołach kupczą, kupczą naszym duchem! Tylko jeden spośród nas to prawdziwy człowiek ducha, tylko jeden spośród nas ujrzał przyszłość i rozmawiał z naszym Panem! To mój brat, Savonarola! To on nas poprowadzi!

Ezio zastanowił się: czy ów szalony mnich otworzył Jabłko, tak jak on sam zrobił to kiedyś? Czy wywołał te same wizje? O co chodziło Leonardowi, kiedy mówił o Jabłku, że „jest niebezpieczne dla słabszych umysłów”?

– Savonarola poprowadzi nas ku światłości – kończył kaznodzieja. – Savonarola powie nam, co nas czeka! Savonarola zaprowadzi nas pod same bramy niebios! Nie chcemy nowego świata takiego, jakim zobaczył go Savonarola! Brat Savonarola wędruje do Boga ścieżką, której właśnie szukamy!

Znów uniósł ręce, a tłum wrzeszczał i wiwatował.

Ezio zdawał sobie sprawę, że jedyny sposób, by dotrzeć do mnicha, to wykorzystać jego akolitę. Musiał jednak zrobić to tak, by nie wzbudzić podejrzeń we wzburzonym i oddanym głoszonej idei tłumie. Zaczął ostrożnie przesuwając się do przodu, wczuwając się w rolę skromnego człowieka, pragnącego porozmawiać z ludźmi, do których przemawiał kaznodzieja.

Nie było łatwo. Był brutalnie trącany i przepychany przez osoby, które zobaczyły w nim nieznanego, nowo przybyłego, kogoś, do kogo należy odnosić się z rezerwą. Lecz on uśmiechał się i kłaniał, a nawet, doprowadzony do ostateczności, rozrzucił monety, mówiąc:

– Chciałbym przysłużyć się sprawie Savonaroli i tym wszystkim, którzy popierają go i wierzą w niego.

Pieniądze, jak można się było tego spodziewać, zrobiły swoje. „Oto najskuteczniejsza metoda nawracania” – pomyślał.

W końcu kaznodzieja, który od pewnego czasu z niejakim rozbawieniem, a może nawet pogardą, obserwował przeciskanie się Ezia przez tłum, nakazał swojej eskorcie usunąć się na boki, a sam skinął na niego głową, wskazując drogę w ustronne miejsce – na mały plac w pobliżu, gdzie mogli porozmawiać w cztery oczy. Ezio poczuł zadowolenie, kiedy okazało się, że kaznodzieja najwyraźniej dostrzegł w nim cennego i bogatego sprzymierzeńca.

– Gdzie jest Savonarola? – zapytał go Ezio.

– On jest wszędzie, bracie – odpowiedział kaznodzieja. – On jest tu z nami, a my jesteśmy razem z nim.

– Posłuchaj, przyjacielu – powiedział niecierpliwym tonem Ezio. – Poszukuję człowieka, a nie mitu. Powiedz mi, proszę, gdzie jest.

Kaznodzieja spojrzał na niego nieufnie, a Ezio dostrzegł w jego oczach wyraźny obłąd.

– Już ci powiedziałem, gdzie jest. Zobacz – Savonarola kocha cię takim, jakim jesteś. Pokaże ci światłość. Pokaże ci przyszłość!

– Muszę porozmawiać z nim osobiście. Muszę na własne oczy zobaczyć tego wielkiego przywódcę. Mam wiele bogactw, którymi chciałbym wesprzeć jego wielką krucjatę...

Te ostatnie słowa wyraźnie poruszyły kaznodzieję.

– Rozumiem – odrzekł. – Bądź cierpliwy. Nie nadszedł jeszcze czas. Powinieneś najpierw złączyć się z nami w naszym pielgrzymowaniu, bracie.

Więc Ezio był cierpliwy. Był cierpliwy przez długi czas. Aż nadszedł dzień, w którym otrzymał od kaznodziei wezwanie do stawienia się w porcie o zmierzchu. Udał się tam sporo wcześniej i czekał, niecierpliwie i w zdenerwowaniu. W pewnej chwili w wieczornej mgle zobaczył zbliżającą się ku niemu ciemną sylwetkę.

– Nie byłem pewny, czy przyjdiesz – powitał kaznodzieję.

Ten wyglądał na zadowolonego.

– Żarliwa jest twoja chęć dotarcia do prawdy, bracie – powiedział. – I wytrzymała próbę czasu. Teraz jesteśmy już gotowi, a nasz wielki przywódca objął władzę, do której został powołany. Chodź!

Ruszył przodem i poprowadził Ezia w kierunku nabrzeża, gdzie czekała wielka galera, a przed nią tłum wiernych. Kaznodzieja zwrócił się do nich:

– Moje dzieci! Nadszedł nareszcie czas, by ruszyć w drogę. Nasz brat i nasz duchowy przywódca, Girolamo Savonarola, czeka na nas w mieście, które w końcu uczynił swoim!

– Tak, uczynił swoim! Ten skurwiel podporządkował sobie moje miasto i mój dom, doprowadzając je na skraj obłędu!

Ezio i ludzie z tłumu odwrócili się, by zobaczyć osobę, która wypowiedziała te słowa – długowłosego, młodego mężczyznę w czarnej czapce, o pełnych ustach i łagodnych rysach twarzy, teraz wykrzywionej w gniewie.

– Właśnie stamtąd uciekłem! – ciągnął. – Z mojego księstwa! A wszystko przez tego dupka, króla Karola, którego mieszanie się w nie swoje sprawy doprowadziło do tego, że zastąpił mnie ten psubrat, Savonarola!

Nastroje w tłumie momentalnie się popsuky. Ludzie najchętniej schwytałiby młodzieńca i wrzucili do wód laguny, gdyby nie powstrzymał ich kaznodzieja.

– Pozwólcie mu mówić – nakazał, a zwracając się do nieznanego, zapytał: – Dlaczego tak źle mówisz o Savonaroli, bracie?

– Dlaczego? Dlaczego?! Za to, co zrobił Florencji! Rządzi nią! Signoria

jest albo za nim, albo bezsilna przeciw niemu. Podburza lud i nawet ci, którzy powinni mieć trochę więcej oleju w głowie, tak jak na przykład maestro Botticelli, słuchają go jak niewolnicy. Palą księgi, dzieła sztuki... Wszystko, co ten szaleniec uzna za niemoralne!

– Savonarola jest we Florencji? – zapytał go Ezio. – Jesteś pewny?

– A niby gdzie miałby być? Gdyby tylko znalazł się na Księżycu albo w piekielnej otchłani... Ledwo uszedłem stamtąd z życiem!

– Kimże jesteś, bracie? – zapytał kaznodzieja, nie kryjąc zniecierpliwienia. Młodzieniec wyprostował się.

– Nazywam się Piero Medici. Jestem synem Lorenza, *Il Magnifico*, i prawowitym władcą Florencji.

Ezio uścisnął mu dłoń.

– Co za spotkanie, Piero! Byłem oddanym przyjacielem twojego ojca.

Pietro spojrzał na niego.

– Dziękuję ci za to, kimkolwiek jesteś. Jeśli zaś chodzi o ojca, miał szczęście, że umarł nim całe to szaleństwo, niczym wielka fala, wdarło się do naszego miasta – przerwał, zwrócił się do tłumu i nie bacząc na konsekwencje, powiedział: – Nie udzielajcie poparcia temu przekłętemu zakonnikowi! Jest wyjątkowo groźnym głupcem z ego wielkości Duomo! Powinno się go usunąć tak, jak robi się to ze wściekłym psem, bo nim właśnie jest!

Teraz w tłumie już wrzało – rozległ się nad nim dziki ryk. Kaznodzieja zwrócił się do Piera:

– Heretyku! Siewco szatańskich myśli! – a potem krzyknął do zgromadzonych: – Oto jest człowiek, którego trzeba się pozbyć! Trzeba go uciszyć! Musi spłonąć!

Piero i Ezio, który stanął u jego boku, dobyli swoich mieczy i patrzyli na zagrażający im tłum.

– Kim jesteś? – zapytał Piero.

– Auditore. Ezio.

– Ach! *Sono grato del tuo aiuto*. Ojciec często o tobie wspominał – spojrział na przeciwników. – Uda nam się wyjść z tego cało?

– Mam nadzieję. Choć muszę powiedzieć, że nie wykazałeś się zbytnim taktem.

– Skąd mogłem wiedzieć?

– Właśnie zniweczyłeś moje długotrwałe wysiłki i przygotowania, ale nieważne. Teraz zajmij się swoim mieczem!

Walka była zaciekle, choć krótka. Mężczyźni pozwolili, by napierający tłum wepchnął ich do opuszczonego magazynu i dopiero tu zaczęli stawiać mu rzeczywisty opór. Na szczęście wśród wyznawców Savonaroli nie było zaprawionych w boju wojowników i gdy najśmielszy z nich wziął nogi za pas, by opatrzeć zadane przez Ezia i Piera głębokie rany i cięcia, reszta wycofała się, a potem uciekła. Tylko kaznodzieja, ponury i blady, stał twardo na swoim miejscu.

– Oszuście! – rzekł do Ezia. – Powinieneś na wieki zamarznąć w lodach czwartej strefy dziewiątego kręgu piekieł! I to ja będę tym, który cię tam wyśle.

Spod swoich szat wyciągnął ostry jak brzytwa baselard i trzymając go nad głową, ruszył na Ezia, gotów by zadać mu cios. Ezio, robiąc unik, potknął się i upadł, stając się łatwym łupem dla kaznodziei, lecz w tej samej niemal chwili Piero podciął mu nogi. Ezio szybko powstał, wy dobył sztylet z podwójnym ostrzem i zanurzył go głęboko w brzuchu napastnika. Przez ciało kaznodziei przeszła fala drgawek; złapał ostatni haust powietrza i upadł na ziemię. Wił się na niej w spazmach i drapał ją, aż w końcu zastygł w bezruchu.

– Mam nadzieję, że to wynagrodzi ci moją wcześniejszą niezręczność – powiedział Piero, uśmiechając się smutno. – Chodźmy teraz do Pałacu Dożów i powiedzmy Agostino, by przysłał tu straż. Trzeba zadbać o to, by ta banda obłąkańców rozeszła się do swoich nor.

– *Grazie* – odrzekł Ezio – lecz ja wybieram się gdzie indziej. Ruszam do

Florencji.

Piero spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Co? Chcesz wstąpić do tego przedsionka piekła?

– Mam swoje własne powody, by odnaleźć Savonarolę. Poza tym może jeszcze nie jest za późno, by naprawić szkody, jakie wyrządził naszemu rodzinnemu miastu.

– W takim razie powodzenia – powiedział Piero. – Niezależnie od tego, co to dla ciebie oznacza.

26

Brat Girolamo Savonarola przejął rzeczywiste rządy we Florencji w roku 1494, mając 42 lata. Był udręczonym myślami człowiekiem, wynaturzonym geniuszem i najgorszym spośród religijnych fanatyków. Jednak najbardziej przerażające w nim było to, że ludzie nie tylko pozwolili mu zostać swoim przywódcą, lecz podżegani przez niego dopuszczali się najbardziej niedorzecznych i destrukcyjnych aktów głupoty. Siła Savonaroli polegała na zastraszaniu ogniem piekielnym i na doktrynie, zgodnie z którą wszelkie przyjemności, wszelkie dobra na świecie i wszelkie owoce pracy człowieka były nikczemnością, a prawdziwe światło wiary można było odnaleźć wyłącznie przez życie pełne wyrzeczeń.

Nic zatem dziwnego – rozmyślał Ezio, zastanawiając się nad tym wszystkim, gdy zmierzał konno do swojego miasta – że Leonardo w ogóle nie ruszał się z Mediolanu. Jego przyjaciela od powrotu do miasta odstręczało już pewnie samo to, że za upodobanie do mężczyzn, na które dotychczas przymykano oko lub w najgorszym razie karano je niezbyt wysoką grzywną, ponownie groziła we Florencji kara śmierci. Nie dziwił też fakt, że wspaniała materialistyczna i humanistyczna szkoła myślicieli i poetów, którzy skupili się wokół inspirującego i oświeconego ducha Lorenza, ostatecznie się rozpadła, a jej przedstawiciele zaczęli poszukiwać bardziej urodzajnego gruntu niż intelektualna pustynia, w którą w zastraszającym tempie zmieniała się Florencja.

Gdy Ezio zaczął zbliżać się do miasta, zobaczył, że w tym samym kierunku podążają liczne grupy odzianych w czerń mnichów i skromnie ubranych świeckich. Wszyscy wyglądali nad wyraz poważnie i sprawiali wrażenie przekonanych o słuszności tego, co robią. Szli, bez wyjątku, z pochylonymi głowami.

– Dokąd zdążacie? – zagadnął Ezio jednego z wędrowców.

– Do Florencji. Chcemy usłyszeć nauki naszego wielkiego przywódcy – odpowiedział jakiś kupiec o ziemistej cerze, po czym znów ruszył w drogę.

Oprócz pielgrzymów Ezio spostrzegł wielu ludzi idących w przeciwnym kierunku, najwyraźniej opuszczających miasto. Również i oni szli ze spuszczoneymi głowami, a na ich twarzach malował się smutek i przygnębienie. Z zasłyszanych strzępków rozmów Ezio wywnioskował, że ludzie ci uciekają z miasta. Jedni pchali przed sobą wózki załadowane wysoko rzeczami, inni to, co zabrali z dobytku, dźwigali w workach na plecach. Byli to uchodźcy, wypędzeni ze swoich domów edyktem mnicha, albo tacy, którzy opuścili je dobrowolnie, z własnego przekonania, uznając, że nie zniosą już dłużej życia pod jego rządami.

– Gdyby tylko Piero miał choć dziesiątą część talentu swego ojca, nie musielibyśmy szukać nowego domu... – powiedział jakiś mężczyzna.

– Nie powinniśmy byli nigdy pozwalać temu szaleńcowi na umocnienie się w naszym mieście – wymamrotał inny. – Tylko spójrzcie, ile zła wyrządził dookoła...

– A ja nie potrafię pojąć, dlaczego tak wielu z nas tak chętnie godzi się na jego ucisk – rzekła idąca wraz z nimi kobieta.

– Tak czy inaczej, teraz wszędzie będzie nam lepiej niż we Florencji – dodała jej towarzyszka. – Nas wyrzucono z miasta po tym, jak odmówiliśmy przekazania wszystkiego, co mamy, na rzecz jego ukochanego konwentu San Marco.

– To czarnoksiężstwo – oto jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Nawet mistrz Botticelli znalazł się pod wpływem czarów Savonaroli... Botticelli jest już stary, wkrótce stuknie mu pięćdziesiątka, może chce w ten sposób ułożyć się z niebem?

– Palenie ksiąg, aresztowania i bez końca te cholerne kazania! I tylko pomyśleć, jakim miastem była Florencja jeszcze dwa lata temu... Światłem przewodnim w mrokach ignorancji! A teraz... Teraz cofamy się do

średniowiecza!

Potem jedna z kobiet powiedziała coś, na co Ezio bacznie nastawił uszu.

– Czasami chciałabym, żeby do Florencji wrócił ten młody asasyn i uwolnił nas od tej tyranii...

– Możesz sobie marzyć – odparła jej towarzyszka. – Asasyn to mit. Bajka, którą rodzice straszą swoje niegrzeczne dzieci.

– Nieprawda! Mój ojciec widział go kiedyś w San Gimignano – westchnęła kobieta. – Tyle że było to lata temu.

– Tak, jasne... *se lo tu dici*.

Ezio minął rozmawiających z ciężkim sercem. Nastrój poprawił mu się dopiero wtedy, gdy ujrzał znajomą sylwetkę zmierzającą ku niemu drogą.

– *Salute*, Ezio – powiedział Machiavelli; jego na wpół poważna, na wpół figlarna twarz nieco się postarzała, ale odcisnięte na niej piętno czasu czyniło ją jeszcze bardziej intrygującą.

– *Salute*, Niccolò.

– Wybrałeś sobie doprawdy wspaniały czas na powrót do domu.

– Znasz mnie. Tam, gdzie pojawia się choroba, zjawiam się i ja, by z niej uleczyć.

– Na pewno moglibyśmy teraz skorzystać z twojej pomocy – westchnął Machiavelli. – Bez wątpienia Savonarola nie doszedłby do swojej obecnej pozycji nie posiadając tego potężnego artefaktu – Jabłka... – podniósł rękę. – Tak, wiem, co stało się od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Caterina dwa lata temu wysłała z Forlì posłańca, poza tym ostatnio otrzymałem list od Piera z Wenecji.

– Jestem tu właśnie po to, by odzyskać Jabłko. Zdecydowanie zbyt długo pozostaje w niewłaściwych rękach.

– Myślę, że w pewnym sensie powinniśmy być wdzięczni naszemu upiornemu Girolamo – zauważył Machiavelli. – Przynajmniej trzymał je z dala od nowego papieża.

– A on? Nie próbował go przejąć?

– Wciąż próbuje. Krążą plotki, że Aleksander ma zamiar ekskomunikować drogiego naszym sercom dominikanina. Nie żeby coś to znacząco zmieniało...

– Musimy niezwłocznie przejąć Jabłko – powiedział Ezio.

– Oczywiście... Choć będzie to o wiele trudniejsze, niż ci się wydaje.

– Kiedy tak nie było? – zapytał Ezio i spojrzał na niego wymownie. – Może mógłbyś mi naświetlić sytuację?

– Chodźmy do miasta. Powiem ci wszystko, co wiem, choć nie ma tego zbyt wiele. W wielkim skrócie: królowi Francji, Karolowi VIII, w końcu udało się podporządkować sobie Florencję. Piero uciekł. Karol, jak zawsze żądny nowych ziem – dlaczego zwał go „Życzliwym”, zupełnie nie pojmując – pomaszerował na Neapol, a Savonarola, do tej pory społeczny wyrzutek, nagle dostrzegł nadarzącą się okazję i wypełnił pustkę na szczytach władzy. Zachowuje się jak każdy dyktator – nie ma do siebie dystansu, jest przekonany o absolutnej słuszności tego, co robi, i przepełniony niezachwianym poczuciem swojego ogromnego znaczenia. To najbardziej efektywny i najzłośliwszy przykład księcia, jaki można sobie tylko wyobrazić – przerwał, zamyślając się na krótką chwilę. – Kiedyś napiszę o tym traktat.

– A Jabłko pomogło mu w realizacji jego celów?

Machiavelli rozłożył ręce.

– Częściowo. Wściekłość we mnie wzbiera, bo muszę przyznać, że większość tego, co osiągnął, zawdzięcza własnej charyzmie. Tyle że to nie miasto było nim oczarowane, a jego przywódcy, ludzie ogarnięci żądzą wpływów i władzy. Oczywiście, na początku przeciwstawiała mu się część Signiorii, lecz teraz... – Machiavelli wyglądał na strapionego – ...teraz ma wszystkich w kieszeni. Człowiek, którego kiedyś wszyscy piętnowali, stał się obecnie kimś, kogo wręcz czczą. A końca nie widać, jak pewnie zdążyłeś już zauważyć. Florency radni uciskają obywateli i dokładają wszelkich starań, by działa się wola mnicha.

– Ale co na to wszystko zwykli, praworządni mieszczanie? Czy naprawdę zachowują się tak, jakby nie mieli nic do powiedzenia?

Machiavelli uśmiechnął się smutno.

– Znasz odpowiedź na to pytanie, Ezio, tak dobrze, jak i ja. Bardzo rzadko komukolwiek chce się występować przeciwko *status quo*. I to na nas spada obowiązek otworzenia im oczu.

Asasyni dotarli właśnie do bram miasta. Uzbrojeni strażnicy, jak wszystkie służby porządkowe na świecie, które służą państwu nie oglądając się na jego moralność, przejrzeni dokładnie papiery Ezia i Machiavellego i ruchem ręki nakazali im przejść. Ezio chwilę wcześniej dostrzegł inny oddział strażników, którzy układali jedno na drugim kilka ciał w uniformach z herbem Borgii. Pokazał to Niccolò.

– A, tak – powiedział Machiavelli. – Tak jak mówiłem, nasz przyjaciel Rodrigo – nigdy nie przywyknę do mówienia o nim „Aleksander” – nie rezygnuje. Przysyła do Florencji swoich żołnierzy, a Florencja odsyła ich do niego, zazwyczaj w kawałkach.

– Więc wie, że Jabłko jest tutaj?

– Oczywiście, że wie! I muszę przyznać, że jest to szalenie niewygodne.

– A gdzie znajduje się Savonarola?

– Rządzi miastem zza murów konwentu San Marco. Prawie nigdy ich nie opuszcza. Bogu dzięki, że Fra Angelico nie dożył dnia, w którym mógłby zobaczyć, jak wprowadza się tam brat Girolamo.

Zsiedli z koni, zaprowadzili je do stajni i Machiavelli zabrał Ezia do kwatery, którą mu wcześniej załatwił. Dom rozkoszy Paoli był zamknięty, podobnie jak wszystkie inne domy publiczne w mieście. Uciechy cielesne, hazard, taniec i zabawy uliczne plasowały się na samym szczycie listy zakazów Savonaroli. Za to zabijanie w słusznej sprawie i ucisk nie były w jego oczach niczym zdrożnym.

Gdy Ezio ulokował się już w swojej kwaterze, Machiavelli poprowadził go w kierunku rozległego sakralnego kompleksu San Marco. Po dotarciu na

miejsce, Ezio wnikliwie zmierzył budowlę wzrokiem.

– Bezpośredni atak na Savonarolę byłby ryzykowny – ocenił. – W szczególności że jest w posiadaniu Jabłka.

– Zgoda – powiedział Machiavelli. – Ale jakie są inne możliwości?

– Czy uważasz, że poza wysoko postawionymi, którzy bez wątpienia dbają wyłącznie o własne interesy, reszta mieszkańców Florencji postępuje zgodnie ze swoimi przekonaniem?

– Tylko optymista byłby skłonny założyć się o coś podobnego – odparł Machiavelli.

– Chodzi mi o to, czy ludzie idą za mnichem z własnego wyboru, czy raczej przymuszani siłą i strachem?

– Nikomu, może poza dominikaninem albo jakimś politykiem, nie przyszłoby do głowy polemizować z tą tezą.

– W takim razie obróćmy to na swoją korzyść. Jeśli będziemy mogli zamknąć usta ludziom Savonaroli i podburzyć lud, by zaczął manifestować swoje niezadowolenie, mnich straci na chwilę grunt pod nogami, a my wykorzystamy ten moment do ataku.

Machiavelli uśmiechnął się.

– Sprytne. Powinien istnieć jakiś osobny przymiotnik, który określałby takich jak ty. Porozmawiam z Lisem i Paolą – tak, wciąż tu są, choć musieli zejść do podziemia. Pomogą nam w zorganizowaniu powstania.

– W takim razie postanowione.

Ezio wyglądał jednak na zmartwionego, co nie uszło uwadze Machiavellego. Zabrał go do ustronnych krużganków pobliskiego, niewielkiego kościoła i posadził na kamiennej ławie.

– O co chodzi, przyjacielu? Coś cię gnębi? – zapytał.

– Są takie dwie rzeczy, ale osobiste.

– Powiedz mi.

– Mój stary, rodowy pałac – co się z nim stało? Nie mam odwagi, by pójść i go zobaczyć.

Przez twarz Machiavellego przebiegł cień.

– Ezio, musisz być silny. Twój pałac wciąż stoi, ale Lorenzo mógł opiekować się nim tylko tak długo, jak długo był przy władzy, czyli praktycznie do swoich ostatnich dni. Piero usiłował kontynuować dzieło ojca, ale po tym, jak Francuzi wykopali go z Florencji, Palazzo Auditore został zarekwirowany i przekształcony w kwatery dla szwajcarskich najemników Karola. Gdy wraz z nim udali się na południe, ludzie Savonaroli ograbili go ze wszystkiego, co w nim jeszcze zostało, po czym go zamknęto. Nie martw się. Przyjdzie dzień, kiedy go odzyskasz.

– A Annetta?

– Dzięki Bogu udało się jej zbiec i dotrzeć do twojej matki w Monteriggioni.

– Przynajmniej tyle.

Zaległa cisza.

– A ta druga rzecz? – zapytał po chwili Machiavelli.

– Cristina... – wyszeptał Ezio.

– Żądasz, bym mówił ci o trudnych sprawach, *amico mio* – zmarszczył brwi Machiavelli. – Musisz jednak znać prawdę – przerwał, po czym rzekł: – Nie żyje. Manfredo nie chciał opuścić Florencji, w przeciwieństwie do wielu swoich przyjaciół, którzy pierzchli stąd po tym, jak miasto stało się ofiarą dwóch plag – Francuzów i Savonaroli. Był przekonany, że Piero zorganizuje kontrofensywę i odbije Florencję. Nadeszła jednak przerażająca noc, krótko po tym, jak mnich doszedł do władzy; wszystkim, którzy nie zgodzili się na dobrowolne spalenie swojego dobytku na „stosach próżności”, wymyślonych przez mnicha, by puścić z dymem wszelkie zbytki i rzeczy „z tego świata”, splądrowano i spalono domy.

Ezio słuchał tego wszystkiego usiłując zachować spokój, choć serce podeszło mu do gardła.

– Fanatycy Savonaroli – ciągnął Machiavelli – wdarli się do Palazzo d'Arzenta. Manfredo usiłował się bronić, ale przewaga atakujących nad jego

ludźmi była znaczna... Cristina nie chciała go opuszczać... – Machiavelli przerwał na dłuższą chwilę – ...więc zabili również i ją – dokończył łamiącym się głosem.

Ezio wpatrywał się w pobieloną ścianę przed sobą. Każdy jej najmniejszy szczegół, każde najdrobniejsze pęknięcie, nawet wędrujące po niej mrówki – wszystko to wydało mu się nagle przerażająco wyraziste.

27

*Jakże płonne są nasze wszelakie nadzieje,
Jakże kruche są plany, którymi żyjemy,
Jak niezmiennie niewiedza króluje przez dzieje,
Od śmierci, pani naszej, się tego dowiemy.
Są tacy, którzy w śpiewie i tańcu czas pędzą,
Są i ci, którzy sztuką talenty swe głoszą,
Inni wzgardy i świata, i ludziom nie szcędzą,
Jeszcze inni uczucia w głębi serc swych noszą.
Wszelkie myśli, życzenia i troski są próżne,
Nasze ziemskie błędzenie jest przecież poddane
Rozmaitym przejawom działania natury;
Szczęścia zmiennym kaprysom jest życie usługne,
I przemienie, bo kruche, co na Ziemi dane,
Śmierć to jedno co pewne zesłane nam z góry.*

Ezio wypuścił sonety Lorenza z ręki. Śmierć Cristiny jeszcze bardziej zmotywowała go do usunięcia jej przyczyny. Jego rodzinne miasto cierpiało już wystarczająco długo pod rządami Savonaroli, zbyt wielu jego współobywateli, w dodatku pochodzących ze wszystkich możliwych środowisk, uległo wpływowi mnicha, a ci, którzy się z nim nie zgadzali, byli zaszczuwani, zmuszani do życia w podziemiu lub do opuszczenia miasta. Nadszedł zatem najwyższy czas, by przystąpić do działania.

– Miasto opuściło wielu ludzi, którzy mogliby nam pomóc – oznajmił Machiavelli – a Savonaroli nie zdołali obalić nawet jego najzacieklejsi wrogowie spoza Florencji, czyli księżę Mediolanu i nasz stary przyjaciel Rodrigo, obecnie papież Aleksander VI.

– Powiedz mi jeszcze o tych stosach.

– To najbardziej obłąkańcza rzecz. Savonarola i jego najbliżsi

współpracownicy spośród swoich zwolenników powołali grupy, które chodzą od drzwi do drzwi, żądając oddania wszelkich dóbr uważanych za wątpliwe moralnie, nawet pachnideł czy zwierciadeł, nie wspominając już nawet o malowidłach, księgach uznawanych za niemoralne, wszelkiego rodzaju grach, włączając w to szachy. Na Boga! Konfiskują też instrumenty muzyczne! Sam więc widzisz. Jeśli tylko mnich i jego poplecznicy uznają, że coś przeszkadza ci wyznawać ich religię, zabierają to na Piazza della Signoria, wrzucają do wielkiego ogniska i puszczają z dymem.

– Przecież ludzie w mieście muszą już być znużeni takim życiem...

Machiavelli ożywił się.

– To prawda i ich znużenie jest naszym największym sprzymierzeńcem. Wydaje mi się, że Savonarola rzeczywiście wierzy, że dzień Sądu Ostatecznego jest już blisko – problem w tym, iż na razie nic nie zwiastuje jego nadejścia, i nawet ci, którzy na początku wierzyli w niego z wielkim zapalem, zaczynają chwiać się w swojej wierze. Niestety, wielu wpływowych ludzi wciąż udziela mu bezwarunkowego poparcia. Jeśli zaczęlibyśmy od nich...

I tak Ezio rozpoczął swoją szaleńczą misję ścigania i eliminowania stronników Savonaroli; rzeczywiście, znajdowali się wśród nich przedstawiciele rozmaitych środowisk i fachów – był tam wybitny artysta, stary żołnierz, kupiec, kilku księży, lekarz, rolnik, paru arystokratów... Wszyscy fanatycznie wyznawali ideologię wpojoną im przez mnicha. Niektórzy z nich przed samą śmiercią zrozumieli, jak głupie było ich postępowanie, ale inni pozostawali niewzruszeni w swoich przekonaniach aż do samego końca. Ezio, czyniąc swoją przykrą powinność, sam często narażał swoje życie. Wkrótce jednak po mieście rozeszły się plotki – przekazywane w rozmowach w zakazanych wówczas tawernach i w ciemnych zakamarkach uliczek. Asasyn powrócił. Asasyn przybył wybawić Florencję...

Ezia przenikał wielki smutek – widział bowiem jak miasto, w którym

przyszedł na świat i z którym kiedyś wiązał swoją przyszłość, ugina się pod brzemieniem nienawiści i obłędu, jakie ściągnął na nie religijny fanatyzm. Z ciężkim sercem czynił swoją śmiertcionośną powinność, będąc niczym zimny podmuch wiatru, oczyszczający upadłą Florencję z tych, którzy odarli ją z niegdysiejszej chwały. Zabijał, jak zawsze, pełen współczucia dla swoich ofiar – wiedział bowiem, że nie ma innego sposobu, by naprawić grzechy tych, którzy tak daleko odeszli od Boga. Przez cały ten mroczny czas ani na chwilę nie sprzeniewierzył się Credo Asasyna.

Nastroje w mieście drgnęły i zaczęły się stopniowo zmieniać, a Savonarola odczuł, że topnieje jego poparcie – Machiavelli, Lis i Paola działali wspólnie z Eziem, usiłując wywołać wybuch powstania; powstania, którego siłą napędową miał być powolny, lecz zarazem trudny do zatrzymania proces oświecania ludzkich umysłów.

Ostatnią ofiarą Ezia miał być nawiedzony kaznodzieja, który, gdy Ezio go namierzył, głosił kazanie do tłumu zebranego przed kościołem Santo Spirito.

– Ludu Florencji! Przyjdź do mnie! Zbierz się wokół. Słuchaj uważnie, co mówię! Nadciąga koniec! Czas żałować za grzechy! Czas błagać Boga o przebaczenie! Słuchajcie mnie, jeśli nie potraficie dostrzec sami, co dzieje się wokół, jeśli nie widzicie znaków! Niepokój! Głód! Choroby! Upadek obyczajów! Oto zwiastuny ciemności! Musimy się modlić, inaczej mrok pochłonie nas wszystkich! – przebiegł po twarzach w tłumie swoim płomiennym wejrzeniem. – Widzę, że wątpicie, że myślicie, iż jestem szalony! Lecz czy Rzymianie nie mówili tego samego o Jezusie? Wiedźcie więc, że i ja, podobnie jak wy, miałem wątpliwości i bałem się. Tak było zanim spotkałem Savonarolę. Pokazał mi prawdę! W końcu otworzył mi oczy. Stoję więc tu, przed wami, i mam nadzieję, że dziś to ja otworzę oczy wam! – kaznodzieja zrobił krótką przerwę, by zaczerpnąć powietrza. – Musicie wiedzieć, że stoimy nad przepaścią. Powyżej rozciąga się olśniewające, skąpane w chwale Królestwo Boże. W dole widnieje przerażająca otchłań bez dna. Wy chwiejecie się niepewnie na krawędzi.

Ludzie tacy jak Medici i inni, których onegdaj zwaliście panami, poszukiwali ziemskich dóbr i korzyści. Porzucili swoją wiarę, by zaznać doczesnych przyjemności, i chcieli, byście i wy podążyli tą drogą – zrobił efektowną pauzę, po czym ciągnął: – Nasz napełniony mądrością prorok kiedyś rzekł: „Jedyną dobrą rzeczą, za jaką winniśmy być wdzięczni Platonowi i Arystotelesowi jest to, że przedstawili wiele argumentów, które możemy wykorzystać przeciwko heretykom. Teraz jednak zarówno oni, jak i inni filozofowie smażą się w piekle”. Jeśli droga wam jest wasza nieśmiertelna dusza, zawróćcie z tej bezbożnej drogi i przyjmiecie nauczanie naszego proroka, Savonaroli. Wtedy uświęćcie swoje ciało i duszę, i odkryjecie chwałę Pana! Staniecie się wtedy takimi, jak życzył sobie Stwórca: Jego lojalnymi i posłusznymi sługami.

Lecz tłum, który już się przerzedził, stracił zainteresowanie słowami kaznodziei. Gdy nieliczni, którzy pozostali do końca, zaczęli rozchodzić się do domów, Ezio wystąpił naprzód i zwrócił się do niego słowami:

– Widzę, że jesteś przekonany do tego, co głosisz.

Kaznodzieja roześmiał się.

– Nie każdy z nas potrzebuje perswazji czy nawet przymusu, by dać się przekonać. Ja już uwierzyłem. I wszystko, co rzekłem, jest prawdą!

– Nic nie jest prawdą – odparł Ezio. – To, co teraz zrobię, nie jest łatwe – wysunął ostrze spod nadgarstka i przebił nim kaznodzieję. – *Requiescat in pace* – rzekł na odchodnym.

Oddalając się z miejsca zabójstwa, schował twarz głęboko w kapturze.

Droga, którą kroczył Ezio, była długa i wyczerpująca, ale gdy zaczynała dobiegać kresu, mimowolnym sprzymierzeńcem asasyna okazał się sam Savonarola. Z dnia na dzień słabła finansowa potęga Florencji – mnich nienawidził handlu i robienia pieniędzy – dwóch rzeczy, które uczyniły miasto tak wspaniałym. A Sąd Ostateczny jak nie nadchodził, tak nie nadchodził. Tymczasem pewien liberalny franciszkanin wyzwiał mnicha na próbę ognia. Savonarola odmówił, przez co jego autorytet po raz kolejny

zmałał. Z początkiem maja 1497 roku wielu młodych mieszkańców Florencji przemaszerowało ulicami w proteście, a ich marsz zmienił się w zamieszki. Po tym zdarzeniu zaczęto na nowo otwierać tawerny, ludzie wracali do tańców, śpiewów, hazardu i łajdaczenia się – po prostu znów chcieli cieszyć się życiem. Stopniowo otwierano banki i interesy, a do miasta powracali pierwsi uchodźcy. Nie stało się to wszystko jednego dnia, ale już po roku od zamieszek upadek Savonaroli, który wciąż zawzięcie trzymał się u władzy, wydawał się kwestią nieodległej przyszłości.

– Dobrze się spisałeś, Ezio – powiedziała z uznaniem Paola, gdy wraz z Lisem i Machiavellim stali przed bramą konwentu San Marco, towarzysząc wyczekującemu i niespokojnemu tłumowi ludzi, którzy przybyli z wyswobodzonych spod rządów mnicha dzielnic miasta.

– Dziękuję za uznanie – odrzekł Ezio. – Lecz co stanie się teraz?

– Tylko patrz – polecił Eziowi Machiavelli.

Nad ich głowami z głośnym hukiem otworzyły się drzwi, po czym na balkonie ukazała się odziana w czerń szczupła sylwetka. Mnich spojrzał na zebranych gniewnym wzrokiem.

– Cisza! – rozkazał. – Domagam się ciszy!

Tłum, czując jakiś dziwny respekt, wbrew sobie ucichł.

– Po co się tu zebraliście? – zapytał Savonarola. – Dlaczego zakłóacie mój spokój? Powinniście oczyszczać wasze domostwa!

Lecz tłum zawył w dezaprobachie.

– Niby z czego? – wykrzyknął jakiś mężczyzna. – Przecież wszystko już wzięłeś!

– Do tej pory powstrzymywałem się – odkrzyknął Savonarola. – Lecz teraz zrobicie to, co wam nakazę! Podporządkujecie mi się!

Z szat wy dobył Jabłko i wysoko je uniósł. Ezio spostrzegł, że dłoni, która je trzyma, brakuje jednego palca. Jabłko od razu rozbłysło poświatą, a tłum cofnął się, wydając pomruk zdziwienia. Machiavelli, który zachował zimną krew, bez chwili wahania rzucił w kierunku Savonaroli nóż, który wbił mu

się w przedramię. Mnich zawył z bólu i wściekłości i wypuścił Jabłko prosto w tłum tłoczący się pod balkonem.

– Nie!... – krzyknął w rozpacz.

W jednej chwili zaczął wydawać się kimś małym, kimś, kogo zachowanie jest żenujące i godne pogardy zarazem. Dla tłumu oznaczało to jedno. Ludzie zebrali się w sobie i wyważyli bramę konwentu.

– Szybko, Ezio – ponaglił go Lis. – Odszukaj Jabłko. Musi być gdzieś blisko.

Ezio zobaczył, jak Jabłko toczy się między stopami zebranych. Rzucił się w jego kierunku, nurkując i narażając się na brutalne kopnięcia, ale w końcu znalazło się w jego rękach. Szybko schował je do torby przy pasie. Bramy konwentu San Marco stały już otworem – pewnie część braci wewnątrz murów uznała, że odwaga winna iść w parze z rozważą i chcąc ocalić zarówno kościół, jak i własną skórę, postanowiła nie przeciwstawiać się temu, co nieuniknione; niewykluczone zresztą, że coraz więcej było takich, którzy mieli już dość dokuczliwego despotyzmu Savonaroli. Tłum wdarł się przez bramy do środka po to, by kilka chwil później znów znaleźć się na zewnątrz murów, tym razem z wydzierającym się wniebogłosy i wierzgającym nogami Savonarolą, niesionym na barkach przez kilku krzepkich mężczyzn.

– Zabierzcie go do Palazzo Vecchio! – nakazał Machiavelli. – Niech tam go osądzą!

– Głupcy! Błóżniercy! – krzyczał Savonarola. – Bóg widzi wasze świętokradztwo! Jak śmiecie traktować w ten sposób Jego proroka!

Częściowo zagłuszały go okrzyki wznoszone przez tłum, ale jego wściekłość była tak wielka, jak strach, w dodatku nie mógł dać za wygraną – wiedział bowiem, choć na pewno nie dopuszczał najgorszych myśli, że w tej grze rzuca kości po raz ostatni.

– Heretycy! Za to, co zrobiliście, będziecie się wszyscy smażyć w piekle! Słyszeliście, co powiedziałem? Będziecie się smażyć!

Ezio wraz ze swoimi przyjaciółmi podążał za tłumem, a mnich nie ustawał w wykrzykiwaniu próśb pomieszanych z groźbami:

– Miecz Pański spadnie na Ziemię szybko i niespodziewanie. Uwolnijcie mnie, gdyż tylko ja mogę ustrzec was przed Jego gniewem! Dzieci moje, słuchajcie, co do was mówię, póki jeszcze nie jest za późno! Istnieje tylko jedna droga do prawdziwego zbawienia, a wy chcecie z niej zejść z powodu błahych materialnych żądy! Jeśli mnie nie posłuchacie, cała Florencja pozna gniew Pana – miasto nasze obróci wniwecz, niczym Sodomę i Gomorę, bo ujrzy, jak niegodziwa jest wasza zdrada! *Aiutami, Dio!* Obaliło mnie dziesięć tysięcy

Judaszów!

Ezio szedł wystarczająco blisko, by słyszeć, jak jeden z niosących mnicha florentczyków mówi:

– Och, dość już tych kłamstw! Odkąd jesteś pośród nas, siejesz tylko nienawiść i zadręczasz lud!

– Może i masz Boga w myślach, mnichu – powiedział inny. – Ale na pewno nie w sercu.

Powoli dochodzili do Piazza della Signoria. Coraz więcej ludzi w tłumie podejmowało wznoszone przezeń triumfalne okrzyki.

– Już wystarczająco dużo się nacierpieliśmy! Będziemy znów wolni!

– Już niedługo do naszego miasta z powrotem zawita życie!

– Musimy ukarać zdrajcę! To on jest prawdziwym heretykiem! Wypaczył sens słów Pana, by służyły jego własnym celom! – krzyczała jakaś kobieta.

– W końcu zrzucamy jarzmo jego religijnej tyranii! – wtórowała jej inna. – Savonarola pod sąd!

– Oświeciła nas prawda i nasz strach pierzchł! – dodała trzecia. – Twoje słowa do niczego nas już nie zmuszą, mnichu!

– Twierdziłeś, że jesteś Jego prorokiem, ale twe nauki były mroczne i okrutne. Nazywałeś nas kukielkami Szatana, a może to ty byłeś prawdziwą jego kukielką?

Ezio i jego towarzysze nie musieli robić już nic – widać było, że machina, którą puścili w ruch, sama doprowadzi zadanie do końca. Przywódcy miasta, kierowani chęcią ocalenia własnej skóry i żądzą zachowania władzy, wyszli przed Palazzo Vecchio, by tym samym zmanifestować swoje poparcie. Na placu wzniesiono podest, na którym ustawiono trzy pale, a wokół każdego z nich okazały stos z chrustu i drewna. Savonarolę i jego dwóch najgorliwszych popleczników wciągnięto tymczasem do Palazzo Vecchio na krótki i okrutny dla nich proces. Ponieważ Savonarola sam nie okazywał nikomu litości, również i jemu jej poskąpiono. Osądzeni pojawili się ponownie na placu zakuci w łańcuchy. Wprowadzono ich na podest i przywiązano do pali.

– Panie, Boże mój, zlituj się nade mną! – rozległo się błaganie Savonaroli.
– Wybaw mnie z uścisku Szatana! Otoczony zewsząd przez grzech, wołam do Ciebie o zbawienie!

– Kiedyś to ty chciałeś spalić mnie – szydził z niego jakiś mężczyzna. – Teraz role się odwróciły!

Kaci podłożyli pochodnie pod stosy. Ezio patrzył na to wszystko myśląc o swoich bliskich, którzy rozstali się z życiem tak wiele lat temu dokładnie w tym samym miejscu.

– *Infelix ego...* – modlił się Savonarola donośnym głosem, przepelnionym bólem, jako że stos zaczynał się zajmować. – *Omnium auxilio destitutus...* Złamałem prawa niebios i ziemi. W którą stronę mam się teraz zwrócić? Do kogo się uciekać? Któż ulituje się nade mną? Nie śmiem ku niebu wzroku podnosić, gdyż ciężko zgrzeszyłem przeciw niemu. Na ziemi także ucieczki nie szukam, bo zgorszeniem byłem na niej...

Ezio podszedł ku niemu, stając tak blisko, jak to było możliwe. „Mimo żalu, jaki stał się moim udziałem za sprawą tego człowieka, nikt, nawet on, nie zasługuje, by umierać w takich męczarniach” – pomyślał. Wysunął naładowany pistolet z mechanizmu na prawym przedramieniu. W tej samej chwili zauważył go Savonarola i utkwiał w nim wzrok, pełny przerażenia, ale

i nadziei.

– To ty... – powiedział, podnosząc głos ponad trzaskiem ognia, lecz Ezio poczuł, że wcale nie musi go słyszeć, że porozumiewają się w myślach. – Wiedziałem, że nadejdzie ten dzień. Bracie, okaż mi litość, której zabrakło mi dla ciebie. Pozostawiłem cię na pastwę wilków i psów.

Ezio uniósł rękę.

– Żegnaj, *padre* – powiedział i wystrzelił.

W pandemonium, jakie zapanowało wokół płonących stosów, nikt nie zwrócił uwagi na rozmowę Ezia z Savonarolą, ani na wystrzał z pistoletu, po którym mnich zwiesił głowę.

– Odejdź w pokoju, być mógł byś sądzony przez twego Boga – powiedział cicho Ezio. – *Requiescat in pace*.

Przeniósł wzrok na dwóch współbraci Savonaroli, ale oni już nie żyli; ich wnętrzości skwierczały nieznośnie w ogniu. Przykry zapach spalonego mięsa wyraźnie uspokoił tłum. Wkrótce jedynym odgłosem na placu stał się trzask płomieni, które dokańczyły swojego dzieła.

Ezio odsunął się od stosów. Zobaczył Machiavellego, Paolę i Lisa stojących w niewielkiej odległości od niego i bacznie mu się przyglądających. Machiavelli spojrzał mu porozumiewawczo w oczy i uczynił ręką zachęający gest. Ezio wiedział już, co musi zrobić. Wspiął się na podest z przeciwległego stosom końca. Zwróciły się na niego oczy wszystkich zebranych.

– Obywatele Florencji – powiedział dobitnym głosem. – Dwadzieścia dwa lata temu stałem tu, gdzie stoję dziś, i patrzyłem, jak umierają moi ukochani, zdradzeni przez tych, których miałem za przyjaciół. Moimi myślami zawładnęła zemsta. Pochłonęłaby mnie bez reszty i zawiodła ku zgubie, gdyby nie kilku nieznanym, którzy nauczyli mnie panować nad moimi instynktami. Nigdy nie dawali mi gotowych odpowiedzi, lecz kierowali mną tak, by uczyło mnie własne doświadczenie – Ezio spostrzegł, że do asasynów dołączył wuj Mario, który uśmiechnął się i podniósł dłoń w pozdrowieniu. –

Przyjaciele! – ciągnął. – Nie potrzebujemy nikogo, kto miałby nam mówić, co musimy robić. Nie potrzebujemy Savonaroli, Pazzich czy nawet Medicich. Jesteśmy wolnymi ludźmi i mamy podążać własną drogą – przerwał na chwilę. – Są tacy, którzy tę wolność chcieliby nam odebrać i zbyt wielu z was, zbyt wielu z nas – niestety! – z ochotą by im ją oddało. Ale to do nas należy ostateczny wybór – wybór tego, co uznajemy za prawdę – a doświadczanie konsekwencji tego wyboru czyni nas ludźmi. Nie ma takiej księgi ani takiego nauczyciela, który dałby nam gotowe odpowiedzi, który każdemu z nas wskazałby drogę. A zatem – wybierzcie własną ścieżkę życia! Nie podążajcie za mną ani za nikim innym!

Uśmiechając się w myślach zobaczył, jaki niepokój zaczął malować się na twarzach niektórych członków Signorii. Pewnie ludzkość nigdy się nie zmieni, ale nie zaszkodzi przecież dać co poniektórym małego prztyczka. Zeskoczył z podestu, nasunął na głowę kaptur i opuścił plac ulicą ciągnącą się wzdłuż północnego muru Palazzo Vecchio, którą szedł już dwa razy w tak pamiętnych momentach swojego życia. Po chwili zniknął wszystkim z oczu.

W ten oto sposób rozpoczęła się ostatnia, długa i wyczerpująca misja w życiu Ezia. Wiedział, że po jej wypełnieniu dojdzie do ostatecznego, nieuniknionego starcia. Wspólnie z Machiavellim wezwali swoich towarzyszy z zakonu asasynów z Florencji i Wenecji, by przemierzając wzdłuż i wszerz Półwysep Apeniński, uzbrojeni w kopie Mapy Girolama, szukali pozostałych brakujących kart Wielkiego Kodeksu. Asasyni musieli przeczesać prowincje Piemontu, Trentu, Ligurii, Umbrii, Wenecji Euganejskiej, Friuli, Lombardii, Emilii-Romanii, Marche, Toskanii, Lazio, Abruzji, Molise, Apulii, Kampanii i Brasilicaty. Byli w niebezpiecznej Calabrii, być może zbyt długo zabawili na Capri, musieli przepłynąć przez Morze Tyrreńskie na wyspę porywaczy, Sycylię, oraz zdemoralizowaną, opanowaną przez bandy Sycylię. Nawiedzali królów i księżęta, bili się z napotykanymi templariuszami, ale w końcu zatriumfowali.

Zebrali się z powrotem w Monteriggioni. Poszukiwania zajęły im pięć długich lat; Aleksander VI – Rodrigo Borgia, teraz już stary, choć wciąż silny, nadal pozostawał papieżem. Potęga templariuszy, choć obecnie osłabiona, w dalszym ciągu stanowiła poważne zagrożenie.

Wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

28

Pewnego ranka na początku sierpnia roku 1503, Ezio, czterdziestoczteroletni już mężczyzna ze skrońmi przyprószonymi siwizną, lecz z brodą wciąż ciemnokasztanową, został wezwany przez swojego wuja do Monteriggioni. Byli tam Paola, Machiavelli i Lis, a wkrótce mieli do nich dołączyć Teodora, Antonio i Bartolomeo.

– Nadszedł już czas, Ezio – powiedział uroczyście Mario. – Jesteśmy w posiadaniu Jabłka i wszystkie brakujące karty Kodeksu są zgromadzone w tym oto miejscu. Zakończmy więc to, co ty i mój brat, a twój ojciec, rozpoczęliście tak wiele lat temu... Być może, po naszych wielu staraniach, będziemy mogli wreszcie nadać sens prorocztwu zapisanemu w Kodeksie i na zawsze zniszczyć nieugiętą jak dotąd potęgę templariuszy.

– A zatem, wuju, musimy zacząć od odnalezienia Krypty. Karty Kodeksu, które zebrałeś, powinny nas do niej poprowadzić.

Mario odsunął biblioteczkę, za którą ukazały się wiszące w komplecie karty Kodeksu. Obok, na postumencie, spoczywało Jabłko.

– Oto, jak karty wiążą się ze sobą – powiedział Mario, gdy asasyni przyglądali się skomplikowanemu wzorowi, jaki utworzyły. – Wygląda na to, że przedstawiają mapę świata, lecz świata większego niż ten, który znamy, z kontynentami na wschód i na południe od niego, o których istnieniu nie wiemy. Mimo to jestem przekonany, że istnieją.

– Są i inne detale – dodał Machiavelli. – Tu, po lewej stronie, widać kontury pastorału, co może mieć jakiś związek z papiestwem. Po prawej stronie widnieje bez wątpienia Jabłko. Na środku zaś zaznaczono tuzin kropek, które układają się w jakiś tajemniczy wzór, którego znaczenia jak na razie nie rozumiemy.

Gdy Machiavelli mówił, Jabłko samo z siebie rozświetliło się swoim

blaskiem, który padł na karty Kodeksu i zdawał się je obejmować. Po chwili zjawisko ustąpiło.

– Dlaczego to stało się dokładnie w tej chwili? – zapytał Ezio, żałując, że nie ma z nimi Leonarda, który może mógłby to wyjaśnić albo przynajmniej postawić jakąś hipotezę.

Usiłował sobie przypomnieć, co jego przyjaciel mówił o osobliwych właściwościach tej nadzwyczajnej maszyny, choć tak naprawdę do końca nie był przekonany, czy to faktycznie mechanizm, czy żywa istota... Jakiś instynkt nakazał mu zaufać znakom dawanym przez Jabłko.

– Kolejna tajemnica, którą musimy rozwikłać... – rzekł Lis.

– Czy ta mapa może być prawdziwa? – zapytała Paola. – Te nieodkryte kontynenty...

– Może to zachęta, byśmy je ponownie odkryli... – zasugerował Ezio, ale jego głos był pełny trwogi pomieszanej z podziwem.

– Jak to wszystko jest możliwe? – zapytała Teodora.

– Być może odpowiedź znajduje się w Krypcie – odrzekł Machiavelli.

– No dobrze, ale czy wiemy, gdzie się znajduje? – zapytał jak zwykle praktyczny Antonio.

– Zobaczmy... – zamruczał Ezio, przyglądając się dokładnie kartom Kodeksu. – Jeśli połączymy liniami te kropki... – zrobił to. – Patrzcie, zbiegają się! Przecinają się wszystkie w jednym punkcie – odsunął się. – Nie! Nie może być! Krypta! Wygląda na to, że Krypta znajduje się w Rzymie!

Rozejrzał się po twarzach zebranych; wiedzieli, o czym pomyślał.

– To wyjaśnia, dlaczego Rodrigo tak bardzo pragnął papieżstwa – rzekł Mario. – Już jedenaście lat rządzi Stolicą Apostolską, ale wciąż czegoś mu brakuje, by rozgryźć najbardziej mroczny z jego sekretów. Choć z drugiej strony na pewno wie, że Krypta jest tam, gdzie i on.

– Oczywiście! – powiedział Machiavelli. – W pewnym sensie Rodrigo zasługuje na podziw. Nie tylko udało mu się zlokalizować Kryptę, ale – stając się papieżem – zyskał kontrolę nad Pastorałem.

– Nad Pastorałem? – zdziwiła się Teodora.

Odezwał się Mario:

– Kodeks zawsze wspominał o dwóch „Częściach Edenu” – to znaczy o dwóch kluczach, bo tak je należy rozumieć. Jeden z nich to Jabłko.

– A drugi to papieski Pastorał! – krzyknął Ezio, zdając sobie nagle sprawę z tego, że wszystko układa się w jedną całość.

– Właśnie tak – potwierdził Machiavelli.

– Mój Boże, macie rację! – powiedział Mario i natychmiast posmutniał. – Przez całe lata, dekady, poszukiwaliśmy tych odpowiedzi...

– Ale teraz już je znamy – podsumowała Paola.

– Niestety, znać je może również Hiszpan – wtrącił Antonio. – Tego co prawda nie wiemy, ale może istnieć kopia Kodeksu. I nawet jeśli Rodrigo nie ma wszystkich jego kart, być może wie już wystarczająco dużo, by... – przerwał. – A jeśli tak jest, odnajdzie Kryptę... – ściszył głos. – Przy jej zawartości Jabłko to dziecinna igraszka.

– Dwa klucze – przypomniał mu Mario. – By otworzyć Kryptę potrzebne są dwa klucze.

– Mimo to nie możemy ryzykować – powiedział Ezio zdecydowanym głosem. – Muszę udać się do Rzymu i odszukać tam Kryptę.

Nikt się nie sprzeciwił. Ezio popatrzył po twarzach zebranych.

– A co z wami? – zapytał.

Bartolomeo, który dotąd się nie odzywał, przemówił, nieco mniej bezceremonialnie niż to miał w zwyczaju:

– Ja zrobię to, co potrafię najlepiej – wywołam w Wiecznym Mieście trochę chaosu, trochę zamieszek, a to odciągnie uwagę straży i będziesz mógł bez przeszkód czynić swoją powinność.

– Każdy z nas dołoży wszelkich starań, by nic nie zakłócało twojej misji – potwierdził Machiavelli.

– Rzeknij tylko, kiedy będziesz gotów, *nipote*, a staniemy wszyscy za tobą – dodał Mario. – *Tutti per uno e uno per tutti!*

– *Grazie, amici!* – powiedział Ezio. – Wiem, że zawsze mogę liczyć na waszą pomoc. Pozwólcie mi jednak podźwignąć ciężar tej ostatniej misji samemu. Samotna ryba łatwiej prześlizgnie się przez sieć zastawioną na całą ławicę, a templariusze z pewnością będą mieli się na baczności.

Szybko poczyniono odpowiednie przygotowania i już w połowie miesiąca statek z Eziem i z cennym Jabłkiem na pokładzie zawinął do portu nad Tybrem, nieopodal Zamku Świętego Anioła. Ezio zachował wszelkie środki ostrożności, ale jakiś szatański zbieg okoliczności, a może przenikliwość wszechobecnych szpiegów Rodriga sprawiła, że jego przybycie do Rzymu nie przeszło niezauważone. Już u bram wiodących do portu musiał stawić czoła oddziałowi strażników Borgii. Musiał przedostać się do Passeto di Borgo, wąskiego, ciągnącego się przez pół mili przejścia nad ziemią, łączącego zamek z Watykanem. Świadom tego, że czas działa na jego niekorzyść – wszak Rodrigo musiał wiedzieć o jego przybyciu – Ezio doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem będzie szybki, dobrze obliczony atak. Wskoczył niczym ryś na ciągnięty przez woły wóz wywożący z portu jakieś beczki, wspiął się na najwyższą z nich i wybił na zbliżający się ku niemu wysoki łuk portalu. Strażnicy z otwartymi ustami obserwowali, jak asasyn zeskakuje z łuku, z powiewającą za nim peleryną. Wysunięty podczas skoku sztylet Ezia pozbawił życia dowódcę oddziału, strącając go z konia. Wszystko to trwało tak krótko, że pozostali strażnicy nie zdążyli nawet dobyć swoich mieczy. Ezio, nie oglądając się za siebie, puścił się konno przez Passeto z taką szybkością, że żołnierze Borgii od razu zaniechali pościgu.

Gdy dotarł do celu, okazało się, że brama, przez którą musi przejść, jest zbyt niska i zbyt wąska dla jeźdźca na koniu, zeskoczył więc z siodła i szedł dalej na własnych nogach, uśmiercając wcześniej jednym, wprawnym cięciem swoich sztyletów dwóch pilnujących wejścia strażników. Mimo że posunął się w latach, dzięki coraz intensywniejszym ćwiczeniom był obecnie w szczytowej formie; stał się chlubą swojego zakonu – najlepiej wyszkolonym

z asasynów.

Za bramą jego oczom ukazał się wąski dziedziniec z kolejną bramą na przeciwległym końcu. Wyglądała na niestrzeżoną, ale gdy zbliżył się do dźwigni, która najwyraźniej służyła do jej otwierania, z murów nad nim rozległ się krzyk:

– Łapać intruza!

Obejrzał się za siebie i zobaczył, że brama, przez którą tu wszedł, właśnie zamyka się z hukiem. Uwięziono go!

Rzucił się na dźwignię przy drugiej bramie; łucznicy nad nim składali się do strzału. Udało mu się ją otworzyć i wślizgnąć za nią w ostatniej chwili, gdy strzały wypuszczone przez łuczników odbiły się głucho od bruku za jego plecami.

Teraz był już w Watykanie. Przemieszczając się zwinnie jak kot przez labirynt korytarzy, wtapiał się w ciemność za każdym razem, gdy usłyszał choćby najcichszy odgłos zwiastujący przechodzących strażników, którzy wiedzieli już o jego obecności. Teraz już nie mógł pozwolić sobie na bezpośrednią konfrontację, która mogłaby zatrzymać, a nawet cofnąć go w marszu do celu. W końcu dotarł do ogromnych rozmiarów komnaty. Znalazł się właśnie w Kaplicy Sykstyńskiej. Przedostał się do środka przez okno witrażowe, które było w naprawie, i stanął w wewnętrznym glifie.

Przed oczami Ezia, nad nim i dookoła niego, roztaczało się arcydzieło Baccia Pontelliego, wzniesione dla dawnego wroga asasynów, papieża Syskstusa IV, i ukończone 20 lat temu, teraz rozświetlane wieloma płonącymi świecami, których blask nieudolnie rozpraszał panujący tam mrok. Mimo to Ezio mógł podziwiać na ścianach kaplicy freski Ghirlandaia, Botticellego, Perugina i Rosselliego; jej rozległe sklepienie dopiero miało być pokryte malowidłami.

W dole, papież Aleksander VI w pełnym rynsztunku swoich złotych regaliów odprawiał mszę, czytając teraz z Ewangelii według św. Jana:

„In principio erat Verbum, et Verbum erat apud Deum, et Deus erat

Verbum. Hoc erat in principio apud Deum. Omnia per ipsum facta sunt, et sine ipso factum est nihil quid factum est...”.

„...w Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. Pojawił się człowiek posłany przez Boga – Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz posłanym, aby zaświadczyć o światłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było Słowo, a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego, którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili. A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy...”.

Ezio czuwał w gotowości dopóki msza nie dobiegła końca i zgromadzeni na niej wierni nie zaczęli opuszczać kaplicy. W końcu papież pozostał w towarzystwie swoich kardynałów i księży z asysty. Czy Hiszpan wiedział, że Ezio tam jest? Czy zamierzał doprowadzić do jakiegoś rodzaju konfrontacji? Ezio nie umiał odpowiedzieć sobie na te pytania, widział za to, że oto nadarza się niepowtarzalna okazja, by uwolnić świat od najbardziej zagrażającego mu templariusza. Zebrał siły, wypchnął się z glifu, zeskoczył w dół i wylądował w przysiadzie blisko samego papieża. Natychmiast się wyprostował, zanim jego ofiara i jej asysta zdążyli w jakikolwiek sposób zareagować, i wbił swój sprężynowy sztylet głęboko w otyłe ciało Aleksandra. Papież opadł bezgłośnie na ziemię u jego stóp i leżał w bezruchu.

Ezio stał nad nim i ciężko oddychał.

– Myślałem... Myślałem, że jestem ponad to... Myślałem, że mogę wznieść się ponad nieodpartą chęć zemsty... Ale nie mogę. Jestem tylko

człowiekiem. Zbyt długo czekałem, straciłem zbyt wiele... a ty jesteś rakiem zżerającym zdrową tkankę świata, którego należy wyeliminować dla dobra wszystkich ludzi. *Requiescat in pace, sfortunato.*

Odwrócił się, by odejść, lecz wtem stało się coś dziwnego. Ręka Hiszpana owinęła się wokół Pastorała, który trzymał podczas mszy. W jednej chwili rozświetlił się intensywnym, białym światłem, i nagle Eziowi wydało się, że cała kaplica zaczyna wokół nich coraz szybciej wirować. Hiszpan zaś szeroko otworzył swe zimne, kobaltowe oczy.

– Jeszcze nie jestem gotów odpoczywać w pokoju, ty żałosny chłystku – powiedział.

Pastorał błysnął oślepiającym światłem, a kardynałowie i księża z asysty wraz z wiernymi, którzy jeszcze nie zdążyli opuścić kaplicy, upadli na ziemię, krzycząc z bólu – oto z ich ciał wydobyły się świetliste promienie, formując przejrzyste, rozświetlone obłoki na wzór ich pozwijanych sylwetek i podążyły ku Pastorałowi, znikając ostatecznie w jego wnętrzu. Papież stał wsparty o niego i trzymał go w żelaznym uścisku.

Ezio rzucił się ku niemu.

– O nie, nie uda ci się, asasynie! – wykrzyknął Hiszpan, po czym skierował ku niemu Pastorał.

Dobiegły z niego dziwne trzaski, przypominające odgłosy pioruna, a Ezio poczuł, jak jakaś wielka siła rzuca go przez kaplicę, nad ciałami jęczących i wijących się w bólu księży i wiernych. Rodrigo Borgia stuknął mocno Pastorałem o podłogę przy ołtarzu i kolejne świetliste kłęby energii wydobyły się z ciał nieszczęśników, po czym zostały wessane przez Pastorał i jego samego.

Ezio pozbierał się szybko po upadku i ponownie stawiał czoła swojemu największemu wrogowi.

– Jesteś demonem! – krzyknął Rodrigo. – Jak to możliwe, byś tak długo zdołał stawiać mi opór?

Potem jego wzrok powędrował niżej i zatrzymał się na torbie u boku Ezia,

w której znajdowało się rozświetlone jasno Jabłko.

– A, rozumiem! – powiedział Rodrigo z oczyma rozżarzonymi niczym węgle. – Masz Jabłko! Cóż za ułatwienie! Oddaj mi je, natychmiast!

– *Vai a farti fottere!*

– Cóż za wulgarność! Ale rozumiem – jesteś wojownikiem, aż do końca. Jak twój ojciec. Cóż, zatem możesz zacząć się radować, moje dziecko, bo już wkrótce się z nim spotkasz!

Papież zamachnął się znów Pastorałem, którego koniec uderzył w lewą rękę Ezia, pozostawiając na niej bolesną ranę. Przez żyły Ezia przebiegł paralizujący wstrząs. Zachwiał się na nogach, lecz nie upadł.

– Oddasz mi to, zobaczysz! – warknął Rodrigo, zbliżając się do Ezia.

Ezio starał się szybko zebrać myśli. Wiedział, do czego zdolne jest Jabłko; mógł więc albo zaryzykować, albo zginąć w kolejnej próbie ataku.

– Jak sobie życzysz – powiedział w końcu.

Wyciągnął Jabłko z torby i uniósł je wysoko. Zaczęło rozbłyskiwać tak intensywnym światłem, że przez chwilę zdało mu się, iż kaplicę zalewa blask słońca. Gdy powrócił rozpraszany świecami półmrok, Rodrigo ujrzał przed sobą ośmiu Eziów.

Pozostał jednak niewzruszony.

– Potrafi tworzyć twoje kopie... – powiedział. – Niezłe, naprawdę niezłe! Trudno powiedzieć, który z was jest prawdziwy, a który ledwie urojeniem... Ale jeśli myślisz, że ta tania sztuczka ocali ci życie, pomyśl raz jeszcze!

Rodrigo zamachnął się na klony i gdy dosięgał któregoś z nich, ten zniknął w obłoku dymu. Duchy Ezia rzucały się na zaniepokojonego Rodriga i markowały pchnięcia, ale nie były w stanie zadać Hiszpanowi żadnego ciosu; dość skutecznie jednak odwracały jego uwagę. Eziowi udało się kilkukrotnie zranić przeciwnika, ale były to ledwie niewielkie draśnięcia – moc Pastorału była tak wielka, że nie mógł podejść do papieża na dogodną odległość. Zorientował się jednak, że walka znacząco osłabia siły Rodriga. Zanim ten pozbył się siedmiu duchów, był już wyraźnie zmęczony i z trudem

łapał oddech. Szaleństwo dodaje ciału energii bardziej niż cokolwiek innego, ale mimo że moc spływająca na Rodriga z Pastorału była wielka, był on bądź co bądź już starym, siedemdziesięciodwuletnim człowiekiem, cierpiącym do tego na syfilis. Ezio schował Jabłko z powrotem do torby.

Zadyszany po walce z fantomami, papież padł na kolana. Ezio, równie wyczerpany, bo ich wytworzenie odbyło się kosztem jego własnych sił, stanął nad nim. Rodrigo podniósł na niego wzrok i jeszcze mocniej zacisnął rękę na Pastorałe.

– Nie odbierzesz mi go – powiedział.

– To już koniec, Rodrigo. Odłóż Pastorał, a zadam ci szybką i miłosierną śmierć.

– Cóż za zbytek łaski! – zaszydził Rodrigo. – Ciekawe, czy ty poddałbyś się na moim miejscu...

Zebrawszy swoje siły, papież nagłym ruchem poderwał się na nogi i jednocześnie uderzył podstawą Pastorału w podłogę. Z półmroku wypełniającego kaplicę dobiegł kolejny jęk leżących w niej nieszczęśników, a Ezia z siłą oburęcznego młota uderzyła energia z Pastorału, odrzucając go po raz kolejny na sporą odległość.

– Jak ci się to podoba? – spytał papież, szyderczo się śmiejąc.

Podszedł do wijącego się z bólu Ezia, który zaczął właśnie wyciągać z torby Jabłko. Za późno. Rodrigo przygniótł mu rękę butem, a Jabłko wyturlało się z niej. Borgia pochylił się, by je podnieść.

– Nareszcie – powiedział z uśmiechem. – A teraz... czas zająć się tobą!

Uniósł Jabłko, które złowieszczo rozbłysło. Ezio poczuł, że nie może się ruszać. Papież pochylił się nad nim z wściekłością, lecz w jednej chwili złagodniał, widząc, że jego przeciwnik jest teraz całkowicie w jego mocy. Spod szat dobył krótkiego miecza i, spoglądając z pogardą na leżącego u jego stóp wroga, umyślnie pchnął go w bok.

Przeszywający ból promieniujący z rany najwyraźniej osłabił moc Jabłka. Ezio wciąż leżał bezbronny, ale mimo że cierpienie częściowo go

zamroczyło, zobaczył, jak pewny swojego bezpieczeństwa Rodrigo odwraca się do fresku Botticellego, przedstawiającego kuszenie Chrystusa. Zbliżył się do niego i uniósł Pastorał. Wydobyła się z niego nieziemaska energia, która swoim światłem objęła cały fresk. Jego część obróciła się, ukazując tajne drzwi, przez które wszedł Rodrigo, rzucając na odchodnym tryumfalne spojrzenie na leżącego wroga. Ezio bezradnie patrzył, jak za papieżem zamykają się drzwi i zanim stracił przytomność, zdążył tylko zapamiętać dokładnie miejsce, gdzie się znajdowały.

Ocknął się; nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale świece zrobiły się już krótkie, a w kaplicy od dawna nikogo nie było. Zorientował się, że mimo iż leży w kałuży własnej krwi, Rodrigo, rozcinając mu bok nie uszkodził żadnego z wewnętrznych organów. Stanął na nogi, trzęsąc się i chwiejąc; oparł się o ścianę i zaczął głęboko i równo oddychać, aż odzyskał pełną jasność umysłu. Zatamował upływ krwi z rany paskami oderwanymi z własnej koszuli. Przygotował swoje uzbrojenie – lewe przedramię wyposażył w sztylet z podwójnym ostrzem, prawe – w sztylet z trucizną, po czym podszedł do fresku Botticellego.

Zapamiętał, że drzwi ukryte są za postacią po prawej stronie, za kobietą niosącą drewno na całopalenie. Zbliżył się jeszcze bardziej i szczegółowo obejrzał malowidło, odnajdując po chwili ledwo widoczny, dziwny zarys. Potem starannie przyjrzał się szczegółom fresku na prawo i lewo od kobiety. Przy jej stopach znajdowało się dziecko z podniesioną prawą ręką i to w palcach tejże ręki Ezio odnalazł guzik otwierający drzwi. Gdy już stanęły przed nim otworem, wślizgnął się do środka, a one natychmiast zatrzasnęły się za nim. Nie zaniepokoiło go to. Teraz w ogóle nie myślał o odwrocie.

Znalazł się w czymś, co przypominało korytarz w katakumbach, ale w miarę, jak się posuwał w głąb, spostrzegł, że jego chropowate ściany przechodzą w gładko wykończone kamienie, a błotnista podłoga – w marmurową, której nie powstydziliby się żaden pałac. Wkrótce na ścianach dał się zauważyć blady, nienaturalny blask.

Ezio był słaby od upływu krwi, ale mimowolnie szedł naprzód, zafascynowany i bardziej zdumiony niż przerażony. Przez cały czas miał się jednak na baczności, wiedział bowiem, że przed nim podążał tędy Borgia.

W końcu korytarz przeszedł w rozległą komnatę. Jej ściany były gładkie niczym lustro i pełgała po nich ta sama niebieskawa poświata, którą widział wcześniej, tyle że teraz była o wiele intensywniejsza. Na środku pokoju stał piedestał, a na nim – w idealnie dopasowanych uchwytych – znajdowały się Jabłko i Pastorał.

Tylna ściana pomieszczenia była podziurawiona setkami równomiernie rozmieszczonych otworów. Przed nią stał Hiszpan, rozpaczliwie popychając ją i wkładając do otworów palce, nieświadomy pojawienia się Ezia.

– Otwieraj się, do jasnej cholery, otwieraj! – krzyczał, sfrustrowany i wściekły.

Ezio podszedł do niego.

– To już koniec, Rodrigo – powiedział. – Daruj sobie. To już nie ma sensu.

Rodrigo odwrócił się gwałtownie i stanął z nim twarzą w twarz.

– Bez żadnych sztuczek – powiedział Ezio, odpinając sztylety i rzucając je na podłogę. – Bez starożytnych artefaktów. Bez broni. Zobaczmy, na co cię stać, *vecchio!*

Skrzywioną i złą twarz Rodriga powoli wypełnił uśmiech.

– Dobrze, skoro tak chcesz się w to bawić...

Zrzucił swoje ciężkie, zewnętrzne szaty i stanął przed Eziem w tunice i pończochach. Miał otyłe, choć zwarte i silne ciało, po którym od czasu do czasu przechodziła błyskawica – efekt działania Pastorału. Zbliżył się do Ezia i wymierzył pierwszy cios – brutalny hak, który wylądował na szczęce Ezia i sprawił, że się zatoczył.

– Dlaczego twój ojciec nie dał sobie z tym wszystkim spokoju? – zapytał Rodrigo ze smutkiem w głosie, unosząc but, by kopnąć Ezia z całej siły w brzuch. – Nie, on musiał uparcie drążyć i szukać... A ty jesteś taki sam. Wy, asasyni, wszyscy jesteście jak komary, od których trzeba się odpędzać.

Szkoda, że temu idiocie Albertiemu nie udało się powiesić cię razem z braćmi i ojcem dwadzieścia siedem lat temu.

– Szatan nie jest w nas, lecz w was, templariuszach – pozbierał się Ezio, wypluwając wybity ząb. – Myśleliście, że ludzie, zwykli, porządni ludzie, są jak rzeczy, którymi możecie się do woli zabawiać, z którymi możecie robić, co tylko chcecie.

– Mój drogi towarzyszu – powiedział Rodrigo, wymierzając kolejny cios, tym razem pod żebra Ezia – po to właśnie są ludzie. Motłoch jest po to, by go wykorzystywać i nim rządzić. Było tak zawsze i zawsze tak będzie.

– Poczekaj – wysapał Ezio. – Ta walka jest bez większego znaczenia. Czeka nas o wiele ważniejsza. Ale najpierw powiedz mi, co chcesz zyskać dzięki Krypcie, która mieści się za tą ścianą? Czy nie masz już teraz wystarczającej mocy? Czego więcej potrzebujesz?

Rodrigo wyglądał na zdziwionego.

– Czyżbyś nie wiedział, co jest w Krypcie? Czyżby wielki i potężny zakon asasynów jeszcze na to nie wpadł?

Jego ekstatyczny ton sprawił, że Ezio na chwilę zastygł w bezruchu.

– O czym ty mówisz?

Oczy Rodriga zabłyśły.

– Bóg! W Krypcie mieszka Bóg!

Ezio był zbyt zaskoczony, by natychmiast odpowiedzieć. Wiedział, że obcuje z niebezpiecznym szaleńcem.

– Posłuchaj... Czy naprawdę sądzisz, że uwierzę, iż pod Watykanem mieszka sam Bóg?

– Cóż, a czy nie jest to przypadkiem miejsce bardziej przemawiające do logiki niż jakieś królestwo w chmurach? Pełne śpiewających aniołów i cherubinów? Może taki obraz rzeczywiście jest uroczy, ale prawda jest o wiele ciekawsza.

– A cóż Bóg miałby tam robić?

– Czeka, by Go ktoś stamtąd uwolnił.

Ezio zaczerpnął powietrza.

– Powiedzmy, że ci wierzę... Cóż jednak według ciebie zrobi Bóg, jeśli uda ci się otworzyć drzwi do Krypty?

Rodrigo uśmiechnął się.

– Nie obchodzi mnie to. Nie zależy mi na Jego aprobacie, tylko na Jego mocy!

– I myślisz, że ci ją przekaże?

– Cokolwiek znajduje się za tymi drzwiami, nie będzie w stanie oprzeć się połączonej mocy Pastorału i Jabłka – Rodrigo przerwał, po czym dokończył:

– Stworzono je po to, by ujarzmić bogów, i to nieważne jakiej religii.

– Ale nasz Bóg powinien być wszechwiedzący i wszechmogący. Cóż Mu mogą zrobić jakieś dwa artefakty?

Rodrigo spojrział na niego z pełnym wyższości uśmiechem.

– O niczym nie wiesz, chłopcze. Swój obraz Stwórcy czerpiesz ze starej księgi. Księgi – zważ na to – napisanej przez ludzi.

– Przecież jesteś papieżem! Jak możesz z takim lekceważeniem traktować główny tekst chrześcijaństwa?!

Rodrigo roześmiał się w głos.

– Czy rzeczywiście jesteś aż tak naiwny? Zostałem papieżem, bo tylko tak mogłem zyskać dostęp. Myślisz, że wierzę w choćby jedno przekłete słowo tej śmiesznej księgi? To wszystko kłamstwa i zabobony! Jak każdy religijny traktat była pisana odkąd ludzie nauczyli się stawiać znaki!

– Są tacy, którzy za takie wyznanie pozbawiliby cię życia.

– Być może. Ale jeśli sądzisz, że ta świadomość spędza mi sen z powiek, grubo się mylisz – przerwał. – Ezio... My, templariusze, rozumiemy, czym jest ludzkość, i dlatego mamy ją w tak wielkiej pogardzie!

Ezia zatkało, ale nadał słuchoł wynurzeń papieża.

– Gdy uporam się już z obecnym zadaniem – ciągnął Rodrigo – pierwszą w kolejności rzeczą na mojej liście będzie zlikwidowanie Kościoła, żeby nareszcie zmusić ludzi do wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny i by

móc ich w końcu sądzić jak na to zasługują! – na jego twarzy zagościła błogość. – Będzie to rzecz piękna, nowy świat templariuszy – rządzony przyczyną i porządkiem...

– Jak możesz mówić o przyczynie i porządku – przerwał mu Ezio – skoro całe twe życie to pasmo okrucieństw i niemoralności?

– Och, Ezio, wiem, że nie jestem doskonały – papież uśmiechnął się kokieteryjnie. – I wcale nie udaję, że jest inaczej. Tylko że widzisz – za bycie moralnym nie ma nagrody. Musisz brać, co tylko potrafisz, i nie wypuszczać tego z rąk – uciekając się do wszelkich możliwych środków, jeśli taka jest konieczność. Ostatecznie – rozłożył ręce – żyje się tylko raz!

– Gdyby każdy żył według twojej wykładni – powiedział Ezio, zdumiony tym, co słyszy – cały świat pograżyłby się w obłądnie!

– No właśnie! A czy przypadkiem już nie jest obłąkany? – Rodrigo dźgnął Ezia palcem. – Czyżbyś spał, gdy wykładano ci historię? Jeszcze kilka wieków temu nasi przodkowie żyli w gnoju i błocie, zżerani ignorancją i religijnym przesądem, chowając się w mroku i drżąc ze strachu!

– Ale już dawno wyszliśmy z tego gnoju i mroku; staliśmy się mądrzejsi i silniejsi!

Rodrigo znów się roześmiał.

– Cóż za piękną wizję pielęgnujesz w swej wyobraźni! Spróbuj się tylko rozejrzeć! Sam zresztą doświadczyłeś tej rzeczywistości. Rozlewu krwi. Okrucieństwa. Przepaści między bogatymi a biednymi, pogłębiającej się z dnia na dzień – utkwiał swój wzrok w oczach Ezia. – I nigdy nie będzie lepiej. Ja już się z tym pogodziłem. Ty też powinieneś.

– Nigdy! Asasyni zawsze będą walczyć o to, by ludzkość zmierzała ku lepszemu. I nawet jeśli to, do czego dążymy, w ostatecznym rozrachunku nie istnieje, tak jak raj na ziemi, każdy dzień naszej walki sprawia, że posuwamy się do przodu, że wychodzimy z tego bagna ludzkiej beznadziei.

Rodrigo westchnął.

– *Sancta simplicitas!* Wybacz, ale zmęczyło mnie już czekanie, by

ludzkość wreszcie przejrzała na oczy. Stary już jestem, dużo już widziałem, a do końca życia nie zostało mi już zbyt wiele lat – jakaś myśl przyszła mi jednak do głowy i zarechotał szatańsko. – Chociaż kto wie? Może Krypta to zmieni, nie zdaje ci się?

Nagle Jabłko zaczęło promienić blaskiem, z każdą chwilą coraz jaśniejszym, aż całkowicie wypełnił komnatę, oślepiając Rodriga i Ezia. Papież upadł na kolana. Ezio, osłaniając oczy, zobaczył, że Jabłko rzuca na ścianę z otworami obraz mapy z Kodeksu. Podszedł do piedestału i chwycił za Pastorał.

– Nie! – krzyknął Rodrigo, drapiąc w powietrzu swoimi przypominającymi szpony palcami. – Nie wolno ci! Nie wolno! To moje przeznaczenie! Moje! To ja jestem Prorokiem!

W tej niesamowitej chwili pełnej prawdy, Ezio uświadomił sobie, że jego towarzysze asasyni, tak wiele lat temu, w Wenecji, dostrzegli w nim coś, co on sam z siebie wyparł. Tymczasem w tej oto komnacie rzeczywiście znajdował się Prorok i za chwilę miał dopełnić swojego przeznaczenia. Ezio spojrzał na Rodriga niemal z litością.

– Nigdy nie byłeś Prorokiem – powiedział. – Biedna, zagubiona duszo!

Papież skulił się cały – jego stare, słabe, otyłe ciało stało się w tej pozycji czymś żalonym, wołającym o litość.

– Konsekwencją porażki jest śmierć. Pozwól mi przynajmniej godnie umrzeć!

Ezio spojrzał na niego i pokręcił głową.

– Nie, stary głupcze! Twoja śmierć nie wróci mi ojca. Ani Federica, ani Petruccia. Nie powstaną z martwych ci, którzy zginęli albo walcząc z tobą, albo służąc twojej beznadziejnej sprawie. A ja... Ja skończyłem już z zabijaniem.

Spojrzał głęboko w oczy papieża, które stały się mętne, pełne przerażenia pomieszanego z udręką; nie było już w nich tego świdrującego, przesywającego wejrzenia.

– Nic nie jest prawdą – powiedział Ezio. – Wszystko jest dozwolone. Czas, byś odnalazł własny spokój.

Odwrócił się od Rodriga i skierował Pastorał ku ścianie, wkładając jego koniec do otworów w kolejności, którą wskazywała mu wyświetlana na niej mapa. W miarę, jak to robił, ze ściany wyłaniał się coraz wyraźniejszy zarys wielkich drzwi. Gdy Ezio wyjmował Pastorał z ostatniego otworu, drzwi otworzyły się.

Za nimi ciągnął się szeroki korytarz z przeszklonymi ścianami i wnękami, w których stały starożytne rzeźby z kamienia, marmuru i brązu; były tam też komnaty wypełnione sarkofagami, z których każdy oznaczony był pismem runicznym. Ezio zdał sobie sprawę, że potrafi je odczytać – były to imiona starożytnych bogów Rzymu. Wszystkie sarkofagi były szczelnie zapieczętowane.

Gdy Ezio szedł wzdłuż korytarza, uderzyła go obcość form architektonicznych i dekoracji, które zdawały się być osobliwą mieszaniną starożytności, stylu odpowiadającego jego własnym czasom i kształtów, których nie znał, ale które – jak podpowiadał mu instynkt – mogły należeć do odległej przyszłości. Wzdłuż ścian znajdowały się reliefy, na których wyrzeźbiono zdarzenia z dawnych epok, które przedstawiały najwyraźniej nie tylko ewolucję człowieka, ale również Siłę, która ją napędzała.

Wiele spośród form z reliefów przypominało Eziowi sylwetki człowieka, choć ich ubrań i innych towarzyszących im kształtów nie mógł w żaden sposób rozpoznać. Widział też inne obrazy i nie wiedział, czy zostały one wyrzeźbione, namalowane czy być może materializowały się w powietrzu, które go otaczało – lasy wpadające do mórz, człekokształtne małpy, jabłka, pastorały, mężczyźni i kobiety, całun, miecz, piramidy i kolosea, zigguraty i niszczycielskie rydwany, statki, które pływały pod wodą, dziwne, świetliste ekrany, które zdawały się przekazywać wszelką wiedzę i wszelką łączność...

Ezio rozpoznał nie tylko Jabłko i Pastorał, ale również wielki miecz, całun Chrystusa – wszystko to niosły istoty o ludzkich kształtach, lecz było w nich

coś obcego ludziom. Niektóre z obrazów, jak zauważył, przedstawiały pierwsze, starożytne cywilizacje.

W końcu, w głębi Krypty, natrafił na wielki, granitowy sarkofag. Gdy zbliżył się do niego, sarkofag rozświetlił się jasnym, zachęcającym blaskiem. Dotknął jego wieka, a ono uniosło się przy wtórze wyraźnego syczenia; przykleiło się do jego palców, sprawiając wrażenie, jakby nic nie ważyło i odsunęło się na bok. Z kamiennego grobowca zajaśniało piękne, złote światło – ciepłe i odżywcze jak słońce. Ezio osłonił oczy ręką.

Potem nad sarkofagiem pojawiła się jakaś sylwetka, której szczegółów Ezio nie mógł dojrzeć, choć wiedział, że patrzy na kobietę. Spojrzała na Ezia mieniącymi się, płomiennymi oczami i dotarł do niego jej głos – na początku brzmiał jak świergot ptaków, lecz po chwili płynnie przeszedł w jego ojczysty język.

Na jej głowie zauważył hełm. Na jej ramieniu siedziała sowa. Ezio pochylił głowę.

– Witaj, Proroku – rzekła bogini. – Czekałam na ciebie przez dziesięć milionów pór.

Ezio nie śmiał podnieść wzroku.

– Dobrze, że przybyłeś – ciągnęła. – I że masz ze sobą Jabłko. Pokaż mi je.

Ezio, ze spuszczonej oczami, podał jej Jabłko.

– Och.

Jej ręka pogładziła powietrze znajdujące się nad nim, nie dotykając go. Zajaśniało i zaczęło pulsować światłem. Jej oczy przeniosły się na Ezia.

– Musimy porozmawiać.

Przechyliła głowę, jakby zastanawiała się nad czymś, a Eziowi zdało się, że na jej opalizującej twarzy widzi cień uśmiechu.

– Kim jesteś? – odważył się zapytać.

Westchnęła.

– Och... Mam wiele imion... Gdy umarłam, byłam Minerwą... Wcześniej Merwą, Merą... I tak dalej, i dalej, cofając się w czasie... Spójrz! – wskazała

na rząd sarkofagów, które minął Ezio.

Teraz, gdy pokazywała je ręką, każdy z nich, po kolei, rozświetlał się zimnym, księżycowym blaskiem.

– To moja rodzina... Junona, którą wcześniej zwano Uni... Jowisz, który przedtem nosił imię Tinia...

Ezio stał sparaliżowany.

– Jesteście starożytnymi bogami...

Rozległ się dźwięk, jakby ktoś w oddali stłukł szkło, albo jakby gdzieś spadała gwiazda – to był jej śmiech.

– Nie, nie jesteśmy bogami. Po prostu pojawiliśmy się tu... wcześniej. Gdy chodziliśmy po świecie, twój rodzaj nieporadnie starał się zrozumieć nasze istnienie. Byliśmy... bardziej zaawansowani... w czasie... Wasze umysły nie były na nas gotowe... – przerwała na chwilę. – I prawdopodobnie wciąż nie są... A może nawet nigdy nie będą. Ale to nieistotne.

Jej głos stał się surowszy.

– Lecz mimo iż nas nie pojmujecie, musicie przyjąć i zrozumieć nasze ostrzeżenie...

Zapadła cisza. Przerwał ją Ezio.

– Nie potrafię pojąć nic z tego, co mówisz – powiedział.

– Moje dziecko, te słowa nie są przeznaczone dla ciebie... To słowa kierowane do... – spojrzała w mrok panujący nad Kryptą, w ciemność nieograniczoną ścianami i czasem...

– Jak to? – zapytał Ezio, upokorzony i przestraszony. – O czym ty mówisz? Przecież tu nie ma nikogo innego!

Minerwa pochyliła się i zbliżyła do niego, a on poczuł, że jakieś matczyne ciepło łagodzi jego zmęczenie, że uwalnia go od bólu.

– Nie chcę mówić do ciebie, lecz przez ciebie. Jesteś Prorokiem.

Podniosła ręce ku górze i sklepienie Krypty stało się firmamentem. Na mieniącej się, niematerialnej twarzy Minerwy zaczął malować się wielki smutek.

– Odegrałeś swoją rolę... Unieszkodliwiłeś go... Lecz teraz zamilknij... byśmy mogli się połączyć. Słuchaj!

Ezio ujrzał całe niebo i gwiazdy i zdało mu się, że słyszy ich muzykę. Ujrzał obracającą się Ziemię, tak jakby patrzył na nią z góry, z kosmosu. Zobaczył jej kontynenty, a nawet dostrzegł kilka miast.

– Gdy mieliśmy jeszcze ciała, a nasz dom wciąż był cały, twój rodzaj nas zdradził. Nas, którzy was stworzyliśmy. Którzy daliśmy wam życie! – przerwała i uroniła kilka łez.

Pojawił się obraz wojny: dzicy ludzie walczyli samodzielnie wykonaną bronią ze swoimi panami.

– Byliśmy silni. Lecz was było wielu. Obie strony pragnęły wojny.

Pojawił się teraz nowy obraz Ziemi, w zbliżeniu, ale wciąż widzianej z kosmosu. Potem Ziemia oddaliła się, stała się mniejsza i Ezio zobaczył, że jest zaledwie jedną z kilku planet, poruszających się wokół wielkiej gwiazdy – Słońca.

– Tak bardzo pochłonęły nas ziemskie sprawy, że przestaliśmy spoglądać na niebo. I zanim to uczyniliśmy...

Gdy Minerwa mówiła, Ezio ujrzał, jak Słońce rozblyskuje nieznośnie jasnym blaskiem i jak jego korona muska Ziemię.

– Daliśmy wam Eden. Ale wojna między nami obróciła Eden w piekło. Świat spalił się i nie zostało na nim nic prócz popiołów. W tym miejscu i czasie powinien być nastąpić koniec. Ale stworzyliśmy was na nasze podobieństwo. Stworzyliśmy was, byście mogli przeżyć.

Ezio patrzył, jak z wielkiego spustoszenia, którego na Ziemi dokonało Słońce, podnosi się pokryta popiołem ręka. Na sklepieniu Krypty pojawiły się przejmujące wizje smaganych wiatrem równin i przemierzających je ludzi – wyniszczonych, słabych, ale odważnych i nieugiętych.

– Wszystko odbudowaliśmy – ciągnęła Minerwa. – Potrzebna była siła, poświęcenie i litość, ale wszystko odbudowaliśmy! Ziemia powoli leczyła swoje rany, wracało na nią życie, rośliny raz jeszcze wystrzeliły w górę z jej

urodzajnej gleby... A my dokładaliśmy wszelkich starań, by zapewnić, że taka tragedia nigdy więcej się nie powtórzy.

Ezio znów podniósł oczy ku niebu. Zobaczył horyzont. Na nim świątynie i inne budowle, rzeźby w kamieniu, przypominające pismo, biblioteki pełne zwojów, statki, miasta, muzykę i taniec – obrazy zamierzchłych czasów, zamierzchłych cywilizacji których nie znał, lecz wiedział, że są dziełem rodzaju ludzkiego...

– Dziś umieramy... – mówiła Minerwa. – A czas będzie działał przeciwko nam... Prawdę zmienia w mit i legendę. To, co stworzyliśmy, zostanie błędnie zrozumiane. Ezio, niech słowa te niosą moje przesłanie i niech będą świadectwem naszego odejścia.

Pojawił się obraz Krypty i innych, podobnych do niej budowli.

Ezio patrzył na to wszystko jak we śnie.

– Niech jednak moje słowa niosą także nadzieję. Musisz odnaleźć pozostałe świątynie. Świątynie takie jak ta. Wzniesione przez tych, którzy wiedzieli, jak odwrócić się od wojen. To oni pracowali, by nas ochronić, by zachować nas przed Wielkim Ogniem. Jeśli odnajdziesz te świątynie, jeśli ich dzieła przetrwają, przetrwa być może również ten świat.

Ezio ponownie ujrzał Ziemię. Horyzont na sklepieniu Krypty wypełnił się teraz obrazem wielkiego miasta, które było niczym ogromne San Gimignano, miasta wież stojących ciasno jedna przy drugiej, rzucających cień na gęstwinę ulic poniżej, miasta na jakiejś odległej wyspie. A potem wszystko zlało się ponownie w jasny obraz Słońca.

– Musisz jednak działać szybko – powiedziała Minerwa. – Nie ma czasu do stracenia. Miej się na baczności przed krzyżem templariuszy – wielu spośród nich stanie ci jeszcze na drodze.

Ezio podniósł wzrok. Ujrzał Słońce, które paliło się w gniewie, jakby na coś czekało. Potem wybuchło, a wybuch, jak wydało się Eziowi, przyjął kształt krzyża templariuszy.

Wizje zaczynały przygasać. W końcu Minerwa i Ezio pozostali zupełnie

sami, a głos bogini zdawał się nikać w jakimś nieskończonym tunelu.

– Dokonało się... Moi ludzie muszą opuścić ten świat... Wszyscy... Przekazaliśmy przesłanie... Teraz wszystko zależy już od was. My nie możemy zrobić nic więcej.

Zapanował mrok i cisza, a Krypta znów stała się ciemną, podziemną komnatą, zupełnie pustą. Niczego w niej nie było.

*

Ezio odwrócił się. Przeszedł do komnaty przed Kryptą, gdzie zobaczył Rodriga leżącego na ławie, z zieloną pianą wypływającą z kącika jego ust.

– Umieram – powiedział. – Wypiłem truciznę, którą zawsze miałem przy sobie na wypadek, gdybym został pokonany. I tak nie mam już po co żyć. Lecz powiedz mi – powiedz mi, zanim na zawsze opuszczę ten padół łez i cierpienia – powiedz mi... tam, w Krypcie... Co tam ujrzałeś? Kogo spotkałeś?

Ezio popatrzył na niego.

– Nic. Nikogo – powiedział.

Wyszedł tą samą drogą, przez Kaplicę Sykstyńską, i stanął na skąpanym w promieniach słońca rzymskim bruku. Tam czekali już na niego jego przyjaciele.

Miał wraz z nimi stworzyć nowy świat.

Postaci

Giovanni Auditore – ojciec Ezia Auditore
Maria Auditore – matka Ezia Auditore
Ezio Auditore – drugi syn Giovanniego
Federico Auditore – najstarszy syn Giovanniego
Petruccio Auditore – najmłodszy syn Giovanniego
Claudia Auditore – córka Giovanniego
Mario Auditore – brat Giovanniego
Annetta – pomoc domowa Auditorich
Paola – siostra Annetty
Orazio – żołnierz Maria Auditore
Duccio Dovizi – były narzeczony Claudii
Giulio – sekretarz Giovanniego Auditore
Dottore Ceresa – lekarz rodziny Auditorich
Gambalto – komendant oddziału Maria Auditore

Cristina Calfucci – narzeczona młodego Ezia
Antonio Calfucci – ojciec Cristiny
Manfredo Arzenta – syn bogatej rodziny, później mąż Cristiny
Gianetta – przyjaciółka Cristiny
Sandeo – urzędnik ojca Cristiny

Jacopo Pazzi – głowa rodziny Pazzich, florenckich bankierów
Francesco Pazzi – bratanek Jacopo
Vieri Pazzi – syn Francesca
Stefano Bagnone – ksiądz, sekretarz Jacopa
Ojciec Giocondo – ksiądz z San Gimignano
Terzago, Tebaldo, Capitano Roberto, Zohane i Bernardo – żołnierze na służbie rodziny Pazzich
Galeazzo Maria Sforza (1444–1476) – książę Mediolanu
Caterina Sforza (1463–1509) – córka Galeazza
Girolamo Riario (1443–1488) – książę Forlì, mąż Cateriny

Bianca Riario (1478–1522) – córka Cateriny
Ottaviano Riario (1479–1523) – syn Cateriny
Cesare Riario (1480–1540) – syn Cateriny
Giovanni Riario (1484–1496) – syn Cateriny
Galeazzo Riario (1485–1557) – syn Cateriny
Nezetta – mamka dziecka Cateriny
Lodovico Sforza (1452–1508) – książę Mediolanu, brat Galeazza
Ascanio Sforza (1455–1505) – kardynał, brat Galeazza

Lorenzo Medici (Wawrzyniec Medyceusz, Il Magnifico) (1449–1492) –
władca Florencji
Clarice Orsini (1453–1487) – żona Lorenza
Lucrezia Medici (1470–1553) – córka Lorenza
Piero Medici (1471–1503) – syn Lorenza
Maddalena Medici (1473–1528) – córka Lorenza
Giuliano Medici (1453–1478) – brat Lorenza
Fioretta Gorini – kochanka Giuliana
Boetio – służący Lorenza
Giovanni Lampugnani (zm. 1476) – zamieszany w zamach na życie Galeazza
Carlo Visconti (zm. 1477) – zamieszany w zamach na życie Galeazza
Gerolamo Olgiati (1453–1477) – zamieszany w zamach na życie Galeazza
Bernardo Baroncelli – zamieszany w zamach na życie Giuliana
Uberto Alberti – gonfalonier Florencji (główny sędzia miasta)
Rodrigo Borgia (1451–1503) – Hiszpan, kardynał, później papież Aleksander
VI
Antonio Maffei – ksiądz, zamieszany w zamach na życie Giuliana
Raffaele Riario (1451–1521) – sympatyk Pazzich, siostrzeniec papieża
Francesco Salviati Riario, arcybiskup Pizy, zamieszany w spisek Pazzich
Lodovico i Checco Orsi – bracia, najemnicy

Niccolò di Bernardo dei Machiavelli (1469–1527) – prawnik, filozof, pisarz
i historyk
Leonardo da Vinci (1452–1519) – artysta, naukowiec i wynalazca
Agniolo i Innocento – asystenci Leonarda da Vinci
Girolamo Savonarola (1452–1498) – dominikanin, przywódca polityczny
Marsilio Ficino (1433–1499) – filozof

Giovanni Pico della Mirandola (1463–1494) – filozof
Poliziano (Angelo Ambrogini) (1454–1494) – uczonek i poeta, nauczyciel
dzieci Medicich
Botticelli (Alessandro di Moriano Filipepi) (1445–1510) – artysta
Jacopo Saltarelli (ur. 1459) – model
Fra Domenico da Pescia i Fra Silvestro – mnisi, współpracownicy
Savonaroli
Brat Girolamo – mnich z opactwa Monteciano, kuzyn Savonaroli

Giovanni Mocenigo (1409–1485) – doża Wenecji
Carlo Grimaldi – członek świty Moceniga
Hrabia Pexaro – patron Leonarda w Wenecji
Nero – służący hrabiego Pexaro
Emilio Barbarigo – wenecki kupiec, sprzymierzony z Rodrigem Borgia
Silvio „Il Rosso” Barbarigo – inkwizytor, kuzyn Emilia Barbariga
Marco Barbarigo – kuzyn Silvia i Emilia
Agostino Barbarigo – młodszy brat Marca
Dante Moro – eskorta Marca
Bartolomeo d’Alviano – najemnik

Gilberto Lis, la Volpe – członek zakonu asasynów
Corradin – pomocnik Lisa
Antonio Magianis – przywódca weneckiej Gildii Złodziei
Ugo – członek Gildii Złodziei
Rosa – członkini Gildii Złodziei
Paganino – członek Gildii Złodziei
Michiel – członek Gildii Złodziei
Bianca – członkini Gildii Złodziei
Siostra Teodora – właścicielka domu publicznego

Słowniczek wyrażen włoskich i łacińskich

abominato menda
accademico akademik, naukowiec
accompagnatrice towarzyszki, przyzwoitki
addio do widzenia
ahimè niestety
aiutami, Dio! Boże, dopomóż!
aiuto! pomocy!
al ladro! łapać złodzieja!
altezza (wasza) wysokość
amici intimi bliscy przyjaciele
amico mio mój przyjacielu
amore mio kochanie
anche też, również
anch'io ja też
aprite la porta! otwierać bramę!
arcivescovo arcybiskup
artiglierie artyleria
assassino zabójca

bambina dziecko
bastardo sukinsyn
bello przystojniak
ben fatto dobra robota
benvenuti witajcie
birbante drań
biscotti ciastka
bistecca befsztyk
buona fortuna powodzenia
buona sera dobry wieczór

buon' giorno dzień dobry
buon viaggio szczęśliwej podróży

calma spokojnie
cane rognoso kundel, parszywy pies
capito? zrozumiano?
carnevale karnawał
caro, cara, carissima najdroższa, kochanie
casa, dolce casa wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej
castello zamek
cazzo gnojek, kutas
che vista penosa! co za okropny widok!
chiudi il becco zamknij się
ciao do zobaczenia
ciccione grubas
cimice pluskwa
codardo tchórz
coglioni jaja
commandante dowódca, kapitan
commendatore głównodowodzący
compagno towarzysz
condottieri najemnicy
coniglio tchórz
corno ducale tradycyjne nakrycie głowy nosze przez dożów Wenecji
così tak
creapa, traditore! giń zdrajco!
crepi il lupo niech zginie wilk

evviva! hura!

fidanzato narzeczony
figlio d'un cane sukinsyn
finanziatore, financier finansista
fiorini floreny
fottiti! pieprz się!
fratelli bracia

fratellino braciszek
funzionario da accoglienza osoba podejmująca

grassone bastardo tłusty sukinsyn
grazie a Dio Bogu dzięki
grazie, amici dzięki, przyjaciele
grullo głupi

hospitarius mnich zajmujący się gośćmi klasztoru

il Magnifico Wspaniały
il Spagnolo Hiszpan
in bocca al lupo! powodzenia
infame hańba
infelix ego, omnium auxilio destitutus nieszczęsny, pozbawiony wszelkiego pocieszenia
in perfetto ordine w idealnym porządku
inquisitore inkwizytor
intensi oczywiście/zrozumiałem

liberta wolność
luridi branco di cani bastardi banda śmierdzących sukinsynów
luridi codardi śmierdzący tchórze
lurido porco śmierdzący wieprz

ma certo ależ oczywiście
ma che cazzo? co to było, do cholery?
madre matka
maledetto przeklęty
marmocchio smarkacz
medico lekarz
merda! cholera!
messer pan
mia colomba moja gołąbeczko
mi dispiace veramente naprawdę mi przykro
miserabili pezzi di merda żałosny gnojek

molto onorato wielce zaszczycony

nipote bratanek

no preoccuparvi nie martw się

novizia nowicjuszka (siostra zakonna)

oste oberżysta

palazzo pałac

passeggiata spacer

perdonate, messere wybacz panie

piccina malutka

popolo naród

porco świnia

porco demonio! diabelskie nasienie!

principessa księżniczka

promesso przyrzekam

puttana dziwka

rallegramenti gratulacje

requiescat in pace spoczywaj w pokoju

ribollita toskańska zupa

salute na zdrowie / jak się masz?

sancta simplicitas! o święta naiwności!

sangue di Giuda! na krew Judasza!

scusi wybacz

se lo tu dici skoro tak mówisz

ser pan

sfortunato nieszczęśnik

sì tak

signore pan

Signoria forma rządów w miastach średniowiecznej i renesansowej Italii

signorina pani

soldo solid (moneta)

sono grato del tuo aiuto jestem ci wdzięczny za pomoc

sorellina siostrzyczka
spero di sì mam taką nadzieję
stai bene w porządku
stolti głupcy
stronzo dupek
su altezza wasza wysokość
subito już, od razu, szybko

tagliagole rzezimieszek
tartaruga żółw, ślamazara
tesora, tesoro skarbie
ti arresto! aresztuje cię
traditore zdrajca
tutti per uno e uno per tutti jeden za wszystkich i wszyscy za jednego

ubriacone pijak
uomo coraggioso odważny człowiek

va bene w porządku
vai a farti fottere! pieprz się!
vecchio stary, starzec

Podziękowania

Yves Guillemot

Serge Hascoet

Alexis Nolent

Richard Dansky

Olivier Henriot

Sébastien Puel

Patrice Desilets

Corey May

Jade Raymond

Cecile Russeil

Joshua Meyer

Marc Muraccini

The Ubisoft Legal Department

Chris Marcus

Darren Bowen

Amy Jenkins

Caroline Lamache